

# AUEL

JEAN M.

DOLINA KONI

# Spis treści

Karta tytułowa

- .1.
- .2.
- .3.
- .4.
- .5.
- .6.
- .7.
- .8.
- .9.
- .10.
- .11.
- .12.
- .13.
- .14.
- .15.
- .16.
- .17.
- .18.
- .19.
- .20.
- .21.
- .22.
- .23.
- .24.
- .25.
- .26.
- .27.
- .28.



**JEAN M. AUEL**

**DOLINA KONI**

Tłumaczenie:

Maria Duch



1997

# .1.



Była martwa. Jakie więc miało znaczenie to, że marznący deszcz lodowymi igielkami odzierał ją ze skóry. Młoda kobieta zmrużyła oczy i spojrzała pod wiatr, otulając się szczelnie kapturem z rosomaka. Gwałtowne podmuchy owijały jej wokół nóg okrycie z niedźwiedziej skóry.

Czyżby tam z przodu były drzewa? Zdawało się jej, że widziała wcześniej na horyzoncie poszarpaną linię drzewiastej roślinności, i żałowała, iż nie zwróciła na nią większej uwagi. – Szkoda, że nie mam pamięci tak dobrej, jak reszta klanu. – Nadal myślała o sobie jak o członku klanu, chociaż nigdy nim nie była. Teraz zaś była martwa.

Kobieta pochyliła się pod wiatr. Burza spadła na nią nagle, nacierając z łoskotem od północy. Rozpaczliwie potrzebowała schronienia. Była jednak daleko od jaskini i znanych sobie terenów. Od czasu gdy odeszła, księżyc zdążył przejść pełny cykl przemian, a ona nadal nie miała pojęcia, dokąd idzie.

Na północ, na kontynent rozciągający się za półwyspem, to wszystko, co wiedziała. Iza, w noc swej śmierci, kazała jej odejść. Powiedziała, że Broud, gdy zostanie przywódcą, znajdzie sposób, aby ją skrzywdzić. Iza miała rację. Broud skrzywdził ją bardziej, niż to sobie mogła wyobrazić.

Nie miał dobrego powodu, aby zabierać mi Durca, pomyślała Ayla. On jest moim synem. Broud nie miał też powodu mnie wyklinać. To on wywołał gniew duchów. To on jest tym, który spowodował trzęsienie ziemi. Tym razem przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać. Jednak wszystko zaszło tak szybko, że nawet klan potrzebował trochę czasu, aby pogodzić się z jej usunięciem. Ale choć była martwa dla reszty klanu, to nie mogli sprawić, żeby Durc przestał ją dostrzegać.

Broud wyklął ją pod wpływem impulsu zrodzonego z gniewu. Brun przygotował wszystkich, zanim wyklął ją po raz pierwszy. Miał zresztą powód; wszyscy wiedzieli, że musi to zrobić. On jednak dał jej szansę.

Uniosła głowę ku następnemu lodowatemu podmuchowi i spostrzegła, że zmierzchało. Wkrótce będzie ciemno. Nogi miała zdrętwiałe. Zimna maź przesiąkała przez skórzane okrycia jej stóp, pomimo izolującej warstwy trawy, którą napchała do środka. Nagle widok karłowatej i poskręcanej sosny sprawił jej ulgę.

Drzewa na stepie należały do rzadkości; rosły jedynie tam, gdzie było dostatecznie wilgotno. Podwójny rząd sosen, brzoź lub wierzb, rzeźbionych przez wiatr w skarłowaciałe asymetryczne kształty, zwykle znaczył bieg wody. W krainie, gdzie wody gruntowe zdarzały się rzadko, ten widok był szczególnie miły. Drzewa oferowały skąpą, ale jednak osłonę przed burzami spadającymi z wyciem z wielkiego północnego lodowca na otwarte równiny.

Kilka następnych kroków przywiodło młodą kobietę nad brzeg strumienia, lecz pomiędzy skutymi lodem brzegami płynął jedynie wąski strumyczek wody. Kobieta skierowała się na zachód, podążając w dół jego biegu i rozglądając się za gęstszymi

zaroślami, które zapewniłyby jej lepsze schronienie niż pobliskie krzaki.

Wlokła się naprzód z naciągniętym głęboko kapturem, ale gdy tylko wiatr niespodziewanie na chwilę przycichał, spoglądała w górę. Po drugiej stronie strumienia niska, prostopadła ściana broniła przeciwnego brzegu. Trawiasta cibora mająca grzać jej stopy zdała się na nic, gdy przy przechodzeniu na drugą stronę lodowata woda wdarła się do środka okryć, ale kobieta się cieszyła, że ma osłonę przed wiatrem. Błotnista ściana brzegu zawaliła się w jednym miejscu, pozostawiając nawis z poplątanych korzeni traw i starych krzaków, a pod nim dość suche miejsce...

Ayla odwiązała nasiąkniętą wodą rzemienie, które przytrzymały jej na plecach nosidła i strząsnęła je z siebie, potem wyciągnęła skórę żubra i mocne kije pozbawione gałązek. Ustawiła niski, pochyły namiot, obłożyła go kamieniami i przycisnęła kłodą wyrzuconego przez wodę drewna. Umieszczone z przodu pałaki tworzyły wejście.

Kobieta rozluźniła zębami rzemyki osłon na dłonie. Były to niemal okrągłe kawałki podbitej futrem skóry, zebrane w nadgarstku, z rozcięciem na dłoniach, przez które mogła wysunąć kciuk lub rękę, gdy chciała coś uchwycić. Okrycia na stopy były zrobione w ten sam sposób, lecz bez rozcięcia. Z trudem usiłowała rozwiązać nabrzmiałe paski skóry okręcone dookoła kostek. Po zdjęciu okryć ze stóp była na tyle ostrożna, aby zachować mokrą ciborę.

Rozciągnęła wewnątrz namiotu swe okrycie z niedźwiedziej skóry, mokrą stroną do dołu, rozłożyła trawiastą ciborę, a na wierzchu położyła okrycia ze stóp i rąk, potem wsunęła się pod skórę. Okręciła się futrem i wciągnęła nosidła, aby zablokować

otwór. Rozcierała swe zimne stopy, a gdy w wilgotnym futrze zrobiło się przytulnie ciepło, zwinęła się i zamknęła oczy.

Zima wydawała swe ostatnie mroźne tchnienie, niechętnie ustępując z drogi wiosnie, ale ta młoda pora roku była kapryśna. Wśród zimnych pozostałości lodowcowego chłodu zwodne przebłyski ciepła obiecywały letnie upały. W nocy burza nagle ucichła.

Ayla obudziła się w oślepiających blaskach słońca odbijanych od łąt śniegu i lodu leżących wzdłuż brzegów, pod błękitnym niebem. Poszarpane strzępy chmur płynęły daleko na południu. Wyczołgała się z namiotu i pobiegła bosą nad brzeg wody z workiem na picie. Ignorując lodowaty chłód, napełniła pokryty skórą pęcherz, pociągnęła solidny łyk i pognęła z powrotem. Na brzegu wypróżniła się i wczołgała do swego futra, aby ponownie się ogrzać.

Nie została długo. Teraz, gdy burza przeszła, a słońce wróciło, pilno jej było znaleźć się na zewnątrz. Owinęła nogi okryciami, które wysuszyła ciepłem swojego ciała, i zawiązała niedźwiedzią skórę na podbitym futrem, skórzanym okryciu, w którym spała. Wyjęła z kosza kawałek suszonego mięsa, spakowała namiot, okrycia na dłonie i ruszyła w drogę, żując mięso.

Strumień płynął lekkim skosem w dół, więc wędrowka była łatwa. Ayla pomrukiwała sobie monotonicznie bezbarwnym głosem. W zaroślach w pobliżu brzegu spostrzegła plamy zieleni. Widok małego kwiatka, dzielnie wystawiającego swą miniaturową twarzyczkę z łąty topniejącego śniegu sprawił, że się uśmiechnęła. Krok za nią oderwał się kawałek lodu i popłynął uniesiony rwącym prądem.

Wiosna się zaczęła, gdy opuściła jaskinię, ale na południowym końcu półwyspu było cieplej i pory roku następowały wcześniej.



Pasma gór stanowiło barierę dla ostrych lodowcowych wiatrów, a morskie bryzy znad wewnętrznego morza, które ogrzewały i nawadniały wąski pas wybrzeża i południowe stoki, zapewniały klimat umiarkowany.

Stepy były chłodniejsze. Ayla obchodziła wschodni kraniec górskiego pasma, lecz w miarę jak się posuwała na północ przez otwarty step, pora roku zdawała się wędrować wraz z nią. Wydawało się, że nigdy nie będzie cieplej, że wiecznie będzie wczesna wiosna.

Jej uwagę przyciągnęły zachrypnięte piski rybitwy. Spojrzała w górę i dostrzegła kilka małych podobnych do mew ptaków krążących i szybujących bez wysiłku z rozłożonymi skrzydłami. Morze musi być blisko, pomyślała. Ptaki powinny teraz gniazdować; a to oznaczało jajka. Przyspieszyła kroku. I może będą omułki na skałach, mięczaki, czaszołki i odpływowe kałuże pełne ukwiałów.

Słońce stało w zenicie, gdy dotarła na osłoniętą plażę uformowaną przez południowe wybrzeże kontynentu i północno-zachodni bok półwyspu. Znalazła się w końcu w miejscu, gdzie szerokie gardło łączyło język lądu z kontynentem.

Ayla zrzuciła nosidła i wspięła się na stromą skałę, która wznosiła się wysoko nad otaczającym ją terenem. Od strony morza uderzenia wody poznały ją ostrymi występami. Stadko gołębic i rybitw besztalo Aylę pełnymi złości piskami, gdy zbierała jajka. Rozbiła kilka i wypila, nadal jeszcze nagrzane ciepłem gniazda. I nim zeszła na dół, schowała kilka innych w fałdach swego odzienia.

Zdjęła z nóg okrycia i brodziła w przybrzeżnych falach, obmywając z piasku omułki, które poodrywała ze skały na poziomie wody. Podobne kwiatom morskie ukwiały stuliły

czułki, gdy sięgnęła, aby wyciągnąć je z płytkiego stawu pozostawionego przez odpływ. Jednakże te stworzenia miały kolor i kształt, których nie знаła. Toteż zadowolila się kilkoma mięczakami, wyciągniętymi z piasku, w miejscach lekkich zagłębien, które zdradzały ich kryjówki. Nie rozpała ognia, rozkoszując się jedzonymi na surowo darami morza.

Potem, objedzona jajkami i owocami morskimi, odpoczywała u podnóża wysokiej skały. Po jakimś czasie wdrapała się na nią ponownie, aby mieć lepszy widok na wybrzeże i ląd. Usiadła na szczycie monolitu, objęła kolana i spojrzęła na drugą stronę zatoki. Wiatr owiewający jej twarz niósł z sobą zapach bogatego w życie morza.

Południowe wybrzeże kontynentu zakręcało łagodnym łukiem na zachód. Za wąskim pasmem drzew mogła dostrzec rozległą krainę stepów, różniącą się od zimnej krainy łąk na półwyspie jedynie brakiem najmniejszych śladów ludzkiej egzystencji.

To tam, pomyślała, tam jest kontynent ciągnący się za półwyspem. – Dokąd mam teraz iść, Izo? Mówiłaś, że Inni tam są, ale ja nikogo nie widzę. – Patrząc na rozległą pustą krainę, Ayla powędrowała myślami z powrotem ku straszliwej nocy trzy lata temu, nocy śmierci Izy.

– Ty nie jesteś członkiem klanu, Ayla. Urodziłaś się wśród Innych; należysz do nich. Musisz odejść, dziecko, odszukać swój własny lud.

– Odejść! Dokąd miałabym pójść, Izo? Nie znam Innych, nie wiedziałabym, gdzie ich szukać.

– Na północy, Ayla. Idź na północ. Na północ stąd, na kontynencie za półwyspem, jest ich wielu. Nie możesz tu zostać. Broud znajdzie sposób, aby cię skrzywdzić. Idź i odszukaj ich, moje dziecko. Znajdź swój własny lud, znajdź sobie towarzysza.

Wtenczas nie odeszła, nie mogła. Teraz nie miała wyboru. Musi znaleźć Innych, nikogo oprócz nich nie było. Nigdy nie może wrócić; nigdy nie zobaczy już swego syna.

Po twarzy Ayli popłynęły łzy. Wówczas nie płakała. Gdy odchodziła, jej życie było zagrożone i nie mogła sobie pozwolić na luksus żalu. Ale teraz, gdy już raz bariera runęła, nic nie mogło powstrzymać jej od płaczu.

– Durc... moje dziecko – szlochała, kryjąc twarz w dłoniach. – Dlaczego Broud mi cię zabrał?

Oplakiwała swego syna, klan, który zostawiła za sobą; oplakiwała Izę, jedyną matkę, jaką pamiętała; oplakiwała swą samotność i strach przed czekającym na nią nie znanym światem. Ale nie Creba, który kochał ją jak własną córkę; jeszcze nie teraz. Ten smutek był zbyt świeży; nie była gotowa stawić mu czoło.

Gdy Ayła już się wyplakała, to stwierdziła, że wpatruje się w przybrzeżne fale rozbijające się daleko w dole. Obserwowała tryskające w górę strumienie piany, które po spłynięciu w dół wirowały wokół ostrych kamieni.

To nie będzie zbyt łatwe, pomyślała.

– Nie! – Potrząsnęła głową i wyprostowała się. – Powiedziałam mu, że może zabrać mego syna, może mnie zmusić do odejścia, może obłożyć mnie klątwą śmierci, ale nie może sprawić, bym umarła!

Poczuła smak soli i krzywy uśmiech przebiegł jej po twarzy. Jej łzy zawsze wzburzały Izę i Creba. Z oczu ludzi klanu, a nawet z oczu Durca nie płynęły łzy, oni płakali jedynie wtedy, gdy się ich poważnie zraniło. Durc wiele po niej odziedziczył, potrafił także wydawać dźwięki w ten sam sposób, co ona, ale jego ogromne, brązowe oczy były oczami klanu.

Ayla zeszła szybko na dół. Mocując nosidła na plecach zastanawiała się, czy jej oczy rzeczywiście były słabe, czy też wszyscy Inni również mieli płaczące oczy. Potem następna myśl przebiegła jej przez głowę: Znajdź swój własny lud, znajdź swego towarzysza.

Młoda kobieta podróżowała na zachód wzdłuż wybrzeża, pokonując wiele strumieni i rzeczulek, które odnalazły drogę do wewnętrznego morza. W końcu dotarła do dość dużej rzeki. Tu skręciła na północ, podążając wzdłuż rwącego strumienia wody w kierunku lądu i rozglądając się za miejscem, w którym mogłaby przejść na drugą stronę. Szła brzegiem porośniętym sosnami i modrzewiami, drzewami, które podkreślały swą wyższość nad skarłowaciałymi kuzynami. W krainie kontynentalnych stepów do iglastej roślinności porastającej brzegi rzeki dołączyły wierzby, brzozy i osiki.

Nie ominęła żadnego zakrętu ani zakola płynącej meandrami wody i z każdym dniem robiła się coraz bardziej niespokojna. Rzeka wiodła ją z powrotem na wschód, a generalnie rzecz biorąc w kierunku północno-wschodnim. A ona nie chciała iść na wschód. Niektóre klany polowały na wschodnich obszarach kontynentu. Planowała w swej wędrówce na północ skręcić na zachód. Nie chciała natknąć się na żadnego członka klanu – nie teraz, gdy była naznaczona klątwą śmierci! Musiała znaleźć sposób na przebycie rzeki.

Postanowiła zaryzykować przejście w miejscu, gdzie rzeka się poszerzyła i rozdzieliła na dwa kanały, które opływały małą żwirową wysepkę o brzegach porośniętych zaroślami uczepionymi kamieni. W wodzie po drugiej stronie wyspy leżało kilka dużych otoczków, co pozwalało przypuszczać, że jest tam dostatecznie płytko, aby przejść w bród. Dobrze pływała, ale nie

chciała zamoczyć sobie ubrania ani kosza. Ich wyschnięcie wymagałoby potem zbyt wiele czasu, a noce były nadal zimne.

Chodziła tam i z powrotem po brzegu, przyglądając się rwącej wodzie. Gdy wybrała naj płytsze miejsce, rozebrała się, ułożyła wszystko w koszu i trzymając go wysoko nad głową, weszła do rzeki. Kamienie na dnie były śliskie, a prąd nie pomagał w zachowaniu równowagi. Na środku pierwszego kanału woda sięgała jej do pasa, ale szczęśliwie dostała się na wyspę. Drugie koryto było szersze. Nie wiedziała, czy można je przejść w bród, ale miała już za sobą prawie pół drogi i nie zamierzała się poddać.

Jednakże dalej rzeka robiła się coraz głębsza, aż w końcu kobieta szła na czubkach palców, trzymając kosz wysoko nad głową, a woda sięgała jej do szyi. Nagle dno opadło. Ayla odruchowo pochyliła głowę i zachłysnęła się wodą. W następnej chwili trzymała się już jednak prosto, opierając kosz na głowie. Przytrzymała go jedną ręką, usiłując posuwać się w kierunku przeciwnego brzegu za pomocą drugiej. Prąd porwał ją i uniósł, ale tylko kawałek. Pod stopami wyczuła kamienie i kilka chwil później wyszła na ląd.

Ayla znowu wędrowała stepami, zostawiając rzekę za sobą. Dni słoneczne zaczęły przeważać nad deszczowymi, wreszcie nastąpiła ciepła pora roku, co pozwoliło kobiecie szybciej wędrować na północ. Pąki na drzewach i krzewach rozwinęły się w liście, a na końcach gałęzi roślinności iglastej wyrosły pędzelki miękkich, jasnozielonych igiełek. Zrywała je, aby żuć po drodze, rozkoszując się ich lekko ostrym sosnowym smakiem.

Zwyczajem się stało, iż wędrowała cały dzień prawie aż do zmroku, kiedy to odszukiwała jakieś źródło lub strumień, i rozbiła obóz. Wodę wciąż łatwo znajdowała. Wiosenne deszcze

i topniejące na dalekiej północy pozostałości zimy napełniły strumienie po brzegi i zalały niecki oraz koryta wyrzeźbione przez wodę, po których potem zostaną jedynie wyschnięte parowy lub w najlepszym razie błotniste kanały. Dostatek wody był okresem przejściowym. Wilgoć szybko wchłonie ziemia, ale przedtem pozwoli zakwitnąć stepom.

Niemal w ciągu jednej nocy teren pokryły białe, żółte i purpurowe – rzadziej błękitne czy jaskrawoczerwone – kwiaty ziół. Z daleka mieszały się z dominującą zielenią młodych traw. Ayla była zachwycona pięknem tej pory roku; wiosna zawsze była jej ulubioną porą.

Z czasem, gdy otwarte równiny rozkwitły nowym życiem, coraz mniej korzystała ze swych skromnych zapasów żywności, jakie z sobą niosła, i zaczęła się żywić tym, co znajdowała wokół. Prawie wcale nie zwalniało to jej tempa marszu. Każda kobieta klanu uczy się zrywać liście, kwiaty, pączki i jagody w czasie wędrówki nieomal wcale nie przystając przy tym zajęciu. Ayla oczyściła z liści i gałązek kawał mocnego konaru, zaostrzyła jego koniec krzemiennym nożem i wykorzystywała go do szybkiego wydobywania korzeni i bulw. Zbieranie było łatwe. Musiała wyżywić jedynie siebie.

Ale Ayla posiadała umiejętność, której normalnie nie miały inne kobiety klanu. Mianowicie potrafiła polować. Co prawda jedynie z procy, ale nawet mężczyźni przyznali – gdy w końcu przystali na to, by polowała – że była najzręczniejszym łowcą z procą w całym klanie. Sama się tego nauczyła i drogo okupiła tę umiejętność.

Gdy puszczające pędy zioła i trawy skusiły ryjące w ziemi popielice, chomiki olbrzymie, wielkie skoczki i zajęce do opuszczenia zimowych norek, Ayla zaczęła ponownie nosić swą

procę, wsuniętą za ramię, którym obwiązywała swe futrzane okrycie. Kij do wygrzebywania również trzymała zatknięty za ramię, ale woreczek z lekami miała, jak zawsze, umocowany do rzemienia opasującego jej wewnętrzne okrycie.

Pożywienia było pod dostatkiem; trochę trudniej było zdobyć drewno i ogień. Umiała co prawda rozniecić ogień, a i materiałów do tego nie brakowało, jako że krzakom i drobnym drzewkom, którym się udało przetrwać nad brzegami sezonowych strumieni, często towarzyszyła wikłanina powalonej i suchej roślinności. Zbierała również napotkane po drodze suche gałęzie i nawóz. Ale nie każdej nocy rozpałała ognisko. Czasami jednak nie miała pod ręką wystarczająco dużo odpowiednich gałązek lub też były one zielone albo mokre; a czasami była zbyt zmęczona, aby zawracać sobie głowę rozniecaniem ognia.

Jednakże nie przepadała za spaniem na otwartym terenie bez opieki jaką dawał jej ogień. Rozległa kraina traw obfitowała w duże zwierzęta trawożerne, których szeregi przerzedzali różnorodni czworonożni myśliwi. Ogień zwykle odstraszał zwierzęta. Do powszechnych praktyk klanu należało, aby podczas podróży wysoki rangą mężczyzna nosił żar do rozpalenia następnego ogniska. Ayli początkowo nie przyszło do głowy, aby nosić z sobą żar. Gdy już na to wpadła, zastanawiała się, dlaczego nie uczyniła tego wcześniej.

Świderek i płaski kawałek drewna na niewiele się zdawały, gdy huba lub drewno było zbyt zielone czy też wilgotne. Dopiero wtedy, gdy natknęła się na szkielet tura, to pomyślała, że znalazła sposób na swoje kłopoty.

Księżyc po raz kolejny przeszedł cały cykl przemian i mokra wiosna się ociepliła, ustępując miejsca wczesnemu latu. Kobieta nadal wędrowała szeroką nadbrzeżną równiną, która opadała

łagodnie ku wewnętrznemu morzu. Szczeliny wyrzeźbione w zboczach przez sezonowe rzeki często tworzyły u ujścia wielkie rozlewiska, które częściowo zamknięte przez ławice piasku lub całkowicie odcięte – formowały laguny i stawy.

Ayla wczesnym przedpołudniem zatrzymała się nad małym stawem, gdzie rozbiła obóz. Woda co prawda wyglądała na zstałą i nie nadającą się do picia, ale worek Ayli był już prawie próżny. Zanurzyła więc dłoń, by zaczerpnąć nieco wody, skosztowała, po czym wypluła słonawy płyn i pociągnęła mały łyk ze swego worka, aby wypłukać usta.

– Ciekawa jestem, czy ten tur napił się tej wody – pomyślała, zauważając zbielałe kości i czaszkę z długimi zwężającymi się rogami. Odeszła od stawu zstałej wody i jego widma śmierci, ale nie przestawała myśleć o leżących tam kościach. Nadal miała przed oczyma białą czaszkę i długie rogi, lekko zakręcone, puste w środku.

Okolo południa zatrzymała się nad strumieniem i postanowiła rozniecić ogień, aby upiec zabitego przez siebie zająca. Siedząc w ciepłych promieniach słońca i obracając w dłoniach świderkę oparty na płaskim kawałku drewna, pragnęła, aby się pojawił Grod z żarem niesionym w...

Poderwała się na nogi, wrzuciła świderkę i podkładkę do rozniecania ognia do kosza, położyła na wierzch królika i pospieszyła z powrotem. Po dotarciu do stawu zaczęła rozglądać się za czaszką. Grod zwykle nosił żar zawinięty w suchym mchu lub porostach i schowany w długim, pustym w środku, rogu tura. Ona również mogłaby w nim przenosić ogień.

Poczuła jednak wyrzuty sumienia, gdy zaczęła z wysiłkiem wyciągać róg. Kobiety klanu nie przenosiły ognia; to było niedozwolone. Ale kto poniesie go za mnie, jeżeli ja sama tego nie



uczynię, pomyślała, szarpiąc mocno i odrywając w końcu róg. Pospiesznie opuściła to miejsce, jakby już samo myślenie o tym zakazanym czynie mogło wyczarować czujne, pełne potępienia spojrzenia.

Był czas, gdy przeżycie zależało od przystosowania się do sposobu życia obcego jej naturze. Teraz zależało od umiejętności przełamania uwarunkowań dzieciństwa i rozpoczęcia samodzielnego myślenia. Róg tura był początkiem i dobrze jej wróżył na przyszłość.

Jednakże z przenoszeniem ognia wiązało się więcej problemów, niż myślała. Rankiem udała się na poszukiwanie suchego mchu, aby zawinąć w niego żar. Ale mech rosnący w takiej obfitości w drzewiastym otoczeniu jaskini, nie występował na suchych równinach. W końcu zadowoliła się trawą. Gdy jednak zamierzała ponownie rozniecić ogień, to z trwogą stwierdziła, że drewnienka zgasły. Wiedziała już, że niełatwo jest przenosić żar, i często dokładała do ognia, aby przetrwał noc. Wiedziała dostatecznie dużo. Trzeba było jednak wielu prób i błędów, wiele wygasłego żaru, nim odkryła sposób na przechowywanie odrobiny ognia z jednego ogniska do czasu rozpalenia następnego. Róg tura również nosiła uczepony do rzemienia w pasie.

Ayla zawsze radziła sobie z pokonywaniem w bród strumieni przecinających jej drogę, lecz gdy dotarła do dużej rzeki, stwierdziła, że będzie musiała znaleźć inny sposób. Przez kilka dni szła jej brzegiem. Rzeka zbaczała jednak z powrotem na północny wschód i nie robiła się wcale węższa.

Choć Ayla wiedziała, że znajduje się poza terenami łowieckimi klanu, nie chciała iść na wschód. Wędrówka na wschód oznaczała powrót w stronę klanu. Ona nie mogła wracać i nie

chciała nawet iść w tamtym kierunku. Jednakże tutaj, na otwartym terenie nad rzeką, również nie mogła pozostać. Musiała przedostać się na drugą stronę; nie istniał inny wybór.

Miała nadzieję, że sobie poradzi – zawsze była dobrym pływakiem – martwił ją jedynie koszt z całym dobytkiem na głowie. Dobytek stanowił problem.

Siedziała przy małym ognisku pod osłoną zwalonych drzew, których nagie gałęzie znaczyły smugami wodę. Popołudniowe słońce odbijało się w wartkim prądzie. Co jakiś czas przepływały obok niesione wodą kawałki drewna. Przypomniał jej się strumień płynący w pobliżu jaskini i połów łososi oraz jesiotrów u jego ujścia do wewnętrznego morza. Z wielką ochotą wtedy pływała, choć niepokoiło to Izę. Alya nie pamięta, aby się uczyła pływać; zdawało się, że zawsze to potrafiła.

– Dlaczego nikt inny nigdy nie chciał pływać? – dumiała. Uważano mnie za dziwną, ponieważ lubiłam daleko się wypuszczać... do czasu, gdy Ona niemal się nie utopiła.

Pamiętała, jak wszyscy byli jej wdzięczni za uratowanie dziecka życia. Brun nawet pomógł jej wyjść z wody. Czowała wówczas ciepłą akceptację, tak jakby naprawdę do nich należała. Długie i proste nogi, zbyt szczupłe i zbyt wysokie ciało, jasne włosy i niebieskie oczy oraz wysokie czoło nie miały znaczenia. Niektórzy członkowie klanu próbowali się nawet potem nauczyć pływać, ale nie radzili sobie dobrze i czuli lęk przed głęboką wodą.

Ciekawa jestem, czy Durc by się nauczył? Nigdy nie był tak ciężki, jak dzieci innych i nigdy nie będzie tak muskularny, jak większość mężczyzn. Myślę, że mógłby...

Kto go nauczy? Mnie tam nie będzie, a Uba nie potrafi. Ona się nim zaopiekuje; kocha go równie mocno jak ja, ale nie potraci

pływać. Brun też nie umie. Brun jednak nauczy go polować i będzie go bronił. Obiecał, że nie pozwoli, by Broud skrzywdził mego syna – pomimo tego, że nie wolno mu było mnie widywać. Brun był dobrym przywódcą, nie to co Broud...

Czy to możliwe, aby to za sprawą Brouda począł się we mnie Durc? Ayla wzdrygnęła się na wspomnienie tego, jak Broud ją niewolił. Iza mówiła, że mężczyźni czynią tak z kobietami, które lubią, ale Broud uczynił to jedynie dlatego, że wiedział, jak bardzo tego nie cierpiałam. Wszyscy mówili, że to duchy totemów dawały początek dziecku. Ale żaden z mężczyzn nie miał dostatecznie silnego totemu, aby pokonać mojego Lwa Jaskiniowego. Nie zachodziłam w ciążę, dopóki Broud nie zaczął mnie niewolić, i wszyscy byli tym zaskoczeni. Nikt nie myślał, że kiedykolwiek będę miała dziecko...

Chciałabym go zobaczyć, gdy urośnie. Już jest wysoki jak na swój wiek, tak jak i ja. Będzie najwyższym mężczyzną w klanie, jestem tego pewna...

Nie, nie jestem! Nigdy nie będę tego wiedziała. Nigdy nie zobaczę już Durca.

Przestań o nim myśleć, poleciała samej sobie, ocierając łzy. Wstała i podeszła nad brzeg rzeki. Nic dobrego nie przyniesie mi myślenie o nim. Nie przeniesie mnie to na drugi brzeg!

Była tak zajęta swymi myślami, że nie zauważyła rozwidlonej kłody dryfującej w pobliżu brzegu. Z obojętnością przyglądała się, jak wyciągnięte konary zwalonych drzew usidliły ją w swych splątanych gałęziach i patrzyła, nie widząc, na kłodę, która przez długą chwilę obijała się i czyniła gwałtowne wysiłki, aby się uwolnić. Jednakże, gdy tylko Ayla ją w końcu spostrzegła, natychmiast uświadomiła sobie możliwości, jakie jej dawała.

Ayla weszła na płyciznę i wyciągnęła kłodę na piaszczysty

brzeg. Była to górna część pnia okazałych rozmiarów drzewa, świeżo powalonego przez gwałtowną powódź w górze rzeki i nie nasiąkniętego jeszcze mocno wodą. Krzemienną siekierką, którą nosiła w fałdach swego futrzanego okrycia, przycięła dłuższy z rozwidlonych konarów, wyrównując ich długość. Odrąbała również przeszkadzające gałęzie, zostawiając jedynie dwa długie konary.

Rozejrzała się szybko i podeszła do kępy brzoź oplecionych powojnikami. Ciągnąc z wysiłkiem, oderwała długi kawałek łydy pnącza. Wracając na poprzednie miejsce, oczyszczając ją po drodze z liści: Następnie rozłożyła na ziemi skórę służącą za namiot i wysypała na nią zawartość kosza. Nadszedł czas, by przejrzeć zapasy i przepakować rzeczy.

Na dno kosza włożyła futrzane okrycia nóg i rąk, a także podbite futrem okrycie wierzchnie, ponieważ teraz nosiła letnie okrycie; nie będzie ich potrzebowała aż do następnej zimy. Zawahała się na chwilę, zastanawiając się, gdzie będzie następnej zimy, ale nie przejęła się tym na tyle, aby zbyt długo nad tym rozmyślać. Ponownie przerwała pracę, gdy podniosła miękką skórę, w której nosiła na biodrze Durca.

Nie potrzebowała tego kawałka skóry; nie był niezbędny dla jej przeżycia. Zabrała go jedynie dlatego, że przypominał jej o synu. Przytuliła skórę do policzka, następnie troskliwie złożyła i schowała do kosza. Na nim położyła miękkie pasma dobrze chłonej skóry, których używała podczas okresu. Potem do środka powędrowała dodatkowa para okryć na nogi. Co prawda chodziła teraz boso, ale nadal gdy było mokro lub zimno, przywdziewała okrycia, a te, niestety, zużywały się. Cieszyła się, że zabrała zapasową parę.

Następnie sprawdziła swoje zapasy jedzenia. Został jeszcze

jeden pakunek z brzozonej kory z klonowym cukrem. Ayla otworzyła go, oderwała kawałek, i włożyła do ust, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek skosztuje klonowego cukru, gdy ten jej się skończy.

Miała jeszcze kilka placków podróznego jedzenia, z rodzaju tych, jakie mężczyźni zabierają z sobą na polowanie. Były zrobione z topionego tłuszczu, z kruszonego suszonego mięsa i suszonych owoców. Na myśl o pożywnym tłuszczu pociekła jej ślinka. Drobne zwierzątka, które zabijała za pomocą procy, były przeważnie chude. Gdyby nie to, że zbierała pożywienie roślinne, to na diecie z czystego białka powoli umarłaby z zimna. Tłuszcz oraz węglowodany w pewnych postaciach były niezbędne.

Włożyła placki podrózne do kosza, nie zaspokajając swego apetytu, żeby zaoszczędzić je na sytuacje kryzysowe. Dodała kilka pasków suszonego mięsa – twardych niczym skóra, ale pożywnych – kilka suszonych jabłek, trochę orzechów, kilka woreczków ziarna zebranego z traw porastających stepy w pobliżu jaskini i wyrzuciła zgniły korzeń. Najedzeniu ułożyła czarukę i miskę, kaptur z rosomaka i znoszone okrycia na nogi.

Odczepiła woreczek z lekami od rzemienia w pasie i potarła dłonią gładkie wodoszczelne futerko wydry, wyczuwając pod palcami twarde kosteczki łapek i ogona. Rzemyk zawiązany wokół rozcięcia na szyi zamykał woreczek, a dziwnie spłaszczona głowa, która nadal była połączona pasmem skóry z grzbietem, służyła za górne zamknięcie. To Iza zrobiła go dla niej, gdy została szamanką klanu, przekazując jej tym samym całą spuściznę po sobie, niczym matka córce.

Wtem, po raz pierwszy od wielu lat, Ayla pomyślała o pierwszym woreczku na leki, jaki Iza zrobiła dla niej, o tym, który Creb spalił, gdy pierwszy raz została obłożona klątwą. Brun

musiał to zrobić. Kobietom nie wolno było dotykać broni, a Ayla od kilku lat posługiwała się procą. On jednakże zostawił jej szansę na powrót gdyby udało się jej przeżyć.

Być może, dał mi większą szansę, niż sądził, pomyślała. Zastanawiam się, czy jeszcze bym teraz żyła, gdybym nie przekonała się wtedy o tym, jak klątwa śmierci odbiera ochotę do życia. Jeżeli nie liczyć tego, że musiałam zostawić Durca, to myślę, że za pierwszym razem było trudniej. Gdy Creb spalił wszystkie moje rzeczy, chciałam umrzeć.

Nie mogła myśleć o Crebie; żal był zbyt świeży, ból zbyt piekący. Kochała starego szamana równie mocno, jak kochała Izę. Był bratem Izy i Bruna. Creb nigdy nie polował, brakowało mu jednego oka i części ramienia, ale był najwspanialszym, wielkim mężem wszystkich klanów. Mog-ur, budzący strach i respekt – jego pobrużdżone, jednookie oblicze wzbudzało strach w najdzielniejszym myśliwym, ale Ayla знаła go od innej, łagodniejszej strony.

Bronił jej, troszczył się o nią i kochał jak dziecko swej towarzyski, której nigdy nie miał. Do śmierci Izy, trzy lata temu, miała czas przywyknąć, a choć rozłąka z Durcem napawała ją głębokim żalem, to jednak miała świadomość tego, że on nadal żyje. Po Crebie jeszcze nie rozpaczała. Nagle ból, który dusiła w sobie od czasu, gdy trzęsienie ziemi zabiło Creba, odezwał się ze zdwojoną siłą. Wyrzuciła go z siebie. Wykrzyczała jego imię.

– Creb... Och, Creb... Dlaczego musiałeś wrócić do jaskini? Dlaczego musiałeś umrzeć?

Szlochała gwałtownie wtulona twarzą w woreczek ze skóry wydry. Potem zawodziła wysokim głosem. Kołysała się w przód i w tył, oplakując swoją udrękę, swój smutek, swoją rozpacz. Ale nie było w pobliżu kochających członków klanu, którzy

rozumieliby jej nieszczęście. Rozpaczała samotnie i rozpaczała z powodu samotności.

Przestała płakać, zdawało jej się, że wypłakała wszystkie łzy, ale okropny ból ustąpił. Po chwili poszła nad rzekę i obmyła twarz, a potem włożyła woreczek z lekami do kosza. Nie musiała sprawdzać jego zawartości. Wiedziała dokładnie, co zawiera.

Złapała kij do wygrzebywania, po czym odrzuciła go na bok, gdy rosnący gniew począł wypierać żal, zwiększając jej determinację. Broud nie sprawi, abym umarła!

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do dalszego pakowania swego kosza. Włożyła do niego materiały do rozniecania ognia i róg tura, następnie wyciągnęła z fałdy okrycia kilka krzemiennych narzędzi. Z innej fałdy wyciągnęła okrągły kamień, podrzuciła go w górę i ponownie złapała. Każdy kamień odpowiedniej wielkości można było wyrzucać procą, ale gładki i okrągły pocisk zapewniał większą celność. Zatrzymała te kilka, które miała.

Następnie sięgnęła po procę, pasek jeleniej skóry, rozszerzony pośrodku, aby trzymać kamienie, z długimi poskręcanyimi od używania końcami. Bez wątplenia należało ją zatrzymać. Odwiązała długi pasek skóry, którym miała przewiązane okrycie z miękkiej skóry kozicy tak, że tworzyły się fałdy, w których nosiła różne rzeczy. Zdjęła okrycie. Stała naga, nie licząc amuletu – małego skórzanego woreczka zwisającego na rzemyku z szyi. Zdjęła go i zadrżała, czując się bardziej naga bez swojego amuletu niż bez okrycia, ale małe, twarde przedmioty we wnętrzu woreczka działały na nią uspokajająco.

Oto było wszystko, cały jej dobytek, wszystko, czego potrzebowała do przeżycia – to oraz wiedza, zręczność, doświadczenie, inteligencja, determinacja i odwaga.

Szybko zawinęła amulet, narzędzia i procę w swoje okrycie i włożyła je do kosza. Następnie okręciła go skórą niedźwiedzia i obwiązała długim rzemieniem. Owinęła pakunek skórą żubra i uwiązała pnączem za rozwidleniem kłody.

Przez chwilę przypatrywała się dzikiej rzece i drugiemu brzegowi, myśląc o swoim totemie, następnie zagrzebała piaskiem ogień i zepchnęła drąg z całym swoim cennym dobytkiem nad rzekę, poniżej drzewa i jego pułapki z gałęzi. Ayla usadowiła się na rozwidlonym końcu, chwytając za sterczące resztki konarów i pchnęła swą tratwę dalej na wodę.

Ciało ogarnęła ciągle jeszcze chłodna woda z topniejącego lodowca. Ayla dyszała, z trudnością łapiąc oddech, ale odrętwienie ustąpiło, gdy przywyka do zimnego żywiołu. Wartki prąd porwał kłodę próbując, zgodnie ze wcześniejszym zamiarem, unieść ją do morza i cisnąć w jego wzburzone fale, ale rozwidlone konary zapobiegały kręceniu się. Mocno kopiąc, starała się utorować sobie drogę przez rozkołysaną wodę i kierować się pod kątem w stronę przeciwnego brzegu.

Zbliżała się jednak do niego niepokojąco wolno. Za każdym razem, gdy patrzyła w jego kierunku, drugi brzeg był dalej, niż się spodziewała. Poruszała się o wiele szybciej w dół rzeki niż na drugą stronę. Prąd porwał ją i kłoda minęła miejsce, w którym Ayla miała nadzieję wylądować. Była zmęczona, a zimno obniżało temperaturę jej ciała. Dniała. Mięśnie ją bolały. Czowała się tak, jakby całą wieczność kopała z kamieniami uwiązanyymi u stóp, ale zmuszała się, by nie przerywać.

W końcu, wyczerpana, poddała się nieubłaganej sile fal. Rzeka, wykorzystując swą przewagę; pchnęła prowizoryczną tratwę z powrotem z biegiem wody. Ayla trzymała się kurczowo kłody, która teraz przejęła nad nią kontrolę.



Jednakże dalej rzeka zmieniała swój południowy kierunek, skręcając ostro na zachód i opływając sterczący, skalisty, długi i wąski kawałek lądu. Ayla, zanim się poddała, pokonała już trzy czwarte rwącego strumienia wody i gdy ujrzała skaliste wybrzeże, ze zdecydowaniem ponownie przejęła kontrolę nad tratwą.

Zmusiła nogi w wodzie do wierzgania, dokładając wszelkich starań, aby dotrzeć do brzegu, nim rzeka nie poniesie jej dalej. Z zamkniętymi oczyma, skoncentrowała się na ustawicznym poruszaniu nogami. Nagle poczuła wstrząs, kłoda otarła o dno i zatrzymała się.

Ayla nie mogła się poruszyć. Na wpół zanurzona w wodzie, leżała nadal uczepiona resztek konarów. Fala wzburzonej wody uwolniła kłodę z ostrych kamieni, wzbudzając tym samym w młodej kobiecie panikę. Ayla zmusiła się więc do tego, aby uklęknąć i popchnąć zniszczony pień do przodu, osadzając go na brzegu, a potem przewróciła się w wodę.

Ale nie mogła długo odpoczywać. Drżąc gwałtownie z zimna, zmusiła się do wyczołgania na skalny występ. Pogmerała przy supłach pnącza i wytargała na brzeg uwolniony pakunek. Rzemień jeszcze trudniej było rozplątać drżącymi palcami.

Opatrzność pomogła. Rzemień pękł w słabym miejscu. Zdarła długi pasek skóry, odsunęła na bok kosz, wczołgała się na niedźwiedzią skórę i otuliła nią. Zasnęła, nim przestała drzeć.

Po pełnym niebezpieczeństw przebyciu rzeki Ayla skierowała się na północ, odbijając lekko na zachód. Letnie dni robiły się coraz cieplejsze, w miarę jak przemierzała rozległe stepy w poszukiwaniu śladów ludzkiej egzystencji. Dzikie kwiaty, które rozjaśniały krótką wiosnę, przekwitły, a trawa sięgała prawie do pasa.

Do swojego pożywienia włączyła koniczynę i lucernę oraz z radością powitała sycące, słodkawe orzeszki ziemne, wyszukiwała korzenie, tropiąc rosnące na powierzchni pnącza. Oprócz jadalnych korzeni również strąki mleczej wyki były wzdęte od rządków owalnych zielonych ziaren, a Ayla bez trudu odróżniała je od trujących kuzynów. Choć minęła pora na pączki żółtawego liliowca, to jego korzenie nadal były miękkie. Kilka wcześniej dojrzewających odmian niskopiennych porzeczek zaczęło zmieniać swój kolor i zawsze można było uszczypnąć na zielony posiłek kilka nowych listków lebiody, gorzycy czy pokrzywy.

Jej praca również nie narzekała na brak celu. Równiny roiły się od stepowych zajęcy, świstaków, dużych skoczków, których futerka zmieniły teraz kolor z białych zimowych na szarobrązowe. Czasami można się też było natknąć na wszystkożerne, polujące na myszy, olbrzymie chomiki. Nisko latające głuszce i pardwy były szczególnie łakomym kąskiem, choć jedząc pardwę, Ayla zawsze wspomina, jakim to przysmakiem dla Creba były te tłuste ptaki i ich pożywny tłuszcz.

Ale to były jedynie mniejsze ze zwierząt uczujących na szczodrych letnich równinach. Ayla widziała stada zwierzyny płowej reniferów, czerwonych jeleni i ogromnych jeleni ze wspaniałym porożem; stada krępych koników stepowych i podobnych do nich dzikich osłów; czasem na jej drodze pojawiały się potężne żubry lub rodzina antylop; stada rudobrązowych turów, z bykami na sześć stóp w kłębie i wiosennym przychówkiem ssącym obfite wymiona krów. Ayli leciała ślinka na myśl o smaku mięsa z wykarmionych mlekiem cieląt, ale jej proca nie była odpowiednią bronią do polowania na tury. Mignęły jej nawet przed oczyma migrujące włochate

mamuty, dojrzała stado wołów piżmowych z ciągnącymi na końcu młodymi, które musiały stawić czoło sforcie wilków, i ostrożnie ominęła rodzinę nieprzyjaźnie usposobionych włośchatych nosorożców. Były totemem Brouda, przypomniała sobie, i doskonale do niego pasowały.

W miarę posuwania się na północ kobieta zaczynała zauważać zmianę w wyglądzie okolicy. Robiła się ona suchsza i bardziej posępna. Ayla bowiem dotarła do północnej granicy wilgotnych, zaśnieżonych stepów kontynentalnych. Poza nimi, aż do pionowych ścian ogromnego północnego lodowca, rozciągały się suche, lessowe stepy, środowisko, które istniało jedynie wtedy, gdy lodowiec Pokrywał ląd, podczas Ery Lodowcowej.

Lodowce, masywne połacie lodu rozciągały się na kontynencie, okrywając lodowym płaszczem Półkulę Północną. Blisko jedna czwarta powierzchni ziemi była pogrzebana pod jego miazdzącym ciężarem. Woda uwięziona w jego okowach spowodowała obniżenie poziomu oceanów, przesuwał linię brzegową i zmieniając kształt lądu. Żaden fragment globu nie był wyłączony spod jego wpływu, deszcze powodowały powódzie obszarów równikowych i skurczenie się pustyń, ale w pobliżu granicy lodu te skutki były szczególnie widoczne.

Rozległe przestrzenie pokryte lodem chłodziły powietrze, powodując skraplanie wilgoci w atmosferze, a potem opady śniegu. Ale bliżej centrum wysokie ciśnienie ustalało się, tworząc skrajnie suche i zimne warunki, pchając burze śnieżne na skraj lodowca. Ogromne lodowce rozrastały się na swoich krańcach; lód rozciągał się niemal równomiernie we wszystkich kierunkach, warstwą więcej niż na milę grubą.

Ponieważ większość śniegu spadała na lód, odżywiając lodowiec, obszar na południe od niego był suchy i mroźny.

Różnica ciśnień powodowała przesuwanie się chłodnych mas powietrza w kierunku obszarów o niższym ciśnieniu, czyli znad centrum na brzegi lodowca; na stepach wiał bez przerwy północny wiatr. Zmieniała się tylko jego intensywność. Po drodze porywał ze sobą zmieloną na mąkę skałę przez przesuwający się skraj lodowca. Niesione powietrzem drobinki zostawały przesiewane do rozmiarów niewiele większych od cząsteczek tworzących gliniasty less i były osadzane na setkach mil na grubość wielu stóp, stając się glebą.

Zimą, wyjące wichry omiatały posępną, skutą lodem krainę, pędząc śnieżne burze. Ale ziemia nadal kręciła się na swej pochylonej osi i nadal zmieniały się pory roku. Przeciętne roczne temperatury były jedynie kilka stopni niższe od temperatury powstawania lodowca; kilka gorących dni nie miało większego wpływu, jeżeli nie wpływały na zmianę średnich temperatur.

Wiosną ubogie śniegi, które pokrywały krainę, topniały i skorupa lodowca się ocieplała, a na stepy spływała woda. Woda z topniejącego śniegu i lodu na tyle zmiękczała glebę, że powyżej wiecznej zmarzliny mogły kiełkować trawy i zioła. Trawa rosła gwałtownie, czując w głębi swych nasionek, że jej żywot będzie krótki. W połowie lata cały porośnięty trawą kontynent był krainą suchej trawy, z porozrzucanymi bliżej oceanów połaciami północnych lasów i tundry.

W pobliżu granicy lodowca, gdzie pokrywa śniegu była cienka, trawa zapewniała przez okrągły rok pożywienie dla nieprzeliczonej liczby żywiących się trawą i nasionami zwierząt, które przystosowały się do lodowcowego zimna – i do drapieżników, które potrafią przystosować się do każdego klimatu, jaki odpowiada ich zdobyczy. Mamut potrafił paść się u stóp błyszczącej, błękitnobiałej ściany lodu wznoszącej się na

milę i więcej nad nimi.

Okresowe strumienie i rzeki zasilane przez lodowce wypłukiwały kanały w głębokich pokładach lessu, docierając często przez warstwę skał osadowych aż do krystalicznej płyty granitowej, na której spoczywał kontynent. Strome parowy i wąwozy rzeczne były powszechnym elementem krajobrazu, rzeki zapewniały wilgoć, a wąwozy osłonę od wiatrów. Nawet na suchych lessowych stepach istniały zielone doliny.

W miarę upływu czasu robiło się coraz cieplej. Ayla zaczynała być zmęczona wędrówką, zmęczona monotonią stepów, zmęczona bezlitosnym słońcem i ustawicznym wiatrem. Jej skóra zrobiła się szorstka, popękała i zaczęła się łuszczyć. Wargi spierzchły, oczy bolały, a gardło zawsze było pełne piasku. Przecinała doliny okresowych rzek, bardziej zielone i zalesione niż stepy, ale żadna z nich nie skusiła jej do pozostania i w żadnej z nich nie mieszkali ludzie.

Choć niebo było zwykle bezchmurne, to jej bezowocne poszukiwania napawały ją obawą i strachem. Zima zawsze rządziła tą krainą. W najcieplejszy letni dzień trudno się było pozbyć wspomnień surowego zimna lodowca. Aby przetrwać długą – przenikliwie zimną – porę roku, należało zgromadzić pożywienie i znaleźć schronienie. A ona wędrowała od wczesnej wiosny i zaczynała się zastanawiać, czy jest skazana na wieczną włóczęgę po stepach, czy też umrze.

U schyłku kolejnego, podobnego do poprzednich, dnia rozbiła obóz. Ubiła zwierzynę, ale żar wygasł, a drzewa spotykało się coraz rzadziej. Zjadła więc kilka kęsów surowego mięsa, nie kłopotząc się rozniecaniem ognia, lecz nie miała apetytu. Odrzuciła świstaka na bok, zwierzyna również pojawiała się coraz rzadziej – lub też ona nie rozglądała się już za nią tak

uważnie. Zbieranie także nastęczało coraz więcej kłopotów. Grunt był zbity i pokryty grubą warstwą starej roślinności. I zawsze wiał wiatr.

Źle spała, dręczyły ją senne koszmary i obudziła się nie wypoczęta. Nie miała nic do jedzenia; zniknął nawet odrzucony świstak. Pociągnęła łyk zatechłego picia, spakowała nosidła i ruszyła na północ.

Okolo południa znalazła łożysko potoku z kilkoma wysychającymi bajorkami, w których woda miała co prawda nieco gorzki smak, ale napełniła nią swój bukłak. Wykopała kilka korzonków kocimiętki; były cienkie jak sznurek i łagodne w smaku. Żuła je, wlokąc się przed siebie. Nie chciała iść dalej, ale nie wiedziała, co innego może robić. Przygnębiona i apatyczna nie zwracała większej uwagi na to, dokąd szła. Nie zauważyła dumnego lwa jaskiniowego wygrzewającego się w popołudniowym słońcu, dopóki nie warknął na nią ostrzegawczo.

Wzdrygnęła się przestraszona, a lęk przywrócił jej świadomość. Cofnęła się i skręciła na zachód, aby obejść terytorium lwa. Wystarczająco daleko wędrowała już na północ. To duch Lwa Jaskiniowego ją ochraniał, nie wielkie bestie w swej fizycznej postaci. To, że był jej totemem, nie oznaczało, iż była bezpieczna przed jego atakami.

Prawdę powiedziawszy, to w ten sposób Creb dowiedział się, że jej totemem jest Lew Jaskiniowy. Nadal miała cztery długie równoległe blizny na swym lewym udzie i powtarzające się senne koszmary, w których olbrzymi pazur sięgał w głąb płytkiej jaskini, do której wbiegła, aby się ukryć, gdy miała pięć lat. Przypomniła sobie, że poprzedniej nocy śniła o tych pazurach. Creb powiedział jej, że sprawdzono, czy była godna, i

naznaczono ją, by pokazać, że została wybrana. Bezwiednie opuściła rękę i poczuła pod palcami blizny na nodze. Ciekawa jestem, dlaczego Lew Jaskiniowy zechciał mnie wybrać, pomyślała.

Oślepiające słońce opadło nisko nad zachodni horyzont. Ayla wspinała się na długie wzniesienie, rozglądając się za miejscem na obóz. Ponownie obóz bez wody, pomyślała, i ucieszyła się, że napełniła swój bukłak. Była zmęczona, głodna i zła na siebie za to, że dopuściła, by znaleźć się tak blisko lwów jaskiniowych.

Czy to był znak? Czy było to jedynie kwestią czasu? Co skłoniło ją do myślenia, iż uda jej się uciec przed klątwą śmierci?

Blask bijący od horyzontu był tak jasny, że niemal przegapiła urwisty skraj równiny. Stojąc na brzegu, przesłoniła dłonią oczy i spojrzała w dół parowu. Poniżej płynęła mała rzeczka, oba jej brzegi porastały drzewa i krzaki. Skalisty wąwóz otwierał się na chłodną, zieloną, ocienioną dolinę. W połowie drogi na dół, pośrodku łąki, ostatnie promienie zachodzącego słońca padły na małe stadko spokojnie pasących się koni.

## . 2 .



– No dobrze, dlaczego postanowiłeś ze mną wyruszyć, Jondalarze?– zapytał młody ciemnowłosy mężczyzna, składając namiot zrobiony z kilku zesnurowanych razem skór. – Powiedziałaś Maronie, że idziesz tylko odwiedzić Dalanara i pokazać mi drogę. Przed ustatkowaniem się miałaś odbyć jedynie krótką podróż. Przypuszczano, że razem z Lanzadonii udasz się na Letr>ie Spotkanie i będziesz tam w czasie Uroczystości Zawierania Związków. Ona wpadnie we wściekłość, a to kobieta, której złości wolałbym unikać. Czy po prostu od niej nie uciekasz? – Thonolan mówił to lekkim tonem, ale zdradzał go poważny wyraz oczu.

– Młodszy bracie, co skłania cię, by myśleć, że tylko ty w naszej rodzinie palisz się do podróży? Nie myślałaś chyba, że pozwolę ci wyruszyć samemu? Albo że pozwolę, abys po powrocie do domu przechwalał się swą długą podróżą? Ktoś musiał pójść z tobą, aby prostować potem twoje opowieści i ustrzec cię od kłopotów odparł wysoki jasnowłosy mężczyzna i wszedł do namiotu.

Wewnątrz było wystarczająco wysoko, aby wygodnie siedzieć lub klęczeć, ale za nisko, żeby stać. Było jednak pod dostatkiem miejsca na ich posłania i bagaż. Namiot podtrzymywały trzy, stojące w jednym rzędzie, maszty. Przy środkowym, wyższym



słupku był otwór przesłonięty klapką, którą można było zasznuować w razie deszczu lub otworzyć, zapewniając ujście dymowi, gdyby chcieli rozpalać w środku ogień. Jondalar przewrócił trzy maszty i wyczołgał się z nimi na zewnątrz.

– Ustrzec mnie od kłopotów! – powiedział Thonolan. Chyba to mnie będą musiały wyrosnąć z tyłu głowy oczy, abym mógł cię z tyłu pilnować! Poczekaj, aż Marona odkryje, że nie ma cię z Dalanarem i Lenzandonii, gdy przybędą na Spotkanie. Ona może, aby cię dopaść, zamienić się w Doni i przelecieć nad tym lodowcem, który właśnie przeszliśmy, Jondalarze. – Młodzieńcy zaczęli zwijać pomiędzy sobą namiot. – Ona od dawna miała cię na oku, a gdy już jej się zdawało, że cię ma, ty postanowiłeś wybrać się w podróż. Myślę, że po prostu nie chciałeś wsunąć ręki w ramię i pozwolić, by Zelandoni zacisnął węzeł. Zdaje mi się, że mój starszy brat unika zawarcia związku. – Położyli namiot obok nosideł. – Większość mężczyzn w twoim wieku ma już jedno lub dwa maleństwa w swych sercach – dodał Thonolan, robiąc szybki unik przed pozorowanym zamachem swego starszego brata; teraz oczy pojaśniały mu w uśmiechu.

– Większość mężczyzn w moim wieku! Jestem przecież tylko trzy lata starszy od ciebie – powiedział Jondalar z udanym gniewem, po czym roześmiał się, donośnym serdecznym śmiechem, tym bardziej zaskakującym, że nie spodziewanym.

Bracia byli tak różni od siebie jak dzień i noc, ale to niższy, ciemnowłosy był bardziej lekkoduszny. Przyjazna natura Thonolana, jego zaraźliwy uśmiech i skłonność do śmiechu sprawiała, że wszędzie był mile widziany. Jondalar był bardziej poważny, brwi często miał zmarszczone w zamyśleniu lub obawie i chociaż łatwo się uśmiechał, szczególnie do swego brata, to rzadko śmiał się głośno. Ale gdy to już czynił,

zaskakiwała żywiołowość jego śmiechu.

– A skąd wiesz, czy Marona już nie nosi w sobie maleństwa, które przyjmę do serca po powrocie? – zapytał Jondalar, gdy zaczęli zwijać skórzany spód namiotu, który mógł im również służyć za mały szałas, wsparty na jednym maszcie.

– A skąd wiesz, czy ona nie uzna, że mój nieuchwytny brat nie jest jedynym mężczyzną godnym jej słynnych wdzięków? Marona naprawdę wie, jak zadowolić mężczyznę – jeśli tego chce. Ale ten jej charakterek... Ty jesteś jedynym, który potrafił sobie z nią poradzić, Jondalarze, choć Doni wie, że jest wielu takich, którzy gotowi byłiby wziąć ją z tymi jej humorami i wszystkim. – Stali twarzą w twarz ze skórzanym spodem namiotu pomiędzy sobą. – Dlaczego jej nie wzięłeś ra partnerkę? Od lat wszyscy tego oczekiwali.

Pytanie Thonolana było poważne. W błękitnych oczach Jondaiara pojawiło się zakłopotanie, a brwi się zmarszczyły.

– Może właśnie dlatego, że wszyscy tego oczekiwali – powiedział. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Ja również sądziłem, że zawrę z nią związek. Kogóż innego mógłbym wziąć za partnerkę?

– Kogo? Och, którą tylko zechcesz. We wszystkich jaskiniach wszystkie kobiety wolne – i kilka z zajętych – skorzystałoby bez wahania z okazji związania się węzłem z Jondalarem z Jaskini Zelandonii, bratem Joharrana, przywódcy Dziewiętej Jaskini, nie wspominając już o tym, że jest bratem Thonolana, pełnego werwy i odważnego awanturnika.

– Zapomniałeś dodać, że jestem synem Marthony, która była przywódcą Dziewiętej Jaskini Zelandonii i bratem Folar, córki Marthony, piękności, na którą chyba wyrośnie. – Jondalar się uśmiechnął. – Jeżeli masz zamiar wymieniać wszystkie moje

więzi, to nie zapomnij o błogosławieństwach Doni.

– Któż mógłby o nich zapomnieć? – zapytał Thonolan, kierując się do posłań; każde z nich było zrobione z dwóch skór, przyciętych tak, aby pasowały na każdego z mężczyzn, i zesnurowanych po bokach i na dole, u góry pozostawał ściągany sznurkiem otwór. – Co my wygadujemy? Ja nawet myślałem, że Joplaya zostanie twoją partnerką.

Obaj zaczęli pakować sztywne, podobne do pudeł, zwężające się u góry nosidła. Były wykonane z mocnej, niegarbowanej skóry przyczepionej do deseczek. Mocowano je na plecach za pomocą skórzanych pasów, zaopatrzonych w rządki guzików z kości, umożliwiających regulację. Guziki były zabezpieczone rzemieniem, przewleczonym przez pojedynczą dziurkę na środku i zawiązanym na supeł, z drugim rzemieniem, przewleczonym z powrotem przez tę samą dziurkę – i dalej do następnego guzika.

– Wiesz, że nie mogliśmy zawrzeć związku. Joplaya jest moją kuzynką. Nie powinieneś brać jej poważnie pod uwagę; ona jest strasznie dokuczliwa. Zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi, gdy zamieszkałem z Dalanarem, aby wyuczyć się swego rzemiosła. Uczył nas oboje w tym samym czasie. Ona jest jednym z najlepszych kamieniarzy, jakich znam. Ale lepiej jej nigdy nie wspominać, że tak powiedziałem. Już ona nie dałaby mi tego zapomnieć. Zawsze staraliśmy się prześcignąć w swych umiejętnościach.

Jondalar podniósł ciężki worek, w którym znajdowały się przybory do wykonywania narzędzi i kilka zapasowych kawałków krzemienia. Pomyślał o Dalanarze i jaskini, którą odnalazł. Lanzadonii się rozrastali. Odkąd odszedł, przyłączyło się do nich więcej ludzi i rodziny się powiększały. Wkrótce

będzie Druga Jaskinia Lanzadonii, pomyślał. Włożył do nosideł worek, potem naczynia kuchenne, jedzenie i pozostały ekwipunek. Na wierzch poszedł śpiwór i namiot, a w uchwytach z lewej strony znalazły się dwa maszty namiotu. Thonolan niósł skórzany spód namiotu i trzeci maszt. W specjalnym uchwycie z prawej strony nosideł obaj mieli kilka oszczepów.

Thonolan napełnił śniegiem bukłak zrobiony ze zwierzęcego żołądka pokrytego futrem. Gdy było bardzo zimno, tak jak na płaskowyżu lodowca ponad wyżyną, którą właśnie przeszli, to bukłaki nosili pod swym futrzanym ubraniem, tuż przy skórze, i dzięki temu ciepło ciała mogło topić śnieg. Na lodowcu nie było z czego rozniecić ognia. Doszli już, co prawda, na jego skraj, ale nadal znajdowali się jeszcze zbyt wysoko, aby znaleźć wolno płynącą wodę.

– Coś ci powiem, Jondalarze – rzekł Thonolan, spoglądając w górę. – Cieszę się, że Joplaya nie jest moją kuzynką. Myślę, że dam sobie spokój z podróżą i wezmę ją za partnerkę. Nie mówiłeś mi, że jest tak piękna. Nigdy nie widziałem nikogo równie pięknego. Nie można od niej oderwać oczu. Jestem wdzięczny za to, że się urodziłem, gdy Marthona była partnerką Willomara, a nie wtedy, gdy była nadal partnerką Dalanara. To przynajmniej daje mi jakąś szansę.

– Z tego, co mówisz, można sądzić, że rzeczywiście jest piękna. Nie widziałem jej od trzech lat. Spodziewałem się, że do tego czasu zdążyła sobie znaleźć partnera. Cieszę się, że Dalanar postanowił zabrać Lanzadonii na Spotkanie Zelandonii tego lata. W jednej jaskini nie ma zbyt dużego wyboru. Dzięki temu Joplaya będzie miała okazję spotkać innych mężczyzn.

– Tak, i stworzyć Maronie małą konkurencję. Szkoda, że przegapię ich spotkanie. Marona przywykła już do roli piękności

grupy. Pewnie znienawidzi Joplayę. Na dodatek ty się nie pokażesz. Coś mi się zdaje, że Marona nie będzie zbyt szczęśliwa podczas tegorocznego Letniego Spotkania.

– Masz rację. Poczuj się dotknięta i będzie zła, ale ja jej to nie winię. Ma swoje humory, lecz to dobra kobieta. Trzeba jej tylko odpowiedniego mężczyzny. A ona już wie, jak go zadowolić. Gdy jest przy mnie, to jestem gotów na zawiązanie wężła, ale gdy nie ma jej w pobliżu... Nie wiem. – Jondalar zmarszczył brwi, zaciągając pas wokół ubioru po umieszczeniu wewnątrz naczynia na wodę.

– Powiedz mi – zapytał ponownie poważnie Thonolan. Jak byś się poczuł, gdyby postanowiła pod twoją nieobecność zostać partnerką kogoś innego? To bardzo prawdopodobne.

Jondalar myślał, zapinając pas.

– Poczuję się dotknięty, a może to moja duma będzie dotknięta – nie jestem pewny. Ale nie winiłbym jej za to. Myślę, że zasługuje na kogoś lepszego niż ja, kogoś, kto nie odszedłby od niej w ostatniej chwili po to, by wybrać się w podróż. A jeżeli będzie szczęśliwa, to ja będę cieszył się razem z nią.

– Tak też myślałem – powiedział młodszy brat. Potem twarz rozjaśnił mu uśmiech. – No cóż, starszy bracie, jeżeli masz zamiar nadal umykać przed tą Doni, która cię goni, to lepiej ruszajmy. Thonolan skończył pakować swoje nosidła, potem uniósł futrzane odzienie i wysunął ramię z rękawa, aby przewiesić przez nie naczynie na wodę.

Ubiór był zrobiony według prostego wzoru. Przód i tył stanowiły prawie prostokątne kawałki zesnurowane na bokach i ramionach. Do nich przyczepiono dwa mniejsze prostokąty, złożone i zeszyte, które pełniły funkcję rękawów. Doczepiany kaptur był oblamowany futrem z rosomaka, aby nie osadzał się

na nim lód powstały z wydychanej pary. Ubiór zdobiły bogate ornamenty z kości, rogu, muszelek, zwierzęcych zębów i czarno nakrapianych gronostajowych ogonków. Nakładało się go przez głowę i nosiło zwieszony luźno do połowy uda, przepasany w tali.

Pod ubiorem mieli koszule z miękkiej kozłej skóry, wykonane według tego samego wzoru, i futrzane spodnie, z klapką z przodu, ściągnięte w pasie sznurkiem. Uzupełnienie stanowiły futrzane rękawice uczepione do długiej linki, która była przewleczona przez pętlę z tyłu ubioru, dzięki czemu można je było szybko zdejmować bez obawy upuszczenia czy zgubienia. Buty, które miały bardzo grube podeszwy, obejmowały całą stopę i były połączone z miękką skórą, owijającą nogi i obwiązaną rzemykami. W środku były wyściełane filcem z wełny muflonów, którą moczono i klepano dopóki się nie zbiła. Podczas szczególnie mokrych okresów nakładano na buty wodoszczelne, specjalnie w tym celu zrobione z wnętrzości zwierząt, ochroniacze, ale były one cienkie i szybko się zużywały, więc noszono je tylko wtedy, gdy było to konieczne.

– Thonolanie, jak daleko zamierzasz iść? Nie mówiłeś chyba poważnie, że aż do końca Wielkiej Matki Rzeki, co? – zapytał Jondalar, podnosząc krzemienną siekierkę przymocowaną do krótkiego, solidnego, kształtnego trzonka i wkładając ją w pętlę u pasa, obok krzemiennego noża z kościaną rękojeścią.

Thonolan przerwał nakładanie desek do poruszania się na śniegu i wyprostował się.

– Ja mówiłem poważnie – powiedział bez śladu swojej zwykłej żartobliwości.

– Możemy nie wrócić nawet na przyszłoroczne Letnie Spotkanie!

– Rozmyśliłeś się? Nie musisz ze mną iść, bracie. Poważnie. Nie będę zły, jeżeli zawrócisz – przecież i tak w ostatniej chwili się zdecydowałeś. Wiesz równie dobrze jak ja, że możemy nigdy nie wrócić do domu. Jeżeli chcesz wrócić, to lepiej uczynić to teraz, w przeciwnym razie nie uda ci się przejść tego lodowca przed następną zimą.

– Nie, nie podjąłem tej decyzji w ostatniej chwili, Thonolanie. Od dawna myślałem o wyruszeniu w podróż, a teraz jest na to odpowiedni czas – powiedział Jondalar tonem kończącym dyskusję, tonem, w którym Thonolan dostrzegł ślad niewytłumaczalnej zaciętości. Ale Jondalar zaraz się pohamował i dodał już bardziej beztrosko: – Nigdy nie odbyłem dłuższej podróży i jeżeli nie uczynię tego teraz, to nie zrobię już tego nigdy. Dokonałem wyboru, młodszy bracie, jesteś na mnie skazany.

Niebo było czyste. Oślepiła ich blask słońca odbity od dziewiczego śniegu. Była wiosna, ale na tej wysokości nie zaznaczyła się w krajobrazie. Jondalar sięgnął do woreczka wiszącego u pasa i wyciągnął ochraniacze wzroku. Były zrobione z drewna, uformowane tak, aby z wyjątkiem wąskiej horyzontalnej szpary, przesłaniać całkowicie oczy. Przywiązał je sobie do głowy. Potem wykonał szybki ruch obutą stopą, aby okręcić rzemienią pętlę wokół zaczepu przy desce i dookoła czubka stopy oraz kostki. Nałożył rakiety i sięgnął po swoje nosidła.

To Thonolan zrobił te deski, żeby się przenosić z miejsca na miejsce po śniegu. Jego rzemiosłem było robienie oszczepów. Miał nawet z sobą swoje ulubione narzędzie do prostowania drzewców. Było ono wykonane z rogu jelenia, z którego usunięto odrosty i wywiercono na jednym z końców otwór. Przyrząd ten

był rzeźbiony w zawiłe wyobrażenia zwierząt i wiosennej roślinności, po części ku czci Wielkiej Matki Ziemi, aby uprosić ją, by zezwoliła duchom zwierząt, żeby wykonane tym narzędziem oszczepy nie chybiały celu, ale również dlatego, że Thonolan lubił rzeźbić dla własnej przyjemności. Nie ulegało wątpliwości, iż w czasie polowań po drodze stracą oszczepy i trzeba będzie zrobić nowe. Prostowacz był wykorzystywany szczególnie na końcu drzewca, tam, gdzie uchwyt dłonią był niemożliwy. Posługiwano się nim, wkładając drzewce przez otwór i korzystając z zasady dźwigni. Thonolan wiedział, jak obrabiać drewno podgrzewając je gorącymi kamieniami lub parą, aby wyprostować na drzewce lub wygiąć na deski do chodzenia po śniegu. Swe umiejętności wykorzystywał z jednakową biegłością w różnych celach.

Jondalar się odwrócił, by sprawdzić, czy brat jest gotowy. Skinęli głowami i wyruszyli. Szli, stąpając ciężko, w dół zbocza opadającego stopniowo w kierunku rysującej się na dole linii lasu. Z prawej strony, za zalesioną niziną, widzieli przykrytą śniegiem wysoko położoną równinę, a w oddali poszarpane oblodzone szczyty najdalej wysuniętego na północ pasma gór. Na południowym-wschodzie błyszczał najwyższy szczyt.

W porównaniu z masywem, który był podstawą popękanych gór, o wiele starszych niż strzeliste szczyty na południu, wyżyna, którą przeszli, niewiele różniła się od wzgórza. Ale była dostatecznie wysoko i blisko surowego obszaru masywu lodowca – który nie tylko zwieńczał, ale i okrywał zbocza gór lodowym płaszczem, łagodząc wzniesienia – aby przez okrągły rok pokrywała ją powłoka lodu. Pewnego dnia, gdy lodowiec kontynentalny cofnie się z powrotem do swego podbiegunowego domu, na wyżynę powrócą lasy. Teraz był to płaskowyż lodowca,



miniaturowa wersja ogromnych połąci lodu pokrywających północne rejony globu.

Po dotarciu do linii drzew bracia zdjęli z oczu drewniane osłony przed słońcem i bielą śniegu, które co prawda ochraniały wzrok, ale zawężyły pole widzenia. Trochę niżej natknęli się na mały strumień, który wypływał szparami skalnymi z topniejącego lodowca, znikał pod ziemią, a potem się wyłaniał ze szczelin przefiltrowany i oczyszczony jako krystaliczne źródło. Tryskał pomiędzy śnieżnych brzegów jak wiele innych małych źródełek biorących swój początek z lodowca.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Thonolan, wskazując na strumyczek. – Znajduje się prawie dokładnie tam, gdzie mówił Dalanar.

– Jeżeli płynie do Donau, to dość szybko powinniśmy się o tym przekonać. Będziemy pewni, że podążamy wzdłuż Wielkiej Matki Rzeki, gdy dotrzemy do trzech małych rzeczółek, które się łączą i płyną na wschód; tak powiedział. Wydaje mi się, że każdy z tych strumyczków powinien nas do niej w końcu doprowadzić.

– Trzymajmy się lewej strony. Później nie będzie go tak łatwo przejść.

– To prawda, ale Losadunai żyją po prawej stronie i moglibyśmy zatrzymać się w jednej z ich Jaskiń. Po lewej powinna być kraina płaskich głów.

– Jondalarze, nie zatrzymujmy się u Losaduani – powiedział Thonolan z poważnym uśmiechem. – Wiesz przecież, że będą chcieli, abyśmy zostali, a my już i tak zbyt długo byliśmy u Lanzadonich. Jeżeli wyruszymy jeszcze później, to w ogóle nie będziemy mogli przejść lodowca. Będziemy musieli iść naokoło, a na północ stąd naprawdę jest kraina płaskich głów. Ja chcę iść dalej, daleko na południe nie powinno być zbyt wielu

płaskogłowych. A zresztą, nawet jeżeli będą, to co? Chyba nie boisz się kilku płaskogłowych, co? Mówią, że zabicie takiego, to jak zabicie niedźwiedzia.

– Nie wiem – powiedział wysoki mężczyzna, marszcząc czoło. – Nie jestem jednak pewny, czy chciałbym zmierzyć się z niedźwiedziem. Słyszałem, że płaskogłowi są rozumni. Niektórzy mówią, że są prawie ludźmi.

– Może i są rozumni, ale nie potrafią mówić. To tylko zwierzęta.

– Nie obawiam się płaskogłowych. Jednak Losadunai znają tę krainę. Mogliby nam wskazać drogę. Nie musielibyśmy zostawać długo, jedynie tyle, ile będzie trzeba dla zdobycia potrzebnych nam wskazówek. Mogliby nam powiedzieć, czego i gdzie możemy się spodziewać. I nie mielibyśmy kłopotu z porozumieniem się. Dalanar powiedział, że niektórzy z nich mówią w języku Zelandonii. Wiesz co, jeżeli ty zgodzisz się teraz zatrzymać, to ja się zgodzę aż do powrotu omijać następne jaskinie.

– Zgoda. Jeżeli naprawdę tego chcesz.

Obaj mężczyźni rozglądali się za miejscem, w którym mogliby przejść strumień o obludzonych brzegach, a który był już za szeroki, aby go można przeskoczyć. Dostrzegli przewrócone drzewo sięgające drugiego brzegu i tworzące naturalny most, więc się skierowali w jego stronę. Jondalar prowadził. Wyciągnął rękę, aby znaleźć dla niej podparcie, i postawił stopę na jednym z wystających koszeni. Thonolan rozglądał się dookoła, czekając na swoją kolejkę.

– Jondalar! Uważaj! – krzyknął nagle.

Kamienny pocisk przeleciał obok głowy wysokiego mężczyzny. Na ostrzegawczy okrzyk Jondalar przypadł do ziemi, sięgając po

oszczep. Thonolan miał już swój w dłoni i czołgał się, spoglądając w kierunku, z którego nadleciał kamień. Dostrzegł ruch za splątanymi gałęziami bezlistnych krzaków i rzucił swą broń. Sięgał po następny oszczep, gdy z pobliskich krzaków wyszło sześć postaci. Byli otoczeni.

– Płaskie głowy! – zawołał Thonolan, cofając się i zamierzając się w ich kierunku.

– Czekaj, Thonolan! – krzyknął Jondalar. – Ich jest więcej. – Ten wysoki wygląda na przywódcę grupy. Jeżeli go trafię, to reszta ucieknie. – Thonolan ponownie odchylił ramię.

– Nie! Mogą nas dopaść, zanim sięgniemy po następny oszczep. Myślę, że ich powstrzymaliśmy; nie robią żadnego ruchu. Jondalar powoli wstał, trzymając broń w pogotowiu. – Nie ruszaj się. Pozwólmy im wykonać następny ruch. Ale miej na oku tego dużego. On widzi, że w niego celujesz.

Jondalar przyjrzał się dużemu przedstawicielowi płaskogłowych i zbiło go z tropu spojrzenie jego dużych brązowych, wpatrujących się w niego, oczu. Nigdy nie był tak blisko żadnego z nich i czuł się zaskoczony. Ci płaskogłowi nie pasowali zbyt dobrze do jego wyobrażenia o nich. Oczy dużego były ocienione przez wielkie łuki brwiowe, porośnięte krzaczastymi brwiami. Nos miał duży, wąski, raczej podobny do dziobu i sprawiający, iż jego oczy wydawały się jeszcze głębiej osadzone. Twarz była ukryta pod gęstą, kręconą brodą. U młodszego, którego broda zaczynała dopiero rosnąć, zauważył, że nie mieli policzków, a jedynie wystające szczęki. Włosy mieli brązowe i gęste, podobnie jak brody, i zdawali się mieć bardziej owłosione ciało, szczególnie górę pleców.

Nie mógł powiedzieć zbyt wiele o ich owłosieniu, ponieważ futrzane okrycia przesłaniały im większą część torsów,

pozostawiając, pomimo niskiej temperatury, gołe barki i ramiona. Ale nie tyle zaskoczyło go ich skąpe odzienie, co fakt, że w ogóle je mieli. Nigdy nie widziano, aby jakieś zwierzę nosiło odzienie czy broń. A każdy z nich miał długą, drewnianą dzidę – najwyraźniej przystosowaną do dźgania a nie do rzucania, ale o paskudnie ostrych końcach – a niektórzy trzymali ciężkie kościane maczugi zrobione z przednich nóg wielkich zwierząt trawożernych.

Ich szczęki nie są tak naprawdę podobne do zwierzęcych, pomyślał Jondalar. Po prostu są bardziej wysunięte, a ich nosy są jedynie dużymi nosami. To ich głowy. Prawdziwa różnica tkwi w głowach.

Zamiast wysokich czół, takich jak u niego czy Thonolana, tamci mieli czoła niskie i pochylone do tyłu ponad ciężkimi łukami brwiowymi. Wyglądało to tak, jakby czubki ich głów, które z łatwością widział, zostały spłaszczone i odepchnięte do tyłu. Gdy Jondalar wyprostował się na całą swą wysokość sześciu stóp i sześciu cali, to przewyższał najwyższego o więcej niż stopę. Nawet Thonolan ze swymi zwykłymi sześcioma stopami wyglądał przy tym, który był najwyraźniej ich przywódcą, na olbrzyma, ale tylko pod względem wzrostu.

Jondalar i jego brat byli dobrze zbudowani, ale czuli się się wątli przy wspaniale umięśnionych płaskogłowych. Mieli oni zwaliste torsy i grube, muskularne ramiona oraz nogi, które były trochę pałakowate, ale na których się poruszali wyprostowani i z taką swobodą, jak ludzie. Im dłużej im się przyglądał, tym bardziej wydawali mu się podobni do ludzi, chociaż nie przypominali mu żadnego ze znanych ludów.

Przez długą, pełną napięcia chwilę nikt się nie poruszył. Thonolan kulił się z oszczepem gotowym do rzutu; Jondalar stał,

ale pewnie dzierżył swój oszczep, gotów natychmiast pójść w ślady brata. Sześciu otaczających ich płaskogłowych stało nieruchomo jak kamienie, ale Jondalar nie miał wątpliwości, iż w razie czego szybko mogą przystąpić do działania. Gra była nie rozstrzygnięta, był impas i Jondalar myślał gwałtownie nad znalezieniem wyjścia z sytuacji.

Nagle największy z płaskogłowych warknął i machnął ręką. Thonolan omal nie cisnął swego oszczepu, ale na czas dostrzegł powstrzymujący gest Jondalara. Jedynie młody płaskogłowy się poruszył, odbiegając w kierunku zarośli, z których właśnie wyszli. Szybko wrócił, niosąc oszczep rzucony przez Thonolana i, ku jego zdumieniu, oddał mu go. Potem młody płaskogłowy udał się nad rzekę i w pobliżu mostku ze zwałonego drzewa wyłowił kamień. Zwrócił go temu dużemu i zdawało się, że skinął przy tym głową ze skruchą. W następnej sekundzie cała szóstka z powrotem zniknęła w krzakach, nie wydając najmniejszego dźwięku. Thonolan odetchnął z ulgą, gdy zdał sobie sprawę, że tamci odeszli.

– Nie myślałem, że uda nam się z tego wywinąć! Ale nie miałem wątpliwości, że przynajmniej jednego zabiorę z sobą na tamten świat. Zastanawiam się, o co w tym wszystkim chodziło?

– Nie jestem pewny – odparł Jondalar – ale, być może, ten młody zaczął coś, czego ten starszy nie chciał kończyć, i nie sądzę, aby powodem tego był lęk przed nami. Trzeba mieć zdrowe nerwy, aby tak stać na wprost twego oszczepu, a potem zrobić to, co on. – Może po prostu nie znał lepszego wyjścia.

– Znał. Widział, jak ciskałeś pierwszą dzidę. Jak inaczej mógł powiedzieć temu młodszemu, aby ją przyniósł i oddał ci?

– Naprawdę myślisz, że on powiedział mu, aby to zrobił? Jak? Oni nie potrafią mówić.

– Nie wiem, ale w jakiś sposób ten starszy polecił młodemu oddać ci dzidę i przynieść kamień. Tak jakby to miało wszystko wyrównać. Nikt nie został ranny, więc myślę, że wyrównaliśmy nasze rachunki. Wiesz co, nie jestem całkiem przekonany, czy płaskogłowi są zwierzętami. To było rozumne zachowanie. I nie wiedziałem, że noszą futra i używają broni, i chodzą wyprostowani jak my.

– Wiem, dlaczego nazywają ich płaskogłowymi! To człekopodobna zgraja. Nie chciałbym z żadnym z nich walczyć wręcz.

– Wyglądają na takich, co to potrafią złamać ci rękę jak kawałek chrustu. Zawsze myślałem, że są mali.

– Niscy, to może, ale nie mali. Zdecydowanie nie mali. Starszy bracie, muszę przyznać, że masz rację. Chodźmy odwiedzić Losadunai. Żyją tak blisko, że powinni wiedzieć więcej o płaskogłowych. A poza tym, zdaje się, że Wielka Matka Rzeka jest granicą i płaskogłowym chyba nie w smak nasza obecność po tej stronie.

Przez kilka dni obaj mężczyźni szli, rozglądając się za punktami orientacyjnymi, o których mówił im Dalanar. Podążali wzdłuż strumienia, który nie różnił się od innych strumieni, strumyków i potoków płynących w dół zbocza. Kwestią umowy było wybranie właśnie tego na źródło Wielkiej Matki Rzeki. Większość z nich zlewała się razem, dając początek wielkiej rzece, która będzie pędziła po zboczach wzgórz i wiła się po równinach przez osiemset mil, zanim nie pozbędzie się swego balastu wody i mułu w wewnętrznym morzu, daleko na południowym-wschodzie.

Krystaliczne skały masywu, z którego wypływała potężna rzeka, należały do najstarszych na ziemi, a szeroka depresja

została uformowana przez niesamowite ciśnienia, które wynosiły i pogrążały mocarne góry. Więcej niż trzysta dopływów, wśród nich wiele dużych rzek, które osuszały zbocza wszystkich pasm górskich na swej drodze, przyczyniało się do wspaniałości rzeki. A pewnego dnia jej sława dotrze do najdalszych zakątków ziemi i jej mętne, błotniste wody zostaną nazwane błękitnymi.

Czuło się tu złagodzony przez góry wpływ oceanu, leżącego na zachodzie, i morza wewnętrznego – na wschodzie. Na rośliny i zwierzęta żyjące na tym terenie składały się gatunki typowe dla zachodniej tundry i tajgi oraz rozciągających się na wschodzie stepów. W górnych partiach widywało się kozice i muflony; w lasach bardziej powszechne były jelenie. Tarpan, dziki konik, który pewnego dnia zostanie oswojony, pasł się na ocienionych nizinach i nadrzecznych tarasach. Wilki, rysie i śnieżne lamparty przemykały bezszelestnie w mroku. Ciężko człapały obudzone z zimowego snu wszystkożerne, brunatne niedźwiedzie; potężne, roślinożerne niedźwiedzie jaskiniowe pojawią się później. Mnóstwo drobnych ssaków wystawiało swe noski z zimowych gniazd.

Zbocza porastały głównie sosny, widywało się jednak także świerki, srebrzyste jodły i modrzewie. Olchy, często w towarzystwie wierzb i topoli, przeważały w pobliżu rzek, rzadziej występowały skarłowaciałe, przypominające ledwie odrośnięte od ziemi krzaki, porośnięte meszkiem dęby i brzozy.

Lewy brzeg wznosił się stopniowo znad rzeki. Jondalar i Thonolan wspinali się po nim, dopóki nie dotarli do wierzchołka wysokiego wzgórza. Rozejrzeli się i ujrzeli surową, dziką i piękną krainę, której oblicze łagodziła biel wypełniająca doliny i pokrywająca wzniesienia. Ale to był podstęp nie ułatwiający

wędrówki.

Nie widzieli żadnej z grup ludzi – takie grupy określało się mianem Jaskini, bez względu na to, czy jej członkowie w istocie zamieszkiwali jaskinie czy też nie – które nazywały siebie Losadunai. Jondalar zaczynał już przypuszczać, że ich minęli.

– Patrz! – wskazał Thonolan.

Jondalar spojrział w kierunku wskazanym przez jego wyciągnięte ramię i ujrzał smużkę dymu unoszącą się nad niskopiennym laskiem. Pognali przed siebie i wkrótce natknęli się na małą grupkę ludzi zgromadzonych wokół ogniska. Bracia wkroczyli pośród nich, unosząc obie ręce przed sobą w zrozumiałym geście pozdrowienia i przyjaźni.

– Jestem Thonolan Zelandonii. To jest mój brat, Jondalar. Jesteśmy w podróży. Czy ktoś z was mówi naszym językiem?

Do przodu wystąpił człowiek w średnim wieku, również trzymając ręce w ten sam sposób.

– Jestem Laduni Losadunai. Witam was w imieniu Duny, Wielkiej Matki Ziemi. – Uścisnął obie dłonie Thanolana, a potem podobnym gestem pozdrowił Jondalara. – Chodźcie, siadźcie przy ognisku. Wkrótce będziemy jeść. Czy przyłączycie się do nas?

– Jesteś bardzo wspaniałomyślny – odparł oficjalnie Jondalar.

– Wędrowałem na zachód podczas swej podróży, zatrzymałem się w Jaskini Zelandonii. Minęło kilka lat, ale Zelandonii zawsze są mile widziani. – Poprowadził ich do dużej kłody leżącej w pobliżu ognia. Zbudowano nad nią rodzaj zadaszenia jako ochronę przed wiatrem i niepogodą. – Tutaj odpocznijcie, zdejmijcie nosidła. Musieliście właśnie zejść z lodowca.

– Kilka dni temu – powiedział Jondalar, pozbywając się nosideł.

– Spóźniliście się na przejście. Foehn może zacząć wiać lada



chwila.

– Foehn? – zapytał Thonolan.

– Wiatr wiosenny. Ciepły i suchy, wieje z południowego-zachodu. Wieje tak mocno, że wyrywa drzewa z korzeniami i łamie konary. Ale bardzo szybko topi śnieg. W ciągu kilku dni wszystko to zniknie i rozwiną się pąki – wyjaśniał Laduni, zataczając szeroki krąg ręką, by wskazać na śnieg. – Jeżeli zaskoczyłby cię na lodowcu, mogłoby to się źle dla ciebie skończyć. Lód topi się bardzo szybko, otwierają się szczeliny. Mosty śnieżne i nawisy zapadałyby się pod twoimi stopami. Strumienie, a nawet raeki zaczną płynąć po lodzie.

– I to zawsze sprowadza Malaise – dodała młoda kobieta, podejmując wątek opowieści Laduniego.

– Malaise? – Thonolan skierował swoje pytanie do niej.

– Złe duchy, które fruwać z wiatrem. One wszystkich rozdrażniają. Ludzie, którzy nigdy się nie sprzeczali, nagle zaczynają się kłócić. Szczęśliwi ludzie przez cały czas płaczą. Duchy mogą sprowadzić na ciebie chorobę, a jeżeli już jesteś chory, mogą sprawić, abyś pragnął swej śmierci. Trochę może pomóc to, jeżeli wiesz, czego się spodziewać, ale i tak zwykle wszyscy są w złych humorach.

– Gdzie nauczyłaś się tak dobrze mówić w języku Zelandonii? – zapytał Thonolan, uśmiechając się z aprobatą do atrakcyjnej dziewczyny.

Ona obdarzyła go równie przychylnym spojrzeniem, ale zamiast odpowiedzieć spojrzała na Laduniego.

– Thonolanie z Jaskini Zelandonii, to jest Filonia z Losadunai, córka mojego ogniska – powiedział Laduni, w mig pojmując jej nie wypowiedzianą prośbę o oficjalną prezentację. W ten sposób dziewczyna dała Thonolanowi do zrozumienia, że dba o swoją

reputację i nie rozmawia z nieznajomym, nawet jeżeli jest to przystojny nieznajomy w podróży.

Thonolan wyciągnął ręce w oficjalnym geście powitania, patrząc na nią z uznaniem. Dziewczyna zawahała się chwilę, jakby się zastanawiając, a potem podała mu dłonie. Przyciągnął ją bliżej.

– Filonio z Losadunai, Thonolan z Zelandonii jest zaszczycony, iż Wielka Matka Ziemia była łaskawa obdarzyć mnie darem twojej obecności – powiedział z porozumiewawczym uśmiechem.

Filonia zarumieniła się lekko, wyczuwając śmiałą aluzję, j~a była zawarta w jego słowach o darze Matki, choć to, co powiedział, brzmiało równie oficjalnie, jak jego oficjalny gest. Pod wpływem jego dotyku poczuła dreszcz podniecenia i w jej oczach pojawiła się zachęcająca iskierka.

– A teraz powiedz mi, gdzie się nauczyłaś języka Zelandonii? – podjął rozmowę Thonolan.

– Razem z moim kuzynem przeszliśmy przez lodowiec w czasie naszej podróży i żyliśmy przez jakiś czas z ludźmi Jaskini Zelandonii. Laduni nas trochę nauczył – często rozmawiał z nami w twoim języku, aby go nie zapomnieć. On każdego roku przechodzi lodowiec, aby handlować. Chciał, abym się nauczyła lepiej.

Thonolan nadał trzymał jej dłonie i uśmiechał się.

– Kobiety nieczęsto się wyprawiają w długie i niebezpieczne podróże. Co by było, gdyby Doni cię pobłogosławiła?

– Nie byłam aż tak długo – powiedziała, zadowolona z jego jawnej adoracji. – Wiedziałabym zresztą o tym dostatecznie wcześniej, aby wrócić na czas.

– To była równie długa podróż, jak wielu mężczyzn – obstawał. Jondalar, przyglądając się ich przekomarzaniom, zwrócił się

do Laduniego.

– Znowu to uczynił – powiedział z uśmiechem. – Mój brat nigdy nie omieszka wybrać najatrakcyjniejszej kobiety w okolicy i oczarować jej w mgnieniu oka.

Laduni cmoknęli.

– Filonia jest jeszcze młoda. Dopiero zeszłego lata przeszła Obrzędy Pierwszej Rozkoszy, ale od tego czasu miała już dość adoratorów, aby przewróciło się jej w głowie. Ach, gdyby tak znowu być młodym i jeszcze nie nawykłym do Daru Rozkoszy Wielkiej Matki Ziemi. Nadal, co prawda, sprawia mi to przyjemność, dobrze mi z moją partnerką i nie mam już często zbyt wielkiej ochoty na szukanie nowych podniet. – Odwrócił się do wysokiego, jasnowłosego mężczyzny. – Jesteśmy grupą łowiecką i nie ma z nami zbyt wiele kobiet, ale nie powinieneś mieć trudności ze znalezieniem sobie chętnej do podzielenia się Darem wśród obdarzonych błogosławieństwem Duni. Gdyby żadna nie przypadła ci do gustu, to mamy wielką jaskinię i goście są zawsze doskonałą okazją, aby urządzić uroczystość ku czci Matki.

– Obawiam się, iż nie pójdziemy do waszej jaskini. Dopiero wyruszyliśmy. Thonolan chce zrobić długą podróż i gorąco pragnie ruszać. Być może, zatrzymamy się u was wracając, jeżeli tylko udzielisz nam odpowiednich wskazówek.

– Szkoda, że nas nie odwiedzicie. Ostatnio nie mieliśmy wielu gości. Jak daleko macie zamiar wędrować?

– Thonolan mówi o podążaniu wzdłuż Donau aż do jego źródeł. Ale każdy na początku mówi o długiej podróży. Któż to może wiedzieć?

– Myślałem, że Zelandonii żyją w pobliżu Wielkiej Wody; a przynajmniej było tak, gdy sam podróżowałem. Wędrowałem

daleko na zachód a potem na południe. Powiedziałaś, że dopiero wyruszyliście?

– Powinienem to wyjaśnić. Masz rację, Wielka Woda jest jedynie kilka dni drogi od naszej jaskini, ale Dalanar z Jaskini Lanzadonii pojął moją matkę już po moim przyjściu na świat i jego jaskinia jest również moim domem. Żyłem tam przez trzy lata, w ciągu których nauczył mnie moich umiejętności. Przebywałem u niego z moim bratem. Od chwili wyruszenia przeszliśmy jedynie przez lodowiec, a dotarcie tu zajęło nam parę dni.

– Dolanar! Oczywiście! Od razu wydałeś mi się znajomy. Musisz być dzieckiem jego ducha; jesteś tak bardzo do niego podobny. A na dodatek również obrabiasz krzemień. Jeżeli masz po nim nie tylko wygląd, ale i umiejętności, to musisz być w swej robocie dobry. To najlepszy kamieniarz, jakiego kiedykolwiek widziałem. Miałem zamiar odwiedzić go w przyszłym roku, aby zdobyć trochę krzemienia z kopalni Lanzadonii. Nie ma lepszego kamienia.

Ludzie się zbierali wokół ogniska z drewnianymi miskami, a smakowity zapach, jaki się stamtąd rozchodził, uświadomił Jondalarowi, że jest głodny. Podniósł nosidła, aby nie stały na drodze i przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Laduni, mam z sobą trochę krzemienia Lanzadonii. Zamierzałem wykorzystać go w czasie podróży na nowe narzędzia, ale ciężko go nosić i nie miałbym nic przeciwko temu, aby pozbyć się jednego czy dwóch kamieni. Z przyjemnością bym ci je dał, gdybyś chciał.

Oczy Laduniego pojaśniały.

– Z radością je przyjmę, ale chciałbym ci ofiarować w zamian coś innego. Nie mam nic przeciwko zyskowej wymianie, lecz

nie chciałbym wyłudzać niczego od syna Dalanarowego ogniska.

Jondalar się uśmiechnął.

– Ale ty już zaofiarowałeś się ulżyć memu bagażowi i nakarmić mnie ciepłą strawą.

– To marna zapłata za dobre kamienie Lanzadonii. Za szybko dobijasz targu. To uraża mą dumę.

Wokół nich zebrał się przyjaźnie nastawiony tłum i gdy Jondalar się roześmiał, wszyscy poszli za jego przykładem.

– No dobrze, Laduni, nie chciałem za szybko dobijać targu. W tej chwili niczego mi nie trzeba i chcę sobie jedynie trochę ulżyć. W przyszłości poproszę cię o wyrównanie rachunków. Zgadzasz się?

– Teraz on próbuje mnie nabrać – rzekł mężczyzna z uśmiechem w stronę tłumy. – Przynajmniej powiedz, co to będzie.

– Skąd mam wiedzieć? Ale zabiorę to w drodze powrotnej, zgoda?

– A skąd wiesz, że będę ci to mógł ofiarować?

– Nie będę prosił o to, czego nie mógłbyś mi dać.

– Ciężkie stawiasz warunki, ale jeżeli będę mógł, dam ci to, o co poprosisz. Zgoda.

Jondalar otworzył nosidła, wyjął rzeczy leżące na wierzchu, następnie wyciągnął swój worek i dał Laduniemu dwa już obrobione kawałki krzemienia. – Dalanar je wybrał i wstępnie obrobił powiedział.

Mina Laduniego jasno świadczyła o tym, że nie ma nic przeciwko otrzymaniu dwóch kawałków krzemienia wybranych i przygotowanych przez Dalanara dla syna swego ogniska, ale mrucał wystarczająco głośno, aby wszyscy słyszeli.

– Pewnie daję swe życie w zamian za parę kamieni. – Nikt nie

komentował prawdopodobieństwa tego, że Jondalar kiedykolwiek powróci po swój dług.

– Jondalar, masz zamiar gadać całą wieczność? – zapytał Thonolan. – Zaproszono nas na posiłek, a to mięso ładnie pachnie. – Uśmiechał się szeroko, a Filonia była obok niego.

– Tak, jedzenie jest gotowe – powiedziała – a polowanie było tak udane, że nie zużyliśmy zbyt wiele suszonego mięsa, które zabraliśmy z sobą. Teraz, gdy ulżyłeś swemu bagażowi, będziesz miał chyba miejsce, aby wziąć trochę suszonego mięsa z sobą? dodała, uśmiechając się filuternie do Laduniego.

– Z wielką ochotą. Laduni, musisz mnie teraz przedstawić uroczej córce twego ogniska – powiedział Jondalar.

– Straszny to dzień, gdy córka własnego ogniska psuje ci szyki – mruknął, ale jego uśmiech był pełen dumy. – Jondalar z Zelandonii, Filonia z Losadunai.

Dziewczyna się odwróciła, aby spojrzeć na starszego brata, i natychmiast jej spojrzenie utonęło w oszalamiającym błękiecie jego uśmiechniętych oczu. Zarumieniła się zmieszana, czując teraz nieodparty pociąg do drugiego brata i pochyliła głowę, by ukryć zakłopotanie.

– Jondalar! Nie myśl, że nie widzę tego błysku w twoich oczach. Pamiętaj, ja zobaczyłem ją pierwszy – żartował Thonolan. – Chodź, Filonio, zabiorę cię stąd. Pozwól się ostrzec, trzymaj się z dala od mojego brata. Wierz mi, nie chciałabyś mieć z nim do czynienia. – Odwrócił się do Laduniego i rzekł z udaną urazą. – On zawsze tak robi. Wystarczy jedno spojrzenie. Szkoda, że nie urodziłem się równie obdarzony jak mój brat.

– Jesteś bardziej obdarzony niż trzeba, młodszy bracie – powiedział Jondalar, po czym wybuchnął wesołym, ciepłym śmiechem.

Filonia odwróciła się do Thonolana i zdawało się, że z ulgą stwierdziła, iż jest równie atrakcyjny jak przedtem. Ten objął ją i poprowadził na przeciwną stronę ogniska, ale ona odchyliła głowę, aby spojrzeć na drugiego z mężczyzn.

– Zawsze robimy święto ku czci Duni, gdy do naszej jaskini przybywają goście – powiedziała z poufałym uśmiechem.

– Ach, gdyby znowu być młodym. – Laduni cmoknął. Ale kobieta najbardziej czcąc Duni, najczęściej bywa przez nią błogosławiona maleństwami. Wielka Matka Ziemia uśmiecha się do tych, którzy doceniają jej dary.

Jondalar przestawił nosidła za kłodę, a następnie skierował się do ogniska. Strawa z dziczyzny gotowała się w naczyniu ze skóry rozpiętej na ramie ze związanych razem kości. Naczynie było zawieszane bezpośrednio nad ogniem. Wrzący płyn, choć wystarczająco gorący, by gotować w nim strawę, utrzymywał temperaturę naczynia na dostatecznie niskim poziomie, aby się ono nie zapaliło. Temperatura zapalenia się skóry była o wiele wyższa niż wrzącej strawy.

Kobieta podała mu drewnianą miskę apetycznej zupy i usiadła obok niego na kłodzie. Jondalar, posługując się swym krzemiennym nożem, wyławiał kawałki mięsa i warzyw – suszonych kawałków korzeni – a potem wypił pozostały płyn. Gdy skończył, kobieta przyniosła mu mniejszą miseczkę ziołowej herbaty. Uśmiechnął się do niej w podziękowaniu. Była od niego kilka lat starsza, akurat tyle, aby urok młodości zdążył ustąpić miejsca piękności, jaką niesie wiek dojrzały. Odwzajemniła jego uśmiech i ponownie usiadła obok niego.

– Czy mówisz językiem Zelandonii? – zapytał. – Mówić mało, rozumieć więcej – powiedziała.

– Czy powinienem poprosić Laduni o formalne przedstawienie

nas sobie, czy też mogę cię spytać o twoje imię?

Uśmiechnęła się znowu, ale tym razem w jej uśmiechu pojawił się cień łaskawości.

– Jedynie dziewczyny potrzebują ktoś powiedzieć imię. Ja, Lanalia. Ty, Jondalar?

– Tak – odparł. Czuł ciepło jej nóg i w jego oczach było znaczące wywołane tym podniecenie. Ona zaś odpowiedziała mu równie gorącym spojrzeniem. Jondalar położył dłoń na jej udzie. Lanalia pochyliła się bliżej ruchem dodającym mu odwagi i wiele obiecującym. Ten skinął głową życzliwie, przyjmując jej zachęcające spojrzenie. Patrzył na nią równie łakomym wzrokiem. Kobieta się obejrzała. Jondalar powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył zbliżającego się do nich Laduniego. Lanalia przybrała niedbałą postawę, siadając wygodnie obok niego. Ze spełnieniem wzajemnej obietnicy poczekają do późna.

Laduni przyłączył się do nich, a krótko potem również Thonolan z Filonią wrócili na tę stronę ogniska. Wkrótce wszyscy tłoczyli się wokół obu gości. Były żarty i przekomarzenia, tłumaczone dla tych, którzy nie rozumieli. W końcu Jondalar zdecydował się na poruszenie bardziej poważnego tematu.

– Co wiesz na temat ludzi mieszkających w dole rzeki, Laduni?  
– Zdarzało nam się czasami gościć Sarmunai. Oni żyją na północ od rzeki, w jej dolnym biegu, ale to było już całe lata temu. Tak to już jest. Czasami wszyscy młodzi ludzie wybierają tę samą drogę dla swych podróży. Wtedy staje się ona dobrze znana i mało podniecająca, więc wybierają inną drogę. W następnym pokoleniu pamiętają ją jedynie najstarsi i znowu wędrówka pierwszą drogą będzie przygodą. Wszyscy młodzi mają nadzieję, że odkrywają coś nowego. Nie szkodzi, jeżeli ich przodkowie dokonali tego samego.



– Dla nich jest to nowe – powiedział Jondalar, ale nie rozwijał dalej tego filozoficznego tematu. Chciał zdobyć rzeczowe informacje, zanim zostanie wciągnięty w dyskusję, która może się okazać nawet przyjemna, ale niezbyt praktyczna. – Czy mógłbyś mi powiedzieć coś o ich zwyczajach? Czego powinniśmy się wystrzegać? Co mogłoby być poczytane za obrazę?

– Niewiele wiem i nic nowego. Kilka lat temu jeden z mężczyzn poszedł na wschód, ale nie powrócił. Kto wie, może zdecydował się osiedlić gdzie indziej – powiedział Laduni. – Mówią, że oni robią swą dunai z błota, ale to tylko takie gadanie. Nie wiem, dlaczego ktokolwiek miałyby robić tajemnicze wizerunki Matki z błota. Przecież rozpadłyby się po wyschnięciu.

– Może dlatego, że to bliższe ziemi. Niektórzy ludzie z tego powodu wolą kamienie.

Mówiąc to, Jondalar bezwiednie sięgnął do woreczka uczepionego u pasa i wyczuł palcami małą, kamienną figurkę otyłej kobiety. Czuł znajome wielkie piersi, duży sterczący brzuch i bardziej niż rozłożyste biodra. Ramiona i nogi były bez znaczenia, ważny był wygląd Matki i człony kamiennej figurki były jedynie zarysowane. Głowa była gałką z symbolicznie zaznaczonymi włosami, które przesłaniały twarz.

Nikt nie mógł spojrzeć na budzącą lęk twarz Doni, Wielkiej Matki Ziemi, Starej Prababki, Pierwszej Matki, Stworzycielki i Opiekunki całego życia, ona jest tą, która błogosławi wszystkim kobietom i dzięki jej mocy dają światu nowe życie. I żadne z jej małych wyobrażeń, w których zawarty był Jej Duch, doni, nigdy nie ośmieliło się pokazywać rysów jej twarzy. Nawet gdy ukazywała się we snach, to jej twarz miała niewyraźne rysy, choć często widywało się ją o młodych i krągłych kształtach. Niektóre kobiety utrzymywały, że potrafią przybrać jej duchową postać i

niczym wiatr nieść szczęście lub pomstę, a jej zemsta potrafiła być wielka.

Rozgniewana lub obrażona robiła wiele strasznych rzeczy, ale najstraszniejsze, co mogła uczynić, to cofnąć Dar Rozkoszy, który przychodził, gdy kobieta decydowała się otworzyć przed mężczyzną. Wielka Matka i, jak twierdzono, niektóre z Tych – Które Jej Służyły, mogły obdarzyć mężczyznę mocą dzielenia się jej darem z tyloma kobietami, ile będzie pożądał, i tak często, jak sobie będzie tego życzył, lub spowoduje, że skurczy się tak, iż nie będzie mógł dać rozkoszy żadnej z nich ani też samemu jej zaznać.

Jondalar bezwiednie pieścił obwisłe piersi kamiennej donn, pragnąc, aby przyniosła im szczęście w podróży. To prawda, że niektórzy nigdy nie wracali, ale to było częścią przygody. Wtem Thonolan zadał Laduniemu pytanie, które przywróciło Jondalara z powrotem do rzeczywistości.

– A co wiesz na temat płaskogłowych zamieszkujących te okolice? Przed kilkoma dniami natknęliśmy się na ich grupkę. Byłem pewny, że to koniec naszej podróży. – Słowa Thonolana zwróciły na niego uwagę wszystkich.

– Co się stało? – zapytał Laduni z napięciem w głosie. Thonolan opowiedział o wydarzeniu z płaskogłowymi.

– Charoli! – splunął Laduni.

– Kto to Charoli? – zapytał Jondalar.

– Młodzieniec z Jaskini Tomasi, przywódca bandy brutalni, którzy ubzdurali sobie zabawiać się z płaskogłowymi. My nigdy nie mieliśmy z nimi kłopotów. Oni trzymali się swojej strony rzeki; my trzymaliśmy się naszej. Gdy przechodziliśmy na drugą stronę i nie pozostawaliśmy tam zbyt długo, to nie wchodzili nam w drogę. Potem jedynie dawali jasno do zrozumienia, że nas

obserwują. To denerwujące uczucie, gdy się ma świadomość, że gapi się na ciebie banda płaskogłowych.

– Na pewno! – powiedział Thonolan. – Ale co rozumiesz przez określenie: zabawiać się z płaskogłowymi? Ja wolałbym się im nie narażać.

– Wszystko się zaczęło od wygłupiania się. Zakładali się o to, kto dobiegnie i dotknie płaskogłowego. Oni potrafią zachowywać się bardzo dziko, gdy im się dokuczy. Potem młodzi zaczęli atakować grupą każdego napotkanego płaskogłowego – otaczali go i drażnili, próbując zmusić go do tego, aby za nimi gonił. Płaskogłowi mają sporo siły, ale krótkie nogi. Zwykle można ich przegonić, ale lepiej się nie zatrzymywać. Nie jestem pewny, jak się to wszystko zaczęło, ale wkrótce potem banda Charoliego przeszła do bicia. Praypuszczam, że jeden z prześladowanych płaskogłowych dopadł któregoś z nich, a reszta rzuciła się w obronie przyjaciela. W każdym razie, weszło im to w zwyczaj, ale nawet gdy stawali w kilku przeciwko jednemu płaskogłowemu, to wychodzili z tego solidnie potłuczeni.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Thonolan.

– Ale to, co potem zrobili, było jeszcze gorsze – dodała Filonia.

– Filonia! To oburzające! Nie chcę, abyś o tym mówiła! powiedział Laduni rozeźlony na dobre.

– A co oni zrobili? – zapytał Jondalar. – Powinniśmy wiedzieć, skoro mamy podróżować przez terytorium płaskogłowych. – Zdaje się, że masz rację, Jondalarze. Nie chcę jednak rozmawiać o tym przy Filonii.

– Jestem dorosła – stwierdziła, ale w jej tonie zabrakło pewności.

Laduni spojrział na nią z namysłem i wydawało się, że podjął decyzję.

– Samce zaczęły wychodzić jedynie w parach lub grupach i dla bandy Charoliego stanowili zbyt dużą siłę. Więc ci dranie zaczęli drażnić samice. Ale samice płaskogłowych nie walczą. Nie było z nimi zabawy, one po prostu kryły się i uciekały. Więc banda zdecydowała się wykorzystać je do innych zabaw. Nie wiem; kto pierwszy się na to odważył; pewnie Charoli ich do tego namawiał.

– Namawiał do czego? – zapytał Jondalar.

– Zaczęli niewolić samice płaskogłowych... – Laduni nie mógł dokończyć. Poderwał się na nogi, bardziej niż rozeźlony. Był rozwścieczony. – To wstrętne! To obraża Matkę, znieważa jej dar. Zwierzaki! Gorszi niż zwierzaki! Gorszi od płaskogłowych!

– Chcesz powiedzieć, że zażywali rozkoszy z samicami płaskogłowych? Niewolili? Samice płaskogłowych? – dopytywał się Thonolan.

– Przechwalali się tym! – powiedziała Filonia. – Nie pozwoliłabym zbliżyć się do siebie mężczyźnie, który zażywał rozkoszy z płaskogłową.

– Filonia! Nie zabieraj głosu! Nie chcę słyszeć w twych ustach tak plugawego i odrażającego języka! – powiedział Laduni. Wściekłość mu przeszła; spojrzenie jego oczu pozostało jednak twarde niczym kamień.

– Tak, Laduni – odparła, pochylając w zawstydzeniu głowę.

– Ciekaw jestem, co oni o tym myślą – skomentował Jondalar. – Być może dlatego ten młody mnie zaatakował. Domyślam się, że są wściekli. Niektórzy mówią, że oni mogą być ludźmi, a jeżeli są...

– Słyszałem już takie gadanie! – powiedział Laduni, nadal próbując się opanować. – Nie wierzę!

– Przywódca grupy, na którą się natknęliśmy zachowywał się

rozumnie i wszyscy chodzili na nogach zupełnie tak jak my.

– Niedźwiedzie też czasami chodzą na zadnich łapach. Płaskogłowi to zwierzęta! Rozumne zwierzęta, ale zwierzęta. – Laduni z trudem nad sobą panował, świadom tego, że cała grupa czuła się niezręcznie. – Zwykle są niegroźni, dopóki ich nie zaczepić ciągnął. – Nie sądzę, aby to było przez samice; wątpię, aby rozumieli, jak bardzo obraża to Matkę. To wszystko przez znęcanie się i bicie. Jeżeli zwierzakowi dostatecznie dokuczyć, to wtedy atakuje.

– Zdaje się, że banda Charoliego narobiła nam kłopotów powiedział Thonolan. – Chcieliśmy przejść na prawy brzeg rzeki, aby nie mieć z tym kłopotu potem, gdy stanie się ona już Wielką Matką Rzeką.

Laduni uśmiechnął się. Teraz, gdy zmienili temat, wściekłość opuściła go równie szybko, jak się pojawiła.

– Wielka Matka Rzeki ma dopływy, które są dużymi rzekami. Jeżeli masz zamiar iść wzdłuż niej aż do końca, to będziesz musiał się przyzwyczaić do przechodzenia przez rzeki. Pozwól sobie jednak coś poradzić. Trzymajcie się tego brzegu, dopóki nie dotrzecie do dużego wiru. Na płaskim odcinku rzeka dzieli się na kanały, a mniejsze odnogi są łatwiejsze do przejścia niż jedna duża rzeka. Do tego czasu zdąży się ocieplić. Jeżeli będziecie chcieli odwiedzić Sarmunai, to po przebyciu rzeki skierujcie się na północ.

– Jak daleko jest do wiru? – zapytał Jondalar.

– Naszkicuję wam plan – powiedział Laduni, wyciągając krzemienisty nóż. – Lanalia podaj mi kawałek kory. Może inni będą mogli potem dodać więcej szczegółów. Biorąc pod uwagę przejścia przez rzekę i polowania po drodze, to powinniście do lata dotrzeć do miejsca, w którym rzeka skręca na południe.

– Lato – dumiał Jondalar. – Jestem juŹ tak zmęczony lodem i śniegiem, Źe nie mogę się juŹ doczekać lata. Przydałoby mi się trochę ciepła. – Spostrzegł ponownie nogę Lanali obok swojej i położył dłoń na jej udzie.

## . 3 .



Pierwsze gwiazdy rozbłysły już na wieczornym niebie. Ayla ostrożnie schodziła po stromym, skalistym zboczach wąwozu. Gdy tylko znalazła się poza krawędzią, wiatr gwałtownie ucichł. Przystanęła na chwilę, aby nacieszyć się panującym tu spokojem. Ale ściany wąwozu przesłoniły również światło. Zanim dotarła na dół, gęste zarośla wzdłuż małej rzeczki stały się jedynie plątaniną kształtów na tle ruchomego odbicia kroci błyszczących w górze punkcików.

Ayla wypila duży, odświeżający łyk wody z rzeki, a potem, po omacku, zagłębiła się w gęstym mroku czającym się w pobliżu ścian. Nie kłopotowała się rozbijaniem namiotu, po prostu rozłożyła futro i owinęła się nim. Czuła się bezpiecznie, mając za plecami ścianę, o wiele bardziej niż wtedy, gdy się układała do snu na równinie pod namiotem. Przed zaśnięciem przyglądała się pyzatemu, niemal pełnemu obliczu księżyca wiszącego nad krawędzią wąwozu.

Obudziła się z krzykiem!

Poderwała się – napełniona przerażeniem, z pulsującymi skroniami i walącym sercem – i wpatrywała w ledwie widoczne w ciemności kształty przed sobą. Podskoczyła na huk grzmotu, jednocześnie oślepiła ją błyskawica. Z drzeniem obserwowała

wysoką sosnę, która trafiona piorunem, rozszczepiła się i jedna połowa powoli się przewracała, niżej uczepiona nadal do ocalałej połowy. To był niezwykły widok, płonące drzewo przyświecało swej własnej śmierci, rzucając groteskowe cienie na ścianę wąwozu.

Ogień pryskał i syczał, gasnąc w strumieniach ulewnego deszczu. Ayla przysunęła się bliżej ściany nadal nieświadoma ciepłych łez i zimnych kropli spływających jej po twarzy. Pierwszy, odległy grzmot, przypominający wstrząsające ziemią dudnienie, wywołał z popiołów ukrytych wspomnień jedno z nich; koszmar senny, którego nigdy nie mogła po obudzeniu się w pełni zapamiętać, i który zawsze pozostawiał w niej obrzydliwe uczucie niepokoju i przejmującego żalu. Kolejny błysk, a po nim głośny huk momentalnie wypełniły czarną pustkę niesamowitą jasnością i postrzępiony pień drzewa złamał się niczym gałązka pod mocarnym palcem płynącej z nieba światłości.

Drżąc bardziej z lęku niż wilgoci, przenikającej jej odzienie, ścisnęła amulet, czepiając się wszystkiego, co obiecywało jej ochronę. Jej strach tylko w części był reakcją na błyskawice i grzmoty. Ayla nie przepadała za burzami, ale była do nich przyzwyczajona; często były bardziej pomocne niż szkodliwe. Jej lęk był pozostałością po sennym koszmarze o trzęsieniu ziemi. Trzęsienia ziemi były złem, które nigdy nie omieszkało przynieść z sobą spustoszenia i straszliwych zmian w jej życiu i nie było nic, czego bałaby się bardziej.

W końcu uprzytomniła sobie, że jest mokra, i wyciągnęła z nosideł skórzany namiot. Rozciągnęła go nad futrem do spania i zakopała się pod nim z głową. Drżała jeszcze długo potem, gdy się ogrzała, ale w miarę upływu nocy burza słabła i w końcu Ayla



zasnęła.

Powietrze wczesnego poranka było pełne świergotu, szczebiotu i ochrypłego krakania. Ayla odrzuciła przykrycie i rozejrzała się dookoła z zachwytem. Otaczał ją świat pełen zieloności, wilgotnej jeszcze po deszczu i błyszczącej w porannym słońcu. Była na szerokiej kamienistej plaży, w miejscu, gdzie mała rzeczka zakręcała na wschód, płynąc krętym korytem głównie na południe.

Na przeciwnym brzegu rząd ciemnozielonych sosen sięgał jedynie do krawędzi znajdującej się z tyłu ściany. Każdy czubek wystający ponad krawędź rzeczno-głazowego wąwozu był przycinany przez porywiste wiatry wiejące na rozciągających się wyżej stepach. Nadawało to najwyższym drzewom osobliwy wygląd i wymuszało gęste ugałęzienie. Strzeliste olbrzymy, o niemal symetrycznych kształtach, które zakłócały jedynie rosnące pod kątem prostym do pni czubki drzew, wznosiły się jeden obok drugiego. Wyrastały z wąskiego paska ziemi po przeciwnej stronie rzeki, pomiędzy brzegiem a ścianą, niektóre tak blisko wody, że było widać ich nagie korzenie.

Po tej stronie rzeki, patrząc w górę jej biegu, gibkie wierzby pochylały się i moczyły swe długie, bladozielone witki w wodzie. W delikatnych podmuchach wiatru drżały liście na gałęziach wysokich osik. Brzozy o białej korze rosły w kępach, podczas gdy ich kuzynki, olchy, były jedynie wysokimi krzewami. Drzewa oplatały pnącza, a nad brzegiem wody tłoczyły się różnorakie, pełne liści krzaki.

Ayla tak długo wędrowała już wysuszonymi stepami, że zapomniała, jak piękna może być zieleń. Rzeczka migotała zapraszająco. Niepomna na strach wywołany burzą, zerwała się na nogi i pobiegła przez plażę. Pierwszą jej myślą było: napić się.

Następnie wiedziona gwałtownym impulsem odwiązała długi rzemień swego okrycia, zdjęła amulet i rzuciła się do wody. Brzeg szybko opadał, więc zanurkowała, a potem popłynęła na przeciwną stronę.

Woda była zimna i orzeźwiająca, z przyjemnością zmywała z siebie kurz i brud stepów. Popłynęła w górę rzeczki i czuła, jak prąd przybiera na sile, a woda ochładza się w miarę jak pionowe ściany się zbiegają, zawężając koryto. Przewróciła się na plecy i kołysząc się na powierzchni wody pozwoliła się nieść prądowi w dół rzeki. Wpatrywała się w głęboki błękit wypełniający przestrzeń pomiędzy wysokimi brzegami, wtem zauważyła ciemny otwór w ścianie naprzeciwko swej plaży. Czyżby to była jaskinia? – pomyślała z nagłym podnieceniem. Ciekawa jestem, czy trudno byłoby się do niej dostać?

Wyszła na plażę i usiadła na ciepłych kamieniach, aby osuszyć się na słońcu. Jej wzrok przyciągnęły ptaszki żywo krzątające się w pobliżu zarośli; wyciągały dżdżownice, sprowadzone blisko powierzchni nocnym deszczem, i skakały z gałązki na gałązkę, objadając ciężkie od jagód krzaki.

– Patrzenie na te jagody! Jakże one duże – pomyślała. Na jej widok ptaki się poderwały z głośnym furkotem skrzydeł, a potem usiadły w pobliżu. Ayla pełnymi garściami napychała do ust słodkie i soczyste jagody. Po zaspokojeniu pierwszego głodu opłukała ręce i nałożyła amulet. Spojrzała na swe brudne, poplamione i przepotniałe okrycie i zmarszczyła nosek. Nie miała innego. Przed odejściem z klanu wróciła do pełnej gruzu – przez trzęsienie ziemi – jaskini, aby zabrać swoje ubranie, jedzenie i namiot, ale wtedy myślała jedynie o przeżyciu, a nie o tym, czy będzie potrzebowała letniego okrycia na zmianę.

Teraz znowu myślała o przeżyciu. Rozpaczliwe myśli, które

nawiedzały ją na suchych i posępnych stepach, rozproszyła świeża zieleń doliny. Jednakże jagody, zamiast zaspokoić głód, pobudziły jeszcze jej apetyt. Chciała zjeść coś bardziej pożywnego i poszła do miejsca swego noclegu po procę. Rozłożyła mokrą skórę namiotu i wilgotne futro na ciepłych kamieniach, potem nałożyła swe brudne okrycie i zaczęła rozglądać się za krągłymi kamieniami.

Dokładniejsza obserwacja ujawniła, że plaża była bogata nie tylko w kamienie. Znajdowało się tu również drewno, wyrzucone przez wodę, i pobielale kości, znaczna ich część była zgromadzona w wielkiej stercie u podnóża wystającej ściany. Gwałtowne wiosenne powodzie wyrywały drzewa i porywały z sobą nieostrożne zwierzęta, niosąc je przez wąski, skalisty przesmyk w górę biegu rzeczki i ciskając z trzaskiem w ślepy zaułek przy ścianie, w miejscu, gdzie woda, wirując i kotłując się, zakręcała. Ayla dostrzegła stertę olbrzymiego poroża, długich rogów tura i kilku ogromnych, zakręconych kłów; nawet potężne mamuty nie mogły się oprzeć sile powodzi. Duże otoczaki również trafiały się na tym składowisku, ale oczy kobiety zwężyły się na widok kilku średniej wielkości, kredowoszarych kamieni.

– To krzemień! – powiedziała do siebie po dokładniejszym obejrzeniu. – Jestem tego pewna. Potrzebny mi odpowiedni kamień, aby rozbić jeden z nich, żeby się całkowicie upewnić. Ayla w podnieceniu rozglądała się po brzegu w poszukiwaniu gładkiego, owalnego kamienia, który mogłaby wygodnie trzymać w dłoni. Znalazła go i rozbiła kredową osłonę, otaczającą bułę krzemionki. Kawałek białawej osłonki odłupał się, odsłaniając matowy blask ciemnego szarego kamienia, który znajdował się w środku.

– To krzemień! Wiedziałam! – Zaczęła pospiesznie myśleć o

wszystkich narzędziach, które mogła z niego zrobić. – Mogę nawet zrobić kilka na zapas. Nie musiałabym wtedy tak bardzo martwić się tym, że któreś zniszczę. – Wyciągnęła jeszcze kilka ciężkich kamieni, wypłukanych z ich kredowego łóża daleko w górze strumienia i niesionych przez rwący nurt, dopóki nie spoczęły u stóp kamiennej ściany. To odkrycie zachęciło ją do dalszego badania terenu.

Ściana, która podczas powodzi stanowiła barierę dla rwącego potoku, sterczała wysunięta w kierunku wewnętrznej krzywizny koryta rzeki. W normalnych warunkach poziom wody był na tyle niski, że pozwalał łatwo ją obejść. Ayla spojrzała w dół i zatrzymała się. Przed nią rozciągała się dolina, którą dostrzegła z góry.

Za zakrętem rzeka się rozlewała szerzej, burząc się na wystających na płyciźnie kamieniach. Płynęła na wschód u podnóża stromej ściany wąwozu. Drzewa i krzewy, osłonięte przed przenikliwymi wiatrami, dorastały wzdłuż brzegu, na którym stała Ayla, pełne swej wysokości. Po lewej, za kamienną barierą, ściana wąwozu się pochylała, przechodząc w coraz łagodniejszy stok, który stopniowo stapiał się z rozciągającymi się na północy i wschodzie stepami. Przed nią roztaczał się widok na rozległą dolinę porośniętą bujną, dojrzałą trawą, falującą w podmuchach wiatru wiejącego w dół północnego stoku. Pośrodku doliny pasło się małe stadko stepowych koni.

Ayla, napawając się pięknem i spokojem tej sceny, nie mogła wprost uwierzyć, że takie miejsce może istnieć pośrodku suchych, wietrznych stepów. Dolina była oazą ukrytą w rozpadlinie wyschniętej krainy łąk; mikroświatem obfitości, w którym natura ograniczona utylitarną gospodarką stepów, rozkwitała nad wyraz bujnie, kiedy tylko miała ku temu okazję.

Kobieta przyglądała się z zainteresowaniem koniom. Były zwierzętami krzepkimi, o krępej budowie ciała, raczej z krótkimi nogami, mocnymi karkami i ciężkimi głowami o dużych nosach, które przypominały jej duże, zwisające nosy niektórych ludzi z jej klanu. Miały gęstą, kudłatą sierść i krótkie sztywne grzywy. Większość z nich była umaszczona w odcieniach od jasnobułanych do ciemnobułanych, choć trafiały się i myszate. Trochę na uboczu stał jasnobułany ogier i Ayla zauważyła kilka źrebaków tej samej maści. Ogier uniósł łeb, potrząsając swą krótką grzywą i zarżał.

– Dumny jesteś ze swego klanu, prawda? – skinęła mu z uśmiechem.

Ruszyła przez łąkę w pobliżu krzaków obrastających strumień. Bezwiednie szeregowała w myślach widziane rośliny ze względu na ich lecznicze i odżywcze właściwości. Częścią jej wyszkolenia, jako uzdrowicielki, było poznanie i zbieranie roślin przydatnych w magicznej sztuce uzdrawiania i bardzo niewiele było takich, których by natychmiast nie rozpoznała. Tym razem jej celem było wyszukanie pożywienia.

Zauważyła liście i wysuszony kwiatostan, który wskazywał na dziką marchewkę znajdującą się pod ziemią. Minęła ją jednak tak, jakby jej nie spostrzegła. Wrażenie to jednak było mylące. Ayla zapamiętała to miejsce tak dokładnie, jakby je zaznaczyła, a rośliny przecież nie zmieniają swego miejsca. Dostrzegła bowiem trop zająca i w tej chwili była skoncentrowana na zdobyciu mięsa.

W milczeniu, z wprawą właściwą doświadczonemu łowcy, podążała świeżym tropem, za przygiętymi źdźbłami trawy, delikatnym śladem na piasku i tuż przed sobą rozpoznała kształt zwierzęcia kryjącego się pod maskującą osłoną. Wyciągnęła

procę z za rzemienia w pasie i sięgnęła do fałdy w okryciu po dwa kamienie. Gdy zajęc się zerwał, była już gotowa. Z bezwiedną gracją uzyskaną przez lata ćwiczeń wyrzuciła kamień, a w sekundę potem następny i usłyszała miłe dla ucha “pac, pac”. Oba pociski trafiły swój cel.

Ayla podniosła zdobycz i cofnęła się myślami do czasu, kiedy uczyła się techniki strzelania dwoma kamieniami. Pełna zarozumiałości próba zabicia rysia całkowicie uzmysłowiła jej słabe punkty starej techniki. Ale trzeba było długich ćwiczeń, aby udoskonalić metodę posyłania następnego kamienia dokładnie śladem pierwszego i zapewnić w ten sposób celność szybkiego rzutu dwoma kamieniami.

W drodze powrotnej obcięła gałąź z drzewa, zaostrzyła jeden koniec i wygrzebywała nią dziką marchewkę. Schowała ją w fałdzie okrycia i zanim wróciła na brzeg, ucięła dwie rozwidlone gałęzie. Położyła zajęca i marchewkę, a potem wyciągnęła z kosza nosideł świder oraz podstawkę do rozniecania ognia i zabrała się do zbierania suchego drewna z dużej sterty wyrzuconych przez wodę kości i gąszczu zwalonych drzew. Tym samym narzędziem, którym ostrzyła kij do wygrzebywania warzyw, tym ze szczyrbą w kształcie V na ostrym końcu, oczyściła z nierówności suchy kij. Potem złuszczyła luźną kosmatą korę ze starych łodyg bylicy i wysuszone kłaczki z nasion wierzbowki.

Znalazła wygodne miejsce do siedzenia, następnie posortowała drewno ze względu na wielkość i poukładała wokół siebie hubę, podpałkę i większe kawałki drewna. Sprawdziła podstawkę, kawałek suchego powojnika, i wyryła małą szczyrbę wzdłuż jednego końca krzemiennym świdrem. Włożyła koniec kija z zeszłorocznej, wysuszonej bazi do otworu, aby sprawdzić

wielkość. Ułożyła kłaczki z wierzbówki w gniazdku z włóknistej kory pod nacięciem podstawki do rozniecania ognia – i przytrzymała ją stopą, potem umieściła koniec patyka w szczyrbie i wzięła głęboki oddech. Rozniecanie ognia wymagało koncentracji.

Uchwyciła koniec kija pomiędzy złożone dłonie i zaczęła nim obracać, wywierając przy tym nacisk na podłoże. Obracanie z jednoczesnym stałym naciskaniem powodowało przesuwanie się jej dłoni w dół tak, że nieomal dotykały podstawki. Gdyby miała kogoś do pomocy, to właśnie teraz byłby odpowiedni moment, aby ten ktoś zaczął obrót kija od góry. Ale że była sama, musiała puścić kij na dole i szybko złapać ponownie na górze, nie gubiąc przy tym rytmu wirowania kija, ani też nie zwalniając nacisku na dłużej niż mgnienie oka. W przeciwnym razie ciepło wytworzone przez tarcie rozproszyłoby się i nie byłoby na tyle duże, aby drewno zaczęło się tlić. To była ciężka praca, bez chwili wytchnienia.

Ayla wpadła w rytm, nie bacząc na pot perlący się na czole i zaczynający strużkami ściekać jej na oczy. Przy nieprzerwanym ruchu otwór się pogłębiał i zbierał się w nim pył z miękkiego drewna. Poczowała swąd palonego drewna i spostrzegła, że szczyrba pociemniała, zanim jeszcze zauważyła smużkę dymu, to zdopingowało ją do nieprzerywania pracy, choć bolały ją ramiona. Wreszcie mały żarzący się kawałeczek drewnianka przepalił podstawkę i spadł na umieszczoną pod spodem suchą hubkę. Następny etap był jeszcze trudniejszy. Gdyby drewnienko zgasło, musiałyby zaczynać wszystko od początku.

Pochyliła się tak nisko, że czuła na twarzy gorąco, które biło z tłącego się drewna, i zaczęła na nie dmuchać. Obserwowała, jak przy każdym oddechu robi się jaśniejsze, a potem przygasa, gdy

ponownie nabierała powietrza. Przytknęła cieniutkie strużynki do odrobiny tłącego się drewna i patrzyła, jak jaśnieją, a potem ciemnieją nie zapalając się. Wtem wystrzelił małeńki płomyczek. Dmuchała mocniej, dokładając wiórków, a gdy już mała kupka się zapaliła, dodała kilka kawałków podpałki.

Odpoczęła dopiero wtedy, gdy duża kłoda drewna płonęła jasnym płomieniem. Ognisko było rozpalone. Zgromadziła w pobliżu jeszcze kilka kawałków drewna; potem innym, trochę większym, wyszczerbionym narzędziem oczyściła z kory zieloną gałąź, której używała do wygrzebywania dzikiej marchewki. Po obu stronach ogniska wbiła kije, rozwidleniami ku górze tak, aby pasowała do nich dobrze zaostrzona gałąź, a później przystąpiła do zdejmowania skóry z zająca.

Zanim ogień przygasł i zostały po nim jedynie żarzące się drewienka, zając był już nabity na kij i gotowy do pieczenia. Zaczęła zawijać wnętrzności w skórę, żeby się ich pozbyć, tak jak to czyniła w czasie wędrówki, lecz potem zmieniła zamiar.

– Mogłabym wykorzystać to futerko – pomyślała. – Zajęłoby mi to dzień lub dwa...

Opłukała dziką marchewkę w rzece – i krew ze swych dłoni – i zawięła ją w liście babki. Duże, włókniste liście były jadalne, ale pamiętała, że można ich było używać również jako mocnych, uzdrawiających opatrunków na rany lub stłuczenia. Położyła owiniętą w liście dziką marchewkę obok żaru.

Ayla usiadła i odpoczęła chwilę, a potem zdecydowała się zachować futerko. W czasie, gdy jedzenie się gotowało, oczyściła wewnętrzną stronę skóry z naczyń krwionośnych, cebulek włosowych i błon za pomocą złamanego skrobaka i pomyślała, że trzeba by zrobić nowy.

Podczas pracy mruczała monotennie, pozwalając swobodnie



wędrować swym myślom. – Może powinnam zostać tu kilka dni, skończyć wyprawiać skórę. I tak muszę zrobić parę nowych narzędzi. Można by spróbować dostać się do tego otworu w ścianie, znajdującego się w górze rzeki. Ten zajac zaczyna ładnie pachnieć. Jaskinia ochroniłaby mnie przed deszczem, choć może nie nadawać się do użytku.

Wstała i obróciła rożen, i znowu obrabiała skórę, ale już z drugiej strony. – Nie mogę zostać zbyt długo. Muszę przed zimą odszukać ludzi. – Przerwała oskrobywanie skóry, koncentrując się nagle na wewnętrznym niepokoju, którego nigdy nie ukrywała zbyt głęboko. – Gdzie oni są? Iza mówiła, że na kontynencie jest wielu Innych. Dlaczego nie mogę ich znaleźć? Co mam zrobić, Izo? Bez ostrzeżenia łzy wypełniły jej oczy i popłynęły w dół. – Och, Izo, tak bardzo za tobą tęsknię. I za Crebem. I za Ubą. I za Durcem, moim dzieckiem... moje dziecko. Tak bardzo cię pragnęłam, Durc, i było tak ciężko. I nie jesteś zdeformowany, jedynie odrobinę inny. Tak jak ja.

Nie, nie jak ja. Ty jesteś członkiem klanu, będziesz jedynie trochę wyższy i twoja głowa wygląda nieco inaczej. Pewnego dnia będziesz wielkim myśliwym. I będziesz dobry w strzelaniu z procy. I będziesz biegał szybciej od innych. Wygrasz wszystkie wyścigi na Zgromadzeniach Klanu. Być może nie będziesz wygrywał w zapasach, możesz nie będziesz aż tak silny, ale będziesz silny.

Kto jednak będzie się bawił z tobą w wydawanie dźwięków? I kto będzie wydawał z tobą radosne dźwięki?

Muszę przestać – zganiła siebie samą, ocierając łzy wierzchem dłoni. – Powinnam być zadowolona, że jesteś wśród ludzi, którzy cię kochają, Durc. A gdy będziesz starszy, przyjdzie Ura i zostanie twoją partnerką. Oda obiecała przygotować ją do tego, aby była

dla ciebie dobrą kobietą. Ura też nie jest zdeformowana. Jest jedynie inna, jak ty. Ciekawa jestem, czy ja kiedykolwiek znajdę sobie partnera?

Ayla poderwała się, aby sprawdzić jedzenie i aby zająć się czymś, co odciągnie jej umysł od tych myśli. Mięso było bardziej surowe niż lubiła, ale zdecydowała, że jest wystarczająco upieczone. Dzikie marchewki, małe i jasnożółte, były miękkie i miały słodkoostry smak. Brakowało jej soli, która zawsze była dostępna w pobliżu wewnętrznego morza, ale apetyt był najlepszą przyprawą. Pozwoliła reszcie zająca piec się trochę dłużej, a sama w tym czasie oskrobywała skórę, czując się po posiłku o wiele lepiej.

Słońce było już wysoko, gdy postanowiła zbadać otwór w ścianie. Rozebrała się, przepłynęła przez rzekę i wspięła się po wystających korzeniach, aby wydostać się z głębokiej wody. Trudno było wdrapywać się po prawie pionowej skale. Zastanawiała się, czy opłacałoby się tak wysilać, nawet gdyby znalazła jaskinię. Nie mogła się jednak oprzeć rozczarowaniu po dotarciu na wąską półkę przed ciemnym otworem. Stwierdziła bowiem, że był on jedynie niewiele większy od zagłębienia w skale. Zapach hieny dochodzący z zacienionego kąta mówił, że musi tu prowadzić łatwiejsza droga ze stepów, ale nie było tam miejsca dla nikogo większego od hien.

Odwróciła się, aby zejść na dół, po czym obróciła się jeszcze bardziej. W dole biegu rzeczki, trochę niżej, na przeciwnej ścianie, mogła dostrzec szczyt skalnej bariery, która wystawała w kierunku zakrętu. Była to szeroka półka, a za nią, w stromej ścianie, spostrzegła inny otwór, o wiele głębszy. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała spadzistą, ale możliwą do pokonania drogę w górę. Serce jej biło z podniecenia. Jeżeli

będzie tam jaskinia, wszystko jedno jak duża, to będzie miała suche miejsce do spędzenia nocy. W połowie drogi w dół skoczyła do wody, nie mogąc się doczekać chwili, w której zbada nowe odkrycie.

Musiałam ją minąć, schodząc w dół zeszłej nocy, pomyślała, ruszając w górę. Było zbyt ciemno, aby widzieć: Wtem przypomniała sobie, że do nie znanej jaskini zawsze trzeba zbliżyć się ostrożnie, i wróciła po swą procę i kilka kamieni.

Chociaż poprzednio bardzo ostrożnie szukała po omacku drogi w dół, to teraz stwierdziła, że przy dobrym oświetleniu nie musi używać rąk. Przez tysiąclecia rzeka wcięła się ostro w przeciwny brzeg; ściana z tej strony nie była tak stroma. Ayla trzymała procę w pogotowiu, zbliżyła się do skalnego występu i posuwała się dalej ostrożnie.

Wszystkie jej zmysły były wyostrzone. Nadśluchiwała, czy nie usłyszy oddechów lub jakiejś szamotaniny; wypatrywała jakichkolwiek śladów mówiących o ostatnich mieszkańcach; węszyła, szeroko otwierając usta, aby brodawki smakowe pomogły wychwycić zapach charakterystycznej woni zwierząt mięsożernych lub świeżego bądź nieco nadpsutego mięsa; starała się wyczuć skórą najlżejsze uczucie ciepła płynącego z jaskini; zdała się na instynkt, bezszelestnie zbliżając się do otworu. Trzymała się blisko ściany, zakradła się do ciemnej dziury i zajrzała do środka.

Nie zobaczyła nic.

Otwór, skierowany na południowy zachód, był mały. Nie dotykała go co prawda głową, ale mogła to uczynić wyciągniętą ręką. Dno jaskini opadało przy wejściu w dół, ale potem wyrównywało się. Przyniesiony wiatrem żółtoziem i pozostałości po zwierzętach, które korzystały w przeszłości z jaskini,

utworzyły warstwę gleby. Pierwotnie, nierówne i kamieniste dno jaskini było teraz suchą, ubitą warstwą ziemi.

Zerkając zza węgła, Ayla nie wykryła żadnych śladów świadczących o tym, że jaskinia była ostatnio używana. Wśliznęła się cicho do środka, zauważając, jak chłodno tam było ~w porównaniu z gorącą słoneczną półką, i czekała, aby oczy przyzwyczyły się do mrocznego wnętrza. W jaskini było jaśniej, niż się spodziewała. Zrozumiała dlaczego, gdy się zagłębiła bardziej i zobaczyła światło wpadające przez otwór w górze, ponad wejściem. Doceniła natychmiast praktyczną wartość tego otworu. Pozwalałby on na wydostawanie się dymu, bez wypełniania górnych partii jaskini, co było wyraźną korzyścią.

Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, stwierdziła, że zdumiewająco dobrze widzi. Oczywiście była w tym spora zasługa wpadającego światła. Jaskinia nie była duża, ale i też nie była mała. Ściany za wejściem się rozchyłały i biegly do prawie pionowej ściany tylnej. Z grubsza rzecz biorąc, wnętrze miało kształt trójkąta, o kątach u wejścia i przy ścianie wschodniej większych niż przy ścianie zachodniej. Najciemniejszym miejscem był wschodni róg; miejsce, które trzeba było zbadać w pierwszym rzędzie.

Skradała się powoli wzdłuż wschodniej ściany, bacznie wypatrując szpar czy przejść mogących prowadzić do głębszych zakątków kryjących niebezpieczeństwa. W pobliżu ciemnego rogu leżał stos odłupanych od ściany kawałków skały. Wspięła się po kamieniach, czując znajdującą się pod nimi pustkę.

Chciała pójść po łuczywo, ale zmieniła zamiar. Nie słyszała ani nie wyczuła oznak życia i mogła widzieć na niewielką odległość. Przekładając procę i kamienie do jednej ręki, żałowała, że nie nałożyła okrycia, w którym miałyby gdzie schować broń.

Podciągnęła się na skalny występ.

Ciemny otwór był niski; musiała się schylić, aby wejść do środka. Ale był to tylko niewielki zakątek, który kończył się w miejscu, gdzie sklepienie schodziło się z dnem jaskini, tworząc małą niszę. W głębi leżała sterta kości. Sięgnęła po jedną z nich, potem zeszła na dół i wzdłuż tylnej, a potem zachodniej ściany doszła do wyjścia. To była ślepa jaskinia i nie licząc małej niszy, nie miała innych pomieszczeń lub tuneli wiodących do nieznanych miejsc. Robiła wrażenie przytulnej i bezpiecznej.

Ayla poszła na skraj rozciągającego się przed jaskinią tarasu, osłoniła oczy przed jasnymi promieniami słońca i rozejrzała się dookoła. Stała na szczycie wystającej ściany. Poniżej, z prawej strony, sterczało naniesione przez wodę drewno i kości obok kamienistej plaży. Po lewej, rozciągał się widok na dolinę. W oddali rzeka zakręcała ponownie na południe, wijąc się wokół podnóża stromej ściany, podczas gdy lewa ściana opadała i przechodziła w step.

Przyjrzała się trzymanej w dłoni kości. To była długa kość tylnej nogi olbrzymiego jelenia, stara i wysuszona, z wyraźnymi śladami zębów w miejscu, gdzie została rozłupana przez napastnika, aby mógł się dostać do szpiku. Wzór zostawiony przez zęby i sposób, w jaki kość była nadgryziona, wyglądał znajomo. Była pewna, że pozostawił je kot. Znała drapieżniki lepiej niż ktokolwiek w klanie. To na nich nauczyła się swej techniki polowania, ale jedynie na tych najmniejszych i średnich rozmiarów. Te ślady pozostawił duży kot, bardzo duży kot. Okręciła się i ponownie spojrzała na jaskinię.

Lew jaskiniowy! Tu kiedyś musiało być legowisko lwa jaskiniowego. Nisza była świetnym miejscem dla lwicy i jej małych, pomyślała. Może nie powinnam spędzać tu nocy. Może

nie być tu bezpiecznie. Ponownie spojrzała na kość. Ale ona jest bardzo stara i jaskinia nie była używana od lat. A poza tym ogień w pobliżu wejścia odstraszy zwierzęta.

To miła jaskinia. Niewiele jaskiń jest tak miłych. Dużo miejsca w środku, dobre suche podłóże. Nie myślę, aby w środku robiło się mokro, wiosenne powodzie nie sięgają tak wysoko. Jest nawet otwór na dym. Myślę, że pójdę po moje futro i kosz, i trochę drzewa, i przyniosę ogień. Ayla pospieszyła na plażę. Po powrocie rozłożyła skórę namiotu i futro na ciepłych kamieniach skalnej półki i wstawiła kosz do jaskini, potem przyniosła kilka polan. Może przyniosę również kilka kamieni na palenisko, pomyślała schodząc ponownie na dół.

Wtem się zatrzymała. Po co mi kamienie na palenisko? Zostają tylko na kilka dni. Muszę dalej się rozglądać za ludźmi. Muszę ich znaleźć przed nastaniem zimy...

A jeżeli nie znajdę ludzi? Ta myśl prześladowała ją od dłuższego czasu, ale nigdy przedtem nie pozwoliła sobie na jej dokładne sformułowanie; wiążące się z nią następstwa były zbyt przerażające. Co zrobię, gdy zima nadejdzie, a ja nadal nie znajdę ludzi? Nie będę miała żadnych zapasów żywności. Nie będę miała miejsca, które by było suche i ciepłe, osłonięte od wiatrów i śniegu. Nie będę miała jaskini, by...

Ponownie spojrzała na jaskinię, potem na wspaniale osłoniętą dolinę i stado koni pasących się w oddali na łące, potem znowu na jaskinię. To dla mnie idealna jaskinia, powiedziała do siebie. Długo musiałabym szukać drugiej równie dobrej. I dolina. Mogę zbierać, polować i gromadzić żywność. Jest tu woda i więcej drewna, niż potrzeba, aby przetrwać zimę, wiele zim. Jest tu krzemień. I nie ma wiatru. Jest tu wszystko, czego mi potrzeba – z wyjątkiem ludzi.

Nie wiem, czy wytrzymam samotnie całą zimę. Jest już tak blisko. Muszę wkrótce zacząć gromadzić wystarczająco dużo pożywienia. Skąd mogę mieć pewność, że kogoś spotkam, skoro dotąd nikogo nie spotkałam? A jeżeli już znajdę Innych, to skąd mogę wiedzieć, że pozwolą mi zostać. Nie znam ich. Niektórzy z nich są równie źli, jak Broud. Patrzcie, co się stało z biedną Odą. Powiedziała, że mężczyzna który ją zniewolił, tak jak Broud zniewolił mnie, był jednym z Innych. Mówiła, że wyglądają tak, jak ja. A co będzie jeżeli oni wszyscy są tacy, jak on? Ayla ponownie spojrzała na jaskinię, a potem na dolinę. Obeszła skalną półkę dookoła, skopnęła z brzegu luźny kamień, popatrzyła na konie, a po chwili podjęła decyzję.

– Konie – rzekła. – Zostanę przez jakiś czas w waszej dolinie. Wiosną mogę znowu zacząć rozglądać się za Innymi. Ale teraz, jeżeli nie przygotuję się do zimy, to na wiosnę nie będę żyła. – Ayla przemówiła do koni, używając jedynie kilku dźwięków, krótkich i gardłowych. Dźwięków używała jedynie dla imion lub podkreślenia bogatego, skomplikowanego i całkowicie zrozumiałego języka, którym posługiwała się za pomocą płynnych, pełnych gracji ruchów rąk. To był jedyny język, jaki pamiętała.

Po podjęciu decyzji Ayla poczuła ulgę. Lękała się myśli o opuszczeniu tej miłej doliny i stawieniu czoła kolejnym dniom męczącej wędrówki przez wysuszone, smagane wiatrem stepy, lękała się już samej myśli o wędrówce. Zbiegła na kamienistą plażę i zatrzymała się, aby wziąć okrycie i amulet. Gdy sięgnęła po mały skórzany woreczek, zauważyła błysk małego kawałka lodu.

Jak lód może tu być w środku lata? – zastanawiała się, podnosząc go. Nie był zimny; miał twarde, równe brzegi i gładkie

płaskie ściany. Obracała go, oglądając ze wszystkich stron i obserwując jak ścianki migotały w słońcu. Wtem zdarzyło się, iż odwróciła go pod właściwym dla pryzmatu kątem i rozszczepił on światło słoneczne na pełne widmo kolorów. Dziewczyna wstrzymała oddech na widok tęczy, którą rzuciła na ziemię. Ayla nie widziała nigdy czystego kryształu kwarcu.

Kryształ, jak krzemionka i wiele innych kamieni na plaży, był kamieniem narzutowym – nie pochodził z tego miejsca. Błyszczący kamień został wyrwany z miejsca swego urodzenia przez jeszcze większy żywioł – lód – i niesiony przez jego rozpuszczoną postać tak długo, dopóki nie spoczął w namulowej glinie lodowcowego strumienia.

Nagle Ayla poczuła chłód, ciarki jej przeszły po plecach i usiadła, zbyt wstrząśnięta, aby na stojąco rozmyślać nad znaczeniem kamienia. Przypomniała sobie, co Creb powiedział jej dawno temu, gdy była jeszcze małą dziewczynką...

Była zima i stary Dorv snuł opowieści. Zastanawiała się nad legendą, którą Dorv właśnie skończył i ze swoimi pytaniami zwróciła się do Creba. To doprowadziło do wyjaśnienia znaczenia totemów.

– Totemy potrzebują miejsca do życia. Opuściłyby tych, którzy włóczyliby się długo bezdomni. Nie chciałabyś chyba, aby twój totem cię opuścił, prawda?

Ayla sięgnęła do amuletu.

– Ale mój totem nie opuścił mnie, chociaż byłam samotna i nie miałam domu.

– To dlatego, że cię sprawdzał. Znalazł cię przecież, prawda? Lew Jaskiniowy to silny totem, Aylo. Wybrał cię i może postanowił cię zawsze chronić, ponieważ cię wybrał – ale wszystkie totemy są szczęśliwsze, mając dom. Jeżeli będziesz na



niego uważać, to on będzie ci pomagał. On ci powie, co jest najlepsze.

– Skąd będę to wiedziała, Crebie? – zapytała Ayla. – Nigdy nie widziałam ducha Lwa Jaskiniowego. Skąd będę wiedziała, że totem mi coś mówi?

– Nie możesz widzieć ducha swego totemu, ponieważ on jest częścią ciebie i jest wewnątrz ciebie. On ci powie. Musisz jedynie nauczyć się go rozumieć. Jeżeli będziesz miała podjąć decyzję, to on ci pomoże. Da ci znak, jeżeli podejmiesz właściwą decyzję.

– Jakiego rodzaju znak?

– Trudno powiedzieć. Zwykle to bywa coś specjalnego lub niezwykłego. To może być kamień, którego nigdy przedtem nie widziałaś, lub korzeń o szczególnym kształcie, który będzie coś dla ciebie znaczył. Musisz nauczyć się rozumieć swym sercem i rozumem, nie oczami i uszami; wtedy będziesz wiedziała. Ale, gdy nadejdzie ten czas i znajdziesz pozostawiony ci przez totem znak, to schowaj go do swego amuletu. Przyniesie ci szczęście.

Lwie Jaskiniowy, czy nadal masz mnie w swej opiece? Czy to jest znak? Czy podjęłam właściwą decyzję? Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że powinnam zostać w tej dolinie?

Ayla ujęła migotliwy kryształ w dłonie i zamknęła oczy, próbując medytować tak, jak to zawsze czynił Creb; próbując słuchać sercem i umysłem; starając się uwierzyć, że wielki totem jej nie opuścił. Myślała o sposobie, w jaki zmuszono ją do odejścia, i o dniach długiej, męczącej wędrówki, rozglądania się za swymi ludźmi, i o marszu na północ, zgodnie ze wskazówkami Izy. Na północ, dopóki...

Lwy Jaskiniowe! Mój totem przysłał je, aby poleciły mi skręcić na zachód, aby wskazały mi drogę do tej doliny. Chciał, abym ją znalazła. Jest już zmęczony wędrówką i chce, aby tu był również

i jego dom. Jaskinia była przedtem domem lwów jaskiniowych. Odpowiada mu to miejsce. Nadal jest ze mną! Nie opuścił mnie!

Zrozumienie tego przyniosło jej ulgę, uwolniło od napięcia, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Uśmiechnęła się przez łyzy i zaczęła rozwiązywać supły na sznurku zamykającym mały woreczek. Wysypała zawartość, po czym kolejno podnosiła to co znajdowało się w środku.

Najpierw kawałek czerwonej ochry. Każdy w klanie nosił kawałek magicznego czerwonego kamienia; to pierwsza rzecz w każdym amulecie, dawana w dzień Mog-ur, dzień objawienia totemów. Zwykle już małe dzieci otrzymywały swój totem, ale Ayla miała pięć lat, gdy poznała swój. Creb oznajmił to niedługo po znalezieniu jej przez Izę, gdy zaakceptowano jej przyjęcie do klanu. Ayla patrzyła na następny przedmiot, pocierając cztery blizny na nodze: skamieniały odcisk amonitu.

To był kamień, choć zdawał się muszlą jakiegoś morskiego stworzenia; pierwszy znak, jaki otrzymała od totemu, sankcjonujący jej decyzję polowania za pomocą procy. Polowała jedynie na drapieżniki, nie zabijała innej zwierzyny, ponieważ zmarnowałyby się, jako że nie mogła wrócić z nią do jaskini. Drapieżniki były zręczne i niebezpieczne, dzięki czemu ucząc się na nie polować, nabrała niebywalej zręczności. Następnym podniesionym przez Aylę przedmiotem był jej talizman łowiecki, mały, poznaczony ochrą owal z kłów mamuta, który otrzymała od samego Bruna podczas owej przerażającej i fascynującej ceremonii, która uczyniła z niej Kobietę – Która Poluje. Dotknęła cienkiej blizny na gardle, w miejscu, gdzie Creb ją zadrasnął, aby utoczyć krwi w ofierze dla przodków.

Następna rzecz miała dla niej szczególne znaczenie i nieomal ponownie nie wywołała łez. Trzymała mocno zaciśnięte w pięści

trzy, złączone razem, świecące grudki pirytu. Otrzymała to od swego totemu na znak, że jej syn będzie żył. Ostatnim przedmiotem był czarny mangan. Dał jej to Mog-ur razem z kawałkiem duszy każdego z członków klanu, gdy została szamanką. Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. Czyżby to znaczyło, że Broud przeklinając mnie, przeklął również wszystkich innych? Gdy Iza umarła, Creb odebrał dusze, aby nie zabrała ich z sobą do świata duchów. Nikt jednak nie zabrał ich ode mnie.

Ogarnęło ją niemiłe uczucie. Zawsze, od czasu Zgromadzenia Klanu, na którym Creb dowiedział się w pewien niewytłumaczalny sposób, że była inna, nachodziło ją czasami to dziwne uczucie dezorientacji, tak jakby myślała, że ją zmienił. Czowała mrowienie, miała wrażenie klucia, mdłości i słabość oraz głęboki lęk przed tym, co jej śmierć mogła oznaczać dla klanu.

Spróbowała się otrząsnąć z tego uczucia. Podniosła skórzany woreczek i włożyła z powrotem do środka swoją kolekcję, a potem dodała do niej kryształ kwarcu. Zawiązała amulet i sprawdziła stan rzemyka, szukając najmniejszych śladów przetarcia. Creb powiedział, że umrze, jeżeli go kiedykolwiek zgubi. Gdy ponownie nałożyła go na szyję, to zauważyła, że jest odrobinę cięższy.

Siedząc na kamienistej plaży, Ayla się zastanawiała, co się wydarzyło, zanim ją znaleziono. Nie mogła sobie przypomnieć nic ze swego wcześniejszego życia. Tak bardzo różniła się od wszystkich członków klanu. Zbyt wysoka, za blada, jej twarz w niczym nie przypominała twarzy pozostałych członków klanu. Widziała swe odbicie w stawie; było wstrętne. Broud mówił jej to wystarczająco często, ale wszyscy też tak myśleli. Była dużą brzydką kobietą; żaden mężczyzna jej nie chciał.

Ja również nigdy nie chciałam żadnego z nich, pomyślała. Iza mówiła, że potrzebny mi mój własny mężczyzna, ale czy któryś z Innych będzie mnie pragnął bardziej od mężczyzn z klanu? Nikt nie chce dużej, brzydkiej kobiety. Pewnie równie dobrze mogłabym zostać tutaj. Skąd mogę wiedzieć, czy znajdę partnera, nawet jeżeli odnajdę Innych?

## . 4 .



Jondalar przykucnął i obserwował stado poprzez wysoką, złociściezieloną trawę, uginającą się pod ciężarem niedojrzałych kłosów. Intensywnego zapachu koni nie niósł suchy wiatr dmuchający im w twarz. Pochodził od wyschniętego nawozu, którym natarł swoje ciało i trzymał pod pachami, aby zabić swój własny zapach na wypadek zmiany wiatru.

Gorące słońce świeciło na jego spotniałe zbrązowiałe plecy, a po twarzy ciekły mu stróżki potu; kosmyki ciemnych włosów o rozjaśnionych słońcem końcach oklejały mu czoło. Długie pasmo wysunęło się ze skórzanego węzła na karku i wiatr zwiewał mu je na twarz. Dookoła brzęczały muchy, od czasu do czasu siadały i gryzły go. Lewe udo zaczynało mu cierpnąć od kucania.

Ledwie zauważał te drobne niedogodności. Całą uwagę skupiał na ogierze, który nerwowo parskał i stawał dęba, w pełni świadom niebezpieczeństwa, jakie zagrażało jego stadu. Klacze nadal się pasły, ale przesuwając się w pozornie przypadkowy sposób niby zaporą ustawiły się pomiędzy swymi źrebakami a ludźmi.

Thonolan z równym napięciem kucał kilka kroków dalej. Jeden oszczep trzymał na wysokości prawego ramienia, a drugi w lewej ręce. Spojrzał na brata. Jondalar uniósł głowę i mrugnął

okiem w kierunku ciemnobałanej klaczy. Thonolan skinął głową, poprawiał przez chwilę oszczep dla lepszej równowagi i przygotowywał się do skoku.

Jakby na dany sygnał, obaj poderwali się równocześnie i pognali w kierunku stada. Ogier stanął dęba, zarżał ostrzegawczo i ponownie stanął dęba. Thonolan cisnął oszczepem w klacz, w tym czasie Jondalar biegł prosto do samca, krzycząc, machając i starając się go spłoszyć. Podstęp się udał. Ogier nie był przyzwyczajony do hałasujących drapieżników; czworonożni myśliwi atakowali, cicho się skradając. Koń zarżał, ruszył w kierunku człowieka, po czym gwałtownie zawrócił i pogalopował za uciekającym stadem.

Obaj bracia pobiegli w ślad za nim. Ogier spostrzegł zostającą z tyłu klacz i ponaglał ją szczypaniem w boki. Człowiek krzyczał i wymachiwał rękoma, ale tym razem ogier nie ustępował pola, rzucając się pomiędzy ludźmi a klaczą, nie dopuszczając ich do niej, a jednocześnie próbując ją ponaglać. Klacz zrobiła jeszcze kilka chwiejnych kroków i stanęła ze zwieszonym łbem. Oszczep Thonolana sterczał jej z boku, a jaskrawoczerwone strużki plamiły jej bałaną sierść i kapały z matowych kosmyków.

Jondalar się zbliżył, wycelował i rzucił oszczepem. Klacz szarpnęła się, potknęła, a potem upadła. W jej muskularnym karku, poniżej sztywnej grzywy, tkwiło drugie drzewce. Ogier przygalopował do niej, obwąchał delikatnie, a potem zarżał z wyzwaniem i pognął za swym stadem, aby bronić żywych.

– Pójdę po rzeczy – powiedział Thonolan, gdy biegli truchtem do powalonego zwierzęcia. – Łatwiej będzie przynieść wodę tutaj, niż zanieść konia nad rzekę.

– Nie musimy suszyć wszystkiego. Zabierzmy tyle, ile nam trLeba, nad rzekę, to nie będziemy musieli nosić tu wody.

– Dlaczego nie? Przyniosę toporek do połamania kości powiedział Thonolan, wzruszając ramionami i odszedł w kierunku rzeki.

Jondalar wyciągnął z pochwy swój nóż z kościaną rękojeścią i naciął głęboko gardło klaczy. Wyciągnął oszczepy i obserwował kałużę krwi dookoła końskiego łba.

– Gdy powrócisz do Wielkiej Matki Ziemi to podziękuj jej rzekł do martwego konia. Sięgnął do woreczka i nieświadomie zaczął pieścić kamienną figurkę Matki. Zelandoni ma rację, pomyślał. Jeżeli dzieci Ziemi kiedykolwiek zapomną, kto im sprzyja, to mogą się pewnego dnia obudzić i stwierdzić, że nie mają domu. Następnie uchwycił nóż i przygotował się, by wziąć część należną Doni.

– W drodze powrotnej widziałem hienę – powiedział Thonolan po powrocie. – Wygląda na to, że nie tylko my się najemy.

– Matka nie lubi, aby coś się marnowało – powiedział Jondalar, cały umazany krwią. – Wszystko do niej wraca, jak nie w ten, to w inny sposób. Pomóż mi.

– To ryzykowne – powiedział Jondalar, dorzucając kolejny kij do małego ognia. Kilka iskier strzeliło w górę z dymem i zniknęło w nocnym mroku. – Co zrobimy, gdy nadejdzie zima?

– Daleko jeszcze do zimy; zdążymy przedtem znaleźć jakichś ludzi.

– Gdybyśmy teraz zawrócili, to z pewnością spotkamy ludzi. Moglibyśmy dotrzeć przynajmniej do Losadunai, zanim zima zacznie się na dobre. – Odwrócił się do brata przodem. – My przecież nawet nie wiemy, jak zima wygląda po tej stronie gór. Teren jest tu bardziej rozległy, mniej osłonięty, niewiele tu drzew na ogień. Może powinniśmy odszukać Sarmunai. Oni mogliby nam powiedzieć nieco o tym, czego należy się spodziewać, i jak

ludzie żyją w takich warunkach.

– Możesz zawrócić, jeśli chcesz, Jondalarze. Od początku chciałem sam odbyć tę podróż... nie chodzi o to, że nie jestem rad twemu towarzystwu.

– Nie wiem... może powinienem – powiedział, odwracając się, aby spojrzeć w ogień. – Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak długa jest ta rzeka. Spójrz na nią. – Machnął w kierunku migotliwej wody odbijającej światło księżyca. – Ona jest Wielką Matką rzek i jest nieobliczalna. Gdy ruszaliśmy, płynęła na wschód. Teraz na południe i podzieliła się na tak wiele kanałów, że zastanawiam się czasami, czy nadal podążamy wzdłuż właściwej rzeki. Chyba nie wierzyłem, że będziesz chciał iść aż do końca, bez względu na to, jak miałyby być daleko, Thonolanie. A poza tym, nawet jeżeli spotkamy ludzi, to skąd możesz mieć pewność, że będą wobec nas przyjaźni?

– Na tym właśnie polega podróż. Odkrywanie nowych miejsc, poznawanie nowych ludzi. Zdajesz się na łaskę losu. Słuchaj, starszy bracie, wracaj, jeśli chcesz. Mówię poważnie.

Jondalar wpatrywał się w ogień, uderzając rytmicznie dłoń kijem. Nagle poderwał się i cisnął kij w ognisko, wzbijając następny snop iskier. Obszedł je i spojrział na sznury skręcone z podwójnych ścięgien, rozpięte na kołkach nisko nad ziemią, na których suszyły się cienkie pasma mięsa.

– Do czego miałbym wracać? A jeżeli już o to chodzi, to czego miałbym oczekiwać?

– Następnego zakrętu rzeki, następnego wschodu słońca, następnej kobiety na twym posłaniu – powiedział Thonolan.

– I to wszystko? Czy nie oczekujesz niczego więcej od życia?

– A czego więcej można chcieć? Urodziłeś się, żyjesz najlepiej, jak potrafisz, i pewnego dnia wracasz do Matki. A potem, ktoś to



wie?

– Powinno być coś więcej, jakiś powód do życia.

– Daj mi znać, kiedy już go poznasz – powiedział Thonolan, ziewając. – Na razie ja oczekuję na następny wschód słońca, ale jeden z nas powinien czuwać lub powinniśmy rozpalic większe ognisko, aby odstraszyć padlinożerców, jeżeli chcemy, żeby to mięso było tu jeszcze rano.

– Idź spać. Ja będę czuwał; leżę i tak z otwartymi oczyma.

– Jondalarze, ty za dużo się martwisz. Obudź mnie, gdy będziesz zmęczony.

Słońce już wstało, gdy Thonolan wyczołgał się z namiotu, przetarł oczy i przeciągnął się.

– Nie spałeś całą noc? Mówiłem, żebyś mnie obudził.

– Rozmyślałem i nie miałem ochoty na sen. Mam tu jeszcze trochę napoju z szaławii, jeżeli chcesz.

– Dzięki – powiedział Thonolan, zaczerpując drewnianą miseczką parujący płyn. Przykucnął przy ognisku, trzymając w dłoniach miseczkę. Powietrze o wczesnym poranku nadal jeszcze było zimne. Trawa była mokra od rosy, a on miał na sobie jedynie przepaskę na biodrach. Przyglądał się małym ptaszkom, które skakały i fruwały, świergocząc głośno wśród mizernych krzewów i drzewek rosnących nad rzeką. Stado żurawi, gniazdujących na porośniętej wierzbami wysepce na środkowym kanale, zajadało się właśnie rybami na śniadanie. – No i co, udało ci się? – zapytał w końcu.

– Co się udało?

– Znaleźć sens życia. Czy nie nad tym myślałeś, gdy poszedłem spać? Nigdy jednak nie pojmem, dlaczego z tego powodu całą noc nie spałeś. Gdyby jeszcze była w pobliżu jakaś kobieta, no to... Czyżbyś ukrył w wierzbach jedną z błogosławionych przez

Doni...?

– Myślisz, że powiedziałbym ci, gdyby tak było? – zapytał Jondalar, szczerząc zęby w uśmiechu. Potem nieco spoważniał. Nie musisz brzydtko żartować, aby mnie rozweselić, młodszy bracie. Jeżeli chcesz, to pójdę z tobą, aż do końca rzeki. Tylko co chcesz robić potem?

– To zależy od tego, co tam znajdziemy. Zdaje się, że dobrze zrobiłem kładąc się spać. Marne z ciebie towarzystwo, gdy wpadniesz w jeden z tych swoich nastrojów. Cieszę się, że postanowiłeś iść ze mną. Można powiedzieć, że się do ciebie przyzwyczaiłem, do twych nastrojów i w ogóle...

– Już ci mówiłem, że ktoś musi cię trzymać z dala od kłopotów.

– Mnie? W tej chwili nie pogniewałbym się na odrobinę kłopotów. Byłoby to lepsze od bezczynnego czekania, aż mięso się wysuszy.

– Jeżeli pogoda się utrzyma, to zajmie to jedynie kilka dni. Ale w takiej sytuacji nie jestem pewny, czy powinienem ci powiedzieć o tym, co widziałem. – Jondalar przymrużył oczy.

– Daj spokój, bracie. Przecież wiesz, że i tak powiesz...

– W tej rzece jest taki wielki jesiotr... Ale nie ma po co go łowić. Nie chciałbyś przecież czekać, aż i mięso ryby wyschnie.

– Jaki duży? – zapytał Thonolan, wstając żwawo i patrząc w kierunku rzeki.

– Taki duży, że nie jestem pewny, czy moglibyśmy go razem wyciągnąć.

– Żaden jesiotr nie bywa aż tak duży.

– Ten, którego widziałem, był.

– Pokaż mi.

– A myślisz, że kim ja jestem? Wielką Matką? Myślisz, że na moje zawołanie ryba przyplynie ci się pokazać? – Thonolan

wyglądał na boleśnie rozczarowanego. – Ale pokażę ci, gdzie ją widziałem – rzekł Jondalar.

Poszli obaj nad rzekę i zatrzymali się obok zwałonego drzewa, które częściowo wystawało nad wodę. Jakby na pokusę, podpłynął cicho pod prąd duży, ciemny kształt i zatrzymał się pod drzewem w pobliżu dna rzeki, opierając się prądowi delikatnym falowaniem ciała.

– To musi być babka wszystkich ryb. – szepnął Thonolan.

– Ale czy uda nam się wyciągnąć ją na brzeg?

– Możemy spróbować!

– Starczyłoby jej, aby nakarmić całą jaskinię i więcej. Co my z nią zrobimy?

– Czyż to nie ty powiedziałeś, że Matka nie pozwoli, aby się cokolwiek zmarnowało? Hieny i rosomaki też mogą dostać swoją część. Chodźmy po oszczepy – powiedział Thonolan, gorąco pragnąc zapolować.

– Oszczepy tu na nic, potrzebujemy ościeni.

– Ona zdąży odpłynąć, gdy będziemy robić ościenie.

– Ale jeżeli ich nie zrobimy, to nigdy jej nie wyciągniemy. Z oszczepu po prostu się ześliznie – potrzebujemy czegoś z haczykowatym zakończeniem. Zrobienie ościeni nie zajmie wiele czasu. Spójrz na tamto drzewo. Wystarczy obciąć konary tuż poniżej solidnego odgałęzienia, nie musimy martwić się wzmocnieniem i tak użyjemy go tylko raz. – Jondalar podpierał swój opis ruchami rąk. – Potem obetniemy gałąź, pozostawiając krótkie, ostre zakończenie i już mamy haczykowane zakończenie...

– Ale co nam z tego, jeżeli ona odpłynie, zanim je zrobimy? – przerwał Thonolan.

– Widziałem ją tu już dwukrotnie – zdaje się, że to jej ulubione

miejsce odpoczynku. Pewnie tu wróci jeszcze.

– Ale kto wie po jakim czasie.

– A masz teraz coś lepszego do roboty?

Thonolan uśmiechnął się krzywo.

– No dobrze, wygrałeś. Chodźmy zrobić ościenie.

Odwrócili się, aby wracać i stanęli zaskoczeni.

– Skąd oni się tu wzięli? – powiedział Thonolan zachrypniętym szeptem.

– Musieli zobaczyć nasz ogień. Kto wie, jak długo tu już są. Całą noc nie spałem, pilnując padlinożerców. Mogli czekać, aż zachowamy się nieuważnie, na przykład zostawiając nasze oszczepy.

– Nie wyglądają na zbyt przyjaźnie nastawionych; żaden z nich nie wykonał gestu powitania. Co teraz zrobimy?

– Zdaj się na twój największy, najprzyjaźniejszy uśmiech, młodszy bracie i wykonaj gest powitania.

Thonolan próbował wyglądać na pewnego siebie i uśmiechnął się, mając nadzieję, że był to pewny siebie uśmiech. Wysunął obie dłonie przed siebie i ruszył w stronę obcych.

– Jestem Thonolan z Zelan...

Powstrzymał go oszczep wbity w ziemię przed jego stopami.

– Masz jeszcze jakieś dobre rady, Jondalarze?

– Myślę, że teraz kolej na nich.

Jeden z mężczyzn powiedział coś w nie znanym języku i dwóch innych skoczyło w ich stronę. Bracia, ponaglani ostrzami oszczepów, ruszyli do przodu.

– Nie musicie się złościć, przyjaciele – powiedział Thonolan, czując ostre ukłucie. – Właśnie szedłem w tę stronę, gdy mnie zatrzymaliście.

Doprowadzono ich z powrotem do obozowiska i pchnięto na

ziemię. Ten, który poprzednio zabierał już głos, warknął następny rozkaz. Kilku ludzi wsunęło się do namiotu i wyrzuciło wszystko na zewnątrz. Z uchwytów przy nosidłach wyjęto oszczepy i wysypano zawartość koszy.

– Co wy wyprawiacie? – krzyknął Thonolan, podnosząc się. Siłą jednak zmuszono go, by ponownie usiadł, a na ramieniu poczuł strużkę krwi.

– Uspokój się, Thonolan – ostrzegł go Jondalar. – Oni wyglądają na rozzłoszczonych. Nie myślę, aby mieli ochotę dyskutować.

– To tak się traktuje gości? Czyż oni nie znają prawa pozwalającego na swobodne przejście tym, którzy są w podróży?

– To były twoje słowa, Thonolan.

– Jakie słowa?

– Zdajesz się na łaskę losu; na tym polega podróż.

– Dzięki – powiedział Thonolan, sięgając do palącego rozcięcia na ramieniu i przyglądając się pomazanym krwią palcom. To właśnie chciałem usłyszeć.

Ten, który wyglądał na przywódcę, rzucił kilka następnych słów i obaj bracia zostali poderwani na nogi. Thonolan, który był tylko w przepasce, został obrzucony jedynie przelotnym spojrzeniem. Jondalara jednak przeszukano i zabrano mu jego krzemienny nóż z kościaną rękojeścią. Mężczyzna sięgnął po woreczek uczepiony u jego pasa, ale Jondalar schwycił go. Natychmiast poczuł ostry ból z tyłu głowy i zwałił się na ziemię.

Był nieprzytomny jedynie przez chwilę, ale gdy odzyskał świadomość, stwierdził, że leży na ziemi. Thonolan wpatrywał się w niego pełnymi niepokoju oczyma. Ręce miał związane na plecach rzemieniem.

– Sam mówiłeś, Jondalarze.

– Co mówiłem?

– Oni nie są w nastroju do dyskusji.

– Dzięki – skrzywił się Jondalar, przypominając sobie nagle 0 okropnym bólu głowy. – To właśnie chciałem usłyszeć.

– Jak sądzisz, co oni mają zamiar z nami zrobić?

– Nadal żyjemy. Gdyby chcieli nas zabić, to już by to chyba uczynili.

– Może oszczędzają nas na specjalną okazję.

Obaj mężczyźni leżeli na ziemi, przysłuchując się głosom i obserwując obcych kręcących się po ich obozie. Czuli zapach gotowanego pożywienia i kiszki zagrały im marsza. Słońce wzniosło, się wyżej i jego palące promienie sprawiły, że jeszcze bardziej zaczęło im dokuczać pragnienie. Z nadejściem popołudnia dał o sobie znać brak snu i Jondalar się zdrzemnął. Obudziły go krzyki i zamieszanie. Ktoś przybył.

Podciągnięto ich na nogi. Ze zdumieniem przyglądali się krzepkiemu mężczyźnie kroczącemu w ich stronę z białowłosą staruchą na plecach. Człowiek opuścił się na czworaka i inni z wyraźnym szacunkiem pomogli kobiecie zejść z jej rumaka.

– Musi być bardzo ważna, kimkolwiek by ona była – powiedział Jondalar. Uciszyło go uderzenie w żebra.

Kobieta podeszła do nich, wspierając się na sękatym kiju o rzeźbionym końcu. Jondalar wpatrywał się w nią zdumiony i pewny, że nigdy w życiu nie widział nikogo tak starego. Była wzrostu dziecka, skurczona ze starości, a przez rzadkie białe włosy przeświecała różowa skóra głowy. Jej twarz była tak pomarszczona, że ledwie wyglądała na ludzką, tylko jej oczy zdawały się dziwnie do niej nie pasować. U kogoś tak starego spodziewał się raczej ujrzeć przytępione, załzawione starcze oczy. Jej zaś oczy jaśniały inteligencją i poczuciem władzy. Jondalar czuł pełen szacunku podziw dla drobnej kobiety i nie

obawiał się już tak bardzo o siebie i Thonolana. Nie przybyłaby tutaj, gdyby to nie było bardzo ważne.

Kobieta przemówiła, ochrypłym ze starości, ale zaskakująco silnym głosem. Przywódca wskazał na Jondalara i ta skierowała pytanie do niego.

– Przykro mi, ale nie rozumiem – powiedział.

Ponownie przemówiła, pukając się w pierś dłonią równie sękatą jak jej laska i wymawiając słowo, które brzmiało jak “Haduma”. Następnie wskazała sękatym palcem na niego.

– Ja jestem Jondalar z Zelandonii – powiedział, mając nadzieję, iż zrozumiał, o co jej chodzi.

Podniosła głowę, jakby już słyszała ten dźwięk.

– Zel-an-don-ye? – zapytała, powtarzając wolno.

Jondalar skinął głową, oblizując nerwowo swe spierzchnięte usta.

Wpatrywała się w niego z zamyśleniem, a potem przemówiła do przywódcy. Ten zareagował natychmiast, wyrzucając komendę, po czym odwrócił się i podszedł do ogniska. Jeden z pilnujących ich ludzi wyciągnął nóż. Jondalar spojrzał na brata i dostrzegł w jego twarzy odbicie własnych obaw. Zebrał się w sobie, posłał cichą prośbę do Wielkiej Matki Ziemi i zamknął oczy.

Otworzył je z drgnieniem ulgi, gdy poczuł, że przecięto mu rzemienie na rękach. Zbliżał się do nich mężczyzna z pęcherzem wody. Jondalar pociągnął solidny łyk i podał naczynie Thonolanowi, któremu również oswobodzono ręce. Otworzył usta, aby podziękować, ale zmienił zdanie przypominając sobie stłuczone żebra.

Strażnicy doprowadzili ich do ogniska, ale oszczepy nadal trzymali w pogotowiu. Krzepki mężczyzna, który niósł

poprzednio staruszkę, przytargał kłodę, okrył ją futrem, a potem stanął obok z dłonią na rękojeści noża. Kobieta usadowiła się na kłodzie, a Jondalara i Thonolana posadzono przed nią. Starali się nie wykonywać żadnych ruchów, które mogłyby być odebrane jako zagrożenie dla staruszki; nie mieli wątpliwości co do swego losu, gdyby którykolwiek z tych ludzi pomyślał, że chcą ją skrzywdzić.

Staruszka ponownie w milczeniu przyjrzała się Jondalarowi. Ich spojrzenia się spotkały, ale wobec przedłużającego się milczenia Jondalar zaczął czuć się zbity z tropu i niepewny. Nagle kobieta sięgnęła za swą szatę i z płonącymi gniewem oczyma, plując zjadliwymi słowami, które nie pozostawiały wątpliwości co do swego znaczenia, wyciągnęła w jego kierunku jakiś przedmiot. Otworzył ze zdumienia oczy. Staruszka trzymała w dłoni rzeźbioną, kamienną figurkę Matki, jego doni.

Kątem oka dostrzegł, jak strażnik obok niego wzdrygnął się na ten widok. Coś musiało mu się w doni nie podobać.

Kobieta skończyła swoją mowę i podnosząc dramatycznym gestem ramię, rzuciła figurkę na ziemię. Jondalar odruchowo skoczył i sięgnął po nią. Na jego twarzy było znać gniew wywołany zbeszczeszczaniem jego świętego przedmiotu. Nie zważając na ukłucia oszczepem, podniósł go i ukrył w dłoniach.

Ostre słowo kobiety spowodowało odsunięcie oszczepu. Ze zdumieniem ujrzał na jej twarzy uśmiech i błysk rozbawienia w oczach, ale nie był wcale pewny, czy staruszka nie śmiała się złośliwie.

Kobieta wstała z kłody i podeszła bliżej. Stojąc była niewiele większa niż siedząc. Zajrzała głęboko w jego zdumiewająco błękitne oczy. Następnie cofnęła się, kręcąc głową i badając muskuły jego ramion i szerokość pleców. Odchyliła do tyłu



głowę, aby przyjrzeć się całej jego postaci, wysokiej na sześć stóp i sześć cali, potem obeszła go, szturchając pięścią twarde mięśnie jego nóg. Jondalar miał uczucie, że jest oglądany niczym towar wystawiony na wymianę i zarumienił się, zastanawiając się czy sprosta wymaganiom.

Z kolei kobieta obejrzała Thonolana, nakazując mu ruchem ręki, aby wstał, a potem z powrotem zwróciła swą uwagę na Jondalara. Jego rumieniec nabrał intensywnie czerwonego koloru, gdy dotarło do niego znaczenie następnego gestu staruszki. Chciała zobaczyć jego męskość.

Potrząsnął głową i rzucił szczerzącemu zęby Thonolanowi ponure spojrzenie. Na słowo kobiety jeden z ludzi schwycił Jondalara od tyłu, a w tym czasie inny, z widocznym zażenowaniem grzebał się z mocowaniem klapy przy jego spodniach.

– Nie myślę, aby ona miała ochotę na dyskusję – powiedział Thonolan z uśmiechem.

Jondalar gniewnie wzruszył ramionami, odtrącając trzymającego go mężczyznę i sam się obnażył, patrząc spode łba na brata, który trzymał się kurczowo za boki, parskając śmiechem w daremnej próbie powstrzymania się przed ogarniającą go wesołością. Staruszka spojrzała na niego, przechyliła głowę na jedną stronę, a potem dotknęła go sękatym palcem.

Jondalar zrobił się jeszcze bardziej czerwony, gdy z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu jego męskość poczęła nabrzmiewać. Kobieta zachichotała, mężczyzna stojący obok również zachichotał nieprzyzwoicie, ale w jego głosie dało się również wyczuć nutę pełnego podziwu szacunku. Thonolan wybuchnął głośnym śmiechem, tupiąc i zginając się w pół, a oczy

zrobiły mu się wilgotne od łez. Jondalar pospiesznie zakrył swe przyrodzenie, czuł się głupio i był zły.

– Starszy bracie, tobie rzeczywiście potrzeba kobiety, skoro podnieca cię widok tej starej czarownicy – żartował Thonolan, łapiąc oddech i ocierając łzy, po czym ponownie wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

– Mam jedynie nadzieję, że teraz na ciebie kolej – powiedział Jondalar, żałując że nie przychodzi mu do głowy bardziej złośliwa riposta.

Staruszka dała znak przywódcy ludzi, którzy ich zatrzymali, i przemówiła do niego. Nastąpiła gorąca wymiana zdań. Jondalar usłyszał, jak kobieta powiedziała “Zelandonyee”, i zobaczył, jak młodzieniec wskazał mięso suszące się na sznurkach. Dyskusję zakończyła nagle władcza komenda wydana przez kobietę. Mężczyzna rzucił Jondalarowi spojrzenie, a potem dał znak młodzieńcowi o kręconych włosach. Po kilku słowach młodzieniec odbiegł co sił w nogach.

Bracia zostali odprowadzeni z powrotem do swego namiotu, zwrócono im nosidła, ale nie oddano oszczepów i noży. Jeden z ludzi zawsze trzymał się w pobliżu, najwyraźniej pilnując ich. Przyniesiono im jedzenie, a po zapadnięciu nocy bracia wsunęli się do namiotu. Thonolan był w doskonałym humorze, ale Jondalar nie był w nastroju do rozmowy z bratem, który śmiał się za każdym razem, gdy na niego spojrzał.

Po przebudzeniu się wyczuli panującą w obozie atmosferę wyczekiwania. Wczesnym przedpołudniem, witana głośnymi okrzykami, przybyła duża grupa. Rozbito namioty, rozgościli się w nich mężczyźni, kobiety i dzieci i skromne obozowisko dwóch ludzi zaczęło nabierać wyglądu miejsca Letniego Spotkania. Jondalar i Thonolan przyglądali się z zainteresowaniem

zbiorowisku sporych, okrągłych budowli, o prostych ścianach ze skóry przykrytych od góry strzechą. Stawiano je ze zdumiewającą szybkością, jako że różne ich części był już uprzednio zmontowane. Potem do środka wniesiono tłumoczki i przykryte kosze.

Krzątaninę przerwano na czas przygotowywania posiłku. Po południu wokół dużego kolistego szałasów zaczął się gromadzić tłum. Przyniesiono kłodę staruszki, umieszczono ją tuż przed wejściem, i okryto futrzaną narzutą. Na widok staruszki zgromadzeni tłumnie ludzie ucichli i stanęli wokół niej kołem, pozostawiając środek wolny. Jondalar i Thonolan zauważyli, że powiedziała coś do jednego ze zgromadzonych mężczyzn, wskazując przy tym palcem w ich stronę.

– Może zechce, abyś znowu pokazał jakie to żywisz do niej pożądanie – kpił Thonolan, gdy mężczyzna przywołał ich skinieniem ręki.

– Musieliby najpierw mnie zabić!

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie umierasz z pragnienia za tą ślicznotką? – zapytał Thonolan z niewinnym wyrazem oczu.

– Wczoraj z całą pewnością sprawiałeś takie wrażenie – zaczął, po czym znowu wybuchnął śmiechem. Jondalar się odwrócił i odszedł dostojnym krokiem w kierunku grupy.

Wprowadzono ich do środka i staruszka ruchem ręki kazała im usiąść przed sobą.

– Zel-an-don-ye? – zapytała Jondalara.

– Tak – skinął głową. – Jestem Jondalar z Zelandonii.

Staruszka postukała w ramię starca, który był obok niej.

– Ja... Tamen – powiedział, a potem dodał kilka słów, których Jondalar nie zrozumiał -... Hadumai. Długi czas... Tamen... – kolejne nie znane słowo – zachód... Zelandonii.

Jondalar słuchał w napięciu, a potem nagle zdał sobie sprawę, że zrozumiał niektóre z wypowiedzianych przez mężczyznę słów.

– Nazywasz się Tamen i coś cię wiąże z Hadumai. Długi czas... dawno temu ty... zachód... udałeś się w podróż? Do Zelandonii? Potrafisz mówić językiem Zelandonii? – zapytał z podnieceniem.

– Podróż, tak – powiedział mężczyzna. – Nie mówić... długi czas.

Staruszka schwyciła ramię mężczyzny i powiedziała coś do niego, po czym on ponownie odwrócił się do braci.

– Haduma – powiedział, wskazując na nią. – ... Matka... – Tamen zawahał się, a potem wskazał na wszystkich ruchem ramienia.

– Masz na myśli, jak Zelandonii, Ten-Który Służy Matce? Tamten pokręcił głową.

– Haduma... Matka... – Zastanowił się chwilę, a potem skinął na kilku ludzi i ustawił ich obok siebie w rzędzie. – Haduma... matka... matka... matka... matka – powiedział, wskazując najpierw na nią, potem na siebie, a następnie po kolei na każdą z osób.

Jondalar przyglądał się ludziom, próbując zrozumieć sens tej demonstracji. Tamen był stary, ale nie tak stary jak Haduma. Mężczyzna stojący obok niego był w średnim wieku. Obok niego była młodsza kobieta trzymająca za rękę dziecko. Nagle Jondalar zrozumiał.

– Chcesz powiedzieć, że Haduma jest pięciokrotnie matką matek? – zapytał, podnosząc rękę z pięcioma wyciągniętymi palcami. – Matka pięciu pokoleń? – zapytał z pełnym podziwu szacunkiem.

Mężczyzna z ożywieniem kiwał głową.

– Tak, matka matek... pięć... pokoleń – powiedział, wskazując ponownie na każdą z osób.

– Wielka Matko! Czy wiesz, jaka ona musi być stara? – zapytał brata Jondalar.

– Wielka matka, tak – powiedział Tamen. – Haduma... matka. – Klepnął się po brzuchu.

– Dzieci?

– Dzieci – skinął głową. – Haduma matka dzieci... Począł rysować na piasku linie.

– Jeden, dwa, trzy... – liczył Jondalar. – Szesnaście! Haduma urodziła szesnaścioro dzieci?

Tamen ponownie skinął głową, wskazując na kreski na ziemi.

– ... Dużo syn... dużo... dziewczynka? – pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Córci? – podpowiedział Jondalar.

Tamen się rozchmurzył.

– Dużo córek... – pomyślał przez chwilę. – Żywe... wszystkie żywe. Wszystkie... wiele dzieci. – Podniósł dłoń i jeden palec. – Sześć Jaskiń... Hadumai.

– Nic dziwnego, że byli gotowi nas zabić, gdybyśmy choć krzywo na nią spojrzeli – powiedział Thonolan. – Ona jest matką ich wszystkich, żyjącą Pierwszą Matką!

Na Jondalarze również zrobiło to wielkie wrażenie, ale jednocześnie czuł się bardzo zakłopotany.

– Jestem zaszczycony poznaniem Hadumy, ale nie rozumiem, dlaczego jesteśmy przetrzymywani? I dlaczego ona tu przybyła? Starzec wskazał na ich sznury z suszącym się mięsem, a potem na młodego mężczyznę, który ich pierwszy zatrzymał.

– Jeren... polować. Jeren robić... – Tamen narysował na ziemi koło z dwiema rozchodzącymi się liniami w kształcie szerokiej

litery V.

– Zelandonii człowiek robić... robić biec... – Zastanawiał się długą chwilę, a potem uśmiechnął się i powiedział – robić biec konie.

– A więc o to chodzi! – powiedział Thonolan. – Musieli zbudować zagrodę i czekali, aż to stado się do nich zbliży. A my spłoszyliśmy je.

– Rozumiem, dlaczego był zły – powiedział Jondalar do Tamena. – Ale nie wiedzieliśmy, że jesteśmy na waszym terenie łowieckim. Oczywiście zostaniemy i zapolujemy, aby wam to wynagrodzić. Ale pomimo wszystko nie powinno się tak traktować gości. Czyż on nie zna zwyczaju pozwalającego swobodnie przejść tym, którzy są w podróży? – powiedział, dając upust swemu gniewowi.

Starzec nie zrozumiał wszystkiego, ale wystarczająco dużo, aby pojąć sens tego, co usłyszał.

– Niedużo gości. Nie... zachód... długi czas. Zwyczaje... zapomnieć.

– W takim razie powinienes mu przypomnieć. Ty byłeś w podróży, a i on może pewnego dnia mieć ochotę wyruszyć. – Jondalar nadal czuł się urażony ich traktowaniem, ale nie chciał robić z tego zbyt wielkiej sprawy. Nadal nie miał pewności, o co chodziło, i nie chciał ich obrazić swym zachowaniem. – Dlaczego Haduma przybyła? Jak możecie pozwolić, aby w jej wieku odbywała tak dalekie podróże?

Tamen uśmiechnął się.

– Nie... pozwolić Haduma. Haduma powiedzieć. Jeren... znaleźć dumai. Złe... nieszczęście? – Jondalar skinął głową na znak poprawności użytego słowa, ale nie rozumiał, co Tamen usiłował mu powiedzieć. – Jeren dać... człowiek... biegacz.

Powiedzieć Haduma zrobić nieszczęście iść. Haduma przybyć.

– Dumai? Dumai? Masz na myśli Doni? – zapytał Jondalar, wyciągając z woreczka rzeźbioną figurkę. Zebrani dookoła ludzie sapnęli głośno i cofnęli się, gdy spostrzegli, co trzymał w dłoni. W tłumie rozległy się gniewne pomrukiwania, ale Haduma dała im znak i wszyscy umilkli.

– Ale ta doni przynosi szczęście! – zaprotestował Jondalar.

– Szczęście... kobieta, tak. Mężczyzna... – Tamen szukał w pamięci odpowiednich słów -...kradzież magicznej rzeczy powiedział.

Jondalar przysiadł zaskoczony.

– Ale jeżeli jest szczęśliwa dla kobiety, to dlaczego ją rzuciła? – Uczynił gwałtowny ruch jak przy rzucaniu doni na ziemię, wywołując tym okrzyki niepokoju. Haduma przemówiła do starca.

– Haduma... długi czas żyć... duże szczęście. Duże... magia. Haduma powiedziec mi Zelandonii... zwyczaj. Powiedziec Zelandonii mężczyzna nie Hadumai... Haduma powiedziec Zelandonii mężczyzna zły?

Jondalar pokręcił głową.

Teraz Thonolan zabrał głos.

– Myślę, że mówi, iż ona cię sprawdzała, Jondalarze. Wie, że nie mamy tych samych zwyczajów, i chciała zobaczyć, jak zareagujesz, gdy obrazi...

– Obrazi, tak – przerwał Tamen na dźwięk tego słowa. Haduma... wie, nie wszyscy mężczyzna, dobry mężczyzna. Chcieć wiedziec Zelandonii mężczyzna obrazić Matkę.

– Posłuchaj, to jest bardzo szczególna doni – powiedział Jondalar z lekkim oburzeniem. – Jest bardzo stara. Moja matka mi ją dała... przekazywano ją sobie od pokoleń.

– Tak, tak – przytaknął z ożywieniem Tamen. – Haduma wie. Mądra... dużo mądra. Długi czas życie. Duża magia, robić nieszczęście pójść. Haduma wie Zelandonii mężczyzna, dobry mężczyzna. Chcieć Zelandonii mężczyzna. Chcieć... czcić Matka.

Jondalara skrzywiło na widok jaśniejącej w uśmiechu twarzy Thonolana.

– Haduma chcieć – Tamen wskazał na oczy Jondalara niebieskie oczy. Czcić Matka. Zelandonii... duch robić dziecko, niebieskie oczy.

– No i znowu miałaś szczęście, starszy bracie! – wybuchnął Thonolan, szczerząc zęby w złośliwym zadowoleniu. – Dzięki tym swoim wielkim niebieskim oczom. Ona jest zakochana! Trząśł się, próbując powstrzymać śmiech w obawie, aby nie obrazić staruszki, ale nie mógł wytrzymać. – Och, Matko! Nie mogę się doczekać powrotu do domu i opowiedzenia i tego. Jondalar, mężczyzna, którego pragnie każda kobieta! Nadal chcesz wrócić? Jestem gotów dla tego poświęcić koniec rzeki. – Nie mógł dłużej mówić. Zgiął się w pół, kopiąc ziemię, obejmując się i starając się nie śmiać zbyt głośno.

Jondalar przełknął kilka razy ślinę.

– Ach... ja... um... czy Haduma myśli, że Wielka Matka... ach, może nadal... błogosławić ją dzieckiem?

Tamen spojrzał zmieszany na Jondalara i grymasy Thonolana. Potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Powiedział coś do staruszki i cały obóz wybuchnął ochrypłym śmiechem, ponad który wybijał się jej chichot. Thonolan, z uczuciem ulgi, pozwolił sobie na radosny wrzask, a z oczu popłynęły mu łzy.

Jondalar nie widział w tym nic zabawnego.

Staruszka potrząsała głową, próbując przemówić.

– Nie, nie, Zelandonii mężczyzna. – Skinęła na kogoś. Noria,



Noria...

Do przodu wysunęła się młoda kobieta i uśmiechnęła się z zawstydzeniem do Jondalara. Była niewiele starsza od dziewczynki, ale promieniała już świeżą kobiecością. Śmiech w końcu ucichł.

– Haduma duża magia – powiedział Tamen. – Haduma błogosławić. Noria pięć... pokoleń. – Podniósł pięć palców. – Noria zrobić dziecko, zrobić... sześć pokoleń. – Podniósł następny palec. – Haduma chcieć Zelandonii mężczyzna... czcić Matka... – Tamen uśmiechnął się, przypominając sobie słowa – pierwsze obrzędy.

Chmurne czoło Jondalara wygładziło się i w kącikach ust pojawił mu się uśmiech.

– Haduma błogosławi. Zrobić duch iść Noria. Noria zrobić... dziecko, Zelandonii oczy.

Jondalar wybuchnął śmiechem ulgi i zadowolenia. Spojrzał na swego brata. Thonolan już się nie śmiał.

– Nadal chcesz wrócić do domu i opowiedzieć wszystkim o starej wiedźmie, z którą dzieliłem posłanie? – zapytał. Odwrócił się do Tamena. – Proszę, powiedz Hadumie, że to będzie dla mnie przyjemność czcić Matkę i uczestniczyć w Pierwszych Obrzędach Norii.

Uśmiechnął się ciepło do dziewczyny. Ona odwzajemniła jego uśmiech. Z początku uśmiechała się nieśmiało, ale potem coraz szerzej, zniewolonona czarem jego błękitnych oczu.

Tamen przemówił do Hadumy. Ta skinęła głową, a następnie dała znak, aby Jondalar i Thonolan wstali, i ponownie przyjrzała się dokładnie wysokiemu, jasnowłosemu mężczyźnie. Po jego twarzy nadal plątał się ciepły uśmiech, Haduma zajrzała mu w oczy, a po chwili zachichotała i poszła do dużego, okrągłego

szałas. Ludzie, rozchodząc się, nadal się śmiali i rozmawiali o tym nieporozumieniu.

Bracia pozostali, aby porozmawiać z Tamenem; nawet jego ograniczona zdolność do porozumiewania się była lepsza od żadnej.

– Kiedy odwiedziłeś Zelandonii? – zapytał Thonolan. Pamiętasz, jaka to była jaskinia?

– Długi czas – powiedział. – Tamen młody mężczyzna, jak Zelandonii mężczyzna.

– Tamenie, to jest mój brat, Thonolan, a ja nazywam się Jondalar, Jondalar z Zelandonii.

– Ty... witać, Thonolan, Jondalar. – Staruszek się uśmiechnął. – Ja, Tamen, trzy pokolenia Hadumai. Nie mówić Zelandonii długi czas. Zapomnieć. Nie mówić dobrze. Ty mówić, Tamen...?

– Przypominać? – zasugerował Jondalar. Człowiek skinął głową. – Trzy pokolenia? Myślałem, że jesteś synem Hadumy. – dodał Jondalar.

– Nie. – Pokręcił głową. – Chcieć robić Zelandonii, wiedzieć Haduma matka.

– Nazywam się Jondalar.

– Jondalar – poprawił. – Tamen nie Haduma syn. Haduma robić córka. – Podniósł jeden palec z pytającym spojrzeniem.

– Jedna córka? – powiedział Jondalar. Tamen pokręcił głową.

– Pierwsza córka?

– Tak, Haduma zrobić pierwsza córka. Tamen... partnerka? Jondalar skinął. – Tamen partnerka też matka, Noria matka.

– Myślę, że zrozumiałem. Jesteś pierwszym synem pierwszej córki Hadumy i twoją partnerką jest babka Norii.

– Babka, tak. Noria robić... duży zaszczyt Tamen... sześć pokoleń.

– Ja także czuję się zaszczycony, będąc wybranym do jej Pierwszego Obrzędu.

– Noria zrobić... dziecko, Zelandonii oczy. Zrobić Haduma, powiedzieć wielki Zelandonii, zrobić... wielki... silny duch, zrobić silny Hadumai.

– Tamen – powiedział Jondalar, marszcząc czoło. Wiesz przecież, że Noria może nie mieć dziecka o mojej duszy.

Tamen się uśmiechnął.

– Haduma duża magia. Haduma błogosławić, Noria zrobić. Wielka magia. Kobieta nie dzieci. Haduma... – Wskazał palcem w kierunku pachwiny Jondalara.

– Dotknie? – wsparł go słowem Jondalar, czując jak płoną mu uszy.

– Haduma dotknie, kobieta robić dziecko. Kobieta nie... mleko. Haduma dotknie, kobieta robić mleko. Haduma robić Jondalar... duży honor. Wiele mężczyzna chcieć Haduma dotknięcie. Robić długi czas mężczyzna. Robić mężczyzna... przyjemność? – Wszyscy się uśmiechnęli. – Przyjemność kobieta, cały czas. Wiele kobiet, wiele razy. Haduma duża magia. – Przerwał i twarz rozjaśnił mu uśmiech. – Nie robić Haduma... gniew. Haduma zła magia, gniew.

– A ja się śmiałem – powiedział Thonolan. – Sądzisz, że udałoby mi się sprawić, aby mnie dotknęła? Ty i te twoje niebieskie oczy.

– Młodszy bracie, jedyne magiczne dotknięcie, jakiego ci kiedykolwiek było trzeba, to zapraszające spojrzenie ładnej kobiety. – I co z tego. Nie zauważyłem nigdy, aby tobie była potrzebna pomoc. Pomyśl, kto będzie brał udział w Obrzędzie Pierwszej Rozkoszy? Nie twój mały braciszek z szarymi oczyma.

– Biedny mały braciszek. Obóz pełen kobiet, a ty masz zamiar

sam spędzić noc. To do ciebie niepodobne. – Roześmieli się i Tamen, który schwycił sens żartu, przyłączył się do nich.

– Tamen, może lepiej powiedziałaś mi o waszych zwyczajach Pierwszego Obrzędu – powiedział poważniej Jondalar.

– Czy mógłbyś nam przedtem przynieść nasze oszczepy i noże – rzekł Thonolan. – Mam pewien pomysł. Myślę, że wiem, jak poprawić humor temu rozgniewanemu myśliwemu, podczas gdy mój brat będzie zajęty oczarowywaniem tej młodej piękności swymi błękitnymi oczyma.

– Jak chcesz tego dokonać? – zapytał Jondalar.

– Przy pomocy babci, oczywiście.

Tamen spojrzał zakłopotany, ale zaraz złożył to na karb kłopotów językowych.

Tego wieczoru i następnego dnia Jondalar nie widywał zbyt często Thanolana; był za bardzo zajęty odprawianiem rytuałów oczyszczających. Język, nawet przy pomocy Tamena, stanowił przeszkodę w zrozumieniu, a było jeszcze gorzej, gdy zostawał sam z krzywiącymi się staruszkami. Czuł się bardziej odprężony jedynie w obecności Hadumy, która łagodziła niektóre z jego niewybaczalnych błędów.

Haduma nie rządziła ludźmi, ale było oczywiste, że nie odmówią jej niczego. Była traktowana z pełnym życzliwości szacunkiem i odrobiną lęku. Jedynie za sprawą magii mogła żyć tak długo i cały czas zachowywać pełną sprawność umysłową. Potrafiła wyczuć, gdy Jondalar znajdował się w trudnej sytuacji. Jednego razu, gdy miał pewność, że nieświadomie złamał jakieś tabu, Haduma rzuciła się z oczami płonącymi gniewem i zbiła swą laską plecy kilku wycofujących się kobiet. Nie znosiła sprzeciwu, sześć pokoleń będzie miało niebieskie oczy Jondalara.

Wieczorem, gdy w końcu zawiedziono go przed duży, okrągły

szałas, nie był nawet pewny, czy to już czas, zanim nie wszedł do środka. Po przekroczeniu wejścia przystanął, aby się rozejrzeć. Wnętrze oświetlały dwie kamienne lampki w kształcie czarek. Płonął w nich suchy mech zanurzony w tłuszczu. Ziemię okrywały futra, a ściany były obwieszane wzorzystymi plecionkami. Za okrytym futrami podwyższeniem wisiała skóra białego konia ozdobiona czerwonymi głowami młodych, obficie nakrapianych dzieciółów. Na samym brzegu podwyższenia siedziała Noria i nerwowo spoglądała na spoczywające na kolanach dłonie.

Z drugiej strony odgrodzono kawałek pomieszczenia wiszącymi skórami, znaczoneymi w tajemne wzory, i zasłoną z rzemieni jedną ze skór pocięto w wąskie pasma. Ktoś był za tą zasłoną. Ujrzał dłoń odchylającą kilka rzemyków i przez krótką chwilę patrzył w pomarszczoną, starą twarz Hadumy. Odetchnął z ulgą. Zawsze przynajmniej jedna osoba była świadkiem ceremonii, aby móc potem zaświadczyć o przekształceniu dziewczyny w kobietę oraz upewnić się, czy mężczyzna nie był zbyt brutalny. Jondalar, jako że był obcy, obawiał się nawet, że może tu być całe grono niechętnych mu strażników. Przy Hadumie jednak nie miał żadnych obaw. Ale nie wiedział, czy ma ją pozdrowić, czy też jej nie zauważać. I postanowił uczynić to drugie, a zasłona opadła z powrotem.

Noria na jego widok wstała. Jondalar podszedł do niej z uśmiechem. Była raczej drobna, twarz okalały jej miękkie, jasnobrązowe włosy. Była boso, wokół talii miała zawiązaną spódniczkę z jakichś włókien, które kolorowymi pasami spływały poniżej kolan. Koszula z miękkiej jeleniej skóry, ozdobiona barwionymi piórkami, była zasznurowana ciasno z przodu. Opinała ciało wystarczająco, aby ukazywać, że jej kobiece

kszałty były już dobrze rozwinięte, choć nie straciła jeszcze dziewczęcych krągłości.

W jej spojrzeniu czaiła się obawa, lecz próbowała się uśmiechać. Jondalar nie uczynił żadnych gwałtownych ruchów, a jedynie usiadł na brzegu podwyższenia i uśmiechnął się. Dziewczyna z wyrazem lekkiej ulgi również usiadła, jednak dostatecznie daleko, aby ich kolana się nie stykały.

Byłoby prościej, gdybym mówił jej językiem, pomyślał. Ona jest przestraszona. Nic dziwnego, jestem przecież dla niej całkiem obcym człowiekiem. Taka przestraszona, to wzruszające. Czuł przypływ opiekuńczych uczuć i pierwsze dreszcze podniecenia. Zauważył w pobliżu rzeźbioną drewnianą misę i kilka czarek do picia, zamierał po nie sięgnąć, ale ona spostrzegła jego zamiar i poderwała się, aby je napełnić.

Gdy podawała mu czarkę bursztynowego napoju, dotknął jej dłoni. Cofnęła nieco rękę. Jondalar uściśnął delikatnie jej dłoń, potem wziął czarkę i wypił. Płyn był słodki, o ostrym sfermentowanym posmaku. Nie był nieprzyjemny, ale Jondalar nie był pewny jego mocy. Postanowił nie pić za wiele.

– Dziękuję, Noria – powiedział, odstawiając czarkę.

– Jondalar? – zapytała, spoglądając w górę. W świetle kamiennych lampek mógł jedynie powiedzieć, że jej oczy były nieco ciemne, ale nie był pewny, czy były szare, czy też niebieskie.

– Tak, Jondalar. Z Zelandonii.

– Jondalar... Zelandonii mężczyzna.

– Noria, Hadumai kobieta.

– Ko-bieta?

– Kobieta – powiedział, dotykając palcem jednej z dziewczęcych piersi. Dziewczyna odskoczyła.

Jondalar odsznurował pod brodą swoją szatę i rozchylił ją, ukazując lekko kędzierzawą pierś. Uśmiechnął się i dotknął swej piersi. – Nie kobieta. – Pokręcił głową.

Dziewczyna zachichotała.

– Noria kobieta – powiedział, powoli wyciągając ponownie rękę w kierunku jej piersi. Tym razem pozwoliła się dotknąć, nie odsunęła się i uśmiechnęła się bardziej swobodnie.

– Noria kobieta – powiedziała, a potem z figlarnym błyskiem w oczach wskazała na jego przyrodzenie. – Jondalar mężczyzna; Raptem wystraszyła się, jakby z obawy, że mogła posunąć się a daleko i podniosła się, aby napełnić ponownie czaraki. Nalewała płyn nerwowo, trochę rozlewając i sprawiając wrażenie zakłopotanej. Drżącą ręką podała mu czarke.

Przytrzymał jej dłoń, wziął czarke i upił, potem jej zaproponował łyk. Skinęła głową, ale ponieważ trzymał czarke przy jej ustach, musiała objąć jego dłonie swymi, aby się napić. Jondalar odstawił naczynie, ponownie sięgnął po jej dłonie i ucałował delikatnie każdą z nich. Dziewczyna otworzyła szeroko za zdumienia oczy, ale nie cofnęła ich. Potem powiódł dłońmi w górę jej ramion, pochylił się bliżej i pocałował ją w szyję. Noria z napięciem i obawą czekała na to, co uczyni dalej.

Jondalar przysunął się bliżej, ponownie pocałował szyję, a jego ręka osunęła się w dół, żeby ująć dłonią jedną z piersi. Dziewczyna, choć nadal się bała, to jednak zaczynała już czuć pierwsze dreszcze podniecenia. Przechylił jej głowę do tyłu, całował szyję i muskał językiem skórę, pod którą było gardło. Sięgnął, by odwiązać sznurowanie koszuli pod jej brodą. Potem powędrował ustami w górę do ucha i wzdłuż twarzy, odszukując usta. Otworzył soje i wsunął język pomiędzy jej wargi, a gdy się rozchyliły, nacisnął delikatnie, aby otworzyć je szerzej.

Następnie cofnął się, puszczał jej ramiona i uśmiechnął się. Dziewczyna miała oczy zamknięte, ale usta nadal miała rozchylone i szybko oddychała. Ponownie ją pocałował, pieścąc pierś. Potem sięgnął, aby wyciągnąć sznurek z jednej dziurki. I Noria lekko zeszywniała. Jondalar przerwał i spojrzał na nią, a potem uśmiechnął się i spokojnie wyciągnął sznurek z następnego otworu. Dziewczyna siedziała sztywno, nie ruszając się. Spoglądała na jego twarz, a on wyciągał sznurek z kolejnych dziurek, dopóki bluza z jeleniej skóry nie wisiała luźno, rozpięta z przodu na całej długości.

Pochylił się ku jej szyi, zdejmując z jej ramion bluzę i odsłaniając sterczące dziewczęce piersi o nabrzmiąłych sutkach. Czuł pulsowanie w swej męskości. Całował jej ramiona rozchyłonymi ustami, wodząc językiem i czuł, jak drży. Pieścił ramiona, zsuwając z nich bluzę. Jego dłonie powędrowały w górę jej kręgosłupa, jego język w dół szyi i piersi, obwiódł nim dookoła brodawki, czując, jak sutek nabrzmiewa, i possał go delikatnie. Dziewczyna westchnęła, ale się nie odsunęła. Possał drugą pierś, wrócił językiem do ust pocałował ją, odchylając do tyłu.

Noria otworzyła oczy i spojrzała na niego z futrzanego posłania promiennym wzrokiem. Jego oczy były tak bardzo błękitne i przyciągające, że nie mogła się od nich uwolnić.

– Jondalar mężczyzna, Noria kobieta – powiedziała.

– Jondalar mężczyzna, Noria kobieta – powiedział ochrypłym głosem, po czym usiadł i ściągnął przez głowę swoją koszulę. Czuł gwałtowne pulsowanie, gdy jego męskość parła, próbując się wydostać. Pochylił się nad dziewczyną, pocałował ponownie i poczuł, jak otwiera usta, by dotknąć swym językiem jego języka. Pieścił jej piersi i wodził językiem w dół szyi i ramion. Znowu odnalazł jej sutek i possał mocniej słysząc, jak jęczy, i czując swój



własny przyspieszony oddech.

Już tak dawno nie byłem z kobietą, pomyślał. Chciał ją wziąć natychmiast. Spokojnie, nie wystrasz jej, upomniał samego siebie. To jej pierwszy raz. Masz całą noc, Jondalarze. Czekaj, dopóki nie będziesz wiedział, że i ona jest gotowa.

Pieścił gołą skórę poniżej wezbranych wzgórków piersi aż do talii i szukał rzemienia zbierającego jej spódniczkę. Rozplątał węzeł, wsunął dłoń pod spód i położył na brzuchu. Dziewczyna zeszywniała, a potem ponownie się rozluźniła. Sięgnął jeszcze niżej, pomiędzy jej uda, muskając miękki puszek porastający jej wzgórek łonowy. Przesunął ręką po wewnętrznej stronie jej ud. W odpowiedzi dziewczyna rozchyliła nogi.

Cofnął dłoń, usiadł, a potem zsunął jej spódniczkę z bioder i upuścił na ziemię. Potem wstał i spojrzał na jej delikatne, krągłe nie w pełni jeszcze rozkwitłe kształty. Uśmiechnęła się do niego, w jej spojrzeniu było zaufanie i pragnienie. Jondalar odwiązał rzemień przytrzymujący spodnie i opuścił je. Dziewczyna westchnęła na widok jego sterczącego, nabrzmiałego członka i z cieniem obawy spojrzała mu ponownie w oczy.

Noria z fascynacją przysłuchiwała się opowieściom innych kobiet o ich Obrzędzie Pierwszej Rozkoszy. Bynajmniej nie wszystkie kobiety uważały, aby to była taka wielka rozkosz. Mówiły, że Dar Rozkoszy został ofiarowany mężczyznom, że kobietom dano zdolność czynienia przyjemności mężczyznom, tak aby byli oni do nich przywiązani; dzięki temu mężczyzna będzie polował, przynosił jedzenie i skóry na odzienie, gdy kobieta będzie w ciąży lub będzie karmiła piersią. Norię ostrzegano, że w czasie Obrzędu Pierwszej Rozkoszy czeka ją ból. Jondalar był tak nabrzmiały, tak duży, jak on się w niej zmieści?

Znał to pełne bojaźni spojrzenie. To była krytyczna chwila;

będzie musiała ponownie się do niego przyzwyczaić. Sprawiało mu przyjemność budzenie uśpionych dotychczas zmysłów kobiety, przygotowując ją do przyjęcia Daru Matki. Wymagało to jednak delikatności i finezji. – Żebym tak kiedyś mógł dać rozkosz kobiecie za pierwszym razem, pomyślał, i nie obawiać się, że jej sprawię ból. – Wiedział, że to było niemożliwe. Obrzęd Pierwszej Rozkoszy zawsze był dla kobiety trochę bolesny.

Usiadł obok niej i czekał, zostawiając jej czas. Jego pulsujący członek przyciągał jej wzrok. Ujął jej dłoń i powiodł, by go dotknęła; poczuł przeszywający dreszcz. W chwilach takich, jak ta, jego męskość zdawała się żyć swym własnym życiem. Noria poczuła miękkość jego skóry, ciepło, pewność, z jaką się prężył i, gdy członek poruszył się ochoczo w jej dłoni, uczuła ostre, przyjemne mrowienie w ciele i wilgoć pomiędzy nogami. Próbowwała się uśmiechnąć, ale w jej oczach nadal się czaił lęk.

Wyciągnął się obok niej i pocałował ją delikatnie. Dziewczyna otworzyła oczy. Ich spojrzenia się spotkały. Dostrzegła jego niepokój, pożądanie i jakąś nienazwaną, nieodpartą siłę. Jego niemożliwie błękitne oczy przyciągały ją i oszołamiały, czuła się w nich całkowicie zagubiona i poczuła znowu ów przyjemny dreszcz. Chciała go. Obawiała się bólu, ale chciała go. Sięgnęła po niego, zamknęła oczy, otworzyła usta i przytuliła się do niego.

Jondalar pocałował ją, pozwalając, aby wniknęła w jego usta i w swych pieszczotach przesunął się powoli coraz niżej, całując i drażniąc językiem kark, szyję oraz delikatnie pieszcząc jej brzuch oraz uda. Przesunął się w okolice wrażliwego sutka, ale cofnął się czekając, aż poda mu usta. Wtedy wsunął dłoń w ciepłą szparę pomiędzy jej udami i odnalazł mały, drgający guzek. Z ust dziewczyny wyrwał się okrzyk.

Poruszając palcem ssał i delikatnie gryzł jej sutki. Noria

jęknęła i poruszyła biodrami. Jondalar przesunął się niżej, czując jak dziewczyna wstrzymuje oddech. Jego język odnalazł pępek i poczuł, jak Noria się pręży, gdy przesunął się jeszcze niżej, cofając się na podwyższeniu, dopóki nie poczuł pod kolanami ziemi. Wtedy rozsunął jej nogi i po raz pierwszy skosztował jej ostrego, słonawego smaku. Wraz z oddechem wyrwał się Norii drżący okrzyk. Jęczała przy każdym oddechu, rzucając głową w przód i w tył i unosząc swe biodra na spotkanie mu.

Jondalar rozchylił ją dłońmi, otworzył, lizał jej ciepłe zagłębienia, a potem odszukał językiem mały guzek i począł go drażnić. Jego własne podniecenie narastało coraz bardziej w miarę, jak dziewczyna pojękując ruszała biodrami. Z trudem usiłował się pohamować. Słyszając, że coraz szybciej dyszy, wyprostował się. Nadal klęcząc, aby móc kontrolować swe wnikiwanie, naprowadził główkę swego nabiegłego krwią organu na jej dziewiczy otwór. Zacisnął zęby, aby nie stracić panowania i wniknął w ciepłe, wilgotne i bardzo ciasne wnętrze.

Gdy oplotła go w pasie nogami, poczuł się z nią zespolony. Palcem ponownie odszukał guzek i lekko masował go, dopóki nie poczuł, iż dziewczyna unosi biodra. Cofnął się i pchnął mocno, czując, że wnika w głąb, czemu towarzyszył jej krzyk bólu i rozkoszy oraz jego własny okrzyk, gdy wyzwolił w drżących skurczach swe nagromadzone emocje.

Poruszył się jeszcze kilkakrotnie tam i z powrotem, wnikając tak głęboko, jak potrafił, czując, jak wyciekają ostatnie krople jego nasienia, a potem opadł na nią. Było po wszystkim. Leżał przez chwilę z głową na jej piersi, oddychając ciężko, a następnie uniósł się. Noria leżała bezwładnie, głowę miała odwróconą na bok, oczy zamknięte. Jondalar wycofał się i ujrzał plamy krwi na białym futrze pod nią. Podniósł z powrotem jej nogi na

podwyższenie i położył się obok niej, zapadając się w futra.

Gdy oddech zaczął mu się uspokajać, poczuł na głowie dotyk rąk. Otworzył oczy i ujrzał starą twarz i jasne oczy Hadumy. Noria przysunęła się do niego. Haduma się uśmiechnęła, skinęła z aprobatą głową i zaczęła monotonicznie śpiewać. Dziewczyna otworzyła oczy. Widok starej kobiety sprawił jej wyraźne zadowolenie, które wzrosło jeszcze bardziej, gdy staruszka przesunęła dłonie z głowy Jondalara na jej brzuch. Haduma, śpiewając, wykonała nad nimi tajemnicze ruchy, a potem wyciągnęła spod nich zaplamione krwią futro. Krew z Obrzędu Pierwszej Rozkoszy miała dla kobiety magiczne znaczenie.

Następnie staruszka spojrzała znowu na Jondalara i uśmiechając się wyciągnęła swój sękaty palec w kierunku jego wyczerpanego członka. Poczuł, jak pod wpływem tego dotknięcia jego męskość się pręży i próbuje ponownie wrócić do życia, a potem znowu mięknie. Haduma zachichotała cicho, i po chwili, utykając, wyszła z namiotu, zostawiając ich samych.

Jondalar wyciągnął się obok Norii. Po pewnym czasie, dziewczyna usiadła i spojrzała na niego jarzącymi się z rozmarzenia oczami.

– Jondalar mężczyzna, Noria kobieta – powiedziała to takim tonem, jakby naprawdę czuła się teraz kobietą i pochyliła się, aby go pocałować. Jondalar zdziwił się, czując tak szybko dreszcz podniecenia i zastanawiał się, czy miało z tym coś wspólnego dotknięcie Hadumy. Przestał o tym jednak myśleć, gdy zaczął pokazywać obojętnie dziewczynie sposoby na zadowolenie go i dostarczając jej nowych rozkoszy.

Zanim Jondalar zdążył wstać, olbrzymi jesiotr był już wyciągnięty na brzeg. Co prawda Thonolan wcześniej wetknął głowę do namiotu, pokazując kilka ościeni, ale brat odpędził go

machnięciem ręki, objął ramieniem Norię i zasnął ponownie. Po obudzeniu stwierdził, że dziewczyny już nie było. Naciągnął spodnie i poszedł nad rzekę. Patrząc na radość Thonolana, Jerena i kilku innych z nowo zadzierzgniętej przyjaźni, żałował, że nie poszedł z nimi na ryby.

– Patrzcie, kto zdecydował się wstać – powiedział Thonolan na jego widok. – Trzeba mieć błękitne oczy, aby tak się wylegiwać, gdy wszyscy inni walczyli, aby wyciągnąć tę starą Hadumę z wody.

– Haduma! Haduma! – podchwycił teren, śmiejąc się i wskazując na rybę. Obszedł ją dumnie dookoła, a potem zatrzymał się przed podobnym do rekina łbie. Czułki wyrastające z dolnej szczęki świadczyły o tym, że żeruje w pobliżu dna i jest niegroźny, ale już sama jego wielkość stanowiła wyzwanie. Był dobrze ponad piętnaście stóp długi.

Z łobuzerskim uśmiechem młody myśliwy poruszał tam i z powrotem biodrami przed nosem wielkiej starej ryby, naśladując erotyczne ruchy i pokrzykując: Haduma! Haduma! – jakby błagał, aby go dotknęła. Pozostali wybuchnęli sprośnym śmiechem i nawet Jondalar się roześmiał. Inni zaczęli tańczyć dookoła ryby, potrząsając, biodrami i pokrzykując “Haduma!” – i z rozbawieniem poczęli odpychać się nawzajem, próbując zająć miejsce przy głowie. Jeden z mężczyzn został wepchnięty do rzeki. Przyczłapał z powrotem, schwycił najbliższego i też wepchnął go do wody. Wkrótce wszyscy wpychali się nawzajem do wody, a w środku kłębowiska tkwił Thonolan.

W pewnej chwili wyskoczył na brzeg. Ociekał jeszcze wodą, gdy dopadł swego brata.

– Nie myśl sobie, że uda ci się ujść sucho! – powiedział, gdy Jondalar stawiał opór. – Chodź, Jarenie, zamoczmy te niebieskie

oczka!

Jeren usłyszał swe imię, dostrzegł szarpaninę i przybiegł w te pędy z pomocą. Inni poszli za nim. Popychając i szarpiąc, zaciągnęli Jondalara na brzeg, a potem wszyscy znaleźli się w wodzie, zanosząc się od śmiechu. Zupełnie przemoczeni wyszli na brzeg nadal się śmiejąc, dopóki jeden z nich nie spostrzegł staruszki stojącej przy rybie.

– Haduma, co? – powiedziała, obrzucając ich srogim spojrzeniem. Mężczyźni wyglądali na pełnych skruchy, rzucali sobie ukradkowe spojrzenia. Wtem staruszka zachichotała z lubością, stanęła przed głową ryby i poczęła swymi starymi biodrami kołysać tam i z powrotem. Wszyscy się roześmieli i podbiegli do niej. Każdy z mężczyzn opuścił się na czworaka i błagał ją, aby zechciała usiąść na jego plecach.

Jondalar uśmiechał się na widok zabawy, w którą najwyraźniej musieli się już poprzednio z nią bawić. Jej uczestnicy nie tylko szanowali swą wiekową protoplastkę, oni ją kochali, a i jej ta zabawa zdawała się sprawiać przyjemność. Haduma rozejrzała się dookoła, a spostrzegłszy Jondalara wskazała na niego. Mężczyźni przywołali go ruchem rąk. Błękitnooki zauważył, z jaką troskliwością pomagali jej wejść na jego plecy. Wstał ostrożnie. Staruszka prawie nic nie ważyła, ale zaskoczyła go siła jej uścisku. Wątku starowinka nadal miała znaczną siłę.

Zaczął iść, ale reszta pognęła przodem i Haduma ponagliła go, klepiąc po plecach. Biegali tam i z powrotem wzdłuż brzegu, dopóki nie stracili tchu, a potem Jondalar przysiadł, pozwalając jej zejść. Staruszka się wyprostowała, odnalazła swą laskę i z wielkim dostojeństwem skierowała się w stronę namiotów.

– Czy dasz wiarę? – zapytał z podziwem Jondalar Thonolana. –

Szesnaścioro dzieci, pięć pokoleń i jej nadal nie opuszczają siły. Nie mam wątpliwości, że dożyje, aby zobaczyć swe szóste pokolenie.

– Ona żyć sześć pokoleń, a potem umrze.

Jondalar odwrócił się na dźwięk głosu. Nie zauważył nadejścia Tamenu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że potem umrze?

– Haduma mówić, Noria zrobić syna niebieskie oczy, Zelandonii dusza, a potem Haduma umrze. Ona mówić, długi czas tu, czas ucieka. Zobaczyć dziecko, potem umrzeć. Dziecko nazwać, Jondal, szóste pokolenie Hadumai. Haduma cieszyć Zelandonii mężczyzna. Mówić dobry mężczyzna. Niełatwo zadowolić kobietę w Pierwszym Obrzędzie, Zelandonii mężczyzna, dobry mężczyzna. Jondalar był pełen sprzecznych uczuć.

– Jeżeli jej życzeniem jest odejść, to odejdzie, ale to mnie smuci – powiedział.

– Tak, wszyscy Hadumai dużo smutek – powiedział.

– Czy mógłbym znowu zobaczyć się z Norią, choć to tuż po Pierwszym Obrzędzie? Tylko na chwilę? Nie znam waszych zwyczajów.

– Zwyczaj, nie. Haduma mówi tak. Odchodzisz wkrótce?

– Myślę, że powinniśmy, jeżeli tylko Jeren uzna, że jesiotr spłacił nasze zobowiązania za wypłoszenie koni. Skąd o tym wiesz? – Haduma mówić.

Wieczorem obóz czcił złowienie jesiotra. Wcześniej, przed południem, wiele rąk było zajętych pilną pracą pocięcia mięsa na pasma do suszenia. Jondalar dostrzegł raz z oddali Norię, ale była prowadzona przez kilka kobiet do jakiegoś miejsca w górze rzeki. Zapadł już zmrok, gdy Norię przyprowadzono na spotkanie z

nim. Poszli razem nad rzekę, a za nimi podążyły dyskretnie dwie kobiety. Wystarczająco już złamano zwyczaj, pozwalając na spotkanie bezpośrednio po Obrzędzie Pierwszej Rozkoszy; spotkanie na osobności to byłoby już za wiele.

Stali w milczeniu pod drzewem, dziewczyna miała opuszczoną głowę. Jondalar odsunął na bok pasmo włosów i uniósł jej brodę, aby spojrzała na niego. Noria w oczach miała łzy. Jondalar otarł palcem błyszczącą kropelkę z kącika jej oka, a potem przyłożył go sobie do ust.

– Och... Jondalar – krzyknęła, wyciągając do niego ręce.

Objął ją, pocałował delikatnie, a po chwili bardziej namiętnie.

– Noria – rzekł. – Noria kobieta, piękna kobieta.

– Jondalar zrobić Noria kobieta – powiedziała. – Zrobić... Noria... zrobić... – Zaszlochała żałując, że nie zna słów, aby powiedzieć mu to, co chciała.

– Wiem, Noria. Wiem – powiedział, przytulając ją. Potem odsunął się, trzymając ją za ramiona, uśmiechnął się i klepnął ją po brzuchu. Dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy.

– Noria zrobić Zelandonyee... – Dotknęła jego powiek. Noria zrobić Jondal... Haduma...

– Tak. – Skinął głową. – Tamen mówił mi. Jondal, szóste pokolenie Hadumai. – Sięgnął do swojego woreczka. – Mam coś, co chciałbym ci ofiarować, Norio. – Wyciągnął kamienną doni i włożył jej w dłoń. Bardzo pragnął jej wytłumaczyć, jaką szczególną wartość ma dla niego ta figurka. Chciał jej powiedzieć, że otrzymał ją od swej matki, że jest bardzo stara, o tym jak przechodziła z rąk do rąk przez wiele pokoleń. Potem się uśmiechnął. – Ta doni jest moja Haduma – rzekł. – Jondalara Haduma. Teraz jest Norii Hadumą.

– Jondalar Haduma? – zapytała ze zdumieniem, spoglądając na



rzeźbione kobiece kształty. – Jondalar Haduma, Noria?

Skinął głową, a ona wybuchnęła płaczem. – Jondalar Haduma – powiedziała, a ramiona jej drżały od szlochu. Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, a potem pobiegła w kierunku namiotów, płacząc tak rzewnie, że z ledwością widziała drogę.

Cały obóz wyszedł, aby oglądać ich odejście. Haduma stała obok Norii. Jondalar zatrzymał się przed nimi. Haduma się uśmiechała, kiwając z aprobatą głową, ale po policzkach Nori płynęły łzy. Jondalar sięgnął po jedną z nich i uniósł ją do swoich ust, uśmiechnął się, choć to nie osuszyło jej łez. Odwrócił się, by odejść, ale przedtem dostrzegł jeszcze pełne miłości spojrzenie, jakie posłał Norii kędzierzawy, młody mężczyzna, Jeren.

Noria była teraz kobietą, i to z błogosławieństwem Hadumy, zapewniającym dać sercu mężczyzny szczęśliwe dziecko. Powszechnie mówiono, że poznała rozkosz w czasie Obrzędu, a każdy wie, że taka kobieta jest najlepszą towarzyszką. Zwiążanie się z Norią było godnym pożądania zaszczytem.

– Naprawdę sądzisz, że Noria nosi w sobie dziecko twego ducha? – zapytał Thonolan, gdy zostawili obozowisko za sobą.

– Nigdy nie będę wiedział, ale Haduma to mądra staruszka. Ona wie więcej, niż ktokolwiek może przypuszczać. Myślę, że ona ma dar “wielkiej magii”. Tylko ona mogłaby sprawić, aby tak było.

Przez pewien czas szli w milczeniu wzdłuż rzeki, a potem Thonolan odezwał się ponownie.

– Starszy bracie, chciałbym cię o coś zapytać.

– Pytaj.

– Czy ty jesteś obdarzony jakąś magiczną mocą? To znaczy, wszyscy opowiadają o wybraniu do Obrzędu, ale u wielu budzi on strach. Znam paru, którzy je zawalili, a szczerze mówiąc, ja

również zawsze czuję się niezdarnie. Choć nigdy nie zawałem sprawy. Ale ty, ciebie zawsze wybierają. I nigdy nie widziałem, abyś zawiódł. Wszystkie się w tobie zakochują. Jak ty to robisz? Obserwowałem twoje zachowanie w czasie uroczystości; nie widziałem w nim nic nadzwyczajnego.

– Nie wiem – powiedział, trochę zakłopotany. – Po prostu staram się być ostrożny.

– A kto się nie stara? Musi być coś więcej. Jak to powiedział Tamen? “Niełatwo zadowolić kobietę podczas Pierwszego Obrzędu”. Jak zatem sprawiasz kobietom rozkosz? Ja się cieszę, gdy nie sprawię im zbytniego bólu. I nie chodzi tu o to, że ty jesteś szczególnie małych rozmiarów, lub coś podobnego, co by ułatwiało ci sprawę. Nie bądź taki, zdradź swemu małemu bratu tę tajemnicę. Nie miałbym nic przeciwko gromadce ślicznotek ciągnących za mną.

Jondalar zwolnił i spojrzał na Thonolana.

– Z pewnością. Myślę, że to był jeden z powodów, dla których przyobiegałem sam siebie Maronie, w ten sposób mam wymówkę. – Zmarszczył czoło. – Pierwszy Obrzęd jest dla kobiety bardzo szczególny. Dla mnie również. Ale wiele z młodych kobiet jest ciągle pod pewnymi względami dziewczętami. Nie poznały jeszcze, na czym polega różnica pomiędzy uganianiem się za chłopcami a nęceniem mężczyzny. Jak taktownie powiedzieć młodej kobiecie, która cię dopadnie w kącie, i z którą właśnie spędziłeś tę szczególną dla niej noc, że raczej wolałbyś się odprężyć z bardziej doświadczoną kobietą? Na Wielką Doni, Thonolanie! Nie chcę im sprawić bólu, ale nie zakochuję się w każdej kobiecie, z którą spędziłem noc.

– Ty w ogóle się nie zakochujesz, Jondalarze.

Jondalar przyspieszył kroku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?  
– Kochałem wiele kobiet.  
– Kochałeś je, tak. Ale to nie to samo.  
– Skąd możesz to wiedzieć? Czy kiedykolwiek byłeś zakoGhany?

– Kilka razy. Może nie trwało to zbyt długo, ale znam różnicę. Słuchaj, bracie, nie chcę się wtrącać, ale martwisz mnie, szczególnie gdy wpadasz w ponury nastrój. I nie musisz tak gnać. Mogę być cicho, jeżeli chcesz.

Jondalar zwolnił.

– Może masz i rację. Być może, nigdy się nie zakochałem. Być może zakochywanie się nie leży w mojej naturze.

– Czego ci trzeba? Czego brakuje kobietom, które znasz?

– Gdybym wiedział, to czy nie sądzisz... – zaczął gniewnie. Potem przerwał. – Nie wiem, Thonolanie. Zdaje się, że pragnę wszystkich. Pragnę kobiet takimi, jakie są w czasie swego obrzędu...myślę, że zakochuję się w każdej kobiecie, przynajmniej na tę jedną noc. Ale ja pragnę kobiety, nie dziewczyny. Chciałbym, by gorąco mnie pragnęła, i chciała bez żadnych pretensji, ale nie chciałbym być zmuszonym wobec niej do zbytnej ostrożności. Chciałbym, aby miała duszę, aby miała własne zdanie. Chciałbym, aby była jednocześnie młoda i stara, naiwna i mądra.

– Masz duże wymagania, bracie.

– No cóż, pytałeś. – Przez pewien czas szli w milczeniu.

– Ile lat może mieć Zelandoni? – zapytał Thonolan. – Jest chyba trochę młodsza od Matki?

Jondalar zeszywniał.

– Dlaczego?

– Mówili, że była bardzo piękna, gdy była młodsza, nawet

jeszcze kilka lat temu. Niektórzy ze starych mówią, że nikt nie mógł się z nią równać. Trudno mi powiedzieć, ale mówią, że ona jest Pierwszą Wśród Tych – Które Służą Matce. Powiedz mi, starszy bracie, czy to, co mówią o tobie i Zelandoni, to prawda?

Jondalar zatrzymał się i powoli zwrócił twarz w kierunku brata.

– A co takiego mówią o mnie i Zelandoni? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Przepraszam. Posunąłem się za daleko. Zapomnij, że pytałem.

## . 5 .



Ayla wyszła z jaskini na półkę skalną, przetarła oczy i przeciągnęła się. Słońce było jeszcze nisko na wschodzie. Kobieta osłoniła dłonią oczy i odszukała wzrokiem stado koni. Choć była tu dopiero kilka dni, to zwyczajem się stało, że po przebudzeniu się sprawdzała, gdzie się znajdują konie. Myśl, że dzieli dolinę z innymi żywymi istotami, czyniła jej samotną egzystencję trochę bardziej znośną.

Powoli zaczynała poznawać ich zwyczaje. Wiedziała, któredy chodzą rano do wodopoju. Wiedziała, że lubią popołudnie spędzać w cieniu drzew, i potrafiła rozpoznać poszczególne zwierzęta. Był wśród nich roczny źrebak, o tak jasnej, że prawie białej sierści, jeśli nie liczyć charakterystycznego, ciemniejszego pasa biegnącego wzdłuż grzbietu, ciemnomyszatych odmian nad kopytami i sztywno sterczącej ciemnej grzywy. Była tam również ciemna klacz z jasnobułym, jak ogier, źrebakiem. I oczywiście sam dumny przywódca; jego miejsce pewnego dnia zajmie jeden z tych rocznych źrebaków, które teraz on ledwie toleruje. A może przywódcą zostanie któryś z przyszłorocznego lub jeszcze późniejszego przychówku? Bułany ogier z ciemnobrązową pręgą na grzbiecie, taką samą grzywą i odmianami nad kopytami, był w stadzie najważniejszy i okazywał to swym zachowaniem.

– Dzień dobry, klanie koni – zasygnalizowała Ayla, wykonując gest powszechnie używany przy powitaniu i jedynie nieznacznie go modyfikując dla zaznaczenia, iż chodzi o poranne pozdrowienie. – Długo spałam tego ranka. Już zdążyłyście się napić myślę, że i ja się napiję.

Zbiegła do strumienia, na tyle już obznajomiona ze stromą ścieżką, by pewnie stawiać na niej stopy. Napiła się, potem zrzuciła okrycie, aby zażyć porannej kąpieli. Ciągle jeszcze nosiła to samo okrycie, ale je wyprała i skrobakiem ponownie zmiękczyła skórę. Jej naturalne skłonności do porządku i czystości Iza rozwinęła w niej jeszcze bardziej, ponieważ ogromny zbiór leczniczych ziół wymagał porządku, aby zapobiec omyłkom. Stara szamanka rozumiała również niebezpieczeństwa płynące z kurzu, brudu i infekcji. Podczas wędrówki trudno było uniknąć pewnego zabrudzenia, ale nie było na nie usprawiedliwienia, gdy w pobliżu płynęła krystalicznie czysta struga.

Ayla przeciągnęła dłońmi przez gęste jasne włosy, które opadały jej falami poniżej ramion.

– Umyję tego ranka włosy – oznajmiła nie skierowanym do nikogo gestem. Tuż za zakrętem znalazła rosnącą mydlnicę i wyrwała kilka korzeni. Wolno szła z powrotem, przyglądając się drugiemu brzegowi strumienia. Dostrzegła sterczący na płyciźnie duży głaz z gładkim wgłębieniem. Podniosła owalny kamień i poszła w bród w stronę owego głazu. Opłukała korzenie, naląła do zagłębienia wody, włożyła tam mydlnicę i poczęła ją tłuc kamieniem, aby uwolnić z nich gęste mydliny. Gdy zrobiła już pianę, zmoczyła włosy i wtarła ją w nie, a potem umyła resztę ciała i zanurkowała, aby się opłukać.

Dawno temu od wystającej ściany oderwał się duży fragment

skały i teraz leżał częściowo zanurzony w wodzie. Ayła wspięła się po znajdującej się pod wodą części i przeszła po wystającej z wody skale do nagrzanego słońcem miejsca. Woda opływała gład od strony brzegu głębokim przewężeniem, czyniąc z niego wyspę częściowo osłoniętą przez zwisające gałęzie wierzby, której obnażone korzenie niczym kościste palce czepiały się wody. Dziewczyna ułamała gałązkę z małego krzaczka, któremu udało się zapuścić korzenie w skalnej szczelinie, zębami zdarła z niego korę, a potem rozczesywała nim schnące na słońcu włosy.

Wpatrywała się z rozmarzeniem w wodę, mrużąc cicho, gdy wtem dostrzegła jakiś ruch. Z nagłą czujnością spostrzegła srebrzysty zarys dużego pstrąga odpoczywającego pod korzeniami. – Nie jadłam ryby, od kiedy opuściłam jaskinię, pomyślała, przypominając sobie jednocześnie, że nie jadła jeszcze również śniadania.

Po cichu zsunęła się do wody z drugiego końca gładu, popłynęła kawałek z prądem, a potem, ostrożnie stąpając, ruszyła w kierunku płycizny. Zanurzyła rękę w wodzie, pozwalając palcom luźno zwisać i powoli, z niebywałą cierpliwością, ruszyła z powrotem w górę strumienia. Zbliżyła się do drzewa. Pstrąg tkwił ustawiony głową z prądem, delikatnie poruszając ciałem dla zachowania swej pozycji pod korzeniami.

Oczy Ayli płonęły podnieceniem, ale zbliżała się do ryby z jeszcze większą ostrożnością, uważnie stawiając stopy. Przesunęła rękę tak, że znalazła się dokładnie pod pstrągiem, a potem delikatnie go dotknęła, wyczuwając palcami pokrywy skrzelowe. Nagle schwyciła rybę i jednym pewnym ruchem wyciągnęła ją z wody i wyrzuciła na brzeg. Pstrąg rzucał się kilka chwil, a potem spoczął w bezruchu.

Dziewczyna uśmiechnęła się z zadowoleniem. W dzieciństwie

miała trudności z nauczeniem się, jak wyrzucić rybę z wody. I ciągle jeszcze czuła z tego powodu prawie tak wielką dumę, jak wtedy, gdy dokonała tego po raz pierwszy. Będzie odtąd obserwować to miejsce, ponieważ wie, że zajmą je następni lokatorzy. Ten jest wystarczająco duży, aby wystarczyć nie tylko na śniadanie, myślała biorąc zdobycz i już ciesząc się na smak świeżego pstrąga pieczonego na gorących kamieniach.

Podczas gdy jej śniadanie się piekło, Ayla zajęła się wyplataniem kosza z liliowców, które zebrała poprzedniego dnia. To miał być zwykły koszyk na różne rzeczy, ale dla własnej przyjemności wprowadziła pewne zmiany w sposobie jego wyplatania, dzięki czemu będzie ozdobiony delikatnym wzorem. Pracowała szybko. Z dużą wprawą wykonywała splot w taki sposób, żeby koszyk nie przepuszczał wody. Po włożeniu do niego gorących kamieni mógł być używany jako naczynie do gotowania, ale nie w tym celu go robiła. Wyplatała pojemnik do przechowywania zapasów, myśląc o tym wszystkim, co musi zrobić, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo w czasie zimnej pory.

– Porzeczeki, które zebrałam wczoraj, za kilka dni będą suche, oceniała, spoglądając na krągłe czerwone jagody rozłożone na matach z trawy przed wejściem do jaskini. Do tego czasu dojrzeją następne. Będzie również dużo czarnych jagód, ale z tej marnej jabłonki nie będzie wiele owoców. Czereśnie obrodziły, ale są już prawie przejrzałe. Jeżeli w ogóle mam zamiar jakieś zerwać, to lepiej, abym to zrobiła dzisiaj. Pestki słonecznika też by się przydały, jeżeli ptaki nie dopadną ich pierwsze. Zdaje mi się, że tam przy jabłonce rosną krzaki leszczyny, ale nie jestem pewna, bo są o wiele mniejsze od tych, które rosły przy małej jaskini. Jednakże sądzę, że te sosny należą do rodzaju tych z dużymi nasionkami w szyszkach. Później to sprawdzę. Jakże bym chciała,



aby ta ryba już się upiekła!

Powinnam zacząć suszyć zieleninę. I porosty. I grzyby. I korzonki. Nie muszę suszyć wszystkich korzeni, niektóre z nich da się długo przechować w głębi jaskini. Czy powinnam zebrać więcej nasion koniczyny? One są takie drobne. Ciągłe wydaje się, że jest ich tak niewiele. Warto jednak zbierać ziarno. Niektóre baldachy na łące też chyba są już dojrzałe. Dziś zbiorę czereśnie i ziarno. Będę potrzebowała więcej koszy do przechowywania zapasów. Może by mi się udało zrobić je z kory brzozy? Przydałoby mi się trochę nie garbowanej skóry, aby zrobić te duże pojemniki.

W siedzibie klanu zawsze były pod ręką jakieś nie garbowane skóry. Teraz byłabym szczęśliwa, gdybym miała jeszcze jedno ciepłe futro na zimę. Zajęce i chomiki nie są na tyle duże, aby zrobić z nich futrzane okrycie, a do tego są takie chude. Gdybym tak mogła upolować mamuta, miałabym pod dostatkiem tłuszczu, wystarczyłoby go nawet do lampek. I nic nie jest tak dobre i pożywne, jak mięso mamuta. Ciekawe, czy ten pstrąg już się upiekł? – Odsunęła zwiotczały liść i sprawdziła rybę patyczkiem. Jeszcze odrobinę.

Miło byłoby mieć trochę soli, ale tu nie ma w pobliżu morza. Podbiał smakuje słono, a inne zioła poprawią jeszcze smak. Iza potrafiła sprawić, aby wszystko dobrze smakowało. Może wyprawię się na stepy i zobaczę, czy nie udałoby się znaleźć kilku pardw, a potem przyrządziłabym je na ulubiony przez Creba sposób.

Poczuła ucisk w gardle na myśl o Izie i Crebie. Potrząsnęła głową, jakby próbując powstrzymać te myśli lub chociażby napływające do oczu łzy.

Potrzebny mi stojak do suszenia ziół na napoje i leki. Mogę

przecież zachorować. Mogłabym ściąć kilka drzew na słupki, ale potrzebuję świeżych rzemyków, aby je powiązać. Potem rzemyki wyschną, skurczą się i będą trzymać. Nie sądzę, abym musiała ścinać drzewa na opał. Tyle tu dookoła powalonych i przyniesionych przez wodę drzew, a do tego będę jeszcze miała nawóz koński. Dobrze się pali po wyschnięciu. Dziś jeszcze zacznę znosić do jaskini drewno. Powinnam też wkrótce zrobić nowe narzędzia. To szczęście, że znalazłam krzemień. Ta ryba musi już być gotowa.

Ayla jadła rybę prosto z gorących kamieni, na których się piekła, i przyszło jej na myśl, że powinna poszukać na tej stercie pod ścianą płaskich kawałków drewna lub kości, których mogłaby użyć jako naczyń; dobre do tego były kości miednicy lub łopatki. Ze swojego małego worka wylała całą wodę do miski do gotowania i pomyślała, że chciałyby mieć wodoszczelny żołądek większego zwierzęcia, aby zrobić z niego bardziej pojemny worek na wodę do jaskini. Wrzuciła do naczynia gorące kamienie z ogniska, aby zagrzać wodę, a potem do parującej cieczy wsypała trochę suszonych owoców róży. Owoców róży używała jako leku na lżejsze przeziębienia, ale był z nich również przyjemny napój.

Nie przerażał jej mozolny trud gromadzenia, przetwarzania i składowania obfitych plonów doliny; a nawet cieszyła się na myśl o nim. To da jej zajęcie; nie będzie miała czasu rozmyślać o tym, że jest samotna. Musi zgromadzić zapasy jedynie dla siebie. Nie było jednak dodatkowej pary rąk, która pomogłaby jej szybciej się z tym uporać. Ayla się martwiła, czy zostało dość czasu, żeby zaopatrzyć się w odpowiednie zapasy. Coś jeszcze nie dawało jej spokoju.

Po skończeniu koszyka popijała napój i zastanawiała się nad

wymogami natury, jakim będzie musiała sprostać, aby przetrwać długą i mroźną zimę. Powinnam mieć jeszcze jedno futro na posłanie tej zimy, myślała. I oczywiście mięso. A co z tłuszczem? Powinnam mieć go trochę na zimę. Pojemniki z kory brzozy mogłabym zrobić o wiele szybciej niż kosze, gdybym miała jakieś racice, kości i skrawki skóry, z których ugotowałabym klej. A gdzie zdobędę duży worek na wodę? I rzemienie do powiązania słupków na stojaki do suszenia? Mogłabym użyć ścięgien, a we wnętrznościach przechowywać tłuszcz i...

Jej szybko poruszające się palce zatrzymały się. Zapatrzyła się w przestrzeń przed sobą, jakby doznała nagłego objawienia. Mogłaby to wszystko zdobyć z jednego dużego zwierzęcia! Wystarczyłoby, aby zabiła tylko jedno. Ale jak?

Skończyła mały koszyk i włożyła do swego kosza, który przytroczyła do pleców. Schowała narzędzia w fałdach okrycia, podniosła kij do wygrzebywania korzeni oraz procę i ruszyła w kierunku łąki. Odnalazła dziką czereśnię, nazrywała tyle owoców, ile mogła dosięgnąć, a potem wspięła się po drzewie, aby zerwać więcej. Oczywiście zjadła również swoją porcję; nawet przejrzałe czereśnie były cierpkosłodkie.

Po zejściu na dół postanowiła zebrać jeszcze trochę kory z czereśniowego drzewka, która była dobrym lekarstwem na kaszel. Toporkiem odrąbała kawałek twardej zewnętrznej kory, a potem nożem zeszkrobała warstwę wewnętrznej miazgi. To przypomniało jej, jak będąc jeszcze dziewczynką poszła zbierać korę czereśni dla Izy. Podpatrzyła wtedy mężczyzn ćwiczących z bronią na otwartym terenie. Wiedziała, że źle czyni, ale się bała, że mogliby zobaczyć, jak odchodzi, a potem zaintrygowało ją to, jak stary Zoug uczył chłopca posługiwania się procą.

Wiedziała, że kobietom nie wolno dotykać broni, lecz gdy

zostawili procę, nie mogła się oprzeć pokusie. Również chciała spróbować. – Czy byłabym dziś żywa, gdybym wtedy nie podniosła tej procy? Czy Broud znienawidziłby mnie tak bardzo, gdybym nie nauczyła się nią posługiwać? Może nie kazałby mi odejść, gdyby mnie tak bardzo nie nienawidził. Ale gdyby mnie nienawidził, to nie sprawiałoby mu przyjemności niewolenie mnie i być może, Durc nie przyszedłby na świat.

Być może! Być może! Być może! – pomyślała rozzłoszczona. Co za sens myśleć o tym, co mogłoby być? Teraz jestem tutaj, a ta proca nie pomoże mi upolować dużego zwierza. Do tego potrzebny mi oszczep!

Skierowała się ku stanowisku młodych osik, aby się napić i opłukać ręce z kleistego czereśniowego soku. Widok wysokich, prostych młodych drzewek przypominał jej coś i sprawił, że się zatrzymała. Złapała pień jednego z nich; wtem dotarło to do niej. To się nadaje! Z tego będzie oszczep.

Zawahała się na chwilę. Brun byłby wściekły, pomyślała. Gdy pozwolił mi polować, to zaznaczył, że mogę polować jedynie za pomocą procy. On...

A cóż by on uczynił? Co może zrobić? Co mogą mi zrobić, nawet gdyby wiedzieli? Ja umarłam. Już przecież umarłam. Tu nie ma nikogo z wyjątkiem mnie.

Wtem, w jej wnętrzu coś pękło niczym zbyt napięty sznur. Opadła na kolana. Och, jakże bym chciała, aby był tu ktoś obok mnie. Ktoś. Ktokolwiek. Ucieszyłby mnie nawet widok Brouda. Nie dotknęłabym więcej procy, jeżeli pozwoliłby mi wrócić, jeżeli pozwoliłby mi znowu ujrzeć Durca. Klęcząc u stóp smukłej osiki, Ayla ukryła twarz w dłoniach i szlochała.

Jej szloch trafił jednak na obojętnych słuchaczy. Małe żyjątka z łąk i lasów wolały unikać towarzystwa obcego stworzenia i jego

niezrozumiałych dźwięków. Nie było nikogo, kto by ją słyszał, nikogo, kto by ją zrozumiał. W trakcie wędrówki cały czas pielęgnowała nadzieję znalezienia ludzi, ludzi takich, jak ona sama. Teraz, gdy zdecydowała się zostać, musi odłożyć tę nadzieję na bok, zaakceptować swą samotność i nauczyć się z nią żyć. Przejmujący lęk przed samotnym przetrwaniem zimy o nieznanej srogości w nie znanym miejscu tylko potęgował jej napięcie. Płacz pomagał się go pozbyć.

Drżała jeszcze, gdy się podniosła, ale wyciągnęła swój toporek i poczęła z gniewem rąbać pień młodej osiki, a potem zaatakowała następne młode drzewko. – Wystarczająco często obserwowałam mężczyzn robiących oszczepy, powiedziała do siebie, oczyszczając pień z gałęzi. To nie wyglądało wcale na takie trudne. Wyciągnęła żerdzie na łąkę i zostawiła. Przez resztę popołudnia zbierała kłosa pszenicy i żyta, a potem zaciągnęła drągi do jaskini.

Wieczór spędziła na odzierananiu kory i wygładzaniu sęków. Przerywała jedynie po to, żeby ugotować sobie trochę ziarna z resztką ryby i rozłożyć czereśnie, aby schły. Zanim zapadł zmrok, była gotowa do następnego kroku. Zabrała drzewca do jaskini i, przypominając sobie, jak to czynili mężczyźni, zaznaczyła jeden z nich na wysokości nieco wyższej niż ona sama. Następnie włożyła zaznaczoną część do ognia, obracając drzewce, aby się zwęgliło równomiernie. Szczerbatym skrobakiem zdarła poczerniałą część i opalała nadal, i skrobała, dopóki górna część się nie odłamała. Dalsze opalanie i skrobanie doprowadziło do powstania ostrego, utwardzonego ogniem czubka. Potem wzięła kolejną żerdź.

Gdy skończyła, było już późno. Z zadowoleniem stwierdziła, że jest zmęczona. Dzięki temu łatwiej zaśnie. Noce były najgorsze.

Ayla osłoniła ogień, wyszła na zewnątrz i spojrzała na upstrzone gwiazdami niebo, próbowała wymyślić jakiś powód, aby opóźnić udanie się na spoczynek. Poprzednio wygrzebała płytkie zagłębienie, wypełniła je suchą trawą i przykryła futrem. Wolnym krokiem skierowała się teraz w jego stronę. Opadła na posłanie i wpatrywała się w delikatny blask ognia, wsłuchując się w ciszę.

Nie było słycać krzątający się na spoczynek ludzi, od pobliskich ognisk nie dobiegały dźwięki spółkujących par, nie było słycać pochrząkiwań ani pomrukiwań; żadnego z wielu dźwięków towarzyszących ludziom, nawet pojedynczego oddechu – nie licząc jej własnego. Sięgnęła po skórę, w której zwykle nosiła na biodrze swego syna, zwinęła ją i przytuliła do piersi, zaczęła się kołysać w przód i w tył, nucąc po cichu, a po twarzy spływały jej łzy. W końcu się położyła, zwinęła wokół pustego kawałka skóry i płakała, dopóki nie usnęła.

Następnego ranka Ayla wyszła na zewnątrz, żeby się wypróżnić i stwierdziła, że na nogach ma krew. Pogmerała w małej kupce swych rzeczy w poszukiwaniu pochłaniających pasków i specjalnej przepaski. Sztywne i wytarte, z powodu prania paski powinny być spalone po ostatnim użyciu. Marzyła o odrobinie muflonie] wełny. Nagle jej spojrzenie padło na zajęczą skórę. – Chciałam oszczędzić tę skórę na zimę, ale mogę przecież upolować więcej zajęcy, pomyślała.

Zanim zeszła na dół popływać, pocięła małą skórę na pasma. – Powinnam wiedzieć, że to się zbliża, mogłam się przecież przygotować. Teraz nie będę mogła zrobić niczego z wyjątkiem...

Niespodziewanie się roześmiała. Kobiety okres nie ma tu znaczenia. Tu nie ma mężczyzn, na których nie powinnam patrzeć, nie ma mężczyzny, dla którego nie mogłabym

przygotować posiłku lub zbierać żywności. Jestem tu jedyną osobą, o którą muszę się troszczyć.

Pomimo to powinnam się była tego spodziewać, ale dni miały tak szybko. Nie myślałam, że to już czas. Jak długo jestem już w tej dolinie? – Próbowała sobie przypomnieć, ale dni zdawały się zlewać w jedno. Zmarszczyła brwi. – Powinnam wiedzieć, ile dni tu już jestem – może być bliżej zimy, niż myślałam. – Przez chwilę czuła panikę. Nie jest tak źle, upomniała samą siebie. Śnieg nie spadnie, zanim owoce nie dojrzeją, i liście nie opadną, ale powinnam wiedzieć. Powinnam znaczyć upływające dni.

Przypomniała sobie, jak dawno temu Creb pokazał jej, jak nacinać rowki na kiju, aby zaznaczać mijający czas. Starzec się zdumiał, gdy w lot pojęła, o co chodzi; wyjaśnił jej to jedynie po to, aby uwolnić się od jej ciągłych pytań. Nie powinien był zapoznawać dziewczyny z wiedzą zarezerwowaną dla świetlanych mężów i ich uczniów. Ostrzegł ją, aby o tym nikomu nie wspominała. Pamiętała również dobrze, jak innego razu rozgniewał się, gdy przyłapał ją na robieniu kija do liczenia dni pomiędzy pełniami księżyca.

– Creb, jeżeli obserwujesz mnie ze świata duchów, to się nie gniewaj – powiedziała bezgłośnie językiem gestów. – Przecież wiesz, dlaczego muszę to uczynić.

Znalazła długi, gładki kij i nacięła go krzemiennym nożem. Potem pomyślała chwilę i zrobiła jeszcze dwa nacięcia. Przyłożyła pierwsze trzy palce powyżej nacięć i wyprostowała je. Myślę, że upłynęło więcej dni, ale co do tyłu mam pewność. Dzisiejszego wieczoru ponownie zrobię znak i będę tak robiła każdego wieczoru. Chyba zrobię powyżej tego małe dodatkowe nacięcia, aby zaznaczyć dzień, w którym zaczęłam krwawić.

Od czasu, gdy zrobiła oszczepy, księżyc zdążył przejść przez

połowę swego cyklu. Ayla nadal nie wiedziała, jak upolować tak potrzebnego jej dużego zwierza. Siedziała w wejściu do jaskini, spoglądając na przeciwległy skalisty brzeg i nocne niebo. Lato osiągnęło już swą gorącą pełnię i kobieta rozkoszowała się chłodnym wieczornym wietrzykiem. Właśnie skompletowała sobie nowe letnie odzienie. Pełne okrycie było często zbyt ciepłe, a chociaż w pobliżu jaskini chodziła nago, to jednak potrzebowała woreczków i fałd okrycia, w których mogłaby nosić potrzebne jej rzeczy podczas wędrówek z dala od jaskini. Od chwili, gdy została kobietą, lubiła na czas polowań obwiązywać swe pełne piersi skórzanym paskiem. W ten sposób mogła wygodniej skakać i biegać. A tu, w dolinie, nie musiała przejmować się podejrzliwymi spojrzeniami ludzi, którzy uważali ją z tego powodu za dziwaczkę.

Nie miała dużej skóry do pocięcia, ale wreszcie udało jej się znaleźć sposób na zrobienie z pozbawionych sierści, zajętych skórek letniego okrycia, które pozostawiało ją nagą od pasa w górę. Inne skórki użyła jako przepaski na piersi. Planowała rano wyprawić się na step w nadziei, że znajdzie zwierzynę, na którą mogłaby zapolować swoim nowym oszczepem.

Stok opadający łagodnie do doliny od północnej strony zapewniał łatwy dostęp do rozciągających się na wschód od rzeki stepów; pionowa ściana zbyt utrudniała dostanie się na zachodnie równiny. Widywała stada jeleni, żubrów, koni, a nawet małe grupy antylop, lecz nie przynosiła nigdy niczego więcej poza pardwami i wielkimi skoczkami. Nie mogła podejść dostatecznie blisko, aby upolować cokolwiek oszczepem.

Dni mijały, a upolowanie dużego zwierzęcia nadal zaprzętało jej myśli. Kiedyś często obserwowała mężczyzn klanu rozprawiających o polowaniu – w zasadzie nigdy o niczym



innym nie rozmawiali – ale oni zawsze polowali w grupie. Ich ulubioną techniką, tak jak sfory wilków, było oddzielenie jednego zwierzęcia od stada i gonienie go tak długo, dopóki nie opadł z sił, by mogli się do niego dostatecznie zbliżyć, żeby przypuścić ostateczny atak. Ale Ayla była sama.

Czasami opowiadali o tym, jak to koty się czają, aby wyskoczyć zniemacka i złapać ofiarę lub puszczają się w szalony pościg, żeby powalić zdobycz pazurami i kłami. Ale Ayla nie miała ani kłów, ani pazurów, ani zwinnej szybkości kota. Ona nawet nie czuła się zbyt pewnie z oszczepem; ta broń była zbyt duża i długa, by mogła ją dobrze chwycić. Musiała jednak wymyślić jakiś sposób.

W końcu, w noc nowiu, wpadła na pomysł, który jej zdaniem mógł się powieść. Gdy księżyc odwracał się tyłem do ziemi i swym odbitym światłem obmywał dalekie zakątki przestrzeni, Ayla często wracała myślami do Zgromadzeń Klanu. Uroczystość Klanu Niedźwiedzia zawsze się odbywała w noc nowiu.

Wspominała przedstawienia opowiadające o polowaniach, na które wyruszały różne klany. Broud przewodził podniecającemu tańcowi myśliwych z ich klanu, i pamiętała owe żywe przedstawienie o zagonieniu mamuta za pomocą ognia do ślepego kanionu. Wygrał, ale na drugim miejscu znalazło się przedstawienie klanu gospodarzy obrazujące kopanie dołupałapki na ścieżce, którą nosorożce włochate zwykle zdążały do wodopoju, a potem osaczenie i zagnanie zwierzęcia do pułapki. Włochate nosorożce były groźne i powszechnie znane ze swego nieobliczalnego zachowania.

Następnego ranka Ayla również sprawdziła, gdzie są konie, ale nie pozdrowiła ich. Potrafiła rozpoznać każdego członka stada. Dotrzymywały jej towarzystwa, były niemal przyjaciółmi, ale jeżeli miała przetrwać, to nie było innej rady.

Większą część następnych dni spędziła na obserwowaniu stada, śledząc jego ruchy: którędy się zwykle udają do wodopoju, gdzie się lubią paść, gdzie spędzają noce. W miarę obserwacji plan nabierał w jej myślach coraz wyraźniejszych kształtów. Przejmowała się szczegółami, próbując pomyśleć o wszystkich możliwościach i wreszcie przystąpiła do pracy.

Cały dzień zajęło jej zrąbanie małych drzewek i krzaków i zaciągnięcie ich przez połowę łąki w pobliże przerwy między drzewami rosnącymi wzdłuż strumienia, gdzie ułożyła je w stertę. Zgromadziła pokrytą żywicą korę i konary sosny, ze zbutwiałych, starych pniaków wygrzebała kawałki próchna, które łatwo zajmowały się ogniem, i wyrwała kępy suchej trawy. Wieczorem umocowała kawałki próchna i żywicę za pomocą trawy do gałęzi, robiąc w ten sposób pochodnie, które szybko dawały się zapalić i płonęły ze smolistym dymem.

Rankiem, dnia, w który postanowiła zacząć, wyniosła na dwór swój skórzany namiot i róg żubra. Następnie wydobyła ze stosu leżącego u podnóża ściany solidną kość, a potem skrobała ją tak długo, dopóki nie wyostrzyła jednej krawędzi. Z nadzieją, że będzie ich potrzebowała, wyniosła z jaskini wszystkie sznurki i rzemienie, jakie tylko mogła znaleźć, poobrywała z drzew pnącza i ułożyła wszystko na kamienistej plaży. Zaciągnęła także na plażę mnóstwo wyrzuconego przez wodę drewna i pozbierała suche gałęzie, aby mieć pod dostatkiem materiału do podsycania ognia.

Wczesnym wieczorem wszystko było gotowe i Ayla spacerowała tam i z powrotem wzdłuż plaży aż do wystającej ściany, sprawdzając ruchy stada koni. Z niepokojem zaobserwowała na wschodzie kilka chmur. Miała nadzieję, że nie napłyną nad dolinę i nie przesłonią światła księżycy, na które tak

liczyła. Ugotowała trochę ziarna i zerwała kilka jagód, ale nie mogła wiele jeść. Ćwiczyła zamachy oszczepem i odkładała go z powrotem na ziemię.

W ostatniej chwili przebrnęła jeszcze przez stertę drewna i kości, wyszukując długą, gałkowato zakończoną kość z przedniej nogi jelenia. Uderzyła nią o duży kawał mamuciego rogu i drgnęła pod wpływem odrzutu, jakiego doznało jej ramię. Długa kość była nieuszkodzona; stanowiła solidną maczugę.

Księżyc wstał przed zachodem słońca. Ayla żałowała, że nie wie nic więcej na temat ceremonii polowania, ale kobiety zawsze były z nich wyłączone. Kobiety przynosiły nieszczęście.

Ja nigdy nie przyniosłam sobie nieszczęścia, pomyślała, ale nigdy przedtem nie próbowałam upolować dużego zwierza. Szkoda, że nie znam czegoś, co przynosi szczęście. Jej dłoń powędrowała do amuletu, a myśli w kierunku totemu. Ostatecznie to Lew Jaskiniowy dał jej do zrozumienia, aby polowała. Tak powiedział Creb. Jak inaczej kobieta stałaby się bieglejsza w posługiwaniu się swą bronią od wszystkich mężczyzn? Jej totem był zbyt silny dla kobiety – nadawał jej męskie cechy, pomyślał Brun. Ayla miała nadzieję, że jej totem ponownie przyniesie jej szczęście.

Gdy zmierzch począł ustępować miejsca ciemności, Ayla poszła na zakręt rzeki. Zobaczyła, że konie zebrały się już na nocny odpoczynek. Zabrała płaską kość, skórę namiotu i pobiegła przez wysoką trawę do przerwy między drzewami, gdzie rano konie piły wodę. Zielone listowie w gasnącym świetle dnia było szare, a rosnące dalej drzewa były jedynie czarnymi kształtami na tle pełnego kolorów nieba. Mając nadzieję, że księżyc będzie świecił dostatecznie jasno, rozłożyła namiot na ziemi i zaczęła kopać.

Powierzchnia gruntu była zbita i twarda, ale gdy się przez nią przedostała, to kopanie łopata z zaostrej kości stało się łatwiejsze. Kiedy na skórze zebrał się już kopczyk ziemi, Ayla zaciągnęła ją pomiędzy drzewa i opróżniła. Potem, gdy dziura się zrobiła głębsza, rozłożyła skórę na jej dnie i z jej pomocą wyciągała następny urobek. Bardziej wyczuwała drogę, niż ją widziała, to była ciężka praca. Duże doły wyłożone kamieniami i używane do pieczenia całych tuszek były zawsze wykonywane wspólnie przez wszystkie kobiety, a ten dół musiał być jeszcze głębszy i dłuższy.

Dół był już głęboki mniej więcej do pasa, gdy poczuła wodę i zdała sobie sprawę, że nie powinna była kopać tak blisko strumienia. Dno szybko napełniła woda. Ayla stała już po kostki w błocie, gdy się w końcu poddała i wydobyła na górę. Wyciągając skórę spowodowała obsunięcie się jednego z brzegów.

Mam nadzieję, że jest wystarczająco głęboki, pomyślała. Będzie musiał być, ponieważ im głębiej kopię, tym więcej wody napływa. Spojrzała na księżyc i zdumiała się, że było już tak późno. Będzie musiała szybciej pracować, aby skończyć, nie robi sobie krótkiego odpoczynku, tak jak planowała.

Pobiegła do miejsca, gdzie leżał stos drzewek i krzaków. Potknęła się o korzeń, którego nie zauważyła, i ciężko runęła na ziemię. To nie czas, aby być nieostrożną! – pomyślała, rozcierając skórę. Kolana i dłonie piekły ją i była pewna, choć nie mogła widzieć, że strużka ciekąca po nodze to krew.

Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo była delikatna i przez moment ogarnęła ją panika. A co będzie jeżeli złamię nogę? Nie ma tu nikogo, kto mógłby mi przyjść z pomocą, gdyby się coś wydarzyło. Co ja tu robię w środku nocy? Bez ognia? A co będzie,

jeżeli zaatakuje mnie jakieś zwierzę? Przed oczami stanął jej jak żywy ryś, który kiedyś na nią skoczył, i Ayla sięgnęła po procę, wyobrażając sobie świecące w nocy oczy.

Stwierdziła, że broń jest nadal bezpiecznie zatknięta za ramię w pasie. To ją uspokoiło. I tak przecież nie żyję lub powinnam być martwa. Jeżeli coś ma się wydarzyć to się wydarzy. Nie mogę się martwić na zapas. Jeżeli się nie pospieszę, to ranek nastanie, zanim będę gotowa.

Odnalazła swoją stertę gałęzi i poczęła ściągać małe drzewka w kierunku dołu. Nie mogła sama otoczyć koni, rozumowała, a w dolinie nie było ślepych wąwozów, ale intuicyjnie wpadła na pomysł. To był przebłysk geniuszu, do którego jej mózg – mózg, który różnił ją od reszty klanu bardziej niż jej wygląd zewnętrzny – był szczególnie stworzony. Skoro w dolinie nie było wąwozu, pomyślała, to może mogłabym go zrobić.

Nie miało znaczenia, że ten sposób wymyślono już wcześniej. Dla niej był on nowy. Nie myślała o nim jednak jak o wielkim wynalazku. Zdawało się jej to jedynie niewielkim dostosowaniem do jej potrzeby sposobu, w jaki polowali ludzie klanu; jedynie drobnym przystosowaniem się do sytuacji, które może umożliwić samotnej kobiecie zabicie zwierzęcia. Takiego zwierzęcia, którego żaden mężczyzna z Klanu nawet nie marzył samotnie upolować. To było wielkie odkrycie zrodzone z potrzeby.

Ayla z niepokojem obserwowała niebo; splatając gałęzie konstruowała rodzaj zagrody, o dwóch zbiegających się przy dole ścianach. Gwiazdy mrugały już na wschodnim niebie, gdy zapychała ostatnie dziury i podwyższała płot wstawiając gałęzie. Niebo się rozjaśniało i pierwsze ptaki zaczynały swymi trykami witać nowy dzień, kiedy się wreszcie odsunęła i spojrzała na dzieło swych rąk.

Dół był prostokątny, trochę dłuższy niż szerszy, a błoto wokół jego brzegów było ostatnim mokrym ładunkiem wyciągniętym na górę. Zdeptana trawa na trójkątnym obszarze pomiędzy dwiema ścianami z gałęzi, zbiegającymi się na błotnistym dole, była pokryta ziemią rozsypaną ze skórzanej płachty. Przez otwór w miejscu, gdzie dół rozdzielał oba skrzydła z gałęzi, było widać rzekę, w której się odbijało płonące rumieńcem niebo na wschodzie. Po drugiej stronie pokrytej zmarszczkami wody majaczyła w mroku stroma, południowa ściana doliny; jedynie w pobliżu górnej krawędzi jej kontury były wyraźniejsze.

Ayla się odwróciła, aby sprawdzić pozycję koni. Z drugiej strony doliny pochyłość stoku wznosiła się bardziej stromo, coraz wyżej na zachodzie, a przed jaskinią uformowała pionową ścianę, natomiast daleko na wschodzie opadała, przechodząc w trawiaste wzgórze. Nadal było ciemno, ale mogła już dostrzec zaczynające się ruszać konie.

Schwyciła skózaną płachtę, łopatę z płaskiej kości i pognęła z powrotem na plażę. Ogień już przygasł. Dołożyła drewna, a potem kijem wygrzebała kawałek żarzącego się drewnianka i umieściła go w rogu żubra. Zebrała pochodnie, oszczepy, maczugę i pobiegła znowu do dołu. Po obu stronach dziury ułożyła oszczepy, obok jednego z nich maczugę, następnie poszła szerokim łukiem, żeby obejść konie, zanim ruszą do wodopoju.

A potem czekała.

Czekanie było trudniejsze od długiej nocnej pracy. Wyczerpana, pełna niepokoju, zastanawiała się, czy jej plan się powiedzie. Sprawdziła żar i czekała; spojrzała na pochodnie i czekała. Przychodziły jej do głowy niezliczone ilości spraw, o których wcześniej nie pomyślała, które powinna była uczynić lub zrobić inaczej, i czekała. Zastanawiała się, kiedy konie zaczną

swą wędrówkę w kierunku strumienia, pomyślała o tym, jak je popędzić, zastanowiła się nad tym, i czekała.

Konie zaczęły się zwawiej kręcić. Ayla pomyślała, że są bardziej nerwowe niż zwykle, ale nigdy nie była tak blisko nich, więc nie mogła mieć co do tego pewności. W końcu prowadząca klacz ruszyła w kierunku rzeki, a reszta podążyła za nią, zatrzymując się po drodze i skubiąc trawę. Gdy stado zbliżyło się do rzeki i konie wyczuły zapach Ayli i rozkopanej ziemi, ogarnęło je wyraźne zdenerwowanie. Ayla zdecydowała, że czas zacząć, gdy zdawało się jej, że kobyła ma zamiar zmienić kierunek.

Zapaliła pochodnię od żaru, a od niej następną. Gdy zapłonęły na dobre, ruszyła w kierunku stada, zostawiając róg żubra. Biegła pokrzykując i wymachując pochodniami, ale była zbyt daleko od stada. Zapach dymu wzbudził jednak w zwierzętach instynktowny lęk przed pożarem stepu. Konie zwiększyły prędkość i szybko oddaliły się od niej. Zmierzały w kierunku wodopoju i płotu z gałęzi, ale wyczuwając niebezpieczeństwo niektóre z nich odbiły na wschód. Ayla skierowała się w tę samą stronę, biegnąc tak szybko, jak tylko potrafiła, w nadziei, że zabiegnie im drogę. Gdy się zbliżyła, spostrzegła, że więcej koni zbacza, aby uniknąć pułapki. Wpadła więc pomiędzy nie z głośnym krzykiem. Krążyły wokół niej. Uszy miały położone po sobie, nozdrza rozszerzone, mijały ją z obu stron, parskając i rżąc ze strachu i zmieszania. Ayla również zaczynała wpadać w panikę, obawiając się, że wszystkie jej uciekną.

Była już w pobliżu wschodniego końca płotu, kiedy zobaczyła zbliżającą się do niej ciemną kobyłę. Wrzasnęła na konia, rozłożyła szeroko ręce z pochodniami i pobiegła prosto na nią. W ostatniej chwili kobyła uskoczyła na bok, w złą dla siebie stronę.

Ucieczkę uniemożliwił jej płot, więc pogalopowała wzdłuż jego wewnętrznej strony, próbując znaleźć wyjście. Ayla biegła ciężko za nią, z trudem chwytając oddech, czując, że za chwilę pękną jej płuca.

Kobyła dostrzegła otwór oraz migoczącą za nim rzekę i ruszyła w jego stronę. Wtem zobaczyła dół – za późno. Podciągnęła nogi, chcąc przeskoczyć pułapkę, ale kopyta jej się obsunęły na błotnistej krawędzi. Wpadła do dołu, łamiąc nogę.

Ayla się pochyliła, ciężko oddychając; wzięła oszczep i stała patrząc na wystraszoną kobyłę, która rżała, rzucała łbem i brodziła w błocie. Ayla ujęła drzewce obiema dłońmi, zaparła się stopami i cisnęła ostrze w kierunku dołu. Uświadomiła sobie jednak, że wbiła oszczep w bok, raniąc konia, ale nie śmiertelnie. Pobiegła na drugą stronę, ślizgając się na błocie i prawie wpadając do dołu.

Podniosła drugi oszczep i tym razem wycelowała dokładniej. Kobyła rżała z przestachu i bólu, a gdy ostrze drugiego oszczepu utkwiło w jej szyi, rzuciła się nagle do przodu w ostatnim zrywie. Potem opadła z cichym rzeniem. Miała dwie rany i złamaną nogę. Mocne uderzenie maczugi ostatecznie zakończyło jej cierpienie.

Ayla zaczynała sobie powoli zdawać sprawę z tego, czego dokonała; była jednak zbyt wyczerpana, żeby w pełni zrozumieć swój sukces. Stała na skraju dołu, wspierając się ciężko na maczudze, nadal z trudem łapała oddech i wpatrywała się w powaloną na dnie kobyłę. Zmierzwiona szara sierść była zbrukana krwią i błotem, ale zwierzę się nie ruszało.

Potem, powoli napełniło ją nie znane jej dotąd uczucie. Wznosiło się z głębi jej duszy, rosło w gardle i wyrwało się z jej ust w pierwszym okrzyku zwycięstwa. Dokonała tego!



W tym momencie w samotnej dolinie zagubionej pośród rozległego kontynentu, gdzieś na pograniczu wyludnionych, lessowych stepów północy i wilgotnych stepów kontynentalnego południa, młoda kobieta stała z kościaną maczugą w dłoni i czuła swą potęgę. Mogła przetrwać. Przetrwa.

Ale jej triumf nie trwał długo. Ayła patrzyła na leżącego w dole konia i nagle uświadomiła sobie, że nigdy nie potrafi wyciągnąć na górę całego zwierzęcia; będzie musiała poćwiartować je na dnie błotnistego dołu. A potem będzie musiała szybko przetransportować je na plażę, zachowując skórę w jak najlepszym stanie, zanim zbyt wielu drapieżników nie zwęszy zapachu krwi. Będzie musiała pociąć mięso w wąskie paski, ratując inne części, których potrzebowała, podsycać stale ogień i doglądać suszącego się mięsa.

A była przecież już bliska wyczerpania po pracowitej nocy i szalonym pościgu. Nie była jednak mężczyzną klanu, który mógł odpocząć po wykonaniu podniecającej części zadania. Ćwiartowanie i dalszą przeróbkę pozostawiano kobietom. Praca Ayli dopiero się zaczynała. Westchnęła ciężko, potem zeskoczyła do dołu i poderznęła kobyle gardło.

Pobiegła nad rzekę, aby przynieść skórzaną płachtę i krzemienne narzędzia, a wracając zauważyła, że stado, znajdujące się na drugim krańcu doliny, nie zatrzymało się. Zapomniała o nim jednak w ciasnym dole, pełnym krwi i błota, usiłując z trudem ćwiartować mięso i starając się nie uszkodzić bardziej skóry.

Padlinożerne ptaki wydziobywały skrawki mięsa z wyrzuconych kości. Kobieta ułożyła na skórzanej płachcie tyle mięsa, ile mogła udźwignąć, i zaciągnęła je na plażę. Dołożyła do ognia i zwała swój ładunek najbliższej ognia. Pobiegła z

powrotem, ciągnąc pustą płachtę. Proca i kamienie poszły w ruch, zanim dotarła na miejsce. Usłyszała ujadanie lisa i zobaczyła, jak umyka kulejąc. Zabiłaby go, gdyby nie skończyły się jej kamienie. Nim zabrała się z powrotem do pracy, nazbierała ich więcej i napiła się.

Ayla wróciła z drugim ładunkiem. Tym razem jej kamień trafił, śmiertelnie, raniąc rosomaka, który nie robiąc sobie nic z ognia próbował odciągnąć duży kawał mięsa. Zaciągnęła mięso do ognia i wróciła po rosomaka w nadziei, że i jego będzie miała czas oskórować. Futerko rosomaka było szczególnie przydatne na zimową odzież. Dołożyła drew do ognia i rzuciła okiem na stos wyrzuconego przez wodę drewna.

Nie miała jednak takiego szczęścia z hieną po powrocie do dołu. Udało jej się uciec z całą końską nogą. Od czasu przybycia do doliny nie widziała tylu drapieżników. Lisy, hieny, rosomaki wszystkie miały apetyt na jej zdobycz. Wilki i ich pobratymcy psy-dhole, kręciły się tuż poza zasięgiem jej procy. Jastrzębie i orły były odważniejsze, trzepotały jedynie skrzydłami i odsuwały się nieznacznie, gdy się zbliżała. W każdej chwili spodziewała się ujrzeć rysia lub lamparta, a nawet lwa jaskiniowego.

Słońce minęło już zenit i poczęło wędrować w dół, a ona nadal zmagala się z powalaną skórzaną płachtą, nie poddając się zmęczeniu i nie siadając, dopóki ostatni transport nie został zaciągnięty na plażę. Nie spała całą noc; nie jadła cały dzień; nie miała ochoty się poruszać. Ale najmniejsze ze stworzeń, które też chciały mieć swój udział w jej łupie w końcu zmusiły ją, aby ponownie wstała. Brzęczenie i gryzienie much uprzytomniło jej, jak bardzo była brudna. Zmusiła się, by wstać i wejść do strumienia. Nie zaprzętała sobie głowy zdejmowaniem odzienia; z wdzięcznością pozwalała wodzie, by ją obmyła.

Kąpiel w rzece była orzeźwiająca. Potem wspięła się do swojej groty, rozłożyła letnie okrycie, aby wyschło i pożałowała, że nie pamiętała przed wejściem do wody o wyciągnięciu procy zza rzemienia w pasie. Obawiała się, że po wyschnięciu zeszywnieje. Nie miała czasu, żeby ponownie zmiękczyć ją i uelastyczyć. Nałożyła pełne okrycie i zabrała z posłania w jaskini futro. Zanim jednak zeszła na dół na plażę, spojrzała z półki skalnej na łąkę. W pobliżu dołu było widać szamotaninę i ruch, ale konie z doliny odeszły.

Nagle przypomniała sobie o oszczepach. Nadal leżały na ziemi tam, gdzie je zostawiła po wyciągnięciu z klaczy. Rozważała w duchu, czy po nie pójść, już niemal przekonała samą siebie, aby dać temu spokój. W końcu jednak przyznała, że lepiej pójść i zachować dwa całkowicie dobre oszczepy, niż potem robić nowe. Zabrała wilgotną procę i zostawiła po drodze futro na plaży. Zatrzymała się na chwilę na plaży, aby nazbierać garść kamieni.

Zbliżyła się do pułapki. Podobnie jak za pierwszym razem dostrzegła drapieżniki. Płot z gałęzi w kilku miejscach się przewrócił. Dół był niczym świeża rana w ziemi. Na zdeptanej trawie pobrudzonej krwią wały się skrawki mięsa i kości. Dwa wilki warczały nad pozostałością końskiego łba. Grupa lisów ujadała dookoła przedniej nogi z uczepionym nadal kopytem. Hiena również zerknęła ostrożnie w ich kierunku. Gromadka drapieżników rozpięchła się na widok kobiety. Tylko rosomak nie opuścił swej pozycji przy dole. Jedynie koty były nadal podejrzenie nieobecne.

Lepiej się pospieszę, myślała rzucając kamień, aby odpędzić żarłocznego rosomaka. Muszę rozpalić ogień dookoła mego mięsa. Hiena wycofała się z chichotem. Trzymała się tuż poza zasięgiem jej broni. – Wynoś się stąd, ty wstrętny zwierzaku! –

pomyślała Ayla. Nienawidziła hien. Ich widok zawsze przypominał jej, jak hiena porwała dziecko Ogy. Ayla nie zastanawiała się wtedy nad następstwami tego czynu; zabiła ją. Po prostu nie mogła pozwolić na to, aby dziecko Zginęło taką śmiercią.

Gdy się pochylała, aby podnieść oszczepy, jej uwagę zwrócił ruch, jaki dostrzegła przez otwór w płocie z gałęzi. Kilka hien czaiło się w pobliżu bułanego źrebaka o długich i chudych nogach.

Przykro mi, pomyślała Ayla. Nie chciałam specjalnie zabić twej kłaczy, tak się zdarzyło, że tylko ona złapała się w pułapkę. Ayla nie miała poczucia winy. Na świecie byli myśliwi i zwierzyna łowna, a czasami i na myśliwych polowano. Ona równie dobrze mogła paść ofiarą innych myśliwych, pomimo swej broni i ognia. Życie było wielkim polowaniem.

Wiedziała jednak, że źrebaka pozbawionego matki czeka śmierć. Żal jej się zrobiło małego i bezbronno zwierzęcia. Po przyniesieniu Izie do wyleczenia pierwszego zajączka naznosiła do jaskini jeszcze całe mnóstwo małych rannych zwierzątek, ku niezadowoleniu Bruna. Drapieżników jednakże nigdy nie ratowała.

Obserwowała, jak hieny okrężały małego źrebaka, który bojaźliwie próbował schodzić im z drogi, rozglądając się wystraszonym wzrokiem dookoła. Skoro nie ma się kto tobą zająć, to może lepiej, aby tak się stało, rozważała Ayla. Ale gdy jedna z hien rzuciła się, by zaatakować jego bok, kobieta się nie zastanawiała. Przedarła się przez krzaki, miotając procą kamienie. Jedna hiena padła, inne uciekły. Nie próbowała ich zabić; nie była zainteresowana cętkowanym i wyglądającym na zmierzwiłone futrem hien, chciała jedynie, aby zostawiły źrebaka

w spokoju. Żreback również uciekł, ale niedaleko. Lękał się Ayli, ale bardziej bał się hien.

Ayla powoli podeszła do małego, trzymając przed sobą wyciągniętą dłoń. Mruczała cicho, podobnie jak to czyniła przedtem uspokajając ranne zwierzęta. Miała wrodzoną umiejętność postępowania ze zwierzętami. Czułość, z jaką podchodziła do wszystkich żywych istot, ujawniła się razem z jej uzdrowicielskimi uzdolnieniami. Iza rozwijała w niej te uczucia. Widziała w nich odbicie swej własnej litości, która kazała jej podnieść dziwnie wyglądające dziecko, gdyż było ranne i głodne.

Żreback wyciągnął łeb, aby powąchać palce Ayli. Kobieta podeszła bliżej, potem poklepała go, głaskała i drapała. Konik wyczuł na palcach Ayli znajomą woń i zaczął głośno je obwąchiwać. W kobiecie odżyło dawne bolesne pragnienie.

Biedne dziecko, pomyślała, takie głodne i bez matki, która dałaby ci mleka. Ja nie mam dla ciebie mleka; nie miałam nawet dość dla Durca. Poczula cisnące się do oczu łzy i potrząsnęła głową. Ale i tak wyrósł na silnego chłopca. Może mogłabym wymyślić ci jakieś pożywienie. Ciebie również trzeba będzie wcześniej odstawić od piersi. Chodź, maleńki, pomyślała i poprowadziła żrebaka za swymi palcami na plażę.

Gdy podeszła bliżej, dostrzegła rysia, który właśnie próbował uciec z kawałem, z takim trudem, zdobytego mięsa. W końcu i kot się pojawił. Sięgnęła po dwa kamienie i procę, spłoszony żreback się cofnął. Ryś podniósł łeb. Ayla cisnęła z mocą kamienie.

– Procą możesz zabić rysia – zapewniał ją kiedyś dawno temu Zoug. – Nie próbuj atakować niczego większego, ale rysia możesz zabić.

Nie po raz pierwszy Ayla udowadniała prawdę jego słów. Zabrała z powrotem swoje mięso. Odciągnęła również kota z

pędzelkami na uszach. Spojrzała na stertę mięsa, pokrytą błotem końską skórę, martwego rosomaka i zabitego rysia. Nagle wybuchnęła głośnym śmiechem. Potrzebowałam mięsa. Potrzebowałam skór. Teraz potrzeba mi jedynie kilku dodatkowych rąk, pomyślała.

Żrebaka spłoszył jej wybuch śmiechu i zapach ognia. Ayla wzięła rzemień i ponownie zbliżyła się powoli do konia, a potem zawiązała mu rzemień na szyi i zaprowadziła na plażę. Przywiązała drugi koniec do krzaków, przypominając sobie, że znowu zapomniała oszczepów. Pobiegła po nie. Po powrocie uspokoiła konika, który próbował za nią podążyć. – Czym ja cię nakarmię? – pomyślała, gdy mały próbował ssać jej palce. Jakbym nie miała teraz i tak dość pracy.

Próbowała mu podać trawę, ale konik zdawał się nie bardzo wiedzieć, co ma z nią zrobić. Wtem zauważyła miskę do gotowania, a na jej dnie zimne, rozgotowane ziarno. Dzieci mogą jeść to samo pożywienie, co ich matki, ale musi ono być bardziej miękkie. Doląła do miski wody, wymieszała z ziarnem na gładką papkę i podała żrebackowi, który jednak tylko powąchał i cofnął się, gdy kobieta podstawiała mu ją pod pysk. Ale potem polizał jej twarz i wyglądało na to, że polubił jej smak. Był głodny i ponownie powędrował za palcami Ayli.

Ayla pomyślała chwilę; potem ze żrebackiem nadal ssącym jej palce, opuściła dłoń do miski. Koń wciągnął trochę papki i rzucił łbem, ale po kilku dalszych próbach zwierzę pojęło w czym rzecz. Gdy już wszystko wyjadło, Ayla poszła do jaskini i przyniosła więcej ziarna, aby ugotować je na później.

Zdaje się, że będę musiała zebrać o wiele więcej ziarna, niż poprzednio planowałam. Może jednak będę miała czas – gdy to wszystko ususzę. Ależ klan by się dziwił, widząc, jak zabijam

konia dla pożywienia, pomyślała, a potem zbieram pożywienie dla jego dziecka. Mogę zachowywać się tak dziwnie, jak mi się podoba... tutaj, myślała, nabijając kawałek końskiego mięsa na zastrzony kij, aby sobie go upiec. Potem spojrzała na czekającą ją zadanie i zabrała się do pracy.

Ponownie wstał księżyc w pełni i gwiazdy zaczęły mrugać, a ona była nadal pochłonięta cięciem mięsa na pasy. Plażę otaczały ogniska i kobieta z zadowoleniem myślała o dużej stercie leżącego w pobliżu drewna. Rozkładała dookoła kolejne rzędy suszącego się mięsa. Cętkowana skóra rysia została zwinięta i leżała obok mniejszego rulonu z grubym, brązowym futrem rosomaka, czekając na oczyszczenie i zakonserwowanie. Świeżo umyta szara skóra klaczy leżała na kamieniach, schnąc obok końskiego żołądka, który napełniła wodą, aby pozostał miękki. Leżały tam również ścięgna, wymyte jelita i stos kopyt, kości i kawałków tłuszczu, które oczyści i schowa w jelitach. Udało jej się nawet wykroić trochę tłuszczu z rysia i rosomaka – do lampek i uszczelniania – ale mięso drapieżników wyrzuciła. Nie przepadała za jego smakiem.

Ayla spojrzała na ostatnie dwa, opłukane z błota w wodzie, kawały mięsa i sięgnęła po jeden z nich. Potem się rozmyśliła. Mogą poczekać. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek była tak zmęczona. Sprawdziła ogniska, ułożyła przy każdym więcej drewna, a po chwili rozłożyła swą niedźwiedzią skórę i zawinęła się w nią.

Żrebak nie był już przywiązany do krzaków. Po drugim karmieniu nie miał ochoty na odejście. Ayla już zasypiała. Żrebak obwąchał ją, a potem położył się obok. Nie przyszło jej na myśl, że konik może ją obudzić, wyczuwając w pobliżu drapieżnika. Na wpół śpiąc, kobieta objęła ramieniem ciepłego żrebaka. Czowała

bicie jego serca, słyszała jego oddech. Przytuliła się do niego mocniej.



## . 6 .



Jondalar pogłaskał się po zarośniętym policzku i sięgnął po swój bagaż oparty o karłowatą sosnę. Wyciągnął małe zawiniątko z miękkiej skóry, rozwiązał rzemyki, rozłożył poły i ostrożnie sprawdził cienkie krzemienne ostrze. Było lekko wygięte – wszystkie ostrza wykonane z łupanego krzemienia były trochę wygięte, było to cechą charakterystyczną tego kamienia – ale jego brzeg był równy i ostry. Ostrze było jednym z kilku; szczególnie przedniej jakości, narzędzi, jakie odłożył na bok.

Nagły poryw wiatru zakołatał suchymi konarami starej, karłowatej sosny. Gwałtowny podmuch odchylił połę namiotu, zakotłował się w środku, napiął linki, szarpnął masztem i ponownie opuścił połę, zamykając namiot. Jondalar spojrzął na ostrze, po czym potrząsnął głową i znowu je zawinął.

– Czas pozwolić brodzie rosnąć? – zapytał Thonolan. Jondalar nie zauważył nadejścia brata.

– O brodzie musisz wiedzieć jedno – powiedział. – W lecie może być z nią utrapienie. Swędzi, gdy się spocisz; najwygodniej ją zgolić. Ale z całą pewnością zimą pomoże ogrzać twarz, a zima właśnie nadchodzi.

Thonolan chuchnął w dłonie, zatarł je, przykucnął przy małym

ognisku przed namiotem i wyciągnął dłonie nad ogniem.

– Tęsknię za kolorem – rzekł.

– Za kolorem?

– Za czerwienią. Tu nie ma czerwieni. Krzaki się czerwienią tu i ówdzie, ale wszystko inne po prostu robi się żółte lub brązowe. Trawa, liście. – Wskazał głową w kierunku otwartych stepów, a potem spojrzął na Jondalara – Nawet sosny wyglądają szaro. Na kałużach i brzegach strumieni jest już lód, a ja ciągle czekam na jesień.

– Nie czekaj zbyt długo – powiedział Jondalar. Poszedł i przykucnął po przeciwnej stronie ogniska. – Tego ranka widziałem nosorożca. Zmierzał na północ.

– Pachnie śniegiem.

– Dopóki kręcą się tu nosorożce i mamuty, to nie spadnie go jeszcze wiele. One lubią chłód, ale nie przepadają za głębokim śniegiem. Zawsze zdają się wiedzieć, kiedy nadciąga duża burza, i spieszą wtedy z powrotem w kierunku lodowca. Ludzie mówią: nigdy nie ruszaj na przód, gdy mamuty ruszają na północ. To się odnosi również i do nosorożców, ale temu akurat się nie spieszyło.

– Widziałem nieraz, jak całe zastępy łowców zawracały bez rzucenia jednego oszczepu, tylko z tego powodu, że kudłacze zdążyły na północ. Ciekaw jestem, ile tu spada śniegu?

– Lato było suche. Jeżeli zima również taka będzie, to mamuty i nosorożce mogłyby tu zostać przez cały sezon. Ale teraz jesteśmy dalej na południe, a to zwykle oznacza, że należy się spodziewać więcej śniegu. Jeżeli w tych górach na wschodzie są ludzie, to powinni o tym wiedzieć. Może powinniśmy byli zostać z tymi, którzy przewieźli nas na drugą stronę rzeki. Wkrótce będziemy potrzebowali miejsca do przezimowania.

– Już teraz nie miałbym nic przeciwko miłej jaskini pełnej pięknych kobiet – powiedział Thonolan z uśmiechem.

– Mnie wystarczyłaby miła jaskinia.

– Starszy bracie, przecież i ty chciałbyś spędzić zimę w towarzystwie kobiety.

Wyższy z mężczyzn uśmiechnął się.

– No cóż, bez kobiety choćby i niezbyt ładnej zima jest o wiele zimniejsza.

Thonolan spojrział niepewnie na brata.

– Często się nad tym zastanawiałem – powiedział.

– Nad czym?

– Bywa, że mężczyźni zabiegają o względy jakiejś prawdziwej ślicznotki, ona zaś poza tobą świata nie widzi. Wiesz, że nie uważam cię za głupca, ale powiedz, dlaczego zamiast niej wybierasz jakąś siedzącą w kącie myszkę?

– Nie wiem. Czasami “myszka” po prostu myśli, że nie jest piękna, bo ma na policzku pieprzyk lub myśli, że ma za długi nos. Ale gdy ją zagadniesz, to często jest bardziej pociągająca niż ta, za którą uganiają się wszyscy. Czasami bardziej interesujące są kobiety o niedoskonałej urodzie; mają więcej doświadczenia lub też nauczyły się czegoś więcej.

– Może masz rację. Niektóre z tych wstydliwych rozkwitają, gdy się zwróci na nie uwagę.

Jondalar wzruszył ramionami.

– W ten sposób nie znajdziemy kobiety ani jaskini. Zwińmy obóz.

– Zgoda! – przystał ochoczo Thonolan, po czym odwrócił się tyłem do ognia i zamarł. – Jondalar! – wykrztusił, a potem spróbował nadać swemu głosowi niedbały ton. – Nie rób nic, co mogłoby zwrócić jego uwagę, ale jeżeli spojrzysz ponad

namiotem, to zobaczysz naszego przyjaciela spotkanego dzisiejszego ranka lub kogoś wyglądającego zupełnie jak on.

Jondalar spojrział ponad dachem namiotu. Po drugiej stronie stał ogromny, o dwóch rogach, włochaty nosorożec. Zwierz kołysał się z boku na bok, przenosząc swój ogromny ciężar z jednej nogi na drugą. Głowę miał zwróconą na bok, a oczy utkwione w Thonolanie. Prosto przed sobą prawie nic nie widział; jego małe oczka były umieszczone daleko z tyłu łba i z tego powodu miał słaby wzrok. Doskonały słuch i węch w pełni jednak wyrównywał jego wąskie pole widzenia.

Z całą pewnością był to stwór zimnych rejonów. Miał dwie warstwy futra, spodnią z miękkiego, gęstego puszystego futerka, i zewnętrzną, kosmatą z rudobrazowego włosia, a pod grubą skórą miał trzycalową warstwę tłuszczu. Łeb trzymał nisko, opuszczony poniżej barków, a gdy się kołysał, to jego długi, przedni róg sięgał niemal ziemi. Używał go do wygrzebywania paszy spod śniegu, jeżeli nie był zbyt głęboki. Jego krótkie, grube nogi łatwo grzęzły w głębokim śniegu. Na stepach południa składał jedynie krótkie wizyty – aby się popaść na urodzajnych łąkach i zgromadzić dodatkowe zapasy tłuszczu – późną jesienią i wczesną zimą, gdy robiło się dla niego dostatecznie chłodno, ale zanim zaczynał padać gęsty śnieg. Ze swym gęstym futrem nie wytrzymał gorąca, w równym jednak stopniu nie mógł przeżyć w głębokim śniegu. Jego domem była zimna, sucha tundra i stepy w pobliżu lodowca.

Jednakże długi, sterczący róg wykorzystywał również do bardziej niebezpiecznego zajęcia niż odgarnianie śniegu, a nosorożca i Thanolana dzieliła jedynie niewielka odległość.

– Nie ruszaj się! – syknął Jondalar. Pochylił się prędko za namiotem i sięgnął po swój bagaż z oszczepami.

– Te lekkie oszczepy na niewiele się zdadzą – powiedział Thonolan, choć stał odwrócony do niego plecami. Ta uwaga na chwilę zatrzymała rękę Jondalara; zastanawiał się, skąd Thonolan mógł wiedzieć. – Musisz trafić go w jakiś czuły punkt, taki, jak oko, a to za mały cel. Na nosorożca potrzebna ciężka dzida ciągnął Thonolan i Jondalar zdał sobie sprawę, że brat domyślał się jego ruchów.

– Nie gadaj tyle, zwrócisz jego uwagę – ostrzegł Jondalar. – Ja może nie mam solidnej dzidy, ale ty w ogóle jesteś bez broni. Obejdę namiot i spróbuję go zaatakować.

– Czekaj, Jondalar! Nie rób tego! Tylko go tym oszczepem rozzłościś; nawet go nie zranisz. Pamiętasz, jak jako chłopcy zwykliśmy rozwścieczać nosorożce? Ktoś zaczynał biec, prowokując go do pogoni, potem krył się i ktoś inny zwracał na siebie uwagę bestii. Zmuszaliśmy go tym sposobem do biegania tak długo, dopóki się nie zmęczył. Przygotuj się do zwrócenia na siebie jego uwagi – pobiegnę i spróbuję nakłonić go, aby za mną pogonił.

– Nie! – krzyknął Jondalar, ale było już za późno. Thonolan już biegł.

Nigdy nie można było przewidzieć reakcji nieobliczalnej bestii. Zamiast pognać za człowiekiem, nosorożec zaatakował namiot łopoczący na wietrze. Wyrznął w niego, wyrywając w nim dziurę, wyszarpnął rzemienie i zaplątał się w nie. Gdy w końcu się oswobodził, uznał, że nie podobają mu się ani ludzie, ani ich obozowisko, i oddalił się truchtem, nie czyniąc nic złego. Thonolan się obejrzał, zobaczył, że nosorożec poszedł sobie, więc zawrócił i przybiegł z powrotem. Jondalar cisnął oszczepem o ziemię z taką siłą, że aż złamał drzewce tuż nad kościanym czubkiem. – Życie ci niemiłe? Na Wielką Doni, Thonolanie!

Dwóch ludzi nie da sobie rady z nosorożcem. Trzeba go otoczyć. A gdyby tak pognał za tobą? Co, na Wielką Matkę podziemnego świata, zrobiłbym, gdybyś został ranny?

Przez twarz Thonolana przemknęło zaskoczenie, potem złość. Ale natychmiast uśmiechnął się szeroko.

– Ty naprawdę się o mnie martwiłeś! Krzycz sobie, ile chcesz, nie zwiedzisz mnie. Być może, nie powinienem był tego próbować, ale nie mogłem pozwolić, abyś uczynił coś tak głupiego, jak rzucenie się na nosorożca z oszczepem. Co, na Wielką Matkę podziemnego świata, zrobiłbym, gdybyś został ranny? – Uśmiechnął się szerzej, a oczy rozbłysły mu jak u małego chłopca, któremu udała się sztuczka. – A poza tym, on wcale nie pognał za mną.

Jondalar spojrzał bezradnie na uśmiechniętą twarz swego brata. Jego wybuch bardziej mu ulżył niż złość. Chwilę jednak trwało, nim uprzytomnił sobie, że Thonolan był bezpieczny.

– Miałeś szczęście. Zdaje się, że obaj je mieliśmy – powiedział, oddychając głośno z ulgą. – Będzie jednak lepiej, jeżeli zrobimy sobie kilka dzid, nawet gdybyśmy mieli tylko na razie zaostrzyć ich końce.

– Nie widziałem cisów, ale możemy rozejrzeć się po drodze za jesionem lub olchą – zauważył Thonolan, zaczynając zwijać namiot. – Powinny się nadać.

– Wszystko by się nadało, nawet wierzba. Powinniśmy je zrobić przed wyruszeniem.

– Jondalarze, zbierajmy się stąd. Mamy przecież dotrzeć do gór, czyż nie?

– Nie lubię wędrować bez dzid, gdy dookoła kręcą się nosorożce.

– Możemy zatrzymać się wcześniej. I tak musimy naprawić

namiot. Jeżeli wyruszymy, to będziemy mogli rozejrzeć się za jakimś dobrym drzewem i znaleźć lepsze miejsce na obóz. Ten nosorożec może wrócić.

– Może również iść za nami – Jondalar wiedział, że Thonolan zawsze miał ochotę wyruszać skoro świt i niecierpliwił się z powodu opóźnień. – Może powinniśmy spróbować dotrzeć do tych gór. No dobrze, ale zatrzymamy się wcześniej, zgoda?

– Zgoda, starszy bracie.

Bracia wędrowali wzdłuż brzegu rzeki. Dawno już dopasowali do siebie tempo swego marszu i dobrze się czuli z własnym milczeniem. Zżyli się z sobą, dokładnie poznali swoje uczucia i myśli, mocne i słabe strony. Zwyczajem się stało, że każdy z nich wykonywał określone zadania, a w razie niebezpieczeństwa polegali na sobie całkowicie. Byli młodzi, silni i zdrowi oraz ufni, że poradzą sobie ze wszystkim, co ich mogło spotkać.

Byli tak zespoleni ze środowiskiem naturalnym, że podświadomie rejestrowali wszystko, co się działo dookoła nich. Na najmniejsze oznaki niepokoju przypadali natychmiast do ziemi. Ciepło płynące od odległego słońca ledwie czuli. Rozpraszał je zimny wiatr szumiący w bezlistnych gałęziach. Przed nimi ciemne od spodu chmury obejmowały bielejące ściany przedpiersia gór, a obok płynęła wartka, głęboka rzeka.

Pasma górskie masywu kontynentalnego kształtował bieg Wielkiej Matki Rzeki. Wypływała ona z północnej wyżyny jednego z pokrytych lodowcem pasm i płynęła na wschód. Powyżej pierwszego łańcucha gór znajdowała się równina – wcześniej basen wewnętrznego morza – a dalej na wschód, drugie pasmo gór zakręcało szerokim łukiem. Tam, gdzie najbardziej na wschód wysunięty wysokogórski przylądek pierwszego pasma spotykał się z północno-wschodnim

podnóżem drugiego, rzeka przedzierała się przez skalną przegrodę i zakręcała gwałtownie na południe.

Po opuszczeniu wyżyny płynęła dalej poprzez stepy, wijąc się i kręcąc, rozdzielając się na osobne strumienie i ponownie łącząc w swej krętej drodze na południe. Pozornie leniwa rzeka, płynąc przez równinę, stwarzała iluzję niezmiennej. Ale to była jedynie iluzja. Nim Wielka Matka Rzeka dotarła do położonych wyżej terenów na południowym krańcu równiny, gdzie ponownie zakręcała na wschód i zbierała razem swe wszystkie odnogi, wchłaniała w siebie wodę z północnych i wschodnich zboczy pierwszego masywu pokrytego grubym płaszczem lodowca.

Wielka wezbrana Matka obejmowała całą depresję, wijąc się na wschód i płynąc szerokim zakolem w kierunku południowego krańca drugiego łańcucha szczytów. Obaj mężczyźni podążali jej lewym brzegiem, przechodząc po drodze co pewien czas przez odnogi i strumienie ciągle spieszące na spotkanie głównego nurtu. Po drugiej stronie rzeki, od południa, teren się wznosił stromymi poszarpanymi uskokami; na ich brzegu faliste zbocza wzgórz wspinały się łagodnie znad rzeki.

– Nie myślę, abyśmy przed zimą znaleźli koniec Dunaju zauważył Jondalar. – Zaczynam się zastanawiać, czy ta rzeka w ogóle majakiś koniec.

– Ma koniec i myślę, że wkrótce go znajdziemy. Patrz, jaka jest wielka. – Thonolan zatoczył ręką w prawo szeroki łuk. – Kto by pomyślał, że robi się taka wielka? Musimy być w pobliżu jej końca.

– Ale nie dotarliśmy nawet jeszcze do Siostry, tak przynajmniej mi się zdaje. Tamen mówił, że jest tak wielka, jak Matka.

– To musi być jedna z tych opowieści, które rozrastają się w miarę opowiadania. Nie wierzysz chyba, aby po tej równinie



płynęła na południe jeszcze jedna równie wielka rzeka?

– No cóż, Tamen nie mówił, że widział ją osobiście. Trzeba jednak przyznać, że miał rację co do tego, iż Matka ponownie zakręca na wschód. Nie mylił się też co do ludzi, którzy pomogli nam przeprowić się przez główny kanał. Może więc mieć rację również co do Siostry. Szkoda, że nie znaleźliśmy języka ludzi z tratwami z tej jaskini; oni mogli wiedzieć, czy dopływ Matki jest wielki jak ona sama.

– Łatwo o przesadę, gdy chodzi o odległe cuda natury. Myślę, że Siostra jest po prostu jeszcze jednym dopływem Matki, wpadającym do niej dalej na wschodzie.

– Mam nadzieję, że masz rację, młodszy bracie. Ponieważ jeżeli Siostra istnieje naprawdę, to będziemy musieli się przez nią przeprowić, zanim dotrzemy to tamtych gór. Nie wiem, gdzie indziej moglibyśmy znaleźć miejsce do przeczekania zimy.

– Uwierzę w jej istnienie, gdy ją zobaczę.

Uwagę Jondalara zwrócił jakiś ruch w otoczeniu. Po dźwięku zlokalizował w oddali ciemny obłok, poruszający się niezależnie od kierunku wiatru. Mężczyzna przystanął, aby się przyjrzeć nadlatującemu kluczowi dzikich gęsi. Ptaki opuściły się niżej, przesłaniając niebo ciemną chmurą, która rozpadła się na pojedyncze osobniki. Sfrunęły jeszcze bliżej ziemi i opuszczając nogi oraz trzepocząc skrzydłami hamowały, aby wylądować i odpocząć. Rzeka zbaczała ze swej drogi, opływając znajdujące się przed nimi wzniesienie stepu.

– Starszy bracie – powiedział Thonolan, uśmiechając się z podnieceniem – te gęsi nie wylądowałyby, gdyby tam przed nami nie było bagniska. Może jest tam jezioro albo morze i założę się, że Matka do niego wpływa. Myślę, że dotarliśmy do końca rzeki!

– Gdybyśmy wspięli się na to wzgórze, to mielibyśmy lepszy

widok – powiedział Jondalar, starając się, aby jego głos zabrzmiał naturalnie. Thonolan miał jednak wrażenie, że brat nie całkiem wierzy w jego słowa.

Szybko wspięli się na wzniesienie, z trudem łapiąc oddech. Po dotarciu na szczyt zdumienie zaparło im dech w piersiach. Byli dostatecznie wysoko, aby widzieć na znaczną odległość. Za zakrętem Matka się rozlewała, jej nurt stawał się bardziej burzliwy. Po dopłynięciu do szerokiego rozlewiska toczyła się dalej, falując i pieniąc się. Znaczna część wody była mętna od błota podrywanego z dna i niesionych śmieci. Połamane gałęzie, martwe zwierzęta, całe drzewa podskakiwały i kręciły się porywane przez zderzające się nurty.

Nie dotarli do końca Matki, spotkali Siostrę.

Wysoko w górach przed nimi Siostra brała swój początek jako rzeczki i strumienie. Strumienie stawały się rzekami, które spadały wodospadami, przelewały się przez katarakty i kierowały się prosto w dół zachodnich zboczy drugiego, olbrzymiego pasma gór. Nie mając po drodze jezior czy innych zbiorników, które mogłyby kontrolować jej przepływ, wzburzone wody zbierały swe siły, dopóki nie spotkały się razem na równinie. Jedynie Matka sama przepełniona wodą mogła wyhamować wzburzoną Siostrę.

Dopływ, niemal tej samej wielkości, wpadał do głównego koryta. Próbował przeciwstawić się kontrolującemu wpływowi wartkiego nurtu. Wzburzone wody wpadały, cofały się i wpływały ponownie. Prądy krzyżowały się i fale wezbranej wody płynęły do tyłu; chwilowe wiry wciągały w szaleńczym pędzie unoszące się na powierzchni rzeczy, by po chwili wyrzucić je ponownie do góry w dole nurtu. Wezbrane zlewisko urastało do rozmiarów jeziora zbyt wielkiego, aby objąć go wzrokiem.

Spadająca strumieniami woda wytracała swój pęd i cofając się, pokrywała warstwą mułu i błota brzegi, pozostawiając po sobie bagno i zniszczenie: powyrywane drzewa z wyciągniętymi do góry korzeniami, nasiąkniętymi wodą pniami i połamanymi konarami; padlinę i zdychające ryby wyrzucone na brzeg do wysychających kałuż. Na łatwo dostępnych resztkach ucztowało ptactwo wodne; pobliski brzeg roił się od niego. Obok hiena, nie zwracając uwagi na tnxpot skrzydeł czarnych bocianów, kończyła się rozprawiać z rogaczem.

– Wielka Matko! – wybuchnął Thonolan.

– To musi być Siostra. – Jondalar był pełen zbyt nabożnego szacunku, aby zapytać brata, czy teraz już uwierzył.

– Jak przeprawimy się na drugą stronę?

– Nie wiem. Musimy wrócić w górę jej biegu.

– Jak daleko? Ona jest tak wielka, jak Matka.

Jondalar mógł w odpowiedzi potrząsnąć jedynie głową. Czoło miał pomarszczone w zadumie.

– Trzeba nam było posłuchać rady Tamena. Lada dzień może spaść śnieg; nie mamy czasu, aby cofać się zbyt daleko. Nie chciałbym, żeby dopadła nas na otwartej przestrzeni duża burza śnieżna.

Nagły poryw wiatru odrzucił do tyłu kaptur, odkrywając Thonolanowi głowę. Nałożył go z powrotem, otulając szczelniej twarz, przez ciało przebiegł mu dreszcz. Po raz pierwszy odkąd wyruszyli, miał poważne wątpliwości co do tego, czy uda się im przetrwać czekającą ich długą zimę.

– Co teraz zrobimy, Jondalarze?

– Znajdziemy sobie miejsce na rozbicie obozu. – Wyższy z braci rozejrzał się po okolicy. – Tam, trochę w górę strumienia, w pobliżu tego wysokiego brzegu z olchowym zagajnikiem. Tam

jest strumień wpadający do Siostry – powinna w nim być dobra woda.

– Jeżeli przywiązalibyśmy oba nasze nosidła do jednej kłody i przyczepili sobie linę w pasie, to moglibyśmy przepłynąć na drugą stronę i nie rozdzielić się.

– Wiem, młodszy bracie, że jesteś odważny, ale to głupia odwaga. Nie jestem pewny, czy potrafiłbym przepłynąć na drugą stronę, ciągnąc kłodę z całym naszym dobytkiem. Ta rzeka jest zimna. Jedynie wartki nurt powoduje, że nie zamarza – tego ranka na brzegach był lód. A co będzie, jeżeli zapłączemy się w gałęziach jakiegoś drzewa? Porwie nas prąd i, być może, wciągnie pod wodę.

– Czy pamiętasz ludzi z tej jaskini w pobliżu Wielkiej Wody? Oni wydrążają duże drzewa i wykorzystują je do przeprowiania się przez rzeki. Może my moglibyśmy...

– Znajdź mi tu w okolicy wystarczająco duże drzewo – powiedział Jondalar, wyrzucając ramię w kierunku trawiastej równiny, na której rosło jedynie kilka wątych bądź karłowatych drzewek.

– No tak... ktoś mi mówił o innej jaskini, w której robi się lekkie łodzie z brzozonej kory... ale ona wydaje się taka cienka. – Widziałem je, ale nie wiem, jak się je robi ani jakiego kleju używają, aby nie ciekły. Brzozy w ich stronach wyrastają jednak większe od tych jakie widywałem tutaj.

Thonolan popatrzył dookoła, próbując wymyślić jakiś inny sposób, którego brat nie obaliłby swą nieubłaganą logiką. Trochę na południe od nich zauważył na wysokim pagórku kępę strzelistych olch i uśmiechnął się.

– A co powiedziałbyś na tratwę? Musielibyśmy jedynie powiązać razem kilka kłód, a na tym wzgórzu jest więcej olch,

niż nam trzeba.

– I znajdzie się tam również jeden dostatecznie długi i mocny drąg, którym moglibyśmy sięgnąć dna rzeki i sterować tratwą? Tratwą trudno sterować nawet na małych i płytkich rzekach.

Z twarzy Thonolana zniknęła zadowolona pewność siebie i Jondalar nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Thonolan nigdy nie potrafił skrywać swoich uczuć; Jondalar wątpił, aby kiedykolwiek próbował to czynić. Ale to właśnie jego porywczą, otwartą naturą sprawiała, że był tak lubiany.

– To jednakże wcale nie jest taki zły pomysł – zaaprobował Jondalar, spostrzegając powrót uśmiechu na twarzy Thonolana możemy go wykorzystać, gdy dotrzemy tak daleko w górę rzeki, aby nie było niebezpieczeństwa, że porwie nas prąd i zniesie na wzburzoną wodę. Będziemy musieli znaleźć miejsce, w którym rzeka się poszerzy i robi płytsza i nie będzie płynąć zbyt szybko, i gdzie będą rosły drzewa. Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma.

Na wzmiankę o pogodzie Thonolan spoważniał równie jak jego brat.

– W takim razie ruszajmy. Namiot jest naprawiony.

– Pójdę się najpierw rozejrzeć w tych olchach. Potrzebujemy kilku solidnych dzid. Powinniśmy byli je zrobić poprzedniego wieczoru.

– Czyżbyś nadal obawiał się nosorożca? Jest już teraz daleko za nami. Trzeba ruszać, abyśmy mogli znaleźć miejsce do przeprawy. – Pójdę przynajmniej wyciąć drzewce.

– A więc możesz również wyciąć jedno dla mnie. Zaczę pakować rzeczy.

Jondalar podniósł swoją siekiere, sprawdził ostrze, a potem kiwnął głową i ruszył w górę zbocza w kierunku olchowego zagajnika. Uważnie przyjrzał się drzewom i wybrał jedno,

młodziutki, wysokie i smukłe. Ściął je i zaczął się rozglądać za następnym dla Thonolana, gdy usłyszał poruszenie. Dobiegło go prychnanie i pochrząkiwanie. Usłyszał okrzyk brata, a potem najbardziej przerażający z dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał: krzyk bólu. Cisza, która zapadła po urwanym krzyku, była jeszcze gorsza.

– Thonolan! Thonolan!

Jondalar pognał z powrotem w dół zbocza, nadal ściskając olchowe drzewce. Obleciał go zimny strach. Serce waliło mu jak młotem, gdy ujrzał jak potężny włośchaty nosorożec, dorównujący mu wzrostem, ciągał po ziemi wiotkie ciało. Zwierzę najwyraźniej nie wiedziało, co począć ze swą ofiarą, gdy już ją powaliło. Jondalar przepojony do głębi strachem i gniewem nie myślał, zareagował odruchowo.

Wymachując olchowym drągiem niczym maczugą, starszy z braci rzucił się na bestię, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Jedno z mocnych uderzeń wylądowało na pysku nosorożca, tuż powyżej dużego zagiętego rogu, potem posypały się następne. Nosorożec cofnął się niezdecydowanie w obliczu atakującego go z szaloną furią i zadającego mu ból człowieka. Jondalar przygotował się do ponownego uderzenia, odchylając do tyłu długi drąg, ale zwierzę się odwróciło. Silne walnięcie w zad nie bolało, ale przynagliło go do ucieczki. Wysoki mężczyzna pobiegł za nim.

Olchowy drąg ze świstem przeciął powietrze za uciekającym zwierzęciem, Jondalar zatrzymał się i łapiąc oddech obserwował, jak nosorożec się oddalał. Nagle rzucił drąg i pobiegł z powrotem do Thonolana. Brat leżał twarzą do ziemi w miejscu, w którym zostawił go nosorożec.

– Thonolan? Thonolan! – Jondalar obrócił go. Skórzane

spodnie Thonolana były rozdarte w pobliżu pachwiny a plama krwi się powiększała.

– Thonolan! Och, Doni! – Przyłożył ucho do piersi brata, wysłuchując bicia serca i bojąc się, że słyszy je jedynie w swej wyobraźni, dopóki nie stwierdził, że ranny oddycha.

– Och, Doni, żyje! Ale co ja mam zrobić? – Sapiąc z wysiłku, Jondalar podniósł nieprzytomnego brata i stał przez chwilę tuląc go w ramionach.

– Doni, Wielka Matko Ziemi! Nie zabieraj go jeszcze. Proszę, pozwól mu żyć... – Głos załamał mu się i z piersi wyrwał się potężny szloch. – Matko... proszę... pozwól mu żyć...

Jondalar pochylił głowę, szlochając przez chwilę na bezwładnym ramieniu brata, potem zaniósł go z powrotem do namiotu. Złożył go delikatnie na posłaniu i nożem z kościaną rękojeścią rozciął mu ubranie. Jediną widoczną raną było poszarpane rozdarcie skóry i mięśni u góry jego lewej nogi, ale pierś miała mocno czerwoną, a bok opuchnięty. Po dokładniejszym obmacaniu Jondalar się przekonał, że kilka żeber było złamanych; prawdopodobnie w tym miejscu doszło do wewnętrznych obrażeń.

Krew wyciekała przez rozdarcie w nodze, zbierając się na posłaniu. Jondalar grzebał w swoich pakunkach, próbując znaleźć coś, co mogłoby ją wchłonąć. Schwycił swą letnią szatę bez rękawów i starał się nią zetrzeć krew z futra, ale jedynie ją rozmazał dookoła. Potem położył na ranę miękką skórę.

– Doni, Doni! Nie wiem, co robić. Nie jestem zelandoni. Jondalar kucnął, przeciągając po włosach dłońmi i zostawiając na twarzy krwawe plamy. – Kora wierzby! Lepiej zaparzę napój z kory wierzby.

Wyszedł, by przynieść trochę wody. Nie musi być zelandoni,

aby wiedzieć o kojących ból właściwościach kory wierzby; każdy zaparza napój z kory wierzby, gdy go boli głowa lub coś innego. Nie wiedział, czy wykorzystuje się ją również przy poważniejszych ranach, ale też nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Chodził nerwowo wokół ogniska, zaglądając przy każdym okrążeniu do namiotu, czekając, aż zimna woda się zagotuje. Dołożył więcej drewna do ognia i przypalił koniec drewnianego stojaka, na którym wisiał pełen wody skórzany worek.

Dlaczego to tak długo trwa! Czekaj, przecież nie mam kory wierzby. Lepiej ją zdobędę, zanim się woda zagotuje. Wsunął głowę do namiotu i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w brata, potem pobiegł nad brzeg rzeki. Po odarciu kory z bezlistnego drzewa, którego cienkie witki zostawiały na wodzie smugi, pognął z powrotem.

Najpierw zajrzał, aby sprawdzić, czy Thonolan się nie ocknął, i spostrzegł, że jego letnia szata jest cała nasiąknięta krwią. Potem zobaczył, że z przepełnionego skózanego worka woda wykypiała i zalała ogień. Nie wiedział, co robić najpierw – zająć się napojem czy bratem – spoglądał to na ognisko, to na namiot. W końcu schwycił miseczkę do picia i zaczerpnął trochę wody, parząc sobie przy tym rękę, następnie wrzucił do gorącego naczynia korę wie rzby. Dołożył kilka drewna w nadziei, że się zajmą. Przeszukał nosidła Thanolana, wytrząsnął z nich wszystko i podniósł letnią szatę swego brata, aby zastąpić nią swoją nasiąkniętą krwią.

Gdy Jondalar wchodził do namiotu, Thonolan zamamrotał. To był pierwszy dźwięk jaki usłyszał od brata. Wygramolił się na zewnątrz, aby zaczerpnąć miseczkę napoju, zauważył, że niewiele zostało, i zastanawiał się, czy nie był za mocny. Pochylił się i szybko wsunął się z powrotem do namiotu z miseczką



gorącego płynu, rozglądając się szaleńczo za miejscem do siedzenia. Spostrzegł jednak, że wszystko było równie nasiąknięte krwią, jak jego letnia szata. Krew tworzyła kałużę pod Thonolanem i zabarwiała na czerwono posłanie.

On traci zbyt wiele krwi! O Matko! Jemu potrzebny jest zelandoni. Zaczynał coraz bardziej bać się o swego brata. Co mam robić? Czuł się bezradny. Muszę iść po pomoc. Dokąd? Gdzie mógłbym znaleźć zelandoniego? Nawet nie potrafiłbym się przeprawić przez Siostrę, nie mogę go też zostawić. Zapach krwi mógłby zwabić jakiegoś wilka lub hienę.

Wielka Matko! Spójrz na całą tę krew na szacie! Jakies zwierzę może ją zwęszyć. Jondalar schwycił nasiąkniętą krwią koszulę i wyrzucił ją z namiotu. Nie, to wcale nie lepiej! Wynurzył się z namiotu, podniósł ją i rozglądał się gorączkowo za jakimś miejscem, w którym mógłby ją położyć, z dala od obozowiska, z dala od swego brata.

Był pod wpływem szoku, oszołomiony głębokim żalem, a w głębi serca wiedział, że nie było nadziei. Jego brat potrzebował pomocy, której on nie mógł mu udzielić, nie mógł też iść po pomoc. Nawet gdyby wiedział, dokąd iść, to nie mógł odejść. Myślenie, że jakaś zakrwawiona szata bardziej przyciągnie drapieżniki niż sam Thonolan, było zupełnie pozbawione sensu. Ale nie chciał przyjąć do wiadomości prawdy, którą w głębi duszy znał. Opuścił go zdrowy rozsądek, wpadł w panikę.

Dostrzegł olchowy zagajnik i w irracjonalnym odruchu pognął na wzgórze, wepchnął skórzaną koszulę wysoko w rozgałęzienie jednego z drzew. Potem zbiegł z powrotem. Wszedł do namiotu i wpatrywał się w Thanolana, jakby samą siłą woli mógł ponownie przywrócić zdrowie i uśmiech swemu bratu.

Thonolan, jakby wyczuwając jego prośbę zajęczał, podniósł

głowę i otworzył oczy. Jondalar klęknął bliżej i pomimo słabego uśmiechu dostrzegł ból w jego oczach.

– Miałeś rację, starszy bracie. Zwykle ją masz. Nie zostawiliśmy nosorożca daleko za nami.

– Wcale nie chciałem mieć racji. Jak się czujesz?

– Mam ci szczerze powiedzieć? Jestem ranny. Jak poważnie? – zapytał, próbując usiąść. Mało przekonujący uśmiech zmienił się w grymas bólu.

– Nie próbuj się ruszać. Masz, zaparzyłem napój z kory wierzby. – Jondalar podtrzymał bratu głowę i przysunął miseczkę do ust. Thonolan pociągnął kila łyków, po czym się położył z ulgą. W jego oczach obok bólu pojawił się strach.

– Powiedz mi bez ogródek. Jak bardzo ze mną źle?

Wysoki mężczyzna zamknął oczy i odetchnął.

– Nie jest dobrze.

– Tyle to wiem, ale jak źle? – Spojrzenie Thonolana padło na dłoń brata i otworzył szeroko z przerażenia oczy. – Masz całe dłoń we krwi! Czy to moja? Lepiej, abyś mi powiedział, co ze mną jest.

– Sam dobrze nie wiem. Masz ranę w pobliżu pachwiny i straciłeś wiele krwi. Nosorożec musiał tobą rzucić, a może również cię nadepnął. Myślę, że masz parę złamanych żeber. Nie wiem, co jeszcze. Nie jestem zelandoni...

– Ale mnie jest jakiś potrzebny, a jedynie po drugiej stronie tej rzeki, przez którą nie potrafimy się przeprawić, jest szansa, aby go znaleźć.

– Tak to z grubsza wygląda.

– Pomóż mi. Chcę zobaczyć, jak bardzo ze mną źle. Jondalar zaczął protestować, ustąpił jednak i zaraz żałował. W momencie gdy Thonolan spróbował usiąść, krzyknął z bólu i ponownie

stracił przytomność.

– Thonolan! – krzyknął Jondalar. Krwotok już ustawał, ale ta próba spowodowała, że krew popłynęła ponownie. Jondalar złożył letnią szatę brata i położył ją na ranę, potem wyszedł z namiotu. Ogień już prawie przygasał. Jondalar dołożył dREW i znowu rozpałił ognisko, nastawił więcej wody do zagrzania i narębał więcej dREWna.

Wrócił, aby sprawdzić, jak się czuje brat. Szata Thanolana była nasiąknięta krwią. Odsunął ją, żeby spojrzeć na ranę, i skrzywił się na wspomnienie tego, jak pobiegł na wzgórze pozbyć się drugiej szaty. Początkowa panika już go opuściła i tamto zachowanie wydawało mu się strasznie głupie. Krwawienie ustało. Wyszukał inną część odzienia, bieliznę na chłodne dni, położył ją na ranę i przykrył Thanolana, następnie zabrał drugą z zakrwawionych szat i poszedł z nią nad rzekę. Wrzucił ją do wody, a potem się pochylił, aby obmyć dłonie z krwi, nadal czuł się głupio z powodu swej paniki.

Nie wiedział, że w skrajnych przypadkach panika była sprzymierzeńcem przeżycia. Gdy wszystko inne zawodziło, a racjonalne metody znalezienia wyjścia z sytuacji były wyczerpane, do głosu dochodziła panika. I czasami jakiś irracjonalny krok przynosił rozwiązanie, o którym racjonalnie myślący człowiek nawet by nie pomyślał.

Wrócił do obozowiska, dołożył jeszcze kilka dREW do ognia, a potem poszedł się rozejrzeć za olchowym drzewcem, choć robienie teraz dzidy wydawało się bez sensu. Czuł się po prostu tak bezużyteczny, że musiał coś zrobić. Odnalazł je, potem usiadł przed namiotem i zaczął z zaciętością ostrzyć jeden z końców.

Następny dzień był dla Jondalara jednym koszmarem. Posiniaczony lewy bok Thanolana był wrażliwy na

najdelikatniejszy dotyk. Jondalar spał niewiele. To była ciężka noc dla Thonolana i Jondalar podrywał się na każdy jęk brata. Ale mógł mu podawać napój z kory wierzby, a ona niewiele pomagała. Rano ugotował trochę stawy i rosółu, lecz obaj mężczyźni nie zjedli wiele. Do wieczora rana zrobiła się gorąca, a Thonolan zaczął gorączkować.

Thonolan przebudził się z niespokojnego snu i napotkał pełne troski spojrzenie błękitnych oczu brata. Słońce właśnie schowało się za horyzont i chociaż na dworze było nadal jasno, to w namiocie widoczność była gorsza. Mrok jednak nie przeszkodził Jondalarowi w spostrzeżeniu, jak szklany był wzrok Thonolana, który poprzednio jęczał i mamrotał przez sen.

Jondalar spróbował uśmiechnąć się pocieszająco. – Jak się czujesz?

Thonolan był zbyt obolały, aby się uśmiechać i zmartwione spojrzenie Jondalara nie dodawało wiele otuchy.

– Nie mam zbytnej ochoty polować na nosorożce – odparł. Przez pewien czas obaj milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć. Thonolan zamknął oczy i westchnął. Próbował przewyciężyć ból.

Pierś bolała go przy każdym oddechu, a dotkliwy ból w lewej pachwinie zdawał się rozchodzić po całym ciele. Gdyby myślał, że jest jakaś nadzieja, to wytrzymałby, ale im dłużej tu zostawali, tym Jondalar miał mniejszą szansę na przebycie rzeki przed burzą. To, że on umierał, nie było przecież powodem, dla którego miałby umrzeć i jego brat. Otworzył ponownie oczy.

– Jondalarze, obaj wiemy, że bez pomocy z zewnątrz nie ma dla mnie nadziei, ale to nie powód, dla którego ty...

– Co rozumiesz przez: nie ma nadziei? Jesteś młody, silny. Wyzdrowiejesz.

– Nie ma tyle czasu. Tu na otwartym terenie nie mamy szans. Ruszaj dalej, znajdź miejsce do przetrwania zimy, ty...

– Ty majaczysz!

– Nie, ja...

– W przeciwnym razie nie wygadywałbyś takich rzeczy. Martw się tym, aby zebrać dość siły – mnie pozostaw troskę o nas. Obaj przeżyjemy. Mam plan.

– Jaki plan?

– Opowiem ci o nim, gdy dopracuję wszystkie szczegóły. Chcesz coś zjeść? Niewiele jadłeś.

Thonolan wiedział, że dopóki żyje, to brat go nie opuści. Był zmęczony; chciał dać za wygraną, pozwolić, by nastąpił koniec, i dać Jondalarowi szansę.

– Nie jestem głodny – odparł i dostrzegł ból w oczach brata. – Mogę się jednak napić trochę wody.

Jondalar nalał do miseczki resztkę wody i przytrzymał głowę pijącemu bratu. Potem potrząsnął workiem.

– Pusty. Pójdę przynieść więcej.

Chciał mieć pretekst do opuszczenia namiotu. Thonolan się poddawał. Jondalar zmyślał mówiąc, że ma plan. Stracił nadzieję nic dziwnego, że jego brat myśli, iż to beznadziejna sytuacja. Muszę znaleźć sposób na przeprowienie się przez rzekę i znalezienie pomocy.

Wszedł na łagodne zbocze, z którego ponad drzewami miał widok na rzekę, i stał przyglądając się złamanej gałęzi uwięzionej przez sterczącą skałę. Czuł się złapany w pułapkę, tak jak i ta gałąź, pod wpływem nagłego impulsu podszedł do wody i oswobodził ją spod kamienia. Obserwował, jak prąd unosi ją w dół, i zastanawiał się, jak daleko dopłynie, nim nie zaczepi się o coś innego. Zauważył następną wierzbę i naskrobał nożem

więcej kory. Thonolan może mieć znowu ciężką noc, a napój mógł choć trochę mu pomóc.

W końcu zawrócił znad Siostry i poszedł w kierunku małego strumyczka, który dodawał swą małą cząstkę do rozszalałej rzeki. Napełnił worek wodą i ruszył z powrotem. Nie był pewny, co skłoniło go do spojrzenia w górę nurtu rzeki – nie słyszał nic więcej poza hukiem płynącej warko wody – to, co ujrzał, sprawiło, iż otworzył z niedowierzania usta.

Coś zbliżało się z góry rzeki, kierując się prosto do brzegu, na którym stał. Zbliżał się do niego monstrualnych rozmiarów wodny ptak, z długą zakręconą szyją podtrzymującą głowę z grzebieniem i dużymi nieruchomymi oczami. Gdy stwor przybliżył się jeszcze bardziej, dostrzegł na jego grzbiecie jakiś ruch i głowy innych stworów. Jeden z małych stworów zamachał.

– Ho-la! – zawołał głos. Jondalar nigdy nie słyszał bardziej miłego dźwięku.

## . 7 .



Ayla otarła wierzchem dłoni spotniałe czoło i uśmiechnęła się do małego bułanego konika, który trącił ją, próbując wsunąć swój pysk pod jej rękę. Żrebak nie lubił tracić z oczu Ayli i wszędzie za nią chodził. A ona nie miała nic przeciwko temu, chciała mieć towarzystwo.

– Koniku, ile powinnam dla ciebie zebrać ziarna? – zagestykulowała. Bułane źrebię przypatrywało się uważnie jej ruchom. Ayla przypomniała sobie, jak będąc małą dziewczynką uczyła się migowego języka klanu. – Czyżbyś próbował, koniku, nauczyć się mówić? No cóż, w każdym razie rozumieć. Rozmawianie za pomocą dłoni mogłoby ci sprawiać trudności, ale chyba próbujesz mnie zrozumieć.

Język Ayli zawierał kilka dźwięków; zwykły język klanu nie był całkowicie niemy, tak jak starodawny, ceremonialny język. Żrebak zastrzygł uszami na wymówione głośno słowo.

– Słuchasz, prawda, żrebaczku? – Ayla potrząsnęła głową. – Nazywam cię żrebaczkiem, koniczkiem. To nie wydaje się odpowiednie. Myślę, że potrzebne ci imię. Czy przysłuchujesz się w nadziei, że usłyszysz swe imię? Ciekawa jestem, jak nazywała cię klacz – twoja matka? Ale nie sądzę, by udało mi się wymówić twe imię, nawet gdybym je znała.

Młodziutka klacz przyglądała się jej z uwagą. Wiedziała już, że gdy Ayla porusza tak rękoma, to zwraca się do niej. Zarżała, gdy dziewczyna przestała gestykulować.

– Odpowiadasz mi? Whiiinneey! – Ayla spróbowała naśladować końskie rżenie. Konik zareagował na znajomy dźwięk potrząśnięciem głowy i zarżał w odpowiedzi.

– Czy to jest twoje imię? – gestykulowała z uśmiechem Ayla. Żrebak ponownie potrząsnął głową, odbiegł kawałek, a potem wrócił. Kobieta się roześmiała. – W takim razie wszystkie koniki muszą mieć to samo imię, chyba że ja nie potrafię wychwycić w nich różnicy. – Ayla zarżała ponownie, a konik odpowiedział jej rżeniem i bawili się tak przez pewnym czas. Przypomniały jej się zabawy w dźwięki, w jakie zwykła się bawić ze swym synkiem. Durc potrafił naśladować wszystkie dźwięki, które ona wydawała. Creb powiedział, że gdy ją znaleźli, to wydawała wiele dźwięków. Wiedziała, że umie wydawać dźwięki, jakich nikt inny nie potrafił. Z przyjemnością stwierdziła, że syn również może to zrobić.

Ayla wróciła do zbierania ziarna z wysokich pszenic. W dolinie rosła również niższa pszenica i trawiaste żyto podobne do tego, jakie rosło w pobliżu klanowej jaskini. Myślała o nadaniu imienia koniowi. – Nigdy przedtem nie nadawałam nikomu imienia. Uśmiechnęła się do siebie. – Pomyśleliby pewnie, że jestem dziwna, nadając imię koniowi. Jeszcze bardziej by się zdziwili, gdyby wiedzieli, że z nim mieszkam. Przyglądała się, jak młode zwierzę biegało i harcowało wesoło. – Tak się cieszę, że ono ze mną mieszka, pomyślała Ayla, a wzruszenie ścisnęło jej gardło. Dzięki temu nie jestem tak samotna. Nie wiem, co by było, gdybym je teraz straciła. Nadam mu imię.

Słońce się chyliło już ku zachodowi. Ayla zatrzymała się i



spojrzała w niebo. Było to wielkie, rozległe i puste niebo. Nawet jedna chmurka nie pozwalała ocenić jego głębokości ani zatrzymać spojrzenia, które umykało w niezmierną dal. Jedynie żarząca się w oddali na zachodzie poświata zdobiła jednostajnie błękitne przestworza falującym, kolistym mirażem. Ayla oszacowała z odległości dzielącej promienisty krąg od szczytu stromej skały, jak długo jeszcze będzie jasno, i postanowiła się zatrzymać.

Koń nie był już dłużej zdany wyłącznie na nią. Przyglądał się jednak bacznie jej poczynaniom. Zarżał i zbliżył się.

– Powinniśmy wracać do jaskini? Napijmy się najpierw trochę wody. – Otoczyła ramieniem szyję źrebaka i podeszła do strumienia.

W pobliżu wody płynącej u podnóża południowej ściany stepów listowie było wolno zmieniającym się kalejdoskopem kolorów, odzwierciedlającym rytm pór roku; teraz ponura, głęboka zieleń sosen i jodeł była poznaczona żywą złocistością, bladą żółcią, suchym brązem i ognistą czerwienią. Osłonięta dolina była jasnym pasem pośród monotonii brunatnych stepów, a pomiędzy osłaniającymi od wiatru ścianami słońce mocnej przygrzewało. Pomimo tych wszystkich kolorów jesieni miało się zwodnicze wrażenie ciepłego, letniego dnia.

– Myślę, że powinnam zebrać więcej trawy. Zaczynasz już poskubywać swe posłanie, gdy kładę ci świeże siano. – Idąc obok konia Ayla ciągnęła dalej swój monolog, potem nieświadomie przestała gestykulować rękoma i jedynie myślami podążała za wątkiem swych rozważań. Iza zawsze zbierała jesienią trawę na zimowe posłania. Tak ładnie pachniały, gdy je zmieniała, szczególnie gdy na zewnątrz leżał głęboki śnieg i hulał wiatr. Uwielbiała zasypiać wsłuchana w wiatr na pachnącym latem

sianie.

Koń zorientował się, dokąd idą, i pokłusował przodem. Ayla uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Musisz być równie spragniony, jak ja, mały whiiinneey powiedziała, wymawiając głośno dźwięk odpowiadający rzeniu źrebaka. Zabrzmiało to jak imię dla konia, ale nadania imienia powinno się dokonać we właściwy sposób.

– Whinney! Whiiinneey! – zawołała. Zwierzę uniosło pysk, spojrzało na kobietę i przykłusowało do niej.

Ayla pogłaskała go po głowie i podrapała. Koń zrzucał już swą kudłatą dziecięcą sierść, spod której zaczynały wyrastać mu długie włosy zimowego okrycia, i drapanie sprawiało mu wyraźną przyjemność.

– Myślę, że podoba ci się to imię. Pasuje do ciebie, mój mały koniczku. Chyba powinniśmy urządzić ceremonię nadania imienia.

Ale nie dam rady podnieść cię na ręce. Creba też tu nie ma. Kto cię więc nazaczy? Zdaje się, że sama będę musiała być Mog-urem. – Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie kobietę Mog-ura.

Ayla ruszyła z powrotem w kierunku rzeki. Po dojściu do miejsca, w którym wykopała pułapkę, skręciła w górę biegu. Dół był już zasypany, ale źrebak dreptał dookoła, węsząc, parskając i bijąc kopytami ziemię, zaniepokojony jakimś unoszącym się jeszcze zapachem lub śladem wspomnienia. Stado nie powróciło od owego dnia, w którym pognało w głąb doliny, uciekając przed jej ogniem i krzykiem.

Poprowadziła źrebaka, aby napił się w pobliżu jaskini. Ponury strumień, napełniony nie wchłoniętymi przez ziemię jesiennymi deszczami, opadał już poniżej swego najwyższego poziomu, zostawiając na brzegach gęstą, brązową, błotnistą maź. Błoto

mlaskało pod stopami Ayli i zostawiało na jej skórze brązowoczerwone ślady. Przypomniało jej to czerwoną pastę z ochry, którą Mog-ur wykorzystywał do rytualnych celów, takich jak nadawanie imienia. Przejechała palcem po błocie i naznaczyła nim nogę, po czym uśmiechnęła się i nabrała go pełną garść.

Miałam poszukać czerwonej ochry, pomyślała, ale to będzie równie dobre. Zamykając oczy, Ayla próbowała sobie przypomnieć, co czynił Creb, nadając imię jej synowi. Oczyma wyobraźni widziała jego zniszczoną starą twarz, z fałdem skóry przesłaniającym miejsce, gdzie powinno być oko, jego duży nos, wydatne łuki brwiowe i niskie, pochyle czoło. Broda mu się przerzedziła, a linia włosów cofnęła, ale ona pamiętała go takim, jaki był tamtego dnia. Nie był młody, ale był u szczytu swych mocy. Kochała tę wspaniałą, zniszczoną starą twarz.

Nagle zalała ją powracająca fala wzruszeń. Przypomniała sobie lęk, jaki czuła przed utratą syna, i absolutne szczęście na widok miski czerwonej pasty z ochry. Przełknęła z trudem kilka razy, ale wzruszenie nadal ścisnęło jej gardło. Otarła łzy, nie zdając sobie sprawy z tego, że pozostawiła w ich miejscu brązową smugę. Konik pochylił się ku niej, trącając nosem prosił o pieszczoty, tak jakby wyczuł, czego jej w tej chwili trzeba. Kobieta klękła i przytuliła zwierzę, opierając czoło na krzepkim karku żrebaka.

To powinna być ceremonia nadania imienia, pomyślała, opanowując się. Błoto przeciekło jej przez palce. Nabrała następną garść, po czym wyciągnęła drugą rękę do nieba, tak jak to zawsze czynił Creb, gdy prosił duchy o wsparcie. Potem zawahała się, niepewna, czy powinna mieszać duchy klanu w nadawanie imienia koniowi – mogłyby tego nie pochwalać.

Zanurzyła palec w trzymanym w dłoni błocie i naznaczyła nim pysk żrebaka, robiąc linię od czoła do czubka nosa. Podobnie uczynił wtedy Creb, rysując pastą z czerwonej ochry linię od miejsca, w którym haki brwiowe Durca zbiegały się, do czubka jego raczej małego noska.

– Whinney – powiedziała głośno i dokończyła w ceremonialnym języku: – To żrebię... ta dziewczyna... ta młoda klacz nazywa się Whinney.

Ayla się roześmiała, gdy koń potrząsnął łbem, próbując pozbyć się z pyska wilgotnego błota.

– Ono wyschnie i wkrótce się wykruszy, Whinney. Dziewczyna umyła ręce, umocowała na plecach kosz pełen ziarna i ruszyła wolno w kierunku jaskini. Ceremonia nadania imienia zbyt mocno przypomniła jej o samotności, na jaką była skazana. Co prawda, Whinney nieco ją łagodziła, ale nim Ayla dotarła do kamienistej plaży, łzy same popłynęły jej po policzkach.

Przywabiła i poprowadziła żrebię w górę stromej ścieżki biegnącej do jej jaskini. To zajęcie pozwoliło się jej uwolnić od bólu. – Chodź, Whinney, dasz sobie radę. Wiem, że nie jesteś kozicą czy antylopą, ale to tylko kwestia przyzwyczajenia.

Dotarli do szczytu ściany, który był przedłużeniem półki znajdującej się przed jaskinią, i weszły do środka. Ayla podsycała stłumiony ogień i zaczęła gotować trochę ziarna. Żrebak jadł już teraz trawę oraz ziarno i nie trzeba mu było specjalnie przygotowywać pożywienia, ale Ayla gotowała papkę z ziarna, ponieważ Whinney ją lubiła.

Wyniosła parę zajęcy, złapanych wcześniej tego dnia na zewnątrz, aby jeszcze za dnia obdrzeć je ze skóry. Potem ustawiła je, żeby się piekły. Zwinęła skóry. Miały czekać, aż będzie gotowa je obrabiać. Zgromadziła pokaźny zapas

zwierzęcych skór: zajęczych, chomiczych i ze wszystkich innych stworzeń, które udało jej się upolować. Nie wiedziała jeszcze, do czego je użyje, ale starannie je wszystkie zwijała i gromadziła. Podczas zimy może wymyśli dla nich jakieś zastosowanie. A gdy zrobi się zimno, to po prostu się nimi wszystkimi otuli.

Myśl o zimie nie opuszczała jej, odkąd dni zrobiły się krótsze, a temperatura spadła. Nie wiedziała, jak długa i ostra może być zima, i to ją niepokoiło. Nagły atak lęku pchnął ją do sprawdzania zapasów, choć dokładnie wiedziała, co ma. Przejrzała kosze i pojemniki z kory zawierające suszone mięso, owoce i warzywa, nasiona, orzechy i ziarno. W najdalszym ciemnym kącie sprawdziła stertę całych, zdrowych korzeni i owoców, aby się upewnić, że nie pojawiły się na nich żadne ślady zgnilizny.

Wzdłuż tylnej ściany leżały stosy drewna, suchego końskiego nawozu zebranego na łące i kopce suchej trawy. W przeciwległym kącie stały kosze z ziarnem dla Whinney.

Ayla wróciła do paleniska, aby sprawdzić ziarno gotujące się w ciasno splecionym koszyku i obrócić króliki, potem minęła swe posłanie i osobiste rzeczy pod ścianą, żeby sprawdzić zioła, korzonki i korę wiszące na stojaku. Jego nogi wbiła w klepisko w pobliżu paleniska na tyle blisko, aby przyprawy i zioła na napoje i lecznicze napary schły w ciepłe ognia, ale były od niego bezpiecznie daleko.

Nie miała już klanu, którym musiałaby się opiekować, i nie potrzebowała tylu leczniczych ziół, ale od czasu, gdy Iza opadła z sił, przyzwyczała się zbierać razem z pożywieniem zioła, aby niczego nie zabrakło w zapasach leczniczych roślin starej kobiety. Za stojakiem leżały różne rzeczy: kawałki drewna, kije i gałęzie, trawa i kora, skóry, kości, kilka kamieni i kawałków skał,

nawet koszyk piasku z plaży.

Nie chciała myśleć zbyt wiele o czekającej ją długiej, samotnej, beczynnej zimie. Ale wiedziała, że nie będzie ceremonii z ucztowaniem i opowieściami, nie będzie oczekiwania nowych dzieci, nie będzie plotek ani rozmów, ani gawęd o uzdrowicielskich praktykach z Izą czy Ubą, nie będzie podglądania męskich opowieści o taktyce polowania. Z braku tego wszystkiego planowała spędzić zimę na wykonywaniu różnych przedmiotów – im bardziej trudnych i zajmujących czas, tym lepiej.

Spojrzała na kilka jednolitych kawałków drewna. Były różnej wielkości, duże i małe. Mogła zrobić z nich miski różnej wielkości. Wyłobienie środka i nadanie kształtu siekierką, potem wygładzenie okrągłym kamieniem i piaskiem mogło trwać całe dni; planowała wykonać kilka misek. Niektóre małe skórki przerobi na okrycia na ręce, nogi, wyściółkę do okryć na stopy. Inne zostaną pozbawione włosów i wyprawiane tak długo, aż staną się miękkie niczym skóra niemowlęcia i bardzo dobrze wchłaniające ciecz.

Jej zbiór łądyg, trzciny, wierzbowych witek, korzeni drzew zostanie przerobiony na koszyki, splecione ciasno lub luźno, mające służyć jako naczynia do gotowania jedzenia, przechowywania, tace do przesiewania, podawania posiłków, maty do siedzenia, podawania lub suszenia pożywienia. Z włóknistych roślin, ścięgien i długiego końskiego ogona robi liny od najcieńszych do najgrubszych. Robi również lampki z kamieni z wydłubanymi płytkimi zagłębieniami na tłuszcz i knot z suchego mchu, który pali się bez dymu. Przechowywała osobno w tym celu tłuszcz z drapieżników. Nie dlatego, że nie jadłaby go, gdyby musiała, ale dlatego, że miała inne upodobania smakowe.

Były tam płaskie kości biodrowe i łopatkowe do przerobienia na naczynia duże i małe, inne na czerpaki lub mieszadła; kłaczki z różnych roślin mogące służyć za hubkę do rozpalania ognia lub razem z pierzem i włosami za materiał na wyściółkę; kilka buł krzemienych i narzędzia do ich obróbki. Spędzi wiele dłużeńych się zimowych dni na robieniu przedmiotów i narzędzi, niezbędnych do przetrwania. Miała również zapas materiałów do wykonania przedmiotów, których nie zwykła sama robić, choć wystarczająco często się przypatrywała, jak wykonywali je mężczyźni: broń do polowania.

Chciała zrobić dzidy, maczugi pasujące do jej dłoni, nowe proce. Pomyślała, że może nawet spróbuje zrobić bola, jakkolwiek osiągnięcie wprawy w posługiwaniu się tą bronią wymagało równie wielu ćwiczeń, jak w przypadku procy. Brun był specjalistą w posługiwaniu się bola; już samo zrobienie tej broni wymagało wprawy. Trzy kamienie musiały być obrobione na kulki, następnie przymocowane do sznurków i związane razem przy zachowaniu odpowiedniej długości i balansu.

Czy nauczy tego Durca? – zastanawiała się Ayla. Ściemniało się, ogień niemal się dopalał. Ziarno wchłonęło całą wodę i zmiękło. Nabrała pełną miskę dla siebie, a potem dołała wody i przygotowała resztę dla Whinney. Wlała do wodoszczelnego koszyka i zaniósła pod przeciwległą ścianę, gdzie znajdowało się legowisko zwierzęcia.

Przez pierwsze kilka dni na plaży Ayla spała ze żrebakiem. Postanowiła jednak, że w jaskini powinien on mieć swe własne miejsce do spania. Choć używała wysuszonego nawozu jako opału, to świeże odchody na jej futrach nie wprawiały jej w zachwyty, a i koń nie wydawał się nimi uszczęśliwiony. Przyjdzie czas, że koń będzie za duży, aby z nim spać, a jej posłanie nie

było dostatecznie obszerne dla nich obojga, toteż często kładła się i pieściła zwierzątko w miejscu, które mu przygotowała.

– Powinno wystarczyć – zagestykulowała Ayla do konia. Nabrała zwyczaju mówienia do niego i źrebak zaczynał odpowiadać na pewne gesty. – Mam nadzieję, że zebrałam dość dla ciebie. Chciałabym wiedzieć, jak długo trwa tu zima. – Była niespokojna i trochę przybita. Gdyby nie było ciemno, poszłaby na orzeźwiający spacer. Albo lepiej na długi bieg.

Gdy koń zaczął obgryzać swój kosz, Ayla przyniosła mu naręcze świeżego siana.

– Masz, Whinney, to sobie pożuj. Nie należy jeść własnego talerza! – Aylę naszła ochota na głaskanie i drapanie młodego towarzysza. Gdy przestała, źrebak trącił nosem jej rękę i odwrócił się bokiem, po którym chciał być nadal drapany.

– Musi cię bardzo swędzić. – Ayla uśmiechnęła się i ponownie zaczęła go drapać. – Czekaj, mam pomysł. – Wróciła do miejsca, gdzie leżały różnorodne materiały, i odszukała wiązkę suchej szczecinki. Kwiaty rośliny uschły zostawiając wydłużone, jajowate kolczaste szczoteczki. Oderwała od łodygi jedną z nich i delikatnie podrapała nią bok Whinney. Potem stopniowo przesuwała się obok konia i wkrótce wyczesła całą zmierzwioną sierść, ku jawnemu zadowoleniu zwierzęcia.

Wtedy objęła rękoma szyję Whinney i położyła się na świeżym sianie obok ciepłego zwierzęcia.

Ayla zerwała się ze snu. Trwała w bezruchu z szeroko otwartymi oczyma, pełna nagłego lęku. Coś było, niedobrego. Poczowała powiew zimna i wstrzymała oddech. Co to było za prychnięcie? Nie była pewna, czy słyszała coś więcej poza oddechem konia i biciem jego serca. Czy ten dźwięk dobiegł z głębi jaskini? Było zbyt ciemno, nie mogła dostrzec.



Było tak ciemno... Otóż to! Na palenisku nie żarzył się ciepło stłumiony ogień. Straciła orientację w jaskini. Ściana była po złej stronie i powiew... Znowu to słyszała! Prychanie i pokaszliwanie! Co ja robię na miejscu Whinney? Musiałam zasnąć i zapomniałam osłonić ogień. Teraz wygasł. Nie straciłam swego ognia, odkąd znalazłam tę dolinę.

Ayla wzdrygnęła się i poczuła, że włosy stają jej dęba. Nie potrafiła znaleźć ani słowa, ani gestu, ani pojęcia na ogarniające ją przeczucie. Mięśnie na plecach się naprężyły. Coś się wydarzy. Coś w związku z ogniem. Była tego tak pewna, jak tego, że oddycha.

Od kiedy tamtej nocy sama podążyła za Crebem i Mog-urami do małego pomieszczenia w głębi jaskini klanu gospodarzy Zgromadzenia, czasami nachodziły ją takie uczucia. Creb odkrył jej obecność nie dlatego, że ją zobaczył, ale dlatego, że wyczuł jej obecność. A ona również jakimś dziwnym sposobem czuła go w głębi swego mózgu. Potem widziała rzeczy, których nie potrafiła wyjaśnić. Po tym wydarzeniu czasami zdarzało się jej wiedzieć różne rzeczy. Wiedziała, kiedy Broud się w nią wpatrywał, choć była odwrócona plecami. Czuła złośliwą nienawiść, jaką żywił do niej w swym sercu. Wiedziała również, jeszcze przed trzęsieniem ziemi, że w jaskini klanu zagości śmierć i zniszczenie.

Ale nigdy przedtem nie miała tak silnego przeczucia. Poczucie głębokiego lęku, strachu – zdała sobie sprawę, że nie był to lęk o ogień ani o nią samą. Czuła lęk o kogoś bliskiego jej sercu.

Podniosła się cicho i po omacku skierowała do paleniska, mając nadzieję, że może ostało się choć małe niewygasłe drewienko, od którego można by rozpalić ogień. Było zimno. Nagle poczuła gwałtowną potrzebę wypróżnienia się, odszukała ścianę i poszła wzdłuż niej do wyjścia. Zimny powiew zwiął jej

włosy z twarzy i zakołatał wygasłymi bierwionami na palenisku, wzbijając chmurę popiołu. Zadrżała.

Wyszła na zewnątrz, uderzył w nią silny wiatr. Pochyliła się i ruszyła przyciśnięta do ściany na przeciwległy koniec skalnej półki, z którego wyrzucała swe odpadki.

Na niebie nie było gwiazd, ale powłoka z chmur rozpraszała światło księżyca, tworząc jednolitą poświatę, dzięki której ciemności na zewnątrz nie były tak głębokie jak w jaskini. Ale to słuch ją ostrzegł, a nie wzrok. Usłyszała posapywanie i oddech, nim dostrzegła ukradkowy ruch.

Sięgnęła po procę, ale jej nie znalazła. Nie zabrała jej z sobą. Zrobiła się beztroska w pobliżu jaskini, polegając na ogniu, który trzymał z dala niepożądanych gości. Ale ogień wygasł, a żreback był dla większości drapieżników łatwym łupem.

Nagle od wejścia do jaskini doleciał wrzaskliwy chichot. Whinney zarżała, a w jej głosie znać było strach. Konik był wewnątrz kamiennej komory, a jedyne wyjście z niej blokowały hieny.

Hieny! – pomyślała Ayla. Drażnił ją ich szalony chichot, centkowane futro, sposób, w jaki ich grzbiety opadały od dobrze zbudowanych przednich łap i barów do drobniejszych tylnych łap, sprawiając wrażenie, że się kuliły. Nigdy nie mogła też zapomnieć krzyku Ogy, gdy bezsilnie patrzyła, jak wlekły jej syna. Tym razem zamierzały się na Whinney.

Ayla nie miała procy, ale to nie powstrzymało jej. Nie pierwszy już raz rzucała się na pomoc, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Pobiegnęła do jaskini, wygrażając pięścią i wrzeszcząc.

– Wynoście się stąd! Wynoście się! – Nawet w języku klanu dla wyrażenia tych określeń używano dźwięków.

Zwierzęta uciekły. Przyczyniła się do tego po części jej pewność siebie, a także fakt, że chociaż ogień już wygasł, to nadal unosił się jego zapach. W grę wchodził tu jeszcze jeden czynnik. Bestie nie przyzwyczyły się do jej zapachu, ale zaczynał już być im znajomy, a ostatnio towarzyszył im świst ciskanych kamieni.

Ayla krążyła po omacku po jaskini w poszukiwaniu procy, zła, że nie pamiętała, gdzie ją położyła. To się już nie powtórzy, postanowiła. Zrobię dla niej specjalne miejsce i tam będą ją trzymać.

Zamiast swej broni zebrała kamienie do gotowania – wiedziała, gdzie były. Gdy w wejściu jaskini zamajaczyła sylwetka jednej z hien, Ayla stwierdziła, że nawet bez procy nie chybiała celu. Kamień boleśnie ranił. Po kilku następnych próbach hieny uznały, że konik nie był wcale tak łatwą zdobyczą.

Ayla szukała po omacku dalszych kamieni i natrafiła na jeden z kijów, na których zaznaczała upływ czasu. Resztę nocy spędziła u boku Whinney, gotowa, w razie potrzeby, bronić żrebaka jedynie kijem.

Walka z sennością okazała się trudniejsza. Tuż przed świtem Ayla zdrzemnęła się na krótko, ale o pierwszym brzasku już była z procą w ręce na półce przed jaskinią. Nie było widać żadnej hieny. Wróciła do środka po swe futrzane okrycia na tułów i nogi. Temperatura zdecydowanie spadła. W ciągu nocy wiatr zmienił kierunek. Północno-wschodni wiatr tak długo gnał korytem długiej doliny, dopóki nie natrafił na przeszkodę w postaci sterczącej pionowo ściany i zakrętu rzeki, a wtedy wpadał do jaskini w gwałtownych podmuchach.

Ayla zbiegła z workiem na wodę stromą ścieżką i rozbiła cienką warstewkę lodu, jaka się uformowała na brzegach strumienia. W powietrzu pachniało śniegiem. Przebiła się przez

przezroczystą skorupę i zaczerpnęła lodowatej wody. – Że też mogło się zrobić tak zimno, skoro jeszcze wczoraj było gorąco, zastanawiała się. Zmiany następowały szybko. Ayla zbyt przyzwyczała się do swych codziennych wygod. Ale zmiana pogody przypomniała jej, że nie może sobie pozwolić na dalszą beztroskę.

Iza byłaby zła, że położyłam się spać bez osłonięcia ognia. Teraz będę musiała rozpalić nowy. Nie pomyślałam również o tym, że wiatr może dmuchać do mojej jaskini; zawsze wiał od północy. To mogło przyczynić się do wygaszenia ogniska. Powinnam była je podsycić, ale wysuszone drewno pali się tak szybko. Nie zostaje po nim wiele żaru. Może powinnam zrębać jakieś drzewo. Trudniej zajmuje się ogniem, ale za to pali się wolniej. Muszę również wyciąć słupki na osłonę przed wiatrem i przynieść więcej drewna. Trudno będzie je zdobyć, gdy zacznie sypać śnieg. Wezmę siekierkę i narąbię drzewa, zanim jeszcze rozpalę ogień. Lepiej, aby wiatr znowu go nie zdmuchnął, nim nie zrobię osłony.

W drodze powrotnej do jaskini zebrała kilka kawałków wyrzuconego przez wodę drewna. Whinney powitała ją na skalnej półce rzeniem i dotykała pyskiem delikatnie, dopraszając się pieszczot. Ayla uśmiechnęła się, ale pospieszyła do jaskini. Tuż za nią Whinney, próbująca wetknąć pysk pod jej rękę.

No dobrze, Whinney, pomyślała Ayla, gdy odłożyła drewno i wodę. Poklepywała i drapała żrebaka przez chwilę, potem nasypała mu do kosza trochę ziarna. Następnie zjadła zimne resztki z zajęcia i żałowała, że nie ma choć odrobiny ciepłego napoju. Napila się zimnej wody. W jaskini było zimno. Pochuchała w dłonie i schowała je pod pachy, aby trochę ogrzać, potem wyciągnęła koszyk z narzędziami, który trzymała w

pobliżu posłania.

Wkrótce po przybyciu do jaskini zrobiła kilka nowych narzędzi. Miała zamiar zrobić więcej, ale zawsze coś innego absorbowало ją bardziej. Podniosła siekierkę, tę którą zabrała z sobą, i wyniosła ją na dwór, aby obejrzeć w lepszym świetle. Prawidłowo trzymana siekierka ostrzyła się sama w czasie pracy. W trakcie używania odłupują się zwykle z brzegów cieniutkie wiórki, pozostawiając tym samym zawsze ostry brzeg. Jednakże nieprawidłowe trzymanie może spowodować odłupywanie się dużych kawałków lub nawet rozpadnięcie całego kamiennego narzędzia na kawałki.

Ayla usłyszała za sobą stukot kopyt Whinney; przyzwyczała się już do tego dźwięku. Żrebię próbowało wetknąć nos do dłoni Ayli. – Och, Whinney! – krzyknęła, gdy krucha krzemienna siekierka upadła na kamienną półkę i rozpadła się na kilka kawałków. – To była moja jedyna siekierka. Muszę ściąć drzewo. – Coś nie jest dobrze, pomyślała. Ogień wygasł mi właśnie wtedy, gdy zaczęło się robić zimno. Hieny przyszły, jakby się nie spodziewały zastać tu ognia, wszystkie gotowe zaatakować. A teraz rozleciała się na kawałki moja jedyna siekierka. Zaczynała się martwić, pasmo niepowodzeń nie było dobrą wróżbą. Będę musiała zrobić nową siekierkę, zanim zabiorę się do czegokolwiek innego.

Zebrała kawałki siekierki – być może, uda się niektóre z nich wykorzystać do innych celów – i położyła je przy zimnym palenisku. Z wnętrza za swym posłaniem wyciągnęła okręcone sznurkiem zawiniątko ze skóry chomika i zaniósła je na kamienistą plażę.

Whinney poszła za nią, ale gdy kobieta odpychała ją, zamiast pieścić, zostawiła Aylę jej kamieniom, obeszała ścianę i

powędrowała do doliny.

Ayla ostrożnie, z namaszczeniem, odwinęła zawiniątko; tę postawę przejęła jeszcze dawno temu od Drooga, klanowego mistrza w wykonywaniu narzędzi. W zawiniątku były różnorodne przedmioty. Pierwszym, który podniosła, był owalny kamień. Gdy po raz pierwszy obrabiała krzemień, wyszukała sobie kamień na młotek, taki, aby dobrze leżał jej w dłoni i z właściwą sprężystością odbijał się od krzemienia. Wszystkie kamienne narzędzia były ważne, ale żadne nie było tak ważne, jak kamienny młotek. To było pierwsze narzędzie, które dotykało krzemienia.

Jej miał tylko kilka szczerb, nie tak jak kamienny młotek Drooga, poszczerbiony od wielokrotnego użycia. Ale nic nie mogło go przekonać, aby się go pozbył. Każdy mógł z grubsza obrobić krzemień na narzędzie, ale najbardziej precyzyjne z nich powstawały jedynie w dłoniach doświadczonych wyrabiaczy narzędzi, którzy wiedzieli, jak zadowalać ducha kamiennego młotka. Ayla niepokoiła się duchem kamiennego młotka. Jego przychylność była tym ważniejsza, że dziewczyna sama miała dla siebie być mistrzem wyrabiającym narzędzia. Wiedziała, że konieczne jest odprawienie rytuału zapobiegającego nieszczęściu, na wypadek, gdyby kamienny młotek się rozpadł, i trzeba ułagodzić ducha kamienia, i nakłonić go, aby zamieszkał w nowym kamieniu, ale tego rytuału nie знаła.

Odłożyła kamienny młotek na bok i zbadała, czy od ostatniego użycia nie pojawiły się ślady pęknięć na solidnym kawałku kości z bydlęcej nogi. Po obejrzeniu kościanego młotka przyjrzała się wyglądzaczowi. Był to kieł dużego kota wyjęty ze szczęki, którą znalazła na stercie pod ścianą. Potem sprawdziła inne kawałki kości i kamieni.

Nauczyła się obrabiać krzemień, podpatrując Drooga, a potem ćwicząc. Stary mistrz nie miał nic przeciwko pokazaniu jej, jak obrabiać kamień. Była bardzo pilna i wiedziała, że Droog pochwała jej postępy, choć nie była jego uczniem. Nie przykładano zbytnej wagi do uczenia kobiet; wolno im było wykonywać jedynie niektóre narzędzia. Nie mogły robić narzędzi używanych do polowania lub robienia broni. Ayla odkryła jednak, że narzędzia, których używały kobiety, nie różniły się od innych wcale tak bardzo. W końcu nóż był tylko nożem, a wyszczerbioną płytką można było równie dobrze ostrzyć koniec kija do wygrzebywania korzonków, jak i czubek dzidy.

Popatrzyła na swe narzędzia, podniosła krzemienną bułę, a potem ją odłożyła. Jeżeli miała zająć się poważną obróbką krzemienia, to potrzebne jej było kowadło, coś, na czym spoczywałby w czasie obróbki kamień. Droog nie potrzebował kowadła do wykonania siekierki, używał go jedynie do wykonania bardziej skomplikowanych narzędzi. Ayla jednak uznała, że będzie się czuła pewniej, jeżeli oprze ciężki krzemień, chociaż również potrafiła wykonać bez tego mniej skomplikowane narzędzia. Potrzebna jej była solidna, płaska powierzchnia, nie za twarda, aby krzemień nie podskakiwał pod silnymi uderzeniami. Droog używał w tym celu kości ze stóp mamuta i kobieta postanowiła sprawdzić, czy nie znajdzie jakiejś w stercie pod ścianą.

Grzebała w stercie kości, drewna i kamieni. Były tam kły; musiały więc być i kości stóp. Znalazła długą gałąź i użyła jej do poruszenia ciężkich przedmiotów. Niestety złamała się, gdy spróbowała podważyć głaz narzutowy. Potem znalazła mały kieł młodego mamuta, który okazał się bardziej wytrzymały.

Wreszcie w pobliżu ściany zobaczyła to, czego szukała. Chwilę potem udało jej się wydostać zdobycz z rumowiska.

Gdy ciągnęła kość stopy do swego miejsca pracy, jej wzrok przyciągnął szarozółty kamień, którego ścianki błyszcząły i połyskiwały w słońcu. Coś jej przypominał, ale nie wiedziała co, dopóki nie zatrzymała się i nie podniosła tego kawałka pirytu.

Mój amulet, pomyślała, dotykając skórzanego woreczka zawieszzonego na szyi. Mój Lew Jaskiniowy dał mi podobny kamień na znak, że mój syn będzie żył. Nagle zauważyła, że cała plaża była zasypana brązowymi kamyczkami połyskującymi w słońcu; teraz, gdy je rozpoznała, uprzytomniła sobie ich obecność, której przedtem nie dostrzegała. Uświadomiła sobie również, że chmury się rozpraszają. Mój, gdy go znalazłam, był tylko jeden. A ten tutaj nie jest niczym nadzwyczajnym, wszędzie pełno podobnych kamieni.

Upuściła kamień i pociągnęła stopę mamuta na plażę, potem usiadła i wciągnęła ją pomiędzy nogi. Przykryła kolana skórą chomika i ponownie podniosła krzemień. Obracała go w dłoniach, próbując zdecydować, w którym miejscu najpierw uderzyć. Nie mogła jednak się zdecydować ani skoncentrować. Coś nie dawało jej spokoju. Pomyślała, że to musi być ten twardy, chropowaty i zimny kamień, na którym siedziała. Pobiegła do jaskini po matę i przyniosła również wiertło i podstawkę do rozniecania ognia oraz trochę hubki. Minęła już połowa ranka, a nadal było zimno.

Usadowiła się na macie, ułożyła przybory do robienia narzędzi w zasięgu ręki, wciągnęła kość stopy pomiędzy swe nogi i położyła skórę na kolana. Następnie sięgnęła po kredowo-szary kamień i umieściła go na kowadle. Podniosła kamienny młotek, ważyła go przez chwilę w dłoni, by właściwie go schwycić, po



czym odłożyła go. Co mi jest? Dlaczego jestem taka niespokojna? Droog zawsze przed rozpoczęciem pracy prosił swój totem o pomoc; może to właśnie powinnam uczynić.

Zacisnęła dłoń na amulecie, zamknęła oczy i kilka razy głęboko odetchnęła, aby się uspokoić. Nie prosiła o nic konkretnego – po prostu starała się dotrzeć do ducha Lwa Jaskiniowego swymi myślami i sercem. Duch, który miał ją w swej opiece, był częścią niej samej, był wewnątrz niej, wyjaśnił jej kiedyś stary mag, a ona mu uwierzyła.

Próba dotarcia do ducha wielkiej bestii, przez którą została wybrana, miała uspokajające działanie. Ayla poczuła się odprężona, a gdy otworzyła oczy, poruszała palcami i sięgnęła ponownie po kamienny młotek.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem krzemień, gdy po pierwszym uderzeniu kredowa osłona pękła. Był dobrego koloru, miał ciemnoszary połysk, ale nie najdoskonalszą strukturę. Nie miał jednakże żadnych domieszek; w zasadzie był dobry na kamienną siekierkę. Cienkie wióry, których sporo odłupywała, gdy zaczęła nadawać krzemieniowi kształt siekierki, mogły być potem wykorzystane. W miejscu uderzenia młotkiem wióry były wypukłe i gruszkowate, ale zwięzały się tworząc ostry koniec. Wiele z nich miało koliste zmarszczki, które pozostawiały na rdzeniu koliste rysy, takie odłamki mogły być użyte na solidne narzędzia do cięcia, takie jak tasaki do przecinania grubej skóry i mięsa lub sierp do ścinania trawy.

Gdy Ayla uzyskała już pożądany kształt, zamieniła kamienny młotek na kościany. Kość była bardziej miękka, bardziej elastyczna i nie kruszyła cienkiego, ostrego, choć trochę falistego brzegu, tak jak uczyniłby to kamienny bijak. Dokładnie celując uderzała tuż przy pofalowanej krawędzi. Przy każdym uderzeniu

odłupywała coraz dłuższe i cieńsze wióry z coraz bardziej gładkiej i mniej pofałdowanej krawędzi. W znacznie krótszym czasie niż zajęło jej przygotowanie do pracy, narzędzie było skończone.

Miało około pięciu cali długości, kształtem przypominało spłaszczoną gruszkę o ostrym końcu. Miało raczej wąski przekrój poprzeczny i równo przycięte brzegi ostrza. Krągława podstawa służyła do trzymania w dłoni. Można go było używać jako siekierki do rąbania drewna lub jako toporka – być może do zrobienia miski. Z jego pomocą kawałek mamuciego kła mógł być rozłupany na mniejsze kawałki, podobnie jak kości zwierząt podczas oprawiania zdobyczy. Było to mocne, ostre narzędzie do uderzania, o wielu zastosowaniach.

Ayla poczuła się lepiej. Była mniej spięta, gotowa spróbować bardziej zaawansowanej i trudniejszej techniki. Sięgnęła po następną kredową bułę krzemionki i swój kamienny młotek, a potem rozbiła zewnętrzną powłokę. Kamień był popękany. Kredowa powierzchnia wnikała do ciemnoszarego wnętrza aż do samego jądra. Domieszki czyniły kamień bezużytecznym. Przerwało to jej płynny tok pracy i koncentracji. Ponownie wpadła w ponury nastrój. Odłożyła młotek na kamienistą plażę.

Następny pech, następny zły znak. Nie chciała w to wierzyć, nie chciała się poddać. Ponownie spojrzała na krzemień, zastanawiając się, czy mogłaby uzyskać z niego jakieś użyteczne wióry, i podniosła ponownie swój młotek. Odłupała jeden wiór, ale potrzebował wygładzenia, więc odłożyła kamienny młotek i sięgnęła po wygładzacz. Ponieważ jednak wzrok miała utkwiony w krzemieniu, to zamiast właściwego narzędzia podniosła kamień z plaży – to wydarzenie miało zmienić jej życie.

Nie wszystkie wynalazki były dziełem potrzeby. Czasami były

one wynikiem zdolności do czynienia przypadkowo szczęśliwych a niespodziewanych odkryć. Cała sztuka leżała w spostrzegawczości. Były tam wszystkie potrzebne elementy, ale to czysty przypadek ułożył je razem we właściwy sposób. I to przypadek był tu zasadniczym składnikiem. Żadna z młodych kobiet siedzących na kamienistej plaży w samotnej dolinie nie marzyłaby nawet o celowym wykonaniu takiego eksperymentu.

Gdy Ayla sięgnęła po wyglądzacz, to zamiast niego znalazła kawałek pirytu o zbliżonej wielkości. Zdarzyło się, że gdy uderzyła nim świeżo rozłupany krzemień, w pobliżu znajdowała się hubka z jaskini i zdarzyło się, że iskra powstała przy uderzeniu o siebie tych dwóch kamieni spadła na zwitek kosmatych włókien. Najważniejsze jednak było to, że Ayla właśnie patrzyła w tym kierunku, gdzie poleciała iskra. Ta spadła na hubkę, tliła się przez chwilę i zanim zgasła, wysłała w górę kłębuszek dymu.

Tak oto dokonano przypadkowego, ale jakże szczęśliwego i niespodziewanego odkrycia. Ayla dołożyła ze swej strony spostrzegawczość i inne niezbędne elementy: rozumiała proces rozpalania ognia, ogień był jej potrzebny i nie lękała się spróbować czegoś nowego. Ale pomimo tego chwilę trwało, zanim zrozumiała i doceniła to, co właśnie widziała. Najpierw zastanowił ją dym. Musiała pomyśleć, nim powiązała w jedną całość smużkę dymu i iskierkę, ale wtedy iskierka zastanowiła ją jeszcze bardziej. Skąd ona się wzięła? Wtedy spojrzała na kamień trzymany w dłoni.

To był zły kamień! To nie był jej wyglądzacz, to był jeden z tych błyszczących kamyków, które były rozrzucone po całej plaży. Ale mimo wszystko był to tylko kamień, a kamienie się nie palą. Coś musiało wytworzyć tę iskierkę, która sprawiła

dymienie hubki. Hubka przecież dymiła, czyż nie?

Podniosła zwitek kosmatych włókienek, gotowa uwierzyć, że dym był wytworem jej wyobraźni, ale mały czarny otworek pozostawił na jej palcach sadzę. Ponownie podniosła piryt i przyjrzała mu się uważniej. Jak z kamienia wydobyła się iskra? Co ona takiego uczyniła? Wiór krzemieny. Uderzyła w krzemień. Z trochę głupim uczuciem zetknęła razem oba kamienie. Nic się nie stało.

Czego się spodziewałam? – pomyślała. Trzasnęła nim znowu, z większą siłą i zobaczyła lecącą iskłę. Powoli kielkująca myśl nagle rozkwitła w pełni. Dziwna, podniecająca i zarazem trochę przerażająca myśl.

Odłożyła ostrożnie oba kamienie ze skórą okrywającą jej kolana na kość z mamuciej stopy, po czym zebrała wszystko, czego potrzebowała do rozpalenia ognia. Gdy była gotowa, podniosła kamienie i trzymając blisko hubki uderzyła nimi o siebie. Iskra poleciała i zgasła na zimnych kamieniach. Ayla zmieniła kąt, spróbowała ponownie, ale ze zbyt małą siłą. Uderzyła mocniej i obserwowała, jak iskra wylądowała prosto na środku hubki. Przypaliła kilka włókien i zgasła, ale smużka dymu była zachęcająca. Gdy następnym razem uderzyła kamieniami, dmuchnął wiatr i tłąca się huba rozbłysła, zanim zgasła.

Oczywiście! Muszę podmuchać. Zmieniła pozycję tak, aby mogła dmuchać na powstający ogień, i skrzesała następną iskłę. To była duża, jasna i długo paląca się iskra, wylądowała też we właściwym miejscu. Ayla była dostatecznie blisko, żeby poczuć ciepło, gdy dmuchała na tłącą się hubkę. Dołożyła wiórów, drzazg i zanim się zorientowała, miała ogień.

To było śmiesznie łatwe. Nie mogła uwierzyć jak łatwe. Musiała ponownie to sobie udowodnić. Zebrała więcej

włókienek, więcej wiórów, więcej podpałki, a potem rozpała drugie ognisko, trzecie i czwarte. Gdy się cofnęła i objęła spojrzeniem cztery osobne ogniska rozpalone krzesiwem, to poczuła podniecenie, które było po części strachem, po części nabożną czcią, po części radością odkrywania oraz dużą dozą czystego zdumienia.

Whinney przykłusowała z powrotem, przyciągnięta zapachem dymu. Ogień, którego kiedyś tak się lękała, teraz pachniał bezpieczeństwem.

– Whinney! – zawołała Ayla, biegnąc do konika. Musiała komuś o tym powiedzieć, podzielić się radością z odkrycia, nawet jeżeli był to tylko koń. – Patrz! – gestykulowała. – Popatrz na te ogniska! Rozpaliłam je kamieniami, Whinney. Kamieniami! – Spomiędzy chmur wyjrzało słońce i nagle zdało się, że cała plaża błyszczczy.

Myliłam się sądząc, że nie ma nic szczególnego w tych kamieniach. Powinnam była wiedzieć; mój totem dał mi jeden. Popatrz na nie. Teraz gdy już wiem, to mogę dostrzec żyjący w nich ogień. Potem się zamyśliła. Ale dlaczego ja? Dlaczego mnie to pokazano? Mój Lew Jaskiniowy dał mi kiedyś jeden z tych kamieni na znak, że Durc będzie żył. Co chce mi teraz powiedzieć?

Przypomniała sobie dziwne przecucie, jakie ogarnęło ją, gdy zgasł jej ogień, i teraz stojąc pośród czterech ognisk, zadrżała czując je ponownie. Wtem poczuła ogromną ulgę. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jaka była zmartwiona.

## . 8 .



– Hej! Hej! – wołał Jondalar, wymachując rękoma i biegnąc nad brzeg rzeki.

Doznał uczucia otuchy. Dał już prawie za wygraną, ale dźwięk ludzkiego głosu napełnił go nową nadzieją. Nie przemknęło mu nawet przez myśl, że mogą być nieprzyjaźnie nastawieni; nic nie mogło być gorsze od całkowitej bezsilności, która go dręczyła. A poza tym oni wcale nie sprawiali wrażenia nieprzyjaznych.

Człowiek, który do niego wołał, podniósł zwój liny przymocowany jednym końcem do ogromnego wodnego ptaka. Jondalar dostrzegł, że nie był on żywym stworzeniem, ale rodzajem łodzi. Mężczyzna rzucił mu linę. Jondalar wypuścił ją z dłoni i skoczył za nią, rozpryskując wodę. Kilku innych ludzi, wlokąc następną linę, wydobyło się przez burtę i poszło w bród przez sięgającą im do ud wodę. Jeden z nich, uśmiechając się na widok wyrazu twarzy Jondalara – na której było znać jednocześnie nadzieję, ulgę i zakłopotanie, gdyż Jondalar nie wiedział, co dalej począć z mokrą liną w swych dłoniach – pokazał, co należało uczynić. Tamten przyciągnął łódź bliżej, a potem przywiązał linę do drzewa i poszedł sprawdzić następną linę zaczepioną o wystający koniec złamanego konaru wielkiego drzewa, które leżało na wpół zatopione w rzece.

Inny z ludzi w łodzi uwiesił się na burcie i skoczył na kłodę, aby sprawdzić jej stabilność. Powiedział kilka słów w nie znanym języku, i podobny do drabinki pomost został spuszczoney na kłodę. Mężczyzna wspiął się po nim z powrotem, aby pomóc zejść na brzeg kobiecie towarzyszącej trzeciej osobie. Miało się jednak wrażenie, że jego towarzystwo było bardziej grzecznościowe niż potrzebne.

Owa osoba najwyraźniej cieszyła się wielkim szacunkiem. Była opanowana i miała iście królewski sposób bycia. Zarazem jednak miała pewne nieuchwytnie, nie dające się określić cechy, które nie pozwalały jednoznacznie określić jej płci. Jondalar przyglądał się jej szeroko otwartymi oczyma. Wiatr porwał pasmo długich białych włosów związanych na karku i odsłonił czysto wygoloną lub nie pokrytą zarostem twarz. Była poznaczonea przez czas, ale cerę miała nadal jasną i gładką. Szczęki były mocno zarysowane, broda wysunięta; czy to była cecha charakterystyczna?

Jondalar uprzytomnił sobie, że stoi w zimnej wodzie, gdy skinieniem ręki przywołano go na brzeg. Nie rozwikłał jednak zagadki, gdy przyjrzał się postaci z bliska. Miał wrażenie, że nie zauważył nic ważnego. Przystanął i spojrzał w twarz, na której gościł litościwy, pytający uśmiech. Napotkał spojrzenie oczu o nieokreślonym odcieniu szarości lub brązu. Czerwieniąc się ze zdumienia, Jondalar nagle zdał sobie sprawę z następstw, jakie mogło za sobą pociągnąć dalsze cierpliwe oczekiwanie stojącej przed nim tajemniczej postaci, i patrzył, doszukując się znaków pozwalających rozpoznać jej płeć.

Jej wzrost nie był mu w tym pomocny; trochę zbyt wysoka jak na kobietę i trochę zbyt niska jak na mężczyznę. Obszerne, luźne odzienie ukrywało szczegóły budowy fizycznej; nawet sposób

chodzenia zastanawiał Jondalara. Im dłużej patrzył i nie znajdował odpowiedzi na swe pytanie, tym większą czuł ulgę. Znał tego typu ludzi; urodzonych z ciałem jednej płci, ale ze skłonnościami do drugiej. Nie mieli określonej płci, ale też nie byli obojnakami. Zwykle zasilali szeregi Tych-Którzy Służyli Matce. Dzięki mocy czerpanej z żeńskich i męskich pierwiastków cieszyli się opinią mających nadzwyczajne umiejętności uzdrowicielskie.

Jondalar był daleko od domu i nie znał obyczajów tych ludzi, ale nie miał już wątpliwości, że stojąca przed nim osoba była uzdrowicielem. Może był Tym-Który Służył Matce, a może nie; to nie miało znaczenia. Thonolanowi potrzebny był uzdrowiciel i uzdrowiciel przybył. Ale skąd wiedzieli, że potrzebny był uzdrowiciel? Skąd w ogóle wiedzieli, by przybyć?

Jondalar dorzucił następne polano do ognia i obserwował snop iskier, który strzelił wraz z dymem w nocne niebo. Naciągnął na gołe plecy swój śpiwór i położył się na boku, wpatrując się w niegasnące iskry rozrzucone po niebie. W polu jego widzenia znalazł się jakiś kształt, przesłaniający mu widok części rozgwieźdzonego nieba. Chwilę trwało, zanim wzrok oderwany od bezkresnych głębi, skupił się na głowie młodej kobiety wyciągającej do niego miseczkę parującego napoju.

Usiadł pospiesznie, odsłaniając nagie uda, ale naciągnął zaraz na siebie śpiwór, spoglądając na spodnie i buty schnące w pobliżu ognia. Dziewczyna się uśmiechnęła. Promienny uśmiech zmienił ją z nieśmiałej, o delikatnej urodzie dziewczyny w istną piękność o błyszczących oczach. Nigdy nie widział tak zdumiewającej przemiany i znać to było w uśmiechu, który jej posłał. Ale ona pochyliła głowę i ukryła swój figlarny uśmiech, aby nie wprawiać w zakłopotanie nieznanego. Gdy ponownie



podniosła głowę, po uśmiechu pozostały jej jedynie błyski w oczach.

– Masz piękny uśmiech – powiedział, gdy podała mu miseczkę napoju.

Potrząsnęła głową i odpowiedziała słowami, które oznaczały, jak sądził, że go nie rozumie.

– Wiem, że mnie nie rozumiesz, ale pomimo to chcę ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że tu jesteś. Przyjrzała mu się uważnie i Jondalar miał wrażenie, że ona równie mocno jak i on chciała się porozumieć. Mówił nadal w obawie, że mogłaby odejść, jeśliby umilkł.

– Cudownie tak po prostu do ciebie mówić, po prostu wiedzieć, że tu jesteś. – Pociągnął łyk napoju. – Dobry. Z czego zrobiony? – zapytał, wyciągając miseczkę i kiwając z aprobatą głową. – Zdaje się, że wyczuwam rumianek.

Skinęła potwierdzająco głową, a potem usiadła przy ogniu. Odpowiadała w języku, który dla niego był równie mało zrozumiały, jak jego dla niej. Ale głos miała miły i zdawała się rozumieć, że pragnął towarzystwa.

– Szkoda, że nie mogę wam podziękować. Nie wiem, co bym bez was zrobił. – Zmartwienie i napięcie zmarszczyło mu czoło i dziewczyna uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Szkoda, że nie mogę zapytać cię, skąd wiedzieliście, że tu jesteśmy, i skąd wasz zelandoni, lub jak tam nazywacie waszego uzdrowiciela, wiedział, że ma przybyć.

Odpowiedziała mu, wskazując na namiot, który został rozbity w pobliżu. Biła z niego jasność od płonącego w środku ogniska. Pokręcił w zakłopotaniu głową. Wyglądało na to, że ona prawie go rozumiała; on jednak nie mógł jej zrozumieć.

– Nie sądzę, aby to miało znaczenie – rzekł. – Ale żałuję, że

wasz uzdrowiciel nie pozwolił mi zostać z Thonolanem. Nawet bez słów, było jasne, że mój brat nie otrzyma pomocy, dopóki nie wyjdę. Nie wątpię w umiejętności uzdrowiciela. Chciałem jedynie być z bratem.

Spoglądał na nią z taką żarliwą powagą, że położyła mu dłoń na ramieniu, aby go uspokoić. Jondalar próbował się uśmiechnąć, ale wypadło to żałośnie. Jego uwagę przyciągnęła poła namiotu, zza której wyszła stara kobieta.

– Jetamio! – zawołała, dodając inne słowa.

Dziewczyna podniosła się szybko, ale Jondalar przytrzymał ją za rękę.

– Jetamio? – zapytał, wskazując na nią. Skinęła głową. Jondalar – powiedział, pukając się po piersi.

– Jondalar – powtórzyła wolno. Następnie spojrzała w kierunku namiotu, wskazała na siebie, potem na niego i w końcu na namiot.

– Thonolan – powiedział. – Mój brat nazywa się Thonolan. – Thonolan – powiedziała, powtarzając, gdy odchodziła spieszenie w kierunku namiotu. Lekko utykała, ale nie sprawiało to wrażenia kalectwa.

Spodnie nadal były wilgotne, ale Jondalar pomimo to naciągnął je i pognął do lasu, nie kłopotząc się ich zawiązywaniem ani nakładaniem butów. Powstrzymywał się od chwili przebudzenia. Jego zapasowe odzienie zostało z nosidłami w dużym namiocie, w którym uzdrowiciel zajmował się Thonolanem. Śmiech Jetamio poprzedniego wieczoru sprawił, że teraz wolał dwa razy pomyśleć, niż wyjść na spacer w pobliskie krzaki jedynie w krótkiej spodniej koszuli. Nie chciał przez przypadek złamać żadnego tabu ani obrazić zwyczajów ludzi, którzy im pomagali – szczególnie w obecności dwóch

kobiet w obozie.

Najpierw próbował wstać i iść w śpiworze. Potem zwlekał, ile mógł, nim zdecydował się nałożyć spodnie nie bacząc na to, że były mokre. Był tak zdesperowany, że gotów był zapomnieć o swoim zakłopotaniu i biec ze swoją potrzebą. Jak należało się tego spodziewać, śmiech Jetamio pobiegł w ślad za nim.

– Tamio, nie śmieję się z niego. To nie jest miłe – powiedziała starsza z kobiet, sama próbując zdusić śmiech.

– Ależ Rosh, nie miałam zamiaru stroić sobie z niego żartów, po prostu nie mogłam się powstrzymać. Widziałas jak próbował iść w śpiworze? – Dziewczyna, pomimo wysiłków wstrzymywania się od śmiechu, znowu zaczęła chichotać. – Przecież mógł po prostu wstać i pójść.

– Może zwyczajnie tych ludzi są inne, Jetamio. Musieli przybyć z daleka. Nigdy przedtem nie widziałam takiego odzienia, a ich język w niczym nie przypomina naszego. Większość wędrowców zna choć kilka brzmiących podobnie słów. Te, których oni używają, trudno byłoby mi powtórzyć..

– Masz pewnie rację. On musi czuć niechęć przed pokazywaniem swej skóry. Powinnaś widzieć, jak się zaczerwienił poprzedniego wieczora tylko dlatego, że zobaczyłam kawałek jego uda. Jednakże nigdy jeszcze nie widziałam nikogo, kto tak cieszyłby się na nasz widok.

– Dziwisz się?

– Jak czuje się ten drugi? – zapytała już poważnie młodsza z kobiet. – Czy Shamud coś mówił, Roshario?

– Opuchlizna już schodzi, gorączka również. Wreszcie spokojnie śpi. Nie wiem, jak on to przeżył. Nie pociągnąłby jednak długo, gdyby ten wyższy nie wymyślił sposobu na wezwanie pomocy. Ale nie tylko to, że ich znaleźliśmy, było

szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Mudo musiała się do nich uśmiechnąć. Matka zawsze była przychylna przystojnym młodzieńcom.

– Nie na tyle, aby ustrzec... Thonolana przed zranieniem. Sposób, w jaki został zraniony... Myślisz, że będzie znowu chodził? Roshario uśmiechnęła się tkliwie do dziewczyny.

– Jeżeli będzie tego pragnął choć w połowie tak jak ty, to będzie chodził, Tamio.

Jetamio poczerwieniały policzki.

– Chyba pójdę zobaczyć, czy Shamud czegoś nie potrzebuje – powiedziała, uciekając w kierunku namiotu i starając się nie utykać.

– Może przyniosłabyś wyższemu jego tobołek – zawołała za nią Roshario – aby nie musiał chodzić w mokrych spodniach. – Nie wiem, który jest jego.

– Przynieś oba, przygotuję tu na nie więcej miejsca. I zapytaj Shamuda, jak szybko będziemy mogli zabrać... jak on się nazywa? Thonolan?

Jetamio kiwnęła głową.

– Jeżeli mielibyśmy tu dłużej zostać, to Dolando będzie musiał zaplanować polowanie. Nie zabraliśmy zbyt wiele jedzenia. Nawet Ramudoi nie odważą się łowić ryby w tak wzburzonej rzece. A przecież oni byliby szczęśliwi, gdyby nigdy nie musieli schodzić na brzeg. Ja tam wolę twardego grunt pod nogami.

– Och, Rosh, mówiłabyś inaczej, gdybyś miała za partnera któregoś z Ramudoi, a nie jednego z ludzi Dolando.

Starsza kobieta spojrzała na nią bystro.

– Czy któryś z tych wioślarzy zalecał się do ciebie? Może i nie jestem twą prawdziwą matką, Jetamio, ale wszyscy wiedzą, że jesteś mi jak rodzona córka. Jeżeli mężczyzna nie jest nawet na

tyle uprzejmy, aby mnie zapytać o zdanie, to znaczy, że nie jest dla ciebie odpowiedni. Tym rzeczonym ludziom nie można wierzyć...

– Nie martw się, Rosh. Nie postanowiłam uciec z rzeczonym człowiekiem... jak na razie – powiedziała Jetamio z figlarnym uśmiechem.

– Tamio, jest wielu dobrych Shamudoi, którzy chętnie przeprowadziliby się do naszej siedziby... Z czego się śmiejesz?

Jetamio zakrywała usta dłońmi, próbując powstrzymać śmiech, który zamienił się w serię prychnięć, parsknięć i chichotu. Roshario się odwróciła, by spojrzeć w tamtą stronę i zakryła usta dłonią, aby samej nie parsknąć śmiechem.

– Pójdę lepiej po te tobołki – udało się w końcu powiedzieć Jetamio. – Nasz wysoki przyjaciel potrzebuje suchych rzeczy. Ponownie zaczęła zanosić się śmiechem. – Wygląda niczym dziecko z pełnymi spodniami! – Znowu rzuciła się w stronę namiotu, ale Jondalar i tak zdążył usłyszeć jej śmiech, gdy znikwała w wejściu.

– Wesoło, moja droga? – zapytał uzdrowiciel, unosząc brew z zakłopotaniem.

– Przepraszam, nie miałam zamiaru wchodzić tu z takim śmiechem. Tylko, że...

– Albo jestem na drugim świecie, albo ty jesteś doni, która przyszła mnie tam zabrać. Na ziemi nie może być tak pięknej kobiety. Ale nie mogę zrozumieć ani słowa z tego, co mówisz.

Jetamio i Shamud odwrócili się do ранego mężczyzny. Ten patrzył na Jetamio ze słabym uśmiechem. Dziewczyna przestała się śmiać i uklękła przy nim.

– Zakłóciłam jego spokój! Jak mogłam być tak bezmyślna? – Nie przestawaj się uśmiechać, moja piękna doni – powiedział

Thonolan, ujmując jej dłoń.

– Tak moja droga, zakłóciłaś jego spokój. Ale nie pozwól, aby on zakłócił twój. Przypuszczam, że będzie jeszcze bardziej “niespokojny”, zanim skończysz go przepraszać.

Jetamio pokręciła głową i spojrzała na Shamuda z zakłopotaniem.

– Przyszłam tylko zapytać, czy czegoś nie potrzebujesz lub czy nie mogłabym w jakiś sposób pomóc.

– Właśnie pomogłaś.

Dziewczyna sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zmieszanej. Czasami się zastanawiała, czy kiedykolwiek zrozumie to, co mówił uzdrowiciel.

Przenikliwe spojrzenie uzdrowiciela złagodniało i pojawił się w nim błysk ironii.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem. On musi dokonać reszty. Wszystko, co mogłoby wzmocnić jego chęć do życia, będzie mu teraz bardzo pomocne. Ty właśnie tego dokonałaś swym miłym uśmiechem... moja droga.

Jetamio się zarumieniała i pochyliła głowę, zdała sobie bowiem sprawę, że Thonolan nadal trzyma jej dłoń. Podniosła wzrok i ujrzała jego śmiejące się szare oczy. W odpowiedzi uśmiechnęła się promiennie.

Uzdrowiciel chrząknął i Jetamio spuściła oczy lekko zakłopotana, gdy uświadomiła sobie, jak długo wpatrywała się w nieznanego.

– Ale mogłabyś coś zrobić. Skoro się obudził i jest przytomny, to możemy spróbować go nakarmić. Wierzę, że gdybyś przyniosła mu trochę rosołu, to wypiłby go z twojej ręki.

– Och. Oczywiście. Pójdę przynieść trochę – powiedziała, wychodząc pospiesznie, aby ukryć swe zakłopotanie. Spostrzegła

Roshario próbującą rozmawiać z Jondalarem, który stał usiłując nieudolnie udawać zadowolenie. To przypomniało o czymś Jetamio, więc wróciła do namiotu, aby wypełnić do końca zadanie, z którym tu przyszła.

– Muszę zabrać ich rzeczy i Roshario chce wiedzieć, jak szybko będzie można zabrać Thonolana.

– Jak mówisz, jak się on nazywa?

– Thonolan. Tak mi powiedział ten drugi.

– Powiedz Rosario, że jeszcze dzień lub dwa. Jeszcze nie wydobrażał na tyle, aby podróżować po wzburzonej wodzie.

– Skąd znasz moje imię, piękna doni? Czy mógłbym poznać twoje? – Dziewczyna się odwróciła i posłała mu uśmiech, zanim spiesznie opuściła namiot z pakunkami. Thonolan ułożył się wygodniej, uśmiechając się z zadowoleniem. Nagle poderwał się po raz pierwszy, zauważając białowłosego uzdrowiciela. Po jego tajemniczej twarzy snuł się koci uśmiech; mądry, sprytny i nieco drapieżny.

– Czyż nie wspaniale być młodym i zakochanym – skomentował Shamud. Thonolan nie pojął znaczenia słów, ale wyczuł kryjący się w nich sarkazm. To skłoniło go do uważniejszego przyjrzenia się uzdrowicielowi.

Jego głos nie był ani niski, ani wysoki, i Thonolan szukał wzrokiem szczegółów w jego ubiorze lub zachowaniu, z których mógłby wywnioskować, czy to kobiecy niski głos, czy też wysoki głos męski. Nie mógł zdecydować i choć nie wiedział dlaczego, odprężył się trochę, ufając, iż znalazł się w najlepszych rękach.

Ulga, jaką poczuł Jondalar na widok Jetamio wychodzącej z namiotu z ich nosidłami, była tak widoczna, że dziewczyna poczuła się nieco zawstydzona, iż nie pomyślała wcześniej o tym, aby je przynieść. Wiedziała o problemie Jondalara, ale

mężczyzna był taki zabawny. Podziękował jej hojnie w nie znanych słowach, które mimo to dały wyraz jego wdzięczności, a potem ruszył w kierunku kępy wysokich krzaków. W suchym odzieniu poczuł się na tyle lepiej, że nawet wybaczył Jetamio jej śmiech.

Zdaje się, że wyglądałem dość śmiesznie, pomyślał, ale te spodnie były wilgotne i zimne. No cóż, odrobina śmiechu to nie tak znowu wielka cena za ich pomoc. Nie wiem, co bym zrobił... Zastanawiam się, skąd oni wiedzieli? Być może uzdrowiciel ma również inne zdolności – to mogłoby wszystko tłumaczyć. Na razie cieszę się z jego uzdrowicielskich mocy. Przystanął. Przynajmniej myślę, że ten zelandoni ma uzdrowicielskie moce. Nie widziałem Thonolana. Nie wiem, czy jego stan uległ poprawie, czy nie. Zdaje się, że czas to sprawdzić. Wszak to mój brat. Nie mogą zabronić mi widzieć się z nim.

Jondalar wrócił do obozu, położył swój bagaż obok ogniska, starannie rozłożył swe wilgotne rzeczy, aby wyschły, a potem skierował się do namiotu.

W momencie gdy się pochylił, aby wejść do środka, uzdrowiciel właśnie chciał wyjść, tak że nieomal wpadli na siebie. Shamud obrzucił go szybkim spojrzeniem i nim Jondalar spróbował cokolwiek powiedzieć, uśmiechnął się, cofnął i zaprosił Jondalara do środka, przesadnie uprzejmym gestem, ustępując drogi wysokiemu, silnemu mężczyźnie.

Jondalar spojrzał badawczo na uzdrowiciela, który odpowiedział mu równie przenikliwym spojrzeniem bez śladów uległości. Nie sposób było jednak odgadnąć, co czało się na dnie tajemniczych oczu. Uśmiech, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie przymilnego, po bliższym przyjrzeniu się wydawał się raczej ironiczny. Jondalar wyczuł, że ten uzdrowiciel, jak wielu,



których tak nazywano, mógł być potężnym przyjacielem lub strasznym wrogiem.

Skinął mu głową i pomimo powściągliwego osądu, uśmiechnął się przelotnie w podzięcie, a potem wszedł do środka. Ze zdumieniem zobaczył, że Jetamio zdążyła przyjść tu przed nim. Podtrzymała właśnie Thonolanowi głowę i podsuwała mu do ust kościaną miseczkę.

– Powinienem był wiedzieć – rzekł, a z jego uśmiechu przebijała czysta radość na widok przytomnego brata, który czuł się najwyraźniej lepiej. – Znowu ci się udało.

Oboje spojrzeli na Jondalara.

– Co mi się udało, starszy bracie?

– Ledwie otworzyłeś oczy, a już usługuje ci najpiękniejsza dziewczyna w okolicy.

Uśmiech Thonolana był najmiłą odpowiedzią, jakiej mógł udzielić swemu bratu.

– Masz rację, że to najpiękniejsza dziewczyna w okolicy. Thonolan spojrzał czule na Jetamio. – Ale co ty robisz w świecie duchów? I pamiętaj, skoro już o tym mówimy, ona jest moją osobistą doni. Swoje duże błękitne oczy możesz sobie zachować dla siebie.

– Mną się nie martw, młodszy bracie. Ona, gdy na mnie spojrzy, to się tylko śmieje.

– Ze mnie może się śmiać, ile chce – powiedział Thonolan, uśmiechając się do kobiety. Ta odwzajemniła jego uśmiech. – Czy możesz sobie wyobrazić przebudzenie ze śmiertelnego snu i ten uśmiech na powitanie? – Czułość, z jaką patrzył w jej oczy, zaczynała wyglądać na adorację.

Jondalar spoglądał to na brata, to na Jetamio. – O co tu chodzi? Thonolan dopiero co się przebudził, nie zamienili z sobą jeszcze

ani słowa, ale mogę przysiąc, że jest zakochany. – Ponownie spojrzął na kobietę, tym razem baczniej się jej przyglądając.

Włosy miała w bliżej nieokreślonym, jasnobrązowym odcieniu. Była również niższa i szczuplejsza od kobiet, które Thonolan uważał zwykle za atrakcyjne. Można ją było prawie pomylić z dziewczyną. Miała twarz w kształcie serca, o regularnych, ale raczej pospolitych rysach; była dość ładna, ale z pewnością nie nadzwyczajnie piękna – dopóki się nie uśmiechnęła.

Wtedy, za sprawą jakiejś niespodziewanej mocy, jakiejś tajemniczej gry światła i cienia, jakiejś delikatnej zmiany w układzie rysów, stawała się piękna, absolutnie piękna. Ta przemiana była tak pełna, że sam Jondalar uważał ją za piękną dziewczynę. Jeden jej uśmiech wystarczył, aby nabrał tego przekonania. Jondalar jednak przeczuwał, że Jetamio nie śmieje się zbyt często. Przypomniawszy sobie, że z początku wydawała mu się poważna i nieśmiała, aczkolwiek teraz trudno było w to uwierzyć. Była taka promienna, pełna życia, a Thonolan wpatrywał się w nią z idiotycznym, zakochanym uśmiechem.

No cóż, Thonolan bywał już poprzednio zakochany, pomyślał Jondalar. Mam tylko nadzieję, że ona nie przeżyje zbyt ciężko naszego odejścia.

Jedna ze sznurówek przytrzymujących klapkę zamykającą otwór na dym w dachu namiotu była postrzępiona. Jondalar wpatrywał się w nią niewidzącym wzrokiem. Był zupełnie rozbudzony, leżał w śpiworze zastanawiając się, co tak raptownie wyrwało go z głębokiego snu. Nie poruszał się, ale wsłuchiwał, węszył, próbując wykryć jakiś ślad, mogący przestrzec go przed grożącym niebezpieczeństwem. Po kilku chwilach wysunął się ze śpiwora i wyjrzał ostrożnie z namiotu,

ale nie spostrzegł niczego niepokojącego.

Wokół ogniska zebrało się kilkoro ludzi. Podszedł do nich, nadal czując niepokój i podenerwowanie. Coś nie dawało mu spokoju, ale nie wiedział co. Thonolan? Nie, przy umiejętnościach Shamuda i gorliwej opiece Jetamio jego brat wracał do zdrowia. Nie, to nie Thonolan go niepokoił.

– Hola – powiedział do Jetamio, gdy ta spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Nie wydawał się jej już taki zabawny. Ich wspólna troska o Thonolana zaczęła przeradzać się w przyjaźń, choć ich możliwość porozumiewania się ograniczała się jedynie do kilku słów, których się nauczyli.

Kobieta podała mu miseczkę gorącego płynu. Podziękował jej słowami, które wedle jego rozeznania oznaczały dla nich podziękowanie. Cały czas pragnął znaleźć sposób na odwdzięczenie się im za ich pomoc. Pociągnął łyk, zmarszczył brwi, pociągnął następny. To był ziołowy napój, nie był zły, ale jego smak go zaskoczył. Zwykle rano pili smakujący mięsem wywar. Nos mówił mu, że w drewnianym naczyniu gotowały się na wolnym ogniu korzonki i ziarno, ale nie mięso. Wystarczyło tylko spojrzeć, aby zrozumieć zmianę w porannym posiłku. Nie było mięsa; nikt nie był na polowaniu.

Wypił swój napój, odstawił kościaną miseczkę i pospieszył do swego namiotu. W czasie tego przymusowego postoju wykończył drzewce dzidy z olchowego drzewa i nawet przymocował do nich krzemienne ostrza. Podniósł dwa z ciężkich drzewcy opartych o tył namiotu, potem sięgnął w głąb swego podróżnego kosza, wyciągnął kilka lekkich oszczepów i wrócił do ogniska. Nie znał zbyt wielu słów, ale nie potrzeba było wielu, aby zakomunikować, że idzie na polowanie. Nim słońce wzeszło

nieco wyżej, zebrała się wokół niego podniecona grupa.

Jetamio czuła się rozdarta. Chciała zostać z rannym nieznanym, którego śmiejące się oczy sprawiały, że i ona miała ochotę się śmiać, ale chciała również iść na polowanie. Nigdy, odkąd była zdolna polować i jeżeli tylko mogła pomóc, nie opuściła polowania. Roshario namawiała ją, aby poszła.

– Nic mu nie będzie. Shamud może się nim trochę bez ciebie opiekować, a i ja tu będę.

Grupa łowców właśnie wyruszyła, gdy Jetamio zawołała za nimi i pognęła co tchu w piersiach. Jondalar się zastanawiał, czy ona będzie polować. Młode kobiety Zelandonii często to robiły. Dla kobiet była to sprawa wyboru i zwyczajów jaskini. Zwykle po urodzeniu dzieci kobiety pozostawały w pobliżu domu, chyba że wyruszano w podróż. Podczas nagonki przydawali się wszyscy sprawni na tyle, aby zapędzić stado do pułapki lub w przepaść.

Jondalar lubił kobiety, które polowały – większość mężczyzn z jego jaskini je lubiła, choć z czasem dowiedział się, że nie było to powszechne uczucie. Mówiono, że kobieta, która sama poluje, potrafi docenić związane z tym trudności i dzięki temu zostaje bardziej wyrozumiałą partnerką. Jego matka cieszyła się szczególnym uznaniem ze względu na swe umiejętności tropienia i często towarzyszyła myśliwym nawet po urodzeniu dzieci.

Myśliwi zaczęli, aż Jetamio ich dogoni, a potem ruszyli dalej różnym krokiem. Jondalar uważał, że wyraźnie się ochłodziło, ale szli tak szybko, że nie był pewny, dopóki nie zatrzymali się nad strumykiem, który wijąc się poprzez płaskie stopy wyszukiwał sobie drogę do Matki. Gdy Jondalar napełniał swój worek na wodę, zauważył, że brzegi skuwa lód. Odrzucił do tyłu kaptur, futro dookoła twarzy ograniczało mu pole widzenia, ale

po chwili naciągnął go z powrotem. Powietrze było zdecydowanie zimne.

Ktoś zauważył w górze strumienia ślady i wszyscy zebrali się dookoła Jondalara, który im się bacznie przyglądał. Na krótko przed nimi zatrzymała się tu u wodopoju rodzina nosorożców. Jondalar narysował na mokrym piasku plan ataku. Dolando za pomocą swego patyka zadawał pytania i Jondalar dalej pracowicie rysował. W końcu osiągnęli porozumienie i wszyscy niecierpliwie oczekiwali momentu wymarszu.

Ruszyli truchtem po śladach. Szybki krok ponownie ich rozgrzał i znów zdjęli kaptury. Długie jasne włosy Jondalara naelektryzowały się i przyczepiły do futra kaptura. Dogonienie nosorożców zajęło im więcej czasu, niż się spodziewał. Zrozumiał dlaczego, gdy dostrzegł przed sobą rudawe włochate nosorożce. Zwierzęta poruszały się szybciej niż zwykle – i to prosto na północ.

Jondalar spojrzał niespokojnie w niebo; nad nimi rozpościerał się głęboki błękit wywróconej do góry dnem misy niebios. Nie wyglądało na to, aby miała nadciągnąć burza, ale on był gotów zawrócić, zabrać Thonolana i uciekać. Nikt inny nie przejawiał ochoty do zawrócenia, szczególnie że nosorożce były już w polu widzenia. Miał wątpliwości, czy jego nowi towarzysze potrafili przewidzieć zbliżającą się śnieżycę z ucieczki kudłaczy na północ.

Polowanie było jego pomysłem. To, o co jednak teraz mu chodziło, byłoby trudniej wytłumaczyć. Chciał wracać i zabrać Thonolana w bezpieczne miejsce. Jak jednak miał im wyjaśnić, że zbliża się śnieżna burza, skoro na niebie nie było nawet najmniejszej chmurki, a do tego on nie mówił ich językiem? Pokręcił głową; najpierw muszą zabić nosorożca.

Gdy się zbliżyli, Jondalar wysunął się do przodu, próbując wyprzedzić ostatnie ze zwierząt – młodego nosorożca, niewyrośniętego jeszcze całkiem i z trudem nadążającego za resztą. Zaszedł go od przodu i zaczął krzyczeć oraz wymachiwać rękoma, starając się zwrócić uwagę zwierzęcia i nakłonić go, aby zmienił kierunek lub zwolnił. Ale młodzik pchał się na północ z tą samą zawziętą stanowczością, jak inne, całkowicie lekceważąc człowieka. Wyglądało na to, że będą mieli problem z oddzieleniem któregośkolwiek z nich, i to go niepokoiło. Burza nadciągała szybciej, niż myślał.

Ku swojemu zdumieniu kątem oka dostrzegł, że Jetamio go dogoniła. Jej utykanie było bardziej widoczne, ale poruszała się prędko. Jondalar skinął głową z bezwiedną aprobatą. Pozostali członkowie łowieckiej grupy posuwali się do przodu, starając się otoczyć jedno ze zwierząt i spłoszyć pozostałe. Ale nosorożce nie były zwierzętami stadnymi, o rozwiniętych społecznych więzach, którymi łatwo byłoby pokierować czy spłoszyć. Nie szukały bezpieczeństwa w większej grupie. Włochate nosorożce były niezależnymi, przewrotnymi stworami, które rzadko łączyły się w grupy większe od rodziny, były niebezpieczne i nieobliczalne. Łowcy mądrze zrobili, zachodząc je ostrożnie z obu stron.

Zgodnie z ustaloną taktyką łowcy skoncentrowali swe działania na zostającym z tyłu młodym. Okrzyki szybko zbliżającej się grupy ani nie zwolniły, ani nie przyspieszyły jego tempa. W końcu Jetamio udało się zwrócić na siebie jego uwagę, gdy zdjęła kaptur i zaczęła nim wymachiwać. Nosorożec zwolnił, odwrócił łeb w kierunku trzepotania i zdawał się wahać.

To dało szansę łowcom, aby go dopadli. Otoczyli bestię kołem, ci z ciężkimi dzidami podeszli bliżej, a ci z lekkimi oszczepami uformowali zewnętrzny okrąg, gotowi w razie potrzeby

pospieszyć z pomocą ciężiej uzbrojonym towarzyszom. Nosorożec się zatrzymał; zdawał się nie zważać na to, że reszta jego grupy szybko się oddalała. Wtem ruszył wolno w kierunku trzepoczącego na wietrze kaptura. Jondalar zbliżył się do Jetamio i spostrzegł, że Dolando robił to samo.

Nagle młody człowiek, którego Jondalar rozpoznał jako jednego z tych, którzy pozostawali na łodzi, zamachał swym kapturem i rzucił się przed nich w stronę zwierzęcia. Zmieszany nosorożec zaprzestał swego truchtu w kierunku dziewczyny i ruszył za mężczyzną. Większy cel był łatwiejszy do gonienia nawet przy ograniczonym polu widzenia; obecność tak wielu łowców zwiódła jego doskonały węch. Gdy już doganiał swój cel, pomiędzy nim a młodym mężczyzną pojawiła się następna wymachująca rękoma postać. Nosorożec ponownie przystanął, próbując zdecydować, za którym celem pobiec.

Zmienił kierunek i pognał za drugim, który był tak złudnie blisko. Ale wtedy wmieszał się następny łowca, wymachując dużym futrzanym okryciem, a kiedy młody nosorożec się zbliżył, przebiegł obok niego jeszcze inny, tak blisko, że szarpnął za długie rudawe futro na jego pysku. Nosorożec zaczynał być coraz bardziej zmieszany, zaczynał go ogarniać gniew, morderczy gniew. Prychnął, uderzył nogą ziemię, a gdy dostrzegł następną z biegających postaci, rzucił się za nią całym pędem.

Młodzieniec z rzecznych ludzi z trudem utrzymywał się z przodu, zboczył, a nosorożec zboczył w ślad za nim, nie przerywając szybkiego pościgu. Zwierzę zaczynało już być zmęczone. Gonilo kolejno zmieniających się biegaczy, tam i z powrotem, nie mogąc dopaść żadnego z nich. Na widok kolejnego łowcy machającego mu kapturem przed nosem kudłata bestia się zatrzymała, opuściła łeb, aż wielki róg dotknął ziemi. Nosorożec

skoncentrował się na utykającej postaci, która poruszała się w pobliżu.

Jondalar pobiegł w ich kierunku, trzymając wysoko dzidę. Musiał zadać śmiertelny cios, zanim skołowany nosorożec złapie oddech. Z drugiej strony z podobnym zamiarem zbliżał się Dolando. Nadciągało również kilku innych. Jetamio machała kapturem i ostrożnie podchodziła bliżej, starając się podtrzymać zainteresowanie zwierzęcia. Jondalar miał nadzieję, że nosorożec istotnie był tak zmęczony, na jakiego wyglądał.

Wszyscy skupili uwagę na Jetamio i na nosorożcu. Jondalar nie wiedział, co sprawiło, że spojrział na północ – być może jakiś ruch na skraju pola widzenia.

– Uwaga! – krzyknął, rzucając się do przodu. – Nosorożec z północy!

Jednakże pozostali zdawali się nie rozumieć jego zachowania; nie rozumieli przecież tego, co krzyczał. I nie widzieli rozwścieczonej samicy nosorożca, nadbiegającej całym pędem w ich kierunku.

– Jetamio! Jetamio! Północ! – krzyknął ponownie, machając ręką i wskazując swą dzidą nosorożca.

Dziewczyna spojrzała na północ, tam gdzie wskazywał, i wrzasnęła ostrzegawczo do młodego mężczyzny, na którego nacierała samica nosorożca. Pozostali rzucili się na pomoc, zapominając na chwilę o młodym. A ten, być może, zdążył odpocząć albo też zapach atakującej samicy przywrócił mu siły, bo nagle natarł na osobę prowokacyjnie blisko wymachującą kapturem.

Jetamio miała szczęście, że był tak blisko. Nie miał czasu na rozpęd, a sapanie, z jakim się zbliżał, ponownie zwróciło jej i Jondalara uwagę. Dziewczyna się cofnęła, unikając rogu



nosorożca i pobiegła do przodu.

Nosorożec zwolnił, rozglądając się za celem, który mu umknął. Nie patrzył w kierunku wysokiego mężczyzny, który zbliżał się do niego długimi susami. A potem było już za późno. Małe oczka nie mogły już skupić się na jednym punkcie. Jondalar wycelował ciężką dzidę i wbił ją w mózg. W następnej chwili nosorożec całkowicie utracił wzrok za sprawą dziewczyny, która cisnęła swą dzidę w jego drugie oko. Zwierzę wydawało się zaskoczone, potem potknęło się i upadło na kolana, a gdy życie zaczęło z niego całkiem ulatywać, przewrócił się na ziemię.

Rozległ się krzyk. Myśliwi spojrzeli i co sił w nogach rozbiegli się w różne strony. Pędziła na nich dorosła samica. Zwolniła, gdy zbliżyła się do młodego, pobiegła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się. Potem zawróciła do młodego leżącego na ziemi z dzidami sterczącymi mu z oczu. Trąciła go rogiem, ponagłając, aby wstał. Następnie poczęła wymachiwać łbem na obie strony i przestępować z nogi na nogę, jakby się nad czymś zastanawiała.

Kilku z łowców próbowało zwrócić jej uwagę, machając na nią kapturami i okryciami, ale ona albo ich nie widziała, albo postanowiła ich zignorować. Ponownie trąciła młodego nosorożca, a później na zew instynktu ponownie skierowała się na północ.

– Mówię ci, Thonolan, mało brakowało. Ale samica była zdecydowana odejść na północ – w ogóle nie miała zamiaru zostać.

– Sądysz, że nadciąga śnieg? – zapytał Thonolan, spoglądając na swój okład, a potem z powrotem na zmartwionego brata. Jondalar skinął głową.

– Ale nie wiem, jak powiedzieć o tym Dolando, jak mu wytłumaczyć, że lepiej by było odejść nim nadciągnie burza,

przecież na niebie nie widać żadnej chmurki... nawet gdybym mówił jego językiem.

– Od kilku dni czuję już nadciągający śnieg. To musi być wielka burza.

Jondalar sądził, że temperatura nadal spadała. Upewnił się, gdy następnego ranka w miseczce z napojem, zostawionym na noc w pobliżu ognia, zobaczył cienką warstewkę lodu. Ponownie bezskutecznie próbował wytłumaczyć im, co go niepokoi, i nerwowo wypatrywał na niebie znaków wieszczących zmianę pogody. Poczuliby pewnie ulgę na widok postrzępionych chmur nadciągających zza gór i wypełniających błękitną nieckę niebios, gdyby nie groźba, którą z sobą niosły.

Jondalar złożył namiot i spakował swoje oraz Thonolana nosidła, gdy tylko spostrzegł, że ich nowi przyjaciele zwijają obóz. Dolando się uśmiechnął, pochwalił skinieniem głowy jego gotowość, a potem skierował go nad rzekę. W jego uśmiechu czaiło się jednak zdenerwowanie, a w oczach głęboka troska. Jondalar zrozumiał, gdy zobaczył wzburzoną rzekę i drewnianą łódź podskakującą i szarpiącą naprężone liny.

Wyraz twarzy człowieka, który zabrał jego bagaże i ułożył w pobliżu pociętego, zamrożonego nosorożca, był bardziej obojętny, ale wcale nie rozwiał obaw Jondalara. I choć bardzo mu było spieszno stąd odejść, to na pewno środek transportu nie działał na niego uspokajająco. Zastanawiał się, jak wniosą Thonolana na pokład łodzi i wrócił zobaczyć, czy nie mógłby w czymś pomóc.

Jondalar przyglądał się, jak szybko i sprawnie zwijano obóz. Wiedział, że czasami najlepsza pomoc jaką można zaofiarować, to nie przeszkadzać. Zaczął zauważać szczegóły, jakie różniły ubiory tych, którzy rozbili namioty na brzegu i nazywali siebie

Shamudoi, od tych, jakie nosili Ramudoi, ludzie, którzy zostali na łodzi. Nie sprawiali jednak wrażenia całkiem odrębnych szczepów.

Porozumiewali się z łatwością, często żartowali i nie silili się na wymuszone grzeczności, które zwykle pokrywają napięcie towarzyszące spotkaniu ludzi z różnych szczepów. Zdawali się mówić tym samym językiem, spożywać wspólnie wszystkie posiłki i pracować razem. Zauważył jednak, że na lądzie zdawał się przewodzić Dolando, podczas gdy ludzie z łodzi od innego mężczyzny oczekiwali poleceń.

Z namiotu wyłonił się uzdrowiciel, a za nim dwaj ludzie niosący Thonolana na prostych noszach. Pomiedzy dwoma drągami, wyciętymi w olchowym zagajniku na pagórku, przepleciono linę przyniesioną z łodzi, formując rodzaj siatki, do której przywiązano rannego. Jondalar pospieszył w ich kierunku, gdy spostrzegł, że Roshario zaczęła składać wysoki, okrągły namiot. Nerwowe spojrzenia, jakie rzucała na niebo i rzekę, upewniły Jondalara, iż ona niewiele bardziej się cieszy na czekającą ich podróż od niego.

– Te chmury wyglądają na pełne śniegu – powiedział Thonolan, gdy dostrzegł brata idącego obok noszy. – Nie widać szczytów gór; na północy już musi padać śnieg. Jedno ci powiem, z tej pozycji ma się inne spojrzenie na świat.

Jondalar spojrział na chmury wytaczające się zza gór. Przesłaniały zmrożone szczyty, kłębiły się wokół każdego z nich, chcąc jak najszybciej pokryć czysty błękit przed sobą. Zmarszczone brwi Jondalara wyglądały niemal tak samo groźnie, jak niebo, a i czoło miał chmurne, ale starał się ukrywać swe obawy.

– Czy tym usprawiedliwiasz swoje leniuchowanie? – zapytał,

próbując się uśmiechać.

Gdy dotarli do sterczącej nad wodą kłody, Jondalar został z tyłu i obserwował, jak dwóch rzecznych ludzi przenosi, balansując, swój ciężar po chwiejnym, zwalonym drzewie i jeszcze bardziej niepewnej kładce. Zrozumiał teraz, dlaczego Thonolan został mocno przywiązany do noszy. Poszedł za nimi, sam mając trudności z utrzymaniem równowagi i z większym respektem patrząc teraz na tych ludzi.

Z szarego pochmurnego nieba zaczęły spadać pierwsze białe płatki, gdy Roshario i Shamud przekazali ciasno powiązane tyczki i skóry – duży namiot – dwom Ramudoi, aby wnieśli je na pokład, i sami ruszyli po kłodzie na łódź. Rzeka, odbijając nastrój nieba, burzyła gwałtownie swe wody, wzbierając za sprawą rosnącej w górach wilgotności.

Kłoda i łódź podskakiwały targane na wszystkie strony. Jondalar wychylił się za burtę i wyciągnął dłoń do kobiety. Roshario spojrzała na niego z wdzięcznością i przyjęła wyciągniętą dłoń. Jondalar niemal wciągnął ją do łodzi. Shamud również nie miał najmniejszych oporów z przyjęciem jego pomocy, a pełne wdzięczności spojrzenie było równie szczere jak spojrzenie Roshario.

Jeden z ludzi był nadal na brzegu. Zwolnił jedną z cum, a potem przebiegł po kłodzie i wdrapał się na pokład. Pospiesznie wciągnięto kładkę. Teraz łódź, która próbowała odbić od brzegu i włączyć się w wartki nurt, była utrzymywana jedynie przez jedną linę i długie wiosła w rękach wioślarzy. Lina została zwolniona ostrym szarpnięciem. Łódź, korzystając z szansy na wolność, skoczyła do przodu. Jondalar przywarł kurczowo do burty, a łódź podskakując i rzucając się, wypłynęła na główny nurt Siostry.

Burza narastała gwałtownie i wirujące płatki ograniczały widoczność. Wokół płynęły wraz z nimi różne niesione prądem śmieci – nasiąknięte wodą kłody, powyrywane krzaki, rozdęta padlina, a czasami nawet małe góry lodowe – co wzmagало lęk Jondalara przed zderzeniem. Obserwował przesuwaną się brzeg i jego spojrzenie zatrzymała kępa olch rosnąca na wysokim wzgórzu. Coś łopotalo na wietrze, przyczepione do jednego z drzew. Nagły podmuch wiatru zerwał to i poniósł nad rzekę. Gdy spadło, Jondalar nagle zdał sobie sprawę, że była to jego sztywna, pokryta ciemnymi plamami letnia koszula. Czyżby łopotala na tym drzewie przez cały czas? Koszula płynęła przez chwilę, nim nasiąknięta wodą nie poszła na dno.

Thonolan został zdjęty z noszy i ułożony przy jednej z burt łodzi. Był blady, wyglądał na obolałego i wystraszonego, ale uśmiechał się do Jetamio, która siedziała obok niego. Jondalar usiadł w pobliżu nich, wzdrygając się na wspomnienie swego strachu i paniki. Potem przypomniał sobie radość, jaką odczuł na widok zbliżającej się łodzi, i ponownie zastanawiał się, skąd wiedzieli, gdzie ich znaleźć. Nagle przyszła mu do głowy myśl: czyżby to ta zakrwawiona tunika łopocząca na wietrze powiedziała im, gdzie szukać? Ale skąd w ogóle wiedzieli, że trzeba przypłynąć? I to z Shamudem?

Łódź lawirowała po wzburzonej wodzie i Jondalar zaczął się interesować jej solidną konstrukcją. Dno łodzi zdawało się wykonane z jednego kawałka drewna, całego wydrążonego pnia drzewa, szerszego w środkowej części. Łódź poszerzono dzięki rzędom sterczących na boki i powiązanych razem desek, które schodziły się na dziobie. Wzdłuż burt umieszczono co kawałek wsporniki, a ułożone na nich deski stanowiły siedzenia dla wioślarzy. Trzy z nich znajdowały się przed pierwszym

siedzeniem.

Spojrzenie Jondalara pobiegło dalej wzdłuż wiązania łodzi i prześliznęło się po wysuniętej z dziobu kłodzie. Wtem wrócił spojrzeniem i poczuł raptowne bicie serca. W pobliżu dziobu, uczepiona splątanych gałęzi kłody, tuż przy dnie łodzi, leżała poplamiona krwią letnia koszula.

## . 9 .



– Nie bądź tak łapczywa, Whinney – ostrzegła Ayla, obserwując, jak koń wychłęptuje ostatnie krople wody z dna drewnianej miski. – Jeżeli wszystko wypijesz, to będę musiała stopić więcej lodu. – Żrebię parsknęło, potrząsnęło łbem i ponownie wsadziło nos do miski. Ayla się roześmiała. – Skoro jesteś aż tak spragniona, to pójdę przynieść więcej lodu. Idziesz ze mną?

Ayla nabrała zwyczaju ciągłego kierowania potoku myśli do młodego konia. Czasami były to jedynie myślowe obrazy, a najczęściej wyrazisty język gestów, póż i wyrazów twarzy, z którymi była najlepiej obeznana, ale fakt, że koń zdawał się reagować na jej głos, zachęcało Aylę do jego częstszego używania. W odróżnieniu od pozostałych członków klanu nie miała nigdy trudności z wydawaniem różnych dźwięków i modulowaniem głosu; jedynie jej syn potrafił naśladować jej umiejętności. Bawili się oboje w wymawianie bezsensownych sylab, ale z czasem niektóre z nich zaczynały nabierać znaczenia. Dzięki ciągłym rozmowom z koniem te dźwięki zaczęły przybierać formę bardziej złożonych słów. Naśladowała głosy zwierząt, wymyślała nowe słowa z kombinacji znanych dźwięków, a nawet wykorzystywała w tym celu sylaby bez sensu

wypowiadane w czasie zabaw z synem. Nie było w pobliżu nikogo, kto spoglądałby na nią z dezaprobatą za wydawanie niepotrzebnych dźwięków, więc zasób mówionych słów powiększał się, choć był to język zrozumiały jedynie dla niej – i w pewnym sensie dla jej konia.

Ayla okręciła nogi futrzanymi okryciami, przywdziała okrycie z końskiej skóry, kaptur z rosomaka, a potem przyczepiła okrycia na dłonie. Wysunęła rękę przez otwór na dłoni i przyczepiła procę do rzemienia w pasie oraz przywiązała kosz z nosidłami. Następnie podniosła narzędzie do kruszenia lodu – długą kość z przedniej nogi konia, którą po rozłupaniu i wydobyciu szpiku, wyostrzyła o kamień – i wyruszyła.

– No chodź, Whinney – ponaglała. Odsunęła ciężką skórę z zębora, która kiedyś była jej namiotem, a teraz uczepiona do słupków wbitych w klepisko zasłaniała wejście do jaskini przed wiatrem. Konik zbiegł za nią kłusem po stromej ścieżce. Gdy Ayla wyszła na ściętą lodem rzekę, uderzył w nią wiejący zza zakrętu wiatr. Wyszukała miejsce, w którym popękana lodowa powłoka sprawiała wrażenie dającej się łatwo pokruszyć, i poczęła rąbać zwały lodu.

– O wiele łatwiej nabrać miskę śniegu, niż narąbać lodu na wodę, Whinney – powiedziała, ładując lód do kosza. Przystanąła, aby dorzucić kilka drew ze sterty leżącej u podnóża ściany. Z wielką wdzięcznością myślała o naniesionym przez wodę drewnie, dzięki któremu mogła topić lód i grzać się. – Zimy są tu bardziej suche i chłodne, Whinney. Tęsknię za śniegiem. Trochę tego, co tu nawiało nie przypomina śniegu, jedynie jest zimne.

Ułożyła drewno w pobliżu paleniska i wrzuciła lód do misy. Przysunęła ją bliżej ognia, aby lód zaczął się w ciepłe topić, zanim przełoży go do skórzanego naczynia. Na dnie naczynia



powinno być trochę płynu, aby się nie zapaliło, gdy umieści je nad ogniem. Potem rozejrzała się po swojej przytulnej jaskini. Lustrowała po kolei rozpoczęte już wyroby, które były w różnym stopniu ich ukończenia, próbując zdecydować, nad którym dziś pracować. Ale była niespokojna. Nic nie wzbudziło jej zainteresowania, dopóki jej spojrzenie nie padło na kilka nowych, zrobionych niedawno dzid.

Może pójde zapolować, pomyślała. Dawno już nie byłam na stepie. Tych jednakże nie mogę zabrać. Zmarszczyła brwi. Na nic by się nie przydały, nigdy nie uda mi się podejść wystarczająco blisko. Wezmę po prostu procę i pójde się przejść. Napełniła fałdę w okryciu okrągłymi kamieniami, które naznosiła do jaskini, na wypadek, gdyby hieny wróciły. Potem dorzuciła drew do ognia i wyszła z jaskini.

Whinney próbowała iść za Aylą, która wspinała się stromym zboczem nad jaskinią na rozciągające się w górze stepy, potem zarżała za nią nerwowo..

– Nie martw się, Whinney. Nie odchodzę na długo. Nic ci nie będzie.

Gdy dotarła do szczytu, wiatr porwał jej kaptur, próbując zderzyć go z głowy. Naciągnęła go z powrotem i zawiązała rzemyki, potem odeszła od krawędzi i przystanęła, aby się rozejrzeć. Wysuszone latem stepy zdawały się tętnić życiem w porównaniu ze zmarzniętą pustką zimowego krajobrazu. Ostry wiatr wył żałośnie, zawodząc cienko i przenikliwie, przechodząc w płaczący gwizd i cichnąc do głuchego, zduszonego pomruku. Wymiatał do naga burą ziemię, porywając z zagłębień suche ziarenka śniegu i unosząc je z powrotem w powietrze przy wtórze głośnego lamentu.

Niesiony wiatrem śnieg sprawiał wrażenie grubego piasku,

który palił jej twarz swym strasznym chłodem. Ayla naciągnęła mocniej kaptur, pochyliła głowę i poszła pod ostry północno-wschodni wiatr, poprzez suche trawy przygięte do ziemi. Nos szczypał ją, a gardło bolało, gdy przenikliwie zimne powietrze porywało z niego wilgoć. Nagle zaskoczył ją gwałtowny podmuch wiatru. Straciła oddech, dławiąc się, kaszląc, sapiąc i odchrząkując flegmę. Wypluła ją i patrzyła, jak zamarła, zanim jeszcze spadła na twardą jak kamień ziemię i odbiła się.

Co ja tu robię? – pomyślała. Nie wiedziałam, że może być tak zimno. Wracam.

Odwróciła się i na moment zamarła, zapominając o przenikliwym zimnie. Przez parów człapało małe stado włośchatych mamutów; wielkie ruchome pagórki brązoworudego futra z długimi zakręconymi kłami. Ta pępna, sprawiająca wrażenie wymarłej, kraina była ich domem; szorstka, krucha od mrozu trawa stanowiła ich pożywienie. Ale przystosowawszy się do życia w takim środowisku, utraciły zdolność do życia w jakimkolwiek innym. Ich dni były policzone; będą żyły jedynie tak długo, dopóki będzie tu lodowiec.

Ayla patrzyła jak zaczarowana, dopóki niewyraźnie kształty nie rozmyły się w wirującym śniegu, potem ruszyła szybko przed siebie i z radością schroniła się za krawędzią zbocza przed wiatrem. Pamięta, że czuła to samo, gdy po raz pierwszy znalazła swoją jaskinię. Co ja bym zrobiła, gdybym nie znalazła tej doliny? Dotarła do półki przed jaskinią i przytuliła się czule do źrebięcia, a potem podeszła na skraj tarasu i spojrzała na dolinę. Śnieg leżał tam trochę grubszą warstwą, szczególnie w miejscach, gdzie utworzyły się zasy, ale był tak samo suchy i zimny.

Dolina jednak zapewniała jej osłonę przed wiatrem i schronienie w jaskini. Bez niej, bez futer i ognia nie

przetrwałaby; nie była stworzeniem porośniętym futrem. Gdy tak stała na półce, wiatr przyniósł z sobą wycie wilka i ujadanie szakala. W dole polarny lis wędrował po skutym lodem strumieniu, jego białe futro sprawiało, że stawał się prawie niewidoczny, gdy przystawał i zamierał w bezruchu. Ayla zauważyła ruch w dolinie i wypatrzyła lwa jaskiniowego; jego brunatne futro rozjaśniło się teraz niemal do białego, było gęste i grube. Ten czworonożny drapieżnik przystosował się do życia w środowisku swych ofiar. Ayla i jej pobratymcy przystosowywali środowisko do siebie.

Kobieta podskoczyła, gdy usłyszała w pobliżu wrzaskliwy chichot, i spojrzawszy w górę zobaczyła na krawędzi wąwozu hienę. Wzdrygnęła się i sięgnęła po procę, ale padlinożerca powlókł się wzdłuż krawędzi wąwozu, a potem wrócił na otwarte równiny. Whinney szła za Aylą, rżąc cicho i trącając ją delikatnie nosem. Ayla otuliła się szczelniej burym okryciem z końskiej skóry, otoczyła ramieniem szyję Whinney i poszła z powrotem do jaskini.

Ayla leżała na swym futrzanym pościeliu i wpatrywała się w znajomy układ skał nad głową, zastanawiając się, co ją nagle obudziło. Uniosła głowę i spojrzała w kierunku Whinney. Ona również miała oczy otwarte i spoglądała na kobietę, ale w jej spojrzeniu nie było lęku. Ayla była pewna, że nastąpiła jakaś zmiana.

Wtuliła się ponownie w futra, nie mając ochoty opuszczać ich przytulnego ciepła i w świetle padającym z otworu nad wejściem rozejrzała się po domu, który sama dla siebie tu stworzyła. Dookoła leżały zaczęte prace, ale pod ścianą, po drugiej stronie stojaka, rosła sterta wykończonych narzędzi i sprzętów. Była głodna i jej spojrzenie powędrowało z powrotem na skałę.

Tłuszcz wytopiony z konia włożyła do wyczyszczonych jelit, skręcając je co pewien czas i biała kiełbasa dyndała teraz obok różnych suszonych ziół i przypraw powieszonych za korzenie.

To przywiodło jej na myśl śniadanie. Rosół ugotowany z suszonego mięsa, wzmocniony tłuszczem, doprawiony ziołami, może z odrobiną ziarna i suszonych porzeczek. Była już zbyt rozbudzona, aby pozostawać w łóżku, i odrzuciła przykrycie. Szybko nałożyła okrycie i osłony na nogi, potem sięgnęła po futro rysia ze swego posłania, nadal nagrzane ciepłem jej ciała i pospieszyła na zewnątrz, by wypróżnić się w odległym kącie skalnej półki. Odsunęła zasłonę i wstrzymała oddech.

Ostre kontury skalnej półki zostały w ciągu nocy złagodzone grubą powłoką bieli, która błyszczała i mieniła się, odbijając czysty błękit nieba wiszącego nad puszystym kopczykiem. Upłynęła dłuższa chwila, nim uświadomiła sobie drugą istotną zmianę, jaka zaszła w otoczeniu. Powietrze było nieruchome. Nie było wiatru.

Dolina, usadowiona wygodnie na obszarze, gdzie wilgotne stopy kontynentalne ustępowały miejsca suchym lessowym stepom, znajdowała się w strefie wpływów obu klimatów. O tej porze roku jednak przeważały tu wpływy z południa. Gruba warstwa śniegu przypominała zimowe warunki, jakie zwykle panowały wokół jaskini klanu, i Ayli kojarzyła się z domem.

– Whinney! – zawołała. – Wyjdź! Spadł śnieg! Ten śnieg zwiastuje zmianę pogody.

Nagle przypomniała sobie, dlaczego wyszła z jaskini i zostawiając ślady na dziewiczej bieli śniegu, pospieszyła na odległy skraj półki. Wracając obserwowała konia, który stąpał niesłychanie ostrożnie po puchu, opuścił łeb, aby go obwąchać, a potem parsknął na dziwnie zimną powierzchnię. Spojrzał na

Aylę i zarżał.

– Daj spokój, Whinney. Śnieg ci nic nie robi.

Koń nigdy nie doświadczył przedtem głębokiego śniegu w takiej spokojnej obfitości; był przyzwyczajony do śniegu niesionego wiatrem lub usypanego w zasy. Kopyto mu się zapadło, gdy zrobił następny ostrożny krok, i ponowie zarżał na kobietę, tak jakby chciał się upewnić. Ayla poprowadziła młode zwierzę na zewnątrz, dopóki nie stało się spokojne, a potem się roześmiała, kiedy przeważyla naturalna ciekawość żrebaka i jego chęć do zabawy. Wkrótce Ayla zdała sobie jednak sprawę, że nie była odpowiednio ubrana do dłuższego przebywania na dworze. Było zimno.

– Wracam do środka zrobić gorącego napoju i coś do zjedzenia. Ale mam mało wody, będę musiała przynieść trochę lodu... Roześmiała się. – Nie muszę rąbać lodu na rzece. Mogę po prostu nabrać pełną misę śniegu! Co powiedziałybyś na ciepłą papkę, Whinney?

Po posiłku Ayla ubrała się ciepło i ponownie wyszła na zewnątrz. Bez wiatru powietrze było niemal balsamiczne, ale to znajomy widok śniegu na ziemi cieszył ją najbardziej. Naznosiła do jaskini pełne jego kosze i miski i ustawiła je w pobliżu ognia, aby śnieg się stopił. Było to o tyle łatwiejsze od rąbania lodu, że postanowiła część powstałej wody wykorzystać do mycia. Dawniej miała zwyczaj zimą regularnie myć się stopionym śniegiem, ale tu było już dostatecznie trudno narąbać dość lodu na wodę do picia i gotowania. Mycie było dawno zapomnianym luksusem.

Dołożyła do ognia drwa ze sterty leżącej w głębi jaskini, potem oczyściła ze śniegu zapasowe drewno zmagazynowane na zewnątrz i przyniosła więcej do środka.

Szkoda, że nie mogę przechowywać wody tak jak drewna – pomyślała, spoglądając na pojemniki z topniejącym śniegiem. – Nie wiem, jak długo utrzyma się ta bezwietrzna pogoda. – Wyszła po następne naręcze drewna, zabierając z sobą miskę, aby otrząsnąć drwa ze śniegu. Gdy nabrała pełną miskę i wysypała jej zawartość obok drewna, zauważyła, że śnieg zachował kształt miski. – Ciekawa jestem... Dlaczego nie miałabym przechowywać w ten sposób śniegu? Jak sterty drewna?

Pomysł napełnił ją entuzjazmem i wkrótce większość nie zdeptanego śniegu ze skalnej półki została ułożona w stos pod ścianą w pobliżu wejścia do jaskini. Potem ruszyła w dół ścieżki prowadzącej na plażę. Whinney wykorzystała oczyszczoną ścieżkę, aby zejść na łąkę. Oczy Ayli błyszczały, a policzki się zaróżowiły, gdy skończyła pracę, i z satysfakcją uśmiechnęła się, spoglądając na kopczyk śniegu tuż u wyjścia z jaskini. Dostrzegła na końcu półki mały nie oczyszczony do końca fragment i ruszyła zdecydowanie w jego kierunku. Spojrzała w dolinę i roześmiała się na widok Whinney kroczącej ostrożnie poprzez niezwykle zasy.

Gdy ponownie spojrzała na stertę śniegu, przestała się śmiać, a w kąciku ust pojawił jej się osobliwy uśmieszek. Przyszedł jej do głowy szczególny pomysł. Wielka sterta śniegu była uformowana z kupek o kształcie miski i z miejsca, w którym patrzyła, przypominała zarys twarzy. Ayła nabrała trochę więcej śniegu, potem podeszła do sterty i pacnęła go we właściwe miejsce, a potem cofnęła się o krok i oceniła rezultat.

Gdyby nos był trochę większy, to ta kupka śniegu byłaby zupełnie podobna do Bruna, pomyślała i nabrała więcej śniegu. Umieściła go na miejscu, wyskrobała odpowiednie zagłębienia, wygładziła bryłę i cofnęła się, aby ponownie dokonać oględzin

swego dzieła.

W oczach pojawiły jej się figlarne błyski.

– Pozdrowienia, Brun – zagestykulowała, a potem poczuła się nieco rozczarowana. Prawdziwy Brun nie pochwaliby nazywania kupy śniegu jego imieniem. Słowa-imiona są zbyt ważne, aby obdarzać nimi rzeczy z taką beztroską. No cóż, wygląda zupełnie jak on. Zachichotała na tę myśl. Ale może powinnam być bardziej uprzejma. To niewłaściwe, aby kobieta pozdrawiała przywódcę tak, jakby była rodzeństwem. Powinnam poprosić o pozwolenie, pomyślała, i ciągnąc dalej swą grę, usiadła przed kupą śniegu i spuściła wzrok – w pozie odpowiedniej dla kobiety klanu, która prosiła o posłuchanie mężczyzny.

Śmiejąc się w duchu ze swej zabawy, Ayla usiadła cicho ze spuszczoną głową, tak jakby naprawdę spodziewała się klepnięcia w ramię, sygnału, że wolno jej przemówić. Cisza robiła się coraz cięższa, a półka skalna była zimna i twarda. Zaczęła myśleć, że śmiesznie jest tak tu siedzieć. Śnieżna podobizna Bruna nie klepie jej po ramieniu, tak jak i nie uczynił tego sam Brun, gdy po raz ostatni przed nim siedziała. Została po prostu przeklęta, ale niesprawiedliwie i chciała błagać starego przywódcę, aby ochronił jej syna przed wściekłością Brouda. Ale Brun odwrócił się od niej; było za późno – ona już nie żyła. Nagle jej wesoły nastrój wyparował. Wstała i wpatrzyła się w zrobioną przez siebie śnieżną rzeźbę.

– Nie jesteś Brunem! – zagestykulowała ze złością, kopiąc wyrzeźbiony z taką ostrożnością fragment. Wzbierała w niej wściekłość. – Nie jesteś Brunem! Nie jesteś Brunem! – biła kupę śniegu pięściami i nogami, niszcząc wszelkie podobieństwo do twarzy. – Nigdy już nie zobaczę Bruna. Nigdy nie zobaczę Durca.

Nigdy nie zobaczę już nikogo, nigdy! Jestem zupełnie sama. Z ust wyrwał jej się żalony płacz i szloch rozpacz. – Och, dlaczego jestem całkiem sama?

Opadła na kolana, położyła się w śniegu i poczuła jak ciepłe łzy robią się zimne na jej twarzy. Tuliła do siebie zimną wilgoć, witając z radością jej paralizujący dotyk. Obejmowała się ramionami. Chciała się zaszyć w nich i pozwolić, aby chłód zamroził jej ból, gniew i samotność. Poczęła się trząść, zamknęła oczy i starała się nie zwracać uwagi na zimno zaczynające przenikać ją do kości.

Wtem poczuła na twarzy coś ciepłego i wilgotnego. Usłyszała ciche rżenie konia. Próbowwała i to zignorować. Koń trącił ją ponownie. Ayla otworzyła oczy i ujrzała duże ciemne oczy i długi pysk stepowego konika. Wyciągnęła rękę, objęła szyję zrebienia i wtuliła twarz w jego kudłate futro. Potem puściła go, a on cicho zarżał.

– Chcesz, abym wstała, tak, Whinney? – Koń pokiwał twierdząco łbem, jakby rozumiał i Ayla pragnęła wierzyć, że tak było w istocie. Zawsze miała silny instynkt zachowawczy; trzeba by czegoś więcej niż samotność, aby się poddała. Wyrastając w klanie Bruna, choć była kochana, to pod wieloma względami przez całe swe życie była sama. Zawsze była inna. Jej miłość do innych była potężną siłą. To, że jej potrzebowali – Iza, gdy była chora, Creb gdy się zestarzał, jej synek – uzasadniało i nadawało sens jej życiu.

– Masz rację. Lepiej wstanę. Nie mogę zostawić cię samej, Whinney, a siedząc tu cała przemoknę i zaziębę się. Pójdę nałożyć coś suchego. Potem zrobię ci ciepłą papkę. To by ci się spodobało, prawda?

Ayla obserwowała dwa arktyczne lisy prychające na siebie i



poszczypujące się, walczące o lisicę. Nawet na skalnej półce czuła ostry zapach lisich samców. Zimą były ładniejsze; latem robiły się po prostu burobrązowe. Jeżeli chciałabym mieć białe futro, to powinnam je zdobyć teraz, pomyślała, ale nie sięgnęła po procę. Jeden z lisów zwyciężył i odbierał właśnie swą nagrodę. Lisica obwieściła to ochrypłym wrzaskiem.

Wydawała ten dźwięk jedynie przy łączeniu się w pary. – Ciekawa jestem, czy ona to lubi? Ja nigdy nie lubiłam, nawet gdy już nie sprawiało mi to bólu. Ale inne kobiety to lubiły. Dlaczego ze mną było tak inaczej? Czy dlatego, że nie lubiłam Brouda? Dlaczego to miałyby stanowić jakąś różnicę? Czy ta samica lubi tego samca? Czy lubi to, co on robi? Nie ucieka w każdym razie.

Nie pierwszy raz Ayla zrezygnowała z polowania, poprzestając na obserwacji. Często spędzała długie dni, podglądając zwierzynę, na którą totem zezwolił jej polować. Chciała poznać ich zwyczaje i siedliska. Odkryła, przy okazji, że są interesującymi stworzeniami. Ludzie klanu uczyli się polować, ćwicząc na zwierzętach roślinożernych, które stanowiły ich pożywienie. A choć potrafili wytropić i drapieżniki, gdy chcieli zdobyć ciepłe futra, to nigdy nie były one ich ulubioną zwierzyną łowną. Nigdy nie nawiązali z nimi szczególnej więzi tak, jak uczyniła to Ayla.

Para lisów nadal ją fascynowała, choć poznała je już dobrze. Gwałtownie drgający lis i wrzeszcząca samica sprawiły jednak, że jej myśli zbłądziły na inne tory. Każdego roku u schyłku zimy zawsze tak łączyły się w pary. Wiosną, gdy futro zaczynało im brązowieć, samica wydawała na świat małe. – Ciekawa jestem, czy zostanie tu pod stertą drewna i kości, czy też wykopie sobie norę gdzie indziej. Mam nadzieję, że zostanie. Będzie karmić małe, a potem dawać im specjalnie przeżute pożywienie prosto

ze swej paszczy. Jeszcze później będzie przynosić im martwą zdobycz, myszy, krety i ptaki. Czasami zająca. Gdy jej dzieci podrosną, przyniesie im żywe zwierzę i będzie je uczyć, jak polować. Do następnej jesieni będą prawie dorosłe, a zimą samice będą krzyczeć jak ta, gdy dosiędą je samce.

Po co one to robią? Tak się razem łączą? Myślę, że on poczyną jej dzieci. Jeżeli do tego, aby mieć dzieci, wystarczyłoby jedynie połknąć ducha, tak jak mówił Creb, to po co łączyłyby się w ten sposób? Nikt nie przypuszczał, że będę miała dziecko. Mówili, że duch mojego totemu jest zbyt silny. Ale ja miałam dziecko. Jeżeli Durc został poczęty, gdy Broud to ze mną robił, to bez znaczenia byłaby siła mojego totemu.

Jednakże ludzie to nie lisy. Mają dzieci nie tylko wiosną, kobiety mogą je rodzić o każdej porze roku. Ale nie po każdym połączeniu kobiety mają dziecko. Może Creb miał również rację. Duch męskiego totemu może dostać się do wnętrza kobiety, ale ona go nie połknie. Myślę, że on wpuszcza go do środka swym organem, gdy są połączeni. Czasami jej totem walczy, a czasami w ten sposób daje się początek nowemu życiu.

Chyba nie mam ochoty na futro białego lisa. Jeżeli jednego zabiję, pozostałe odejdą, a ja chciałabym zobaczyć, ile będą miały małych. Upoluję tego gronostaja, którego widziałam w dole strumienia, zanim zbrązowieje. Ma białe i bardziej miękkie futerko. Podoba mi się czarny koniec jego ogona.

Ale młoda samica gronostaja jest za mała, jej skóra ledwo wystarcza na zrobienie jednego okrycia na dłoń, a poza tym ona również będzie miała wiosną małe. Następnej zimy będzie pewnie więcej gronostai. Może nie pójdę dziś polować. Myślę, że zamiast tego skończę dzisiaj miskę.

Ayli nie przyszło do głowy zastanowić się, dlaczego myślała o

stworzeniach, które mogłyby znaleźć się w jej dolinie w czasie przyszłej zimy, skoro planowała odejść stąd wiosną. Zaczynała już przyzwyczajać się do swojej samotności, myślała już o niej tylko czasami, gdy robiła kolejne nacięcie na gładkim kiju, a potem odkładała go na rosnącą stertę innych.

Ayla próbowała odgarnąć z twarzy wierzchem dłoni zaniedbane, tłuste pasemko włosów. Rozszczepiała właśnie boczny korzeń drzewa, przygotowując się do zrobienia z niego dużego kosza i nie mogła porzucić pracy. Chciała go zrobić inaczej, wykorzystując różne materiały i ich kombinację, aby otrzymać różne węzły i sploty. Cały ten proces plecenia, wiązania i robienia parcianych pasów, warkoczy i sznurów pochłonął ją tak bardzo, że nie interesowało jej już nic innego. I choć od czasu do czasu końcowy produkt był do niczego nieprzydatny, a czasami wręcz śmieszny, to dokonała pewnych zdumiewających odkryć, które zachęcały ją do dalszych prób. Splatała i łączyła niemal wszystko, co wpadło jej w ręce.

Pracowała od wczesnego ranka nad szczególnie skomplikowanym splotem. Dopiero gdy weszła Whinney, odsuwając nosem skórzaną osłonę od wiatru, Ayla zauważyła, że jest już wieczór.

– Jak mogło zrobić się tak późno, Whinney? Nie masz nawet wody w swej misce – powiedziała, wstając i przeciągając się, zeszywniała od tak długiego siedzenia w jednym miejscu. – Powinnam zrobić coś do jedzenia i muszę zmienić swoje posłanie.

Młoda kobieta się zakrzętnęła. Przyniosła świeże siano dla konia i do wyścielenia rowu pod swoim posłaniem, następnie rzuciła stare siano z półki skalnej. Przebiła się przez warstwę lodu pokrywającą stertę śniegu leżącą przed wejściem do jaskini,

ponownie ciesząc się, że ją tam ułożyła. Zauważyła, że niewiele już go zostało, i zastanawiała się, na jak długo jeszcze jej wystarczy śniegu, zanim znowu będzie musiała schodzić po wodę na dół. Rozmawiała sama z sobą o tym, czy przynieść do środka dość śniegu, aby się umyć, a potem pomyślała, że może nie mieć ponownej okazji aż do wiosny, i przyniosła tak dużo, aby umyć również swoje włosy.

Śnieg topniał w misach ustawionych w pobliżu ognia, a ona w tym czasie przygotowywała i gotowała posiłek. Gdy pracowała, jej myśli powędrowały z powrotem ku sposobowi splatania włókien, który ją tak bardzo pochłaniał. Gdy zjadła i umyła się, poczęła rozczesywać poplątane wilgotne włosy kawałkiem gałązki. Nagle jej spojrzenie padło na suchą szczecinę, której używała do czesania i rozplątywania skołtunionej sierści konia. Regularne czesanie Whinney podsunęło jej pomysł wykorzystania szczeciny do włókien, a kolejnym naturalnym krokiem było wypróbowanie jej na swoich własnych włosach.

Była bardzo zadowolona z wyniku. Gęste, złociste loki zrobiły się miękkie i gładkie. Przedtem nie zwracała szczególnej uwagi na swe włosy, nie licząc mycia od czasu do czasu. Zwykle zagarniała je za uszy, pozostawiając na środku przypadkowo ułożone. Iza często mówiła, że są jej prawdziwą ozdobą. Przypomniła sobie, gdy zaczesła je do przodu, aby przyjrzeć się im w blasku ognia. Kolor mają raczej miły, pomyślała, ale jeszcze bardziej nęcące są te długie, gładkie pasma. Nim się spostrzegła, splotła część z nich w długi warkocz.

Koniec związała kawałkiem ścięgna, a potem zaczęła splatać następną część. – Jak dziwne musiałyby się wydać komuś splatanie sznurów z własnych włosów, przemknęło jej przez myśl, ale nie zwracała sobie tym długo głowy. Nie minęło wiele

czasu, gdy całą głowę pokrywało wiele długich warkoczy. Kołysała głową śmiejąc się z tej nowości. Podobały jej się warkocze, ale nie mogła zagarnąć ich za uszy, aby nie zachodziły jej na twarz. Po pewnych próbach, odkryła sposób na zwinięcie i związanie ich z tyłu głowy, ale ponieważ spodobało jej się ich swobodne kołysanie, pozostawiła je z tyłu i na bokach nie związane.

Z początku bawiło ją jedynie to nowe uczesanie, ale wkrótce przekonała się również do wygody noszenia zaplecionych włosów. Pozostawały na swoim miejscu; nie musiała ciągle odgarniać spadających na oczy kosmyków. Czy mogło mieć jakieś znaczenie to, że ktoś mógłby uznać ją za dziwaczkę? Mogła sobie splatać włosy, jeśli miała na to ochotę – była sama i wystarczyło, że podobała się samej sobie.

Wkrótce zużyła cały zapas śniegu zgromadzonego na półce, ale nie było już potrzeby rąbania lodu. Wystarczająco dużo śniegu zgromadziło się w zaspach. Gdy pierwszy raz po niego zeszła, zauważyła, że śnieg poniżej jej jaskini był pokryty sadzą i popiołem z ogniska. Poszła więc dalej w górę strumienia po zamrożonej wodzie, aby znaleźć czystsze miejsce do nabrania śniegu. Weszła do wąskiego wąwozu, a ciekawość kazała jej iść dalej.

Nigdy nie płynęła aż tak daleko w górę rzeki. Prąd był silny i nie widziała takiej potrzeby. Ale chodzenie nie wymagało wiele wysiłku, trzeba było tylko uważać, jak stawiać stopy. Wzdłuż wąwozu, tam, gdzie gwałtownie obniżająca się temperatura uwięziła krople wilgoci lub ciśnienie lodu wypiętrzyło krawędzie, lodowe fantazje wyczarowały cudowną krainę marzeń. Ayla się uśmiechnęła z zadowoleniem na widok fantastycznych lodowych tworów, ale nie była przygotowana na

widok, który czekał na nią dalej. Wędrowała już jakiś czas i myślała nawet o tym, aby zawrócić.

Na dnie ocienionego wąwozu było zimno, potęgowało go jeszcze lodowe dno. Ayla postanowiła iść jedynie do następnego zakrętu rzeki. Gdy jednak tam dotarła, zatrzymała się z pełnym tajemniczego lęku podziwem. Za zakrętem ściany wąwozu schodziły się, tworząc kamienną zaporę, która sięgała aż do znajdującego się wysoko w górze stepu, i zwisały z niej połyskujące lodowe stalaktyty wodospadu. Był zamarznięty na kamień, zimny i biały, niczym wywrócona na lewą stronę grotu.

Masywna lodowa rzeźba zapierała dech w piersi swą wspaniałością. Cała potęga wody utrzymywana uściskiem zimy zdawała się gotowa, aby lada moment na nią runąć. Efekt przyprawiał o zawrót głowy. Ayla stała jak wrośnięta w ziemię, zahipnotyzowana jego wspaniałością. Zadrżała w obliczu uwięzionej potęgi. Nim zawróciła, zdawało jej się, że dostrzegła na końcu długiej lodowej igły błyszczącą kropelkę wody i przebiegł ją zimny dreszcz.

Ayla obudziła się w zimnych podmuchach wiatru, usiadła i przez wejście do jaskini dostrzegła przeciwległą ścianę wąwozu, zasłona od wiatru łopotała o słupek. Po naprawieniu jej stała jeszcze jakiś czas z twarzą wystawioną na wiatr.

– Jest cieplej, Whinney. Wiatr nie jest już tak zimny. Jestem tego pewna.

Koń zastrzygł uszami i spojrzał wyczekująco na kobietę. Ale to była po prostu rozmowa. Nie było gestów lub dźwięków wymagających od młodej klaczy odpowiedzi; nie było gestu, aby się zbliżyła lub odeszła; nie było znaku, że zbliża się pora jedzenia, czesania, poklepywania czy też innej formy pieszczot. Ayla nie ćwiczyła konia świadomie; traktowała Whinney raczej

jak towarzysza i przyjaciela. Ale inteligentne zwierzę zaczęło rozumieć, że pewne gesty i dźwięki są związane z określonymi czynnościami i nauczyło się właściwie reagować na wiele z nich.

Ayla również zaczęła rozumieć język Whinney. Koń nie musiał używać słów; kobieta była przyzwyczajona do odczytywania znaczenia najdrobniejszych zmian wyrazu twarzy czy postawy. Dźwięki zawsze miały wtórne znaczenie w porozumiewaniu się członków klanu. Podczas długiej zimy, która zmusiła Aylę i konia do pozostawania w pobliżu siebie, pomiędzy kobietą a koniem nawiązał się ciepły uczuciowy związek połączony ze wzajemnym zrozumieniem i możliwością komunikowania się. Ayla zwykle wiedziała, kiedy Whinney była szczęśliwa, zadowolona, nerwowa lub zdenerwowana i reagowała na sygnały płynące od konia i mówiące o tym, czego potrzebuje – jedzenia, wody, czułości. Ale to kobieta instynktownie przejęła dominującą rolę; to ona zaczęła dawać celowe wskazówki i znaki, na które koń reagował.

Ayla stała w wejściu do jaskini, sprawdzając skutek swej naprawy i stan skóry. Musiała zrobić nowe otwory wzdłuż górnego brzegu poniżej tych, które się rozerwały, i przewlekła przez nie nowy rzemień, aby na powrót przywiązać zasłonę do poziomej poprzeczki. Nagle poczuła na karku coś mokrego.

– Whinney, nie... – odwróciła się, ale koń był na swoim miejscu. Właśnie wtedy rozbiła się o nią następna kropla. Rozejrzała się wokół, a potem spojrzała w górę, na długi sopel lodu zwisający z otworu na dym. Wilgoć powstała przy gotowaniu i oddychaniu, unoszona była w górę przez ciepło bijące od ogniska, spotykała tam zimne powietrze płynące z otworu i w wyniku tego formował się lodowy sopel. Ale suchy wiatr wywiewał dostateczną ilość wilgoci, aby zapobiegać

tworzeniu się zbyt długiego sopła. Przez większość zimy lodowe frędzle zdobiły jedynie górną krawędź otworu. Ayla ze zdumieniem patrzyła na długi, brudny od sadzy i popiołu sopel.

Z koniuszka oderwała się kropla wody i spadła jej na czoło, nim zdołała pokonać swe zdumienie na tyle, aby się odsunąć. Otarła ją, a z ust wyrwał jej się okrzyk.

– Whinney! Whinney! Wiosna nadchodzi! Lód zaczyna się topić! – Podbiegła do młodej klaczy i zarzuciła jej ramiona na kudłatą szyję, obejmując podskakującego nerwowo konia. – Och, Whinney, wkrótce zakwitną drzewa i pojawi się pierwsza zieleń. Nie ma nic wspanialszego nad pierwszą wiosenną zieleń! Poczekaj, aż spróbujesz wiosennej trawy. Będziesz się nią rozkoszować!

Ayla wybiegła na szeroką półkę, jakby się spodziewała ujrzeć świat pełen zieleni zamiast bieli. Zimny wiatr jednak zagnał ją szybko z powrotem do środka i jej podnieceni spowodowane pierwszymi kroplami z topniejących sopli przerodziło się w rozczarowanie, gdy wiosna cofnęła swą obietnicę i kilka dni później w rzeczonym wąwozie hulała najgorsza tej zimy śnieżycą. Ale pomimo lodowego płaszcza lodowca wiosna deptała już zimie po piętach i ciepły oddech słońca topił zamarznąłą skorupę ziemi. W istocie jednak krople wody, zapowiedź przemiany lodu zgromadzonego w dolinie w wodę – działały potem więcej, niż Ayla potrafiła sobie wyobrazić.

Gwałtowne powodzie zaskakiwały zwierzęta i porywały je z prądem. Wzburzona woda rozrywała całe tusze na części, miażdżyła, roztrzaskiwała, odzierała z mięsa do nagich kości. Czasami nie wchłonięta przez glebę woda omijała wcześniej wyrzeźbione kanały. Woda z topniejącego lodu szukała nowych dróg, podmywała korzenie drzew i krzaków, które przez lata



usiłowały z trudem rosnać w tym nieprzyjaznym środowisku, i porywała je z sobą. Woda unosiła kamienie i skały, a nawet potężne bloki i zabierała je z sobą.

W górze nurtu – wznoszące się blisko siebie – ściany rzeczno-gawożu ścisnęły wzburzone wody, które spływały strumieniami z wysokiego wodospadu. Ta przeszkoda wzmagała nurt i podnosiła poziom wody w rzece. Lisy opuściły swą norę pod zeszłoroczną stertą na długo przedtem, nim kamienista plaża poniżej jaskini została zalana.

Ayla nie mogła usiedzieć w jaskini. Ze skalnej półki obserwowała, jak z dnia na dzień wirująca, wzburzona, spieniona rzeka podnosiła swój poziom. Wzbierając gwałtownie w wąskim wąwozie – widziała nawet, jak uwolnił się sam wodospad – uderzała w wysuniętą skałę, wyrzucając część swego ładunku u jej podnóża. W końcu dziewczyna zrozumiała, skąd wzięła się ta, tak użyteczna, sterta kości, drewna i kamieni. Zaczęła również doceniać fakt, iż znalazła jaskinię tak wysoko położoną.

Czuła jak półka drżała, gdy o skałę uderzał duży głaz lub drzewo. Napawało ją to lękiem i sprawiło, iż zaczęła patrzeć na życie z fatalistycznego punktu widzenia. Jeżeli pisane jej było umrzeć, to umrze; została wyklęta, powinna i tak nie żyć. Musiały istnieć siły potężniejsze od niej, które kontrolowały jej przeznaczenie, i jeżeli ściana miała się poddać, właśnie wtedy gdy ona się znajdowała na jej szczycie, to nie mogła nic zrobić, aby temu zapobiec. Nierozumna gwałtowność natury fascynowała ją.

Każdego dnia poznawała jej nowy aspekt. Jedno z wysokich drzew rosnących w pobliżu przeciwległej ściany poddało się powodzi. Przewróciło się na półkę, ale wkrótce zostało zmyte

przez wartki nurt. Obserwowała, jak uderzyło na zakręcie niesione przez prąd, a potem wypłynęło na długie wąskie jezioro powstałe na dolnej łące. Roślinność, która kiedyś porastała brzegi spokojnej wody, została zalana lub całkowicie zatopiona. Konary drzew i płatanina krzewów, które zostały uwięzione pod wzburzonymi wodami, złapały i zatrzymały powalonego olbrzyma. Ale ten opór był bezowocny. Drzewo zostało wyrwane z ich objęć lub też ich korzenie puściły.

Wiedziała, którego dnia zima w końcu zwolniła swój uścisk na zamrożonym wodospadzie. Huk niosący się echem w dół wąwozu obwieścił spłynięcie do nurtu oderwanych przez wodę kawałów lodu, które podskakiwały i wirowały. Niesiona wodą kra napierała na ścianę, a potem wywracała się, tracąc swój kształt i ostrość krawędzi.

Gdy wreszcie wody opadły na tyle, żeby Ayla mogła zejść znowu stromą ścieżką na brzeg rzeki, stwierdziła, że znajoma plaża miała zupełnie inny wygląd. Zabłocona sterta u podnóża ściany powiększyła się, a wśród kości i wyrzuconego przez wodę drewna znajdowały się teraz ciała padłych zwierząt i powalone drzewa. Kształt skalistego kawałka lądu zmienił się, a znajome drzewa zostały spłukane przez wodę. Ale nie wszystkie z nich. W zwykłe suchym gruncie korzenie roślin wędrowały głęboko w ziemię, szczególnie tych, które rosły z dala od brzegu strumienia. Krzewy i drzewa przywykły do corocznego zalewania i większość z tych, które przetrwały już kilka zim, rosła nadal solidnie okopana na swoich pozycjach. Gdy na malinach zaczęły się pojawiać pierwsze zielone pączki, Ayla zaczęła się cieszyć na myśl o dojrzałych czerwonych owocach, ale tym samym pojawił się nagle nowy problem.

Nie było sensu myśleć o malinach, które nie dojrzeją przed

nastaniem lata. Przecież skoro ma dalej prowadzić swe poszukiwania Innych, to nie będzie jej już wtedy w dolinie. Pierwsze promienie wiosny przyniosły z sobą potrzebę podjęcia decyzji: kiedy opuścić dolinę. Było to jednak o wiele trudniejsze zadanie, niż mogła sobie wyobrazić.

Ayla siedziała na odległym końcu skalnego tarasu w swym ulubionym miejscu. Od strony wychodzącej na łąkę było płaskie miejsce do siedzenia, a w dogodnej odległości poniżej znajdowało się następne, na którym można było wygodnie oprzeć nogi. Nie widziała stąd zakrętu rzeki ani kamienistej plaży, ale miała wspaniały widok na dolinę, a kiedy odwróciła głowę, mogła zajrzeć w wąwóz znajdujący się w górze rzeki. Przyglądała się Whinney pasącej się na łące i w pewnej chwili spostrzegła, że ta zawróciła. Klacz zniknęła z jej widoku, gdy okrążyła sterczący nos ściany, ale Ayla słyszała, jak wchodziła ścieżką na górę, i czekała na jej pojawienie się.

Kobieta uśmiechnęła się na widok dużego łba stepowego konia, z jego dużymi ciemnymi oczyma i sztywną brązową grzywą. W miarę jak klacz wchodziła na górę, wzrok Ayli przesunął się po jej kosmatej, liniejącej, bułanej sierści i ciemnobrązowym pasie biegnącym przez cały grzbiet, a kończącym się na długim ciemnym ogonie. Nad kopytami przednich nóg sierść była również zabarwiona na ciemny brąz, a powyżej znajdowały się nikiłe prążki. Młody koń spojrzał na kobietę, potem zarżał cicho, czekając, czy Ayla czegoś od niego nie chce, a następnie ruszył do jaskini. Choć nie był jeszcze w pełni prawidłowo umaszczonej, to jednak osiągnął już wzrost dorosłego konia.

Ayla ponownie skierowała wzrok na dolinę i wróciła do myśli, które dręczyły ją od wielu dni, nie dając w nocy zasnąć. – Nie

mogę teraz odejść – muszę najpierw zapolować i, być może, poczekać, aż dojrzeją maliny. A co zrobię z Whinney? – To stanowiło sedno całego problemu. Nie chciała żyć sama, ale nie wiedziała nic więcej o ludziach, których klan nazywała Innymi, poza tym, że była jedną z nich. – A co będzie, jeżeli spotkam ludzi, którzy nie pozwolą mi jej zatrzymać? Brun nigdy nie pozwoliłby mi na trzymanie dorosłego konia, szczególnie tak młodego o soczystym i miękkim mięsie. A co będzie, jeżeli będą chcieli ją zabić? Ona by nawet nie uciekła, po prostu stałaby i pozwoliłaby im to uczynić. Czy posłuchaliby mnie, gdybym powiedziała, aby tego nie robili? Broud by ją zabił bez względu na to, co bym mówiła. A co będzie jeżeli mężczyźni Innych są tacy jak Broud? Albo jeszcze gorsi? Przecież to oni bez żadnej przyczyny zabili dziecko Ody.

Kiedyś będę musiała sobie kogoś znaleźć, ale mogę tu zostać trochę dłużej. Przynajmniej dopóki nie zapoluję i dopóki nie urosną korzonki. Tak właśnie zrobię. Zostanę tu, dopóki korzenie nie będą wystarczająco duże, aby je wykopać.

Poczuła ulgę, gdy podjęła decyzję o opóźnieniu swego odejścia, i ponownie nabrała ochoty do pracy. Podniosła się i przeszła na drugi kraniec półki. Z nowej sterty u podstawy ściany unosił się odór gnijącego mięsa. Ayla zauważyła poniżej jakiś ruch i dostrzegła hienę, odgryzającą swymi mocnymi szczękami przednią nogę czegoś, co pewnie było kiedyś jeleniem. Żadne inne zwierzę, ani drapieżnik, ani padlinożerca, nie miał szczęk ani przedniej części ciała obdarzonych taką siłą. Z tej przyczyny jednak hieny miały niezgrabną, nieproporcjonalną budowę.

Nie mogła się powstrzymać, gdy po raz pierwszy dostrzegła jedną z nich, z opuszczonym tyłem grzbietu i lekko pałakowatymi nogami, wężącą w stercie. Ale gdy dostrzegła, jak

hiena wyciągała gnijący kawałek padliny, to zostawiła ją w spokoju, wdzięczna za jej usługi. Badała ich obyczaje przy okazji obserwacji innych mięsożernych zwierząt. W odróżnieniu od kotów czy wilków nie potrzebowały one do ataku silnych mięśni tylnych nóg, zapewniających dobre wybiecie przy skoku. One polując atakowały głównie miękkie części podbrzusza i wymiona. Ale ich zwykłym pożywieniem była padlina – w każdej postaci.

Gustowały w zepsutym mięsie. Widywała dawniej, jak plądrowały ludzkie stosy pogrzebowe, wygrzebywały ciała, jeżeli nie zostały dostatecznie starannie pogrzebane; jadły nawet nawóz i pachniały równie paskudnie, jak ich pożywienie. Ich ugryzienia, nawet jeżeli nie były od razu śmiertelne, to często potem powodowały śmierć w wyniku zakażenia; i polowały na dzieci.

Ayla skrzywiła się i wzdrygnęła z niesmakiem. Nie cierpiała ich i musiała opanować chęć zapolowania na jedną z nich swą procą. Jej stosunek do nich wydawał się nierozumny, ale nic nie mogła poradzić na obrzydzenie, jakie czuła do nakrapianych brązowo czyścicieli. W jej mniemaniu nic nie mogło usprawiedliwić ich zachowania. Inni padlinożercy tak jej nie razili, choć pachnieli również paskudnie.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na skalnej półce dostrzegła rosomaka idącego także po swój udział z padłej zwierzyny. Przypominał on szczenię niedźwiedzia z długim ogonem, ale Ayla wiedziała, że z usposobienia bardziej był podobny do łasicy, a ich gruczoły piżmowe wydzielają równie paskudny zapach, jak gruczoły skunksa. Rosomaki były złośliwymi zwierzętami. Potraciły przewrócić do góry nogami całą grotę lub obozowisko bez wyraźnego powodu. Ale były

jednocześnie czupurne, inteligentne, absolutnie nieustraszone. Były drapieżnikami, które nie wahały się zaatakować nawet dużego jelenia, choć potrafiły zadowolić się myszą, ptakiem, żabą, rybą czy jagodami. Ayla widywała, jak odpędzały większe od siebie zwierzęta od ich zdobyczy. Były warte szacunku i miały jedyne w swoim rodzaju, cenne futra.

Obserwowała również parę orłów, która wyfrunęła z gniazda wysoko na drzewie po przeciwnej stronie strumienia i wzbiła się w niebo. Orły rozpostarły szeroko rudawe skrzydła i rozwidlone ogony i poszybowały na kamienistą plażę. Orły żywią się padliną, ale podobnie jak inne drapieżne ptaki, nie gardzą małymi ssakami i gadami. Młoda kobieta nie знаła się zbyt dobrze na padlinożernych ptakach, ale wiedziała, że samice są zwykle większe od samców, i stanowiły wdzięczny obiekt obserwacji.

Ayla mogła również tolerować sępy pomimo ich wstrętnych nagich łbów i równie wstrętnego zapachu. Ich haczykowate dzioby były ostre i mocne, zbudowane tak, aby dzielić i rozrywać padlinę, ale w ich ruchach było coś majestatycznego. Widok sępa wzbijającego się bez wysiłku w górę, a potem szybującego na szeroko rozpostartych wielkich skrzydłach z powietrznymi prądami, by nagle, wypatrzywszy pożywienie, spaść pionowo w dół i pognać do zwierzęcych zwłok z wyciągniętą szyją i na wpół rozłożonymi skrzydłami, był widokiem zapierającym dech w piersiach.

Ku zadowoleniu Ayli padlinożercy w dole, poniżej skalnej półki, mieli swoje ucztowanie, nawet czarne kruki dostały swoją część. Z powodu odoru gnijących w pobliżu jaskini ciał mogła nawet ścierpieć widok hien. Im szybciej to wszystko uprzętną, tym będzie szczęśliwsza. W pewnym jednak momencie miała już dość przyprawiającego o mdłości smrodu. Zapragnęła odetchnąć

powietrzem wolnym od przykrej woni.

– Whinney – zawołała. Na dźwięk swego imienia koń wysunął z jaskini łeb. – Idę na spacer. Chcesz iść ze mną? – Klacz dostrzegła przyzywający znak i podeszła do kobiety, potrząsając niespokojnie łbem.

Zeszły wąską ścieżką, minęły w bezpiecznej odległości kamienistą plażę z jej przykrymi mieszkańcami i obeszyły ostrożnie kamienną ścianę. Koń przestał nerwowo strzyc uszami, gdy Ayla poszła wzdłuż zarośli porastających brzeg małej rzeczki, która znowu płynęła spokojnie swym starym korytem. Zapach śmierci denerwował klacz, a lęk przed hienami miał swe źródło we wcześniejszych przeżyciach. Obie – Ayla i klacz – cieszyły się wolnością, jaką im ofiarował słoneczny wiosenny dzień po zimowym więzieniu w jaskini, choć w powietrzu nadal czuło się chłodną wilgoć. Na łące pachniało również świeżością. Skrzydlaci padlinożercy nie byli jedynymi ucztującymi ptakami, chociaż ich działalność wydawała się ważniejsza.

Ayla zwolniła, aby przyrzeć się parze dużych nakrapianych dzięciołów, samcowi z karmazynowym czubem i samicy z białym, które popisywały się, bębniąc w uschnięty konar, a potem goniły się pośród drzew. Ayla знаła dzięcioły. Wydziobią wspólnie wnętrze starego drzewa i wymoszczą dziuplę wiórami. Ale gdy już wysiedzą brązowo nakrapiane jaja, a młode się wylęgną i wzbiją w powietrze, to para ponownie się rozdzieli. Każde będzie opukiwać drzewa w swym rejonie, tropiąc owady i wypełniając las swym ostrym, zabawnym nawoływaniem.

Inaczej niż skowronki. Jedynie w porze godów to towarzyskie stadko dzieli się na pary, a samce zachowują się w stosunku do swych dawnych przyjaciół jak zadziorne koguty. Jedna z par, przy wtórze wspaniałego śpiewu, wzbija się wysoko w górę.

Śpiewały tak głośno, że ich pieśń było słycać jeszcze długo po tym, jak sami śpiewacy stali się ledwie widocznymi kropkami na niebie. Nagle oba ptaki niczym kamienie spadły w dół, by w następniej chwili poderwać się ponownie z głośnym śpiewem.

Ayla dotarła do miejsca, w którym kiedyś wykopała dół, aby zapolować na klacz; a przynajmniej wydawało, jej się, że to było to miejsce. Nie pozostał bowiem po nim żaden ślad. Wiosenna powódź zmyła wycięte przez nią krzaki i wyrównała zagłębienie. Dziewczyna poszła dalej i zatrzymała się, żeby się napić. Uśmiechnęła się na widok pliszki biegnącej skrajem wody. Przypominała skowronka, ale była smuklejsza, z żółtym podbrzuszem, i starała się trzymać swe ciało poziomo, tak aby nie zamoczyć ogonka, co sprawiało, że kiwała nim w górę i w dół.

Jeszcze inna para ptaków przyciągnęła jej uwagę nad brzegiem strumienia. Te, dla odmiany, nie miały nic przeciwko temu, aby zmoczyć sobie piórka. Pluszcze wodne skakały, umizgując się do siebie. Aylę zawsze ciekawiło, jak one mogły chodzić pod wodą i nie mieć piór nasiąkniętych wodą. Gdy Ayla wróciła na łąkę, Whinney pasła się na nowej zielonej trawce. Kobieta uśmiechnęła się do pary brązowych strzyżyków łajających ją swym cif-cif, kiedy mijała zbyt blisko ich krzak. Gdy przeszła, ptaki poczęły śpiewać głośno i melodyjnie, najpierw pieśń podjął jeden, a potem drugi odpowiadał zmieniając ton.

Ayla się zatrzymała i usiadła na kłodzie, przysłuchując się słodkim pieniom kilku różnych ptaków. Zdziwiła się słysząc, jak gajówka pokrzewka naśladowała cały chór w jednym melodyjnym pieniu. Z zachwytu nad różnorodnością małych stworzeń wciągnęła powietrze i zdumiała się wydanym przy tym gwizdem. Zielona poćwierka zawtórowała jej swym charakterystycznym śpiewem, który brzmiał jak gwizd



wydawany przy wciąganiu powietrza, a naśladowca wszystkich gajówka pokrzewka ponownie to za nią powtórzyła.

Ayla była zachwycona. Zdawało jej się, że stała się częścią ptasiego chóru i spróbowała znowu. Ściągając usta wciągnęła powietrze, ale udało jej się wydać jedynie cichy gwizd. Następny był głośniejszy, lecz nabrała przy tym tak dużo powietrza w płuca, że musiała je gwałtownie wydmuchać, wydając głośny gwizd. Był o wiele bardziej zbliżony do dźwięków wydawanych przez ptaki. Potem wydmuchała powietrze jedynie ustami, nie lepiej powiodło jej się przy kilku następnych próbach. Powróciła więc do gwizdów na wdechu i te udawały jej się lepiej, choć były cichsze.

Próbowała nadal, wciągając i wydmuchując powietrze, czasami zdarzało się jej ostro gwizdnąć. Tak ją to wciągnęło, że nie spostrzegła, iż za każdym razem, gdy udało jej się gwizdnąć, Whinney strzygła uszami podnosząc łeb. Koń nie wiedział, jak odpowiedzieć, ale zaciekawilo go to i postąpił kilka kroków w kierunku kobiety.

Ayla zobaczyła, że klacz zbliża się, nadstawiając pytająco uszy. – Dziwi cię, Whinney, że potrafię wydawać ptasie dźwięki? Mnie też. Nie wiedziałam, że mogę śpiewać jak ptak. No cóż, może niezupełnie jak ptak, ale jeżeli będę ćwiczyła, to myślę, że zacznę mi całkiem nieźle wychodzić. Zobaczmy, czy potrafię to znowu zrobić.

Nabrała powietrza, złożyła usta, skupiła się i zagwizdała głośno. Whinney potrząsnęła głową, zarżała i stanęła dęba. Ayla wstała i przytuliła się do końskiej szyi, zdając sobie nagle sprawę jak bardzo klacz urosła. – Jesteś taka duża, Whinney. Konie rosna tak szybko, jesteś już prawie tak duża, jak dorosła klacz. Ciekawe jak szybko potrafisz teraz biegać? – Ayla klepnęła ją mocno po

zadzie. – No dalej, Whinney, biegnij ze mną – zagestykulowała, ruszając biegiem przez łąkę, jak tylko mogła najszybciej.

Po kilku krokach koń wyprzedził ją i pognął do przodu, przechodząc w galop. Ayla biegła za nim tylko dlatego, że sprawiało jej to przyjemność. Zmuszała się do biegu tak długo jak mogła, a potem zatrzymała się, dysząc i nie mogąc schwycić oddechu. Patrzyła, jak koń galopował przez długą dolinę, a później zatoczył szerokie koło i wrócił krótkim galopem. Chciałabym tak biegać, jak ty, pomyślała. Wtedy mogłybyśmy obie biegać tam, gdzie byśmy chciały. Ciekawa jestem, czy byłabym szczęśliwsza, gdybym była koniem zamiast człowiekiem? Nie byłabym wtedy sama.

Nie jestem sama. Whinney jest dobrą towarzyszką, pomimo że nie jest człowiekiem. Nasze wzajemne towarzystwo to wszystko, co mamy. Czyż nie byłoby jednak cudownie, gdybym mogła biegać tak, jak ona?

Żrebię wróciło spienione. Rozbawiła Aylę tarzając się na trawie, kopiąc nogami w powietrzu i parskając z zadowolenia. Potem klacz się podniosła, otrzepała i wróciła do skubania trawy. Ayla jej się przyglądała, myśląc o tym, jak podniecające byłoby biegać tak, jak koń, a potem ponownie zaczęła ćwiczyć gwizdanie. Następnym razem, gdy udało jej się zagwizdać, Whinney uniosła łeb i znów do niej podbiegła. Ayla przytuliła konia, zadowolona, że przybiegł na gwizd. Jednak myśl o tym, aby pędzić razem z koniem, nie dawała jej spokoju.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Tego rodzaju pomysł nie pojawiłby się, gdyby nie to, że spędziła ze zwierzęciem całą zimę, traktując je jak przyjaciela i towarzysza. I z całą pewnością nie wprowadziłaby w czyn tej myśli, gdyby żyła nadal razem z klanem. Ale Ayla przywykła już

działać pod wpływem impulsu.

Czy miałyby coś przeciwko temu? – pomyślała Ayla. Czy mi na to pozwoli? Podprowadziła klacz do kłody i wspięła się na nią, potem objęła konia za szyję i podciągnęła nogę. Biegnij ze mną, Whinney. Biegnij i zabierz mnie z sobą, pomyślała, po czym usiadła okrakiem na koniu.

Młoda klacz nie była przyzwyczajona do ciężaru na grzbiecie. Położyła uszy po sobie i zatańczyła nerwowo. Ale choć nie była nawykła do samego ciężaru, to jednak kobieta i jej zapach były znajome, a ramiona opasujące jej szyję działały uspokajająco. Whinney omal nie stanęła dęba, próbując zrzucić ciężar, a potem dla odmiany starała się przed nim uciec. Przeszła w galop i pognęła przez łąkę z Aylą uczepioną jej grzbietu.

Jednakże koń dopiero co solidnie się wybiegał, a życie w jaskini nie sprzyjało ruchowi. Ponieważ żywiła się zebraniem w dolinie sianem, nie musiała dotrzymywać kroku koniom w stadzie, ani uciekać przed drapieżnikami. I była nadal zbyt młoda. Nie trwało długo, nim zwolniła i zatrzymała się, dysząc ciężko z opuszczonym łbem.

Kobieta ześliznęła się z końskiego grzbietu.

– Whinney, to było cudowne! – zagestykulowała Ayla z oczami błyszczącymi z podniecenia. Uniosła rękoma zwieszony ciężko pysk i przytuliła policzek do końskiego nosa; potem wzięła łeb klaczy pod pachę w pełnym czułości geście, którego nie czyniła, od kiedy koń wyrósł. To był szczególny rodzaj pieśczości, przeznaczony na specjalne okazje.

Jazda tak ją wzruszyła, że ledwo mogła się opanować. Już sama myśl o galopowaniu na koniu napełniała Aylę cudownym uczuciem. Nigdy nie przypuszczała, że coś podobnego było możliwe. Nikt tego nie przypuszczał.



## . 10 .



Ayla nie mogła się powstrzymać od dosiadaaa konia. Jazda na galopującej z największą szybkością klaczy sprawiała jej niewypowiedzianą przyjemność. Pasjonowało ją to bardziej, niż wszystko co, dotychczas robiła. Whinney również zdawało się to sprawiać przyjemność i szybko przyzwyczała się do noszenia kobiety na swym grzbiecie. Wkrótce dolina zrobiła się zbyt mała, aby pomieścić kobietę i jej galopującego rumaka. Często goniły po stepie rozciągającym się na wschodnim brzegu rzeki, na który łatwo było się dostać.

Ayla wiedziała, że wkrótce będzie musiała zbierać zioła i polować, przerabiać i magazynować żywność dostarczoną przez naturę, aby przygotować się do następnego cyklu pór roku. Ale wczesną wiosną, kiedy ziemia nadal budziła się z długiego zimowego snu, natura nie miała zbyt wiele do zaoferowania. Trochę świeżej zieleniny urozmaiciło suszoną zimową dietę, ale ani korzenie, ani pączki kwiatów jeszcze nie napęczniały. Ayla wykorzystywała okres przymusowego lenistwa, jeżdżąc tak często na koniu jak tylko mogła, przez większość dni od wczesnego ranka do późnego wieczora.

Z początku po prostu jeździła, siedząc biernie i jadąc tam, dokąd chciał koń. Nie myślała o kierowaniu klaczą; sygnały,

które Whinney nauczyła się rozumieć, były wizualne – Ayla nie próbowała komunikować się jedynie za pomocą słów – i nie mogła ich widzieć, jeżeli kobieta siedziała jej na grzbiecie. Ale dla kobiety język ciała był zawsze częścią mowy, tak jak określone gesty, a jazda na koniu pozwalała na bliski kontakt.

Po okresie obolałych z początku swoich mięśni, Ayla zaczęła wyczuwać pracę końskich mięśni i dopasowywała się do ich ruchów, a Whinney potrafiła wyczuwać napięcie i rozluźnienie kobiecych mięśni. Odkryły zdolność wzajemnego wyczuwania swych potrzeb i chęci. Gdy Ayla chciała jechać w określonym kierunku, to bezwiednie pochylała się w tę właśnie stronę, a jej mięśnie oznajmiały to klaczy. Koń zaczął reagować na napięcie i rozluźnienie mięśni kobiety, zmieniając zgodnie z tym kierunek lub prędkość. Zwierzę reagowało na ledwie dostrzegalne ruchy spowodowane pewnym napięciem lub rozluźnieniem mięśni Ayli.

To był okres wspólnych ćwiczeń, jedna uczyła się od drugiej, a ich wzajemna więź się pogłębiała. Jednakże, nie zdając sobie z tego sprawy, Ayla przejmowała kontrolę. Sygnały płynące od kobiety do konia były zbyt subtelne, a przejście od biernego poddawania się ruchom konia do świadomego kierowania nim tak naturalne, że Ayla z początku nie zdawała sobie z tego sprawy. Ustawiczne jeżdżenie stało się dobrą nauką. Z czasem, gdy nauczyły się jeszcze lepiej wyczuwać wzajemne zamiary, reakcje Whinney zaczęły być tak dobrze zestrojone z pragnieniami kobiety, że wystarczyło tylko, aby Ayla pomyślała, dokąd chce jechać i z jaką prędkością, a koń reagował na jej myśli tak, jakby stanowił z nią jedno ciało. Kobieta nie uświadamiała sobie, że przekazywała swemu wierzchowcowi sygnały przez jego bardzo wrażliwą skórę.

Ayla nie trenowała Whinney w planowy sposób. Był on wynikiem miłości i uwagi jaką obdarzała zwierzę, i wrodzonej różnicy pomiędzy koniem a człowiekiem. Whinney była ciekawska i inteligentna, potrafiła się uczyć i miała dobrą pamięć, ale jej mózg nie był tak rozwinięty – i był inaczej zorganizowany – jak mózg ludzki. Konie były zwierzętami towarzyskimi, żyjącymi w stadach. Potrzebowały bliskości i ciepła innego stworzenia. Szczególnie rozwinięty i ważny w nawiązywaniu bliższych kontaktów był u nich zmysł dotyku. Ale instynkt młodej klaczy nakazywał jej słuchać poleceń, iść tam, dokąd ją prowadzono. W panice nawet przywódca stada uciekali z innymi.

Działania kobiety miały cel, były kierowane przez mózg, którego zdolności do przewidywania i analizowania były ustawicznie poszerzane dzięki wiedzy i doświadczeniu. Ciągłe wystawienie na niebezpieczeństwa wyostrzyło zapewniający przetrwanie refleks i zmusiło do stałego zwracania bacznej uwagi na otoczenie, co razem przyspieszyło proces uczenia. Nawet wtedy, gdy jeździła tylko dla przyjemności, widok zająca lub olbrzymiego chomika sprawiał, że sięgała po procę i miała ochotę za nim gonić. Whinney szybko nauczyła się rozumieć pragnienia Ayli, a pierwszy krok w tym kierunku ostatecznie doprowadził do tego, że kobieta przejęła, choć nieświadomie, pełną kontrolę nad koniem. Ale nie zdawała sobie z tego sprawy, aż do chwili, gdy zabiła chomika olbrzymiego.

Była jeszcze wczesna wiosna. Zwierzaka wypłoszyli nieumyślnie. W momencie gdy Ayla spostrzegła, jak umykał, pochyliła się w jego kierunku – sięgała po procę, a Whinney puściła się za nim w pogoń. Zbliżyli się do chomika. Ayla zmieniła pozycję, mając zamiar zeskoczyć z konia, co

spowodowało, że ten zatrzymał się w odpowiednim czasie, aby mogła ześliznąć się na ziemię i wyrzucić kamień.

Miło będzie mieć dziś świeże mięso na obiad, myślała wracając do czekającej klaczy. Powinnam więcej polować, ale tak przyjemnie jeździ się na Whinney...

Przecież ja jechałam na Whinney! To ona goniła za chomikiem. A także zatrzymała się, gdy tego chciałam! – Myśli Ayli pobiegły z powrotem do dnia, w którym pierwszy raz wspięła się na koński grzbiet i objęła szyję młodej klaczy. Whinney schyliła łeb po kępkę soczystej młodej trawy.

– Whinney! – krzyknęła Ayła. Koń podniósł łeb i nastawił wyczekująco uszu. Kobieta była oszołomiona. Nie wiedziała, jak to wyjaśnić. Już sam pomysł jazdy na koniu był wystarczająco oszałamiający, ale to, że koń jechał tam, dokąd chciała, było trudniej zrozumieć, niż nauczyć się tego.

Koń podszedł do niej.

– Och, Whinney – powiedziała znowu i głos nie wiedzieć czemu załamał się jej, ze szlochem przytuliła się do kosmatej szyi. Whinney parsknęła i wygięła szyję tak, aby jej łeb oparł się na ramieniu kobiety.

Ayła się czuła niezgrabnie, gdy przyszło jej dosiąść konia. Chomik zdawał się jej przeszkadzać. Podeszła do głazu narzutowego, choć już od dawna nie korzystała z ich pomocy, zatrzymała się, aby pomyśleć nad tym, jak poprzednio podskakiwała, przerzucała nogę i z łatwością dosiadała konia. Po początkowym zamieszaniu, Whinney ruszyła z powrotem do jaskini. Gdy Ayła świadomie próbowała kierować klaczą, jej nieświadome sygnały traciły swój zdecydowany charakter tak, jak i reakcje Whinney. Nie wiedziała, jak kierowała koniem.

Ayła ponownie nauczyła się polegać na swym refleksie i



stwierdziła, że gdy była odprężona, to Whinney reagowała lepiej, choć z biegiem czasu Ayla wynalazła pewne celowe sygnały. Gdy wiosna rozkwitła w pełni, zaczęła więcej polować. Najpierw zatrzymywała konia i zsiadała, aby się posłużyć procą, ale wkrótce spróbowała strzelać z końskiego grzbietu. To, że z początku nie trafiała do celu, dopingowało ją jedynie do dalszych ćwiczeń, stało się nowym wyzwaniem. Sama nauczyła się posługiwać bronią, ćwicząc z dala od ludzi. Traktowała to jak rodzaj zabawy. Nie miała się do kogo zwrócić po naukę; ona nie powinna polować. Ale gdy po chybionym strzale dopadł ją ryś, opracowała technikę szybkiego rzutu dwoma kamieniami i tak długo ćwiczyła, dopóki tego doskonale nie opanowała.

Wiele czasu upłynęło, od kiedy nie musiała już ćwiczyć z procą i teraz ponownie stało się to rodzajem zabawy, chociaż pomimo całej przyjemności, jaką z tego miała, nie przestawała traktować jej poważnie. Miała już jednak taką wprawę w posługiwaniu się procą, że w niedługim czasie strzelała z końskiego grzbietu równie celnie jak stojąc na własnych nogach. Ale nawet pędząc na koniu tuż za szybkonogim zającem, młoda kobieta nadal nie rozumiała, nie potrafiła sobie wyobrazić, całego szeregu możliwych korzyści i przewagi, jaką zdobyła.

Na początku Ayla zabierała swoją zdobycz do domu w ten sam sposób jak zwykle, w koszu przytroczonym do pleców. Następnym krokiem było układanie ofiary przed sobą, na grzbiecie Whinney. Kolejnym logicznym posunięciem było obmyślenie rodzaju kosza przewieszzonego przez grzbiet klaczy. Trochę więcej czasu upłynęło nim wpadła na to, że można przewiesić dwa kosze, po jednym z każdej strony, uczezione do szerokiego rzemienia. Dzięki drugiemu koszykowi Ayla zaczęła dostrzegać pewne korzyści płynące z wykorzystania siły swego

czworonożnego przyjaciela. Po raz pierwszy mogła przynieść do jaskini bagaż, który był większy od tego, jaki sama mogła udźwignąć.

Kiedy już zrozumiała, co może osiągnąć przy pomocy konia, zmieniła metody swego postępowania. Zmienił się cały sposób jej życia. Dłużej zostawała na dworze, zapuszczała się dalej i wracała, przywożąc za jednym razem więcej produktów, materiału roślinnego czy małych zwierząt. Potem kilka następnych dni spędzała na przetwarzaniu owoców swych wypraw.

Któregoś razu zauważyła, że poziomki zaczęły dojrzewać i przeszukała duży obszar, aby nazbierać ich jak najwięcej. Gdy ruszyła w drogę powrotną, było niemal ciemno. Wzrok miała bystry i potrafiła wypatrzyć w terenie punkty, dzięki którym nie błędziła, ale zanim dotarła do doliny, było zbyt ciemno, aby je zobaczyć. Gdy znalazła się w pobliżu jaskini, zdała się na instynkt Whinney i podczas następnych wypraw często pozwalała, aby koń odszukiwał ich powrotną drogę.

Ale po tym wydarzeniu zabierała z sobą na wszelki wypadek futro do spania. Potem jednego wieczoru postanowiła zostać na noc na otwartym stepie, ponieważ było już późno, i dlatego, że przyszło jej na myśl, iż noc spędzona pod gwiazdami sprawi jej przyjemność. Rozpaliła ognisko, ale nie dla ciepła, gdyż zwinęła się w swym futrze obok Whinney. Jego zadaniem było odstraszenie dzikich mieszkańców nocy. Wszystkie stworzenia stepowe były wyczulone na zapach dymu. Szalone pożary trawy czasami nie gasły przez wiele dni, płosząc – lub piekąc – wszystko na swej drodze.

Po pierwszym razie łatwiej już było spędzić noc lub dwie z dala od jaskini i Ayla zaczęła bardziej intensywnie penetrować

rejony położone na wschód od doliny.

Nie przyznawała się do tego, ale szukała Innych, mając nadzieję i jednocześnie bojąc się, że ich znajdzie. W pewnym sensie był to sposób na odsunięcie momentu podjęcia decyzji o opuszczeniu do liny. Wiedziała, że musiałyby wkrótce zacząć przygotowania do wymarszu jeżeli miała ponownie podjąć swe poszukiwania, ale dolina stała się jej domem. Nie chciała odejść i nadal martwiła się o Whinney. Nie wiedziała, co nieznani Inni mogliby jej zrobić. Jeżeli w odległości jazdy na koniu od jej doliny żyli jacyś ludzie, to – być może – mogłaby ich najpierw poobserwować i dowiedzieć się czegoś o nich, nim dałaby im znać o swej obecności.

Inni byli ludźmi, do których należała, ale nie pamiętała nic ze swego życia przed zamieszkaniem razem z klanem. Wiedziała, że znaleziono ją nieprzytomną nad brzegiem rzeki, na w pół zagłodzoną i rozpaloną gorączką z powodu zakażenia ran zadanych przez lwa jaskiniowego. Była bliska śmierci, gdy Iza podniosła ją i zabrała z sobą na poszukiwanie nowej jaskini. Ale gdy kiedykolwiek próbowała przypomnieć sobie coś ze swego wcześniejszego życia, to ogarniał ją przyprawiający o nudności strach pomieszany z niespokojnym uczuciem ziemi drżącej pod nogami.

Trzęsienie ziemi, które rzuciło pięcioletnią dziewczynkę samą na pustkowiu, wywarło zbyt niszczący wpływ na jej młody umysł. Straciła wszystkie wspomnienia o trzęsieniu ziemi i ludziach, wśród których się urodziła. Byli dla niej tym samym, czym dla reszty klanu: Innymi.

Podobnie jak niezdecydowana wiosna, która na przemian raczyła świat lodowatymi i ciepłymi deszczami, tak i Ayla skłaniała się to w jedną, to w drugą stronę. W ciągu dnia nie było

jeszcze tak źle. Dorastając, często spędzała dni na wędrówkach po okolicy w pobliżu jaskini, zbierała zioła dla Izy lub polowała i przyzwyczajała się do samotności. Zatem rankami i popołudniami, gdy była zajęta, nie pragnęła niczego więcej, jak tylko zostać w swej osłoniętej dolinie razem z Whinney. Ale nocą, w swej małej jaskini, gdzie jedynymi towarzyszami byli ogień i koń, tęskniła za innymi ludźmi mogącymi ulżyć jej samotności. O wiele trudniej było znieść samotność ciepłą wiosną niż w czasie długiej, mroźnej zimy. Jej myśli błądziły w stronę klanu i ludzi, których kochała, i nachodziło ją bolesne pragnienie, by wziąć w ramiona swego syna. Każdej nocy postanawiała, że zacznie przygotowania do wymarszu następnego dnia i każdego ranka odkładała to na potem, a zamiast tego jeździła z Whinney na wschodnie równiny.

Dokładne zbadanie dało jej pojęcie nie tylko o terenie, ale również o zwierzętach zamieszkujących te rozległe stepy. Stada kopytnych rozpoczynały swoje wędrówki, i to ponownie skłoniło ją do myślenia o zapolowaniu na duże zwierzęta. Wkrótce ten pomysł tak opanował większość jej umysłu, że wyparł z niego nawet troskę o jej samotną egzystencję.

Widziała konie, ale żaden z nich nie powrócił do doliny. Nie miało to jednak znaczenia. Nie miała zamiaru polować na konie. To musiały być jakieś inne zwierzęta. Zaczęła zabierać z sobą na przejażdżki dzidy, choć nie wiedziała, jak mogłaby ich użyć. Długie drzewca były nieporęczne, dopóki nie wymyśliła na nie bezpiecznych uchwytów, po jednym w każdym z koszy umocowanych na bokach konia.

Jednakże pomysł z polowaniem nie nabrał wyraźniejszych kształtów, dopóki nie zauważyła stada samic renifera. Gdy była dziewczynką, i potajemnie uczyła się polować, często znajdowała

sobie wymówkę, aby pracować w pobliżu mężczyzn, gdy ci omawiali polowanie – ich ulubiony temat do rozmów. W tym czasie najbardziej ją interesowały tematy związane z polowaniem procą – jej bronią – ale ich dyskusje zajmowały ją równie mocno bez względu na to, jakiego rodzaju polowania dotyczyły. Na pierwszy rzut oka zdawało się jej, że stado reniferów o małych rogach składało się jedynie z samic. Potem zauważyła cieleta i przypomniała sobie, że wśród różnorodnych jeleni tylko samice reniferów miały rogi. To wspomnienie przywiodło jej na myśl całą gamę innych w tym smak reniferowego mięsa.

Co ważniejsze, przypomniała sobie, jak mężczyźni mówili, że gdy renifery przemieszczają się wiosną na północ, to wędrują tą samą drogą, tak jakby szły wiadomą sobie tylko ścieżką i że wędrują w oddzielnych grupach. Najpierw samice i młode, a za nimi stado młodych samców. Później stare kozły maszerowały szeregiem w małych grupkach.

Ayla jechała wolno za stadem rogatych samic i ich młodych. Chmary letnich komarów i much, które lubiły się gnieździć w futrze reniferów, szczególnie w okolicy oczu i uszu, skłaniały renifery do szukania chłodniejszego klimatu, w którym insekty nie występowały tak obficie. Ayla odruchowo odgoniła kilka brzęczących wokół głowy owadów. Gdy wyruszała, poranna mgła nadal zalegała niżej położone zagłębienia i pochyłości terenu. Wschodzące słońce sprawiało, że mgła unosiła się z głębokich dolin, zapewniając stopom wilgoć. Reny były przyzwyczajone do innych kopytnych, ignorowały więc Whinney i jej ludzkiego pasażera, dopóki pozostawali w oddaleniu.

Ayla obserwując je, myślała o polowaniu. Jeżeli kozły podążają za samicami, to powinny wkrótce tędy przechodzić. Może

mogłabym zapolować na młodego samca; będę przecież wiedziała, jaką obiorą ścieżkę. Ale to, że znam ścieżkę, nie pomoże, jeżeli nie będę mogła podejść na tyle blisko, aby użyć swych dzid. Może powinnam znowu wykopać dół. One jednak mogą go po prostu obejść. Nie ma tu też wystarczającej ilości krzaków, żeby zbudować płot, przez który nie mogłyby przeskoczyć. Może gdybym zmusiła je do biegu, to jeden z nich by wpadł.

A jeżeli nawet to by się powiodło, jak bym go wyciągnęła? Nie mam ochoty znowu ćwiartować zwierzęcia na dnie błotnistego dołu. Musiałabym również wysuszyć tu mięso, inaczej nie dałabym rady zabrać go do jaskini.

Kobieta i koń podążali za stadem cały dzień, zatrzymując się od czasu do czasu na posiłek i odpoczynek, dopóki chmury na ciemniejącym błękitnie nieba nie zaczęły różowieć. Ayla zapuściła się dalej na północ niż kiedykolwiek przedtem i była na nieznany teren. W oddali widziała linię roślinności i w słabnącym świetle, gdy niebo zabarwiło się na czerwono, dostrzegła kolorowy refleks poniżej kępy gęstych zarośli. Renifery ustawiły się w rzędzie, aby przejść między krzakami i dotrzeć do wody płynącej szerokim korytem. Zanim przeszły na drugą stronę, wędrowały po przybrzeżnej płyciźnie, gasząc pragnienie.

Szary zmierzch pozbawił ziemię barwy świeżej zieloności, gdy tymczasem niebo płonęło, jakby skradzione przez noc kolory powróciły w jeszcze jaskrawszych odcieniach. Ayla się zastanawiała, czy to ta sama rzeka, którą przekraczali już przedtem. W odróżnieniu od strumyków, rzeczulek i potoków tę samą rzekę często się przebywało kilka razy, gdy meandrami płynęła przez trawiaste równy, zawracając łukami i rozpadając

się na strugi. Jeżeli Ayla się nie myliła w swych rachubach, to z drugiego brzegu rzeki mogła dotrzeć do swej doliny bez przekraczania innych większych cieków wodnych.

Renifery, skubiące porosty, zdawały się sadowić na noc na drugim brzegu. Ayla postanowiła uczynić to samo. Droga powrotna była długa i kobieta z koniem musiałyby w tym samym miejscu przekroczyć rzekę. Nie miała ochoty narażać się na przemoczenie i chłód, mając noc za pasem. Zsunęła się z konia, zdjęła kosze i puściła Whinney wolno, a sama zabrała się do rozbijania obozu. Wkrótce suche krzaki i naniesione wodą drewno płonęły dzięki pomocy krzesiwa. Po posiłku składającym się z orzeszków ziemnych, pełnych skrobi, zawiniętych do pieczenia w liście, i pieczonego chomika, nadzianego różnorodną zieleniną, rozbiła swój niski namiot. Ayla przywołała gwizdem konia, chcąc, aby był w pobliżu, a potem wsunęła się w futra do spania, wystawiając głowę na zewnątrz namiotu.

Chmury znowu przesłoniły horyzont. Gwiazdy świeciły tak gęsto, że wydawało się, iż jakieś niesamowicie jasne światło próbowało się przebić przez popękaną i dziurawą zaporę nocnego nieba. Creb mówił, że to ognie na niebie, rozmyślała, ogniska świata duchów, a także ogniska duchów totemów. Przeszukiwała wzrokiem niebo, dopóki nie natrafiła na wzór, którego szukała. Tam jest dom Ursusa, a tam mój totem, Lew Jaskiniowy. To dziwne, jak one potrafią wędrować po niebie, nie zmieniając swego wzoru. Ciekawa jestem, czy chodzą na polowanie, a potem wracają do swych jaskiń.

Muszę upolować renifera. I lepiej, abym się zajęła tym co prędzej; kozły wkrótce nadejdą. To znaczy, że powinny tu również przekraczać rzekę. Whinney wyczuła zapach czworonożnego drapieżnika, parsknęła i przysunęła się bliżej

ognia i kobiety.

– Czy tam coś jest, Whinney? – zapytała Ayla, posługując się gestami i głosem, słowami nie bardzo podobnymi do tych, jakich kiedykolwiek używano w klanie. Potraciła cicho zarzęć, tak że nie można było tego odróżnić od rżenia Whinney. Potrafiła ujadać jak lis, wyć jak wilk i szybko uczyła się gwizdać jak ptak. Wiele z dźwięków włączyła do swego własnego języka. Nie myślała już więcej o zakazach klanu dotyczących wydawania niepotrzebnych dźwięków. Jej zdolności do używania głosu upomniały się o swoje prawa.

Koń chodził nerwowo między ogniem a Aylą, szukając ochrony u obojga.

– Przesuń się, Whinney. Przesłaniasz mi ciepło.

Ayla wstała i dołożyła następne polano do ognia. Objęła szyję zwierzęcia, wyczuwając jego nerwowość. – Nie będę się kładła i dopilnuję ognia, pomyślała. – Cokolwiek by tam było, to będzie bardziej zainteresowane tymi renami niż tobą, mój przyjacielu, o ile będziesz się trzymał blisko ognia. Ale może dobrym pomysłem byłoby rozpaścić na jakiś czas duże ognisko.

Kucnęła, wpatrując się w płomienie i obserwując iskry wzbijające się w górę i niknące w ciemności za każdym razem, gdy dokładała następne polano. Odgłosy zza rzeki oznajmiały, kiedy jeden lub dwa reny padły czyimiś ofiarami, prawdopodobnie jakiegoś kota. Jej myśli zwróciły się ku upolowaniu renifera. W pewnej chwili odsunęła na bok konia, żeby wziąć więcej drewna, i nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Potem, gdy Whinney już się bardziej uspokoiła, Ayla wróciła na swoje posłanie i pogrążyła się w myślach, a w miarę jak pomysł dojrzywał i rozwijał się, dostrzegała coraz to inne podniecające możliwości. Nim zasnęła, opracowała główne założenia planu,



wykorzystując tak niewiarygodny pomysł, że uśmiechnęła się do siebie na myśl o jego zuchwałości.

Gdy rankiem przekroczyła rzekę, stado reniferów, pomniejszone o jednego lub dwa, odeszło, ale ona nie miała już zamiaru dalej ich śledzić. Pognała Whinney galopem z powrotem do doliny. Musiała poczynić sporo przygotowań, jeżeli miała być gotowa na czas.

– No właśnie, Whinney. Widzisz, nie jest taka ciężka – pocieszała Ayla. Cierpliwie prowadziła konia ciągnącego ciężką kłodę uczepioną do uprzęży ze skórzanych pasków i powrozów. Z początku Ayla nałożyła Whinney rzemień na łeb w podobny sposób, w jaki sama czasami nosiła ciężki bagaż. Ale szybko zorientowała się, że koń musi mieć swobodę w poruszaniu łbem i lepiej ciągnie piersią i barkami. Jednak młody stepowy koń nie był przyzwyczajony do ciągnięcia ciężarów i uprząż krępowała jego ruchy. Ale Ayla była nieustępliwa. To był jedyny sposób na zrealizowanie jej planu.

Na ten pomysł wpadła właśnie wtedy, gdy dokładała do ognia, aby odpędzić drapieżniki. Odsunęła Whinney na bok, żeby wziąć więcej drewna, myśląc przy tym z czułością o wyrośniętym w pełni koniu, który przy całej swej sile przyszedł do niej po opiekę. Przemknęło jej przez myśl, że chciałaby być równie silna, i w następnej sekundzie znalazła rozwiązanie problemu, nad którym się w myślach biedziła. Może koń mógłby wyciągnąć z dołu pułapki renifera.

Potem pomyślała o przerobieniu mięsa i nowy pomysł przyszedł jej do głowy. Jeżeli poćwiartuje zwierzę na stepie, to zapach krwi przyciągnie nieproszonych i nieznanych padlinożerców. Być może, atak na renifery, który słyszała, nie był dziełem lwa jaskiniowego, ale z pewnością był to jakiś kot.

Tygrysy, pantery, leopardy mogły osiągać jedynie połowę wielkości lwów jaskiniowych, ale jej proca i tak nie stanowiła przed nimi obrony. Mogła zabić rysia, ale duże koty – to już była inna sprawa, szczególnie na otwartym terenie. W pobliżu jaskini, mając za sobą ścianę, mogła się przed nimi opędzić. Wyrzucony z całą siłą kamień mógł nie razić śmiertelnie, ale powinien być dostatecznie bolesny. Jeżeli Whinney mogłaby wyciągnąć renifera z dołu, to dlaczego nie miałyby zaciągnąć go z powrotem do doliny?

Ale najpierw musiała uczynić z Whinney konia pociągowego. Ayli zdawało się, że musi znaleźć jedynie sposób na zaczepienie lin lub rzemieni biegnących od zabitego rena do konia. Nie przyszło jej na myśl, że młoda klacz mogłaby podejść niechętnie do tego pomysłu. Nauka jazdy była tak nieświadomym procesem, że Ayła nie wiedziała, iż musi Whinney ćwiczyć w ciągnięciu ładunku. Stało się to dla niej jasne podczas dopasowywania uprzęży. Po kilku następnych próbach, włączając w to całkowitą zmianę pomysłu i po kilku poprawkach, Ayła zauważyła, że koń zaczął akceptować nowy pomysł, i uznała, że jej plan może się powieść.

Gdy młoda kobieta obserwowała klacz ciągnącą kłodę, pomyślała o klanie i potrząsnęła głową. – Oni uznaliby mnie za dziwną już poprzez sam fakt, że przebywam z koniem; ciekawa jestem, co pomyśleliby teraz? Spontanicznie przytuliła się do konia, przyciskając swe czoło do jego szyi.

– Jesteś mi tak pomocna. Nigdy nie pomyślałam, że może wyrosnąć z ciebie taka pomocnica. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Whinney. A jeżeli Inni są tacy, jak Broud? Nie mogę pozwolić, aby cię ktokolwiek skrzywdził. Tak bym chciała wiedzieć, co dalej począć.

Gdy tuliła konia, do oczu napłynęły jej łzy; otarła je i odczepiła uprząż.

– Teraz wiem, co robić. Muszę wypatrywać nadejścia stada młodych kozłów.

Młode kozły reniferów pojawiły się w kilka dni po samicach. Przemieszczały się leniwym krokiem. Kiedy już je wypatrzyła, to nie miała trudności z obserwowaniem ich ruchów i upewnieniem się, że podążają tym samym szlakiem, zdążyła również zebrać swój ekwipunek i pogalopować przed nich. Rozbiła obóz nad rzeką poniżej brodu reniferów. Potem zabrała kij do zruszania ziemi, zaostrzoną kość biodrową do wybierania i wyrzucania ziemi i skórę z namiotu, którą miała wynosić urobek, i udała się do brodu, którym przechodziło stado samic.

Przez krzaki przebiegały dwa główne szlaki i dwie pomocnicze ścieżki. Na swą pułapkę wybrała jeden z głównych szlaków biegnący wystarczająco blisko rzeki, aby renifery szły nim pojedynczo, ale dostatecznie daleko, aby mogła wykopać głęboki dół, tak żeby się nie wydobywała z niego woda. Późno popołudniowe słońce dotykało już horyzontu, gdy skończyła kopanie. Zagwizdała na konia i pojechała zobaczyć, jak daleko posunęło się stado, i oszacowała, że dotrą do rzeki następnego dnia.

Ściemniało się już, kiedy wróciła nad rzekę, ale duży dół rzucał się w oczy. Żaden z tych renów nie wpadłby do takiego dołu. Zobaczyłyby go i obeszły, pomyślała, czując zniechęcenie. – No cóż, za późno już żeby cokolwiek robić dziś wieczór. Może rano coś wymyślę.

Ale rano nie przyniósł poprawy nastroju ani wspaniałych pomysłów. O świcie, w ponurym rozproszonym świetle, obudziło ją plaśnięcie wody o twarz. Nie rozpięła poprzedniego wieczoru

starej skóry jako namiotu, ponieważ niebo było czyste, gdy kładła się spać, a skóra była mokra i zabłocona. Rozłożyła ją w pobliżu, aby wyschła, ale teraz skóra mokła tak, jak i ona. Kropla na jej twarzy była jedynie pierwszą z wielu. Okręciła się skórą do spania i po przeszukaniu koszy stwierdziła, że zapomniała swego kaptura z rosomaka. Naciągnęła skórę na głowę i skuliła się nad czarnymi, mokrymi pozostałościami po ognisku.

Niebo nad wschodnimi równinami przecięła jasna błyskawica – morze światłości, które oświetliło ziemię aż po horyzont. Po chwili zabrzmiał w oddali ostrzegawczo grzmot. Chmury jakby czekały tylko na ten sygnał i chlusnęły nowym potopem. Ayla podniosła mokrą skórę namiotu i okręciła się nią.

W dziennym świetle, które wypłaszało cienie z zagłębień, krajobraz nabierał stopniowo wyraźniejszych kształtów. Szara bladeść wypełniła monotonią rozkwitające stepy, tak jakby spływające z chmur strugi deszczu zmyły wszystkie kolory. Nawet niebo miało nieokreślony odcień, nie było ani niebieskie, ani szare, ani białe.

Woda zaczęła się zbierać w kałuże, gdy cienka warstwa przepuszczalnej gleby powyżej wiecznej zmarzliny nasiąknęła wodą. Zamarznięta ziemia pod powierzchnią gleby była nadal tak twarda, jak lodowata ściana na północy. W miarę jak się ocieplało, ziemia topniała coraz głębiej, poziom zmarzliny przesuwał się w dół, ale wieczna zmarzlina była nieprzepuszczalna. Nie było drenażu. W pewnych warunkach nasiąknięta wodą gleba zamieniała się w trzęsawiska, które znane były z tego, że potrafiły pochłonąć nawet dorosłego mamuta. A jeżeli coś takiego się wydarzyło dostatecznie blisko języka lodowca, który się przesuwał w nieprzewidziany sposób, to nagle zamarznięcie mogło zachować mamuta przez całe

tysiąclecia.

Z ołowianego nieba spływały wielkie krople do czarnej kałuży tam, gdzie wczoraj było ognisko. Ayla przyglądała się, jak krople wybijały małe kratery, a potem rozchodziły się kołami po powierzchni, i żałowała, że nie jest w swojej przytulnej suchej jaskini w dolinie. Przenikające do szpiku kości zimno przesiąkało przez jej grube skórzane okrycia na nogi, pomimo tłuszczu, którym je wysmarowała, i trawy, którą je wyłożyła. Podeszłe wodą grzęzawisko ostudziło jej zapal do polowania.

Przesunęła się na pagórek, gdy z przepelnionych kałuż woda zaczęła spływać strumyczkami do rzeki, niosąc z sobą gałązki, patyki, trawę i zeszłoroczne liście. – A może by tak wrócić, pomyślała, dźwigając swe kosze. Zajrzała pod przykrywki; deszcz spływał po plecionych wierzbowych witkach i zawartość koszy była sucha. – To bez sensu. Powinnam je załadować na Whinney i ruszać. Nigdy nie zdobędę renifera. Żaden z nich nie skoczy do tego dołu tylko dlatego, że ja tego chcę. Może potem udałoby mi się złapać któregoś ze starych kozłów. Ale ich mięso jest twarde, a skóry całe w bliznach.

Ayla westchnęła i naciągnęła na siebie futrzane okrycie i skórę ze starego namiotu. – Planowałam i pracowałam nad tym tak długo, nie mogę pozwolić, aby powstrzymał mnie byle deszczyk. Może nie upoluję rena; nie pierwszy raz myśliwy wróciłby z pustymi rękoma. Jedno jest jednak pewne – nigdy żadnego nie upoluję, jeżeli nie będę próbowała.

Gdy spływająca do rzeki woda podmyła pagórek, na którym stała, przeniosła się na bardziej kamieniste podłoże, przez zmrużone oczy usiłując dojrzeć, czy nie robiło się grząskie. Na otwartym stepie nie było schronienia, nie było dużych drzew lub skalnych nawisów. Tak jak jej ociekający wodą koń, Ayla stała

pośród ulewy cierpliwie czekając, aż przestanie padać. Miała nadzieję, że renifery również czekały. Nie była gotowa na ich przyjęcie. Późnym przedpołudniem jej zdecydowanie znowu osłabło, ale nie czuła się już tak podle, jak rano.

Okolo południa, z typową dla wiosny nieobliczalnością, chmury się rozstały, przegnał je rześki wiatr. Zanim nastalo popołudnie, nie bylo na niebie śladu chmur, a jaskrawe wiosenne kolory rozblęsyły w całej swej młodzieńczej krasie w promieniach słońca. Ziemia parowała, zwracając wilgoć atmosferze. Suchy wiatr, który rozpędził chmury, wysysał ją łapczywie, jakby wiedząc, iż jest to danina dla lodowca.

Ayli powróciła determinacja, choć nie pewność siebie. Zrzuciła z siebie ciężkie, nasiąknięte wodą skóry żubrów i rozwiesiła je na wysokich krzakach, mając nadzieję, że tym razem trochę przeschną. Nogi miała wilgotne, ale nie zimne, więc nie zawracała sobie nimi głowy – wszystko było wilgotne – i udała się do brodu reniferów. Nie mogła dojrzeć swego dołu i serce jej zamarło. Po dokładniejszym przyjrzeniu się dostrzegła w miejscu, w którym znajdował się jej dół, przepełnione błotnistą wodą bajoro, pełne liści, patyków i innych śmieci.

Zaciskając szczęki, wróciła po kosz, aby wybrać wodę z dołu. W drodze powrotnej musiała jednak uważnie patrzeć, żeby dostrzec z odległości dół. Nagle się uśmiechnęła. – Jeżeli ja muszę tak go wypatrywać, bo cały pokryty jest liśćmi i patykami, to może biegnące szybko renifery też by go nie dostrzegły. Ale nie mogę zostawić w nim wody – zastanowię się, czy nie ma innego sposobu...

Witki wierzbowe będą dostatecznie długie, żeby sięgnąć drugiego brzegu. Dlaczego nie miałabym przykryć nimi dołu i, położyć na wierzch liście. Nie będą na tyle mocne, żeby utrzymać

renifera ale wystarczą dla gałęzi i liści. Wybuchnęła głośnym śmiechem. Koń zarżał w odpowiedzi i podszedł do niej.

– Och, Whinney! Może ten deszcz wcale nie był taki zły. Ayla wybrała z dołu wodę, nawet nie myśląc o tym, jakie to było brudne zajęcie. Nie był tak głęboki, jak poprzednio, ale gdy spróbowała kopać, to stwierdziła, że poziom wody był wyższy. Dół napełnił się więc jedynie większą ilością wody. Gdy spojrzała na mętny, wzburzony nurt, stwierdziła, że rzeka była bardziej wezbrana. Nie wiedziała, że ciepły deszcz zmiękczył część wiecznie zmarzniętej ziemi, z której była uformowana, twarda jak skała, podstawa kontynentu.

Zamaskowanie dołu nie było tak łatwe, jak myślała. Musiała pójść kawał w dół strumienia, aby nazrywać naręcza długich witek w karłowatych wierzbowych zaroślach oraz rosnące obok pałki. Szeroka, pleciona luźno mata zapadła się na środku, gdy Ayla przykryła nią dół, musiała więc umocować jej brzegi. Kiedy pokryła ją liśćmi i patykami, nadal wydawała się jej dobrze widoczna. Nie była całkowicie zadowolona, ale miała nadzieję, że maskowanie wystarczy.

Ubrudzona błotem powlokła się z powrotem w dół strumienia, spoglądając z tęsknotą na rzekę, potem zagwizdała na Whinney. Reny nie były tak blisko, jak myślała. Gdyby równina była sucha, to spieszno by im było dotrzeć do rzeki, ale przy takiej ilości wody w kałużach i tymczasowych strumieniach, zwolniły tempo swego marszu. Ayla była pewna, że stado młodych kozłów nie dotrze do swego zwykłego brodu przed rankiem.

Wróciła do obozu i z wielką ulgą zdjęła wierzchnie okrycia i weszła do rzeki. Woda była zimna, ale ona przyzwyczała się do zimnej wody. Zmyła błoto, potem rozłożyła swe okrycia na kamieniach. Stopy miała białe i pomarszczone od przebywania w

osłonie z mokrej skóry – nawet jej twarde spody zmiękły – i radowały się dotykiem nagrzanym słońcem kamieni. Ayla zrobiła z nich również suchą podstawę do rozpalenia ogniska.

Najniższe, uschnięte gałęzie sosny zostają zwykle suche nawet po największym deszczu, więc skarłowaciałe do wielkości krzaków sosny w pobliżu rzeki nie były wyjątkiem. Zabrała z sobą suchą hubkę i za pomocą swych krzesających iskry kamieni wkrótce rozpałała mały ogień. Podsycalała go gałązkami i kawałkami drewna, dopóki nie wyschły większe, wolno palące się polana, ułożone w piramidę nad ogniem. Potrafiła rozpałać i utrzymać ogień nawet w deszczu – o ile tylko nie była to ulewa. Cała rzecz polegała na rozpaleniu małego ogniska i podsycania go, dopóki nie zajmą się ogniem polana dostatecznie duże, by wyschnąć w czasie palenia.

Westchnęła z zadowoleniem po pierwszym łyku gorącego napoju, którym popiła posiłek z podróźnych placków. Placki były pożywne i sycące i można je było jeść w ruchu – ale gorący płyn zadowalał bardziej. Namiot był nadal wilgotny, lecz rozbiła go w pobliżu ogniska, żeby mógł doschnąć, gdy będzie spała. Spojrzała na chmury przesłaniające na zachodzie gwiazdy i miała nadzieję, że nie zaczną znowu padać. Potem poklepała czule Whinney, wsunęła się w swe futra i okręciła się nimi.

Było ciemno. Ayla leżała w bezruchu, wytężając słuch. Whinney się poruszyła i parsknęła cicho. Ayla usiadła, aby się rozejrzeć. Na wschodzie można było dojrzeć słaby blask. Wtem usłyszała dźwięk, który zjeżył jej włosy na głowie. Wiedziała już, co ją obudziło. Nie słyszała go często, ale wiedziała, że chrapliwy ryk dobiegający z drugiej strony rzeki, był rykiem lwa jaskiniowego. Koń zarżał nerwowo, a Ayla się poderwała.

– W porządku, Whinney. Ten lew jest daleko. – Dołożyła dREW



do ognia. – W takim razie to lwa jaskiniowego musiałam słyszeć, gdy byliśmy tu ostatnim razem. Muszą żyć w pobliżu drugiego brzegu rzeki. Cieszę się, że podczas dnia będziemy przechodzić przez ich terytorium i mam nadzieję, że nasycą się reniferami zanim tam dotrzemy. Mogłabym zaparzyć sobie napoju nim nadejdzie czas, aby być w pogotowiu.

Niebo na wschodzie zaczynało już różowieć, gdy młoda kobieta skończyła pakować wszystko do koszy i zawiązała popręg na Whinney. Do uchwytów w obu koszach włożyła długie dzidy i umocowała je, a potem dosiadła konia. Siedziała przed bagażem, pomiędzy sterczącymi w górze dwoma drewnianymi ostrzami.

Pojechała z powrotem w kierunku stada, zataczając szerokie koło, dopóki nie znalazła się za nadchodzącymi reniferami. Poganiała konia, dopóki nie zobaczyła młodych kozłów, wtedy zwolniła i podążyła za nimi spokojnym krokiem. Whinney z łatwością dopasowała swe tempo do przemieszczających się zwierząt. Ayla obserwowała z końskiego grzbietu, jak stado się zbliżało do małej rzeki, i zobaczyła, jak przywódca stada zwolnił, a potem obwąchiwał rozdeptane błoto i liście na ścieżce wiodącej do pułapki. Nawet kobieta poczuła, jak przez renifera przebiegło nerwowe, ostrzegawcze drżenie.

Pierwszy ren przedarł się przez nabrzeżne zarośla do wody drugą ścieżką i wtedy Ayla zdecydowała, że czas działać. Wzięła głęboki oddech, pochyliła się do przodu w oczekiwaniu na zwiększenie prędkości, co zasygnalizowało jej zamiary. Koń puścił się galopem w kierunku stada, a ona krzyknęła głośno i przeciągle.

Idący z tyłu renifer skoczył do przodu, rozpędzając na boki te, które szły przed nim. A gdy natarł na nie koń z wrzeszczącą

kobietą na grzbiecie, wszystkie rzuciły się wystraszone przed siebie. Niestety zdawały się omijać ścieżkę, na której była pułapka. Ayla ze ściśniętym sercem obserwowała, jak zwierzęta obiegały, przeskakiwały lub uskakiwały w bok przed dołem.

Wtem zauważyła zamieszanie wśród szybko mknącego stada i zdawało się jej, że widziała upadek pary rogów, podczas gdy inne reny kłębiły się i wirowały wokół tego miejsca. Ayla wyrwała dzidy z uchwytów, zsunęła się z konia i pognała co sił w nogach. Renifer o spłoszonym spojrzeniu pogrążał się w grząskim błocie na dnie dołu, usiłując z niego wyskoczyć. Tym razem nie chybiła celu. Cisnęła ciężką dzidę w szyję renifera, rozrywając arterię. Wspaniały rogacz padł na dno dołu, szamocąc się do końca.

Było po wszystkim. Skończone. Tak szybko i o wiele łatwiej niż mogła sobie wyobrazić. Ciężko oddychała, ale nie łapała z trudem oddechu z wyczerpania: Plany pochłonęły tyle przemyśleń, obaw i nerwów, że łatwy przebieg polowania ich nie rozwiało. Nadal była cała spięta i nie potrafiła się rozładować – nie było też nikogo, z kim mogłaby się podzielić radością ze swego sukcesu.

– Whinney! Udało się nam! Udało się nam! – Jej krzyki i gesty spłoszyły konia. Potem wskoczyła na grzbiet klaczy, która puściła się szalonym pędem przez równinę.

Warkocze za Aylą fruwały, oczy miała rozgorączkowane z podniecenia, na twarzy widniał maniacki uśmiech – była dziką kobietą. A najbardziej z tego przerażające – jeżeli byłby w pobliżu ktoś, kogo można by przerazić – było to, że dosiadała dzikiego zwierza, którego wzrok i położone po sobie uszy znamionowały szaleństwo, choć nieco innej natury.

Ayla i klacz zatoczyły szerokie koło. W drodze powrotnej kobieta wstrzymała konia, ześliznęła się na ziemię i skończyła

bieg, gnając na własnych nogach. Tym razem, gdy patrzyła na leżącego w błotnistym dole martwego renifera, to nie bez przyczyny dyszała ciężko.

Kiedy złapała oddech, wyciągnęła dzidę z szyi rena i zagwizdała na konia. Whinney była spłoszona i Ayla próbowała ją uspokoić zachętami i pieszczotami, zanim nałożyła jej uprząż. Podprowadziła konia do dołu. Nie mając ani uzdy, ani postronka dla kontroli, Ayla musiała udobruchać i nakłonić zdenerwowanego konia do posłuszeństwa. Gdy w końcu Whinney się uspokoiła, kobieta przywiązała zwisające z uprzęży liny do rogów rena.

– Teraz ciągnij, Whinney – zachęcała – tak jak kłodę. Koń ruszył do przodu, poczuł ciężar i cofnął się. Potem, w odpowiedzi na dalsze ponaglenia, ponownie ruszył do przodu, pochylając się, gdy liny się naprężyły. Powoli, z Aylą, która pomagała, jak mogła, Whinney wyciągnęła rena z dołu.

Ayla była pełna dumy. Ostatecznie oznaczało to, że nie będzie musiała dzielić mięsa na dnie błotnistej doliny. Nie była pewna, czy Whinney będzie miała ochotę jeszcze dalej pracować; miała nadzieję, że koń użyje swej siły, aby zaciągnąć renifera do doliny, ale nie mogła wymagać od razu zbyt wiele. Ayla podprowadziła klacz nad wodę, wyplątując rogi renifera z chrustu. Potem przepakowała kosze, tak że jeden wszedł w drugi, i przytroczyła je sobie do pleców. Nie był to poręczny bagaż z dwiema sterczącymi dzidami, ale korzystając z dużego kamienia wdrapała się na konia. Stopy miała gołe, a futrzane okrycie podciągnęła do góry, aby się nie zamoczyło, i przynagliła Whinney, żeby weszła do rzeki.

Zwykle była w tym miejscu szeroka płycizna – jeden z powodów dla którego renifery instynktownie wybierały to

miejsce dla przeprawienia się przez rzekę – ale deszcz podniósł poziom wody. Whinney udało się utrzymać w rwącym nurcie, a wciągnięty do wody renifer z łatwością unosił się na wodzie. Przeciągnięcie zwierzęcia przez wodę niosło z sobą korzyści, o których Ayla nie pomyślała. Dzięki temu zostało zmyte błoto i krew i gdy dotarli do drugiego brzegu, renifer był czysty.

Whinney cofnęła się nieco, gdy poczuła ponownie ciężar, ale Ayla była już na ziemi i pomogła jej wyciągnąć rena na brzeg. Potem odwiązała liny. Renifer był już o krok bliżej od doliny, ale nim ruszyli dalej, Aylę czekało kilka zadań do wykonania. Poderżnęła renowi gardło ostrym krzemiennym nożem, potem zrobiła nacięcie od ogona przez brzuch, piersi, kark do gardła. Trzymała nóż palcami, wsuwając go tuż pod skórę. Pierwsze cięcie zrobiła czysto, nie wrzynało się w mięso, więc później będzie łatwiej zdjąć skórę.

Następne cięcie było głębsze, aby można było wyjąć wnętrzności. Oczyszczyła użyteczne części – żołądek, jelita, pęcherz i włożyła je do oczyszczonej jamy brzusznej razem z jadalnymi częściami.

W jednym z koszy tkwiła zwinięta duża mata. Rozłożyła ją na ziemi, a potem pchając i pomrukując przesunęła na nią rena. Owinęła matą ciało, obwiązała je linami i przyczepiła liny zwisające z uprzęży Whinney. Przepakowała kosze, wkładając do każdego dzidę i umocowała długie drzewca. Potem z pewnym zadowoleniem wspięła się na koński grzbiet.

Zadowolenie się ulotniło, gdy po raz trzeci musiała zsiadać, aby uwolnić ładunek od hamującego balastu – kęp trawy, kamieni, krzaków. W końcu zaczęła iść obok konia, przymilając się do niego, dopóki ciągnięty ren nie zaczepił o coś, wtedy szła do tyłu, żeby go odczepić. Gdy się zatrzymała, żeby nałożyć

ponownie okrycia na nogi, zauważyła, że podąża za nią grupka hien. Pierwsze kamienie z procy jedynie pokazały dzikim padlinożercom jej zasięg, poza którym się trzymały.

Wstrętne śmierdziele, pomyślała, marszcząc nos i wzdrygając się z niesmakiem. Wiedziała, że one także polują – wiedziała to aż za dobrze. Ayla zabiła jednego z takich padlinożerców ze swojej procy – i zdradziła swą tajemnicę. Klan wiedział, że ona poluje i musiała być za to ukarana. Brun nie miał wyboru; tak postępowano w klanie.

Whinney również hieny zaniepokoiły. Było to coś więcej niż tylko instynktowny lęk przed drapieżnikami. Nigdy nie zapomniała gromady hien, które zaatakowały ją, gdy Ayla zabiła kłacz – jej matkę. I Whinney była już dostatecznie zdenerwowana. Sprowadzenie renifera do jaskini zaczynało stanowić większy problem, niż Ayla przewidywała. Miała nadzieję, że poradzą sobie z tym przed zapadnięciem nocy.

Na odpoczynek zatrzymała się w miejscu, w którym rzeka zakręcała. Nużące były te wszystkie postoje i ponowne ruszanie. Napełniła wodą swój worek i duży wodoszczelny kosz, po czym zaniósła kosz Whinney, która nadal była przyczepiona do zakurzonego ładunku z renem. Wyciągnęła placki podróżne i usiadła na kamieniu, aby się posilić. Wpatrywała się w ziemię niewidzącym wzrokiem, starając się wymyślić łatwiejszy sposób na przetransportowanie swojej zdobyczy do doliny. Chwilę trwało, nim uświadomiła sobie, na co patrzyła, ale gdy to już do niej dotarło, rozbudziło jej ciekawość. Ziemia była zdeptana, trawa zgnieciona i ślady były świeże. Musiało tu być niedawno duże zamieszanie. Wstała, aby przyjrzeć się uważniej śladom i stopniowo wyczytała z nich całą historię.

Ze śladów w wyschniętym błocie w pobliżu rzeki mogła

powiedzieć, że znajdowała się na terytorium lwa jaskiniowego. Pomyślała, że w pobliżu musi być mała dolina o pionowych ścianach z przytulną jaskinią, w której lwica wcześniej wydała na świat parę zdrowych kociaków. To było ulubione miejsce wypoczynku. Kocięta bawiły się, walcząc o zakrwawiony kawałek mięsa, odrywając z niego małe kąski swymi mlecznymi zębami, podczas gdy syty samiec wylegiwał się w porannym słońcu, a gładkowłosa samica pobłażliwie obserwowała zabawy dzieci.

Wspaniałe drapieżniki były panami swego terytorium. Nie musiały się niczego obawiać, nie miały powodu, by spodziewać się napaści ze strony swych ofiar. W codziennych warunkach renifery nie zbliżyłyby się tak bardzo do terenu zamieszkałego przez ich naturalnych wrogów, ale krzyczący, jadący na koniu człowiek wprowadził je w panikę. Rwąca rzeka nie zatrzymała spłoszonego stada. Rzuciły się w pław i nim się zorientowały, znalazły się pośród stada lwów. Obie strony były zaskoczone. Reny za późno jednak pojęły, że umykając przed jednym niebezpieczeństwem, wpadły w drugie jeszcze gorsze, i rozpierzchły się na wszystkie strony.

Ayla poszła po śladach i domyśliła się zakończenia historii. Jeden z kociaków nie zdążył się schować przed wierzgającymi kopytami i został zdeptany przez wystraszonego renifera.

Kobieta uklękła obok dziecka lwa jaskiniowego i doświadczonymi dłońmi szamanki szukała śladów życia. Kocię było ciepłe, prawdopodobnie miało połamane żebra. Było bliskie śmierci, ale nadal oddychało. Ze śladów na piasku Ayla wiedziała, że lwica znalazła swoje dziecko, trącała je nosem, aby wstało, lecz bezskutecznie. Potem, zwyczajem wszystkich zwierząt – z wyjątkiem tych chodzących na dwóch nogach –

które muszą pozwolić, by słabe umarły, jeżeli reszta ma przetrwać, zainteresowała się swą drugą pociechą i odeszła.

Jedynie u zwierząt zwanych ludźmi przetrwanie opierało się na czymś więcej niż tylko sile i sprawności. Cherlawy w porównaniu ze swoimi drapieżnymi konkurentami człowiek, aby przetrwać, polegał na współpracy z innym człowiekiem lub na jego litości.

Biedne maleństwo, pomyślała Ayla. Twoja matka nie może ci pomóc, prawda? Nie pierwszy raz jej serce poruszył los rannego i bezbronnego stworzenia. Przez chwilę myślała o zabraniu kociaka z sobą do jaskini, ale szybko zarzuciła ten pomysł. Brun i Creb pozwalali jej przynosić małe zwierzęta do jaskini, aby mogła się nimi zajmować w czasie nauki sztuki uzdrawiania, choć za pierwszym razem było z tej przyczyny niemałe zamieszanie. Ale Brun nie pozwolił, aby przyniosła szczeniaka wilka. Lew jaskiniowy był już prawie tak duży jak wilk. Pewnego dnia osiągnie rozmiary Whinney.

Wstała i spojrzała na umierającego kociaka, potrząsając głową, po czym poszła znowu prowadzić Whinney z nadzieją, że ładunek, który ciągnęła, nie utknie zbyt szybko. Gdy ruszyli, Ayla zauważyła, że hieny ruszyły za nią. Sięgnęła po kamień, wtem dostrzegła, że gromada się rozpierzchła. Mógł być tylko jeden powód. To była rola, jaką wyznaczyła im natura. Znalazły kociaka. Ale gdy w grę wchodziły hieny, Ayla nie potrafiła zachowywać się rozsądnie.

– Wynoście się, śmierdziele! Zostawcie dziecko w spokoju! Pobiegnę z powrotem, ciskając kamienie. Skowyt oznajmił jej, że jeden z nich nie chybił celu. Hieny się cofnęły ponownie poza zasięg procy, gdy tymczasem kobieta nacierała na nie pełna sprawiedliwego gniewu.

– Macie! – To powinno trzymać je z dala, pomyślała, stając okrakiem nad kociakiem. Wtem przez twarz przebiegł jej krzywy uśmiech. – Co ja robię? Po co odpędzam je od kociaka, który i tak zdechnie? Jeżeli dopuszczę do niego hieny, to nie będą mnie więcej niepokoić.

Nie mogę go z sobą zabrać. Nawet bym go nie uniosła. Nie całą drogę. Muszę się martwić tym, jak dociągnąć renifera. To niedorzeczne zawracać sobie głowę kociakiem.

Niedorzeczne? A gdyby Iza mnie wtedy zostawiła? Creb mówił, że zostałam umieszczona na jej ścieżce przez ducha Ursusa, a może ducha Lwa Jaskiniowego, ponieważ nikt inny nie zatrzymał się przy mnie. Nie mogła znieść widoku kogoś chorego lub rannego, musiała mu pomóc. To dzięki temu była tak dobrą uzdrowicielką.

Ja jestem uzdrowicielką. Może ten kociak znalazł się na mej drodze po to, abym go znalazła. Gdy pierwszy raz przyniosłam do jaskini małego zajączka, ponieważ był ranny, Iza powiedziała, że to znaczyło, iż moim przeznaczeniem było zostać uzdrowicielką. No cóż, to małe jest ranne. Nie mogę go tak po prostu zostawić tym wstrętnym hienom na pożarcie.

Ale jak zabiorę tego kociaka do jaskini? Złamane żebro może przebić mu płuco, jeżeli nie będę uważała. Będę musiała go obwiązać, nim ruszę go z miejsca. Ten szeroki rzemień, którego używałam jako wędzidla, powinnien być dobry. Mam go z sobą.

Ayla zagwizdała na konia. O dziwo, bagaż, który Whinney ciągnęła, nie zaczepił się o nic, ale młoda klacz była nerwowa. Nie podobało jej się przebywanie na terytorium lwa jaskiniowego; ona również należała do jego naturalnych ofiar. Była nerwowa już od czasu polowania i przystawała co kilka chwil, aby się uwolnić od krępującego bagażu, co nie



przyczyniało się do jej uspokojenia.

Ayla skupiona na małym lwiątku nie zwracała uwagi na niepokój konia. Owinęła już kociakowi żebra, lecz jedynym sposobem na zabranie go do jaskini, jaki jej przychodził do głowy, było położenie go na grzbiecie Whinney.

Ale tego było już młodej klaczy za wiele. Gdy kobieta podniosła wielkiego kociaka i spróbowała ułożyć go na jej grzbiecie, klacz stanęła dęba. W panice podskakiwała i rzucała się, próbując pozbyć się ciężaru i uwiązanej konstrukcji, potem pognąła w podskokach przez step. Renifer okręcony matą z trawy, podskakiwał trząśł się za koniem, wtem zahaczył się o kamień. Opór, jaki zaczął stawiać, zwiększył tylko panikę Whinney, doprowadzając ją do szału.

Nagle rzemienie pękły, a kosze się przekręciły, ponieważ przeważyły tkwiące w nich długie ciężkie dzidy. Z otwartymi ze zdumienia oczyma Ayla patrzyła, jak oszalały koń pognął przed siebie.

Zawartość koszy wysypała się na ziemię, pozostały tylko solidnie umocowane dzidy. Nadal przychepione do koszy wiszących na klaczy dwa długie drzewca ciągnęły się za nią, ostrzami w dół, nie hamując wcale jej biegu.

Ayla natychmiast spostrzegła, co dawało takie rozwiązanie, męczyła się przecież próbując wymyślić sposób na przetransportowanie ubitego renifera i kociaka do jaskini. Trochę trwało, nim Whinney się uspokoiła. Ayla obawiając się, że koń może się pokaleczyć, gwizdała i wołała. Chciała iść za nim, ale obawiała się zostawić rena i kociaka na pastwę hien. Gwizdanie jednak przyniosło skutek. Dźwięk ten kojarzył się Whinney z pieszczotami i bezpieczeństwem. Zataczając szerokie koło, klacz zakręcała w kierunku kobiety.

Gdy w końcu wyczerpana i spieniona klacz się zbliżyła, Ayla objęła ją z ulgą. Odwiązała uprząż i popręg i obejrzała ją dokładnie, aby się upewnić, czy nie jest pokaleczona. Whinney pochyliła się do kobiety, rżąc cicho z udręczenia, przednie nogi rozstawiła szeroko, oddychała ciężko i trzęsła się.

– Odpocznij, Whinney – powiedziała Ayla, gdy koń przestał drżeć i zdawał się uspokajać. – I tak muszę to dopracować. Kobiecie nie przyszło na myśl, aby się gniewać na konia za to, że skakał, uciekł i wysypał jej rzeczy. Nie traktowała zwierzęcia jak swej własności mającej spełniać jej rozkazy. Whinney była raczej przyjacielem, towarzyszem. Jeżeli koń wpadł w panikę, to musiał mieć ku temu powód. Proszono go o zbyt wiele. Ayla czuła, że powinna lepiej poznać możliwości konia, a nie próbować uczyć go lepszego zachowania. W pojęciu Ayli, Whinney pomagała jej z własnej woli, ona zaś opiekowała się koniem z miłości.

Kobieta pozbierała wszystko, co udało jej się znaleźć z zawartości koszy, potem przerobiła popręgowo-koszową uprząż, mocując dwie dzidy w taki sposób, w jaki same opadły, ostrzami w dół. Przymocowała do nich matę, którą był okręcony jelen, tworząc w ten sposób pomiędzy nimi rodzaj noszy – znajdujących się za koniem, ale nie na ziemi. Przywiązała do nich rena, a potem ostrożnie uwiązała nieprzytomnego kociaka. Whinney, gdy się uspokoiła, zdawała się łatwiej akceptować popręg i uprząż, i spokojnie stała, kiedy Ayla ją dopasowywała.

Gdy już kosze były na miejscu, Ayla jeszcze raz sprawdziła kociaka, i dosiadła Whinney. W czasie jazdy do doliny kobieta była zdumiona efektywnością nowej metody transportu. Jedynie końce dzid ciągnęły się po ziemi i ładunek nie zaczepiał o każdą napotkaną na drodze przeszkodę. Dzięki temu koń mógł ciągnąć go z mniejszym wysiłkiem. Ayla odetchnęła spokojniej dopiero

wtedy, gdy dotarli do doliny i jaskini.

Zatrzymała się, aby Whinney odpoczęła i napiła się, a sama poszła dojrzeć kociaka. Nadal oddychał, ale nie była pewna, czy przeżyje. – Dlaczego znalazł się na mojej drodze? – zastanawiała się. Od chwili, gdy ujrzała lwiątko, myślała o swym totemie – czy to duch Lwa Jaskiniowego chciał, aby się nim zajęła?

Wtem inna myśl przyszła jej do głowy. Jeżeli nie zdecydowałaaby się zabrać z sobą kociaka, to nigdy nie wpadłaby na pomysł z noszami. Czy jej totem chciał jej to pokazać? Czy to był dar? Bez względu na to, czym to było, Ayla była pewna, że kociak nie bez powodu znalazł się na jej drodze i ona zrobi wszystko, co w jej mocy, aby uratować mu życie.

## . 11 .



– Jondalarze, nie musisz zostawać tylko dlatego, że ja to robię.

– Skąd ci przyszło do głowy, że zostaję z twojego powodu? – powiedział starszy z braci z większym rozdrażnieniem, niż zamierzał. Nie chciał tego okazywać, ale w uwadze Thonolana było więcej prawdy, niż chciał przyznać.

Zdał sobie sprawę, że spodziewał się tego. Nie chciał po prostu uwierzyć, że jego brat rzeczywiście zostanie i weźmie Jetamio za partnerkę. Teraz zaś zaskoczył samego siebie swą natychmiastową decyzją, aby również pozostać z Sharamudoi. Nie chciał sam wracać. Musiałby pokonać bez Thonolana daleką drogę. Coś jeszcze wchodziło w grę. Decyzję o wyruszeniu w podróż z bratem też podjął pod wpływem nagłego impulsu.

– Nie powinienesz być ze mną wyruszać.

Przez moment Jondalar się zastanawiał, czy brat mógł znać jego myśli.

– Czuję, że nigdy nie wrócę do domu. Nie spodziewałem się znaleźć kobietę, którą mógłbym pokochać. Po prostu czułem, że będę szedł dalej, dopóki nie znajdę wystarczająco dobrego powodu, aby się zatrzymać. Sharamudoi to dobrzy ludzie – pewnie o większości ludzi można to powiedzieć po bliższym poznaniu. Ja nie mam nic przeciwko osiedleniu się tutaj i

zostaniu jednym z nich. Ty, Jondalarze, jesteś Zelandonii. Nigdzie nie czułeś się naprawdę swojsko. Wracaj, bracie. Uszczęśliw jedną z wypatrujących za tobą oczy kobiet. Ustatkuj się, załóż dużą rodzinę i opowiedz dzieciom swego serca o długiej podróży i bracie, który został. Kto wie? Może któregoś dnia jeden z twoich lub moich synów postanowi wybrać się w długą podróż, aby odszukać swych krewnych.

– Dlaczego ja mam być bardziej Zelandonii niż ty? Skąd przyszło ci do głowy, że ja nie mógłbym być tu równie szczęśliwy, jak ty? – Po pierwsze, nie jesteś zakochany. A nawet gdybyś był, to planowałbyś zabrać ją z powrotem z sobą, a nie zostać tu.

– A właściwie dlaczego nie zabierzesz Jetamio z nami? Jest zdolna, bardzo rozumna, wie, jak zadbać o siebie. Byłaby z niej dobra kobieta Zelandonii. Ona nawet poluje – bardzo dobrze by sobie poradziła.

– Nie chcę tracić czasu, marnować roku na podróż z powrotem. Znalazłem kobietę, z którą chcę żyć. Chcę się ustatkować, osiąść, dać jej szansę założenia rodziny.

– Co stało się z moim bratem, który miał zamiar podróżować aż do końca Wielkiej Matki Rzeki?

– Pewnego dnia tam dotrę. Nie ma pośpiechu. Wiesz przecież, że to nie jest tak daleko. Może wybiorę się z Dolando, gdy pójdzie następnym razem wymieniać swoje wyroby na sól. Mógłby zabrać Jetamio z sobą. To mogłoby się jej spodobać. Jednakże nie byłaby szczęśliwa, pozostając długo z dala od domu. On dużo dla niej znaczy. Nigdy nie знаła swej własnej matki, była bliska śmierci z paraliżu. Jej ludzie są dla niej ważni. Rozumiem to, Jondalarze. Mam brata, który ją bardzo przypomina.

– Skąd masz taką pewność? – Jondalar spuścił oczy, unikając

spojrzenia brata. – Czy ja nie jestem zakochany? Serenio to piękna kobieta, i Darvo – wysoki blondyn się uśmiechnął i jego pomarszczone czoło się wypogodziło – potrzebuje męskiej opieki. Wiesz, że któregoś dnia może zostać dobrym obrabiaczem krzemienia.

– Starszy bracie, znam cię od dawna. To, że żyjesz z kobietą, wcale nie oznacza, że ją kochasz. Wiem, że przepadasz za chłopakiem, ale to nie wystarczający powód, aby zostać tu i podjąć zobowiązania wobec jego matki. To całkiem dobry powód do wzięcia jej za partnerkę, ale nie do zostania tutaj. Wracaj do domu i znajdź sobie starszą kobietę z kilkorgiem dzieci, jeśli masz na to ochotę – będziesz wtedy pewny, że przy twym ognisku będzie wielu młodych, których mógłbyś wyuczyć obrabiania krzemienia. Wracaj.

Jondalar nie zdążył odpowiedzieć. Podbiegł do nich zdyszany około dziesięcioletni chłopiec. Jak na swój wiek był wysoki, ale szczupły, o drobnej twarzy i zbyt delikatnych jak na chłopca rysach. Miał proste i miękkie jasnobrązowe włosy, a jego orzechowe oczy błyszczały żywą inteligencją.

– Jondalar! – krzyknął. – Wszędzie cię szukałem! Dolando jest gotowy i rzeczni ludzie czekają.

– Powiedz, my iść, Darvo – powiedział wysoki jasnowłosy mężczyzna w języku Sharamudoi. Chłopak pognał przodem. Obaj mężczyźni ruszyli za nim, wtem Jondalar przystanął. – Możesz mi pogratulować, młodszy bracie – powiedział, a uśmiech na twarzy świadczył, że mówił szczerze. – Spodziewałem się, że zechcesz związać się formalnie z Jetamio. I możesz dać sobie spokój z próbami pozbycia się mnie. Nie każdego dnia brat znajduje kobietę swoich marzeń. Na miłość doni, za nic nie przegapiłbym uroczystości twojego związania się z partnerką.

Uśmiech rozjaśnił twarz Thonolana.

– Wiesz, Jondalarze, że gdy pierwszy raz ją zobaczyłem, to myślałem, że to piękny młody duch Matki przyszedł, by zabrać mnie w podróż na drugi świat. Poszedłbym za nią bez oporu... i nadal bym to uczynił.

Jondalar został z Thonolanem i zmarszczył brwi. Martwiło go podejrzenie, że jego brat poszedłby za każdą kobietą.

Ścieżka biegła zygzakiem przez cienisty las w dół stromego zbocza. Po dotarciu do kamiennej ściany, która doprowadziła ich na skraj stromego urwiska, droga wychodziła na otwarty teren. Dookoła kamiennej ściany była pracowicie wykuta ścieżka na tyle szeroka, aby ledwie zmieściło się na niej jednocześnie dwoje ludzi. Jondalar trzymał się za bratem, gdy obchodzili ścianę. Choć przezimowali u Shamudoi z Jaskini Dolanda, to nadal jeszcze czuł bolesny skurcz w lędźwiach, gdy spoglądał z krawędzi na płynącą w dole głęboką i szeroką Wielką Matkę Rzekę. Jednakże wędrownka wyraźną ścieżką była i tak lepsza od innych dojść.

Nie wszyscy ludzie jaskiniowi żyli w jaskiniach; powszechnie budowano również szałas na otwartym terenie. W czasie ostrych zim szczególnie były poszukiwane i cenione naturalne schronienia skalne. Jaskinia lub nawis skalny, które kiedy indziej byłyby minięte z pogardą, zimą stawały się miejscem, w którym chętnie mieszkano. Dlatego też, aby zapewnić sobie stałe schronienie, ludzie na różne sposoby przewyżdzali trudności związane z dostaniem się do nich. Jondalarowi zdarzało się już mieszkać w jaskiniach znajdujących się w stromych ścianach, ale nigdy nie był w miejscu podobnym do Jaskini Shamudoi.

W zamierzchłej przeszłości skorupa ziemska składająca się z osadowych piaskowców, wapieni i iłupków, wypiętrzyła się i utworzyła pokryte lodowymi czapami szczyty. Ale twardsze

skały krystaliczne, wyrzucone podczas erupcji wulkanów, w czasie wypiętrzenia zostały wymieszane z bardziej miękkimi skałami. Cała równina, przez którą wędrowali zeszłego lata obaj bracia, była dawniej basenem wewnętrznego morza otoczonego górami. Przez długie tysiąclecia uchodząca z morza woda wyrzeźbiła sobie ścieżkę przez grzbiety górskie, które kiedyś wchodziły w skład wielkiego pasma ciągnącego się na północy z przedłużeniem na południe, i morze wyschło.

Góry niechętnie ustępowały drogi, pozwalając jedynie na wyrzeźbienie wąskiego przesmyku w twardych skałach. Wielka Matka Rzeka, zbierając wody swojej Siostry i jej wszystkich kanałów i dopływów w jedną pokaźną całość, przepływała właśnie takim przesmykiem. Po przebyciu ponad stu mil seria czterech wielkich wąwozów stanowiła bramę do dolnego biegu i jej ostatecznego celu. W wielu miejscach po drodze rzeka się rozlewała na szerokość mili; w innych płynęła kanałem nie szerszym niż dwieście jardów, pomiędzy pionowymi, kamiennymi ścianami.

W powolnym procesie przedzierania się przez setki mil górskiego pasma, wody uchodzące z morza tworzyły strumienie, wodospady, stawy i jeziora, z których wiele pozostawiło po sobie ślady. Wysoko na lewej ścianie, w pobliżu wlotu do wąskiego przesmyku była rozległa zatoka: szeroka półka o zaskakująco równej powierzchni. Kiedyś była to mała, osłonięta zatoczka na jeziorze, wydrążona przez wodę i czas. Jezioro dawno już zniknęło, pozostawiając po sobie położony wysoko ponad istniejącym poziomem wody zaokrąglony taras. Był on położony tak wysoko, że nawet w czasie wiosennych powodzi, które mogły w dramatyczny sposób zmienić poziom rzeki, wody nie podchodziły w pobliże skalnego występu.



Duży, porośnięty trawą teren dochodził do kończącej się pionowym spadkiem półki skalnej. Warstwa ziemi ze śladami po kilku płytkich dołkach do gotowania wydrążonych w skale nie była jednak głęboka. W połowie drogi w głąb lądu pojawiały się małe drzewka, czepiające się skał i wspinające na chropowate ściany. W pobliżu tylnej ściany drzewa dorastały nawet do znacznych rozmiarów, a zarośla gęstniały i wydobywały się na stromy stok. Z tyłu, w pobliżu bocznej ściany czekała nagroda w postaci wysokiego tarasu: głęboko podciętego występu z piaskowca. Pod nim znajdowało się kilka szałasów zbudowanych z drewna, dzielących teren na jednostki mieszkalne i prawie kolistą przestrzeń otwartą pomiędzy nimi z głównym paleniskiem i kilkoma mniejszymi, z których dwa były u wejścia i w miejscu zgromadzeń.

W przeciwległym rogu znajdował się inny, równie cenny twór natury. Długi cienki wodospad, spływający z wysokiego nawisu, który się przemykał jakiś czas wśród poszarpanych skał, nim nie przelał się przez mały występ z piaskowca, by utworzyć uroczy staw. Płynął wzdłuż tylnej ściany do końca tarasu, gdzie kilku ludzi czekało na Thonolana i Jondalara.

Dolando zawołał na nich, gdy wyszli z występu w ścianie, a potem zaczął schodzić z krawędzi. Jondalar pobiegł za swym bratem i dotarł do przeciwległej ściany w momencie, kiedy Thonolan ruszył w dół niebezpiecznej ścieżki. Biegła ona wzdłuż brzegu małego strumienia, który spływał kaskadą ze skalnych występów do znajdującej się w dole rzeki. Ścieżki nie sposób byłoby pokonać, gdyby nie wąskie stopnie żmudnie wykute w kilku miejscach, i mocne poręczce z lin. Ale nawet latem spływająca kaskadami woda i unoszące się ciągle w powietrzu krople sprawiały, że ta droga była zdradziecko śliska. Zimą było

tu ogromnie dużo lodowych sopli, które tworzyły barierę nie do przebycia. Wiosną, choć ścieżka była zalewana przez obfite deszcze i spływały z wodą kawałki lodu, które zagrażały stawianym krokom, to Sharamudoi – zarówno polujący na kozice Shamudoi, jak i mieszkający na wodzie Ramudoi – biegali w górę i w dół niczym zwinne, podobne do kóz, antylopy zamieszkujące te strome tereny. Gdy Jondalar obserwował swego brata, który schodził z niedbałym lekceważeniem, charakterystycznym dla kogoś przyzwyczajonego do tego od urodzenia, pomyślał sobie, że Thonolan w jednym miał całkowitą rację. Nawet gdyby Jondalar spędził tu całe swoje życie, to nie przyzwyczałiby się do tego wejścia na strome urwisko. Spojrzał na wzburzone wody ogromnej rzeki płynącej daleko w dole i poczuł znajomy ból w lędźwiach. Potem wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i zszedł z krawędzi.

Kolejny raz poczuł wdzięczność za liny, gdy poczuł, jak noga ślizga mu się na niewidocznej warstewce lodu, i westchnął głęboko z ulgą, gdy dotarł do rzeki. W porównaniu z drogą, którą właśnie przebył, pływające molo z powiązanych razem belek, chwiejące się na wartkim nurcie, zapewniało miłą stabilność. Na wzniesionej platformie, która pokrywała więcej niż połowę mola, stał szereg drewnianych budowli, podobnych do tych pod nawisem z piaskowca na skalnym występie powyżej.

Jondalar, krocząc-zamaszyście po powiązanych belkach, wymienił pozdrowienia z kilkoma mieszkańcami domków na wodzie, kierując się na skraj mola, gdzie Thonolan właśnie wchodził na jedną z uwiązanych tam łodzi. Gdy tylko weszli na pokład, łódź odbiła od mola, a załoga poczęła wiosłować pod prąd długimi wiosłami. Rozmowy ograniczano do minimum. Głęboki, wartki nurt przybrał jeszcze na sile po wiosennych

roztopach i podczas gdy rzeczni ludzie wiosłowali, ludzie Dolando wypatrywali pływających przeszkód. Jondalar przysiadł i zamyślił się nad niezwykłymi powiązaniem, jakie się wytworzyły pomiędzy Sharamudoi.

Wcześniej napotykanii ludzie mieli różne zwyczaje i sposób życia. Jondalar często się zastanawiał, co spowodowało, że obierali i tę, a nie inną drogę. U niektórych ludów następował zwyczajowy podział na zajęcia męskie i kobiece. Były one tak silnie związane z określoną płcią, że kobieta nie wykonałaby pracy uznawanej za męskie zajęcie, a żaden mężczyzna nie wzięłby się do wykonywania zajęć uważanych za kobiece. U innych ludów podział zajęć zdawał się dotyczyć wieku – młodsii ludzie wykonywali prace wymagające więcej wysiłku, a starsi – siedzące zajęcia. U niektórych ludów na kobietach spoczywała całkowita odpowiedzialność za dzieci, u innych znaczna część odpowiedzialności za wychowanie i naukę dzieci spadała na oboje rodziców, mężczyznę i kobietę.

U Sharamudoi podział nastąpił w inny sposób, wyodrębniając dwie osobne, ale powiązane z sobą grupy ludzi. Shamudoi polowali na turniach i stromych ścianach na kozice i inne zwierzęta, podczas gdy Ramudoi wyspecjalizowali się w polowaniu – jako, że to zajęcie bardziej przypominało polowanie niż łowienie ryb – na ogromne jesiotry, osięgające do trzydziestu stóp długości. Łowili również okonie, szczupaki i duże karpie. Taki podział zajęć mógł spowodować rozpad na dwa odrębne szczepy, gdyby nie to, że byli sobie wzajemnie potrzebni.

Shamudoi wynaleźli sposób obróbki skór kozic, dzięki któremu stawały się one miękkie jak aksamit. Była to tak rzadka umiejętność, że nawet szczepy zamieszkujące odległe regiony chciały z nimi prowadzić handel wymienny. Sam proces

garbowania był pilnie strzeżonym sekretem, ale Jondalarowi udało się dowiedzieć, że używano w nim oleju z pewnych ryb. Był to ważny powód, dla którego Shamudoi pozostawali w ścisłym związku z Ramudoi. Z drugiej strony, łodzie były wykonywane z dębów, do różnego rodzaju urządzeń pokładowych wykorzystywano drewno bukowe i sosnowe, a długie deski boków były zespolone cisem i wierzbą. Rzeczni ludzie potrzebowali wiedzy o lesie mieszkańców gór, aby znaleźć odpowiednie drewno.

W szczepie Sharamudoi każda rodzina Shamudoi miała swój odpowiednik wśród rodzin Ramudoi. Obie rodziny były spokrewnione przez złożone więzy rodzinne, które nie zawsze były więzami krwi. Jondalar nadal nie mógł ich wszystkich pojąć. Gdy Thonolan zostanie partnerem Jetamio, to nagle zyska on "kuzynów" wśród członków obu grup, spokrewnionych przez partnerkę Thanolana, choć on sam nie miał wśród nich prawdziwych krewnych. Nakładało to na obie strony wzajemne zobowiązania, jednakże dla niego nie będzie znaczyło nic więcej, niż używanie pewnych grzecznościowych tytułów przy zwracaniu się do znajomych spośród swych nowych krewnych.

Ponieważ nadal nie miał formalnie partnerki, mógł odejść w każdej chwili, gdyby chciał. Chociaż bardziej by się cieszone, gdyby pozostał wśród nich. Więzy łączące obie grupy były tak silne, że gdy miejsce, w którym mieszkali, stawało się zbyt przeludnione i jedna lub dwie rodziny Shamudoi postanawiały się przenieść i założyć nową jaskinię, to rodziny – będące ich odpowiednikami pośród Ramudoi – musiały się przeprowadzić razem z nimi.

Jeżeli jakaś rodzina z drugiej grupy nie chciała się przeprowadzić, a ochotę na to miała inna z rodzin, to

odprawiano specjalne obrzędy, aby wymienić więzy. Jednakże w zasadzie Shamudoi mogli obstawać przy swoim i Ramudoi byli zobowiązani podążyć za nimi, ponieważ w sprawach dotyczących stałego lądu Shamudoi mieli prawo podejmować decyzje. Ale Ramudoi także nie byli pozbawieni pewnego wpływu. Mogli odmówić przetransportowania swych krewnych Shamudoi lub poszukiwania dogodnego miejsca do osiedlenia się, jako że do nich należało podejmowanie decyzji związanych z wodą. W praktyce wszystkie decyzje o tak zasadniczym znaczeniu, jak przeprowadzka, były podejmowane wspólnie.

Wzajemne związki ulegały dalszemu zacieśnieniu dzięki specjalnym obrzędom, w wielu z nich łodzie stanowiły centralny punkt. A chociaż podejmowanie decyzji dotyczących łodzi na wodzie należało do Ramudoi, to same łodzie stanowiły również własność Shamudoi, którzy nie uchylali się od czerpania korzyści płynących z ich użytkowania – proporcjonalne do tego, co w zamian ofiarowywali. Złożone zasady mające regulować normy współżycia okazywały się na co dzień wcale nie takie skomplikowane. Wzajemne zrozumienie i poszanowanie praw, terytoriów oraz kompetencji sprawiały, że rzadko dochodziło do sprzeczek.

Łodzie budowano wspólnym wysiłkiem obu grup z bardzo praktycznego powodu. Były przy niej niezbędne materiały pochodzenia lądowego, ale była także konieczna wiedza dotycząca wody oraz sposobu poruszania się po niej. Dzięki temu Shamudoi mieli uzasadnione prawo do używanych przez Ramudoi łodzi. Zwyczaj zakazujący kobietom z obu grup pojmowania za partnera mężczyzny, który nie wniósł swego wkładu w budowę łodzi, przyczynił się do dalszego zacieśnienia więzów łączących obie grupy. Thonolan będzie musiał pomagać

przy budowie lub przebudowie łodzi, nim będzie mógł wziąć za partnerkę kobietę, którą kochał.

Jondalar także wyglądał niecierpliwie budowy łodzi. Intrygowały go te niezwykle statki; był ciekawy, jak je budowano, jak je napędzano i sterowano nimi. Wolałby jednak dowiedzieć się tego wszystkiego przy innej okazji, nie zaś z takiego powodu, że jego brat zdecydował się pozostać i wziąć za partnerkę kobietę Shamudoi. Musiał jednak przyznać, że ci ludzie od początku wzbudzali jego zainteresowanie. Łatwość, z jaką podróżowali po wielkiej rzece i polowali na ogromne jesiotry, znacznie przewyższała umiejętności spotykanych dotychczas ludzi.

Znali rzekę i wszystkie jej nastroje. On miał trudności z pojęciem, jak była wielka, dopóki nie zobaczył wszystkich jej wód płynących razem, a nie osiągnęły one jeszcze swojego najwyższego poziomu. Dopiero jednak z pokładu łodzi mógł w pełni ocenić jej rozmiary. Podczas zimy, gdy szlak wodospadów był skuty lodem i nieużyteczny, a Ramudoi nie przeprowadzili się jeszcze na górę do swych krewnych Shamudoi, stosunki towarzyskie były utrzymywane dzięki linom i dużym plecionym platformom, które kursowały pomiędzy skalnym tarasem Shamudoi, a znajdującym się poniżej molo, Ramudoi.

Gdy przybyli tu po raz pierwszy z Thonolanem, wodospady jeszcze nie były zamarznęte, ale ponieważ jego brat nie mógł się wspinać, to obaj zostali wciągnięci na górę w koszu.

Jondalar zaczął w pełni rozumieć ogrom Wielkiej Matki Rzeki, gdy po raz pierwszy spojrział na nią z perspektywy skalnego tarasu. Krew odpłynęła mu z twarzy; serce zaczęło walić jak młotem na skutek wstrząsu, jakiego doznał, gdy spojrział w dół, na wodę i góry po przeciwnej stronie rzeki. Był przestraszony i

pełen głębokiego szacunku dla Matki, której źródła uformowały rzekę w cudownym akcie stworzenia.

Potem dowiedział się, że było dłuższe, łatwiejsze, ale mniej widowiskowe wejście na wysoko położoną zatokę. Było ono częścią szlaku, który ciągnął się z zachodu na wschód przez góry i opadał w dół do szerokiej równiny rzecznej przy wschodnim krańcu przełęczy. Zachodnia część szlaku, wyżynami i podnóżami gór wiodąca do początku serii wąwozów, była bardziej nierówna i w niektórych miejscach opadała na brzeg rzeki. Kierowali się właśnie do jednego z takich miejsc.

Łódź zepchnięto ze środka nurtu w kierunku wymachującej z podnieceniem grupki ludzi, która stała na plaży pokrytej szarym piaskiem. Starszy z braci usłyszał okrzyk i rozejrzał się.

– Jondalar, patrz! – Thonolan wskazywał w górę rzeki. Środkiem nurtu podążała w ich kierunku ogromna, poznaczona ostrymi występami, błyszcząca góra lodowa. Światło przechodzące przez przezroczyste brzegi i odbijane od krystalicznych ścian otaczało monolit aureolą nierzeczywistego blasku. Wnętrze góry, pełne niebieskozielonych cieni kryło w sobie jej nie roztopione serce. Z wyćwiczoną wprawą wiosłarze zmienili tempo i kierunek, a potem delikatnie uderzając wiosłami zatrzymali łódź, aby obserwować ścianę połyskującego chłodu, która sunęła po rzece ze śmiertelną obojętnością.

– Nigdy nie odwracaj się plecami do Matki – usłyszał Jondalar słowa człowieka przed sobą.

– Powiedziałbym, że to Siostra przyniosła tę górę, Markeno – skomentował człowiek stojący obok niego.

– Jak mógł... wielki lód... tu przypłynąć, Carlono? – zapytał go Jondalar.

– Góra lodowa – wsparł go najpierw Carlono odpowiednim

słowem, a potem powiedział: – Może powstała podczas przejścia lodowca przez któreś z tych pasm górskich – i wskazał brodą w kierunku szczytów bielejących za jego plecami, jako że ponownie wrócił do wiosłowania. – Albo mogła przybyć z dalekiej północy, prawdopodobnie przyniesiona przez Siostrę. Ona jest głębsza, nie ma tak wielu kanałów – zwłaszcza o tej porze roku. Ta góra jest znacznie większa niż to, co widzisz. Duża jej część jest pod wodą.

– Trudno w to uwierzyć... góra lodowa... tak duża, dotarła tak daleko – powiedział Jondalar.

– Każdej wiosny przypływa do nas lód. Nie zawsze tak duży. Jednakże jego żywot nie będzie zbyt długi, bo lód jest już kruchy. Jedno dobre uderzenie i rozpadnie się, a w dolnym biegu środkowego kanału jest kamień tuż pod powierzchnią wody. Nie myślę, aby ta góra lodowa przedostała się za przełęcz – dodał Carlono.

– Jedno dobre uderzenie i to my byśmy się rozpadli – powiedział Markeno. – Dlatego nigdy nie odwracaj się plecami do Matki.

– Markeno ma rację – powiedział Carlono. – Nie sądz nigdy, że ją już dobrze poznałeś. Ta rzeka potrafi o sobie przypomnieć w bardzo niemiły sposób.

– Znam kobiety, które zachowują się podobnie, czyż nie, Jondalarze?

Jondalar pomyślał nagle o Maronie. Porozumiewawczy uśmiech na twarzy brata uprzytomnił mu, że to ją Thonolan miał na myśli. Od pewnego czasu nie myślał o kobiecie, która miała nadzieję zostać jego partnerką podczas Letniego Spotkania. Przeszył go ostry skurcz tęsknoty na myśl, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Była piękną kobietą. Ale Serenio również była piękna,



pomyślał, może powinienęś ją poprosić. Pod pewnymi względami jest lepsza od Marony. Serenio była od niej starsza, ale jego często pociągały starsze kobiety. Dlaczego by po ceremonii Thonolana nie wziąć jej za partnerkę i zostać tutaj?

Jak długo już jesteśmy w drodze? Więcej niż rok – Jaskinię Dalanara opuściliśmy zeszłej wiosny. I Thonolan nie będzie chciał wracać. Wszyscy są podnieceni nim i Jetamio – może powinienęś poczekać, Jondalarze, powiedział sam do siebie. Nie chcesz przecież odciągać uwagi od ich dnia... i Serenio mogłaby pomyśleć, że to tylko myśl po niewczasie... Później...

– Czemu zajęło to wam tyle czasu? – zawołał głos z brzegu. – Czekaliśmy na was, a przebyliśmy długą drogę szlakiem.

– Musieliśmy znaleźć tych dwóch. Zdaje się, że próbowali się ukryć – odparł Markeno ze śmiechem.

– Teraz już za późno, aby się ukryć, Thonolanie. Już cię złapano na haczyk! – powiedział człowiek z brzegu, brodząc za Jetamio, aby złapać łódź i pomóc przybić im do brzegu. Udawał, że rzuca harpunem i podrywa go z powrotem, aby haczyk dobrze się zaczepił. Jetamio się zaczerwieniła, a potem uśmiechnęła.

– No cóż, Barono, musisz przyznać, że dobra z niego zdobycz. – Ty dobry rybak – włączył się Jondalar. – Przedtem zawsze uciekał.

Wszyscy się roześmieli. Choć jego znajomość języka nie była jeszcze doskonała, to cieszyli się, że przyłączył się do żartów. A on rozumiał o wiele lepiej, niż mówił.

– A na co mógłby się złapać taki wielki kasek, jak ty, Jondalarze – zapytał Barono.

– Na odpowiednią przynętę! – zażartował Thonolan, uśmiechając się do Jetamio.

Łódź wciągnięto na wąską plażę pokrytą żwirem i piaskiem.

Załoga wyszła na brzeg, a łódź podniesiono i wniesiono po zboczu na dużą polanę pośród gęstego dębowego lasu. To miejsce najwyraźniej było używane od lat. Na ziemi wały się polana i kawałki drewna – było go pod dostatkiem na potrzeby paleniska pod dużym zadaszeniem – które musiały leżeć tu już tak długo, że zaczęły butwieć. Prace przebiegały w kilku miejscach. W każdym z nich znajdowała się łódź w pewnym stopniu wykończenia.

Łódź, którą przypłynęli, położono na ziemi i nowo przybyli pospieszyli ku nęcącemu ciepłu ognia. Kilku innych ludzi przerwało pracę i przyłączyło się do nich. Aromatyczny napój ziołowy parował z korytka wydrążonego z kłody drewna. Szybko je opróżniono, czerpiąc płyn miseczkami. W pobliżu leżał stos owalnych kamieni do grzania, przyniesionych z brzegu rzeki, a za kłodą, na środku mulistego potoku, leżała kupa mokrych liści.

Korytko opróżniono i zabrano się do powtórnego napełnienia. Dwoje ludzi przewróciło je do góry dnem, aby wylać resztki poprzedniej porcji napoju, a tymczasem trzecia osoba wkładała do ognia kamienie. Dbano o to, aby cały czas był w korytku napój, aby każdy, kto miał ochotę, mógł sobie go miseczką zaczerpnąć. Kamienie trzymane w ogniu, żeby podgrzać napój, gdy wystygnie. Po żartach i kpinach z pary, mającej zostać partnerami, zebrani odstawili swe drewniane miseczki lub ciasno splecione koszyczki i wrócili do różnorodnych zajęć. Wprowadzenie Thonolana w tajniki budowy łodzi zaczęło się od pewnej ciężkiej, ale nie wymagającej wielkiego doświadczenia, pracy: od zrąbania drzewa.

Jondalar rozmawiał z przywódcą Ramudoi, Carlono, na ulubiony temat, czyli o łodziach, i zamęczał swego rozmówcę coraz to nowymi pytaniami.

– Jakie drzewo robić dobre łodzie? – zapytał Jondalar. Carlono, zadowolony z siebie i z zainteresowaniem najwyraźniej inteligentnego młodego człowieka, zaczął wyjaśniać z ożywieniem.

– Najlepszy jest zielony dąb. Jest twardy, ale giętki; mocny, ale nie za ciężki. Po wyschnięciu traci swą giętkość, ale można ścinać go zimą i przechowywać kłody w stawie lub bagnisku przez rok, a nawet dwa lata. Po dłuższym czasie zbyt nasiąknie wodą i będzie trudno go obrabiać, a zrobione z niego łodzie, będą miały trudności z zachowaniem równowagi na wodzie. Ale najważniejszy jest wybór właściwego drzewa. – Carlono w czasie mówienia szedł w kierunku lasu.

– Dużego? – zapytał Jondalar.

– Nie chodzi tylko o wielkość. Na dno i deski potrzebne są wysokie drzewa o prostych pniach. – Carlono poprowadził wysokiego Zelandonii do zagajnika ciasno rosnących drzew. W gęstych lasach drzewa rosną wysoko w poszukiwaniu słońca...

– Jondalar! – Starszy brat spojrział w górę zaskoczony głosem Thonolana, który stał wraz z kilkoma ludźmi wokół wielkiego dębu, otoczonego przez inne wysokie i proste drzewa, których konary rozpościerały się daleko od pni. – Jak się cieszę, że cię widzę! Twój mały brat może potrzebować twojej pomocy. Wiesz, że nie mogę wziąć Jetamio za partnerkę, dopóki nie zostanie zbudowana nowa łódź, a to drzewo – wskazał na wysokie drzewo musi być ścięte na “poszycie łodzi”, choć nie wiem, co to ma być. Popatrz tylko na rozmiary tego mamuta! Nie wiedziałem, że drzewa mogą urosnąć tak wielkie – ścięcie jego zajęłoby całą wieczność. Starszy bracie, zestarzeję się, nim będę miał partnerkę.

Jondalar się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Na poszycie składają się deski, z których się robi burty większych łodzi. Jeżeli masz być jednym z Sharamudoi, to powinieneś o tym wiedzieć.

– Będę Shamudoi. Łodzie pozostawię Ramudoi. Polowanie na kozice to coś, na czym się znam. Polowałem na dzikie kozy i muflony na górskich łąkach. Pomożesz? Przydadzą nam się wszyscy.

– Zdaje się, że będę musiał, nie chciałbym, aby biedna Jetamio czekała, aż się zestarzejesz. A poza tym ciekawe będzie zobaczyć, jak to się robi – powiedział Jondalar, odwracając się do Carlono i dodając w języku Sharamudoi: – Pomóc Jondalarowi ściąć drzewo. Więcej rozmawiać potem?

Carlono przystał na to z uśmiechem i cofnął się przed pierwszymi kawałkami odrąbywanej kory. Ale nie został długo. Powalenie leśnego olbrzyma zajmie większość dnia, a nim w końcu padnie, wszyscy zgromadzą się wokół niego.

Odrąbywano małe kawałki, zagłębiając się ukośnie powyżej poziomego nacięcia. Kamiennie siekiery nie cięły zbyt głęboko. Ostrze, aby było wytrzymałe, musiało być odpowiednio grube i dlatego nie wchodziło zbyt głęboko w drewno. Gdy posuwali się w kierunku środka wielkiego drzewa, ich praca bardziej zaczynała przypominać wgryzanie się niż rąbanie, ale każdy odrzucony kawałek drewna zbliżał ich do serca wiekowego olbrzyma.

Dzień się już kończył, gdy Thonołanowi przekazano siekiere. Wszyscy, którzy pracowali, zebrali się dookoła, a on wykonał kilka ostatecznych cięć i uskoczył do tyłu, gdy usłyszał trzask, i dostrzegł, że potężny pień się chwieje. Z początku wysoki dąb przechylał się wolno, nabierając jednak rozpędu w miarę jak się przewracał. Oblamując konary sąsiednich olbrzymów i

przewracając razem z sobą mniejsze z drzew, stary olbrzym, pokonując z trzaskiem ich opór, zwałił się z łoskotem na ziemię. Podskoczył, potem zadrżał i zastygł w bezruchu.

W lesie zapanowała cisza; nawet ptaki umilkły jakby w głębokim szacunku. Majestatyczny stary dąb został powalony, oddzielony od swych żyjących korzeni, jego pniak pozostawił otwartą ranę w oniemiałej ziemi cienistego lasu. Potem, z cichym dostojeństwem, Dolando klęknął obok poszarpanego pnia i wygrzebał gołą ręką mały dołek. Wrzucił do niego żołądz.

– Błogosławiona Mudo, przyjmij naszą ofiarę i daj życie nowemu drzewu – powiedział, po czym przysypał nasienie i wylał na to miejsce miseczkę wody.

Słońce chyliło się już ku zamglonemu horyzontowi i złociło strumienie chmur, gdy ruszyli długim szlakiem w górę do położonego wysoko skalnego tarasu. Nim dotarli do pradawnej zatoki, kolory nieba zdążyły ze złocistych i brązowych przejść w czerwień, a potem w blady fiolet. Kiedy obeszli występ skalny, Jondalar zatrzymał się poruszony pięknem rozciągającego się przed nim widoku. Zrobił kilka kroków wzdłuż krawędzi, pozostając pod jego wrażeniem i jeszcze raz spojrzął w stromą przepaść. W spokojnej i wezbranej Wielkiej Matce Rzece odbijało się pulsujące kolorami niebo i rzucające cień góry, wznoszące się po przeciwnej stronie, a gładką powierzchnię ożywiały wartki nurt.

– Czyż nie jest piękna?

Jondalar odwrócił się na dźwięk głosu i uśmiechnął do kobiety, która szła w górę obok niego.

– Tak. Piękna, Serenio.

– Dziś wieczorem wielka uczta, aby uczcić Jetamio i Thonolana. Czeka ją – powinienes przyjść.

Odwróciła się, żeby odejść, ale on ujął jej dłoń, zatrzymał i przyglądał się, jak ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w jej oczach.

Była w niej potulna delikatność, wieczne przyzwolenie, które nie miało nic wspólnego z wiekiem – była jedynie kilka lat starsza od niego. Nie była to jednak ustępliwość. Ona po prostu niczego nie żądała, niczego się nie spodziewała. Śmierć jej pierwszego partnera, także jej drugiej miłości, nim zdążyła zostać jego partnerką, i poronienie drugiego dziecka, które miało błogosławić ich związek, nappełnił ją głębokim żalem. Ucząc się z tym żyć, rozwinęła w sobie umiejętność wchłaniania bólu innych. Ze wszystkimi zmartwieniami i rozczarowaniami ludzie zwracali się do niej i zawsze czuli ulgę, ponieważ ona nigdy nie obarczała ich ciężarem zobowiązania za swą litość.

Ponieważ wywierała uspokajający wpływ na oszalałych z miłości ludzi lub bojaźliwych chorych, często towarzyszyła Shamudowi i przy tej okazji nabrała pewnej biegłości w sztuce uzdrawiania. W ten sposób Jondalar ją poznał, gdy pomagała uzdrowicielowi pielęgnować Thonolana i przywrócić mu zdrowie. Gdy brat stanął o własnych siłach i powrócił do zdrowia na tyle, aby móc się przeprowadzić do ogniska Dolando i Roshario, a w szczególności Jetamio, to Jondalar przeprowadził się do Serenio i jej syna, Darvo. Nie pytał o zgodę. A ona tego od niego nie oczekiwała.

Jej oczy zawsze zdają się odbiciem jej serca, pomyślał, gdy się pochylił, aby ją delikatnie ucałować na powitanie, zanim ruszyli w kierunku świecącego ognia. Nigdy nie zaglądał w ich głębię. Odsuwał od siebie natrętą myśl, iż był jej za to wdzięczny. Zdawało się, że znała go lepiej od niego samego; wiedziała o tym, że on nie potrafi całkowicie się oddać, zakochać się tak, jak to

uczynił Thonolan. Wydawała się nawet wiedzieć, że kochając się z nią z taką doskonałą wprawą, iż traciła oddech, starał się wynagrodzić jej brak głębszego uczucia. Ona się zgadzała na to, tak jak się zgadzała na jego przyływy złego nastroju, nie obarczając go za to winą.

Nie była powściągliwa – uśmiechała się i rozmawiała beztrosko – była jedynie opanowana i nie całkowicie zamknięta w sobie. Jedynie wtedy, gdy patrzyła na swego syna, udawało się Jondalarowi dostrzec w jej spojrzeniu błysk czegoś więcej.

– Dlaczego to tak długo trwało? – zapytał chłopiec z ulgą na ich widok. – Jesteśmy gotowi zacząć jeść, ale wszyscy czekali na ciebie.

Darvo widział Jondalara i matkę stojących na odległej krawędzi, ale nie chciał im przeszkadzać. W pierwszej chwili był niechętny temu, aby jego matka jeszcze komuś poświęcała swą uwagę. Ale przekonał się, że zamiast dzielić się z kimś czasem swojej matki, zyskał teraz dodatkową osobę, która się nim interesowała. Jondalar rozmawiał z nim, opowiadał mu o swych przygodach w podróży, rozprawiał o polowaniu i sposobie życia swego ludu i wysłuchiwał go z nie udawanym zaciekawieniem. Jeszcze bardziej pociągające było to, że Jondalar zaczął zaznajamiać go z pewnymi technikami wykonywania narzędzi, które chłopiec chłonał z zaskakującą ich obu łatwością.

Chłopiec był uszczęśliwiony, gdy brat Jondalara postanowił wziąć za partnerkę Jetamio, i pozostać, ponieważ miał gorącą nadzieję, iż może Jondalar również postanowi zostać, i weźmie za partnerkę jego matkę. Bardzo świadomie starał się im nie przeszkadzać, gdy byli razem, próbując na swój własny sposób nie hamować ich zażyłości. Nie zdawał sobie sprawy, że on sam bardziej niż co innego ją cementował.

Prawdę mówiąc, ta myśl nie opuszczała Jondalara cały dzień. Przyglądał się teraz bacznie Serenio. Miała włosy jaśniejsze niż syn. Nie była szczupła, ale sprawiała takie wrażenie, ponieważ była wysoka. Należała do tych nielicznych kobiet, które sięgały mu do brody, a on stwierdził, że to bardzo dogodny wzrost. Matka i syn byli do siebie bardzo podobni, mieli nawet takie same orzechowe oczy, jednakże chłopcu brakowało spokoju matki. Ona miała także a piękne, delikatne rysy.

Mógłbym być z nią szczęśliwy, pomyślał. Dlaczego jej po prostu nie poprosić? I w tym momencie naprawdę jej pragnął, pragnął żyć razem z nią.

– Serenio?

Spojrzała na niego i jej oczy uwięził magnetyzm jego niewiarygodnie błękitnych oczu. Widziała w nich jego pragnienia i pożądanie. Siła jego charyzmy – nieświadomej, a tym samym jeszcze potężniejszej – zaskoczyła ją niespodzianie i przebiła się przez ochronną barierę lekkiego dystansu, którą wzniosła, aby ustrzec się przed bólem. Stała otwarta, podatna na atak, pochłonięta uczuciem niemal wbrew swej woli.

– Jondalar... – W jej głosie znać było całe oddanie.

– Ja... dużo dziś myśleć. – Walczył ze swym nieporadnym językiem. Potrafił wyrazić większość myśli, ale miał trudności z mówieniem o sobie. – Thonolan... mój brat... Daleko raz podróżować. Teraz on kochać Jetamio, chceć zostać. Jeśli ty... ja chcę...

– Chodźcie tu oboje. Wszyscy są głodni, i jedzenie... – Thonolan przerwał, gdy spostrzegł, że tamci stoją zapatrzeni w siebie.

– Uch... przepraszam, bracie. Zdaje się, że w czymś wam przeszkodziłem.

Cofnęli się, nastrój chwili prysł.



– Nie szkodzi, Thonolanie. Nie powinniśmy byli kazać na siebie wszystkim czekać. Możemy porozmawiać później – powiedział Jondalar.

Gdy spojrział na Serenio, ta wydawała się zaskoczona i zakłopotana chwilą swej słabości – siliła się, by odzyskać ponownie swe opanowanie.

Przeszli na miejsce pod nawisem z piaskowca. Poczuli ciepło bijące od dużego ogniska rozpalonego na centralnym palenisku. Na ich widok wszyscy zajęli miejsca wokół Thanolana i Jetamio, którzy stali na środku, tuż przy ognisku. Uroczystość Przyrzeczenia oznaczała początek rytualnego okresu, który zakończą uroczystości zawarcia związku. W ciągu tego czasu wzajemne kontakty młodych będą ograniczane.

Parę otaczał krąg życzliwych im ludzi, dając poczucie wspólnoty. Młodzi podali sobie dłonie, patrząc sobie w oczy, by ogłosić światu swoją radość i swe wzajemne oddanie. Shamud wyszedł do przodu. Jetamio i Thanolan klęknęli, aby uzdrowiciel i duchowy przywódca mógł nałożyć im na głowy korony ze świeżo splecionych gałązek głogu. Poprowadził ich, nadal trzymających się za ręce, dookoła ognia i zgromadzonych ludzi trzy razy, a potem zaprowadził ich z powrotem na miejsce, zamykając koło, które symbolizowało przyzwolenie Jaskini Sharamudo i na ich miłości.

Shamud odwrócił się do nich twarzą i z uniesionymi ramionami przemówił:

– Koło zaczyna się i zamyka w tym samym miejscu. Życie jest jak koło, które zaczyna się i kończy na Wielkiej Matce; Pierwszej Matce, która w swej samotności stworzyła całe życie. Dźwięczny głos wznosił się z łatwością ponad milczące zgromadzenie i trzeszczące płomienie. – Błogosławiona Mudo jest naszym

początkiem i końcem. Z niej pochodzimy; do niej wrócimy. Ona nam sprzyja na wszelkie sposoby. Jesteśmy jej dziećmi, całe życie bierze z niej początek. Nie szczędzi nam swej obfitości. Z jej ciała pochodzą środki do życia: pożywienie, woda i schronienie. Z jej duszy pochodzą dary mądrości i ciepła: talenty i umiejętności, ogień i przyjaźń. Ale jej największym darem jest miłość. Wielka Matka Ziemia cieszy się ze szczęścia swych dzieci. Raduje się naszymi rozkoszami i dlatego ofiarowała nam swój cudowny Dar Rozkoszy. Czcimy ją, okazujemy jej nasz szacunek, gdy dzielimy się jej darem. Błogosławionym spośród nas ofiarowała swój największy dar, obdarzając ich swą cudowną mocą tworzenia życia. – Shamud spojrział na młodą kobietę i mówił dalej:

– Jetamio, jesteś jedną z błogosławionych. Jeżeli każdym swym postępkim będziesz czcić Mudo, to możesz być nagrodzona Darem Życia Matki i urodzisz dziecko. Jako że dusza życia, które wydasz na świat, pochodzi tylko od Wielkiej Matki. – Przerwał na chwilę i zwrócił się do mężczyzny:

– Thonolanie, składając przyrzeczenie zapewnienia opieki, stajesz się niczym Ta, która zapewnia byt nam wszystkim. Uczczona w ten sposób może cię wynagrodzić także mocą tworzenia, tak aby dziecko urodzone przez tę, o którą dbasz, lub inną błogosławioną przez Mudo, miało twą duszę. – Shamud spojrział na zgromadzonych.

– Każdy z nas, gdy nawzajem o siebie dbamy i zapewniamy sobie środki do życia, czci Matkę i jest błogosławiony jej płodnością. Thonolan i Jetamio uśmiechnęli się do siebie, gdy Shamud cofnął się i usiadł na gładkich matach. To był znak do rozpoczęcia uczyty. Najpierw młodej parze podano łagodny napój alkoholowy zrobiony z kwiatów mniszka i miodu, który fermentował od zeszłej pełni księżyca. Potem napój podano

pozostałym uczestnikom biesiady.

Nęące zapachy uświadomiły wszystkim, jak ciężko pracowali tego dnia. Nawet ci, którzy zostali na górnym tarasie, mieli pełne ręce pracy, co było widać po wniesieniu pierwszych cudownie aromatycznych dań. Markeno i Tholie, odpowiadająca im rodzina ze strony Ramudoi, zaprezentowali Thonolanowi i Jetamio rybę, złapaną tego ranka w pułapkę, i upieczoną w pobliżu otwartego ognia. Jako sos podano rozgotowany i rozbity na miazgę ostry szczawik zajęczy.

To był nowy dla Jondalara smak, ale natychmiast przypadł mu do gustu i doskonale pasował do ryby. W uzupełnieniu podawano sobie koszycki z drobnymi przekąskami. Gdy Tholie uwiła, zapytał, co to takiego.

– Bukowe orzeszki, zebrane zeszłej jesieni – powiedziała i poczęła mu szczegółowo wyjaśniać, jak odarto je z łupinki ostrymi małymi krzemiennymi ostrzami, potem ostrożnie prażono w płaskich koszach z gorącymi kamykami, potrząsając nimi, aby zapobiec przypaleniu, i w końcu obtoczono je w morskiej soli.

– Tholie przyniosła sól – powiedziała Jetamio. – To była część jej wiana.

– Wielu Mamutoi żyć w pobliżu morza, Tholie? – zapytał Jondalar.

– Nie, nasz obóz był jednym z najbliższych Morza Beram. Większość Mamutoi żyje dalej na północ. Mamutoi są łowcami mamutów – powiedziała z dumą. – Każdego roku podróżujemy na północ, by polować.

– Jak ty wziąć za partnerkę kobietę Mamutoi? – zapytał jasnowłosa Zelandonii Markeno.

– Porwałem ją – odparł, mrugając do pulchnej kobiety. Tholie

się uśmiechnęła.

– To prawda – powiedziała. – Oczywiście wszystko było zaplanowane.

– Poznaliśmy się, gdy się udałem na wschód z wyprawą handlową. Podróżowaliśmy aż do delty Matki Rzeki. To była moja pierwsza wyprawa. Nie obchodziło mnie, czy ona była Sharamudoi czy Mamutoi, nie wróciłbym bez niej.

Markeno i Tholie opowiedzieli o kłopotach, jakie wiązały się z ich decyzją zostania partnerami. Porozumienie osiągnięto poprzez długie negocjacje, a wtedy on musiał ją “porwać”, aby obejść pewne zwyczaje. Ona była więcej niż chętna; bez jej zgody nie mogłoby dojść do zawarcia związku. Zdarzały się takie sytuacje i chociaż nie były powszechne, to jednak podobne związki mogły już potem zaistnieć.

Ludzi było niewiele i zamieszkiwali tak rozległe tereny, że rzadko dochodziło do wzajemnego naruszania terytoriów. Sporadyczne kontakty z przypadkowymi przybyszami były zatem czymś nowym niecodziennym wydarzeniem. Na początku nieufni ludzie byli jednak zwykle przyjaźnie nastawieni wobec innych i do powszechnych zwyczajów należało serdeczne powitanie gości. Ludzie zajmujący się łowiectwem byli przyzwyczajeni do dalekich podróży, często wędrując sezonową regularnością za przemieszczającymi się stadami zwierząt. Wśród nich samotne podróże miały długą tradycję.

Przy bardziej zażyłych stosunkach częściej dochodzi do nieporozumień. Niesnaski, jeżeli w ogóle się zdarzały – to w obrębie wspólnoty. Gorące temperamenty były ograniczone regułami postępowania, najczęściej ustalonymi przez rytualne zwyczaje aczkolwiek te zwyczaje nie były skostniałe. Sharamudoi i Mamutoi utrzymywali dobre stosunki handlowe. W ich

zwyczajach i językach istniały pewne podobieństwa. Dla pierwszych Wielka Matka Ziemia była Mudo dla drugich była Mut, ale w obu przypadkach była Bóstwem, Pierwotnym Przodkiem i Pierwszą Matką.

Mamutoi byli ludźmi o silnych osobowościach, cechowała ich otwartość i przyjazny stosunek do innych ludzi. Jako grupa nie obawiali się nikogo, byli przecież łowcami mamutów. Byli gwałtowni, pewni siebie, trochę naiwni. Choć dyskusje zdawały się Markeno nudzić, to znalezienie sposobu, aby zawrzeć związek partnerski, nie stanowiło problemu nie do przezwyciężenia.

Sama Tholie była typowym przykładem swego ludu: otwarta, przyjazna, przekonana, że wszyscy ją lubią. Naprawdę jednak niektórzy nie mogli znieść jej żywiołowej otwartości. Ale nikt nawet nie próbował się bronić, gdy zadawała najbardziej osobiste pytania, odkąd stało się jasne, że nie było w tym ukrytych złośliwości. Ją to po prostu interesowało i nie widziała powodu, aby powściągać swoją ciekawość.

W pewnym momencie podeszła do nich dziewczyna z niemowlęciem na ręku.

– Shamio się obudziła, Tholie. Myślę, że jest głodna.

Matka skinęła jej w podziękowaniu i przystawiła dziecko do piersi niemal nie przerywając rozmowy i ucztowania. Podawano kolejne przekąski: marynowane skrzydlate nasiona jesionu, namoczone w słonej wodzie, i świeże rzepniki. Małe bulwy przypominały w smaku dziką marchewkę, słodkie orzeszki ziemne, które znał Jondalar, ale rzodkiewka i jej ostry smak były dla niego niespodzianką. Ten pikantny smak należał do ulubionych przez tutejszych ludzi, lecz Jondalar nie był pewny, czy go polubi. Dolando i Roshario przynieśli młodej parze

następne dary – tłustą duszoną koźlinę i ciemnoczerwone wino z czarnych jagód.

– Uważałem, że ryba była pyszna – powiedział Jondalar do brata – ale to duszone mięso jest znakomite!

– Jetamio mówiła, że to tradycyjna potrawa. Doprawiana suszonymi liśćmi bagiennej mirty. Jej kora jest używana przy garbowaniu skór kozic – to dlatego mają taki żółty kolor. Rośnie na bagniskach, szczególnie tam, gdzie Siostra łączy się z Matką. Miałem szczęście, że zeszłej jesieni wyruszyli, aby ją zbierać, w przeciwnym razie nigdy by nas nie znaleźli.

Na wspomnienie tego czasu Jondalar zmarszczył czoło.

– Masz rację, mieliśmy szczęście. Nadal pragnę odpłacić się jakoś za to tym ludziom. – Czoło zmarszczyło mu się jeszcze bardziej, gdy przypomniał sobie, że jego brat zostaje jednym z nich.

– To wino jest prezentem Jetamio – powiedziała Serenio. Jondalar sięgnął po swoją miseczkę, pociągnął łyk i kiwnął głową.

– Jest dobre. Dużo dobre.

– Bardzo dobre – poprawiła Tholie. – Jest bardzo dobre. – Nie krępowała się poprawiać jego mowy; sama nadal miała jeszcze pewne trudności z językiem i uważała, że powinien starać się mówić w miarę poprawnie.

– Bardzo dobre – powtórzył, uśmiechając się do niskiej, krępej kobiety z dzieckiem przy swej bujnej piersi. Lubił jej szczerą i bezpośredniość, dzięki której tak łatwo przełamywała nieśmiałość i powściągliwość innych. Odwrócił się do swego brata. – Ona ma rację, Thonolanie. To wino jest bardzo dobre. Nawet matka by to przyznała, a nikt nie robi lepszego wina niż Marthona. Myślę, że zgodziłaby się na Jetamio. – Jondalar zaraz

pożałował, że to w ogóle powiedział. Thonolan przecież nigdy nie zabierze swojej partnerki na spotkanie z matką; prawdopodobnie nigdy nie zobaczy już Marthony.

– Jondalar, powinienes mówić w języku Sharamudoi. Nikt cię nie rozumie, gdy mówisz językiem Zelandonii, i będziesz się szybciej uczył, jeżeli cały czas będziesz starał się mówić w nowym języku – powiedziała Tholie, pochylając się do przodu z zaaferowaniem. Wiedziała to przecież z własnego doświadczenia.

Jondalar poczuł się zakłopotany, lecz nie mógł się o to na nią gniewać. Tholie mówiła to tak szczerze, i rzeczywiście nie było grzecznie z jego strony mówić w języku, którego nikt nie rozumiał. Zaczerwienił się, ale jednocześnie na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Tholie zauważyła zmieszanie Jondalara, a ponieważ jej szczerść nie płynęła z zarozumiałości, chciała w jakiś sposób naprawić swój nietakt.

– A może tak nauczylibyśmy się wzajemnie naszych języków? Możemy zapomnieć naszej mowy, gdy nie będziemy mieli z kim co jakiś czas porozmawiać. Zelandonii brzmi tak melodyjnie, nauczę się go z przyjemnością. – Uśmiechnęła się do Jondalara i Thopolana. – Każdego dnia poświęcimy na to trochę czasu – ustaliła, jakby zgoda wszystkich była oczywista.

– Tholie, ty możesz mieć ochotę na naukę języka Zelandonii, ale oni mogą nie mieć ochoty na naukę języka Mamutoi – powiedział Markeno. – Nie przyszło ci to do głowy?

Teraz ona się zaczerwieniła.

– Nie, nie pomyślałam o tym – powiedziała jednocześnie zaskoczona i boleśnie rozczarowana, zdając sobie nagle sprawę ze swojej zarozumiałości.

– Ja chcę się nauczyć języka Mamutoi i Zelandonii. Myślę, że to dobry pomysł – powiedziała stanowczo Jetamio.

– Ja też myślę dobry pomysł, Tholie – powiedział Jondalar. – Ależ my razem tworzymy mieszankę. Połowica Ramudoi jest częścią ludu Mamutoi, a połowicą Shamudoi będzie przedstawiciel ludu Zelandonii – powiedział Markeno, uśmiechając się czule do swej partnerki.

Uczucie, jakie do siebie żywili, było widoczne jak na dłoni. Dobrana z nich para, pomyślał Jondalar, ale nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Markeno był tego wzrostu co on, choć nie tak muskularny, i gdy stał obok swojej partnerki, to kontrast w ich budowie był jeszcze bardziej wyrazisty: Tholie zdawała się niższa i pełniejsza, a Markeno wyższy i szczuplejszy.

– Czy można się do was przyłączyć? – zapytała Serenio. Interesowałoby mnie nauczanie się języka Zelandonii i myślę, że Darvo przydałaby się znajomość języka Mamutoi, jeżeli będzie chciał kiedyś wyruszyć na handlową wyprawę.

– Dlaczego nie? – roześmiał się Thonolan. – Wszystko jedno, czy podróżujesz na wschód, czy na zachód, znajomość języków jest pomocna. – Spojrzał na swego brata. – Ale nawet gdy ich nie znasz, nie przeszkodzi ci to w rozumieniu pięknej kobiety, prawda, Jondalarze? Szczególnie jeżeli się ma duże błękitne oczy – powiedział w języku Zelandonii z uśmiechem.

Jondalar uśmiechnął się z żartu swego brata.

– Powinno mówić Sharamudoi, Thonolan – powiedział, mrugając do Tholie. Nabił na nóż warzywo ze swej drewnianej miski, bo nadal nie czuł się zbyt pewnie, używając do tego celu lewej ręki, tak jak to było w zwyczaju u Sharamudoi. – Jak nazywać to? – zapytał. – W języku Zelandonii jest nazywane “grzyb”.



Tholie powiedziała słowo oznaczające nazwę grzyba o mięsistym kapeluszu w swoim języku i języku Sharamudoi. Potem Jondalar nadział na nóż zieloną łodyżkę i podniósł ją pytającym gestem.

– To łodyga młodego łopianu – powiedziała Jetamio i zdała sobie sprawę, że samo słowo ma dla niego niewielkie znaczenie. Podniosła się, podeszła do stosu odpadków leżących w pobliżu miejsca do gotowania i przyniosła jakieś zwiędnięte, ale nadal rozpoznawalne liście. – Łopian – powiedziała, pokazując mu duży, włochaty, zielonoszary liść oderwany od łodygi. Potem wyciągnęła długi, szeroki, zielony liść o nie budzącym wątpliwości zapachu.

– Otóż to! Wiedziałem, że był tu jakiś znajomy smak – powiedział do brata. – Nie wiedziałem, że czosnkowi wyrastają takie liście. – Potem zwrócił się do Jetamio. – Jak się nazywać?

– Ransoms – powiedziała. Tholie nie miała w języku Mamutoi dla niego nazwy, ale potrafiła nazwać kawałek suchego liścia, który następnie Jetamio wyciągnęła.

– Wodorost morski – rzekła. – Przyniosłam je z sobą. Rosną w morzu i używa się ich do zagęszczania potraw. – Próbowала to wyjaśnić, ale nie była pewna, czy ją rozumieją. Ten składnik został dodany do tradycyjnych potraw, z powodu bliskich związków Tholie z nową parą i ponieważ dawał dobry smak i gęstość. – Nie zostało ich już wiele. To była część mojego prezentu. – Tholie przełożyła dziecko przez ramię i poklepała jej po plecach. – Czy złożyłaś już swój dar dla Błogosławionego Drzewa, Tamio?

Jetamio pochyliła głowę, uśmiechając się z zawstydzeniem. To było pytanie, którego nie zadawało się zwykle wprost, ale nie było bardzo wścibskie.

– Mam nadzieję, że Matka pobłogosławi mój związek dzieckiem równie zdrowym i szczęśliwym jak twoje, Tholie. Czy Shamio już skończyła jeść?

– Ona lubi ssać dla samej przyjemności. Wisiałaby tak cały dzień, gdybym jej na to pozwoliła. Masz ochotę ją potrzymać? Muszę się oddalić.

Gdy Tholie wróciła, rozmowa się toczyła wokół innego tematu. Jedzenie uprzątnięto, podano więcej wina i ktoś ćwiczył uderzenia na obciągniętym skórą bębnie, wystukując melodię. Gdy Tholie odebrała swe niemowlę, Thonolan i Jetamio wstali i próbowali odejść. Ale zostali otoczeni przez grupkę uśmiechniętych szeroko ludzi.

Nieraz para, która miała zawrzeć związek, opuszczała wcześniej ucztę, aby spędzić razem ostatnie chwile przed przymusowym rozdzieleniem, trwającym aż do uroczystego połączenia. Ponieważ jednak byli honorowymi gośćmi, to grzeczność wymagała, żeby nie odchodzili, dopóki ktoś z nimi rozmawia. Musieli próbować wyśliznąć się niepostrzeżenie, choć oczywiście wszyscy i tak o tym wiedzieli. Przybierało to formę zabawy i oczekiwano od nich odegrania swej roli – uciekania chyłkiem, gdy wszyscy udają, że patrzą na bok, a potem grzecznie przeproszać, gdy zostaną złapani. Pozwoli im się odejść, kiedy już wszyscy się z nimi trochę podroczą i pożartują.

– Chyba nie spieszno wam odejść? – zapytano Thonolana. – Robi się późno – wykręcał się Thonolan z uśmiechem. – Jeszcze wcześniej. Weź sobie jeszcze jedną porcję, Tamio. – Nie przełknę już ani kęsa.

– To może miseczkę wina. Thonolan, nie odmówisz chyba miseczki wspaniałego wina z jagód?

– No cóż... może odrobinę.

– Trochę dla ciebie, Tamio?

Jetamio przysunęła się bliżej do Thonolana i rzuciła za siebie ukradkowe spojrzenie.

– Jedynie łyk, ale ktoś musi przynieść nasze miski. Są tam.

– Oczywiście. Poczekacie tu, prawda?

Jedna z osób poszła po miseczki, podczas gdy pozostali obserwowali parę. Thonolan i Jetamio uciekli w mrok za ogniskiem. – Thonolan. Jetamio. Myślałem, że napijecie się z nami wina. – Ależ napijemy się. Musimy jedynie się na chwilę oddalić. Wiecie, jak to jest po obfitym posiłku – wyjaśniła Jetamio. Jondalar, stojąc blisko Serenio, miał wielką ochotę, aby podjąć wcześniejszą rozmowę. Z przyjemnością uczestniczyli w tej zabawie. Pochylił się bliżej niej, żeby porozmawiać na osobności, poprosić, aby odeszła, gdy tylko wszyscy zmęczą się tą zabawą i pozwolą odejść młodej parze. Jeżeli miał jej złożyć obietnicę, to musiał to uczynić teraz, nim powstrzyma go znowu wewnętrzny opór.

Nastroje były wspaniałe – czarne jagody były szczególnie słodkie ostatniej jesieni i wino było mocniejsze niż zwykle. Ludzie kręcili się dookoła, przekomarzając się ze śmiechem z Thonolanem i Jetamio. Ktoś zaczął śpiewać. Ktoś inny chciał podgrzać potrawkę; ktoś jeszcze nastawił wodę na napój. Dzieci się goniły, nie zmęczone na tyle, by iść spać. Zaczynało się powoli robić małe zamieszanie.

Wtem krzyczące dziecko wpadło na mężczyznę, który niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Ten zachwiał się i uderzył w kobietę niosącą miseczkę gorącego płynu właśnie wtedy, gdy wybuchnęła wrzawa towarzysząca wymknięciu się młodej pary.

Nikt nie słyszał pierwszego krzyku, ale głośny, uporczywy, pełen bólu płacz dziecka szybko położył kres zabawie.

– Moje dziecko! Moje dziecko! Ona jest poparzona! – krzyczała Tholie.

– Wielka Doni! – krzyknął Jondalar i rzucił się z Serenio w kierunku płaczącej matki i jej krzyczącego dziecka.

Wszyscy na raz chcieli pomóc. Zamieszanie było jeszcze większe niż poprzednio.

– Przepuście Shamuda. Odsuńcie się. – Obecność Serenio wpływała uspokajająco. Shamud pospiesznie odwinął dziecko.

– Zimna woda, Serenio, szybko! Nie! Czekał. Darvo, ty przynieś wodę. Serenio, kora lipy – wiesz gdzie jest?

– Tak – odparła i pospiesznie się oddaliła.

– Roshario, jest gorąca woda? Jeżeli nie, to przynieś. Potrzebny nam kleik z kory lipy i lekki napar dla uspokojenia. Oboje są poparzeni.

Darvo przybiegł z pojemnikiem wody ze stawu, rozchlapując ją na boki.

– Dobrze, synu. Szybko się uwinęłeś – powiedział Shamud, uśmiechając się z uznaniem, po czym opryskał zimną wodą bolesne czerwone oparzelizny. Na oparzeliznach zaczynały już się pojawiać pęcherze. – Potrzebne nam opatrunki, coś łagodzącego, zanim kleik będzie gotowy. – Uzdrowiciel spostrzegł leżący na ziemi liść łopianu i przypomniał sobie posiłek..

– Jetamio, co to jest?

– Łopian – odparła. – Był w potrawce.

– Czy coś z tego zostało? Mam na myśli liście?

– My wykorzystywaliśmy jedynie łodygi. Tam leży cała kupa liści.

– Przynieś je!

Jetamio pobiegła do sterty odpadków i wróciła z garściami pełnymi liści. Shamud zanurzył je w wodzie i obłożył nimi

oparzelizny matki i dziecka. Dziecko przestało krzyczeć, lecz ciągle zanosilo się szlochem, wpadając co pewien czas w spazmy, gdy kojące działanie liści słabło.

– To pomaga – powiedziała Tholie. Nie zauważyła, że też jest poparzona dopóki Shamud o tym nie wspomniał. Siedziała pogrążona w rozmowie, pozwalając dziecku ssać, aby było spokojne i zadowolone. Gdy się wylał na nich gorący napój do jej świadomości dotarł jedynie ból dziecka. – Czy Shamio nic nie będzie?

– Na oparzeniach powstaną pęcherze, ale nie sędzę, aby były blizny.

– Och, Tholie. Tak mi przykro – powiedziała Jetamio. To po prostu okropne. Biedna Shamio i ty też.

Tholie próbowała ponownie przystawić dziecko do piersi, ale ono broniło się, kojarząc sobie to z bólem. W końcu przyjemne wspomnienia wzięły górę i Shamio przestała płakać, chwytając pierś, co z kolei uspokoiło Tholie.

– Dlaczego jeszcze tu z Thonolanem jesteście, Tamio? – zapytała. – To ostatnia noc, podczas której możecie być razem.

– Nie mogę odejść, gdy ty i Shamio jesteście ranne. Chcę pomóc.

Dziecko znowu zaczęło szlochać. Łopian pomagał, ale oparzelizna była nadal bolesna.

– Serenio, czy kleik jest gotowy? – dopytywał się uzdrowiciel, zmieniając liście na świeżo zmoczone zimną wodą.

– Kora lipy już się dostatecznie długo moczyła, ale trochę potrwa, nim to ostygnie. Może gdy wyniosę na zewnątrz, to szybciej wystygnie.

– Chłodzić! Chłodzić! – krzyknął Thonolan i nagle wybiegł spod osłony nawisu.

– Dokąd on poszedł? – zapytała Jetamio Jondalara. Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami i pokręcił głową. Odpowiedź stała się jasna, gdy Thonolan przybiegł zdyszany z powrotem, trzymając ociekającą wodą sople zerwane ze stromych kamiennych schodów, które wiodły w dół nad rzekę.

– Czy to pomoże? – zapytał, wyciągając je przed siebie. Shamud spojrział na Jondalara.

– Ten chłopak jest wspaniały! – W tym oświadczeniu czaiła się nutka ironii, tak jakby nie spodziewał się po nim tak genialnego pomysłu.

Te same właściwości kory lipy, które koili ból, czyniły ją również skutecznym środkiem uspokajającym. Oboje, Tholie i dziecko, spali. W końcu udało się przekonać Thonolan i Jetamio, aby się oddalili, ale radosna beztroska Uroczystości Przymierzenia znikła. Nikt nie chciał tego głośno powiedzieć, ale wszyscy uważali, że wypadek rzucił cień nieszczęścia na ich związek.

Jondalar, Serenio, Markeno i Shamud siedzieli w pobliżu dużego paleniska, grzejąc się w dogasającym ogniu. Pociągali wino i rozmawiali przyciszonymi głosami. Wszyscy już spali i Serenio nakłaniała Markeno, aby i on udał się na spoczynek.

– Nic więcej nie możesz już zrobić, nie ma powodu, abyś czuł. Ja z nimi zostanę, ty idź spać.

– Ona ma rację, Markeno – powiedział Shamud. – Wszystko będzie dobrze. Ty też powinnaś odpocząć, Serenio.

Kobieta się podniosła, aby swym odejściem zachęcić Markeno, choć naprawdę wcale nie miała ochoty odchodzić. Pozostali również wstali. Serenio odstawiła miseczkę, musnęła policzek Jondalara i skierowała się z Markeno do szałasów.

– Obudzę cię, gdy będzie trzeba – powiedziała.

Gdy oboje odeszli, Jondalar zaczerpnął do dwóch misek resztki sfermentowanego soku z czarnych jagód i podał jedną z nich tajemniczej postaci siedzącej cicho w ciemności. Shamud przyjął ją milcząco, rozumiejąc, że mają sobie więcej do powiedzenia. Młody człowiek zgarnął razem ostatnie tłące się drewnienka na skraj poczerniałego koła i dokładał drewna, dopóki nie rozpałił się mały ogień. Siedzieli przez pewien czas, popijając w ciszy wino i kuląc się nad migoczącym ciepłem.

Kiedy Jondalar podniósł wzrok, zobaczył utkwione w sobie spojrzenie ciemnych w blasku ognia oczu. Poczul bijącą z nich moc i inteligencję, ale odpowiedział mu równie pewnym spojrzeniem.

Trzeszczący ogień, syczące płomienie rzucany cienie na starą twarz, rozmazując rysy, ale nawet w dziennym świetle Jondalar nie mógł się dopatrzeć żadnych szczególnych cech świadczących o płci lub wieku. Nawet to było tajemnicą.

W pomarszczonej twarzy znać było siłę, która nadawała jej młodzieńczy wygląd, chociaż długa grzywa włosów była szokująco biała. A pomimo to, że ciało pod luźnym odzieniem było wątłe i szczupłe, to uzdrowiciel krok miał dziarski. Dłonie świadczyły jednoznacznie o podeszłym wieku, ale choć były naznaczone reumatyzmem i siecią nabrzmiąłych żył, to podnoszona do ust miseczka nawet w nich nie drgnęła.

Ruch zerwał wzrokowy kontakt. Jondalar się zastanawiał, czy Shamud nie uczynił tego celowo, aby uwolnić narastające napięcie. Pociągnął łyk.

– Shamud dobry uzdrowiciel, ma wprawę – powiedział. – To dar Mudo.

Jondalar, gwoli zaspokojenia ciekawości, wyteżył słuch, żeby wychwycić jakieś szczególne brzmienie lub ton, które

zdradziłyby płeć uzdrowiciela. Nie potrafił ciągle jeszcze powiedzieć, czy Shamud jest mężczyzną, czy kobietą, ale miał wrażenie, że pomimo neutralności płci uzdrowiciel nie wiódł życia w celibacie. Ciętym dowcipom zbyt często towarzyszyło znaczące spojrzenie. Chciał zapytać, ale nie wiedział, jak wyrazić taktownie swoje pytanie.

– Życie Shamuda niełatwe, dużo musieć poświęcić – próbował Jondalar. – Czy uzdrowiciel w ogóle chce partnera?

Na moment niezbadane oczy się rozszerzyły; potem Shamud wybuchnął sardonycznym śmiechem. Jondalar poczuł, że czerwieni się z zakłopotania.

– A kogo wybrałbyś mi za partnera, Jondalarze? Gdybyś pojawił się w czasach mojej młodości, to może byś mnie skusił. Ale czy uległbyś mojemu czarowi? Czy sznur paciorków powieszony na Błogosławionym Drzewie mógłby spełnić me pragnienia i znalazłbyś się na mym posłaniu? – powiedział Shamud lekko, przesadnie wstydliwie pochylając głowę. Przez moment Jondalar był przekonany, że mówiła do niego młoda kobieta. Shamud zadał pytanie:

– Czy też trzeba by było zachować się bardziej oględnie? Masz już swoje upodobania; czy można by rozbudzić w tobie ciekawość nowych rozkoszy?

Jondalar się zaczerwienił, pewny, że został źle zrozumiany, jednak dziwnie przyciągał go widok zmysłowego i kociego wdzięku bijącego z ruchów ciała Shamuda. Oczywiście uzdrowiciel był mężczyzną, ale z upodobaniem do kobiecych rozkoszy. Wielu uzdrowicieli czerpało swe natchnienie z cech typowych dla obu płci; to dawało im większą moc. Ponownie doleciał go sardoniczny śmiech.

– Ale skoro życie uzdrowiciela jest tak trudne, to jeszcze



trudniejsze jest dla jego partnera. Uwagę powinno się poświęcić głównie swemu partnerowi. Trudno byłoby na przykład zostawić kogoś takiego jak Serenio w środku nocy, aby zająć się jakimś chorym. A do tego jeszcze są wymagane długie okresy wstrzemięźliwości...

Shamud pochylił się do przodu, rozmawiał z Jondalarem jak mężczyzna, w którego oku pojawił się błysk na myśl o tak uroczej kobiecie, jak Serenio. Jondalar pokręcił z zastanowieniem głową. Wtem ruch ramion sprawił, że postać uzdrowiciela nabrała innego wyglądu. Wyglądu, który wykluczał jej męskość.

– ...i nie mam pewności, czy chciałoby mi się zostawiać ją samą pośród tych wszystkich drapieżnych mężczyzn.

Shamud był kobietą, ale zarówno mężczyźni, jak i kobiety pociągali go jedynie jako przyjaciele. To prawda, że jego uzdrawiające moce miały swe źródło w obu płciach, ale należały do kobiety o męskich upodobaniach.

Shamud ponownie się roześmiał, a jego głos nie nosił śladów płci. Stary uzdrowiciel ciągnął dalej swój wywód, szukając zrozumienia jak równy u równego.

– Powiedz, którą z tych osób jestem, Jondalarze? Którą z nich wzięłbyś za partnera? Niektórzy próbują podtrzymywać wzajemne stosunki, ale rzadko się zdarza, aby one długo trwały. Ten dar nie jest tylko czystym błogosławieństwem. Pomijając znaczenie ogólne, uzdrowiciel nie ma tożsamości. Wyrzekając się swego własnego imienia, Shamud usuwa się w cień, aby pojąć istotę wszystkiego. Ta pozycja niesie z sobą pewne korzyści, lecz zwykle zawieranie związków do nich nie należy.

– Gdy jest się młodym, to piętno przeznaczenia nie zawsze jest mile widziane. Niełatwo być innym. Można nie mieć ochoty na utratę własnej tożsamości. Ale to nie ma znaczenia – nie zmienisz

swego losu. Dla kogoś, kto w swym ciele nosi męskie i kobiece cechy, nie ma innego miejsca.

W świetle dogasającego ogniska Shamud, wpatrujący się w żarzące się drwa nieobecnym wzrokiem, tak jakby widział inne miejsce i czas, wyglądał równie wiekowo jak sama Ziemia. Jondalar wstał, żeby przynieść kilka polan, i podsycił ogień. Gdy polana zajęły się płomieniami, uzdrowiciel się wyprostował, a w jego wzroku ponownie pojawiła się ironia.

– To było dawno temu i wiązało się z pewnym... zadośćuczynieniem. Nie wystarczy odkryć czyjś talent i zapewnić mu zdobycie wiedzy. Nie każdy, kogo Matka powoła na swą służbę, jest zdolny do wyrzeczeń.

– U Zelandonii nie wszyscy, którzy służą Matce, wiedzieć, gdy młodzi, nie wszyscy jak Shamud. Ja kiedyś myśleć służyć Doni. Nie wszyscy są powołani – powiedział Jondalar. Shamuda zastanowiły jego zaciśnięte usta i zmarszczone brwi, które świadczyły o żywionym nadal żalu. Ten zdawałoby się tak szczerze obdarzony przez naturę młodzieniec miał w głębi swej duszy piekące rany.

– To prawda, nie wszyscy, którzy tego pragną, są powoływani, i nie wszyscy, których powołano, są obdarzeni równymi zdolnościami czy skłonnościami. W niepewnych przypadkach istnieją sposoby, aby się przekonać i wypróbować wiarę i wolę kandydata. Nim zostanie się poddanym ceremonii inicjacji, trzeba spędzić w samotności pewien okres. Można wtedy doznać oświecenia, ale też można dowiedzieć się o sobie samym więcej, niż by się chciało. Ja zawsze radzę tym, którzy rozważają wstąpienie na służbę Matce, aby spędzili samotnie jakiś czas. Jeżeli nie potrafią tego dokonać, to nigdy nie będą mogli przetrwać surowszych prób.

– Jakiego rodzaju prób? – Zapytał, bo Shamud nigdy przedtem nie był z nim tak szczery i Jondalar czuł się tym zafascynowany.

– Okresy abstynencji, w czasie których musisz powstrzymać się od wszystkich przyjemności; okresy milczenia, kiedy nie możesz odzywać się do nikogo. Okresy postu, powstrzymywania się tak długo, jak to możliwe, od spania. Są jeszcze inne. Nauczyliśmy się posługiwać tymi metodami w poszukiwaniu odpowiedzi, objawień płynących od Matki, szczególnie u tych, którzy zostali poddani ćwiczeniom. Po jakimś czasie uczysz się wprowadzać w odpowiedni stan siłą woli, ale dobrze jest co pewien okres podejmować dalsze ćwiczenia.

Zapadło długie milczenie. Shamudowi udało się doprowadzić rozmowę do decydującego momentu – odpowiedzi, których pragnął Jondalar. Musiał jedynie zapytać.

– Ty wiesz, co trzeba. Czy Shamud powiedziec, co znaczyć... to wszystko? – Jondalar rozłożył ręce w geście bezradności.

– Tak. Wiem, czego chcesz. Niepokoisz się o swego brata po tym, co się dzisiaj wydarzyło. Martwisz się nim, Jetamio i sobą. – Jondalar skinął głową. Shamud przyglądał mu się, próbując zdecydować, ile ujawnić. Potem zwrócił twarz do ognia i jego spojrzenie stało się znowu nieobecne. Młody człowiek poczuł powstałą nagle między nimi przepaść, tak jakby zaczęła ich dzielić wielka przestrzeń, choć żaden z nich się nie poruszył.

– Miłość, jaką darzysz swego brata, jest silna. – W jego głosie pobrzmiwało straszne, głuche echo, odgłos innego świata. Martwisz się tym, że jest zbyt silna, i obawiasz się, że wiedziesz jego życie, a nie swoje własne. Mylisz się. On wie cie tam, dokąd musisz iść, ale nie poszedłbyś sam. Podążasz za własnym przeznaczeniem, nie jego; wędrujesz w parze jedynie dla szybkości. Jesteś obdarzony siłami innej natury. Masz wielką

moc, gdy tego bardzo potrzebujesz. Czułem, jak pragnąłeś, bym znalazł się przy twoim bracie, nim jeszcze znaleźliśmy jego zakrwawioną koszulę na kłodzie, którą do mnie wysłałeś.

– Ja nie wysłałem kłody. To przypadek, szczęście.

– To nie był przypadek, że wyczułem twą potrzebę. Inni też ją czuli. Nie można ci odmówić. Nawet Matka by ci nie odmówiła. To twój dar. Ale bądź ostrożny z darami Matki. To czyni cię jej dłużnikiem. Obdarzając cię tak silnymi mocami jak twoje, musiała mieć w tym jakiś cel. Nic nie jest dawane bez zobowiązań. Nawet jej dar rozkoszy nie jest tylko hojnością; ona ma w tym swój cel, czy go znamy, czy nie... Zapamiętaj: wypełniasz zamysły Matki. Nie potrzebujesz powołania, przyszedłeś na świat naznaczony tym losem. Ale zostaniesz poddany próbie. Będziesz cierpiał...

Młodzieniec otworzył szeroko ze zdumienia oczy.

– ... Zostaniesz zraniony. Będziesz szukał spełnienia i znajdziesz rozczarowanie; będziesz poszukiwał pewności i znajdziesz niezdecydowanie. Ale masz też coś w zamian. Zostałeś szczerze obdarzony przymiotami ciała i ducha, masz szczególne umiejętności, rzadkie talenty i większą niż inni wrażliwość. Twoje utrapienia są wynikiem twych zdolności. Zostałeś obdarzony zbyt hojnie. Musisz się uczyć na swych nieszczęściach. Zapamiętaj również i to: służba Matce nie jest tylko poświęceniem. Znajdziesz to, czego ~; szukasz. To twoje przeznaczenie.

– Ale... Thonolan?

– Czuję rozłąkę; twe przeznaczenie wiedzie cię inną drogą. On musi podążać swą własną ścieżką. On jest ulubieńcem Mudo. Jondalar zmarszczył brwi. Zelandonii mieli podobne powiedzenie, ale ono niekoniecznie oznaczało szczęście. Mówi

się, że Wielka Ziemia Matka jest zazdrosna o swych ulubieńców i wcześniej przywołuje ich z powrotem do siebie. Czekał, ale Shamud nie powiedział nic więcej. Nie rozumiał w pełni tego całego gadania o “potrzebach” i “mocy”, i “zamysłach Matki” – Ci-Którzy Służą Matce często nie wyrażają się jasno – ale te słowa nie kojarzyły mu się z niczym dobrym.

Gdy ogień przygasł, Jondalar się podniósł, by odejść. Chciał ruszyć w kierunku szałasów pod nawisem, ale uzdrowiciel jeszcze nie skończył.

– Nie! Nie matka i dziecko... – rozległ się w ciemności błagalny krzyk.

Zaskoczony Jondalara przebiegły ciarki po plecach. Zastanawiał się, czy Tholie i jej dziecko byli mocniej poparzeni, niż myślał, i dlaczego drżał, choć nie było zimno.

## . 12 .



– Jondalar! – zawołał Markeno. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna zaczekał, aż dogoni go drugi dryblas. – Nie spiesz się dziś z wracaniem na górę – powiedział Markeno przyciszonym głosem. – Od czasu Przyrzeczenia Thonolan miał już dosyć ograniczeń i rytuałów. Czas na mały odpoczynek. – Uśmiechnął się szelmowsko, wyciągnął zatyczkę z worka na wodę i Jondalara uderzył zapach jagodowego wina.

Zelandonii kiwnął głową i uśmiechnął się w odpowiedzi. Obyczaje jego ludu i ludu Sharamudoi nieco się od siebie różniły, ale niektóre zwyczaje, widać, były szeroko rozpowszechnione. Zastanawiał się, czy ten młodzian nie planuje przypadkiem jakiegoś “rytuału” na ich prywatny użytek. Szli dalej szlakiem, stawiając równo duże kroki.

– Jak się mają Tholie i Shamio?

– Tholie się obawia, że Shamio będzie miała bliznę na twarzy, ale obie wracają do zdrowia. Serenio przypuszcza, że oparzenia nie powinny pozostawić śladu, ale nawet Shamud nie ma co do tego całkowitej pewności.

Szli dalej z równie zatroskanym wyrazem twarzy. Za zakrętem natknęli się na Carlono, który bacznie przyglądał się drzewu. Na ich widok uśmiechnął się szeroko. Nie był tak wysoki jak jego

syn, ale był tej samej szczupłej, żylastej budowy ciała. Spojrzał raz jeszcze na drzewo, po czym pokręcił głową.

– Nie, nie jest dobre.

– Niedobre? – zapytał Jondalar.

– Na wsporniki – powiedział Carlono. – Nie widzę w tym drzewie łodzi. Żaden z konarów nie będzie pasował do wewnętrznej krzywizny, nawet po przycięciu.

– Skąd wiesz? Łódź nie skończona – powiedział Jondalar. – On wie – wtrącił Markeno. – Carlono zawsze znajduje właściwe konary. Możesz zostać i rozmawiać o drzewach, jeśli masz ochotę. Ja idę na dół, na wyrąb.

Jondalar patrzył chwilę za odchodzącym, a potem zwrócił się do Carlono.

– Jak widzisz, które drzewo pasować do łodzi?

– To trzeba nauczyć się wyczuwać, a to z kolei wymaga praktyki. W tym wypadku nie szuka się wysokich, prostych drzew. Do tego celu potrzebne są drzewa z krzywymi i powyginanymi gałęziami. Potem trzeba wyobrazić sobie, jak się ułożą na dnie i wygną do góry na bokach. Szuka się drzew, które rosną samotnie, tam gdzie mają miejsce, by rozrastać się tak, jak chcą. Bo drzewa są jak ludzie, niektóre wyrastają najlepiej w towarzystwie, starając się prześcignąć pozostałych. Inne wolą dorastać same, choć często wiąże się to z samotnością. Oba sposoby są równie dobre.

Carlono zboczył z głównego szlaku na nie uczęszczaną zbyt często ścieżkę. Jondalar podążył za nim.

– Czasami znajdujemy dwa drzewa rosnące razem, poskręcane i całkowicie oddane sobie nawzajem, tak jak te – ciągnął dalej Ramudoj, wskazując na parę splecionych ze sobą drzew. – Nazywamy je parą zakochanych. Zdarza się, że gdy się zetnie

jedno, to drugie również umiera – dodał Carlono, na co Jondalar zmarszczył czoło.

Dotarli do przecinki i Carlano powiódł rosnącego towarzysza w górę nasłonecznionego zbocza ku olbrzymiemu, pokręconemu, sękatemu dębowi. Jondalar miał wrażenie, że widzi na drzewie dziwne owoce. Gdy podeszli jeszcze bliżej, ze zdumieniem spostrzegł, że drzewo było udekorowane szeregiem niezwykle przedmiotów. Były tam delikatne koszyczki ze wzorem z farbowanych piór, małe skórzane woreczki wyszywane paciorkami ze skorupki mięczaków, poskręcane i powiązane we wzory sznurki. Wielki pień był okręcony długim naszyjnikiem. Po dokładniejszym przyjrzeniu się Jondalar stwierdził, że był on zrobiony z nawleczonych na przemian starannie obrobionych muszelek, w których przewiercono w środku otworki, i pojedynczych rybich kręgów, które miały w środku naturalne otwory. Zauważył zwisające z gałęzi malusieńkie rzeźbione w drewnie łódeczki, psie kły zawieszane na rzemykach, ptasie pióra, wiewiórcze ogony. Nigdy nie widział czegoś podobnego.

Carlono zachichotał na widok jego reakcji.

– To Błogosławione Drzewo. Domyślam się, że Jetamio złożyła mu ofiarę. Kobiety zwykle tak czynią, gdy chcą, aby Mudo pobłogosławiła ich dzieckiem. Kobiety uważają je za swoje, ale i wielu mężczyzn składa tu swe ofiary. Proszą o powodzenie na pierwszym polowaniu, obdarzenie łaskami nowej łodzi, szczęście z nową partnerką. Prośb nie zanoszą zbyt często, jedynie w wyjątkowych sytuacjach.

– Jest tak duże!

– Tak. To Matka drzew, ale nie po to cię tu przywiodłem. Zauważyłeś, jak pokręcone i zakrzywione są jego konary? To drzewo byłoby za wielkie, nawet gdyby nie było Błogosławionym



Drzewem, ale szukając drzew na wsporniki rozglądamy się za takimi jak ono. Potem trzeba uważnie przyjrzeć się konarom, aby odszukać ten, który pasowałby do wnętrza twojej łodzi.

Następnie zeszli inną ścieżką na wyrąb służący za plac do budowy łodzi. Zbliżyli się do Markeno i Thonolana, którzy pracowali przy olbrzymiej, tak pod względem długości jak i obwodu, kłodzie. Mężczyźni żłobili toporami jej wnętrze. W obecnym stanie kłoda przypominała raczej koryto do zaparzania napoju niż wdzięczną łódź, ale wyciosano już jej przybliżony kształt. Później zostanie wyrzeźbiony dziób i rufa, ale najpierw trzeba było skończyć wnętrze.

– Jondalar wyraził spore zainteresowanie robieniem łodzi powiedział Carlono.

– Może trzeba mu znaleźć kobietę wśród rzecznych ludzi, to będzie mógł zostać Ramudoi. To by doskonale pasowało, skoro jego brat zostanie Shamudoi – zażartował Markeno. – Znam kilka takich, które wypatrują za nim oczy. Być może, któraś dałaby się namówić.

– Nie sądzę, aby coś z tego wyszło, skoro Serenio jest w pobliżu – powiedział Carlono, mrugając do Jondalara. – Ale przecież niektórzy z najlepszych budowniczych łodzi, to Shamudoi. To nie łódź na brzegu, ale łódź na wodzie jest domeną rzecznych ludzi.

– Jeżeli masz taką ochotę nauczyć się budowy łodzi, to dlaczego nie schwycisz za topór i nie pomożesz nam? – powiedział Thonolan. – Myślę, że mój starszy brat woli raczej mówić niż pracować. – Ręce miał czarne, a jeden z policzków umazany. Mogę ci nawet pożyczyć swój topór – dodał, rzucając narzędzie do Jondalara, który złapał je odruchowo. Topór – solidne kamienne ostrze umocowane pod kątem prostym do trzonka – pozostawił na jego dłoniach czarny ślad.

Thonolan zeskoczył z łodzi i poszedł sprawdzić palące się w pobliżu ognisko. Ogień przygasł i pozostał jedynie żar, z którego tu i ówdzie wydostawały się pomarańczowe płomyki. Thonolan podniósł kawałek złamanej deski, której wierzch znaczyły zwęglone otwory i nabrał za pomocą gałęzi gorącego żaru z ogniska. Potem zaniósł go do kłody i wrzucił wśród deszczu iskier i dymu do przypominającego koryto wyżłobienia. Markeno dołożył więcej drewna do ognia i przyniósł pojemnik z wodą. Węgielki we wnętrzu kłody miały się jedynie żarzyć, a nie wzniecić pożar.

Thonolan rozgrabił kijem żar, a potem dołał ostrożnie wody. Syk pary i ostry zapach spalenizny świadczył o żywiołowej walce ognia z wodą. Ostatecznie wygrała jednak woda. Thonolan wygrzebał mokre czarne pozostałości po żarze, a potem wdrapał się do wnętrza łodzi i zaczął wydłubywać zwęglone drewno, pogłębiając i poszerzając otwór.

– Pozwól mi teraz trochę popracować – powiedział Jondalar, obserwując przez chwilę jego pracę.

– A już myślałem, że masz zamiar tak sterczeć cały dzień zauważył Thonolan z uśmiechem. Obaj bracia, gdy ze sobą rozmawiali, mieli skłonność do przechodzenia na swój ojczysty język. Wygodnie im było porozumiewać się w znanym języku. Obaj nabierali coraz większej wprawy w posługiwaniu się nową mową, ale Thonolan mówił lepiej.

Jondalar po kilku pierwszych uderzeniach zatrzymał się, aby sprawdzić kamienne ostrze topora, spróbował ponownie pod innym kątem, znowu sprawdził krawędź ostrza, a potem wzięł odpowiedni zamach. Wszyscy trzej młodzieńcy pracowali razem niewiele z sobą rozmawiając, aż do przerwy na odpoczynek.

– Nie widzieć przedtem, używać ogień do robienia koryto

powiedział Jondalar, gdy szli w kierunku drewnianego szałas. Zawsze wydłubywać toporem.

– Można używać tylko topora, ale ogień przyspiesza pracę. Dąb jest twardym drzewem – przypomniał Markeno. – Czasami wykorzystujemy rosnące wysoko sosny. Są bardziej miękkie, łatwiej je wydrążyć. Co nie zmienia faktu, że ogień jest bardzo pomocny.

– Dużo czasu zabrać zrobienie łódź? – dopytywał się Jondalar.

– To zależy, jak ciężko pracujesz, i ile jest do zrobienia. Budowa tej łodzi nie zajmie wiele czasu. Tak utrzymuje Thonolan, a wiesz, że nie będzie mógł wziąć Jetamio za partnerkę, dopóki nie będzie gotowa. – Markeno się uśmiechnął. – Nigdy nie widziałem, aby ktoś tak ciężko pracował, a jego zapał udziela się wszystkim. To mądrze jednak nie przerywać raz rozpoczętej pracy. Zapobiega to wyschnięciu drewna. Po południu będziemy rozszczepiać drewno na deski, z których zrobimy poszycie łodzi. Chcesz pomóc? – Lepiej, aby chciał! – powiedział Thonolan.

Ogromny dąb, w którego powaleniu Jondalar pomagał, skrócony o rozgałęzioną koronę, został przeniesiony na drugą stronę wyrębu. Do jego poruszenia musieli się przyłożyć prawie wszyscy krzepcy mężczyźni i niemal tylu samo zgromadziło się, aby go rozszczepiać. Jondalarowi nie była potrzebna “zachęta” ze strony brata. Nie przepuściłby takiej okazji.

Najpierw rozmieszczono rogowe kliny wzdłuż linii biegnącej równo na całej długości kłody. Wbito je ciężkimi, kamiennymi młotami. Choć z początku opornie, to jednak za sprawą klinów w masywnym pniu zarysowało się pęknięcie. Kościane kliny wbijano coraz głębiej do środka drewnianego olbrzyma, a ich grubsze końce robiły coraz dłuższe szczeliny w pniu aż w końcu,

z trzaskiem, kłoda rozpadła się na połowę.

Jondalar pokręcił w zdumieniu głową, ale to był dopiero początek. Kliny ponownie rozmieszczono wzdłuż linii biegnącej środkiem każdej połowy i cały proces powtórzono, również te połowy rozszczepiając na połówki. A potem przepołowiono każdą z następnych części. Pod koniec dnia olbrzymia kłoda zmieniła się w stos ułożonych promieniście desek o zwężających się końcach. Kilka z desek było krótszych z powodu sęków, ale i one będą wykorzystane. Desek było o wiele więcej niż potrzeba do budowy burt łodzi. Pozostałe zostaną wykorzystane przy wznoszeniu szalasu dla młodej pary na górnym tarasie, pod nawisem z piaskowca. Będzie on połączony z mieszkalnymi pomieszczeniami Roshario i Dolando i wystarczająco duży, aby pomieścić Arkeno, Tholie i Shamio w czasie najchłodniejszego okresu zimy. Drewno wykorzystane przy budowie schronienia i łodzi, a pochodzące z tego samego pnia, miało dodawać ich związkowi siły dębu.

O zachodzie słońca Jondalar zauważył, jak kilku z młodszych mężczyzn znika w lesie. Markeno dał się przekonać Thonolanowi i kontynuowali pracę nad drążeniem dna łodzi tak długo, dopóki prawie wszyscy nie odeszli. W końcu Thonolan stwierdził, że jest za ciemno i niewiele widać.

– Jest wystarczająco jasno – usłyszał za sobą głos. – Nie wiesz, co to ciemność!

Nim Thonolan zdążył się odwrócić, aby zobaczyć, kto to mówił, zarzucono mu na głowę kaptur i schwycono za ramiona.

– Co to ma znaczyć? – zawołał, próbując się uwolnić. Jedyłą odpowiedzią był stłumiony śmiech. Podniesiono go i niesiono jakiś czas. Potem ponownie postawiono na ziemi i poczuł, że jest rozbierany.

– Przestańcie! Co wy wyprawiacie! Jest zimno!

– Zaraz nie będzie ci zimno – powiedział Markeno, gdy odsłonięto Thonolanowi oczy. Młodzieniec zobaczył pół tuzina roześmianych, nagich, młodych ludzi. Okolica nie wydawała mu się znajoma, szczególnie w głębokim mroku, ale wiedział, że w pobliżu jest woda.

Otaczał go ciemny, gęsty las, rzędzący z jednej strony, tak że na ciemnym fiolecie nieba rysowały się sylwetki pojedynczych drzew. Za nimi, rozszerzająca się ścieżka wiodła ku srebrzystym blaskom odbijanym od powierzchni gładko toczącego się nurtu Wielkiej Matki Rzeki. Przez szpary w stojącej w pobliżu, małej, i niskiej, prostokątnej, drewnianej budowli, sączyło się światło. Młodzieńcy wdrapali się na dach, a potem zeszli do środka po opuszczonej w dół belce z wyciosanymi stopniami.

W centralnym miejscu szałas płonęło obłożone kamieniami ognisko. Ściany na pewnej wysokości były cofnięte, tworząc na ziemi siedzisko pokryte deskami wygładzonymi piaskowcem. Gdy wszyscy znaleźli się w środku, zamknięto wejściowy otwór; dym mógł się wydostawać szczelinami. Żar pod gorącymi kamieniami sprawił, że wkrótce Thonolan musiał przyznać Markeno rację. Nie było mu już zimno. Ktoś nalał na kamienie wody i wzbiły się kłęby pary, jeszcze bardziej ograniczając widoczność w przyćmionym świetle.

– Przyniosłeś, Markeno? – zapytał siedzący obok niego mężczyzna.

– Mam je tu, Chalono – odparł, podnosząc worek z winem. – No to napijmy się. Szczęściarz z ciebie, Thonolano. Bierzesz za partnerkę kobietą, która robi tak dobre wino jagodowe. – Jego słowa poparł chóralny śmiech. Chalono podał dalej naczynie z winem, a potem pokazując skórzany węzełek dodał z

szelmowskim uśmiechem – znalazłem coś jeszcze.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie było cię dzisiaj nigdzie w pobliżu widać – zauważył jeden z mężczyzn. – Jesteś pewny, że to dobre grzyby?

– Nie martw się, Rondo. Znam się na grzybach. A przynajmniej na tych – oświadczył Chalono.

– Powinieneś, w końcu zbierasz je przy każdej okazji. – Ta raczej złośliwa uwaga wywołała kolejny wybuch śmiechu.

– Może on chce zostać Shamudem, Tarluno – dodał Rondo drwiąco.

– To nie są chyba grzybki Shamuda? – zapytał Markeno. Te czerwone z białymi kropkami mogą być trujące, jeżeli je niewłaściwie przyrządzić.

– Nie, to są bezpieczne grzybki. Te po prostu poprawiają samopoczucie. Nie lubię bawić się grzybkami Shamuda. Nie chcę kobiety w swoim wnętrzu... – powiedział Chalono chichocząc. Ja wolę raczej znaleźć się we wnętrzu kobiety.

– Kto ma wino? – zapytał Tarluno.

– Dałem je Jondalarowi.

– To mu je zabierz. On jest tak wielki, że gotów całe wypić!

– Oddałem je Chalono – powiedział Jondalar.

– Nie widziałem żadnych grzybków – czy masz zamiar zatrzymać sobie również i wino? – zapytał Rondo.

– Nie popędzaj mnie. Próbowałem otworzyć ten worek. Masz, Thonolanie, ty jesteś honorowym gościem. Dostaniesz pierwszy kawałek.

– Markeno, czy to prawda, że Mamutoi robią napój z rośliny, który jest lepszy niż wino i grzybki? – zapytał Tarluno.

– Nie wiem, czy lepszy, próbowałem go jedynie raz.

– A może zrobić więcej pary? – zapytał Rondo i wylał na

kamienie miskę wody, uznając, że wszyscy się zgadzają.

– Niektórzy ludzie, na zachód, wkładają do pary coś – skomentował Jondalar.

– A ludzie z jednej jaskini wdychają dym z rośliny. Dają spróbować, ale nie chcą powiedzieć, co to jest – dodał Thonolan.

– Wy dwaj to musieliście już spróbować prawie wszystkiego... podczas swojej wędrówki – powiedział Chalono. – To jest to, co i ja chciałbym zrobić, spróbować wszystkiego.

– Słyszałem, że płaskogłowi coś piją... – wtrącił Tarluno. – To zwierzęta – oni wypiliby wszystko – powiedział Chalono.

– Czyż nie powiedziałaś przed chwilą, że to właśnie chciałbyś robić? – droczył się Rondo. Zawtórował mu wybuch śmiechu. Chalono zauważył, że uwagi Rondo często prowokują śmiech – czasami jego kosztem. Aby nie dać się zakasować, zaczął opowiadać stary dowcip.

– Znacie tę starą opowieść o starcu, który był tak ślepy, że gdy złapał samicę płaskogłowych i pomyślał, że to była kobieta... – Eee... szczęka mu opadła. To wstrętne, Chalono – przerwał mu Rondo. – I który mężczyzna pomyliłby płaskogłową z kobietą?

– Niektórzy się nie mylą. Robią to celowo – powiedział Thonolan. – Mężczyzna z jaskini, daleko na zachodzie, zażywał rozkoszy z samicą płaskogłowych i ściągnął kłopoty na jaskinię.

– Chyba żartujesz!

– To nie żart. Otoczyła nas cała banda płaskogłowych zapewniał Jondalar. – Oni źli. Później słyszeć, że jakiś człowiek zabrał kobietę płaskogłową, sprowadził kłopoty.

– Jak uciekliście?

– Oni pozwolili – powiedział Jondalar. – Przywódca grupy, on rozgarnięty. Płaskogłowi bardziej rozgarnięci niż ludzie myśleć.

– Słyszałem o człowieku, który oswoił samicę płaskogłowych –

powiedział Chalono.

– Kto? Ty? – szydził Rondo. – Powiedziałeś, że chciałeś wszystkiego spróbować.

Chalono próbował się bronić, ale zagłuszył go śmiech. Gdy śmiech przycichł, spróbował ponownie.

– Nie to miałem na myśli. Mówiłem o grzybach, winie i tym podobnych rzeczach, gdy wspomniałem, że chciałbym wszystkiego spróbować. – Czuł już pewne efekty działania trunku i zaczął mu się trochę plątać język. – Ale wielu chłopców opowiada o samicach płaskogłowych, nim jeszcze pozna, czym jest kobieta. Słyszałem o jednym, który obłąskawił płaskogłową, a przynajmniej mówił, że to uczynił.

– Chłopcy wygadują różne rzeczy – powiedział Markeno.

– A jak sądzisz, o czym rozmawiają dziewczęta? – zapytał Tarluno.

– Może rozmawiają o samcach płaskogłowych? – powiedział Chalono.

– Nie mam zamiaru już tego dłużej słuchać – rzekł Rondo.

– Ty już się o tym nagadałeś, gdy byliśmy młodszy, Rondo powiedział Chalono, przechodząc do obrony.

– No cóż, dorosłem. Szkoda, że ty nie. Jestem już zmęczony twoimi wstrętnymi uwagami.

Chalono czuł się urażony i był trochę pijany. Skoro już posądzają go o takie budzące odrazę rzeczy, to powie im coś naprawdę odrażającego.

– Czyżby? No cóż, słyszałem o kobiecie, która zażywała rozkoszy z płaskogłowym i Matka dała jej dziecko o mieszanej duszy...

– Fuujj! – Rondo wykrzywił usta w grymasie obrzydzenia. – Chalono, to nie temat do żartów. Kto zaprosił go na to przyjęcie?



Wyrzućcie go stąd. Czuję się tak, jakby mi ktoś właśnie cisnął w twarz jakimś plugastwem. Nie mam nic przeciwko żartom, ale tego już za wiele!

– Rondo ma rację – powiedział Tarluno. – Może byś sobie poszedł, Chalono?

– Nie – rzekł Jondalar. – Zimno na zewnątrz, ciemno. Nie robić odejść. Prawda, dzieci o mieszanych duszach nie do żartu, ale dlaczego wszyscy o nich wiedzieć?

– Pół zwierzęta, pół ludzie, paskudztwa! – mamrotał Rondo. – Nie chcę o nich mówić. Tu jest zbyt gorąco. Wychodzę, zanim zrobi mi się niedobrze!

– To miało być przyjęcie dla Thonolana, aby się poczuł swobodniej – powiedział Markeno. – Może wszyscy wyjdziemy i popływamy, a potem wrócimy i zaczniemy wszystko od początku. Zostało jeszcze pod dostatkiem wina Jetamio. Nie mówiłem wam o tym, ale przyniosłem dwa naczynia.

– Nie sądzę, aby kamienie były dostatecznie gorące, Carlono – powiedział Markeno. W jego głosie było znać wewnętrzne napięcie.

– Nie jest dobrze, aby woda zbyt długo stała w łodzi. Nie chcemy, aby drewno napęczniało. Chcemy jedynie, żeby zmiękło na tyle, aby się poddawało obróbce. Thonolan, czy wsporniki są pod ręką, będziemy ich potrzebowali? – zapytał Carlono, marszcząc z niepokojem brwi.

– Tu są – odparł, wskazując na słupki z olchowych pni, przyciętych do równej długości, leżące na ziemi w pobliżu dużej dźbanki wypełnionej wodą.

– Lepiej zaczynamy, Markeno, i miejmy nadzieję, że kamienie są gorące.

Jondalar nadal nie mógł wyjść z podziwu nad przemianą,

jakiej uległa kłoda drewna, choć widział przecież, jak stopniowo nabierała kształtu. Dębowy pień nie był już dłużej zwyczajną kłodą drewna. Środek został wydłubany i wygładzony, a zewnętrzny kształt miał smukłą linię długiej łodzi. Skorupa nie była grubsza od długości męskiego kciuka, z wyjątkiem solidnej rufy i dziobu. Jondalar obserwował Carlono, który zestrugiwał wierzchnią warstwę drewna, nie grubszą od gałązki, za pomocą kamiennego toporka w kształcie dłuta, nadając w ten sposób łodzi ostateczny wygląd. Jego umiejętności i zręczność wprowadziły go w jeszcze większy podziw, gdy sam spróbował to zrobić. Łódź zwężała się do ostrego dziobu, który wystawał z przodu. Miała lekko spłaszczone dno i mniej uniesioną, zwężającą się rufę. Była bardzo długa w porównaniu ze swą szerokością. Czterech mężczyzn szybko przeniosło kamienie nagrzane w dużym palenisku do napełnionej wodą łodzi. Woda zaczęła gwałtownie parować i wrzeć. Ten proces, poza skalą, niczym nie różnił się od zaparzenia napoju w korycie. Tym razem jednak ciepło i para nie miały niczego zaparzyć, ale zmienić kształt łodzi.

Markeno i Carlono stali twarzami do siebie po przeciwnych stronach łodzi. Byli przygotowani do sprawdzenia giętkości skorupy przez ostrożne pociąganie za burty. Mieli za zadanie poszerzyć łódź, ale tak, aby nie złamać drewna. Cała ciężka praca związana z drążeniem i nadawaniem kształtu łodzi poszłaby wtedy na marne. Środki burt zostały odciągnięte na boki. Thonolan i Jondalar czekali już z najdłuższym wspornikiem i gdy tylko poszerzenie było dostatecznie duże, umieścili wspornik w poprzek łodzi, a potem wszyscy wstrzymali oddechy. Wyglądało na to, że wspornik trzymał. Po rozparciu środka rozmieszczono kolejne wsporniki na całej długości łodzi, dobierając odpowiednio ich wielkość. Następnie wylano gorącą wodę,

wyjęto kamienie i czterech mężczyzn przewróciło łódź do góry dnem, żeby nie zostało nic wody. Potem łódź ustawiono pomiędzy kłocami, aby wyschła.

Teraz wszyscy mogli odetchnąć z ulgą. Cofnęli się, aby patrzeć i podziwiać swe dzieło. Łódź była blisko pięćdziesiąt stóp długa i więcej niż osiem stóp szeroka w środkowej części, ale poszerzenie w istotny sposób wpłynęło na jej kształt. Gdy środek został poszerzony, to przednia i tylna część uniosła się, nadając łodzi wdzięczną krzywiznę. Również dzięki temu łódź miała szeroki pokład oraz uniesiony dziób i rufę, co ułatwiło pokonywanie naporu wody.

– Teraz to jest łódź leniucha – powiedział Carlono, gdy szli w inne miejsce wyrębu.

– Leniucha! – zawołał Thonolan, myśląc o tym, jak się ciężko napracowali.

Carlono się uśmiechnął, oczekiwał takiej reakcji.

– Jest taka długa opowieść o leniuchu z gderliwą partnerką, który zostawił swą łódź na zewnątrz przez całą zimę. Gdy ponownie ją odszukał, była pełna wody, a lód i śnieg spowodowały, że się poszerzyła. Wszyscy myśleli, że jest zniszczona. Ale miał tylko tę jedną łódź. A więc gdy wyschła, spuścił ją na wodę i stwierdził, że o wiele lepiej nią teraz sterować. Od tego czasu, zgodnie z opowieścią, wszyscy robili tak samo.

– To zabawna historia, jeżeli ją właściwie opowiedzieć – powiedział Markeno.

– I może w niej być trochę prawdy – dodał Carlono. Gdybyśmy robili małą łódź, to już byśmy skończyli, jeżeli nie liczyć zamontowania wszystkich części – powiedział, gdy zbliżyli się do grupy ludzi, którzy wiercili otwory rogowymi wiertłami w

długich deskach. To była żmudna i trudna praca, ale gdy wykonywało ją wiele rąk, to szła prędzej, a towarzystwo zapobiegało nudzie.

– A ja byłbym o wiele bliżej do zawarcia związku – powiedział Thonolan, zauważając wśród nich Jetamio.

– Masz uśmiech na twarzy. To musi oznaczać, że rozciąganie się udało – powiedziała młoda kobieta do Carlono, choć jej oczy szybko odszukały Thonolana.

– Będziemy wiedzieli lepiej, gdy wyschnie – powiedział ostrożnie Carlono, nie chcąc zapeszyć. – Jak idzie z deskami poszycia?

– Skończone. Teraz pracujemy nad deskami na dom – odparła starsza kobieta. Była podobna do Carlono, podobnie jak Markeno, szczególnie gdy się uśmiechała. – Młodej parze potrzeba czegoś więcej niż tylko łodzi. Do życia trzeba czegoś więcej, drogi bracie.

– Twemu bratu równie jak tobie spieszno, aby ich połączyć, Caroli – powiedział Barono, uśmiechając się, gdy młodzi wymieniali pełne miłości spojrzenia, lecz nie zamienili ani słowa. – Ale cóż wart jest dom bez łodzi?

Carolio rzuciła mu zasmucone spojrzenie. To był stary aforyzm Ramudoi, który w zamyśle miał być dowcipny, ale ciągle powtarzany przestał być zabawny.

– Ach! – krzyknął Barono. – Znowu pękło!

– Ależ z niego dzisiaj niezdara – powiedziała Carolio. Złamał już trzecie wiertło. Zdaje się, że chce wykręcić się od wiercenia otworów.

– Nie bądź tak sroga dla swego partnera – rzekł Carlono. Wszyscy łamią wiertła. Nic na to już nie można poradzić.

– Ona ma rację. Nudne dziury. Nie znam niczego nudniejszego

– powiedział Barono, uśmiechając się szeroko pośród ogólnych jęków.

– Zdaje mu się, że jest zabawny. Co może być gorszego od partnera, który myśli, że jest zabawny? – zwróciła się Carolio do całego zgromadzenia. Wszyscy się uśmiechnęli. Wiedzieli, że za tymi żartami kryje się wielkie uczucie.

– Jeżeli masz zapasowe wiertło, to ja spróbować zrobić dziury – powiedział Jondalar.

– Czy z tym młodym człowiekiem jest wszystko w porządku? Nikt nie chce wiercić dziur – powiedział Barono, ale szybko wstał.

– Jondalar zainteresował się budową łodzi – powiedział Carlono. – Próbował wszystkich prac.

– Możemy zrobić z niego Ramudo! – powiedział Barono. – Zawsze uważałem, że to inteligentny młody człowiek. Ale co do tego drugiego mam pewne wątpliwości – dodał, uśmiechając się do Thonolana, który zupełnie nie zwracał uwagi na nikogo z wyjątkiem Jetamio. – Zdaje się, że mogłoby na niego runąć drzewo, a on by tego nie zauważył. Nie ma dla niego jakiegoś zajęcia?

– Mógłoby nazbierać drewna albo nazrywać wierzbowych witek do łączenia desek – powiedział Carlono. – Gdy tylko dłubanka wyschnie i wywiercimy w kadłubie otwory, to będziemy mogli rozpocząć dopasowywanie desek. Jak sądzisz, ile czasu zajmie wykończenie łodzi, Barono? Powinniśmy zawiadomić o tym Shamuda, aby mógł ustalić dzień na zawarcie związku. Dolando musi wysłać posłańców do innych jaskiń.

– Co jeszcze trzeba zrobić? – zapytał Barono, gdy ruszyli w kierunku solidnych słupów wkopanych w ziemię.

– Trzeba wpasować dokładniej podpory na dziobie i rufie i...

idziesz Thonolan? – zawołał Markeno.

– Och! Tak... idę.

Gdy odeszli, Jondalar podniósł kościane wiertło osadzone w rogowym uchwycie, i przyjrzał się, jak posługuje się nim Carolio.

– Dlaczego dziury? – zapytał, gdy zrobił już kilka otworów.

Bliźniacza siostra Carlono była podobnie jak on owładnięta pasją budowy łodzi – a była w dopasowywaniu i wykańczaniu równie wielkim ekspertem, jak on w wydłubywaniu i nadawaniu kształtu. Zaczęła więc wyjaśniać Jondalarowi, a potem poprowadziła go w inne miejsce, w którym leżała częściowo rozebrana łódź.

W odróżnieniu od tratwy, której pławność zależała od użytego budulca, pławność łodzi Sharamudoi zależała od powietrza zamkniętego w drewnianej skorupie. To była znacząca nowość pozwalająca na większą sterowność i zdolność do transportowania o wiele cięższych ładunków. Deski, dzięki którym pierwotna dłubanka zmieniła się w dużą łódź, były wyginane za pomocą gorąca i pary tak, aby pasowały do krzywizny kadłuba. Potem szepiano je razem, zwykle przy użyciu wierzbowych witek, przetykanych przez nawiercone otwory i przymocowywano kołkami do solidnych wsporników na dziobie i rufie. Podpory, umieszczone w pewnych odstępach wzdłuż obu boków, służyły wzmocnieniu i zamontowaniu siedzeń.

Rezultatem dobrze wykonanej pracy był wodoszczelny kadłub, który mógł wytrzymać naprężenia i obciążenia związane z kilkuletnim stałym użytkowaniem. Jednakże po jakimś czasie zużycie i przegnicie wierzbowych witek wymagało rozebrania łodzi na części i ponownego jej zmontowania. Dokonywano przy tym również wymiany słabszych desek, dzięki czemu

przedłużano żywot łodzi.

– Widzisz... tam gdzie zostały wyjęte wsporniki – powiedziała Carolio, wskazując na rozmontowaną łódź – są otwory wzdłuż górnego brzegu dłubanki. – Pokazała mu deskę o krzywiźnie pasującej do kadłuba. – To była pierwsza deska poszycia. Otwory wzdłuż węższego końca pasują do podstawy. Widzisz, zachodziła w ten sposób i była przymocowana do góry dłubanki. Potem do niej przymocowywano górne deski.

Obeszli łódź i znaleźli się z drugiej strony, która jeszcze nie była zdemontowana. Carolio pokazała mu przegniłe i rozerwane witki w kilku otworach.

– Z przebudową tej łodzi zwlekano, ale możesz tu zobaczyć, jak wsporniki zachodzą na siebie. W małych łodziach, na jedną lub dwie osoby, nie potrzebne są burty, wystarczy wydłubany kadłub. Trudniej nimi jednak sterować na wzburzonej wodzie. Potrafią, nim się spostrzeżesz, wymknąć się spod kontroli.

– Kiedyś chcę się nauczyć – powiedział Jondalar. Potem, zauważając zakrzywiony wspornik, zapytał: – Jak wyginacie deski?

– Parą i ciśnieniem, podobnie jak poszerzałeś kadłub. Te słupy wkopane tam, gdzie jest teraz Carlono i twój brat, służą za prowadnice, przytrzymują deski w czasie szczepiania. Gdy wszyscy pracują razem, a otwory są już wywiercone, to nie zabiera to wiele czasu. Robienie otworów jest największym problemem. Ostrzemy kościane wiertła, ale one tak łatwo się łamią.

Pod wieczór, gdy wszyscy wracali gromadą na górny taras, Thonolan zauważył, że jego brat jest niezwykle małomówny.

– Nad czym myślisz?

– Nad robieniem łodzi. To bardziej zajmujące, niż sobie

mogłem wyobrazić. Nigdy nie słyszałem przedtem o łodziach takich, jak te, ani nie widziałem nikogo tak wprawnego w pływaniu na nich jak Ramudoi. Myślę, że najmłodszy z nich czują się pewniej w swych małych łódkach niż na nogach. I mają taką wprawę w posługiwaniu się narzędziami...

Thonolan spostrzegł, że bratu płonęły z entuzjazmu oczy.

– Badałem je. Myślę, że potrafiłbym jeszcze bardziej obłupać krawędź tnącą tego toporka, którym posługuje się Carlono, co wygładziłoby znacznie ostrze i ułatwiło pracę. Jestem pewny, że potrafię zrobić wiertło z kraemienia, którym można by szybciej wiercić otwory.

– A więc o to chodzi! A już przez chwilę myślałem, że naprawdę interesowałeś się budową łodzi, starszy bracie. Powinienem był wiedzieć. To nie o łodzi chodzi, ale o narzędzia, których używają przy ich budowie. Jondalarze, ty zawsze pozostaniesz w duszy wytwórcą narzędzi.

Jondalar się uśmiechnął, uświadamiając sobie, że Thonolan miał rację. Budowanie łodzi było interesujące, ale to używane przy tym narzędzia rozbudziły jego wyobraźnię. W tej grupie byli ludzie biegli w obróbce krzemienia, ale nikt z nich nie uczynił z tego swojej specjalności. Nikt z nich nie potrafił dostrzec, jak kilka usprawnień mogłoby zwiększyć skuteczność narzędzi. On zawsze znajdował przyjemność w robieniu narzędzi przystosowanych do wykonywania określonych zadań i w jego technicznie twórczym umyśle już zrodziły się pomysły, jak udoskonalić te, których używali Sharamudoi. Jego niezwykle umiejętności i wiedza mogły mu pozwolić na spłacenie długu, jaki miał wobec ludzi, którym tak wiele zawdzięczał.

Matko! Jondalar! Przybyło właśnie więcej ludzi! Jest już rozbitych tyle namiotów, że nie wiem, gdzie znajdą sobie miejsce



– krzyczał Darvo, wbiegając do szałas. Po chwili ponownie wyszedł na zewnątrz; przyszedł jedynie zakomunikować nowiny. Nie mógłby pewnie wytrzymać w środku – to, co się działo na zewnątrz, było o wiele bardziej pasjonujące.

– Przybyło więcej gości niż wtedy, gdy Tholie i Markeno zawierali związek, a mnie się wydawało, że to było wielkie zgromadzenie – powiedziała Serenio. – Ale wtedy większość ludzi słyszała o Mamutoi, choć nie wszyscy ich widzieli. Nikt jednakże nie słyszał o Zelandonii.

– Oni nie myśleć, my mieć dwa oko, i dwa ręka, i dwa noga jak oni? – zapytał Jondalar.

On sam był przytłoczony tą liczbą ludzi. Na Letnim Spotkaniu Zelandonii widywał co prawda więcej ludzi, ale ci, zgromadzeni tutaj, byli mu całkowicie obcy, jeśli nie liczyć mieszkających w Jaskini Dolando i na Przystani Carlono. Wieść rozniosła się tak szybko, że obok Sharamudoi przybyli także krewni i znajomi Tholie spośród Mamutai oraz inni, którzy towarzyszyli im z czystej ciekawości. Byli również ludzie mieszkający w górze rzeki czy też obu rzek – Matki i Siostry.

Wiele zwyczajów związanych z Ceremonią Zawarcia Związku było mu nie znanych. U nich wszystkie jaskinie udawały się na ustalone wcześniej miejsce, na którym miała się odbyć Ceremonia Zawierania Związku ludu Zelandonii, i kilka par jednocześnie łączono wtedy formalnymi więzami. Jondalar nie był przyzwyczajony do tego, aby tak wielu ludzi odwiedzało rodzinną jaskinię jednej pary po to, by być świadkami zawierania ich związku. Jako jedyny krewny Thonolana będzie zajmował poczesne miejsce podczas uroczystości i czuł się z tego powodu podenerwowany.

– Wiesz, Jondalarze, większość ludzi będzie zaskoczona, gdy

się dowie, że nie zawsze jesteś taki pewny siebie, na jakiego wyglądasz. Nie przejmuj się, poradzisz sobie – powiedziała Serenio, przysuwając się do niego i obejmując go za szyję. – Zawsze sobie dawałeś radę.

Uczyniła właściwą rzecz. Jej bliskość była miłym odwróceniem uwagi – oderwała jego myśli od samego siebie – jej słowa przywracały mu pewność. Przyciągnął ją bliżej, przycisnął swe gorące wargi do jej ust i tak pozostał, pozwalając sobie na moment zapomnienia w zmysłowej przyjemności, nim ponownie powrócą obawy.

– Sądysz, że dobrze wyglądam? To podróżne odzienie, nie na specjalne okazje – zapytał, nagle zażenowany swym strojem Zelandonii.

– Nikt tu o tym nie wie. Masz wyjątkowy ubiór, bardzo rzadko spotykany. Myślę, że zupełnie odpowiedni na tę okazję. Wyglądałbyś zbyt zwyczajnie, gdybyś włożył coś normalnego. Ludzie będą się przyglądali z równą uwagą Thonolanowi, jak i tobie. Po to przecież tu przybyli. Jeżeli potrafią cię wypatrzyć z oddali, to może nie będą się cisnąć wokół ciebie, a poza tym chyba czujesz się swobodniej we własnych rzeczach. I dobrze w nich wyglądasz. Są odpowiednie dla ciebie.

Pozwolił jej odejść i wyjrzał na zewnątrz przez szparę w wejściu, szczęśliwy, że nie musi jeszcze stawić czoła zgromadzonemu tam tłumowi. Potem cofnął się w głąb szalasu, dotknął głową pochylego dachu, zawrócił i znowu wyjrzał.

– Jondalarze, zaparzę ci napoju. To specjalna mieszanka, której się nauczyłam od Shamuda. Uspokoi twe nerwy.

– Wyglądam na zdenerwowanego?

– Nie, ale masz prawo być zdenerwowany. Za chwilę będzie gotowy.

Nalala wody do prostokątnego naczynia do gotowania i włożyła do niego gorące kamienie. Jondalar przyciągnął sobie drewniany stołek – ten, który był o wiele za niski – i usiadł. Myślami błędził gdzie indziej i wpatrywał się nieobecny wzrokiem w geometryczny wzór wyrzeźbiony na drewnianym naczyniu: seria ukośnych, równoległych linii ponad rzędem linii nachylonych w przeciwnym kierunku, co dawało wrażenie wypukłości.

Boki pudełeczka były zrobione z jednej deseczki, ponacinanej w pewnych odstępach.– Za pomocą pary, która nadawała drzewu giętkość, deseczka była zaginana w miejscach nacięć, tworząc tym samym rogi. W ostatnim rogu koniec i początek deseczki łączył kołeczek. Nacięcia porobiono również w pobliżu dolnej krawędzi deseczki i wpasowano w nie dno. To pudełko i inne, zrobione w ten sposób, były wodoszczelne, szczególnie gdy napęczniały po napełnieniu wodą. Przykrywane wieczkiem, były wykorzystywane do wielu rzeczy, począwszy od gotowania, a na przechowywaniu czegoś skończywszy.

Pudełko przypomniało mu o bracie i żałował, że nie mógł być z nim w chwili poprzedzającej zawarcie jego związku. Thonolan szybko pojął sposób w jaki Sharamudoi gięli i formowali drewno. Jego umiejętność wyrobienia dzid opierała się na tych samych zasadach, gorąca i pary, pozwalających na prostowanie drzewców lub zwijanie drewna przystosowanego do chodzenia na nim, gdy się je umocowało do nóg – po śniegu. Myśl o tym urządzeniu przypomniała Jondalarowi początek ich podróży i w przypływie nostalgii zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy ponownie swój dom. Zawsze gdy wkładał własne odzienie nachodziła go tęsknota za domem i wkradała się w jego myśli, kiedy się tego najmniej spodziewał, mając go jakimś żywym

wspomnieniem lub wzruszającym obrazem. Tym razem należące do Serenio, żłobione pudełko do gotowania, wywołało przyływ tęsknoty.

Wstał pospiesznie, przewrócił stołek i rzucił się, aby go poprawić, o mało nie zderzając się z Serenio, która właśnie niosła mu miseczkę gorącego napoju. To wydarzenie przypomniało mu o nieszczęśliwym wypadku, do którego doszło podczas Uroczystości Przyrzeczenia. Tholie i Shamio czuły się już dobrze, a ich rany niemal się wygoiły, ale on doznał uczucia niepokoju na wspomnienie rozmowy, jaką potem odbył z Shamudem.

– Jondalarze, wypij napój. Jestem pewna, że ci pomoże. Zapomniał o trzymanej w dłoni miseczce, uśmiechnął się w odpowiedzi i upił łyk gorącego napoju. Miał przyjemny smak – zdawało mu się, że wyczuwał wśród jego składników rumianek a jego ciepło działało uspokajająco. Po chwili poczuł, że napięcie częściowo go opuszcza.

– Masz rację, Serenio. Czuć lepiej. Nie wiedzieć, co źle.

– Nie każdego dnia zdarza się, aby brat zawierał związek. To całkiem zrozumiałe, że jesteś trochę zdenerwowany.

Ponownie ją wziął w ramiona i pocałował namiętnie w nadziei, że nie będzie musiał jej zbyt szybko opuścić.

– Do zobaczenia wieczorem – szepnął jej do ucha. – Jondalarze, tej nocy będziemy świętowali ku czci Matki przypomniała mu. – Nie sądzę, byśmy mogli się umawiać, gdy przybyło tylu gości. Dlaczego nie pozwolić dzisiejszemu wieczorowi biec swą własną drogą. Możemy być razem w każdy inny wieczór.

– Zapomniałem – powiedział i kiwnął na zgodę głową, ale poczuł się odtrącony. To było dziwne uczucie; nigdy poprzednio tak się nie czuł. Prawdę mówiąc, to on należał zawsze do tych,

którzy się upewniali, czy będą wolni w czasie różnych ceremonii. Dlaczego miałyby się czuć urażony, skoro Serenia mu to ułatwiła? pod wpływem chwili postanowił, że spędzi z nią ten wieczór bez względu na Uroczystości Matki.

– Jondalar! – Darvo ponownie wpadł do środka. – Przysłali mnie po ciebie. Chcą, abys przyszedł. – Z podniecenia, że powierzono mu tak ważne zadanie, brakowało mu tchu i z niecierpliwością przestępował z nogi na nogę. – Pospiesz się. Chcą, abys przyszedł.

– Uspokój się, Davro – powiedział mężczyzna, uśmiechając się do chłopca. – Idę. Nie przegapię Ceremonii Zawarcia Związku brata.

Davro uśmiechnął się nieco zakłopotany, zdając sobie sprawę, że nie zaczęto by bez Jondalara; ale to nie poskromiło jego niecierpliwości. Wybiegł na zewnątrz. Jondalar odetchnął i udał się w ślad za nim.

Gdy się pojawił przez zgromadzony tłum przebiegł pomruk, a on ucieszył się na widok dwóch czekających na niego kobiet. Roshario i Tholie poprowadziły go do wzniesienia w pobliżu bocznej ściany, gdzie czekali już pozostali. W najwyższym punkcie wzniesienia, z głową i ramionami ponad tłumem, stała białowłosa postać, której twarz częściowo przesłaniała drewniana maska w kształcie ptaka.

Gdy podszedł bliżej, Thonolan rzucił mu nerwowy uśmiech. Jondalar z kolei starał się wyrazić mu swym uśmiechem zrozumienie. Skoro on sam był taki spięty, to może sobie wyobrazić, jak się czuł Thonolan, i żałował, że obyczaj Sharamudoi zabraniają im być teraz razem. Zauważył, że jego brat zdawał się doskonale wczuwać w swoją rolę i poczuł głęboki żal. W czasie podróży byli sobie najbliższymi z ludzi, ale teraz ich

drogi się rozchodziły, i Jondalar to czuł. Na chwilę ogarnął go przygniatający smutek.

Zamknął oczy i zacisnął pięści, aby zapanować nad sobą. Słyszał głosy dobiegające z tłumu i zdawało mu się, że rozpoznał pewne słowa, “wysoki” i “ubranie”. Gdy otworzył oczy, w lot pojął, dlaczego Thonolan tak dobrze pasował do otoczenia. Miał na sobie ubiór Shamudoi.

Nic dziwnego, że mówiono o moim odzieniu, pomyślał, i przez moment żałował, że zdecydował się na tak obcy strój. Thonolan był teraz jednym z nich, adoptowano go, aby umożliwić mu zawarcie związku. Jondalar nadal był Zelandonii.

Wysoki mężczyzna dołączył do grupy nowych krewnych swego brata. Chociaż formalnie nie był Sharamudoi, to teraz byli oni również i jego krewnymi. Oni, razem z krewnymi Jetamio, ofiarowali jedzenie i prezenty, które zostaną rozdzielone pomiędzy gości. W miarę jak przybywało ludzi, przynoszono coraz więcej darów. Duża liczba gości świadczyła o dużym szacunku i pozycji młodej pary, ale byłoby bardzo poniżające, gdyby ktokolwiek odszedł niezadowolony.

Nagle zamieszanie zmusiło ich do spojrzenia w kierunku grupy osób, torującej sobie drogę przez tłum.

– Widzisz ją? – zapytał Thanolana, stając na palcach.

– Nie, ale przecież wiesz, że to ona nadchodzi – powiedział Jondalar.

Gdy przybysze dotarli do Thanolana i jego krewnych, ochronny kordon się rozstał, ukazując ukryty w środku skarb. Thanolanowi zaschło w gardle na widok okrytej kwiatami piękności, która uśmiechała się do niego najpromienniejszym ze swych uśmiechów. Jego szczęście tak rzuciło się w oczy, że Jondalar uśmiechnął się z lekkim rozbawieniem. Jak pszczoła

przyciągana przez kwiat, tak Thonolan zdązał do ukochanej przez siebie kobiety, ciągnąc za sobą swą świtę, aż krewni Jetamio otoczyli Thonolana i jego krewnych.

Obie grupy się wymieszały, a potem ustawiły w pary. Shamud zaczął wygrywać na fujarce powtarzające się serie gwizdów. Rytm podkreślała druga osoba w masce ptaka, grając na dużym, jednostronnym bębnie. Drugi Shamud, domyślił się Jondalar. Nie znał tej kobiety, ale było w niej coś znajomego, być może wszystkich Ktorzy-Służyli Matce, łączyło pewne podobieństwo. Jej widok przywiódł mu na myśl dom.

Białowłosa Shamud grał na swej fujarce, podczas gdy krewni obu stron ustawiali się w coraz to nowe, sprawiające wrażenie skomplikowanych, wzory. Stanowiły one jednakże jedynie prosty ciąg kroków. Fujarka była zrobiona z długiego, prostego kija, który wypalono w środku gorącym drewnianym. Miała ustnik, otwory na całej długości, a na końcu wyrzeźbioną głowę ptaka z otwartym dziobem. Niektóre wydawane za pomocą tego instrumentu dźwięki naśladowały głosy ptaków.

Obie grupy ustawiły się na koniec w dwóch rzędach, twarzami do siebie, trzymając w górze splecione dłonie i tworząc tym samym długie, sklepienie przejście. Para młoda podążała nim, a ci, których minęła, spieszyli za nią, dopóki wszystkie pary, z Shamudem na czele, nie przeszły skrajem tarasu i nie obeszły skalnego występu. Thonolan i Jetamio byli tuż za grającym na fujarce, za nimi szli Markeno i Tholie, potem Jondalar i Roshario, jako najbliżsi krewni młodej pary. Pozostali krewni podążali ich śladem, a pochód zamykał cały tłum członków jaskini i gości. Grający na bębnie Shamud, który przybył wraz z gośćmi, trzymał się w pobliżu ludzi ze swojej jaskini.

Białowłosa Shamud prowadził ich w dół ścieżką w kierunku

wyrębu, na którym robiono łodzie, ale skręcił w boczną dróżkę i przywiódł wszystkich do Błogosławionego Drzewa. W czasie, gdy tłum ustawiał się wokół olbrzymiego dębu, Shamud rozmawiał cicho z młodą parą – udzielając im wskazówek i rad mających zapewnić szczęście związku i błogosławieństwo Matki. Jedynie najbliżsi krewni i kilku innych, którzy akurat byli w zasięgu słuchu, brali udział w tej części uroczystości. Pozostali zebrani rozmawiali z sobą dopóki nie spostrzegli, że Shamud czekał w milczeniu.

Na ten widok wszyscy poczęli się wzajemnie uciszać. W pełnej napięcia ciszy rozległo się natarczywe wołanie sójki, a wśród drzew niosło się echem stukanie dzięcioła. Wtem w powietrzu zabrzmiała słodka pieśń lelka.

Jakby czekając na ten sygnał, postać w masce ptaka dała znak, aby młoda para wystąpiła. Shamud wyciągnął kawałek sznurka, zgrabnym ruchem zawiązał pętlę. Thonolan i Jetamio, wpatrując się w siebie, podali sobie dłonie i włożyli je do pętli.

– Jetamio z Thonolanem, Thanolana z Jetamio, przywiązuje was do siebie – powiedział Shamud i zaciągnął sznurek, zaciskając na ich nadgarstkach węzeł. – Jesteście związani z sobą niczym ten węzeł, oddani sobie nawzajem i połączeni wspólnymi więzami krwi i przynależności do jaskini. Przez swoje połączenie zamknęliście kwadrat otwarty przez Markeno i Tholie. – Na dźwięk swych imion wystąpiło dwoje innych młodych ludzi i wszyscy czworo podali sobie dłonie. – Tak jak udziałem Shamudoi są dary ziemi, tak Ramudoi przypadają w udziale dary wody, razem więc jesteście teraz Sharamudoi i będziecie sobie zawsze nawzajem pomagali.

Tholie i Markeno cofnęli się, a gdy Shamud począł wydawać na swej fujarce wysokie dźwięki, Thonolan i Jetamio zaczęli



powoli okrążyć wiekowy dąb. Przy drugim okrążeniu widzowie wykrzykiwali życzenia, obsypując ich ptasimi piórami, płatkami kwiatów i sosnowymi igłami.

Podczas trzeciego okrążenia Błogosławionego Drzewa widzowie przyłączyli się do nich, a śpiewom towarzyszyło więcej fujarek. Walono też w bębny i wydrążone bulwy dużej rośliny. W pewnej chwili jeden z Mamutoi wyciągnął kość przedniej nogi mamuta. Uderzył w nią pobijakiem i wszyscy na moment umilkli. Dźwięczny, wibrujący dźwięk zaskoczył większość ludzi, ale ich zdumienie rosło jeszcze bardziej, w miarę jak Mamutoi grał dalej. Grajek mógł zmienić brzmienie i wysokość tonu, uderzając kością w różnych miejscach i dostrajając swe uderzenia do melodii pieśniarza i fujarki. Pod koniec trzeciego okrążenia Shamud znowu stanął na czele i poprowadził grupę na dół do wyrębu nad rzeką.

Jondalar przegapił moment ostatecznego wykończenia łodzi. Choć pracował niemal przy każdej fazie budowy, to końcowy efekt sprawił, iż zaparł mu z wrażenia dech w piersi. Łódź wydawała się o wiele większa niż sobie przypominał, a choć nie była na początku mała, to jednak teraz jej pięćdziesięciostopowa długość była równoważona odpowiednio wysokimi burtami z lekko wygiętych desek i wysoką, sterczącą rufą. Ale to przednia część łodzi wywoływała okrzyki zachwytu. Wygięty dziób wdzięcznie przechodził w długą szyję wodnego ptaka wyrzeźbioną w drewnie i połączoną z łodzią sworzniami.

Szyja była pomalowana czerwoną i brunatnożółtą ochrą, manganawą czernią i białym wapieniem. Oczy namalowano nisko na kadłubie, aby spoglądały pod wodę i wypatrywały ukrytych niebezpieczeństw, a rufę i dziób pokrywały geometryczne wzory. Siedzenia dla wioślarzy zajmowały całą

szerokość, a długie, o szerokich piórach wiosła czekały w pogotowiu. Środkową część łodzi osłaniał przed deszczem i śniegiem baldachim z żółtych skór kozic, a cała łódź była ozdobiona kwiatami i ptasimi piórami.

Była wspaniała. Budziła nabożną cześć. I Jondalar poczuł przypływ dumy i ścisk w gardle, gdy pomyślał, że przyczynił się do jej powstania.

– We wszystkich ceremoniach zawarcia związku brały udział łodzie, wszystko jedno – nowe czy przebudowane, ale nie każdy związek był zaszczycony łodzią takich rozmiarów i taką wspaniałością. Co prawda, jedynie przypadek sprawił, że uznano, iż jest potrzebna druga wielka łódź akurat wtedy, gdy młoda para oznajmiła swój zamiar. Ale teraz, gdy przybyło tyle gości, jej wielkość wydawała się szczególnie odpowiednia. I zarówno członkowie jaskini, jak i młoda para, czuli się uszczęśliwieni wynikiem swojej pracy.

Młoda para wdrapała się do łodzi, nieco niezgrabnie z powodu związanych razem rąk, i zajęła miejsce pod baldachimem. Wielu z ich bliskich krewnych podążyło za nimi, zabierając z sobą wiosła. Łódź, aby zapobiec bujaniu, była ustawiona pomiędzy drewnianymi kłodami sięgającymi brzegu wody. Członkowie jaskini i goście tłumnie zabrali się do spychania łodzi na rzekę i wśród pomrukiwań i śmiechu zwodowali ją.

Nie pozwolono jej odpłynąć, dopóki się nie upewniono, że nowa łódź była sprawna, bez przechyłów i poważniejszych przecieków. Potem łódź ruszyła w dół nurtu w dziewiczą podróż do przystani Ramudoi. Kilka łodzi o różnej wielkości również spuszczone na wodę i otoczyły one wielkiego wodnego ptaka niczym kaczątka.

Ci, którzy nie wracali wodą, pospieszyli ścieżką z powrotem na

górze w nadziei, że dotrą do górnej zatoki przed parą młodą. Na przystani kilku ludzi wspięło się po stromym szlaku wodospadu i przygotowało do spuszczenia duży płaski kosz, ten, w którym Thonolan i Jondalar zostali po raz pierwszy wciągnięci na taras, tym razem jednak na górę zostaną wciągnięci Thonolan i Jetamio mający nadal związane ręce. Zgodzili się na wzajemne przywiązanie i przynajmniej przez ten dzień nie będą rozdzieleni.

Podano ogromne ilości jedzenia, które popijano winem z mniszka, wszystkich gości obdarzono prezentami, zgodnie z ich pozycją. Z nastaniem wieczoru, w nowym szałasie zbudowanym dla młodej pary, zaczęli się pojawiać goście, którzy wślizgiwali się po cichu, aby zostawić dla młodych jakiś “drobiazg” na szczęście. Dary były składane anonimowo, aby nie zaćmić bogactwa zaprezentowanego podczas godów przez jaskinię gospodarzy. Ale w rzeczywistości wartość otrzymanych prezentów będzie mierzona wartością rozdanych rzeczy, a wszystko skrzętnie porównane i zapamiętane, jako że tak naprawdę dary nie były całkiem anonimowe.

Kształt, wzór i sposób malowania lub rzeźbienia przedmiotów zdradzał ofiarodawcę, tak jakby prezenty były wręczane osobiście; tym sposobem nie poznawano imienia określonej osoby, co w zasadzie było mało istotne, ale rozpoznawano rodzinę bądź grupę, czy członków jednej jaskini. W powszechnie znanym i wzajemnie zrozumiałym systemie wartości ofiarowane i otrzymane prezenty miały znaczący wpływ na odpowiednie poważanie, honor i znaczenie różnych grup. I chociaż było to pokojowe współzawodnictwo, to jednak było ono bardzo zawzięte.

– On zwraca na siebie uwagę – powiedziała Jetamio do

Thonolana, zauważając gromadkę kobiet otaczających wysokiego, jasnowłosego mężczyznę opartego niedbale o drzewo w pobliżu skalnego występu.

– Zawsze tak było. Jego duże błękitne oczy przyciągają kobiety jak... ćmy do ognia – powiedział Thonolan, pomagając Jetamio wynieść dębowe pudło z jagodowym winem do uczających gości. – Nie zauważyłaś? Ciebie nigdy nie zwabił?

– Ty pierwszy się do mnie uśmiechnąłeś – powiedziała z pięknym uśmiechem. – Ale ja to chyba rozumiem. Tu chodzi o coś więcej niż tylko jego oczy. On się wyróżnia, szczególnie w tym ubraniu. Dobrze w nim wygląda. Ale to nie wszystko. Myślę, że kobiety wyczuwają, iż on... poszukuje. Poszukuje kogoś. I jest taki czuły... wrażliwy... wysoki i tak dobrze zbudowany. Naprawdę całkiem przystojny. I ma coś takiego w oczach. Czy zauważyłeś, że robią się fiołkowe w świetle ogniska? – zapytała.

– Mówiłaś chyba, że cię nie pociąga... – powiedział Thonolan, sprawiając wrażenie zakłopotanego, ale dziewczyna mrugnęła do niego łobuzersko.

– Jesteś o niego zazdrosny? – zapytała delikatnie.

Thonolan chwilę milczał.

– Nie. Nie zawsze. Choć nie wiedzieć czemu wielu mężczyzn jest zazdrosnych. Spójrz na niego, myślisz, że ma wszystko. flak jak mówiłaś, dobrze zbudowany, przystojny; patrz na te wszystkie piękne kobiety dookoła. I więcej. Ma zręczne dłonie, najlepszy obrabiacz krzemienia, jakiego widziałem. Dobra głowa, ale nie jest wielkim mówcą. Ludzie go lubią, mężczyźni, kobiety. Powinien być szczęśliwy, ale nie jest. Musi sobie znaleźć kogoś takiego jak ty, Tamio.

– Nie, nie jak ja. Ale kogoś. Lubię twego brata, Thonolanie. Mam nadzieję, że znajdzie tę, której szuka. Może to któraś z tych

kobiet?

– Nie sędę. Widywałem juź to poprzednio. Mo¿e spodoba mu się jedna – lub więcej – ale nie znajdzie tej, której szuka. Nalali trochę wina do naczyń, resztę zostawili biesiadnikom, a potem ruszyli w kierunku Jondalara.

– A co z Serenio? Zdaje się, że się o nią troszczy, i wiem, że ona czuje do niego coś więcej niź chce przyznać.

– Troszczy się o nią, a tak¿e o Darvo. Ale... mo¿e nic dla niego nie zna~zy? Mo¿e on szuka marzenia, donii. – Thonolan uśmiechnął się czule. – Gdy pierwszy raz uśmiechnęłaś się do mnie, to myślałem, że jesteś donn.

– Mówimy, że duch Matki staje się ptakiem. One budzą swym śpiewem słońce, przynoszą z sobą wiosnę z południa. Jesienią niektóre z nich zostają z nami, aby nam o Niej przypominać. Drapieżne ptaki, bociany, ka¿dy ptak jest przejawem Mudo. – Droę przeciął im sznur biegnących dzieci, więc się zatrzymali na chwilę. Małe dzieci, szczególnie te niegrzeczne, nie lubią ptaków. Myślą, że Matka ich podgląda i wie wszystko. Niektóre matki opowiadają takie rzeczy dzieciom. Słyszałam historię o dorosłym człowieku, który na widok pewnych ptaków wyznał swe złe czyny. Ale mówią te¿, że Ona zaprowadzi cię do domu, jeśli zgubisz drogę.

– My mówimy, że duch Matki staje się donn, unosi go wiatr. Mo¿e Ona wygląda jak ptak. Nigdy o tym przedtem nie myślałem – powiedział, ściskając jej dłoń i patrząc na nią ze wzruszeniem. Następnie czując, jak zalewa go fala miłości, szepnął głosem pełnym emocji: – Nigdy nie myślałem, że cię znajdę. – Próbował objąć ją, ale przypomniał sobie, że mają związane nadgarstki i zmarszczył brwi. – Cieszę się, że połączył nas węzeł, ale kiedy go przetniemy? Chcę cię przytulić, Tamio.

– Może dzięki temu zrozumiemy, że nie powinniśmy być z sobą zbyt mocno związani. – Roześmiała się. – Wkrótce będziemy mogli opuścić uroczystość. Zanieśmy twemu bratu trochę wina, nim całe nie zniknie.

– Może on nie ma na nie ochoty. Czasami przechwała się piciem, ale tak naprawdę nie pije wiele. Nie lubi tracić panowania nad sobą i głupio się zachowywać. – Młoda para po wyjściu z cienia została natychmiast zauważona.

– Tu jesteście! Czekałam, aby ci życzyć szczęścia, Jetamio powiedziała młoda, pełna wigoru kobieta, z ludu Ramudoi pochodząca z innej jaskini. – Szczęściara z ciebie, u nas nigdy nie zimowali przystojni goście. – Obdarzyła wysokiego mężczyznę ujmującym uśmiechem, ale on patrzył na inną z dziewcząt.

– To prawda. Mam szczęście – powiedziała Jetamio, rozpluwając się w uśmiechu skierowanym do swego partnera. Dziewczyna spojrzała na Thonolana i westchnęła.

– Obaj są tacy przystojni. Myślę, że nie mogłabym dokonać wyboru!

– Musiałabyś, Cherunio – powiedziała inna z dziewcząt. Jeżeli chcesz mieć partnera, to musisz zdecydować się na jednego. Wybuchnęli śmiechem, ale dziewczyna się cieszyła, że zwróciła na siebie uwagę.

– Nie znalazłam jeszcze mężczyzny, na którego chciałabym się zdecydować. – Uśmiechnęła się do Jondalara, pokazując dołeczki na policzkach.

Cherunio była najniższą z dziewcząt i Jondalar w istocie jej przedtem nie zauważył. Uczynił to jednak teraz. Dziewczyna choć niska, była pełna kobiecego wdzięku i ponętnego wigoru. Stanowiła niemal całkowite przeciwieństwo Serenio. W jego oczach pojawiło się zainteresowanie i Cherunio przeszył radosny

dreszcz na myśl, że zwróciła jego uwagę. Nagle odwróciła głowę, porwana dolatującymi dźwiękami.

– Słyszę znajomy rytm – będą tańczyć w parach – powiedziała.  
– Chodź, Jondalarze.

– Nie znać kroków – powiedział.

– Pokażę ci, to nic trudnego – powiedziała Cherunio, ciągnąc go ochoczo w kierunku muzyki. Jondalar uległ.

– Czekajcie, my też pójdziemy – powiedziała Jetamio.

Druga z dziewcząt nie była zbytnio zadowolona, że Cherunio tak szybko zwróciła na siebie uwagę Jondalara. Starszy z braci słyszał jeszcze odchodząc, jak Radonio mówiła: – To nic trudnego..., na Wie! – czemu towarzyszyły salwy śmiechu. Ale nie słyszał już wyciszonych szeptów, gdy we czwórkę odchodzili w stronę tańczących.

– Masz tu ostatni pojemnik wina – powiedział Thonolan. Jetamio stwierdziła, że powinni zacząć pierwszy taniec, ale nie muszą zostawać, i że wyslizną się przy pierwszej sposobności.

– Nie chcesz go zabrać z sobą? Na naszą prywatną uroczystość?

Thonolan uśmiechnął się do swej partnerki.

– Prawdę mówiąc, to nie jest on ostatni – mamy jeden schowany. Ale nie myślę, aby był nam potrzebny. Już samo bycie sam na sam z tobą Jetamio będzie wystarczającą radością.

– Ich śmiech ma takie miłe brzmienie. Nie sądzisz Jetamio? – zapytała Cherunio. – Rozumiesz coś z ich mowy?

– Trochę, ale nauczę się więcej. I języka Mamutoi również. Tholie wpadła na pomysł, abyśmy uczyli się nawzajem języków.

– Tholie mówić, najlepszy sposób nauczyć się języka Sharamudoi, to mówić cały czas. Ma rację. Przepraszam, Cherunio. Nieuprzejmie mówić Zelandonii – przepraszam

Jondalar.

– Ależ nic nie szkodzi – powiedziała Cherunio, choć wcale tak nie myślała. Nie lubiła, gdy się ją wykluczało z rozmowy. Ale ułagodziły ją jego przeprosiny i mile połechtął fakt, że zaliczono ją do wąskiego grona razem z młodą parą i wysokim, przystojnym Zelandonii. Doskonale zdawała sobie sprawę z zazdrosnych spojrzeń, jakimi obrzucały ją inne dziewczęta.

Poza nawisem, na skraju skalnego tarasu płonęło ognisko. Wszyscy czworo weszli w cień i po kolei napili się z pojemnika, a potem, gdy grupa tancerzy się ustawiała, obie dziewczyny pokazały mężczyznom podstawowe kroki tańca. Fujarki, bębny i grzechotki zaczęły grać miłą melodię, którą podchwycił gracz na kości mamuta, dodając niezwykle dźwięki, przypominające grę spadających kropli deszczu.

Po rozpoczęciu tańców Jondalar zauważył, że podstawowe kroki można zmieniać na różne sposoby, a jedynym ograniczeniem była wyobraźnia i umiejętności tancerzy. Co pewien czas któraś z tańczących osób lub par poczynała tańczyć ze szczególnym zapamiętaniem, a wówczas wszyscy inni przystawali, aby pokrzykiwać zachęcająco i rytmicznie przytupywać. Dookoła tańczących zbierała się kołysząca i śpiewająca grupa, a po chwili muzyka zmieniła tempo. I cała zabawa trwała dalej. Nie przestawano grać i tańczyć, a ludzie przyłączali się – grajkowie, śpiewacy, tancerze – i odchodzili, gdy mieli na to ochotę, tworząc nie kończącą się wariację brzmienia, kroków, rytmu i melodii. Zabawa będzie trwała tak długo, dopóki będą chętni do tańca.

Cherunio była uroczą partnerką i Jondalar, pijąc więcej niż zwykle wina, poddał się nastrojowi wieczoru. Ktoś zaczął przyśpiewki. Jondalar szybko się zorientował, że słowa piosenki



ułożone specjalnie na tę okazję rozśmieszały, najczęściej robiąc aluzje do darów i rozkoszy. Rozpoczął się rodzaj rywalizacji pomiędzy tymi, którzy starali się rozśmieszać, a tymi, którzy próbowali się nie śmiać. Niektórzy z uczestników robili nawet zabawne miny, starając się wywołać pożądaný efekt. Potem do środka wszedł mężczyzna, który kołysał się w takt rytmu piosenki.

– Oto Jondalar, tak rosły, że nikt mu nie dorówna. Cherunio jest słodka, ale mała. Jondalar przetrąci sobie krzyż albo się przewróci.

Przyśpiewka wywołała oczekiwany skutek: salwy śmiechu.

– Jak ty to zrobisz, Jondalarze? – zawołał ktoś inny. Przecież, żeby ją pocałować musiałbyś się złamać w pół!

Jondalar uśmiechnął się do dziewczyny.

– Nie złamać krzyż – powiedział, po czym podniósł Cherunio i pocałował ją przy wtórze tupotu nóg i śmiechów. Dziewczyna uniesiona nie tylko dosłownie, ale i nastrojem, zarzuciła mu ręce na szyję i z uczuciem oddała pocałunek. Jondalar zauważył, że kilka par opuściło grupę, udając się do namiotów lub na maty w odludnych zakątkach, i jego samego też zaczęły już nachodzić podobne myśli. Całowała go z takim upodobaniem, że przypuszczał, iż mogłaby się na to zgodzić.

Nie mogli jednakże natychmiast odejść, nie narażając się na śmiech – ale mogli zacząć powoli się wycofywać. Nowi ludzie przyłączyli się do śpiewających i obserwatorów, co spowodowało zmianę kroku. To mogła być dobra okazja, aby niepostrzeżenie umknąć. Nagle, gdy pomagał Cherunio przesunąć się na skraj tłumu, pojawiła się Radonio.

– Miałaś go cały wieczór, Cherunio. Nie uważasz, że już czas, abyś się nim podzieliła? Wszak to ceremonia dla uczczenia Matki

i powinniśmy dzielić się jej darami.

Radonio wepchnęła się pomiędzy nich i pocałowała Jondalara. Potem następna kobieta go objęła, a po niej jeszcze kilka innych. Był otoczony przez dziewczęta i z początku ulegał ich pocałunkom i pieścizdom. Przestało go to jednak bawić, gdy kilka par rąk poczęło pieścić go w zdecydowanie intymny sposób. Rozkosz powinna być sprawą osobistego wyboru. Słyszał stłumioną szarpaninę, ale sam musiał się mocno opędzać od rąk, próbujących rozwiązać jego spodnie i sięgnąć do środka. Tego było mu już za wiele.

Niezbyt delikatnie otrząsnął się z dziewcząt. Gdy w końcu zrozumiały, że nie pozwoli się żadnej z nich dotknąć, cofnęły się chichocząc. Nagle Jondalar zauważył, kogo brakuje.

– Gdzie jest Cherunio? – zapytał.

Kobiety popatrzyły po sobie i wybuchnęły śmiechem.

– Gdzie jest Cherunio? – dopytywał się, a gdy jedyną odpowiedzią był coraz większy śmiech, skoczył i złapał Radonio. Ścisnął ją boleśnie za ramię, ale ona nie dawała nic po sobie poznać.

– Uznałyśmy, że powinna się tobą podzielić – powiedziała Radonio, zmuszając się do uśmiechu. – Każda pragnie wielkiego, przystojnego Zelandonii.

– Zelandonii nie chceć każda. Gdzie jest Cherunio?

Radonio odwróciła głowę i odmówiła odpowiedzi.

– Powiedzieć, że ty chceć duży Zelandonii? – rzekł rozżłoszczony, co znać było po jego głosie. – Ty dostać duży Zelandonii! – Zmusił ją by klęknęła.

– Boli mnie! Czemu nikt z was mi nie pomoże?

Ale inne dziewczęta nie miały zbytnej ochoty się zbliżyć. Jondalar przewrócił dziewczynę na ziemię przed ogniskiem.

Muzyka ucichła, dookoła zebrali się ludzie, niepewni czy powinni się wtrącać. Dziewczyna szarpała się, próbując wstać, ale on przytrzymał ją ciężarem swego ciała.

– Ty chcesz duży Zelandonii, ty dostać. Gdzie jest Cherunio?

– Tu jestem. Odciągnęli mnie i włożyli mi coś do ust. Mówili, że to tylko żart.

– Zły żart – powiedział podnosząc się, a potem pomagając wstać Radonio. Dziewczyna miała łzy w oczach.

– Skrzywdziłeś mnie – płakała.

Jondalar nagle uprzytomnił sobie, że to miał być tylko żart, i że on swym zachowaniem wszystko popsuł. Ani jemu, ani Cherunio nie zrobiono nic złego. Nie powinien był krzywdzić Radonio. Opuściła go złość, a zrodziło się poczucie winy.

– Ja... ja nie chcę cię skrzywdzić... ja...

– Nie skrzywdziłeś jej. A przynajmniej nie bardzo – powiedział jeden z przyglądających się mężczyzn. – I ona sobie na to zasłużyła. Zawsze coś zacznie i potem są z tego kłopoty.

– A tobie żal, że nie zaczęła czegoś z tobą – powiedziała jedna z dziewcząt, przychodząc teraz, gdy już wszystko wróciło do normy.

– Wam może się wydawać, że mężczyzna lubi, gdy zabieracie się do niego wszystkie naraz, ale to nieprawda.

– To nieprawda – przedrzeźniała go Radonio. – Myślisz, że nie słyszałyśmy, jak żartowałeś sobie na osobności z tej czy innej kobiety? Słyszałam, jak mówiłeś o tym, że chciałbyś mieć wszystkie kobiety naraz. Słyszałam, jak mówiłeś, że pragniesz dziewcząt przed Obrzędem Pierwszej Rozkoszy, gdy wiesz, że nie można ich dotknąć, nawet jeżeli Matka uczyniła je już gotowymi.

Młodzieniec się zaczerwienił i Radonio wykorzystała przewagę by posunąć się dalej.

– Niektórzy z was nawet mówią o niewoleniu samic płaskogłowych!

Nagle z mroku czającego się za ogniskiem wyłoniła się kobieta. Była nie tyle wysoka, co tłusta, ogromnie otyła. Skośne oczy oraz tatuaż na twarzy świadczyły o jej obcym pochodzeniu, choć była ubrana w skórzaną koszulę Shamudoj.

– Radonio! – powiedziała. – Nie trzeba wygadywać sprośności w czasie uroczystości ku czci Matki. – Teraz Jondalar ją rozpoznał.

– Przepraszam, Shamudzie – powiedziała Radonio, pochylając głowę. Twarz miała czerwoną z zażenowania i była naprawdę pełna skruchy. To uprzytomniło Jondalarowi, jak była jeszcze młoda. Wszystkie ledwie wyszły z wieku dziewczęcego. Zachował się wstrętne.

– Moja droga – kobieta zwróciła się delikatnie do Radonio. – Mężczyzna lubi być nęcony, lecz nie nęcany.

Jondalar spojrział na kobietę z większym zainteresowaniem; myślał bardzo podobnie.

– Ale my nie miałyśmy zamiaru go skrzywdzić. Myślałyśmy, że mu się to spodoba... po pewnym czasie.

– I może by mu się spodobało, gdybyście były delikatniejsze. – Nikt nie lubi być zmuszany. Nie spodobała ci się chyba myśl, że mógłby cię zniewolić, prawda?

– Zadał mi ból!

– Czyżby? Czy też przymusił cię do zrobienia czegoś, na co nie miałaś ochoty? Myślę, że to zabolalo cię o wiele bardziej. A co z Cherunio? Czy żadna z was nie pomyślała o tym, że możecie jej sprawić przykrość? Nie można nikogo zmusić do cieszenia się rozkoszą. W ten sposób nie czci się Matki. To obraza dla jej daru.

– Shamud, to ty przypuszczasz...

– Przeszkadzam wam w zabawie. Daj spokój, Radonio. To uroczystość. Mudo pragnie, by jej dzieci były szczęśliwe. To był tylko drobny wypadek – nie pozwól, aby popsuł ci zabawę, moja droga. Tańce znów się zaczęły, idź się przyłączyć do nich.

Gdy kobieta wróciła do swojego miejsca, Jondalar ujął dłonie Radonio.

– Przepraszam... Nie myśleć. Nie chce cię skrzywdzić. Proszę, wstyd mi... przebaczyć?

W pierwszym odruchu Radonio chciała w złości wyszarpnąć dłonie, ale jej gniew stopniał, gdy spojrzała w jego szczerą twarz i ciemnofiołkowe oczy.

– To było głupie... dziecinny żart – powiedziała, pochylając się ku niemu zniewolona jego bliskością. On schwycił ją, a potem schylił się i pocałował ją namiętnie.

– Dziękuję, Radonio – powiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

– Jondalar! – zawołała za nim Cherunio. – Dokąd idziesz?

Zdał sobie sprawę, że zupełnie o niej zapomniał i poczuł ciężar winy. Podeszedł do niskiej, ładnej, pełnej wigoru dziewczyny – nie ulegało wątpliwości, że była pociągająca – podniósł ją i pocałował przepraszająco i płomiennie.

– Cherunio, ja obiecać. To wszystko by się nie stało, gdyby ja nie być gotów złamać obietnicę, ale przy tobie tak łatwo zapomnieć. Mam nadzieję... innym razem. Proszę, nie gniewać się – powiedział Jondalar, a potem szybko odszedł w kierunku szałasów, pod kamiennym nawisem.

– Dlaczego musiałaś się wtrącić i wszystko popsuć, Radonio? – zapytała Cherunio, patrząc w ślad za odchodzącym.

Skórzana zasłona na wejściu do szałasów, który zajmował z Serenio, była opuszczona, ale skrzyżowane deski nie zagraadzały

mu drogi. Westchnął z ulgą. Przynajmniej nie była w środku z kimś innym. Odsunął zasłonę, w środku było ciemno. Może jej tu nie było. Może była z kimś innym. Zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że nie widział jej przez cały wieczór, nawet podczas głównej ceremonii. To przecież ona nie chciała się wiązać; on jedynie obiecał samemu sobie, że spędzi z nią noc. Może ona miała inne plany, a może widziała go z Cherunio.

Poszedł po omacku w głąb szałas, gdzie wznosiło się podwyższenie przykryte futrami i wypchanym piórami workiem. Pośłanie Davro, znajdujące się pod ścianą, było puste. Tego należało się spodziewać. Nieczęsto zdarzali się goście, szczególnie w jego wieku. Pewnie poznał innych chłopców i spędzał noc w ich towarzystwie, nie pozwalając sobie i im zasnąć.

Poszedł jeszcze dalej i nastawił ucha. Czyżby słyszał czyjś oddech? Sięgnął ręką na podwyższenie, dotknął czyjegoś ramienia i twarz rozjaśnił mu radosny uśmiech.

Wyszedł ponownie na zewnątrz, wyciągnął z dużego ogniska trochę gorącego żaru i szybko zaniósł go z powrotem na kawałku drewna. Zapalił knot małej kamiennej lampki, potem ustawił w wejściu skrzyżowane deski na znak, że nie chcą, aby im przeszkadzano. Podniósł lampkę, podszedł cicho do pośłania i począł przyglądać się śpiącej kobiecie. Czy powinien ją obudzić? Tak, zdecydował, ale powoli i delikatnie.

Pomysł podniecił go. Zdjął odzienie i wsunął się na pośłanie obok niej, kuląc się w ciepłe jej ciała. Serenio mruknęła coś przez sen i odwróciła się do ściany. Jondalar pieścił ją delikatnie, czując pod palcami jej rozgrzane snem ciało i wdychając jej kobiecy zapach. Przesuwał dłonie po całym ciele: po ramionach aż do czubków palców, po łopatkach i kręgosłupie, poprzez

wrażliwe miejsca na krzyżu do jędrnych pośladków, a potem po udach, za kolanami, po łydkach do kostek. Serenio odsunęła stopę, gdy dotknął palców. Objął ją, zamykając w dłoni pierś i poczuł jak sutek twardnieje mu pod palcami. Natychmiast ogarnęła go ochota, aby possać jej pierś, ale zamiast tego przytulił się do jej pleców i zaczął całować ramiona i kark.

Uwielbiał dotykanie jej ciała, badanie i odkrywanie go na nowo. Wiedział, że nie tylko ona wzbudzała w nim takie uczucia. Uwielbiał ciała wszystkich kobiet, dla nich samych i dla uczuć, które w nim budziły. Jego męskość już pulsowała i wzbierała pełna ochoty, ale nadal nad nią panował. Lepiej było jednak, jeżeli nie ulegał swej żądzy zbyt szybko.

– Jondalar? – zapytała zaspianym głosem.

– Tak – odparł.

Przewróciła się na plecy i otworzyła oczy.

– Czy to ranek?

– Nie. – Jondalar oparł się na łokciu i spoglądając na nią z góry odszukał jej pierś, a po chwili pochylił się, aby possać sutek, na który miał przedtem taką ochotę. Pieścił jej brzuch, a potem sięgnął do ciepłego miejsca pomiędzy jej udami i położył dłoń na porośniętym włosami wzgórku. Miała najdelikatniejsze, najbardziej jedwabiste włoski ze wszystkich znanych mu kobiet.

– Pragnę cię, Serenio. Chcę z tobą tej nocy uczcić Matkę.

– Musisz mi dać trochę czasu na obudzenie się – powiedziała, ale w kącikach jej ust czaił się uśmiech. – Jest może trochę zimnego napoju? Chciałabym przepłukać usta – wino zawsze zostawia po sobie okropny smak.

– Zobaczę – powiedział, wstając.

Serenio uśmiechnęła się z rozmarzeniem na widok wracającego z miseczką Jondalara. Czasami lubiła po prostu na

niego patrzeć – był tak cudownie męski: przy każdym kroku pracowały mu mięśnie na plecach, jego muskularną pierś porastały jasne włoski, twardy brzuch i nogi miał silne i muskularne. Jego twarz była niemal idealna: mocne szczęki, prosty nos, wrażliwe wargi – wiedziała, jak czułe potrafiły być jego usta. Jego kształty były tak doskonałe i proporcjonalne, że można by go uważać za piękność, gdyby nie był tak męski, lub gdyby słowa “piękność” używano w odniesieniu do mężczyzn. Nawet jego dłonie, choć mocne, były czułe, a jego oczy – pełne wyrazu, zniewalające, niemożliwie błękitne oczy, które potrafiły jednym spojrzeniem przyprawić kobietę o bicie serca, sprawić, że zapragnęła go, zanim jeszcze ujrzała tę nabrzmiałą, dumną, wspaniałą męskość prężącą się przed nią.

Po raz pierwszy jej widok trochę Serenio przestraszył, a wkrótce się przekonała, jak doskonale potrafi się swoją męskością posłużyć. Nigdy nie wnikał w kobietę na siłę, zagłębiał się jedynie na tyle, na ile mogła to znieść. To ona sama przymuszała się, pragnąc go zamknąć całego w sobie. Była zadowolona, że ją obudził. Podniosła się, gdy podał jej miseczkę, ale zanim się napiła, pochyliła się i ujęła pulsującą główkę w swe usta. Jondalar zamknął oczy i pozwolił, aby zalała go fala rozkoszy.

Serenio usiadła i napiła się, a potem wstała.

– Muszę wyjść – powiedziała. – Czy wielu ludzi się jeszcze kręci? Nie chce mi się ubierać.

– Ludzie nadal tańczą, jeszcze wcześniej. Może lepiej skorzystaj z pudełka.

Jondalar przyglądał się jej, gdy wracała na posłanie. O Matko! Była piękną kobietą, miała takie ponętne kształty i miękkie włosy, długie i zgrabne nogi, małe, ale kształtne pośladki. Piersi



małe, pełne, jędrne ze sterczącymi sutkami – nadal dziewczęce piersi. Kilka poprzecznych linii na brzuchu było jedynym świadectwem jej macierzyństwa, a kilka linii w kącikach oczu było jedynym świadectwem jej wieku.

– Myślałam, że późno wrócisz – to uroczystość – powiedziała.

– Dlaczego nie tutaj? Ty nie powiedz “nie zobowiązać”?

– Nie spotkałam nikogo interesującego i byłam zmęczona.

– Ty interesująca... ja nie zmęczony – powiedział i uśmiechnął się. Objął ją i pocałował gorąco, zatapiając język w jej ustach i przyciągając ją do siebie bliżej. Poczła na brzuchu twarde pulsowanie i zalała ją fala gorąca.

Miał zamiar to przedłużyć, kontrolując się, dopóki nie będzie gotowa. Całował łąpczywie jej usta i szyję, ssał i ciągnął wargami jej sutki, dopóki nie przytuliła jego głowy do swych piersi. Jego dłoń sięgnęła do puszystego wżgórka i odnalazł ją gorącą i wilgotną. Z ust Serenio wydobył się cichy krzyk, gdy dotknął małej twardości pomiędzy jej ciepłymi fałdkami. Uniosła się i przytuliła się do niego, a on pieścił jej źródło rozkoszy.

Jondalar wyczuł, czego pragnęła tym razem. Zmienił pozycję – on przekręcił się na bok, a ona na plecy. Uniosła nogę nad jego udem, drugą wsuwając pomiędzy jego nogi i podczas gdy on pieścił i masował jej ośrodek rozkoszy, ona sięgnęła w dół i naprowadziła jego spragnioną męskość na swą głęboką szczelinę. Krzyknęła namiętnie, gdy wszedł w nią, i poczuła rozkoszne podniecenie płynące z obu doznań.

Poczuł jak otoczyło go ciepło jej wnętrza. Wchodził w nią, a ona przyciskała się do niego, starając się wchłonąć go całego. Wycofał się i pchnął ponownie, zagłębiając się tak bardzo, jak tylko mógł. Serenio uniosła się na łokciach, a on natarł mocniej, ponownie się w niej pograżając. Był tak wezbrany, tak gotowy, a

ona krzyczała, w miarę jak rosła jej namiętność. Przycisnęła się do niego; poczuł jak lędźwie mu sztywnieją. Masował ją mocno i wnikał w nią raz za razem, aż połączyła ich potężna fala na szczycie przekraczającej granice wytrzymałości rozkoszy i zalała ich wspaniałym wyzwoleniem. Kilka ostatnich pchnięć wydobyło z niego drżenie i całkowite spełnienie.

Leżeli bez ruchu, ciężko oddychając, nadal ze splecionymi nogami. Serenio opadła na niego. Jedynie teraz, zanim nie zmięknie całkiem, choć nie był już w pełni nabrzmiąły, mogła zamknąć go w sobie całego. Zawsze zdawał się dawać jej więcej niż ona mogła mu ofiarować. Jondalar nie chciał się ruszać – czuł się ospały, ale nie mógł zasnąć. W końcu wyciągnął swój wyczerpany członek i skulił się przy niej. Ona leżała bez ruchu, ale wiedział, że nie spała.

Pozwolił swym myślom błądzić i nagle przyłapał się na tym, że myśli o Cherunio i Radonio, i wszystkich innych dziewczętach. O tym, jak to by było, gdyby był z nimi wszystkimi jednocześnie. Gdyby mógł czuć te wszystkie gorące, dojrzałe, kobiece ciała, otaczające go ciepłem swych ud i krągłych brzuchów, i wilgotnych głębin. Mieć w ustach pierś jednej, a każdą dłonią pieścić ciała dwóch innych kobiet. Czuł silne podniecenie. Dlaczego je odpędził? Czasami doprawdy zachowywał się jak prawdziwy głupiec.

Spojrzał na leżącą obok kobietę i zaczął się zastanawiać, ile potrzeba by czasu, aby znowu była gotowa, po czym chuchnął jej w ucho. Uśmiechnęła się do niego. Pocałował ją w szyję, a potem w usta. Tym razem będzie wolniej, nie będzie się spieszył. Była piękną, cudowną kobietą... dlaczego nie mógł się w niej zakochać?

## . 13 .



Po dotarciu do doliny wyłonił się kolejny problem. Ayla planowała poćwiartować i wysuszyć mięso na plaży i tak jak poprzednio – nocować na dole. Ale rannemu lwiątku mogła zapewnić właściwą opiekę jedynie w jaskini. Kociak był większy i mocniej zbudowany od lisa, ale mogła go unieść. Inaczej miała się sprawa z dorosłym renem. Końce dzid, z których zrobiła nosze, ciągnęły się za Whinney i były rozstawione zbyt szeroko, by mogły zmieścić się na wąskiej ścieżce wiodącej do jaskini. Nie wiedziała, jakim sposobem wciągnie do jaskini zdobytego z takim trudem rena. Nie miała jednak odwagi zostawić go bez opieki na plaży, zbyt wiele hien wlokło się w ślad za nią.

Jej obawy nie były bezpodstawne. Wystarczyło, że na chwilę się oddaliła, by wnieść lwiątko do jaskini, a hieny już węszyły przy okręconym matami renie, spoczywającym nadal na noszach z dzid. Nie odstraszała ich nawet nerwowo kręcąca się Whinney. Już w pół drogi Ayla chwyciła za procę. Jeden z kamieni trafił śmiertelnie: Odciągnęła więc hienę za tylną łapę na łąkę. Nie cierpiała dotykania tego rodzaju zwierząt. Hiena pachniała padliną, którą się zwykle żywiła. Ayla, nim zajęła się koniem, obmyła dokładnie ręce w strumieniu.

Whinney drżała, była mokra od potu i nerwowo machała

ogonem. Ciężką próbą było dla niej zniesienie zapachu lwa jaskiniowego. Jednakże jeszcze większy niepokój budził w niej zapach wlokących się za nią hien. Klacz próbowała się odsuwać, gdy podeszły zbyt blisko zdobyczy Ayli, ale jedna z żerdzi zaczepiła o szczelinę w kamieniu. Koń nieomal wpadł w panikę.

– To był dla ciebie ciężki dzień, prawda, Whinney? – Ayla westchnęła, a potem objęła kark klaczy i po prostu przytuliła się do niej, tak jakby pocieszała wystraszone dziecko. Whinney pochyliła się ku niej i potrząsnęła łbem. Dyszała ciężko, lecz bliskość kobiety w końcu ją uspokoiła. Klacz zawsze była traktowana z miłością i cierpliwością, za co odpłacała ufnością i uległością.

Ayla zaczęła rozmontowywać nosze. Nadal nie miała pojęcia, jak wciągnie rena do jaskini. Po odczepieniu jedna z żerdzi przesunęła się bliżej drugiej. W ten sposób końce obu dzid znalazły się całkiem blisko siebie. Jej problem rozwiązał się sam. Umocowała ponownie żerdź, aby nie odpadła, a potem poprowadziła Whinney w kierunku ścieżki. Ładunek był niestabilny, ale miały do przebycia jedynie niewielką odległość.

Dla Whinney był to jednak spory wysiłek; ren miał porównywalny ciężar z koniem, a ścieżka była stroma. To zadanie dało Ayli nowe pojęcie o sile konia i korzyściach, jakie płynęły z ich współpracy. Wreszcie dotarły do skalnej półki. Ayla usunęła całe obciążenie i przytuliła z wdzięcznością młodą klacz. Potem weszła do jaskini, spodziewając się, że Whinney pójdzie za nią. Usłyszała jednak wystraszone rżenie konia i odwróciła się.

– O co chodzi? – gestykulowała.

Lwiątko leżało dokładnie tam, gdzie je zostawiła. Lwiątko! pomyślała. Whinney czuje lwiątko. Kobieta wróciła.

– Wszystko w porządku, Whinney. To dziecko nie zrobi ci

krzywdy. – Pogłaskała miękki nos Whinney, objęła jej krzepki kark i delikatnie ponagliła konia, by wszedł do jaskini. Zaufanie do kobiety ponownie zwyciężyło strach. Ayla poprowadziła konia do lwiątko. Whinney ostrożnie powąchała, cofnęła się i zarżała, a potem schyliła łeb, aby ponownie obwąchać nieruchomego kociaka. Lwiątko pachniało drapieżnikiem, ale mimo to nie stanowiło dla niej zagrożenia. Whinney obwąchała je jeszcze raz i trąciła nosem, a następnie postanowiła zaakceptować nowego mieszkańca jaskini. Odeszła na swoje miejsce i zaczęła skubać siano.

Teraz Ayla poświęciła całą uwagę rannemu maleństwu. Małe, puchate stworzenie miało futerko w brązowe plamy na jasnobieżowym tle. Zdawało się całkiem młode, ale Ayla nie miała pewności. Lwy jaskiniowe były stepowymi drapieżnikami, ona natomiast badała życie mięsożernych zwierząt żyjących na leśnych obszarach w pobliżu jaskini klanu. Nie polowała nigdy na otwartych równinach.

Próbowała przypomnieć sobie wszystko, co myśliwi z klanu mówili o lwach jaskiniowych. Jej lwiątko zdawało się mieć futro w jaśniejszym odcieniu od tych, które widywała. To przypomniało jej, że często ostrzegano kobiety, iż lwy jaskiniowe trudno dostrzec. Tak doskonale pasowały ubarwieniem do suchych traw i wyschniętej ziemi, że można się było o nie niemal potknąć. Stado śpiące w cieniu krzaków lub na skalnym rumowisku nawet z bliska zupełnie przypominało wyglądem stertę otoczków.

Stepy w tej okolicy wydawały się mieć odcień jasnego beżu i ubarwienie lwów pozwalało im niemal dokładnie wtopić się w otoczenie. Nie zastanawiała się nad tym wcześniej, ale zdawało jej się prostą sprawą, iż lwy żyjące tutaj powinny mieć jaśniejsze

futra od tych żyjących na południu. – Może powinnam trochę czasu poświęcić obserwacji lwów jaskiniowych, pomyślała.

Zręcznymi, wprawnymi ruchami młoda uzdrowicielka sprawdzała rozległość obrażeń lwiątko. Jedno żebro było złamane, ale nie spowodowało dalszych uszkodzeń. Kurcze i ciche pomiałkiwania wskazywały na obolałe miejsca. Mógł mieć obrażenia wewnętrzne. Najgorsza była otwarta rana na łbie, bez wątpienia zadana twardym kopytem.

Ognisko w jaskini dawno już wygasło. Nie martwiło jej to jednak, wszak potrafiła krzesać ogień. Mogła bardzo szybko rozpalić ognisko, gdy miała pod ręką wystarczającą podpałkę. Nastawiła wodę do gotowania. Potem obwinęła ciasno skórzaną taśmą żebra lwiątko. Obrala korzeń żywokostu, który wygrzebała w powrotnej drodze. Spod jego ciemnobrązowej skóry sączyła się kleista wydzielina. Wrzuciła do wrzątku kwiaty nagietka. Gdy płyn przybrał złocisty kolor, zamoczyła w nim miękka, wchłaniającą wodę, skórka, by obmyć nią kociakowi ranę na głowie.

Zmycie zaschniętej krwi spowodowało ponowne krwawienie. Ayla spostrzegła, że lwiątko miało popękaną, ale nie rozbitą czaszkę. Posiekała biały korzeń żywokostu i nałożyła kleistą maść prosto na ranę – to zatrzyma krwawienie i pomoże uleczyć popękaną kość – a potem owinęła mu głowę miękka skóra. Nie podejrzewała nawet, do czego będzie mogła wykorzystać wyprawione skórki z upolowanych zwierząt. Nigdy jednak nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby ich użyć właśnie w tym celu.

Ale Brun by się zdziwił, gdyby to widział, pomyślała z uśmiechem. Nie pozwalał przynosić do jaskini drapieżników, nie pozwolił mi nawet zabrać tego małego wilczka. A tu patrzcie, lew jaskiniowy! Coś mi się zdaje, że będę musiała szybko poznać

życie i zwyczaje lwów jaskiniowych – jeżeli to lwiątko przeżyje.

Nastawiła więcej wody na wywar z rumianku i liści żywokostu. Nie miała jednak pojęcia, jak podać kociakowi to stosowane wewnętrznie lekarstwo. Zostawiła więc rannego i poszła zdjąć skórę z renifera. Pierwsze pasma mięsa były gotowe do rozwieszenia. Ayla popatrzyła bezradnie. Na półce skalnej nie było warstwy ziemi, nie miała w co wbić palików, pomiędzy którymi rozpięłaby sznury z mięsem. – Dlaczego ciągle stają mi na przeszkodzie jakieś drobiazgi? Niczego nie mogę być pewna.

Była rozczarowana. W tym stanie nie potrafiła wymyślić żadnego rozwiązania. Była zmęczona, przepracowana. Niepokoiło ją to, że zabrała z sobą lwiątko. Nie była pewna, czy dobrze uczyniła. Co z nim pocznie? Rzuciła kij, wstała i poszła na odległy kraniec skalnego tarasu. Popatrzyła na dolinę. Wiatr owiewał jej twarz. Co jej przyszło do głowy, aby zabierać lwiątko, które potrzebowało opieki? Przecież powinna się szykować do drogi. Powinna wyruszyć na dalsze poszukiwania Innych. Może powinna zanieść go z powrotem na stepy i pozwolić, aby stało się z nim to, co z każdym słabym zwierzęciem. Czyżby samotność pomieszała jej zmysły? Przecież nie wie nawet, jak się nim zająć. Jak go nakarmi? A co pocznie, gdy lwiątko wyzdrowieje? Nie będzie mogła go przecież odesłać z powrotem na stepy; jego matka nigdy nie przyjąłaby go z powrotem. Zginąłby. Jeżeli zatrzyma lwiątko, to będzie musiała zostać w dolinie. Jeżeli miała zamiar dalej prowadzić poszukiwania, to powinna wynieść go z powrotem na stepy.

Wróciła do jaskini i pochyliła się nad małym lwem jaskiniowym. Nadal się nie poruszył. Położyła mu dłoń na piersi. Był ciepły i oddychał. Jego puszysta sierść przypominała sierść małej Whinney. Był miłutki i tak śmiesznie wyglądał z owiniętym

łebkiem, że nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Ale to milutkie maleństwo wyrośnie na bardzo dużego lwa, upomniała sobie samą. Wyprostowała się i ponownie na niego spojrzała. To nie miało znaczenia. Nigdy nie wyniosłaby tego dziecka na stepy, gdzie czekała je pewna śmierć.

Wyszła na dwór i spojrzała na mięso. Jeśli miała pozostać w dolinie, powinna zacząć myśleć o ponownym gromadzeniu pożywienia. Szczególnie, że ma do wykarmienia jeszcze jedno zwierzę. Podniosła kij i starała się wymyślić sposób na jego umocowanie. Zauważyła pod tylną ścianą kupkę skalnych odłamków i spróbowała wetknąć w nią kij. Kawałek drewna stał prosto, ale nie wytrzymałby obciążenia sznurami mięsa. To jednak naprowadziło ją na pewien pomysł. Weszła do jaskini, wzięła kosz i zbiegła na plażę.

Po kilku próbach stwierdziła, że piramida, ułożona z kamieni przyniesionych z plaży, utrzyma dłuższy palik. Kilka razy schodziła na dół po kamienie. Przycięła też odpowiedniej długości paliki. W końcu mogła rozwiesić kilka sznurów z mięsem do suszenia na skalnej półce i powróciła do dalszego krojenia rena. Rozpaliła małe ognisko w pobliżu swego miejsca pracy i nadziała na kij comber, aby upiec go na obiad. Znowu zaczęła myśleć o tym, jak wykarmi lwiątko, i jak poda mu lekarstwo. Potrzebne jej było pożywienie, jakim karmi się lwiątko.

Młode mogą jeść to samo, co dorośli, przypomniała sobie, ale pokarm dla nich musi być rozdrobniony, aby łatwiej go mogły przeżuć i połknąć. Może dobry by był wywar z mięsa z małymi jego kawałkami? Gotowała taki dla Durca, dlaczego więc nie miałyby ugotować dla lwiątko?

Natychmiast przystąpiła do pracy. Pokroiła kawałek mięsa z



rena i wzięła następny. Zabrała wszystko do jaskini i włożyła do drewnianego naczynia do gotowania. Postanowiła dodać również resztki korzenia żywokostu. Lwiątko się nie poruszyło, ale miała wrażenie, że leży spokojnie.

Jakiś czas potem zdawało jej się, że słyszy poruszenie, poszła więc ponownie go obejrzyć. Lwiątko się obudziło, pomiałkiwało cicho, ale nie mogło się odwrócić ani podnieść. Na jej widok duży kociak zaczął prychać, syczeć i próbował się cofnąć. Ayla uśmiechnęła się i usiadła obok niego:

Biedne wystraszone maleństwo, pomyślała. Nie mam ci tego za złe. Ocknąłeś się obolały na obcym legowisku, a potem zobaczyłeś kogoś zupełnie niepodobnego do twej matki i rodzeństwa. – Wyciągnęła rękę. – Patrz, nie zrobię ci nic złego. Auu! Masz bardzo ostre ząbki! No dalej, mały. Spróbuj mojej dłoni, poznaj mój zapach. To pozwoli ci się łatwiej do mnie przyzwyczaić. Będę musiała teraz, być twoją matką. Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest twoje legowisko, to twoja matka nie wiedziałaby jak się tobą zająć – gdyby w ogóle cię przyjęła z powrotem. Nie wiem zbyt wiele o lwach jaskiniowych, ale o koniach też wiele nie wiedziałam. Dziecko jest tylko dzieckiem. Jesteś głodny? Nie mogę dać ci mleka. Mam nadzieję, że zasmakuje ci płyn z ugotowanego rena i posiekane mięso. A lek powinien ulżyć twoim cierpieniom.

Wstała aby sprawdzić zawartość naczynia. Zaskoczyła ją gęsta konsystencja wystygłego płynu. Zamieszała go kością z żebra i stwierdziła, że mięso zbiło się na dnie w grudkę. Nadziała ją na szpikulec i wyciągnęła galaretowatą kupkę mięsa ociekającą zawieszistą cieczą. Nagle zrozumiała, w czym rzecz, i wybuchnęła śmiechem. Lwiątko tak się tym wystraszyło, że prawie udało mu się stanąć o własnych siłach na nogi.

Nic dziwnego, że korzeń żywokostu jest tak dobry na rany. Musi pomagać, jeżeli równie mocno, jak skleił te kawałki mięsa, ściąga poszarpane ciało.

– Umiałbyś wypić tego trochę, maleńki? – zagestykulowała w stronę lwiątko. Nalała odrobinę zawiesistego płynu do mniejszego naczynia z brzozonej kory. Lwiątko spełzło z maty i usiłowało stanąć na łapkach. Ayla podsunęła mu miseczkę pod nos. Kociak zasyczał i cofnął się.

Ayla usłyszała stukot kopyt na ścieżce i po chwili do jaskini weszła Whinney. Klacz spostrzegła, że lwiątko jest przytomne i o wiele ruchliwsze. Podeszła zatem, aby sprawę zbadać dokładniej. Pochyliła łeb, żeby obwąchać puchatego stworka. Dorosły lew może wzbudzać postrach wśród krewniaków Whinney, ale to małe lwiątko samo było bardzo wystraszone pojawieniem się kolejnego, dużego, nie znanego mu zwierzęcia. Cofało się, prychnąc i warcząc, aż znalazło się prawie na kolanach Ayli. Poczuło ciepło jej nóg i bardziej znajomy zapach; więc się skuliło przy niej. Zbyt wiele było tu obcych mu meczy.

Ayla wzięła lwiątko na kolana, przytuliła go i zaczęła mu mruścić – tak samo jakby uspokajała każde inne dziecko. Tak jak uspokajała własne.

Wszystko dobrze. Przyzwyczaisz się do nas. – Whinney potrząsnęła łbem i zarżała. Lwiątko w ramionach Ayli nie sprawiało wrażenia groźnego, ale instynkt podpowiadał jej, że powinna wystrzegać się tego zapachu. W trakcie mieszkania z kobietą jej zachowanie uległo jednak zmianie. Być może, tego lwa jaskiniowego można było tolerować.

Pod wpływem pieścot i tulenia go przez Aylę maluch począł szukać miejsca, w którym mógłby się przyssać. – Jesteś głodny, maleńki? – Ayla sięgnęła po naczynie z gęstą papką i podsunęła

mu pod nos. Lwiątko powąchało jedzenie, ale nie wiedziało, co z tym robić. Kobieta zanurzyła więc dwa palce w misce i wsunęła mu do pyszczka. Wiedziała już, co robić. Tak jak z każdym maleństwem, które karmiła.

Ayla siedziała w swej małej jaskini, tuliła lwiątko i kołysała się, a ono ssało jej palce. Jej myśli tak wypełniły wspomnienia o synu, że nie zauważyła nawet, jak łzy poczęły jej spływać po policzkach i kapać na puszyste futerko.

W ciągu tych pierwszych dni – i nocy, kiedy to brała lwiątko na swe posłanie i tuliła je oraz pozwalala mu ssać swe palce pomiędzy samotną kobietą a lwiątkiem wytworzyła się pewna więź. Natura nie obchodziła się łagodnie z małymi najpotężniejszych drapieżników. Lwica, co prawda, karmiła małe w ciągu pierwszych tygodni – a nawet pozwalała im od czasu do czasu possać przez pierwsze sześć miesięcy – ale od momentu otwarcia oczu lwiątko zaczynały jeść mięso. Jednakże hierarchia karmienia w stadzie nie zostawiała wiele miejsca na sentymenty.

Lwica była myśliwym i w odróżnieniu od innych członków kociej rodziny, polowała w grupach. Trzy lub cztery lwice stanowiły wspaniały zespół łowiecki; potrafiły powalić zdrowego jelenia olbrzymiego czy też żubra w pełni sił. Jedynie dorosłe mamuty nie lękały się ich ataków, chociaż młode i stare musiały się mieć przed nimi na baczności. Ale lwica nie polowała dla swych małych, ona polowała dla samca. Przywódca stada zawsze dostawał lwią część. Lwice ustępowały mu miejsca, gdy tylko się pojawił, i dopiero gdy się najadł do syta, samice brały swą część. Następny w kolejce był najstarszy z przychówku. Dopiero potem, jeśli coś jeszcze zostało, młodsze lwiątko miały szansę kłócić się o resztki.

Jeżeli zgłodniałe lwiątko próbowało się dobrać do zdobyczy poza kolejnością, to narażało się na śmiertelne uderzenie. Matka zwykle zabierała swe małe dalej od ofiary, nawet gdy były bardzo wygłodniałe, aby uchronić je przed tego typu niebezpieczeństwem. Trzy, czwarte wszystkich lwiątek nie dożywało dorosłego wieku. Większość z tych, które przeżyły, była wypędzana ze stada i zostawały włóczęgami, a włóczędzy nie są nigdzie mile widziani, szczególnie jeżeli są samcami. Samice miały lepiej. Im pozwalano zostać w stadzie, jeśli akurat brakowało łowców.

Samiec jedynie walką mógł zdobyć akceptację stada, często walką na śmierć i życie. Jeżeli przywódca został ranny lub zestarzał się, to młodszy z członków stada albo częściej któryś z włóczęgów, przepędzał go i sam zajmował jego miejsce. Samce musiały bronić terytorium stada – naznaczonego wydzieliną swych gruczołów zapachowych lub moczem najważniejszej z samic – i zapewnić ciągłość gatunku, płodząc potomstwo.

Czasami samotna samica i samiec łączyli się, aby dać początek nowemu stadu, ale musieli zdobyć sobie własne terytorium. Było to życie pełne niebezpieczeństw.

Ale Ayla nie była lwicą, była człowiekiem. Ludzie nie tylko bronili swych dzieci, ale również zapewniali im pożywienie. Maluszek, jak go zaczęła nazywać, był otoczony taką opieką, jakiej nigdy dotąd nie miało żadne lwiątko. Nie musiał walczyć z rodzeństwem o resztki, nie musiał unikać mocnych uderzeń starszych. Ayla zapewniała mu pożywienie, polowała dla niego. I choć dawała mu jego część, to nie zrzekała się swojej. Pozwalała mu ssać palce, gdy czuł taką potrzebę, i zwykle zabierała go z sobą na swoje posłanie.

Mały lew miał wrodzone poczucie czystości i zawsze wychodził za potrzebą, nie licząc początkowego okresu, gdy nie mógł tego zrobić. Ale nawet wówczas tak się krzywił, gdy zdarzyło mu się zanieczyścić jaskinię, że wzbudzał w Ayli śmiech. Nie tylko tym ją rozśmieszał. Dziecięce błazeństwa zawsze budziły śmiech. Lwiątko lubiło się zakradać – a jeszcze bardziej lubiło, gdy udawała, że nie zwraca na nie uwagi, by potem udawać zaskoczenie, kiedy lądował na jej plecach. Jednakże czasami to ona go zaskakiwała, obracając się w ostatnim momencie i łapiąc go na ręce.

Dzieci klanu zawsze były traktowane z pobłażaniem; karą za nieodpowiednie zachowanie było ignorowanie obecności skarconego dziecka, rzadko stosowano surowsze kary. W miarę dorastania dzieci zaczynały zdawać sobie sprawę z tego, jak zachowuje się starsze rodzeństwo i dorośli. Starwały się unikać pieśczoł, uważając je za dziecinne i zaczynały naśladować zachowanie dorosłych. Jeżeli tego typu zachowanie spotykało się z widoczną aprobatą, to dziecko starało się zawsze postępować podobnie.

Ayla z podobnym pobłażaniem traktowała lwiątko, szczególnie na początku, ale gdy z upływem czasu mały rósł, jego zabawy czasami zaczynały sprawiać jej ból. Jeżeli w ferworze zabawy zapominał się i drapał ją lub przewracał udając atak, to zwykle reagowała przerwaniem zabawy, nieraz dodając gest, którego w klanie używano dla wyrażenia: “Przestań!”. Mały wyczuwał jej nastroje. Odmowa zabawy, wyciągnięcie kija czy kawałka starej skóry często powodowała, że lwiątko starało się przypodobać jej takim zachowaniem, które ją rozśmieszało, lub próbowało dosięgnąć jej palców, aby je possać.

Mały lew jaskiniowy zaczął reagować na gest “Przestań” takim

samym zachowaniem. Ayla, wyczulona na gesty i pozy, spostrzegła jego zachowanie i zaczęła używać tego gestu zawsze wtedy, gdy się jej nie podobało jego zachowanie. Było to wynikiem nie tyle ćwiczeń, co wzajemnego reagowania na zachowanie się, ale mały lew szybko się uczył. Na jej sygnał przerywał w połowie zabawę. Jeżeli sygnał "Przestań" został wydany z ostrym nakazem, to zwykle potrzebował uspokajającego ssania jej palców, tak jakby wiedział, że jego uczynek nie przypadł jej do gustu.

Z drugiej jednak strony ona również wyczuwała jego nastroje i więź, jaka między nimi powstała, nie opierała się na ograniczaniu jego swobody. Tak jak ona czy koń mógł wychodzić i wracać, kiedy miał na to ochotę. Nigdy nie przyszło jej do głowy pętać czy przywiązywać któregoś ze swych zwierzęcych towarzyszy. Stanowili jej rodzinę, jej klan, byli żywymi istotami, z którymi dzieliła jaskinię i wiodła swoje życie. W jej samotnym świecie byli jedynymi przyjaciółmi, jakich miała.

Szybko przestała myśleć o tym, jak dziwne wydałoby się członkom klanu to, że mieszka razem ze zwierzętami. Często jednak zastanawiała się nad stosunkami, jakie się wytworzyły pomiędzy koniem a lwem. Byli przecież odwiecznymi wrogami, ofiarą i drapieżnikiem. Gdyby pomyślała o tym wówczas, gdy znalazła ranne lwiątko, to może nie zabrałaby go z sobą do jaskini, którą dzieliła z koniem. Nie przyszłoby jej do głowy, że mogliby razem żyć.

Z początku Whinney ledwie tolerowała lwiątko, ale trudno było je ignorować, gdy już stanęło o własnych siłach i zaczęło kręcić się dookoła. Zwyciężyła jej wrodzona ciekawość. Pewnego razu spostrzegła, jak Ayla ciągnie za jeden koniec skóry, a lwiątko za drugi, warcząc i potrząsając łebkiem. Klacz podeszła,

by sprawdzić, o co chodziło. Potem zwykle po obwąchaniu skóry sama chwyciła ją zębami, żeby ciągnąć w trzecią stronę. Ayla puszczała swój koniec i wtedy koń zaczynał się siłować z lwiątkiem: Z czasem Maluszek nabrał zwyczaju ciągnięcia skóry pomiędzy przednimi łapami – tak jak pewnego dnia będzie ciągnąć swą zdobycz – do konia, starając się go zachęcić do podjęcia wspólnej zabawy. Whinney często przystawała na to. Maluch nie mając rodzeństwa, z którym mógłby się bawić w lwie zabawy, wykorzystywał w tym celu stworzenia, które akurat znajdowały się w jego pobliżu, czyli Aylę i Whinney.

Inną zabawą, za którą Whinney nie przepadała, a od której Maluszek nie mógł się powstrzymać – było łapanie za ogon. Maluch podkradał się, czołgał, drżąc z podniecenia i obserwując, jak ogon kusząco świstał w powietrzu. Nagle radośnie podskakiwał i opadał na ziemię z pyszczkiem pełnym włosów. Ayla była pewna, że czasami Whinney bawiła się z lwiątkiem, w pełni zdając sobie sprawę z tego, że jej ogon był obiektem jego pożądania, ale udając, że tego nie zauważa. Młoda klacz też była skora do zabawy. Przedtem nie miała się z kim bawić. Ayla nie potrafiła wymyślać zabaw, nikt jej tego nie nauczył.

Gdy Whinney miała już dosyć, odwracała się do napastującego jej ogon Maluszka i szczypała go w zadek. Nigdy nie wykorzystywała swej przewagi fizycznej. Maluszek, choć był lwem jaskiniowym, był przecież tylko dzieckiem. A skoro Ayla była jego matką, to Whinney została jego piastunką. Skłonność do wspólnych zabaw rozwijała się w miarę upływu czasu. Natomiast przejście od tolerowania do aktywnej opieki nad lwiątkiem było w znacznej części wynikiem pewnego szczególnego upodobania kociaka – Maluszek uwielbiał koński nawóz.

Odchody drapieżników nie interesowały go zupełnie. Lubił jedynie odchody trawożernych zwierząt. Gdy byli na stepie, tarzał się w każdej napotkanej kupce takich odchodów. Jak większość z jego zabaw, i ta była przygotowaniem do polowania. Zwierzęcy nawóz może zabić zapach lwa. Ayla ze śmiechem się przyglądała, jak wyszukiwał nowe kupy nawozu. Był mu miły zwłaszcza nawóz mamutów. Obejmował łapkami dużą kulę, rozkruszał ją i kładł się na niej.

Ale żaden nawóz nie był tak wspaniały, jak pochodzący od Whinney. Gdy po raz pierwszy znalazł stertę suchego nawozu, którego Ayla używała jako podpałki, nie mógł się od niego oderwać. Rozwłóczył go wszędzie, tarzał się w nim i bawił. Po powrocie do jaskini Whinney wyczuła na nim swój własny zapach. Miała wrażenie, że lwiątko jest częścią niej samej. Od tej chwili jego obecność całkowicie przestała ją niepokoić i zaczęła go traktować jak powierzone jej opiece dziecko. Prowadziła go i strzegła, a choć czasami reagował w zaskakujący sposób, nie osłabiało to jej trockliwości.

Tego lata Ayla czuła się najszcześniejsza od czasu opuszczenia klanu. Whinney dotrzymywała jej towarzystwa i była więcej niż przyjacielem; Ayla nie wyobrażała sobie, co poczęłaby bez niej w czasie długiej, samotnej zimy. Ale pojawienie się lwiątko nadało ich wzajemnym stosunkom innego wymiaru. Ono wniosło z sobą śmiech. Pomiędzy opiekuńczym koniem a wesołym lwiątkiem wiecznie dochodziło do zabawnych sytuacji.

Pewnego ciepłego, słonecznego dnia w środku lata Ayla obserwowała nową zabawę lwiątko i konia. Zwierzęta goniły się, zataczając olbrzymie koła. Lwiątko zwalniało na tyle, aby Whinney je dogoniła, a potem wybiegało do przodu, podczas gdy klacz zwalniała, czekając, aż lew zatoczy pełny okrąg i dogoni ją.



Wtedy ona rzucała się do przodu, a on ją gonił. Ayla pomyślała, że to najzabawniejszy widok, jaki w życiu widziała. Stała oparta o drzewo i zanosila się od śmiechu.

Kiedy napad wesołości minął, coś ją nagle w jej własnym zachowaniu zaniepokoiło. Co to był za dźwięk, który wydawała zawsze, gdy ją coś rozbawiło? Dlaczego to robiła? Przychodziło jej to tak łatwo, gdy nie było w pobliżu nikogo, kto przypominałby jej o właściwym zachowaniu się. Dlaczego to miałyby być niewłaściwe? Nie pamiętała, aby któryś z członków klanu, z wyjątkiem jej syna, kiedykolwiek się uśmiechał czy śmiał. Mieli przecież poczucie humoru. Zabawne opowieści spotykały się z życzliwym przyjęciem i miłym wyrazem twarzy, który znajdował odbicie w wyrazie ich oczu. Przypomniała sobie, że ludzie klanu robili czasami grymasy zbliżone do jej uśmiechu. Ale one wyrażały jedynie nerwowy strach lub groźbę, a nie radość, tak jak w jej przypadku.

Czy tak bardzo poprawiający jej samopoczucie i przychodzący jej z taką łatwością śmiech mógł być czymś złym? Czy inni podobni do niej ludzie też się śmiali? Inni. Na to wspomnienie opuściła ją radość. Nie lubiła myśleć o Innych. Zaczynała wówczas czuć niepokój z powodu przerwania poszukiwań, a sama myśl o Innych napełniała ją mieszanymi uczuciami. Iza kazała ich odszukać. Samotne życie niosło z sobą wiele niebezpieczeństw. Kto się nią zajmie w razie choroby lub jakiegoś wypadku?

Z drugiej jednak strony była taka szczęśliwa, żyjąc w dolinie ze swą zwierzęcą rodziną. Whinney i Maluszek nie karcili jej spojrzeniami, gdy zapominała się i biegała. Nigdy nie zabraniali jej się śmiać czy płakać. Nie mówili na co, kiedy i czym może polować. Mogła sama podejmować decyzje i to dawało jej

poczucie wolności. Nie uważała, aby czas, jaki poświęcała na zaspokojenie swych fizycznych potrzeb – jak pożywienie, ciepło i schronienie ograniczał jej wolność, choć te zajęcia kosztowały ją najwięcej wysiłku. Wprost przeciwnie. Dawało jej to pewność, że potrafi sama się o siebie zatroszczyć.

W miarę upływu czasu, a szczególnie odkąd pojawił się w jej życiu Maluszek, smutek po stracie ukochanych osób stopniowo coraz mniej jej dokuczał. Na tyle przywykła już do bolesnego uczucia pustki spowodowanego brakiem kontaktu z ludźmi, że wydawało jej się ono normalnym uczuciem. Z radością przyjmowała wszystko, co łagodziło jej samotność, a te zwierzęta bardzo się do tego przyczyniły. Lubiła wyobrażać sobie, że razem z Whinney opiekowały się Maluczkiem, tak jak Iza i Creb nią, gdy była małą dziewczynką. A gdy nocą przytulała się do lwiątko, a ono obejmowało ją przednimi łapami ze schowanymi pazurkami, to zdawało się jej, że to Durc leży obok niej.

Nie miała chęci opuszczać doliny i poszukiwać obcych jej Innych, którzy żyli podług nie znanych jej obyczajów i przykazań; Innych, którzy mogli pozbawić ją śmiechu. – Nie uczynię tego – powiedziała sobie. Nie zamieszkam już z nikim, kto nie pozwoliłby mi się śmiać.

Zwierzęta miały już dość zabawy. Whinney skubała trawę, a Maluszek odpoczywał w pobliżu, dysząc ciężko z wywieszonym językiem. Ayla zagwizdała. Na jej sygnał przybiegła Whinney, a za nią lwiątko.

– Muszę iść na polowanie, Whinney – zagestykulowała. Lwiątko je tak dużo i tak szybko rośnie.

Lwiątko po powrocie do zdrowia zawsze towarzyszyło Ayli i Whinney. W stadzie małe nigdy nie były zostawiane same, tak jak nie zostawiano samych dzieci klanu, a więc jego zachowanie

wydawało się całkiem naturalne. Ale stanowiło pewien problem. Jak miała bowiem polować z lwem jaskiniowym podążającym jej śladem? Jednakże problem sam się rozwiązał z chwilą rozbudzenia u Whinney instynktów opiekuńczych. Zwyczajem było, że lwica z małymi i młodszą samicą tworzyła rodzaj grupy. Młodsza samica opiekowała się małymi, gdy lwica wyruszała na polowanie. Maluszek zaakceptował Whinney w tej roli. Ayla wiedziała, że hieny i inne drobne drapieżniki nie mają odwagi ryzykować spotkania z kopytami klaczy broniącej swego potomstwa. Takie rozwiązanie miało jednak i swe ujemne strony, a mianowicie oznaczało, że ponownie musi polować na piechotę. Piesze wędrówki po stepach w poszukiwaniu zwierzyny odpowiedniej do upolowania procą nieoczekiwanie stały się okazją do innego, równie interesującego zajęcia.

Dotychczas zawsze starała się unikać stada lwów jaskiniowych zamieszkujących na wschodnim krańcu doliny. Teraz jednakże, gdy wypatrzyła kilka lwów odpoczywających w cieniu karłowatych sosen, to postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o stworzeniach patronujących jej totemowi.

To było niebezpieczne zajęcie. Choć była myśliwym, bardzo łatwo mogła stać się ofiarą. Na szczęście obserwowała już poprzednio drapieżniki i nauczyła się maskować. Lwy wiedziały, że je obserwuje, ale zdecydowały się ją ignorować. To oczywiście nie likwidowało niebezpieczeństwa. W każdej chwili któryś z nich pod wpływem chwilowego kaprysu mógł się na nią rzucić nawet bez wyraźnego powodu. Im dłużej jednak je obserwowała, tym bardziej ją fascynowały.

Lwy większość czasu spędzały, odpoczywając lub śpiąc. Natomiast gdy polowały, czyniły to z niebywałą szybkością i pasją. Polujące gromadą wilki mogły zabić dużego jelenia,

pojedynczy lew jaskiniowy mógł tego dokonać o wiele szybciej. Lwy polowała jedynie wtedy, gdy były głodne, a mogły jeść raz na kilka dni. Nie miały potrzeby gromadzenia pożywienia tak jak ona; polowały przez okrągły rok.

Zauważyła, że latem, gdy dni były gorące, polowały po zmierzchu. Zimą widziała, jak polowały w ciągu dnia. Natura w czasie zimnej pory roku obdarzała je grubszymi futrami, rozjaśniając ich odcień do koloru kości słoniowej, aby łatwiej mogły się wtopić w otoczenie o jaśniejszych, zimowych barwach. Srogie zimno zapobiegało przegrzaniu w wyniku ogromnej energii wyzwalanej w czasie polowania. Nocą, gdy temperatura spadała, lwy spały ułożone jedne na drugich w jaskini lub pod nawisem skalnym, zapewniającym osłonę od wiatru albo pośród rumowisk skalnych, gdzie kamienie pochłaniając w ciągu dnia tę odrobinę ciepła od odległego słońca, oddawały ją po zapadnięciu ciemności.

Pewnego dnia Ayla wracała do swojej doliny po całym dniu obserwacji, dzięki której nabrała nowego szacunku dla zwierząt jej totemu. Przyglądała się lwicy, która powaliła starego mamuta z tak długimi kłami, że aż krzyżowały się z przodu. Całe stado nasyciło się tym łupem. – Jakim cudem udało się jej, jako pięcioletniemu dziecku, uciec przed jednym z nich tylko z kilkoma zadrapaniami? – zastanawiała się, rozumiejąc teraz lepiej zdumienie członków klanu. Dlaczego Lew Jaskiniowy wybrał właśnie mnie? Przez chwilę ogarnęło ją dziwne przeczucie. Nie dotyczyło niczego konkretnego, ale przywiodło jej na myśl Durca.

W pobliżu doliny upolowała zającą dla Maluszka. Wtem oczyma wyobraźni zobaczyła kociaka jako dorosłego samca lwa jaskiniowego i zastanowiła się, czy była przy zdrowych zmysłach,

zabierając go z sobą do jaskini. Ale jej wątpliwości rozwiął widok biegnącego ochotczo na spotkanie lwiątko, cieszącego się jej powrotem. Malec szukał palców do possania i lizał ją ostrym językiem.

Później wieczorem obdarła ze skóry zająca i pokroiła jego mięso na kawałki dla Maluszka, wysprzątała kąt Whinney i przyniosła jej świeżego siana, a także przyrządziła posiłek dla siebie i w końcu usiadła, popijając napój z ziół. Wpatrywała się w ogień i rozmyślała nad wydarzeniami minionego dnia. Lwiątko spało w głębi jaskini, z dala od gorąca bijącego od ognia. Ayla zaczęła myśleć o okolicznościach, które nakłoniły ją do zaopiekowania się lwiątkiem. Jedynym rozwiązaniem, jakie przychodziło jej do głowy, było uznanie, że tak sobie życzył jej totem. Nie miała pojęcia dlaczego, ale najwyraźniej duch Wielkiego Lwa Jaskiniowego przysłał jej jedno ze swych dzieci na wychowanie.

Sięgnęła do amuletu wiszącego na szyi i wyczuła palcami znajdujące się w środku przedmioty. Potem w oficjalnym języku klanu zwróciła się do swego totemu: “Kobieta nie rozumiała jak potężny jest Lew Jaskiniowy. Kobieta jest mu wdzięczna za pokazanie tego. Kobieta może się nigdy nie dowiedzieć, dlaczego ją wybrano, ale kobieta jest wdzięczna za dziecko i konia”. Przerwała na chwilę, a potem dodała “Pewnego dnia, Wielki Lwie Jaskiniowy, kobieta się dowie, dlaczego przysłano lwiątko... jeżeli jej totem zechce jej o tym powiedzieć”.

Latem oprócz typowych zajęć, czyli przygotowań do zimnej pory roku, Ayla musiała jeszcze zadbać o potrzeby lwa jaskiniowego. Był prawdziwym drapieżnikiem, a to oznaczało, że – aby zaspokoić potrzeby jego szybkiego wzrostu – trzeba mu zapewnić wystarczającą ilość mięsa. Polowanie procą na małe

zwierzątko zajmowało jej za wiele czasu. Musiała upolować większą zdobycz dla siebie i dla lwiątko. Do tego jednak potrzebowała Whinney.

Maluszek wiedział, że Ayla planowała coś szczególnego, wzięła bowiem uprzęż i zagwizdała na konia, aby poczynić poprawki umożliwiające ciągnięcie dwóch solidnych drągów. Nosze się sprawdziły, ale Ayla chciała znaleźć lepszy sposób na ich umocowanie, tak aby mogła nadal używać również koszy. Chciała także, żeby jeden z drągów był ruchomy, aby koń mógł wciągnąć ładunek do jaskini. Suszenie mięsa na skalnym tarasie zdało egzamin.

Nie miała pewności, jak się zachowa Maluszek ani czy będzie mogła polować w jego towarzystwie, ale musiała spróbować. Gdy wszystko było przygotowane, dosiadła Whinney i ruszyła. Maluszek szedł za nią, tak jakby podążał za swą matką. Do terenów położonych na wschodnim brzegu rzeki łatwiej było się dostać i oprócz kilku rozpoznawczych wypadów, Ayla nigdy nie zapuszczała się na zachodnią stronę. Stroma ściana zachodniego brzegu ciągnęła się na wiele mil, zanim w końcu stromizna łagodniała, otwierając drogę na równinę po drugiej stronie. Dzięki jeździe na koniu mogła zapuszczać się o wiele dalej i poznała wschodnią stronę rzeki, co ułatwiało jej polowanie.

Poznała obyczaje żyjących na stepach stad, okresy ich wędrówek i trasy oraz miejsca, w których przechodziły rzekę. Nadal musiała jednak kopać doły na uczęszczanych przez zwierzęta ścieżkach. Zajęciu temu nie sprzyjało zainteresowanie uroczego lwiątko, które myślało, że kobieta wymyśliła tę wspaniałą, nową zabawę jedynie ku jego uciesze.

Wspinał się do góry, obsuwając pazurami brzegi dołu, przeskakiwał przezeń, wskakiwał do środka i równie łatwo

wyskakiwał z powrotem. Tarzał się w ziemi, którą Ayla układała na skórze ze starego namiotu, używanej nadal do odciągania urobku. Gdy kobieta zaczęła ciągnąć skórę, Maluszek również postanowił to czynić, lecz we własną stronę. Zaczęli się siłować, rozsypując całą ziemię.

– Maluszk! Jakże ja mam wykopać ten dół – powiedziała ze śmiechem, choć była zirytowana, i to go uspokoiło. – Chodź tu, dam ci coś do ciągnięcia. – Przetrzęsnęła zdjęty z Whinney kosz po to, aby klacz mogła wygodniej skubać trawę, i znalazła skórę rena, którą zabrała jako okrycie na wypadek deszczu. – To sobie ciągnij, Maluszk – zagestykulowała, a potem pociągnęła przed nim po ziemi skórę. Tego mu było właśnie trzeba. Nie mógł się oprzeć widokowi ciągniętej po ziemi skóry. Tak mu się spodobało ciągnięcie pomiędzy przednimi łapami skóry, że Ayla nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Pomimo towarzystwa lwiątko, Ayla jednak wykopała wreszcie dół i przykryła go starą skórą, którą umocowała czterema kołkami. Wszystko było gotowe. Maluszek musiał sam to zbadać. Wpadł oczywiście do pułapki. Potem wyskoczył wstrząśnięty i oburzony, ale trzymał się już z dala od dołu.

Gdy pułapka była gotowa, Ayla zagwizdała na Whinney. Dosiadła jej i zatoczyła szeroki łuk, aby znaleźć się za stadem dzikich osłów. Nie mogła się zmusić do powtórnego polowania na konie i nawet w wypadku osłów czuła się nieswojo. Osły bardzo przypominały wyglądem konie, ale ich stado znajdowało się w tak dogodnej pozycji do zapędzenia w pułapkę, że nie mogła tego zaniechać.

Błazenady Maluszka wokół dołu sprawiły, że Ayla jeszcze bardziej się niepokoiła, iż lwiątko będzie jedynie przeszkadzało w polowaniu. Jakież było jednak jej zdumienie, gdy lwiątko

całkowicie zmieniło swoje zachowanie, kiedy się znaleźli za stadem. Skradało się za osłami tak, jakby podkradało się do ogona Whinney. Zachowywało się tak, jakby myślało, że może któregoś z nich powalić, choć było jeszcze na to o wiele za młode. Ayla uświadomiła sobie wówczas, że ich zabawy służyły doskonaleniu umiejętności potrzebnych dorosłym lwom w czasie polowania. Maluszek był myśliwym od urodzenia; instynktownie rozumiał potrzebę skradania się.

Ku swojemu zaskoczeniu Ayla stwierdziła, że lwiątko okazało się nawet pomocne. Stado było już na tyle blisko pułapki, że zapach człowieka i lwa mógł nakłonić je do zboczenia ze ścieżki. Wówczas Ayla popędziła Whinney i wymachując rękoma oraz krzycząc, starała się spłoszyć stado. Lwiątko uznało, jej zachowanie za sygnał dla siebie i również pognało za zwierzętami. Zapach lwa jaskiniowego zwiększył panikę osłów. Zwierzęta kierowały się prosto do pułapki.

Ayla zsunęła się z grzbietu Whinney i pognała z dzidą w dłoni w kierunku dołu, z którego próbował się wydostać ryczący osioł. Lwiątko jednak ją wyprzedziło. Skoczyło zwierzęciu na grzbiet nie wiedząc jeszcze, że lwy dusiły swe ofiary, chwytając za gardło – i swymi mlecznymi ząbkami, którymi nie mogło wiele zdziałać, wbiło się w kark osła. To było jego pierwsze doświadczenie z polowaniem:

Gdyby żył nadal ze stadem, to żadne z dorosłych zwierząt nie pozwoliłoby się ubiec w dopadnięciu zdobyczy. Każda taka próba byłaby powstrzymana morderczym uderzeniem. Pomimo swej szybkości lwy nie mogły nieraz dogonić niedoszej ofiary, gdyż nie biegały tak daleko jak ona. Jeżeli lew nie powalił swej ofiary przy pierwszym ataku, to było niemal pewne, że ją straci. Dorosłe lwy nie mogły zatem pozwolić kociętom na doskonalenie swych



umiejętności w trakcie polowania.

Ale Ayla była człowiekiem. Nie biegała tak szybko, jak drapieżniki ani jak ich ofiary, nie miała też pazurów ani kłów. Jej bronią był mózg. Dzięki niemu potrafiła wyrównać te braki. Pułapka która pozwalała słabej i wolnej istocie ludzkiej polować – dała nawet lwiątku okazję do spróbowania swych sił.

Ayla przybiegła zdyszana na miejsce. W dole był uwięziony szalony ze strachu osioł. Na jego grzbiecie prychnący kociak próbował swymi mlecznymi zębami śmiertelnych chwytów. Kobieta pewnym pchnięciem dzidy zakończyła walkę zwierzęcia. Osioł przewrócił się wraz z uczepionym jego grzbietu lwiątkiem, którego ostre małe zębki rozerwały skórę. Maluszek zwolnił uchwyt dopiero wtedy, gdy osioł przestał się całkowicie ruszać. Ayla patrzyła na lwiątko. Stało dumne na o wiele większym od siebie zwierzęciu, przekonane, że to jego zdobycz i próbowało zaryczeć. Na twarzy Ayli pojawił się matczyzny uśmiech, pełen dumy i aprobaty. Potem Ayla zeskoczyła do dołu i odepchnęła go na bok.

– Posuń się, Maluszkule. Muszę zawiązać mu linę na szyi, aby Whinney mogła go stąd wyciągnąć.

Koń się pochylił, napierając na biegnącą przez jego pierś uprzęż, by wyciągnąć osła z dołu. Kociak tymczasem przypominał kłębuszek nerwów. Wskakiwał i wyskakiwał z dołu, a gdy w końcu osioł został wyciągnięty na górę, skoczył na niego i zeskoczył. Nie wiedział co ma z sobą zrobić. Lew, który powalił ofiarę, zwykle pierwszy brał swój udział, ale młode lwiątko nie zabijały. Według obowiązujących wzorców one ostatnie były dopuszczane do zdobyczy.

Ayla rozciągnęła osła i przystąpiła do patroszenia. Rozciąła mu brzuch cięciem, które zaczynało się przy odbyciu, a kończyło na

gardle. Lew rozdarłby zwierzę w podobny sposób, wywlekając najpierw jego miękkie wnętrzności. Maluch przyglądał się bacznie jej ruchom. Ayla nacięła dolną część, a potem obróciła osła i rozłożyła mu nogi, aby dokończyć cięcie.

Maluszek nie potrafił już dłużej czekać. Schwycił za zakrwawione wnętrzności wylewające się z brzucha. Jego ostre jak igły ząbki wbiły się w miękkie organy wewnętrzne. Lwiątko zacisnęło zęby i pociągnęło jak podczas zabawy w przeciąganie skóry.

Ayla skończyła cięcie, odwróciła się i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Śmiała się aż do łez. Maluszek schwycił kawałek wnętrzności, ale gdy się cofnął, to ku swemu zaskoczeniu nie napotkał na żaden opór. Cofał się więc dalej. Ciągnął i ciągnął, aż w końcu wywlókł całą długą linę jelit. Był tak zaskoczony, że Ayla nie mogła się już dłużej opanować. Opadła na ziemię i trzymając się za boki, próbowała odzyskać spokój.

Lwiątko nie widziało, co kobieta robi na ziemi. Puściło więc wnętrzności i podeszło zbadać sprawę. Śmiała się, gdy skoczył w jej kierunku. Chwyciła jego łeb i potarła policzkiem o jego futerko. Potem podrapała go za uchem i wokół powalanego krwią pyszczka, gdy tymczasem on lizał jej dłonie i zwinął się w kłębek na jej kolanach. Odnalazł jej dwa palce i ugniatając przednimi łapkami jej uda, zaczął ssać, wydając przy tym niskie, gardłowe pomruki.

Nie wiem, co cię sprowadziło na mą drogę, Maluszkule, pomyślała Ayla, ale cieszę się, że jesteś ze mną.

## . 14 .



Jesienią lwiątko było już większe od dużego wilka. W miejsce dziecięcych krągłości pojawiły się chude nogi i silne mięśnie. Jednakże pomimo swojej wielkości, nadal było tylko kociakiem, który w zabawie potrafił ją ozdobić siniakiem lub zadrapaniem. Nigdy go za to nie karciała – był dzieckiem. Upominała go jednak gestem: “Przestań, Maluszk!” – odpychała, dodając: “Dość tego, jesteś zbyt niedelikatny!” – po czym odchodziła.

To wystarczało, aby skruszone lwiątko szło za nią, przybierając poddańcze pozy, takie jakie przyjmowali członkowie stada wobec przywódcy. Nie mogła się temu oprzeć. A on starał się okazać radość z powodu tego, że mu wybaczyła, i wyrażać ją w bardziej opanowany sposób. Chował pazury, a potem skakał na nią i opierał łapy na ramionach, aby ją przewrócić – bardziej niż powalić tak by mógł objąć ją przednimi łapami. Ona przytulała go również, a choć lwiątko obnażało zęby, łapiąc ją za plecy czy ramię – tak jak pewnego dnia będzie to czyniło ze swą partnerką – robiło to bardzo delikatnie i nigdy jej nie skaleczyło.

Przyjmowała jego przeprosiny i gesty przywiązania. W klanie dopóki syn nie upoluje swojej pierwszej zdobyczy i nie osiągnie dojrzałości, podlega swej matce. Ayla tak właśnie się

zachowywała. Lwiątko zaakceptowało ją jako matkę. Naturalne więc było, że to ona dominowała.

Kobieta i koń były jego stadem; były wszystkim co miał. Kilka razy będąc na stepie z Aylą, spotykał inne lwy. Jego ciekawskie zapędy spotykały się jednak ze zdecydowaną odprawą, czego dowodem była blizna na jego nosie. Kobieta zaczęła unikać innych lwów, gdy była w towarzystwie lwiątko od czasu, gdy Maluszek wrócił po utarczce z krwawiącym nosem. Nadal jednak prowadziła swoje obserwacje, gdy była sama.

Złapała się na tym, że porównywała kociaki z dzikich stad z Maluszkiem. Od razu rzuciło się jej w oczy, że był duży jak na swój wiek. W odróżnieniu od młodych ze stada nie doświadczał nigdy okresów głodu. Żebra mu nigdy nie sterczały, a futro nie było matowe i sparszywiałe. Nie wisiała też nad nim groźba śmierci głodowej. Ayla zapewniała mu ciągłą opiekę i pożywienie. Dzięki temu mógł w pełni rozwinąć swe fizyczne możliwości. Podobnie jak kobieta klanu mająca zdrowe i zadowolone dziecko, Ayla z dumą patrzyła na swoje lśniące i duże lwiątko w porównaniu z dzikimi kociakami.

Zauważyła również, że lwiątko przewyższało swych rówieśników także i pod innym względem. Maluszek wcześniej, jak na swój wiek, zaczął polować. Po pierwszym razie, kiedy tak spodobało mu się gonienie osłów, zawsze już towarzyszył kobiecie. Zamiast bawić się w skradanie i polowanie z innymi kociakami, on ćwiczył na prawdziwej ofiarze. Lwica siłą zabroniłaby mu udziału w polowaniu, jednakże Ayla zachęcała go i, prawdę powiedziawszy, cieszyła się z jego pomocy. Jego instynktowne metody polowania były tak podobne do jej, że polowali jako zespół.

Jedynie raz lew zaczął za szybko pogoń i spłoszył stado przed

dołem. Potem Ayla była tak z niego niezadowolona, że Maluch zrozumiał, iż popełnił poważny błąd. Następnym razem obserwował ją uważnie i trzymał w ryzach własną niecierpliwość, dopóki ona nie ruszyła. Choć nie udawało mu się jeszcze zabić złapanego w pułapkę zwierzęcia, to Ayla była pewna, że nie minie wiele czasu, a lwiątko coś samo upoluje.

Maluszkowi spodobało się również polowanie z Aylą i jej procą na mniejsze zwierzątka. Podczas gdy Ayla zbierała pożywienie, które nie wzbudzało jego zainteresowania, lwiątko uganiało się za wszystkim, co się ruszało – oczywiście jeżeli nie spało. Jednakże podczas polowania Maluszek się nauczył tak jak ona, zamierać w bezruchu na widok zwierzęcia. Czekał i obserwował, jak wyciągała procę i kamień. W momencie strzału podrywał się i pędził w kierunku zdobyczy. Często się zdarzało, że spotykała go w połowie drogi, gdy ciągnął zabite zwierzę, ale czasami odnajdywała go z zębami zatopionymi w gardle ofiary. Zastanawiała się wtedy, czy to jej kamień uśmiercił zwierzę, czy też on dokończył dzieła, przegryzając mu tchawicę, tak jak to czyniły lwy. Z czasem nauczył się zauważać ofiarę i zastygał wywęszywszy ją, zanim Ayla ją jeszcze zobaczyła. Małe zwierzątko było pierwszą ofiarą jego zębów.

Maluszek się bawił bez większego zainteresowania kawałkiem mięsa, które mu dała, a potem zasnął. Obudził się głodny, gdy usłyszał, że Ayla wdrapuje się po stromym zboczu na rozciągające się powyżej jaskini stopy. Whinney nie było w pobliżu. Lwiątko nie zauważone wyruszyło w dziką krainę hien i innych drapieżników. Skoczyło za Aylą i dotarło na górę przed nią, ale dalej pomaszerowało obok niej. Spostrzegła, że lew się zatrzymał, zanim ona sama jeszcze zauważyła olbrzymiego chomika. Zwierzak jednak również ich dostrzegł i rzucił się do

ucieczki, nim wystrzeliła kamień z procy. Nie była pewna, czy dobrze wycelowała.

W następnej chwili Maluszek się poderwał. Pobiegnęła także lwiątko miało zęby zatopione w krwawych wnętrznościach. Ayla postanowiła sprawdzić, które z nich zabiło tego chomika. Odsunęła na bok Malucha, aby poszukać śladu kamienia. Lwiątko opierało się przez moment – wystarczająco jednak długo, aby spojrzeć na nie surowo – a potem ustąpiło spokojnie. Dostatecznie dużo zjadało pożywienia z jej ręki, żeby wiedzieć, iż zawsze mu je dostarczała. Nawet po dokładnym obejrzeniu Ayla nie mogła jednak z całą pewnością powiedzieć, kto zabił chomika. Oddała go lwiątku i nagrodziła je pieśczętą. Samodzielne rozdarcie skóry było godnym pochwały wyczynem.

Pierwszym zwierzęciem, które bez wątplenia sam zabił, był zajęc. Wydarzyło się to podczas jednej z nielicznych okazji, gdy kamień wysunął się jej z procy. Wiedziała, że strzał był nieudany kamień spadł jedynie kilka kroków od niej – ale sam gest strzelania był dla lwa sygnałem do rozpoczęcia pościgu. Odnalazła go, gdy rozpruwał zwierzęciu brzuch.

– Cudowny jesteś, Maluszkule! – zawołała i nagrodziła go szczodrymi pochwałami, które były mieszanką dźwięków i gestów, takich samych, jakimi nagradzano chłopców klanu, gdy zabili swe pierwsze małe zwierzę. Lew nie rozumiał, co mówiła, ale dotarło do niego, że sprawił jej przyjemność. Jej uśmiech, postawa, gesty – wszystko to sygnalizowało mu jej uczucia. Choć był jeszcze stosunkowo młody jak na takie wyczyny, to jednak zaspokoił swą instynktowną potrzebę polowania i został za to nagrodzony przez przywódcę swego stada. Dobrze się spisał i wiedział o tym.

Pierwsze podmuchy zimnych zimowych wiatrów przyniosły

spadek temperatury, lód na brzegach strumienia i wywołały u kobiety uczucie niepokoju. Zgromadziła pokaźne zapasy pożywienia roślinnego i mięsa dla siebie, a także dodatkowe zapasy suszonego mięsa dla Maluszka. Wiedziała jednak, że to nie wystarczy mu na całą zimę. Miała ziarno i siano dla Whinney, ale dla konia pasza była luksusem, a nie koniecznością. Konie całą zimę wyszukiwały sobie pożywienie, choć nieobce było im uczucie głodu, gdy na ziemi leżał głęboki śnieg i musiały przeczekać, aż zmiecie go suchy wiatr. Nie wszystkie też przeżywały zimną porę roku.

Drapieżniki również całą zimę wyszukiwały sobie pożywienie, wybierając słabe zwierzęta i zostawiając tym samym silniejszym więcej pożywienia. Liczebność drapieżników i ich ofiar rosła i malała okresowo, ale liczba jednych w stosunku do drugich nie ulegała zmianie. W latach, w których mniej było zwierzyny płowej i drobnych gryzoni, padało z głodu więcej drapieżników. Zima była dla wszystkich zwierząt najcięższą porą roku.

Wraz z nastaniem zimy obawy Ayli wzrosły jeszcze bardziej. Nie mogła polować na duże zwierzęta, gdyż ziemia była zmarznięta na kamień. Jej metoda polowania opierała się na kopaniu dołów. Większość małych zwierzątek zapadała w sen zimowy lub żyła w swych norkach dzięki zgromadzonemu pożywieniu. Trudno więc było je znaleźć, szczególnie gdy się nie miało umiejętności ich wywęszania. Toteż zaczynała mieć wątpliwości, czy będzie mogła upolować na tyle dużo, aby wykarmić dorastającego lwa jaskiniowego.

W ciągu wczesnej zimy, gdy się ochłodziło tak, że mięso można było przechowywać w chłodzie, a potem zamrażać, starała się upolować jak najwięcej dużych zwierząt. Przechowywała je obłożone stertami kamieni. Nie знаła jednak zbyt dobrze tras

zimowych wędrówek stad i jej starania nie przyniosły pożądaných efektów. Ale choć obawy niejedną noc spędzały jej sen z powiek, nigdy nie żałowała, że zabrała lwiątko. Z koniem i lwem jaskiniowym u boku, młoda kobieta rzadko rozmyślała nad swoją samotnością. Zamiast smutnych rozważań, które przynosiła zwykle z sobą długa zima, jaskinia rozbrzmiewała często jej śmiechem.

Maluch zawsze towarzyszył jej, gdy wychodziła na dwór, i brała się do wydobywania nowych zapasów. Próbował wtedy dostać się do zamrożonych sztuk, zanim jeszcze odwalila zupełnie kamienie.

– Maluszk! Zejdź mi z drogi! – mówiła z uśmiechem do młodego lwa próbującego się przecisnąć pod kamieniami. Lew zaciągał sztywne zwierzę do jaskini. Tak jakby wiedział, że jaskinia była przedtem zamieszkiwana przez lwa jaskiniowego, objął w posiadanie małą niszę w głębi i tam kładł swą zdobycz, aby odtajała. Lubił napastować zamarznęty kawał mięsa, gryząc go z zjadłością. Ayla z wykrojeniem kawałka dla siebie czekała, dopóki zwierzę nie rozmarzło.

Kobieta zaczęła bacznie śledzić zmiany pogody, gdy zapasy zgromadzone pod stertami kamieni zaczęły topnieć. Pewnego razu, gdy dzień wstał pogodny, rześki i zimny zdecydowała, że nadszedł czas by zapolować – a przynajmniej spróbować. Nie opracowała żadnego planu, ale nie dlatego, aby o tym nie myślała. Miała nadzieję, że wpadnie na jakiś pomysł, gdy będzie na dworze. A w ostateczności dokładniejsze zbadanie terenu i panujących tam warunków da jej nowy temat do rozmyślań. Musiała coś zrobić i nie chciała czekać, aż wyczerpią się jej całe zapasy mięsa.

Maluszek się domyślił, że idą na polowanie, gdy tylko Ayla



wyciągnęła kosze dla Whinney. Lwiątko w radosnym podnieceniu zaczęło wbiegać i wybiegać z jaskini, mruczając przy tym i łaszcząc się. Whinney, równie uradowana perspektywą opuszczenia jaskini, rżała i potrząsała łbem. Nim dotarli do zimnych, zalanych słońcem stepów, napięcie i niepokój zaczęły stopniowo Aylę opuszczać, ustępując miejsca nadziei i radości, jakie niosło z sobą działanie.

Stepy pokrywała cienka warstewka świeżego śniegu, którą ledwie muskały podmuchy słabego wietrzyku. Mróz był tak silny, że gdyby nie rzucane na ziemię światło, to nie zauważałoby się w ogóle obecności jasnego słońca. Przy każdym oddechu unosiły się z ust obłoczki pary. Przy każdym parsknięciu z oszronionego pyska Whinney sypał się grad małych kryształków lodu. Ayla cieszyła się, że dzięki swoim polowaniom mogła teraz mieć na sobie kaptur z rosomaka i dodatkowe futrzane okrycie.

Kobieta spojrzała na poruszającego się cicho z kocią gracją Maluszka. Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że był prawie tak długi, jak Whinney, a i wzrostem niemal dosięgał małego konia. W umaszczeniu samca lwa jaskiniowego zaczął się pojawiać rudy odcień i Ayla zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie zauważyła tego przedtem. Nagle Maluszek czymś zaalarmowany wyprężył się i wyciągnął sztywno ogon.

Ayla nie była przyzwyczajona do tropienia zwierzyny zimą, ale nawet z wysokości końskiego grzbietu dostrzegła na śniegu wyraźne wilcze ślady. Odciski łap były ostre, nie zatarte przez wiatr czy słońce, najwyraźniej świeże. Maluszek wysunął się do przodu; wilki musiały być w pobliżu. Ayla przynagliła Whinney do galopu. Dogoniła lwa na czas, by dostrzec sforę wilków okrążających starego samca biegnącego wolno za małym stadem antylop saiga.

Młody lew również ich dostrzegł. Nie mogąc opanować swojego podniecenia, pognął pomiędzy nich, płosząc stado i przeszkadzając wilkom w ataku. Zaskoczone i zbite z tropu wilki budziły w Ayli śmiech, nie chciała jednak dodawać otuchy Maluszkowi. – Jest tak pobudliwy, pomyślała, ponieważ dawno nie polowaliśmy.

Ogarnięte paniką antylopy saiga rozpierzchły się po równinie w ogromnych susach. Sfora wilków dokonała przegrupowania i nieśpiesznie podążyła ich śladem. Biegły wystarczająco szybko, ale nie na tyle, aby się zmęczyć przed ponownym dogonieniem stada. Ayla opanowała się i rzuciła Maluszkowi ostre, pełne dezaprobaty spojrzenie. Lew wrócił na swoje miejsce u jej boku, ale był zbyt zadowolony z siebie, aby okazywać skruchę.

Ayla, Whinney i Maluszek podążali za wilkami. W umyśle kobiety zaczął rodzić się pewien pomysł. Nie wiedziała, czy potrafiłaby zabić antylopę z procy, ale wiedziała, że mogła zabić wilka. Nie przejmowała się smakiem wilczego mięsa. Maluch je zje, gdy dostatecznie zgłodnieje. A przecież właśnie z jego powodu polowała.

Wilki przyspieszyły. Stary samiec saiga był zbyt wyczerpany, by dotrzymać kroku innym i został z tyłu za stadem. Ayla pochyliła się do przodu i Whinney przyspieszyła. Wilki krążyły wokół starego kozła, wystrzegając się jego kopyt i rogów. Kobieta podjechała bliżej. Miała zamiar upolować jednego z wilków. Upatrzyła go sobie, sięgając po kamienie schowane w fałdach okrycia. Whinney ze stukotem kopyt zbliżała się coraz bardziej. Ayla wystrzeliła kamień, a zaraz po nim następny.

Strzał był celny. Wilk upadł. W pierwszym momencie Ayla pomyślała, że powstałe nagle zamieszanie było wynikiem jej działania. Szybko jednak dostrzegła, co było jego prawdziwym

powodem. Maluch odebrał strzał z procy jako sygnał do pogoni. Mając przed oczyma apetyczną antylopę, nie interesował się wilkiem. Sfora wilków ustąpiła pola galopującemu koniowi, który niósł na grzbiecie kobietę wymachującą procą, oraz zdecydowanemu atakowi lwa.

Ale Maluszek nie był jeszcze tak wprawnym myśliwym, jakim miał zostać w przyszłości. Jego atakowi zabrakło siły i precyzji dorosłego lwa. Chwilę trwało, nim Ayla zrozumiała całą sytuację. – Nie, Maluszkule! To złe zwierzę, pomyślała. Potem szybko się poprawiła. Oczywiście, wybrał odpowiednie zwierzę. Maluszek usiłował udusić uciekającego kozła, któremu silny strach dodał nagle nowych sił.

Ayla schwyciła umocowaną w koszu za sobą dzidę. Whinney, reagując na gwałtowność jej ruchów, pognęła za starym saiga. Zryw antylopy nie potrwał jednak długo. Kozioł zwalniał. Zwiększając swoją prędkość koń szybko pokonał dzielący ich dystans. Ayla uniosła dzidę i gdy tylko znaleźli się obok antylopy, uderzyła, nie zdając sobie sprawy z tego, że krzyczy przy tym z czystej wrodzonej pasji.

Zawróciła konia i przyjechała kłusem z powrotem. Młody lew stał nad starym kozłem. Nagle, po raz pierwszy, obwieścił wszem i wobec swój bohaterski czyn. Tryumfalny ryk Malucha zabrzmiał bardzo obiecująco, choć zabrakło mu jeszcze grzmiącej gardłowości ryku dorosłego samca. Nawet Whinney zadrżała na ten dźwięk.

Ayla zsunęła się z grzbietu klaczy i poklepała uspokajająco jej kark.

– Wszystko w porządku, Whinney. To tylko Maluszek.

Ayla nie zastanawiała się i nie brała w ogóle pod uwagę tego, że lew mógłby zaprotestować i pokaleczyć ją. Odsunęła go na bok

i przygotowała się do wypatroszenia antylopy. Lew ustąpił przed jej dominującą postawą i przed czymś o wiele bardziej rzadkim; przed wiarą w miłość, jaką go darzyła.

Ayla postanowiła odszukać wilka i obdrzeć go ze skóry. Wilcze futro było ciepłe. Wracając, ze zdumieniem spostrzegła, że Maluszek ciągnie antylopę, i zdała sobie sprawę, iż ma zamiar ciągnąć ją tak przez całą drogę do jaskini. Samiec antylopy był w pełni wyrosniętym osobnikiem, Maluszek – nie. To pozwoliło jej bardziej docenić jego siłę – i władzę, jaką mógł z czasem zdobyć. Jeżeli jednak będzie ciągnął antylopę przez całą drogę, to zniszczy jej skórę. Antylopy saiga żyły w dużym rozproszeniu, zamieszkiwały zarówno góry, jak i równiny, ale nie były zbyt liczne. Nie upolowała przedtem żadnej z nich, a miały dla niej szczególne znaczenie. Antylopa saiga była totemem Izy. Ayla chciała mieć jej skórę.

Zasygnalizowała: “Stop!”. Maluszek zawahał się na chwilę, ale puścił “swą” zdobycz. Strzegł jej jednak, krążąc nerwowo wokół noszy przez całą drogę powrotną do jaskini. Z większym niż zwykle zainteresowaniem obserwował jak zdejmowała skórę i odcinała rogi. Gdy w końcu oddała mu zdobycz, zaciągnął odarte ze skóry zwierzę do swojej niszy w odległym kącie jaskini. Nawet po najedzeniu się do syta, pozostał czujny. Zasnął w pobliżu resztek swej zdobyczy.

Jego zachowanie rozbawiło Aylę. Rozumiała, że bronił zdobyczy. Zdawało się, że uważał, iż w tej bestii było coś wyjątkowego. Ayla również tak sądziła, ale z innego powodu. Nadal czuła podniecające dreszcze. Szybkość, pogoń, polowanie – to było porywające ale jeszcze ważniejsze było to, że miała nową metodę polowania. Z pomocą Whinney, a teraz i Maluszka, mogła polować o każdej porze roku, latem i zimą. Czuła się

potężna i wdzięczna Matce Ziemi. Mogła zapewnić pożywienie swojemu Maluszkowi.

Nagle spojrzała, sprawdzając, co się dzieje z Whinney. Koń leżał całkowicie bezpieczny, pomimo bliskości lwa jaskiniowego. Ayla podeszła do niego. Pogłaskała go, a potem czując potrzebę jego bliskości, położyła się obok. Whinney parsknęła cicho zadowolona, że kobieta jest blisko niej.

Zimowe polowania z Whinney i Maluszkim, bez zmuszonej konieczności kopania dołów, były zabawą. Sportem. Ayla od najwcześniejszych dni ćwiczeń z procą uwielbiała polowania. Każda nowo wypracowana technika – tropienie, rzut dwoma kamieniami, dół i dzida – pogłębiała jeszcze bardziej poczucie dumy z osiągnięcia zamierzonego celu. Nic jednak nie mogło się równać z czystą przyjemnością polowania z koniem i lwem jaskiniowym. Jej zwierzętom zdawało się to sprawiać równie wielką przyjemność. Podczas gdy Ayla robiła przygotowania, Whinney podrzucała łbem i tańczyła na tylnych kopytach, strzygąc uszami i podnosząc ogon, zaś Maluszek chodził tam i z powrotem, pomrukując nisko w radosnym oczekiwaniu. Pogodą też przestała się niepokoić po tym, jak Whinney przywiozła ją do domu w środku oślepiającej śnieżycy.

Wyruszali skoro świt. Jeżeli wcześniej wypatrzyli ofiarę, to często wracali do domu przed nastaniem południa. Zwykle podążali za upatrzonym zwierzęciem tak długo, dopóki nie znaleźli się w dogodnej do ataku pozycji. Wtedy Ayla dawała znak procą i Maluszek z radością wyskakiwał do przodu. Whinney, czując ponaglanie Ayli, galopowała w ślad za nim. Przerażone zwierzę pędziło z lwem jaskiniowym uczeptionym jego grzbietu. Spod pazurów i kłów lwa ciekła krew, a choć zadane rany nie były śmiertelne, to na tyle spowalniały

uciekające zwierzę, że galopujący koń nie potrzebował wiele czasu, aby je dogonić. Gdy się zrównywali, Ayla wbijała w nie dzidę.

Na początku nie zawsze im się udawało. Czasami wybrane zwierzę było zbyt szybkie lub Maluszek spadał, nie mogąc się porządnie uchwycić jego grzbietu. Trochę czasu zajęło też Ayli nauczenie się, jak trzymać w pełnym galopie ciężką dzidę. Wiele razy chybiała celu lub tylko powierzchownie raniła zwierzę, a nieraz Whinney nie była dostatecznie blisko. Ale nawet jeżeli im się czasami nie udawało, to nie przestawało ich to podniecać. Wszak zawsze mogli spróbować jeszcze raz.

W miarę ćwiczeń każde z nich robiło postępy. Zaczęli rozumieć wzajemne potrzeby i możliwości. W ten sposób ta niezwykła trójka stworzyła niezawodny zespół łowiecki – tak skuteczny, że gdy Maluszek sam po raz pierwszy zabił ofiarę, zostało to potraktowane jako część zbiorowego wysiłku.

Ayla, pochylając się w ostrym galopie, dostrzegła chwiejącego się na nogach jelenia. Padł, zanim do niego dotarła. Whinney zwolniła, gdy przejeżdżali obok. Kobieta zeskoczyła z konia i pognęła z powrotem, nim koń zdążył się zatrzymać. Uniosła dzidę, gotowa dokończyć dzieła, i spostrzegła, że Maluszek już sam tego dokonał. Zabrała się więc do przygotowania jelenia do transportu do jaskini.

Nagle dotarła do niej cała doniosłość tego wydarzenia. Maluszek choć tak młody, był już polującym samodzielnie lwem! Gdyby był członkiem klanu, uznano by go za dorosłego. Tak jak ją nazwano Kobieta-Która Poluje, zanim jeszcze została kobietą. Maluszek stał się dorosły, lecz nie osiągnął dojrzałości fizycznej. – Powinien uczestniczyć w ceremonii męskości, pomyślała. Ale jakiego rodzaju ceremonia mogłaby mieć dla niego znaczenie?

Wtem uśmiechnęła się.

Odwiązała jelenia z noszy, a potem schowała matę i tyczki do koszy. To jego zdobycz i ma do niej pełne prawo. Maluch z początku nie rozumiał, o co chodzi. Krążył pomiędzy, nią a ciałem zabitego przez siebie jelenia. Ayla w końcu ruszyła. Wtedy on złapał zębami jelenia za kark i począł go ciągnąć. Włókł go tak całą drogę powrotną na plażę, a potem stromą ścieżką do jaskini.

Po upolowaniu jelenia Ayla nie zauważyła szczególnej różnicy w zachowaniu Maluszka. Nadal polowali razem. Ale coraz częściej pogoń Whinney była jedynie ćwiczeniem, a dzida Ayli w ogóle okazywała się niepotrzebna. Jeżeli chciała mięsa dla siebie, brała je sobie pierwsza; jeżeli chciała skórę, to ją zdejmowała. W warunkach naturalnych samce stada zawsze brały pierwsze i najwięcej z upolowanej zdobyczy, ale Maluszek był jeszcze młody. Nigdy też nie zaznał głodu, czego dowodem była jego wielkość, i był przyzwyczajony do jej dominacji.

Wraz ze zbliżaniem się wiosny Maluszek coraz częściej zaczął sam opuszczać jaskinię. Rzadko oddalał się na długo, ale jego wycieczki robiły się coraz częstsze. Raz wrócił z zakrwawionym uchem. Domyśliła się, że spotkał inne lwy. Zrozumiała wówczas, że nie wystarczało mu już dłużej tylko jej towarzystwo; szukał przedstawicieli swego własnego gatunku. Oczyszczyła mu ucho, a on cały następny dzień nie odstępował jej na krok. W nocy wczołgał się na jej posłanie i szukał jej dwóch palców do possania.

Wkrótce odejdzie, pomyślała, założy swe własne stado, znajdzie sobie partnerkę, która będzie dla niego polowała i będzie miał kocięta, nad którymi będzie mógł dominować. Pragnie towarzystwa swojego własnego rodzaju. Przyszła jej na

myśl Iza. – Jesteś młoda, potrzebny ci mężczyzna, ktoś z twego własnego rodzaju. Znajdź swych ludzi; znajdź sobie partnera, powiedziała. – Wkrótce nastanie wiosna. Powinnam pomyśleć o odejściu, ale jeszcze nie teraz. Maluszek będzie wielki, nawet jak na lwa jaskiniowego. Już znacznie przerósł lwy w swoim wieku, ale nie dorósł; jeszcze by sam nie przeżył.

Wiosna nadeszła zaraz po dużych opadach śniegu. Powódź znacznie ograniczyła ich ruchliwość. Whinney odczuła to najbardziej. Ayla mogła wdrapać się na rozciągające się powyżej jaskini stepy, Maluch mógł tam z łatwością doskoczyć, ale dla konia zbocze było zbyt strome. Woda ponownie opadła. Plaża i sterta kości znowu przybrały inny kształt, a Whinney w końcu mogła zejść ścieżką na łąkę. Ale była podenerwowana.

Po raz pierwszy Ayla zauważyła coś niezwykłego w jej zachowaniu, gdy usłyszała skowyt kopniętego Maluszka. Zaskoczyło ją to. Whinney nigdy nie okazywała zniecierpliwienia w stosunku do lwiątku; czasami, aby przywołać go do porządku, uszczypnęła go, ale nigdy nie była tak zdenerwowana, by kopać. Ayla pomyślała, że to niecodzienne zachowanie konia jest wynikiem jego przymusowej bezczynności. Przecież Maluszek, odkąd podrósł, zaczął trzymać się z dala od zajmowanego przez Whinney miejsca w jaskini i Ayla się zastanawiała, co go tam przywiodło. Poszła sprawdzić, a wtedy do jej nozdrzy dotarł silny odór, z którego zdawała sobie niejasno sprawę cały ranek. Whinney stała z opuszczonym łbem, tylne nogi miała rozstawione, a ogon odrzucony na lewo. Ujście pochwy miała nabrzmiąle i pulsujące. Spojrzała na Aylę i cicho zarżała.

Aylę ogarnęły sprzeczne uczucia. Najpierw poczuła ulgę. A więc to w tym rzecz. Ayla wiedziała o cyklach rozrodczych zwierząt. U niektórych z nich czas łączenia się w pary



występował częściej, ale u kopytnych występował zwykle raz do roku. Był to okres w roku, kiedy samce walczyły o prawo do samic, i był to czas, gdy samice i samce pozostawały razem, nawet te, które zwykle polują oddzielnie lub gromadzą się w osobnych stadach.

Okres łączenia się w pary był jednym z tych tajemniczych przejawów życia zwierząt, które ją intrygowały podobnie jak rzucanie i wyrastanie co roku nowego poroża u jeleni. Gdy była młodsza, często wypytywała Creba o te sprawy, wywołując jego zniecierpliwienie. On również nie wiedział, dlaczego zwierzęta łączyły się w pary, aczkolwiek raz wyraził przypuszczenie, że – być może – jest to okres, w którym samce pokazują swoją przewagę nad samicami lub też, tak jak u ludzi, samce muszą zaspokoić swe potrzeby.

Poprzedniej wiosny Whinney również odczuwała potrzebę parowania się, ale akurat w okresie, w którym, pomimo rżenia ogiera na stepach powyżej jaskini, ona nie mogła się do niego dostać. Tym jednak razem potrzeby młodej klaczy wydawały się znacznie silniejsze. Ayla nie pamiętała, aby klacz była tak obrzmiała i nieszczęśliwa. Whinney poddała się pieszczotom kobiety, poklepywaniom i głaskaniu; potem opuściła łeb i znowu cicho, boleśnie zarżała.

Ayla nagle poczuła, jak żołądek kurczy jej się ze strachu. Oparła się o konia, podobnie jak Whinney opierała się o nią, gdy była zdenerwowana lub przestraszona. Whinney ma zamiar ją opuścić! To było tak nieoczekiwane. Ayla nie miała czasu, aby się do tego przygotować, a powinna była. Zajęta jednak myślami o przyszłości Maluszka i swej własnej zapomniała o tym. A tymczasem nastał dla Whinney czas łączenia się w pary. Młodej klaczy potrzebny był ogier – partner.

Z wielkim bólem serca Ayla wyszła z jaskini i dała znak Whinney, aby poszła za nią. Po zejściu na kamienistą plażę dosiadła konia. Maluszek podniósł się, żeby im towarzyszyć, ale Ayla dała mu znak "Stop". Nie chciała, by lew jaskiniowy teraz jej towarzyszył. Nie jechała na polowanie, lecz Maluszek tego nie wiedział. Ayla musiała jeszcze raz zawrócić lwa, bardziej zdecydowanym gestem, zanim został z tyłu, obserwując ich odjazd.

Na stepach było ciepło i wilgotno zarazem. Na jasnoblękitnym niebie, w połowie swej drogi do południa, świeciło słońce spowite mglistą aureolą; błękit zdawał się gasnąć w jego oślepiającym blasku. Topniejący śnieg parował, tworząc delikatną mgiełkę, która jednak nie ograniczała widoczności, łagodząc jedynie ostrość kształtów, przyczajona zaś w chłodnych zacienionych miejscach mgła, rozmywała kontury otoczenia. Zostały zachwiane proporcje, wszystko było widać w przestrzennym skrócie – wprowadzającym do krajobrazu wrażenie terażniejszości, teraz i tutaj, tak jak gdyby nigdy nie istniał inny czas i miejsce. Odległe obiekty zdawały się oddalone jedynie o kilka kroków, choć aby do nich dotrzeć, trzeba by iść w nieskończoność.

Ayla nie kierowała koniem. Pozwoliła Whinney instynktownie wybierać drogę. Nie obchodziło jej, dokąd jechała, nie była świadoma spływających po policzkach łez, które słonymi kropelkami wzbogacały otaczającą wilgoć. Siedziała zupełnie rozluźniona, podskakując w rytm końskich kroków, całkowicie zatopiona w rozmyślaniach. Przypomniła sobie jak pierwszy raz zobaczyła dolinę i stado koni na łące. Myślała o decyzji pozostania, o potrzebie polowania. Wspominała, jak prowadziła Whinney w bezpieczne miejsce, jakie zapewniał ogień i jej

jaskinia. – Powinnam była wiedzieć, że to nie może trwać wiecznie, że pewnego dnia Whinney będzie chciała wrócić do własnego rodzaju, tak jak ja sama chciałam to uczynić.

Zmiana końskiego kroku obudziła jej uwagę. Whinney znalazła to, czego szukała. Przed nimi znajdowało się małe stado koni. Słońce roztopiło śnieg pokrywający niskie wzgórze i odsłoniło drobne, zielone źdźbła trawy. Zgłodniałe zwierzęta tęskniące za odmianą po zeszłorocznej suchej paszy skubały soczystą młodą trawkę. Whinney zatrzymała się, gdy konie na nią spojrzwały. Ayla usłyszała rzenie ogiera. Dostrzegła go z boku, na pagórku, którego przedtem nie zauważyła. Był gniady z czarną grzywą, ogonem i plamami na nogach. Nigdy nie widziała konia o tak intensywnym ciemnym ubarwieniu. Większość z nich była myszata lub bułana, lub jak Whinney, w kolorze dojrzałego siana.

Ogier zarżał, uniósł łeb i podwinął górną wargę. Stanął dęba i pogalopował w ich kierunku. Zatrzymał się nagle w odległości kilku kroków i począł bić kopytami ziemię. Szyję miał wygiętą w łuk, ogon uniesiony i wspaniałą erekcję.

Whinney zarżała w odpowiedzi. Ayla zsunęła się z jej grzbietu. Przytuliła konia, a potem się cofnęła. Whinney odwróciła łeb, aby spojrzeć na kobietę, która opiekowała się nią od źrebięcia.

– Idź do niego, Whinney – powiedziała. – Znalazłaś swego partnera, idź do niego.

Whinney potrząsnęła łbem i zarżała cicho, a po chwili stanęła naprzeciwko gniadego ogiera. Ten obszedł ją dookoła, opuścił łeb, skubał ją w pęciny, zaganiając do stada niczym zbuntowanego niedorostka. Ayla przyglądała się jej odejściu, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Ogier dosiadł jej klacz. Ten widok sprawił, że wbrew jej woli powróciły wspomnienia. Przypomniał

jej się Broud i okropny ból. Później było to jedynie nieprzyjemne, ale nigdy nie polubiła tego, gdy Broud ją dosiadał, i była wdzięczna, kiedy wreszcie mu się to znudziło.

Ale pomimo rżenia i parskania, Whinney nie próbowała opierać się ogierowi. Obserwując to, Ayla poczuła dziwne podniecenie, uczucie, którego nie potrafiła wyjaśnić. Nie mogła oderwać oczu od gniadego ogiera. Przednie kopyta oparł na grzbiecie Whinney, poruszał zadem tam i z powrotem, prężył się i wysoko rżał. Poczowała ciepłą wilgoć pomiędzy udami, rytmiczne skurcze w takt ruchów ogiera i niepojęte wzruszenie. Ciężko dyszała, w skroniach jej pulsowało i czuła bolesną tęsknotę za czymś, czego nie potrafiła wyrazić.

Bułana kobyła z własnej woli podążyła za gniadym, nie oglądając się nawet do tyłu i wówczas Aylę ogarnęło uczucie straszliwej, trudnej do zniesienia pustki. Żdała sobie sprawę, jak kruchy był świat, który sobie stworzyła w dolinie, jak ulotne było jej szczęście, jak niepewny był jej byt. Odwróciła się i pobiegła z powrotem w kierunku doliny. Biegła, dopóki zupełnie nie straciła tchu, dopóki nie zaczęło ją boleśnie kłuć w bokach. Biegła, łudząc się, że jeżeli będzie biec dostatecznie szybko, to zostawi za sobą cały smutek i samotność.

Potknęła się na zboczu wiodącym na łąkę, sturlała się i pozostała tam, gdzie się zatrzymała, z trudem łapiąc oddech. Ale nie poruszyła się nawet, gdy ponownie odzyskała oddech. Nie chciała się ruszać. Nie chciała stawić czoła, próbować i żyć. Na co to wszystko? Była przecież obłożona klątwą, czyż nie?

Dlaczego nie mogę po prostu umrzeć? Tak jak się tego po mnie spodziewano? Dlaczego muszę tracić wszystko, co pokocham? Poczowała ciepły oddech i szorstki język zlizujący sól z jej policzka. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą ogromnego lwa jaskiniowego.

– Och, Maluszk! – zawołała, wyciągając do niego ręce. Lew się położył obok niej, schował pazury i oparł na niej ciężką przednią łapę. Ayla przekręciła się, obejmując jego porośnięty futrem kark i ukryła twarz w długiej grzywie.

Gdy w końcu się wyplakała i spróbowała wstać, dały o sobie znać skutki upadku: pokaleczone dłonie, otarte kolana, łokcie i prawy policzek, stłuczone udo i goleń. Pokuśtykała do jaskini. Kiedy opatrywała sobie otarcia, zadrapania i stłuczenia, wróciła jej trzeźwość myślenia. Co by się stało, gdybym złamała sobie kość? Nie ma tu nikogo do pomocy, to byłoby gorsze od umierania.

Nie złamałam, pomyślała. Skoro mój totem chce mnie zachować przy życiu, to widać ma ku temu powody. Może duch Lwa Jaskiniowego zesłał mi Maluszka, ponieważ wiedział, że Whinney któregoś dnia odejdzie.

Maluszek też odejdzie. Wkrótce zapragnie partnerki. I znajdzie ją sobie, choć nie wyrósł w normalnym stadzie. Jest tak wielki, że stanie w obronie każdego terytorium. Jest też dobrym myśliwym. Nie będzie głodował podczas poszukiwania stada czy chociażby jednej lwicy.

Uśmiechnęła się krzywo. – Myślisz tak, jakbyś była matką z klanu martwiącą się, aby jej dorastający syn został wielkim, dzielny myśliwym. A to nie mój syn. To tylko lew, zwykły... Nie, on nie jest zwykłym lwem jaskiniowym. Jest już prawie tak duży, jak niektóre dorosłe lwy, i wcześniej zaczął polować. Ale opuści mnie...

Durc musi być już duży. Ura też dorasta. Odzie będzie smutno, gdy Ura odejdzie, aby zostać partnerką Durca i żyć z klanem Bruna... Nie, teraz to klan Brouda. Ile zostało jeszcze czasu do następnego Zgromadzenia Klanu?

Sięgnęła za posłanie po wiązkę kijów do znakowania. Nadal każdego wieczoru robiła na nich nacięcie. To stało się już przyzwyczajeniem, rodzajem rytuału. Rozwiązała wiązkę i ułożyła kije na ziemi. Następnie próbowała policzyć dni, które upłynęły od czasu znalezienia doliny. Przykładała dłoń do nacięć, ale było zbyt wiele znaków, zbyt wiele dni minęło. Czuła, że nacięcia powinny się zebrać razem i dodać, w jakiś sposób, aby tym samym powiedzieć, jak długo tu już była, ale nie wiedziała jak to uczynić. Czuła zawód. Wtem zdała sobie sprawę, że nie potrzebuje kijów; może się dowiedzieć, ile upłynęło lat, licząc mijające wiosny. – Durc się urodził na wiosnę przed ostatnim Zgromadzeniem Klanu, pomyślała. Następna wiosna zamknęła pierwszy rok jego życia. Zrobiła znak na ziemi. Następnej wiosny skończył się dla niego rok karmienia piersią i zaczął się rok odstawienia od piersi – nie licząc tego, że on już był odstawiony. Postawiła trzecią kreskę.

Wtedy odeszłam – przełknęła z trudem ślinę i zamrugła oczyma – latem znalazłam dolinę i Whinney. Następnej wiosny znalazłam Maluszka. Postawiła czwartą kreskę. A tej wiosny... Nie chciała myśleć o stracie Whinney jako o sposobie na zapamiętanie roku, ale to był fakt. Postawiła piątą znaczek.

To wszystkie palce jednej dłoni – wyciągnęła lewą dłoń i tyle lat ma teraz Durc. Wyciągnęła jeszcze kciuk i palec wskazujący prawej dłoni – a tyle jeszcze zostało do następnego Zgromadzenia. Ura wróci z niego razem z nimi, będzie przeznaczona dla Durca. Oczywiście, nie będą jeszcze wystarczająco dorośli, aby zawierać związek. Ciekawa jestem, czy on mnie jeszcze pamięta? Czy będzie miał pamięć klanu? Jak wiele w nim jest ze mnie, a jak wiele z klanu... Brouda?

Ayla pozbierała poznaczone kije i zauważyła, że pomiędzy

dotatkowymi nacięciami, które robiła, gdy jej duch walczył i krwawiła, znaki występowały z pewną regularnością. Po co męski totem miałby tutaj ze mną walczyć? Nawet gdyby moim totemem była mysz, to nie zaszłabym w ciążę. Do poczęcia dziecka potrzebny jest mężczyzna i jego organ. Och, Whinney, to byłoby cudowne.

Na wspomnienie Whinney i ogiera przeszył ją dreszcz. Serce zaczęło jej bić trochę prędeej. Potem przyszedł jej na myśl Broud i przestało jej być miło. Ale to jego organ począł Durca. Gdyby wiedział, że da mi tym dziecko, to nigdy by tego nie robił. Durc będzie miał Urę. Ona także różni się od członków klanu. Myślę, że Ura została poczęta, gdy mężczyzna Innych zniewolił Odę. Ura jest akurat dla Durca. Po części należy do klanu, a po części do mężczyzny Innych. Mężczyzna Innych...

Ayla była niespokojna. Maluch poszedł sobie, a ona czuła potrzebę ruchu. Wyszła na dwór i powędrowała skrajem zarośli porastających brzegi strumienia. Poszła dalej niż chodziła poprzednio, choć na Whinney jeździła równie daleko. Musi znowu przyzwyczać się do chodzenia, zdała sobie sprawę, i do noszenia kosza na plecach. Po dojściu do odległego krańca doliny; podążyła za strumieniem skręcającym na południe by obejść wysoką skarpe. Tuż za zakrętem strumień opływał z szumem kamienie, które robiły wrażenie umieszczonych celowo. Znajdowały się w tak dogodnej od siebie odległości, że mogły być używane jako kamienie do chodzenia. Wysoka ściana była w tym miejscu jedynie stromą pochyłością. Ayla wdrapała się na nią i spojrzała na zachodnie stopy.

Nie było zasadniczej różnicy pomiędzy wschodem a zachodem, może z wyjątkiem tego, że teren był bardziej nierówny i ona o wiele mniej znała zachodnią stronę rzeki.

Wiedziała, że jeżeli zdecyduje się na opuszczenie doliny, to będzie musiała pójść na zachód. Odwróciła się, przeszła na drugą stronę strumienia, a potem powędrowała długą doliną z powrotem do jaskini.

Było już prawie ciemno, gdy dotarła na miejsce. Maluszek jeszcze nie wrócił. Ogień wygasł. W jaskini było zimno i pusto. Wydawała się teraz bardziej pusta niż wtedy, gdy po raz pierwszy uczyniła z niej swój dom. Rozpaliła ogień, zagotowała trochę wody i zaparzyła napój, ale nie miała ochoty na gotowanie. Wzięła sobie kawałek suszonego mięsa i trochę wysuszonych czereśni, i usiadła na posłaniu. Dawno już nie była w jaskini sama. Poszła do miejsca, gdzie stał jej stary kosz do noszenia, i pogrzebała na jego dnie, wyszukując skórę, w której nosiła Durca. Przytuliła ją do łona i poczęła wpatrywać się w ogień. Później położyła się i owinęła nią.

W czasie snu nawiedzały ją różne wizje i marzenia. Śnił jej się Durc z Urą, oboje dorośli i połączeni związkiem. Śniła o Whinney, będącej w innym miejscu z gniadym ogierem. Raz przebudziła się zlaną potem, w strachu. Nim jeszcze całkowicie powróciła do świadomości, zrozumiała, że nawiedził ją znowu ten powracający senny koszmar o trzęsieniu ziemi i przerażeniu. Dlaczego jej się to śniło?

Wstała i podsyciła ogień, zagrzała sobie napój i wypiła go. Maluszek jeszcze nie wrócił. Podniosła zawijkę Durca i znowu przypomniała sobie opowieść Ody o mężczyźnie Innych, który ją zniewolił. – Oda mówiła, że przypominał mnie z wyglądu. Mężczyzna podobny do mnie, jak by on wyglądał?

Ayla próbowała sobie wyobrazić podobnego do siebie mężczyznę. Usiłowała przypomnieć sobie swoje rysy, które widziała odbite w stawie, ale pamiętała jedynie włosy okalające



jej twarz. Wtedy nosiła je rozpuszczone, nie splecione w wiele warkoczyków, aby jej nie przeszkadzały. Miały kolor zbliżony do koloru sierści Whinney, lecz bardziej złoty odcień.

Ale zawsze – gdy myślała o męskiej twarzy – przed oczyma pojawiała jej się twarz Brouda z szyderczą miną. Nie potrafiła sobie wyobrazić twarzy mężczyzny Innych. W końcu ogarnęła ją senność i znowu położyła się spać. Śniła o Whinney i gniadym ogierze. A potem o mężczyźnie. Ale jego rysy skrywał cień. Jedno tylko nie budziło wątpliwości. Miał jasne włosy.

## . 15 .



– Dobrze ci idzie, Jondalar! Zrobimy z ciebie rzeczno człowieka! – zakrzyknął Carlono. – Na dużych łodziach nie szkodzi, jeśli opuścisz jedno uderzenie. Najważniejsze, żebyś nie wypadł z rytmu, bo nie wiosłujesz sam. Na małych łodziach, takich jak ta, trzeba się stale mieć na baczności. Wystarczy, że przegapisz jeden ruch wiosłem, by narazić się na niebezpieczeństwo, a nawet śmierć. Zawsze czujnie obserwuj rzekę – nie zapominaj nigdy o tym, jaka potrafi być nieobliczalna. Tu woda jest głęboka, więc rzeka wygląda na spokojną. Ale wystarczy, abyś zanurzył wiosło, a poczujesz jej silny prąd. Trudno walczyć z takim prądem – trzeba z nim współpracować.

Carlono kontynuował swój płynny wywód, jednocześnie manewrując wraz z Jondalarem małą dwuosobową dłubanką w pobliżu przystani Ramudoi. Jondalar słuchał tylko jednym uchem, koncentrując uwagę na prawidłowym trzymaniu wiosła, aby łódź, którą sterował, popłynęła zgodnie z jego wolą, ale czuł w mięśniach znaczenie słów Carlono.

– Możesz myśleć, że łatwiej płynąć w dół rzeki, bo nie trzeba walczyć z prądem, ale w tym właśnie tkwi sedno sprawy. Płynąc pod prąd, cały czas musisz mieć skupioną uwagę, zarówno na

łodzi, jak i rzece. Wiesz, że jeżeli się zagapisz, to prąd znieś cie, i cały twój wysiłek pójdzie na marne. Płynąc pod prąd, możesz również dostatecznie szybko zauważyć nadpływające przeszkody i wyminąć je. Natomiast płynąc z prądem, bardzo łatwo się odprężyć, pozwolić, by myśli błędziły, a rzeka sama cie niosła. Zdarzają się jednak na środku rzeki głazy, wrosnięte głęboko w jej dno. Prąd może rzucić cie na nie, zanim się spostrzeżesz. Możesz też uderzyć w jakąś nasiąkniętą wodą kłodę leżącą pod wodą. “Nigdy nie odwracaj się plecami do Matki.” Nigdy nie zapominaj o tym przykazaniu. Ona jest pełna niespodzianek. Myślisz, że wiesz, czego się po niej spodziewać, i robisz się pewny siebie, a wtedy ona zaskakuje cie w najmniej oczekiwany sposób.

Starzec oparł się plecami o rufę łodzi i wyciągnął swoje wiosło z wody. Popatrzył w zamyśleniu na Jondalara. Skupiony młodzieniec miał jasne włosy zagarnięte do tyłu i związane rzemykiem na karku, godna pochwały przezorność. Przejął też ubiór od Ramudoi, którzy z kolei przejęli go od Shamudoi, i dostosowali do życia w pobliżu rzeki.

– Podpłyn do przystani i wysadź mnie, Jondalarze. Myślę, że czas, abyś samodzielnie spróbował. To co innego być z rzeką sam na sam.

– Myślisz, że jestem gotów?

– Jak na kogoś, kto się z tym nie urodził, to uczysz się szybko. Jondalar lękał się samodzielnego sprawdzianu na rzece. Chłopcy Ramudoi dostawali zwykle swe pierwsze dłubanki, nim zostali mężczyzn. Wiele czasu minęło, odkąd dał dowód swego męstwa. Zabił pierwszego jelenia, gdy był niewiele starszy od Davro; nie był jeszcze wtedy wyuczony swego rzemiosła ani nawet w pełni nie dorósł. Teraz potrafił rzucić oszczepem dalej i mocniej niż

większość mężczyzn, ale choć potrafił polować na równinach, to tu nie czuł się zbyt pewnie w porównaniu z innymi. Rzeczny człowiek dopiero wtedy może nazwać siebie mężczyzną, gdy upoluje ościeniem jednego z wielkich jesiotrów, a Shamudoi wtedy, gdy samodzielnie upoluje w górach kozicę.

Jondalar postanowił, że nie zawrze związku z Serenio, dopóki nie udowodni sobie, że może być zarówno Shamudoi, jak i Ramudoi. Dolando usiłował go przekonać, że nie musi tego robić przed zawarciem związku; nikt nie poddawał w wątpliwość jego męstwa. Każdemu, kto potrzebował na to dowodu, wystarczyło wspomnieć o polowaniu na nosorożca. Jondalar dowiedział się, że przedtem nikt z nich nie polował na nosorożca. Równiny nie należały do ich terenów łowieckich.

Jondalar nie próbował dociec, skąd się brała w nim potrzeba bycia lepszym od innych, choć nigdy przedtem nie czuł chęci prześcignięcia innych mężczyzn w łowieckich umiejętnościach. Najbardziej interesowało go obrabianie krzemienia i w tym zajęciu chciał zawsze celować. Nie chodziło przy tym o rywalizowanie. Po prostu czerpał osobistą satysfakcję z doskonalenia swych umiejętności. Później Shamud wytłumaczył Dolando na osobności, że ten wysoki Zelandonii musi samego siebie przekonać o swojej wartości.

Jondalar żył już z Serenio tak długo, że czuł, iż powinien ich związkowi nadać moc zgodną z tutejszym obyczajem. Był niemal jej partnerem. Większość ludzi uważała ich zresztą za partnerów. Traktował ją z pełnym uczucia szacunkiem, a Darvo zajmował szczególne miejsce w jego sercu. Jednakże od owego wieczoru, kiedy to zostały poparzone Tholie i Shamio, wiecznie coś stawało im na przeszkodzie i nigdy nie było odpowiedniego nastroju do poważniejszych wyznań. Tak łatwo było

przyzwyczaić się do życia z nią. – Czy to miało naprawdę znaczenie? – zapytał samego siebie.

Serenio nie nalegała – nadal nie rościła sobie do niego praw – i zachowywała ciągle bezpieczny dystans. Ostatnimi jednak czasy zdarzało mu się napotykać jej pełne głębokiego uczucia spojrzenia. To on zawsze czuł się zażenowany i odwracał pierwszy oczy. Postanowił, że udowodni samemu sobie, iż w pełni zasługuje na miano mężczyzny z ludu Sharamudoi i począł nie taić swych zamiarów. Niektórzy uznali to za rodzaj ogłoszenia o Przyrzeczeniu, jednakże samej Ceremonii Przyrzeczenia nie urządzono.

– Tylko nie przesadzaj – powiedział Carlono, wysiadając z małej łódki. – Spróbuj przyzwyczaić się do samodzielnego sterowania łodzią.

– Ale zabiorę z sobą oścień. Nie zaszkodzi przywyknąć do rzucania nim z łodzi – powiedział Jondalar, sięgając po leżącą na pomoście broń. Umieścił długie drzewce na dnie łodzi, pod siedzeniami, przywiązał do niego linę i przymocował do uchwytu na burcie haczykowate, kościane ostrze. Końcówka ościenia, o ostrym czubku i wygiętym haczyku nie była narzędziem, które można by rzucić niedbale na dno. W razie wypadku byłoby go równie trudno wyciągnąć z ciała człowieka, jak i z ryby – nie wspominając już o trudzie wyrabiania kościanego haczyka za pomocą narzędzi z kamienia. Dłubanki tej wielkości rzadko tonęły w przeciwieństwie do zgubionego narzędzia.

Jondalar usadowił się na tylnym siedzeniu, podczas gdy Carlono przytrzymał mu łódź. Po zabezpieczeniu ościenia wziął obustronne wiosło i odepchnął łódź. Mała łódka, bez obciążenia drugą osobą siedzącą na przodzie, płynęła mniej zanurzona. Trudniej było nią kierować. Po pewnych wstępnych

przymiarkach do zmienionego balastu, Jondalar pomknął chyżo z prądem w dół rzeki, używając wiosła wystawionego w pobliżu rufy jako steru. Po pewnym czasie zdecydował, że powiosłuje z powrotem pod prąd. Co prawda łatwiej byłoby najpierw, ze świeżym zapasem sił walczyć z prądem, a potem pozwolić się mu nieść.

Popłynął dalej w dół nurtu niż sobie z tego zdawał sprawę. W końcu ujrzał przed sobą przystań i miał już zamiar do niej zawrócić, gdy zmienił zdanie i powiosłował dalej. Był zdecydowany opanować biegle wszystkie umiejętności, które sam sobie wyznaczył, a było ich wiele. Nikt, a już z pewnością nie on sam, nie nakłoniłby go do zaniechania tego zadania. Uśmiechnął się do machającego Carlono, ale nie zawrócił.

W górnym biegu rzeka się poszerzała i prąd słabł, co ułatwiało wiosłowanie. Jondalar dostrzegł, że w jednym miejscu drugi brzeg opada łagodniej, i skierował się ku niemu. To była mała, zaciszna plaża, osłonięta zwisającymi wierchami. Podpłynął bliżej, prześlizgując się łatwo nad mieliznami dzięki małemu obciążeniu łodzi. Potem dał chwilę wytchnienia mięśniom, sterując jedynie wiosłem i pozwalając, by łódeczkę znosiło do tyłu. Od niechcienia przyglądał się wodzie. Wtem jego uwagę zwrócił duży nieruchomy kształt tuż pod powierzchnią.

Było jeszcze za wcześnie na jesiotry. Zwykle płynęły w górę rzeki wczesnym latem, ale w tym roku była ciepła i wczesna wiosna z dużymi powodziami. Przyjrzał się uważniej i zobaczył więcej ogromnych ryb, które przepływały spokojnie obok niego. One wędrowały! To była jego szansa. Mógł przynieść pierwszego jesiotra w tym sezonie!

Schował wiosło i sięgnął po części ościenia, aby je ze sobą połączyć. Nie było steru, mała łódka kręciła się dookoła, płynęła z

prądem, ale ustawiała się do niego lekko bokiem. Nim Jondalar przyczepił linę do dziobu, łódka ustawiła się pod kątem do prądu, ale nie chwiała się, a jego opanował taki zapał, że na nic nie zważał. Wypatrywał następnej ryby. Nie rozczarował się. Wielki, ciemny kształt płynął w jego stronę – teraz wiedział, skąd pochodziła “Haduma”, ale tu było o wiele więcej tak ogromnych ryb.

Podczas łowienia ryb z Ramudoi Jondalar dowiedział się, że woda zmienia prawdziwą pozycję ryby. Nie znajdowała się ona tam, gdzie się wydawało, że jest – Matka na swój sposób starała się ukrywać swe stworzenia tak długo, jak to był możliwe, dopóki jej sekret nie wyszedł na jaw. Ryba podpłynęła bliżej i Jondalar wycelował, biorąc poprawkę na załamanie biegu promieni świetlnych w wodzie. Czekał pochylony, a potem cisnął znad dziobu oścień.

Małą łódź z jednakową siłą odrzuciło w przeciwną stronę, wzdłuż jej ukośnego kursu, w kierunku środka rzeki. Rzut był celny. Ostrze ościenia utkwilo głęboko w ogromnym jesiotrze – nie czyniąc mu jednak widocznej szkody. Ryba była daleka od opadnięcia z sił. Kierowała się ku środkowi nurtu, ku głębszym wodom, płynąc pod prąd. Lina rozwijała się szybko i napięła się wraz z szarpnięciem.

Łodzią miotało na wszystkie strony. Jondalar niemalże wpadł do wody. Gdy się uchwycił burty, wiosło podskoczyło, zahusłało się i wpadło do rzeki. Wychylił się, aby je sięgnąć. Łódź się przechyliła. Uchwycił się kurczowo burty. W tym momencie jesiotr natrafił na wartki prąd i popruł w górę rzeki, ciągnąc jakimś cudownym sposobem za sobą łódź i zwalając przy tym Jondalara z powrotem do środka. Mężczyzna usiadł, rozcierając stłuczony goleń, a tymczasem mała łódeczka mknęła pod prąd

szybciej niż kiedykolwiek płynął.

Jondalar schwycił się burty i przesunął do przodu. Rozszerzonymi ze strachu i zdumienia oczami patrzył na szybko umykające do tyłu brzegi. Sięgnął po naprężoną w wodzie linę, a potem nią szarpnął myśląc, że może uwolni tym sposobem oścień. Ale w wyniku tego dziób zanurzył się tak bardzo, że łódź zaczęła nabierać wody. Jesiotr szamotał się, szarpiąc małą łódeczką to w przód, to w tył. Jondalar trzymał się liny, pochylając się raz w jedną, raz w drugą stronę.

Nie zauważył, kiedy minął wyręb, na którym budowano łodzie, i nie widział ludzi stojących na brzegu i wpatrujących się ze zdumieniem w pędzącą pod prąd łódź w ślad za ogromną rybą i w przechylnego na bok Jondalara, który trzymał obiema dłońmi linę, i szarpał się, aby wyrwać oścień.

– Widziałeś? – zapytał Thonolan. – Mój brat ma uciekającą rybę! Teraz już nic nie może mnie zdziwić. – Jego uśmiech przeszedł w rubaszny śmiech. – Widziałeś, jak uczepił się tej liny, próbując uwolnić rybę? – Klepnął się po udach, wybuchając śmiechem. – On nie złapał ryby, to ryba złapała jego!

– Thonolanie, to wcale nie jest zabawne – powiedział Markeno, z trudem zachowując powagę. – Twój brat ma kłopoty. – Wiem. Wiem. Ale popatrz na niego. Widziałeś, jak ryba holuje go pod prąd? Chyba nie powiesz, że to nie jest zabawne! Thonolan ponownie się roześmiał, ale pomógł Markeno i Barono spuścić łódź na wodę. Dolando i Carolio również do niej wsiedli. Odepchnęli łódź od brzegu i powiosłowali, jak mogli najszybciej, w górę rzeki. Jondalar miał kłopoty; groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo.

Jesiotr słabł. Tkwiący w jego ciele oścień powoli wyciągał z niego życie. Przyczyniała się do tego również ciągnięta łódź i



szarpiący linę człowiek. Tempo szaleńczej jazdy słabło. Dzięki temu Jondalar zyskał czas do namysłu – nadal bowiem nie miał kontroli nad tym, co się z nim działo. Był już daleko w górze rzeki; nie zapuścił się tak daleko od czasu pierwszej podróży łodzią podczas śniegu i przy wtórze wyjącego wichru. Nagle przyszło mu do głowy, by przeciąć linę. Nie było po co wlec się dalej w górę rzeki.

Puścił się burty i sięgnął po nóż. W chwili gdy wyciągał kamienne ostrze w rogowej oprawie, jesiotr w ostatnim śmiertelnym porywie spróbował pozbyć się bolesnego ościenia. Rzucił się i szarpał z taką siłą, że przy każdym ruchu oścień zagłębiał się w nim coraz bardziej. Wywrócona do góry dnem łódź nadal będzie pływała, ale napełniona wodą w normalnym położeniu poszłaby na dno. Jondalar starał się przeciąć linę, gdy tymczasem łódź podskakiwała i rzucała się na wszystkie strony. Z tego wszystkiego nie zauważył nasiąkniętej wodą kłody, niesionej pod wodą z prądem w jego kierunku, dopóki nie uderzyła w łódź, wytrącając mu z dłoni nóż.

Jondalar otrząsnął się szybko i próbował podciągnąć linę do góry, aby łódka nie zanurzała się tak niebezpiecznie w wodzie. W ostatnim desperackim wysiłku uwolnienia się, jesiotr rzucił się w kierunku brzegu i w końcu udało mu się wyrwać z ciała oścień. Było już jednak za późno. Resztki życia uleciały z niego przez rozerwany bok. Ogromny morski stwór opadł na dno rzeki, a potem wypłynął na powierzchnię brzuchem do góry. Jedynie drgawki przebiegające po powierzchni wody świadczyły o ogromnej walce, jaką stoczyła ta prastara ryba.

W miejscu, które ryba wybrała na swą śmierć, rzeka w swej długiej i krętej drodze zakręcała lekko, tworząc wir w wartkim przybrzeżnym nurcie. Jesiotr w ostatnim porywie sił zaciągnął

łódź w wirowy prąd przeciwny w pobliżu brzegu. Łódź, płynąc śladem zwiotczalej liny, podskakiwała i rzucała się na boki, uderzając w kłodę i rybę, które wybrały sobie miejsce spoczynku na linii spotkania dwóch przeciwnych prądów. W tej chwili spokoju Jondalar miał czas, aby uprzytomnić sobie, jakie miał szczęście, iż nie udało mu się przeciąć liny. Bez wiosła nie mógłby kontrolować łodzi, gdyby prąd porwał ją z biegiem rzeki. Brzeg był blisko; wąską kamienistą plażę obcinał za zakretem stromy brzeg. Rosnące na jego skraju drzewa wyciągały nagie korzenie, szukając oparcia w powietrzu. Może mógłby tam znaleźć coś, co zastąpiłoby mu wiosło. Wziął głęboki oddech i przygotował się do zanurzenia w zimną wodę, a potem opuścił się za burtę.

Było głębiej niż się spodziewał; zanurzył się razem z głową. Jego zejście wprowadziło łódź w ruch i popłynęła niesiona prądem rzeki; ryba przesunęła się bliżej brzegu. Jondalar zaczął płynąć za łodzią, próbując uchwycić linę, ale lekka łódka, ledwie muskając powierzchnię wody, obróciła się i pomknęła szybciej niż mógł płynąć.

Lodowata woda sprawiała, że zaczął drętwieć. Zawrócił w kierunku brzegu. Jesiotr obijał się o przybrzeżną mieliznę. Skierował się w jego stronę, schwycił za otwartą paszczę i pociągnął za sobą. Nie było powodu, aby rezygnować z ryby. Wyciągnął ją tylko częściowo z wody, była bardzo ciężka. Miał nadzieję, że woda jej nie porwie. Nie muszę szukać wiosła, pomyślał, nie mam łodzi, ale może mógłbym znaleźć trochę drewna na rozpalenie ogniska. Był przemoczony i zziębnięty.

Sięgnął po nóż i natrafił jedynie na pustą pochwę. Zapomniał, że go zgubił, a drugiego nie miał. Zwykle nosił zapasowe ostrze w woreczku u pasa, lecz tylko wtedy, gdy miał na sobie strój

Zelandonii. Ale nie zabierał z sobą woreczka, odkąd zaczął chodzić w odzieniu Ramudoi. – Może udałoby mi się znaleźć materiał na zrobienie podstawki i świderka do rozniecania ognia. Ale bez noża nie utniesz drewna, Jondalarze, powiedział do siebie, ani nie nastrugasz kory czy drzazg na podpałkę. Wstrząsnął nim dreszcz. Mogę jednak przynajmniej nazbierać trochę drewna.

Rozejrzał się dookoła. Z zarośli dobiegł go odgłos pospiesznej ucieczki. Ziemię pokrywało butwiejące drewno, liście i mech. Nigdzie nawet kawałka suchego kija. Można by nazbierać suchych gałązek, pomyślał, rozglądając się za iglastymi drzewami i wypatrując uczepionych pnia suszek, poniżej zielonych gałęzi. Ale nie znajdował się w iglastym lesie, takim jak ten w pobliżu jego domu. Klimat na tym obszarze był łagodniejszy; nie miał na niego tak dużego wpływu lodowiec z północy. Był chłodny – potrafił być nawet całkiem chłodny – ale wilgotny. To był las klimatu umiarkowanego, nie północnego. Rosły tu drzewa z gatunku tych, z jakich wyrabiano łodzie: drzewa o twardym drewnie.

Dookoła niego rozciągał się las dębów i buków, zdarzały się też graby i wierzby. Były to drzewa o grubych brązowych, pokrytych popękaną korą pniach lub smukłe o zielonej gładkiej korze, ale bez suchych gałązek u dołu. Była wiosna, gałęzie były więc napęczniałe sokiem i pełne pączków. A on już co nieco wiedział o rąbaniu tych twardych drzew. Nie było to łatwe, nawet za pomocą dobrej kamiennej siekiery. Znowu wstrząsnął nim dreszcz. Zęby mu szczękały. Zatarł dłonie, bił się rękoma, biegał w miejscu – próbując się ogrzać. Z zarośli dobiegły go odgłosy większego zamieszania. – Musiałem wystraszyć jakieś zwierzęta, pomyślał.

Do jego świadomości dotarła cała powaga sytuacji. Z pewnością zauważą jego nieobecność i wyruszą na poszukiwania. Thonolan chyba zauważy, że go nie ma? Ich ścieżki coraz rzadziej się krzyżowały, szczególnie odkąd bardziej przejął sposób życia Ramudoi, podczas gdy jego brat coraz bardziej przejmował zwyczaje Shamudoi. Nie wiedział nawet, gdzie jego brat był tego dnia, być może, polował na kozice.

W takim razie może Carlono. Czy wyruszyłby na poszukiwania? Obserwował, jak płynąłem w górę rzeki. – Nagle Jondalara przebiegł zimny dreszcz, ale innego rodzaju. Łódź! Uciekła. – Jeżeli znajdą pustą łódź, to pomyślą, że się utopiłem, rozmyślał. Po co mieliby wyruszać na poszukiwania, jeżeli sądziliby, że utonąłem? – Wysoki mężczyzna zaczął znowu podskakiwać, uderzać o siebie rękami, biegać w miejscu, ale nie mógł opanować dreszczy i ogarniało go zmęczenie.

Bez tchu opadł wreszcie na ziemię i zwinął się w kulkę, próbując zachować ciepło ciała, zęby mu szczękały, a ciałem wstrząsały silniejsze dreszcze. Ponownie usłyszał ruch w zaroślach, bliżej, ale nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem. Wtem coś pojawiło się w jego polu widzenia: dwie stopy – dwie nagie, brudne, ludzkie stopy.

Spojrzał ze zdumieniem w górę i pod wpływem nagłego szoku prawie przestał drżeć. Przed nim w zasięgu ręki stało dziecko o dużych brązowych oczach spoglądających na niego spod wystających łuków brwiowych. – Płaskogłowy! – pomyślał Jondalar. Młody płaskogłowy.

Wyczekiwał w pełnym napięcia zdumieniu, spodziewając się, że młode zwierzę schowa się z powrotem w zaroślach, gdy zostało dostrzeżone. Ale mały się nie poruszył. Stał i po kilku chwilach wzajemnego przypatrywania się, wykonał

przyzywający gest. A przynajmniej Jondalar miał wrażenie, że to był gest przyzywający. Płaskogłowy powtórzył gest i na próbę cofnął się o krok.

Czego on może chcieć? Czyżby chciał, abym z nim poszedł? – Na powtórny gest małego, Jondalar zrobił krok w jego kierunku przekonany, że stwór ucieknie. Ale dziecko jedynie cofnęło się o krok i ponownie na niego skinęło. Jondalar zaczął za nim iść. Z początku powoli, a potem coraz szybciej. Nadal trząsał się z zimna, ale był zafascynowany.

Po chwili chłopak odsunął na bok zasłonę z krzaków, za którą ukazała się polana. Na środku płonął mały, ledwie tłący się ogień. Samica podniosła głowę, zerwała się z miejsca i cofnęła na widok Jondalara zmierzającego w kierunku migotliwego ciepła. Przykucnął przed nim z wdzięcznością. Był świadom tego, że młody płaskogłowy i samica wzajemnie gestykują, wydając przy tym gardłowe dźwięki. Miał wrażenie, że porozumiewali się w ten sposób, ale bardziej był pochłonięty tym, aby się ogrzać. Żałował, że nie ma futra lub innego ciepłego okrycia.

Nie zwrócił uwagi na zniknięcie kobiety, lecz zaskoczyło go, gdy poczuł skórę opadającą na plecy. Nim pochyliła głowę i cofnęła się na czworakach, dostrzegł błysk jej ciemnych, brązowych oczu. Wyczuł czający się w nich strach.

Ubranie z miękkich kozłich skór nawet po zmoczeniu zachowywało pewne właściwości ocieplające. Otulony dodatkowo skórą i grzany ciepłem ognia, Jondalar przestał się w końcu trząść. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, gdzie był. Wielka Matko! To był obóz płaskogłowych. Trzymał dłonie wyciągnięte nad ciepłymi płomieniami, ale gdy dotarło do niego znaczenie tego ognia, cofnął je gwałtownie, jakby się oparzył.

Ogień! Oni używali ognia? Z wahaniem ponownie wyciągnął

dłoń do ognia, jakby nie dowierzał własnym oczom i musiał to potwierdzić za pomocą innych zmysłów. Potem przyjrzał się skórze, którą był otulony. Odszukał palcami jej skraj i potarł. Wilcza, zdecydował, i dobrze wyprawiona. Miękka; wewnętrzna strona jest zdumiewająco miękka. – Wątpię, aby Sharamudoi potrafili to zrobić lepiej. – Skóra nie sprawiała wrażenia przyciętej w jakiś określony sposób. Była to po prostu cała skóra dużego wilka.

W końcu ogrzał się na tyle, by stanąć, i odwrócić się plecami do ognia. Dostrzegł obserwującego go młodego samca. Nie był pewny skąd wiedział, że młody był samcem. Nie było to takie proste, ponieważ poniżej pasa miał okręconą skórę. Jego spojrzenie, choć ostrożne, nie było wystraszone, tak jak samicy. Jondalar przypomniał sobie, jak Losadunai mówił, że samice płaskogłowych nie walczyłyby. Po prostu się poddawały, żadna zabawa. A dlaczego ktokolwiek miałby mieć ochotę na samice płaskogłowych?

Przyglądając się dalej samcowi, Jondalar uznał, że nie był on taki młody, był bardziej młodzieńcem niż dzieckiem. Niski wzrost był zwodniczy, a okazałe mięśnie świadczyły o sile. Po dokładniejszym przyjrzeniu się dostrzegł również puszek pierwszego zarostu.

Młody samiec mruknął i samica pospieszyła do małej sterty drewna i przyniosła kilka kawałków do podsycenia ognia. Jondalar nigdy przedtem nie widział z bliska samicy płaskogłowych. Odwrócił w jej stronę głowę. – Była starsza, być może, matka tego młodszego, pomyślał. Sprawiała wrażenie zakłopotanej, nie chciała, aby na nią patrzył. Wycofała się z opuszczoną głową. Po dotarciu do małej polanki cofała się dalej, uciekając przed jego spojrzeniem. Nim się spostrzegł, wodząc za

nią wzrokiem, wykręcił niemal głowę do tyłu. Na moment odwrócił spojrzenie, a gdy się obejrzał, to samica była już tak skutecznie ukryta, że w pierwszym momencie nie mógł jej dostrzec. Gdyby nie wiedział, że tam jest, to w ogóle by jej nie zauważył.

Jest wystraszona. Jestem zaskoczony, że zamiast uciec, przyniosła drewno, tak jak jej kazał.

Kazał! Jak mógł jej to powiedzieć? Płaskogłowi nie mówią nie mógł jej powiedzieć, aby przyniosła drewno. – Zdaje się, że nie myślę zbyt jasno. – Pomimo całego wewnętrznego sprzeciwu, Jondalar nie mógł pozbyć się wrażenia, że młody samiec rzeczywiście kazał przynieść samicy drewno. W jakiś sposób jej to przekazał. Ponownie skierował swą uwagę na samca i poczuł, emanującą od niego, wyraźną wrogość. Nie wiedział, na czym polegała zmiana, ale wiedział, że młodemu samcowi nie podoba się to, że obserwował samicę. Był przekonany, że narazi się na poważne kłopoty, jeżeli zrobi choć krok w jej kierunku. To niezbyt rozsądne zwracać zbyt dużą uwagę na samice płaskogłowych, zdecydował, w obecności samca, wszystko jedno w jakim wieku.

Napięcie opadło, gdy Jondalar nie wykonał żadnych ruchów, i unikał patrzenia na samicę. Stojąc tak jednak twarzą w twarz z płaskogłowym, miał uczucie, jakby wzajemnie mierzyli się wzrokiem, a co bardziej niepokojące, jakby stał twarzą w twarz z człowiekiem. Wiedział, że ten człowiek nie jest podobny do innych. Ludzi, których spotykał w czasie wszystkich swoich podróży, bez trudu rozpoznawał jako istoty ludzkie. Mówili różnymi językami, mieli różne obyczaje, mieszkali w różnych schronieniach – ale byli istotami ludzkimi.

Ten był inny, ale czy był zwierzęciem? Był o wiele niższy i

bardziej krępy, lecz jego bose stopy nie różniły się od stóp Jondalara. Płaskogłowy miał lekko pałakowate nogi, ale chodził wyprostowany, z głową do góry jak każdy człowiek. Ma trochę bujniejsze od przeciętnego owłosienie, szczególnie na ramionach i barkach, pomyślał Jondalar, ale nie nazwałby tego futrem. Znał kilku mężczyzn, którzy mieli równie obfite owłosienie. Płaskogłowy choć jeszcze młody, miał już wypukłą, dobrze umięśnioną klatkę piersiową kogoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę. Ale nawet dorosłe samce, które widział, pomimo całej swej potężnej muskulatury, miały budowę ciała człowieka. Twarz, głowa, tym się różnili. Ale o ile się różnili? Miał grube łuki brwiowe, niskie, pochylone do tyłu czoło, lecz głowę miał dużą. Krótką szyję, brak brody, jedynie szczęki trochę wysunięte i duży, orli nos. To ludzka twarz, niepodobna do żadnej, jaką znał, lecz wygląda na ludzką. I używają ognia.

Ale nie mówią, a ludzie mówią. – Ciekaw jestem... czy się porozumiewają? Wielka Doni! On nawet porozumiał się ze mną! Jak domyślił się, że potrzebny mi ogień? I dlaczego płaskogłowy miałby pomagać człowiekowi? – Jondalar był zbity z tropu. Młody płaskogłowy prawdopodobnie uratował mu życie.

Wydawało się, że młody samiec podjął jakąś decyzję. Wykonał nagle ten sam gest, którym przywołał Jondalara do ogniska, a następnie opuścił polanę tą samą drogą, którą przyszli. Być może oczekiwał, iż człowiek za nim pójdzie. Jondalar poszedł. Po oddaleniu się od ogniska z zadowoleniem czuł ciepło wilczej skóry okrywającej wilgotne ubranie. Gdy zbliżyli się do rzeki, płaskogłowy wybiegł do przodu, pokrzykując ostro i machając rękoma. Spłoszył tym jakieś małe zwierzątko, które jednak zdążyło już zjeść kawałek jesiotra. Było oczywiste, że pomimo całej swej wielkości, nie pilnowana ryba szybko by zniknęła.



Złość, z jaką młody samiec odpędzał pozywające się zwierzątko, natchnęło Jondalara nagłym przecuciem. Czyżby to ryba była powodem, dla którego płaskogłowy mu pomógł? Czy chce trochę ryby?

Płaskogłowy sięgnął za fałdę okrywającą go skóry i wyciągnął kawałek krzemienia o ostrej krawędzi. Następnie wykonał ruch naśladujący krojenie jesiotra. Potem zrobił gest wskazujący, że trochę będzie dla niego, i trochę dla wysokiego mężczyzny, a potem zamarł w oczekiwaniu. Było jasne. Jondalar nie miał wątpliwości, że chłopak chciał kawałek ryby. Myśli zrodziły nowe pytania.

Skąd płaskogłowy zdobył narzędzie? Chciał mu się dokładniej przyjrzeć, ale i bez tego wiedział, że choć nie ma precyzji jego narzędzi – był wykonany z grubego kawałka, a nie z cienkiej płytki – był doskonale użytecznym ostrym nożem. Ktoś musiał go wykonać, nadać mu pożądany kształt. Ale inne kwestie bardziej niż narzędzie nie dawały Jondalarowi spokoju. Chłopak nie mówił, ale z całą pewnością potrafił się porozumiewać. Jondalar był ciekaw, czy potrafiłby równie prosto i łatwo wyrazić swe życzenia.

Płaskogłowy czekał. Jondalar skinął głową, niepewny, czy jego gest zostanie prawidłowo zrozumiany. Ale sens jego myśli został przekazany nie tylko gestem. Młody samiec bez wahania przystąpił do pracy.

Pod wpływem obserwacji jego poczynąń Zelandonii czuł coraz większy niepokój, który w końcu spowodował wydobycie głęboko skrywanych podejrzeń. Czym jest zwierzę? Zwierzę rzuciłoby się, aby zdobyć kawałek ryby. Bardziej inteligentne zwierzę mogłoby uznać człowieka za zagrożenie i poczekać, dopóki nie odejdzie albo nie umrze. Zwierzę nie domyśliłoby się,

że zziębniętemu człowiekowi potrzebne jest ciepło; nie miałyby rozpalonego ognia i nie zaprowadziłyby go do niego; nie “poprosiłyby”, aby podzielił się z nim swym jedzeniem. To było rozumne zachowanie; więcej, to było ludzkie zachowanie.

Cała struktura przekonań, którą miał we krwi, i wyssał z mlekiem matki, została nagle zachwiana. Płaskogłowi byli zwierzętami. Wszyscy mówią, że płaskogłowi są zwierzętami. Czy nie jest to oczywiste? Nie potrafią mówić. I to wszystko? Na tym polega cała różnica?

Jondalar nie miałby nic przeciwko temu, gdyby tamten zabrał całą rybę, ale był ciekaw, ile weźmie sobie płaskogłowy? I tak trzeba było ją pociąć, była za ciężka, aby ją ruszyć. Czterech mężczyzn miałyby trudności z jej podniesieniem.

Nagle płaskogłowy przestał go interesować. Serce mu załomotało. Czyżby coś słyszał?

– Jondalar! Jondalar!

Płaskogłowy wyglądał na przestraszonego. Jondalar począł przedzierać się pomiędzy drzewami, aby mieć lepszy widok na rzekę.

– Tutaj! Tutaj jestem, Thonolanie! – Brat wyruszył jednak na jego poszukiwanie. Zobaczył na środku rzeki łódź pełną ludzi i ponownie do nich krzyknął. Zobaczyli go, pomachali mu i powiosłowali w jego kierunku. Pełne napięcia mruknięcie zwróciło ponownie jego uwagę na płaskogłowego. Zobaczył, że ryba została podzielona na pół cięciem wzdłuż grzbietu i brzucha. Młody samiec przesunął połowę ogromnej ryby na rozłożoną obok dużą skórę. Potem zebrał wszystkie końce skóry i zarzucił sobie cały bagaż na plecy. Następnie zniknął w lesie z połową głowy i ogona wystającymi z ogromnego wora.

– Czekaj! – zawołał Jondalar, biegnąc w ślad za nim. Dogonił

go, gdy dochodził do polanki. Na jego widok samica, z ogromnym koszem na plecach, schowała się w cień. Nie było śladu, aby polanka była używana, nie było nawet śladu po ognisku. Gdyby sam nie doświadczył jego ciepła, to miałby wątpliwości, czy w ogóle był tu ogień.

Zdjął wilczą skórę z pleców i wyciągnął w jej stronę. Na mruknięcie samca, samica wzięła skórę, a potem oboje cicho weszli między drzewa i zniknęli.

Jondalar, wracając nad rzekę, poczuł chłód bijący od wilgotnego odzienia. Dotarł na miejsce, gdy łódź przybijała do brzegu, i uśmiechnął się na widok wychodzącego z niej brata. Padli sobie w ramiona w pełnym braterskiej miłości uścisku.

– Thonolan! Tak się cieszę, że cię widzę! Bałem się, że gdy znajdą pustą łódź, to wstrzymają poszukiwania, uznając mnie za zaginionego.

– Starszy bracie, ile razem przeszliśmy już rzek? Myślisz, że nie wiem, iż umiesz pływać? Po znalezieniu łodzi wiedzieliśmy przynajmniej, że musisz być gdzieś niedaleko w górze rzeki.

– Kto wziął połowę tej ryby? – zapytał Dolando.

– Oddałem ją.

– Oddał! Komu ją oddałeś? – zapytał Markeno.

– A komu mógłby ją dać? – dodała Carolio.

– Płaskogłowemu.

– Płaskogłowemu?! – zabrzmiało w odpowiedzi chóralne pytanie. – Dlaczego miałbyś oddawać połowę tak wielkiej ryby płaskogłowemu? – zapytał Dolando.

– Pomógł mi i poprosił o nią.

– Co za bzdury wygadujesz? Jak płaskogłowy może o cokolwiek prosić? – dopytywał się Dolando. Ku zaskoczeniu Jondalara był rozzłoszczony. Przywódca Sharamudoi rzadko

okazywał swój gniew. – Gdzie on jest?

– Już odszedł do lasu. Byłem przemoczony i tak trząsałem się z zimna, że myślałem, iż nigdy się nie ogrzeję. Wtedy pojawił się ten młody płaskogłowy i zaprowadził mnie do swego ogniska...

– Ognisko? A od kiedy to oni używają ognia? – zapytał Thonolan.

– Ja widziałem płaskogłowego z ogniem – powiedział Barono.

– Ja również widywałam już ich po tej stronie rzeki... z daleka – zauważyła Carolio.

– Nie wiedziałem, że wrócili. Ilu ich tu było? – zapytał Dolando.

– Tylko jeden młody i starsza samica. Może jego matka odparł Jondalar.

– Jeżeli mają z sobą samice, to jest ich tu więcej. – Krępy przywódca rozejrzał się po lesie. – Chyba powinniśmy zebrać grupę łowców i oczyścić okolicę z płaskogłowych.

Jondalara zastanowił nieprzyjemny ton Dolando. Już poprzednio w uwagach przywódcy na temat płaskogłowych było znać ślady tego tonu, ale nigdy nie był on tak jadowity.

Przywództwo u Sharamudoi było sprawą kompetencji i daru przekonywania. Dolando został uznany za przywódcę nie dlatego, że był we wszystkim najlepszy, ale ponieważ był kompetentny, umiejętnie zjednywał sobie ludzi i rozwiązywał powstające problemy. Nie rozkazywał; przypocholebiał się, przymilał, przekonywał i szedł na ugody. Generalnie rzecz biorąc, jego zadaniem było łagodzenie wszelkich nieporozumień, których nie można było uniknąć wśród żyjących razem ludzi. Był przebiegłym i skutecznym politykiem, a jego decyzje były zwykle akceptowane, choć nikt nie był zobowiązany ich słuchać, i czasami dochodziło do głośnych dyskusji.

Był wystarczająco pewny siebie, aby forsować swoje własne

sądy, jeżeli czuł, że miał rację. Ale w razie potrzeby potrafił też ustąpić komuś, kto miał większą wiedzę lub doświadczenie na określony temat. Starał się nie mieszać do osobistych kłótni, dopóki nie wymykały się spod kontroli, i ktoś nie wzywał go na pomoc. Choć ogólnie był obiektywny, to jednakże mogło go rozzłościć czyjeś okrucieństwo, głupota czy bezmyślność, która mogła zagrozić lub wyrządzić szkodę członkom jaskini jako całości lub komuś nie po trafiącemu się samodzielnie obronić. Złoscili go również płaskogłowi. Nienawidził ich. Dla niego nie byli tylko zwierzętami, ale groźnymi, złośliwymi bestiami, które powinny być wytępione.

– Byłem przemarznięty – zaprotestował Jondalar – a ten młody płaskogłowy mi pomógł. Zaprowadził mnie do ogniska i dał mi swoją skórę do okrycia. Co do mnie, to mógł sobie zabrać całą rybę, ale on wziął tylko połowę. Ja nie przyłączę się do żadnego polowania na płaskogłowych.

– Zwykle nie ma z nimi aż tyle kłopotu – powiedział Barono. – Ale lepiej wiedzieć, że są w okolicy. Są sprytni. Lepiej nie dać się zaskoczyć ich gromadzie...

– To krwiożercze bestie... – powiedział Dolando.

Barono zignorował jego uwagę.

– Prawdopodobnie miałeś szczęście, że to był młody z samicą. Samice nie walczą.

Thonolanowi nie podobał się kierunek, w który zmierzała rozmowa.

– Jak zabierzemy tę wspaniałą połowę zdobyczy mego brata do domu? – Przypomniał sobie o jeździe, jaką ryba zgotowała Jondalarowi, i przez twarz przemknął mu uśmiech. – Dziwię się, że oddałeś połowę ryby po walce, jaką z nią stoczyłeś.

Pozostali roześmiali się z ulgą.

– Czy to znaczy, że on teraz jest w połowie Ramudoi? – zapytał Markeno.

– Może moglibyśmy zabrać go na polowanie, aby zdobył pół kozicy – powiedział Thonolan. – Wtedy drugą połową mógłby być Shamudoi.

– A którą połowę chciałaby Serenio? – mrugnął Barono.

– Jego połowa, to więcej niż trzeba – zażartowała Carolio, a wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości, iż ta uwaga nie odnosiła się do jego wzrostu. Przy ciasno zamieszkałej jaskini nie uszły uwadze jego szczególne umiejętności. Jondalar się zaczerwienił, ale rubaszny śmiech ostatecznie rozładował napięcie spowodowane obawą o niego i reakcją Dolando na płaskogłowych.

Mężczyźni przynieśli sieć z bardzo wytrzymałych włókien i rozłożyli ją obok krwawiącej połowy jesiotra. Potem przy wtórce pomruków i z pewnym wysiłkiem przesunęli rybią tuszę na sieć, a następnie razem z nią do wody, gdzie przywiązali ją do rufy łodzi.

Podczas gdy pozostali ładowali rybę, Carolio przysunęła się do Jondalara i powiedziała cicho:

– Syn Roshario został zabity przez płaskogłowych. Był jeszcze młody, nie składał nawet Przyrzeczenia, był wesoły i odważny, był dumą Dolando. Nikt nie wie, jak to się stało, ale Dolando zwołał wtedy całą jaskinię na polowanie. Kilku płaskogłowych zabito. Potem reszta się wyniosła. Przedtem płaskogłowi nie obchodzili go wiele, ale od tamtego czasu...

Jondalar skinął ze zrozumieniem głową.

– Jak ten płaskogłowy odciągnął swoją połowę ryby? – zapytał Thonolan, gdy wsiadali do łodzi.

– Zarzucił ją sobie na plecy i zabrał – powiedział Jondalar.

- On? Zarzucił sobie na plecy i zabrał?
- Sam. A nie był jeszcze zupełnie dorosły.

Thonolan podszedł do drewnianego szałas, jaki jego brat dzielił z Serenio i Darvo. Był on zbudowany z desek opierających się na kalenicy opadającej skosem do ziemi. Budowla przypominała namiot zbudowany z drewna z trójkątną przednią ścianą, szerszą i wyższą od tylnej, co sprawiało, że ściany boczne miały kształt trapezów. Deski były połączone na tej samej zasadzie, jak burty łodzi – trochę grubsza krawędź nachodziła na cieńszą, z którą była szcepiona.

To były przytulne, przysadziste budowle, tak szczelne, że tylko w najstarszych światło przeświecało przez szpary w wyschniętym i wypaczonym drewnie. Ponieważ występ z piaskowca zabezpieczał je przed najgorszymi wpływami pogody, nie musiały być tak trwałe czy wodoszczelne jak łodzie. Ich wnętrze oświetlano za pomocą obłożonego kamieniami paleniska lub przez otwarcie przedniej ściany.

Młodzieniec zajrzał do środka, aby sprawdzić, czy jego brat nadal śpi.

– Wejdz – powiedział Jondalar, kichając. Siedział na okrytym futrami podwyższeniu do spania. Jeszcze więcej futer piętrzyło się dookoła niego. W dłoniach trzymał miseczkę z czymś parującym.

– Jak twoje przeziębienie? – zapytał Thonolan, siadając na brzegu podwyższenia.

– Jemu gorzej, ale mnie lepiej.

– Nikt nie pomyślał, że masz wilgotne rzeczy. Zanim wróciliśmy, wiatr wiejący w wąwozie rzeki zdążył cię solidnie przewiać.

– Cieszę się, że mnie znalazłeś.

– A ja naprawdę się cieszę, że czujesz się lepiej. – Thonolan był dziwnie małowówny. Pokręcił się niespokojnie, wstał i poszedł I a w kierunku wyjścia. Potem zawrócił i podszedł do brata. – Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Jondalar pokręcił głową i czekał. Coś trapiło jego brata i próbował to z siebie wyrzucić. Potrzebował jedynie czasu.

– Jondalar... – zaczął Thonolan, a potem przerwał. – Mieszkasz już z Serenio i jej synem od dłuższego czasu. – Przez chwilę Jondalar myślał, że brat ma zamiar mówić o luźnej formie ich związku, ale się mylił. – Jak to jest, gdy się ma własne ognisko domowe?

– Masz przecież partnerkę, masz ognisko domowe.

– Wiem, ale czy jest jakaś różnica, gdy się ma dziecko? Jetamio tak bardzo starała się mieć dziecko, a teraz... straciła kolejne.

– Przykro mi...

– Nie zależy mi na tym, by miała dziecko. Ja jedynie jej nie chcę stracić – powiedział Thonolan łamiącym się głosem. Chciałbym, aby przestała próbować.

– Nie sądzę, aby miała jakiś wybór. Matka daje...

– To dlaczego Matka nie pozwoli jej jednego zatrzymać! krzyknął Thonolan i wybiegł, wpadając po drodze na Serenio.

– Powiedział ci o Jetamio...? – zapytała Serenio. Jondalar skinął głową. – To udało jej się utrzymać dłużej, ale ciężiej zniosła jego stratę. Cieszę się, że jest szczęśliwa z Thonolanem. Zasługuje na to.

– Czy nic jej nie będzie?

– Nie pierwszy raz kobieta straciła dziecko. Nie martw się o nią – nic jej nie będzie. Widzę, że znalazłeś napój. To mięta, ogórecznik i lawenda. Mówię ci na wypadek, gdybyś chciał zgadywać. Shamud mówi, że to pomoże na twoje przeziębienie.



Jak się czujesz? Wróciłam, żeby zobaczyć, czy się już obudziłeś.

– Czuję się dobrze – powiedział. Uśmiechnął się, spróbował wyglądać na zdrowego.

– W takim razie chyba wrócę i posiedzę z Jetamio.

Po jej wyjściu odstawił miseczkę i znowu się położył. Nos miał zapchany i bolała go głowa. Nie bardzo wiedział, dlaczego, ale odpowiedź Serenio zaniepokoiła go. Nie chciał o tym więcej myśleć – to powodowało inny ból, gdzieś głęboko w jego wnętrzu. To musi być z tego przeziębienia, pomyślał.

## . 16 .



Wiosna rozwinęła się w lato, a wraz z nią rozwijały się i rosły owoce ziemi. Gdy dojrzały, kobieta zebrała je. Robiła to bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. Mogła oszczędzić sobie tych trudów. Już miała pod dostatkiem zapasów, z minionego roku została jej jeszcze żywność. Nie potrafiła jednak leniuchować. Nie miałyby czym wypełnić wolnego czasu.

Zimą nawet polowania nie zapewniały jej pod dostatkiem zajęcia, choć wygarbowała prawie wszystkie skóry z zabitych przez siebie zwierząt, z jednych robiąc futra, a z innych gładkie skóry. Pracowała też dalej nad wyplataniem koszyków, mat i karbowanych mis. Zgromadziła wystarczającą liczbę narzędzi, sprzętów i wyposażenia, aby zadowolić cały klan. Z niecierpliwością wyglądała więc zajęć związanych z letnim gromadzeniem zapasów żywności.

Z wielką niecierpliwością wyczekiwała również na letnie polowania. Stwierdziła, że sposób polowania z Maluszkim – z pewnymi przeróbkami, aby zastąpić brak konia – był nadal skuteczny za sprawą rosnących umiejętności lwa. Gdyby chciała, to mogłaby w ogóle zrezygnować z polowania. Nie tylko dlatego, że miała jeszcze zapas suszonego mięsa, ale także z tej przyczyny, że jeżeli Maluszkowi udawało się samodzielnie coś

upolować – a zdarzało się to coraz częściej – nie wahała się wziąć sobie części z jego łupu. Pomiedzy kobietą a lwem wytworzyły się wyjątkowe stosunki. Była matką, więc dominowała; była partnerką w polowaniu, a zatem była mu równa; a on był wszystkim, co kochała.

Obserwując żyjące dziko lwy, Ayla poczyniła kilka bystrych spostrzeżeń w zakresie ich zwyczajów łowieckich, które potem znalazły potwierdzenie w zachowaniu Maluszka. W czasie ciepłej pory roku lwy jaskiniowe wiodły życie podkradających się w nocy myśliwych, zimą zaś polowały w dzień. Chociaż Maluszek liniał na wiosnę, to nadal miał grube futro i w czasie gorących letnich dni było mu zbyt ciepło, aby polować. Energia, wyzwalana w czasie pościgu, mogłaby doprowadzić do przegrzania zwierzęcia. Maluszek ponad wszystko lubił spać, szczególnie w chłodzie ciemnych zakamarków jaskini. Zimą, gdy wiatry wiały z północnych lodowców, w nocy robiło się tak zimno, że nawet pomimo grubego futra można było zamarznąć na śmierć. Wtedy lwy jaskiniowe lubiły leżeć zwinięte w osłoniętej od wichrów jaskini. Były drapieżnikami mającymi zdolność adaptacji. Grubość i zabarwienie futra zmieniały się w zależności od klimatu, łowieckie zwyczaje dopasowywały do warunków tak długo, jak długo było po dostatkiem zwierzyny łownej.

Następnego ranka po odejściu Whinney, Ayla podjęła decyzję. Po obudzeniu się znalazła obok siebie smacznie śpiącego Maluszka z płowym, nakrapianym ciałem młodego jelenia olbrzymiego. Nie miała wątpliwości, że odejdzie stąd, ale jeszcze nie tego lata. Młody lew nadal jej potrzebował; był za młody, aby go zostawić samego. Żadne dzikie stado nie przyjęłoby go do siebie; przywódca stada zabiłby go. Dopóki nie dorośnie na tyle,

aby znaleźć sobie partnerkę, i założyć swoje własne stado, będzie potrzebował, jak i ona, bezpieczeństwa jej jaskini.

Iza mówiła, aby poszukała swego własnego rodzaju, aby znalazła sobie partnera. Pewnego dnia podejmie ponownie swoje poszukiwania. Ale poczuła ulgę, że nie będzie musiała już teraz rezygnować ze swojej wolności dla towarzystwa ludzi o nieznanym obyczajach. A choć nie chciała tego przyznać, miała również głębszy powód.

Nie chciała odejść, dopóki nie będzie pewna, że Whinney nie wróci. Bardzo tęskniła za koniem. Whinney była z nią od początku i Ayla ją kochała.

– No choć, leniuchu – powiedziała Ayla. – Pójdziemy się przejść i zobaczymy, czy nie da się czegoś upolować. Nie wychodziłeś ostatniej nocy. – Poszturchnęła lwa i wyszła z jaskini, dając mu znak, aby poszedł za nią. Lew uniósł łeb, szeroko ziewnął, pokazując ostre zęby, potem wstał i niechętnie powłókł się za Aylą. Maluszek nie był wcale głodny i większą ochotę miał raczej na sen.

Ayla poprzedniego dnia zbierała rośliny lecznicze i to zajęcie sprawiło jej wiele przyjemności, przywodząc zarazem na myśl miłe skojarzenia. Podczas dzieciństwa spędzonego w klanie – zbieranie ziół dla Izy dawało jej okazję unikania czujnych oczu i pełnych dezaprobaty spojrzeń, karcących za niewłaściwe zachowanie się. To zajęcie dawało jej trochę wytchnienia i pozwalało się oddawać jej wrodzonym skłonnościom. Później zbierała zioła z powodu radości, jaką jej sprawiało zdobywanie umiejętności uzdrowicielki, które teraz stawały się częścią jej natury.

Dla niej każda roślina miała ściśle określone właściwości lecznicze, potrafiła je rozpoznawać i doskonale знаła ich

zastosowanie. Napar z suchych kwiatów i liści rzepiku, którego wiązki wisały w ciepłym mroku jaskini, był używany przy stłuczeniach i wewnętrznych obrażeniach, podobnie jak smukłe byliny o ząbkowanych liściach i drobnych, żółtych kwiatkach.

Rozłożone na siatce do suszenia liście podbiału przynosiły ulgę przy astmie, jeżeli wdychało się dym powstały z ich palenia, i pomagały na kaszel jako napar wraz z innymi składnikami, stanowiły również miłą w smaku przyprawę. Składanie kości i leczenie ran przyszło jej na myśl, gdy spojrzała na duże, pokryte meszkiem liście żywokostu, które obok korzeni suszyły się na słońcu przed jaskinią. Kolorowe nagietki leczyły otwarte rany, wrzody i otarcia skóry. Rumianek pomagał w trawieniu i służył do przemywania ran. Płatki dzikiej róży, pływające w misce z wodą wystawioną na słońce, stanowiły pachnący płyn o ściągających właściwościach do przemywania skóry.

Wszystkie te zioła zebrała, aby uzupełnić zapasy. A chociaż nie miała wielkiej potrzeby gromadzenia pełnego zestawu leczniczych roślin, sprawiało jej to przyjemność i pozwalało doskonalić umiejętności. Wszędzie leżały liście, kwiaty, korzenie i kora, i nie było celu zbierać więcej – nie było już więcej miejsca. Nie miała nic do robienia i nudziła się.

Powędrowała na plażę, a potem obesza wystającą skałę i poszła wzdłuż krzaków porastających brzegi rzeki. Ogromny lew jaskiniowy włókł się obok niej, pomrukując przy tym hnga, hnga. Ayla wiedziała już, że te dźwięki były charakterystyczne dla niego. Inne lwy wydawały podobne dźwięki, choć wszystkie one pod pewnymi względami różniły się od siebie. Dzięki temu potrafiła nawet z dużej odległości rozpoznać głos Maluszka podobnie jak jego ryk, który zaczynał się zwykle głęboko w klatce piersiowej serią pomruków, a potem przechodził w donośny

basowy ryk, który dzwonił jej w uszach, jeżeli była zbyt blisko.

Ayla zatrzymała się przy głazie, który był zwykle ich miejscem odpoczynku. Nie miała wielkiej ochoty na polowanie, ale też nie bardzo wiedziała, co chciałyby robić. Maluszek ocierał się o nią, prosząc o pieszczoty. Podrapała go za uszami i po grzywie. Jego sierść miała ciemniejszy odcień niż zimą, choć nadal była płowa. Za to grzywa wyrosła mu ruda, w ciemnordzawym odcieniu zbliżonym do koloru czerwonej ochry. Lew uniósł łeb, aby mogła podrapać go pod brodą, mrużąc przy tym basowo z zadowolenia. Wyciągnęła rękę, żeby podrapać go z drugiej strony, i uświadomiła sobie nowy fakt. Jego grzbiet sięgał jej prawie do ramienia. Wzrostem dorównywał niemal Whinney, ale był bardziej masywny. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak wyrósł.

Lwy jaskiniowe, zamieszkujące stepy tej zimnej, ograniczonej lodowcem krainy, żyły w środowisku idealnie pasującym do ich stylu polowania. Ten trawiasty kontynent roił się od wielkiej liczby różnorodnych ofiar. Wiele z tych zwierząt miało ogromne rozmiary – żubry i bydlę było jeszcze raz tak duże jak ich późniejsi następcy; jelenie olbrzymie, których kozły miały jedenaście stóp wzrostu; włochate mamuty i włochate nosorożce. Warunki bytowania sprzyjały temu, aby przynajmniej jeden z drapieżnych gatunków osiągnął rozmiary pozwalające mu polować na tak ogromne zwierzęta. Lew jaskiniowy zajął to miejsce i swoją rolę odgrywał znakomicie. W porównaniu z nim lwy ostatniego pokolenia były o połowę mniejsze i drobniejsze. Lew jaskiniowy był największym kotem, jaki kiedykolwiek żył.

Maluszek – ogromny, silny, o połyskującej młodzieńczym zdrowiem sierści i pełen wigoru przedstawiciel tego drapieżnego gatunku – stał grzecznie, rozkoszując się drapaniem przez młodą

kobietę. Była bezbronna w razie jego ataku, ale nigdy jeszcze nie przemknęło jej nawet przez myśl, że mógłby stanowić dla niej zagrożenie; w jej oczach był niewiele groźniejszy od przerośniętego kociaka – i to stanowiło jej obronę.

Nieświadomie sprawowała nad nim kontrolę, a on to akceptował. Maluszek unosił i przekręcał łeb, wskazując Ayli, gdzie ma drapać, i poddając się rozkoszy, jaką sprawiało to jego zmysłom, ona zaś czerpała przyjemność z tego, że jemu było przyjemnie. Weszła na głaz, aby dosięgnąć lwa z drugiej strony, i oparła się na jego grzbiecie, wtem przyszło jej coś do głowy. Nie zastanawiając się, po prostu, przełożyła drugą nogę i wdrapała się na jego grzbiet, tak jak to często czyniła z Whinney.

Lew nie spodziewał się tego, ale ramiona obejmujące jego szyję były mu znajome, a ciężar niewielki. Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło. W czasie wspólnych polowań Ayła zastąpiła sygnał dawany procą przez ruch ramienia, poparty jej głosem, który był odpowiednikiem słowa “naprzód”. Przypomniała sobie o tym i bez wahania dała sygnał oraz krzyknęła słowo.

Maluszek skoczył do przodu, a ona czując pod sobą pracę jego mięśni, uchwyciła się grzywy. Lew z gracją właściwą swemu rodzajowi pognał w głąb doliny, niosąc na grzbiecie kobietę. Ayła przymrużyła oczy. Za nią powiewały pasemka włosów, które wymknęły się z warkoczy. Nie miała kontroli nad kotem. Nie kierowała Maluszką, tak jak kierowała Whinney – jechała tam, dokąd ją zabrał, i czyniła to chętnie, czując przy tym ogromną radość.

Ten szalony pęd, podobnie jak w czasie ataku, nie trwał jednak długo. Lew zwolnił, zatoczył szerokie koło i zawrócił susami do jaskini. Z kobietą na swym grzbiecie, wspiał się po stromej

ścieżce i zatrzymał przy posłaniu. Ayla ześliznęła się na ziemię i przytuliła go, nie wiedząc, jak inaczej mogłaby wyrazić swe głębokie, niewymowne wzruszenie. Gdy w końcu zwolniła uścisk, lew machnął ogonem i powędrował w głąb jaskini. Odszukał swoje ulubione miejsce, wyciągnął się i bardzo szybko zasnął.

Ayla przyglądała mu się z uśmiechem. – Przewiozłeś mnie i masz dość na cały dzień, tak? Maluszkule, teraz możesz sobie spać, ile tylko chcesz.

Im bliżej było końca lata, tym więcej czasu Maluszek spędzał poza jaskinią na polowaniu. Ayla odchodziła od zmysłów z niepokoju i obawy, gdy po raz pierwszy oddalił się na dłużej niż na jeden dzień. Następnej nocy nie mogła zasnąć. Gdy się w końcu pojawił następnego ranka, była równie zmęczona i wyczerpana jak on. Nie przyniósł z sobą zdobyczy, a gdy dała mu kawałek suszonego mięsa z zapasów, rzucił się na nie, choć zwykle bawił się tylko tymi kruchymi paskami. Pomimo całego swego zmęczenia, Ayla wyszła z procą i przyniosła dwa zajęcia. Lew się obudził i podbiegł do wejścia, aby ją przywitać. Potem zabrał jednego zajęcia do swojego legowiska w głębi jaskini. Ayla wniosła drugiego do środka i poszła prosto do swego posłania.

Gdy następnym razem odszedł na trzy dni, nie martwiła się już tak bardzo – ale w miarę upływu samotnych dni zaczynało jej się robić coraz ciężiej na sercu. Lew wrócił ze szramami i zadrapaniami. Wiedziała, że walczył z innymi lwami. Przypuszczała, że był już wystarczająco dorosły, aby zacząć zwracać uwagę na samice. W przeciwieństwie do koni lwy nie miały specjalnego okresu na parzenie się; mogły to robić o każdej porze roku.

Mijała jesień. Lew częściej był długo nieobecny, a po powrocie



zwykle kładł się spać. Ayla była pewna, że sypiał również gdzie indziej, ale nigdzie nie czuł się tak bezpieczny, jak tu, w jaskini. Nigdy nie wiedziała, kiedy można się go spodziewać ani z jakiego nadejście kierunku. Po prostu pojawiał się, wlokąc się wąską ścieżką z plaży lub zeskakiwał nagle na skalny taras przed jaskinią z rozciągających się powyżej stepów.

Zawsze witała go z radością, a on odpowiadał jej zawsze pełnym czułości powitaniem – czasami nawet trochę zbyt czułym. Szybko dawała mu sygnał “przestań”, gdy skakał na nią, kładł jej na plecach przednie łapy i przewracał na ziemię ze zbyt wielkim entuzjazmem.

Zwykle zostawał kilka dni; czasami razem polowali, a on nadal od czasu do czasu przynosił swoje zdobycze do jaskini. Potem znowu stawał się niespokojny. Była pewna, że Maluszek polował dla siebie i bronił swej zdobyczy przez hienami, wilkami czy padlinożernymi ptakami, które mogły próbować mu ją wykraść. Wiedziała już, że gdy zaczynał nerwowo spacerować, to mogła się spodziewać, iż wkrótce znowu odejdzie. Jaskinia wydawała się taka pusta bez lwa, że Ayla zaczęła się lękać nadchodzącej zimy. Obawiała się, że to będzie samotna zima.

Jesień była tego roku nietypowa – ciepła i sucha. Liście pożółkły, potem zbrązowiały, nie przybierając jaskrawszego ubarwienia, jakie niosło z sobą tchnienie mrozu. Wisiały na drzewach w brązowawych kępkach, które szeleściły na wietrze długo po czasie, w którym zwykle już zaścielały ziemię. Ta osobliwa pogoda budziła niepokój. Jesień powinna być wilgotna i chłodna, pełna porywistych wiatrów i nagłych ulew. Ayla nie mogła się pozbyć niepokojącego uczucia, że lato będzie trwało aż do nagłego i gwałtownego ataku zimy.

Każdego ranka wychodziła na dwór, spodziewając się

raptownej zmiany pogody, i czuła niemal zawód, widząc ciepłe słońce wschodzące na zdumiewająco czystym niebie. Wieczory spędzała na półce przed jaskinią, obserwując jak słońce znika za horyzontem i zostawia po sobie jedynie przyćmioną, czerwoną poświatę zamiast wspaniałego przedstawienia barw na ciężkich od deszczu chmurach. Potem zaczynały się pojawiać gwiazdy i wypełniały swym mnogim mruganiem ciemność tak, że niebo sprawiało wrażenie rozbitego na kawałki.

Przez kilka dni pozostawała w pobliżu doliny, ale gdy kolejny dzień wstał ciepły i pogodny, uznała, że głupotą byłoby marnować tak piękną pogodę, nie wykorzystując jej na jakiś wypad. Zima nadejdzie dostatecznie szybko, aby uwięzić ją samotnie w jaskini.

Szkoda, że Maluszka tu nie ma, pomyślała. To będzie dobry dzień na polowanie. Może powinnam sama zapolować? – Ujęła dzidę. – Nie. Bez Whinney i Maluszka muszę znaleźć inny sposób na polowanie. Wezmę tylko procę. Zastanawiam się, czy powinnam zabrać skórę? Jest tak ciepło, zapociłabym się w niej. Mogłabym ją nieść, może zabrać kosz? Ale niczego mi nie potrzeba, mam więcej niż potrzebuję. Mam jedynie ochotę na długi, miły spacer. Nie muszę w tym celu zabierać kosza ani skóry. Żwawy marsz dostatecznie mnie rozgrzeje.

Ayla ruszyła w dół stromą ścieżką, czując się dziwnie swobodnie. Nie miała ciężarów do noszenia, zwierząt, o które musiała dbać, a miała za to dobrze zaopatrzoną jaskinię. Musiała się martwić jedynie o siebie, choć wolałaby, aby było inaczej. Poczucie kompletnego braku odpowiedzialności za kogokolwiek wywoływało u niej mieszane uczucia: poczucie wolności, do której nie przywykła, i dziwnego zawodu.

Dotarła do łąki i wspięła się po łagodnym stoku na

rozciągające się na wschodzie stepy. Potem przyspieszyła kroku. Nie myślała, by iść w jakimś określonym kierunku czy celu i szła tam, dokąd akurat poniosły ją nogi. Wygląd stepów jeszcze bardziej podkreślał panującą tego roku suszę. Trawa była tak wyschnięta, że gdy Ayla brała do ręki kruche źdźbło i zgniatała je, to rozpadało się w proch. Wiatr zmiatał go z jej otwartej dłoni.

Grunt pod stopami był stwardniały na kamień i popękany w szachownicę. Musiała uważać, gdzie stawia nogi, aby nie stanąć na grudy ziemi lub nie wykręcić kostki w dziurze czy szczelinie. Nigdy nie widziała tak suchej ziemi. Zabrała z sobą napełniony wodą tylko mały worek, spodziewając się, że napełni go po drodze w znajomych strumieniach, ale kilka z nich było wyschniętych. Ranek nie minął jeszcze, a worek na wodę był w połowie pusty.

W następnym strumieniu zobaczyła jedynie błoto, choć szła do niego, wierząc, że znajdzie w nim wodę. To przeważało szalę. Postanowiła zawrócić. W nadziei, że uda jej się jednak napełnić worek, poszła kawałek wzdłuż wyschniętego koryta i natknęła się na błotnistą kałużę, wszystko co pozostało z głębokiego wodopoju. Pochyliła się, aby spróbować, czy woda z niej nadaje się do picia, i zauważyła świeże ślady kopyt. Najwyraźniej było tu niedawno stado koni. Jeden ze śladów zwrócił jej szczególną uwagę. Była doświadczonym tropicielem i, choć nie czyniła tego świadomie, to częste oglądanie śladów kopyt Whinney pozwalało jej zauważyć drobne różnice w kształcie i nacisku, które były charakterystyczne jedynie dla niej. Była pewna, że Whinney tu była, i to niedawno; musi być jeszcze w pobliżu. Ayli serce zabiło mocniej.

Nie było trudno znaleźć trop. Obsunięty brzeg szczeliny, w którą ześliznęło się kopyto, gdy konie wychodziły z błota, świeżo

zgubione błoto, przygięta trawa – wszystko wskazywało drogę, którą szły konie. Ayla szła tym śladem z zapartym z podniecenia tchem; nawet nieruchome powietrze zdawało się wstrzymywać oddech w oczekiwaniu. Minęło już tyle czasu – czy Whinney będzie ją pamiętać? Wystarczy, jeżeli Ayla się dowie, że klacz żyje.

Stado było dalej niż myślała. Coś je goniło, zmuszając do galopu przez równinę. Słyszała prykanie i zgiełk, nim jeszcze doszła do posilającej się sfory wilków. Powinna była zawrócić. Ale musiała podejść bliżej, aby się upewnić, że pożerany zwierzęciem nie była Whinney. Widok ciemnobrązowej sierści przyniósł jej ulgę. Ale to był ten sam, rzadko spotykany kolor sierści, jaki miał ogier, i Ayla była pewna, że zabity koń był z tego samego stada.

Szła dalej tropem stada i myślała o koniach, i o tym, jak łatwo było je zaatakować. Whinney była młoda i silna, ale wszystko mogło się zdarzyć. Chciała zabrać z powrotem z sobą młodą klacz.

Dobiegało już prawie południe, gdy w końcu ujrzała konie. Nadal były nerwowe po niedawnej ucieczce, a Ayla stała z wiatrem. Gdy tylko wyczuły jej zapach, natychmiast ruszyły. Kobieta musiała zatoczyć szerokie koło, aby zejść je pod wiatr. Rozpoznała Whinney, gdy znalazła się wystarczająco blisko, żeby widzieć poszczególne konie. Serce zaczęło jej łomotać. Przełknęła z trudem ślinę, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy.

Wygląda zdrowo, pomyślała Ayla. Gruba. Nie, nie jest gruba. Zdaje się, że jest w ciąży! – Och, Whinney, to cudowne! – Ayla była tak ucieszona, że z trudem panowała nad swymi uczuciami; musiała sprawdzić, czy koń ją pamiętał. Zagwizdała.

Whinney natychmiast podniosła łeb i spojrzała w kierunku

Ayli. Kobieta zagwizdała ponownie i koń ruszył w jej stronę. Ayła nie potrafiła czekać; pobiegła na spotkanie bułanego konia. Nagle pomiędzy nie wgalopowała jasnobułana klacz i uszczypnęła Whinney w bok, odpędzając ją. Potem otoczyła ją reszta stada i przewodząca klacz powiodła konie z dala od nieznajomej i, być może, niebezpiecznej kobiety.

Ayła była boleśnie rozczarowana. Nie mogła nadal iść za stadem. Już była dalej od doliny, niż planowała, a do tego stado poruszało się w razie potrzeby o wiele szybciej od niej. Jeżeli miała zamiar wrócić przed zapadnięciem zmroku, to powinna się pospieszyć. Zagwizdała raz jeszcze, głośno i przeciągle, ale wiedziała, że było za późno. Zawróciła przygnębiona, naciągnęła wyżej na plecy skórzane okrycie i pochyliła głowę, chroniąc się przed podmuchami zimnego wiatru.

Była tak zniechęcona, że nie zwracała uwagi na nic poza własnym smutkiem i rozczarowaniem. Ostrzegawcze warknięcie sprowadziło ją na ziemię. Weszła pomiędzy sforę wilków o umazanych krwią pyskach, wżerających się w gniadego konia.

Powinnam uważać, dokąd idę, pomyślała, wycofując się. To moja wina. Jeżeli bym nie była taka niecierpliwa, to ta klacz może nie zabrałaby ode mnie swego stada. – Ponownie spojrzała na powalone zwierzę, obchodząc dookoła miejsce posiłku wilków. Ma tak brązową sierść jak ogier ze stada Whinney. Przyjrzała mu się dokładniej. Budowa łba, umaszczenie, sylwetka napełniły ją dreszczem. To był gniady ogier! Jak ogier w tak znakomitej kondycji mógł paść ofiarą wilków?

Odpowiedź poznała, gdy ujrzała lewą przednią nogę wygiętą w nienormalny sposób. Nawet wspaniały młody ogier mógł złamać nogę, gnając po zdradzieckim terenie. Na skutek głębokiej szczeliny w suchym gruncie wilki skosztowały smaku

przedniego ogiera. Ayla pokręciła głową. – To bardzo źle, pomyślała. Miałby jeszcze przed sobą wiele dobrych lat. Odwróciła się od wilków i nagle zdała sobie w pełni sprawę z własnego niebezpieczeństwa.

Na czystym o poranku niebie kłębiły się teraz groźne chmury. Wysokie ciśnienie, które powstrzymywało nadejście zimy spadło i do natarcia ruszył zimny front. Wiatr przyginał suche trawy i porywał w powietrze ich kawałki. Temperatura szybko spadała. Czowała już nadciągający śnieg, a była daleko od swojej jaskini. Rozejrzała się dookoła, ustalając kierunek, a potem puściła się biegiem. To będzie wyścig, zobaczymy, czy zdążę wrócić, nim rozpocznie się burza.

Nie miała szansy. Była więcej niż pół dnia szybkiego marszu od doliny, a zima już i tak zbyt długo czekała. Duże, wilgotne płatki śniegu zaczęły padać, gdy dotarła do wyschniętego strumienia. Wiatr podrywał je ponownie i zamieniał w lodowe igiełki, unoszone podmuchami przybierającej na sile śnieżycy. Na podkładzie z mokrego śniegu tworzyły się zaspasy. Wirujące wiatry, powstałe na skrzyżowaniu przemieszczających się mas powietrza, spychały ją raz po raz z obranego kierunku.

Wiedziała, że jej jedyną nadzieją było nie przerywać marszu, ale nie była pewna, czy nadal idzie w dobrą stronę. Punkty, zapewniające jej orientację w terenie, przesłaniała śnieżycy. Ayla się zatrzymała, próbując wyczuć, gdzie się znajduje, i starając się opanować ogarniające ją uczucie paniki. Jakaż była głupia, że wyruszyła w drogę bez skóry. Mogła zabrać z sobą w koszu namiot, wtedy miałyby przynajmniej schronienie. Uszy jej marzły, stopy kostniały, a zęby szczękały. Była zziębnięta. Słyszała wycie wichru.

Wsluchiwała się ponownie. To nie był chyba wiatr? Znowu to

słyszała. Złożyła dłonie przy ustach, zagwizdała, jak mogła najgłośniej i słuchała.

Głośnie rżenie konia odezwało się bliżej. Zagwizdała jeszcze raz i wtedy, niczym widmo, wyłonił się z zamieci bułany koń. Ayla pobiegła do niego, a łzy zamarzały jej na policzkach.

– Whinney, Whinney, och, Whinney! – Wykrzykiwała w kółko imię konia, obejmując ramionami jej krzepką szyję i wtulając twarz w kosmatą, zimową sierść. Potem wdrapała się na konia i pochyliła nisko nad jej karkiem, aby jak najbardziej się ogrzać.

Koń wiedziony własnym instynktem ruszył w kierunku jaskini. To było miejsce, do którego wracał. Niespodziewana śmierć ogiera wzbudziła w stadzie niepokój. Przewodząca klacz trzymała je razem, wiedząc, że w końcu znajdzie się inny ogier. Zatrzymałaby również przy sobie i bułanego konia, gdyby ten nie usłyszał znajomego gwizdu, który przywiódł wspomnienie kobiety i bezpieczeństwa. Na klacz, która nie wychowała się w stadzie, przewodzący koń miał mniejszy wpływ. Gdy rozszalała się zamieć, Whinney przypomniała sobie jaskinię, która chroniła ją przed srogimi wiatrami i oślepiającym śniegiem, a także uczucie, jakim darzyła ją kobieta.

W końcu dotarły do jaskini, ale Ayla trzęsała się tak bardzo, że ledwie mogła rozpalić ogień. Gdy wreszcie jej się to udało, nie przykucnęła przy nim, ale zebrała wszystkie swoje skóry do spania, zaniósła je obok Whinney i zwinęła się przy ciepłym koniu.

Jednakże przez następne dni z ledwością sobie zdawała sprawę z powrotu ukochanego przyjaciela. Obudziła się z gorączką i głębokim kaszlem. Żyła o ciepłym leczniczym naparze, jeżeli tylko pamiętała, aby się podnieść i go zrobić. Whinney uratowała jej życie, ale koń nie mógł jej pomóc w wyleczeniu

zapalenia płuc.

Przez większość czasu Ayla była słaba i majaczyła. Wyrwał ją z tego stanu jedynie powrót Maluszka i jego ponowne spotkanie z Whinney. Lew zeskoczył z brzegu stepu, ale zatrzymał się w wejściu jaskini na dźwięk donośnego rżenia Whinney. Krzyk strachu i obrony wyrwał Aylę z odrętwienia. Zobaczyła konia, który tańczył nerwowo z położonymi ze strachu uszami, i lwa jaskiniowego, gotującego się do skoku z obnażonymi zębami i pomrukującego nisko. Poderwała się z posłania i wbiegła pomiędzy drapieżnika a jego ofiarę.

– Przestań, Maluszk! Straszysz Whinney. Powinieneś się cieszyć, że wróciła. – Następnie Ayla zwróciła się do konia. Whinney! To tylko Maluszek. Nie musisz się go bać. Natychmiast oboje przestańcie – krzyknęła. Wierzyła, że nie było żadnego niebezpieczeństwa; oba zwierzęta wychowały się razem w jaskini i oba do niej należały.

Zapachy jaskini były dla obu zwierząt znajome, szczególnie zapachy kobiety. Maluszek rzucił się Ayli na powitanie i ocierał się o nią. Whinney też podeszła, wyciągając pysk po swą porcję pieszczot. Wtem koń zarżał, ale nie ze strachu czy gniewu, ale tak, jak czynił to, gdy opiekował się małym lwiątkiem. Lew jaskiniowy rozpoznał swoją niańkę.

– Mówiłam ci, że to tylko Maluszek – powiedziała do konia, a potem złapał ją atak kaszlu.

Podsycając ogień, Ayla sięgnęła po worek na wodę i stwierdziła, że jest pusty. Okręciła się więc futrem i wyszła na dwór, aby nabrać miskę śniegu. Potem czekała aż woda się zagotuje i próbowała w tym czasie opanować kaszel, dobywający się z głębi piersi i rozrywający jej gardło. W końcu dzięki wywarowi z korzeni omanu wielkiego i kory dzikiej czereśni



kaszel uspokoił się i Ayla wróciła na posłanie. Maluszek umościł się w odległym kącie jaskini, a Whinney odpoczywała na swym miejscu pod ścianą.

Ostatecznie wrodzona żywotność i wytrzymałość Ayli zwyciężyła chorobę, ale wiele czasu zajęło jej odzyskanie dawnych sił. Nie posiadała się z radości, iż jej zwierzęca rodzina jest znowu razem, choć nie była już całkowicie taka sama jak przedtem. Oba zwierzęta się zmieniły. Whinney była żrebna, i żyła jakiś czas z dzikim stadem, które wiedziało o grożącym ze strony drapieżników niebezpieczeństwie. Z większą rezerwą podchodziła teraz do lwa, z którym się dawniej bawiła, a i Maluszek nie był już dłużej zabawnym, małym kociakiem. Wkrótce, gdy tylko ucichła zamieć, ponownie opuścił jaskinię. Zima rozgościła się już na dobre, a on wracał coraz rzadziej.

Napady męczącego kaszlu nachodziły Aylę aż do późnej zimy. Troszczyła się o siebie. Dbała również o konia, karmiąc go przesianym dla siebie ziarnem i odbywając jedynie krótkie przejażdżki. Ale pewnego dnia, gdy ranek wstał chłodny i pogodny a ona obudziła się pełna energii, uznała, że dobrze im zrobi odrobina ruchu.

Umocowała na koniu kosze, zabrała długie dzidy i drągi, z których robiła nosze, zapas żywności, dodatkowe worki na wodę i ubranie, a także nosidła i namiot – wszystko, co mogło jej się przydać w krytycznej sytuacji. Nie chciała znowu się zaziębić. Poi przednio jej lekkomyślne zachowanie się o mało nie kosztowało jej życia. Nim dosiadła konia, okryła mu grzbiet miękką skórą. Nie jeździła już tak dawno, że skóra na udach popękała jej i pocierała się. Skórzana narzuta czyniła jazdę znośniejszą.

Odkąd przestał ją męczyć okropny kaszel, Ayla z prawdziwą przyjemnością przebywała poza jaskinią i cieszyła się poczuciem

zdrowia. Po dotarciu do stepów pozwoliła, by koń szedł własnym krokiem. Jechała wygodnie, marząc o końcu zimy, gdy nagle poczuła skurcz napięcia w mięśniach Whinney. Zwróciło to jej uwagę. Coś poruszało się w ich stronę, coś, co skradało się jak drapieżnik. Whinney była teraz bardziej wrażliwa – zbliżał się czas jej po rodu. Ayla sięgnęła po dzidę, choć nigdy przedtem nie próbowała zabić lwa jaskiniowego.

Zwierzę podeszło bliżej i wtedy Ayla spostrzegła jego rudawą grzywę i znajome zadrapanie na nosie. Zsunęła się z konia i pobiegła w kierunku ogromnego drapieżnika.

– Maluszek! Gdzie ty się podziewałeś? Przecież wiesz, że się niepokoję, gdy cię zbyt długo nie ma.

On również zdawał się cieszyć ze spotkania i przywitał ją tak czułym ocieraniem nosa, że niemal ją przewrócił na ziemię. Objęła go za szyję i zaczęła drapać w ulubiony sposób, za uszami i pod brodą. Lew zaś mrucał basowo z zadowolenia.

Wtem usłyszała rozpoznawcze mruknięcie innego lwa znajdującego się w pobliżu. Maluszek przestał mruścić i zastygł w pozie, której nigdy przedtem u niego nie widziała. Zza jego pleców zbliżała się ostrożnie lwica. Zatrzymała się na dźwięk głosu Maluszka.

– Znalazłeś sobie partnerkę! Wiedziałałam, że tak będzie wiedziałałam, że pewnego dnia będziesz miał swoje własne stado. Ayla poszukała wzrokiem innych lwic. – Jak na razie tylko jedna; pewnie też była samotna. Będziesz musiał walczyć o własne terytorium, ale to dopiero początek. Pewnego dnia będziesz miał wspaniałe, duże stado, Maluszk.

Lew nieco się uspokoił, znowu do niej podszedł, dotykając ją łbem. Podrapała go po czole i przytuliła się mocno na koniec. Whinney jest bardzo niespokojna, zauważyła. Zapach Maluszka

był, co prawda, znajomy ale denerwował ją zapach obcej lwicy. Ayla dosiadła klaczy, a gdy Maluszek ponownie się zbliżył, dała mu sygnał “przestań”. Stał jeszcze chwilę, a potem zawrócił. Pomrukując hnga, hnga, Maluszek odszedł za swoją partnerką.

Teraz odszedł na dobre, aby żyć razem ze swym własnym rodzajem, myślała w drodze powrotnej. Może mnie odwiedzać, ale nigdy nie wróci już tak, jak to uczyniła Whinney. – Kobieta wyciągnęła rękę i poklepała czule klacz. – Tak się cieszę, że wróciłaś, pomyślała.

Widok Maluszka z jego lwicą przypomniał młodej kobiecie o jej własnej niepewnej przyszłości. Maluszek miał teraz partnerkę. Ty też miałaś partnera, Whinney. Ciekawe, czy i ja kiedykolwiek będę miała partnera?

## .17.



Jondalar wyszedł spod występu z piaskowca i spojrzał na zaśnieżony skalny taras, urywający się nagle nad przepaścią. Pomiedzy wysokimi ścianami było widać białe, wygładzone przez erozję wzgórza po drugiej stronie rzeki. Davro zamachał w jego stronę. Chłopak czekał obok pniaka pod ścianą. Jondalar celowo wybrał to leżące na uboczu miejsce na obróbkę krzemienia, ponieważ znajdowało się na otwartej przestrzeni, co zapewniało lepsze oświetlenie, a poza tym nie kręciło się tu zbyt wielu ludzi, dzięki czemu była mniejsza szansa, że ktoś stanie na ostrym kawałku. Jondalar ruszył w kierunku chłopca.

– Jondalar, poczekaj chwilę.

Jondalar się uśmiechnął i zaczekał na brata, a potem pomaszerowali razem przez ubity śnieg.

– Obiecałem Davro, że pokażę mu dziś rano kilka szczególnych sposobów obróbki krzemienia. Jak się ma Shamio? – zapytał Jondalar.

– Dobrze, już wychodzi z przeziębienia. Przestraszyła nas jej kaszel nie dawał spać nawet Jetamio. Zastanawialiśmy się nad powiększeniem naszego szałasu przed nadejściem zimy.

Jondalar przyjrzał się bratu, zastanawiając się, czy odpowiedzialność za partnerkę i powiększającą się rodzinę nie

przytłacza zbytnio jego beztroskiej natury. Ale Thonolan sprawiał wrażenie zadowolonego z ustatkowania się. Po chwili rozpromienił się w radosnym uśmiechu.

– Starszy bracie, muszę ci coś powiedzieć. Czy zauważyłeś, że Jetamio nieco przytyła? Myślałem, że po prostu zaczyna nabierać zdrowego wyglądu. Myliłem się. Ona znowu jest w błogosławionym stanie.

– To cudownie! Wiem, jak bardzo pragnie dziecka.

– Wiedziała już o tym od dawna, ale nie chciała mi mówić. Obawiała się, że będę się martwił. Wydaje się, że tym razem donosi. Shamud mówił, aby nie robić sobie przedwczesnych nadziei, ale jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to Jetamio wiosną urodzi. Jest pewna, iż to dziecko poczęte z mego ducha.

– Z pewnością się nie myli. I pomyśleć, mój beztroski braciszek został panem własnego ogniska i ma partnerkę oczekującą dziecka. Thonolan uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego szczęście tak rzucało się w oczy, że i Jondalar musiał się uśmiechnąć. – Jest tak zadowolony z siebie, jakby to on spodziewał się dziecka, pomyślał Jondalar.

– Tam, z lewej – powiedział cicho Dolando, wskazując na kamieniste wzniesienie wystające zza urwistego grzbietu, który przesłaniał im niemal cały widok.

Jondalar spojrział, ale był zbyt zamyślony, aby szukać dla oczu jakiegoś oparcia. Znajdowali się na granicy lasu, przez który się przedzierali. W najniższych partiach góry rosły dęby; potem przeważały buki. Jeszcze wyżej rosły znajome mu drzewa iglaste, górskie sosny, jodły i świerki. W oddali widział już stwardniałą skorupę ziemi wypiętrzoną we wspaniałe wzniesienia, ale dopiero gdy wyszli poza linię lasu, majestatyczna wielkość szczytów zaparła mu dech w piersi. Ten widok, choć widział go

już wielokrotnie, nadal wywierał na nim podobne wrażenie.

Oszłomiła go bliskość górskich szczytów; wrażenie, że są tuż tuż i wystarczy wyciągnąć rękę, aby ich dotknąć. Ich milcząca groza mówiła o żywiołowym wypiętrzeniu, o ciężarnej ziemi wytężającej się, aby urodzić nagą skałę. Pierwotna kość Wielkiej Matki pozbawiona odzienia z lasu, spoczywała odsłonięta pośród górskich zboczy. Ponad nią nieziemsko błękitne niebo, tło dla oślepiających refleksów rzucanych przez promienie słoneczne, załamujące się na krystalicznych językach lodowca, okrywającego szczyty, i schodzącego żlebami aż do owianych wiatrami łąk.

– Widzę! – krzyknął Thonolan. – Trochę bardziej na prawo, Jondalar. Widzisz? Na tej łysinie.

Wysoki mężczyzna przesunął wzrok i dostrzegł, małą, pełną gracji kozicę balansującą nad przepaścią. Boki porastały jej jeszcze łaty grubej, czarnej, zimowej sierści, ale płowosiwa letnia okrywa pozwalała się jej wtopić w skalne tło. Z przodu łba wyrastały jej dwa małe rogi o zakrzywionych do tyłu końcach.

– Teraz go widzę – powiedział Jondalar.

– To wcale nie musi być “on”. Samice też mają rogi – sprostował Dolando.

– Przypominają ibexy, prawda, Thonolanie? Są mniejsze rogi też mają mniejsze. Ale z tej odległości...

– Jak Zelandonii polują na ibexy, Jondalarze? – zapytała dziewczyna, której oczy błyszczały ciekawością, podnieceniem i miłością.

Była jedynie kilka lat starsza od Davro i po dziewczęcemu zakochana w wysokim, jasnowłosym mężczyźnie. Urodziła się jako Shamudoi, ale wychowywała się na rzece, gdzie przeniosła się wraz ze swoją matką, która znalazła sobie drugiego partnera

wśród Ramudoi. Potem, gdy związek uległ burzliwemu rozwiązaniu, wróciła na górę. Nie przywykła od urodzenia, jak młodzież Shamudoi, do górskich turni i nie wykazywała ochoty by polować na kozice aż do czasu, gdy odkryła, że Jondalar darzy sympatią kobiety, które polują. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że to bardzo podniecające zajęcie.

– Niewiele wiem na ten temat, Rakario – odparł Jondalar, uśmiechając się nieznacznie. Już poprzednio dostrzegł oznaki zainteresowania sobą ze strony dziewczyny, ale nie reagował na nie, nie chcąc jej robić nadziei. – W górach na południe od nas były ibexy, jeszcze więcej było ich we wschodnich pasmach, lecz my nie polowaliśmy w górach. Były zbyt daleko. Czasami podczas Letniego Spotkania zbierała się grupka łowców. Ale ja w polowaniu brałem udział jedynie dla zabawy i postępowałem zgodnie ze wskazówkami łowców, którzy wiedzieli jak się to robi. Dolando jest myśliwym doświadczonym w polowaniu na żyjące w górach zwierzęta.

Kozica skoczyła znad przepaści na szczyt, a potem spokojnie rozglądała się po okolicy z nowego punktu obserwacyjnego.

– Jak polujecie na zwierzęta, które potrafią tak skakać? szepnęła pełna podziwu dla niewymuszonej gracji pewnie stąpającego zwierzęcia. – Jak one mogą ustać na takim skrawku gruntu?

– Gdy upolujemy którąś z nich, to zwróć uwagę na kopyta, Rakario – powiedział Dolando. – Tylko ich zewnętrzna krawędź jest twarda. Wewnętrzna część jest elastyczna jak twoja dłoń. Dlatego nie ślizgają się i pewnie stoją. Miękka część kopyta chwyta się gruntu, a brzegi przytrzymują się go. Podczas polowania trzeba pamiętać o tym, że one zawsze patrzą w dół. Ciągłe patrzą, gdzie stąpają, i wiedzą, co jest poniżej nich. Oczy

mają osadzone daleko po bokach łba, tak że widzą na obie strony, ale nie widzą tego co jest za nim. To daje nam przewagę. Można je obejść i zejść od tyłu. Jeżeli jest się wystarczająco ostrożnym i cierpliwym, to można podejść na tyle blisko, aby je dotknąć.

– A jeżeli odejdą zanim tam dotrzemy? – zapytała.

– Spójrz w górę! Widzisz te zielone skrawki zieleni? Wiosenna trawka jest prawdziwą ucztą po zimowej paszy. Ten, tam na górze, to obserwator. Pozostałe – samce, samice i młode – chowają się w dole pomiędzy skałkami i krzakami. Jeżeli trawa jest dobra, to nie będą się wiele przemieszczać, dopóki nie poczują zagrożenia.

– Ale dlaczego tylko stoimy i gadamy? Chodźmy – powiedział Davro.

Drażniło go to, że Rakario cały czas kręci się obok Jondalara, i z niecierpliwością oczekiwał rozpoczęcia polowania. Towarzyszył już poprzednio myśliwym – Jondalar zawsze zabierał go z sobą, odkąd zaczął polować z Shamudoi – ale jedynie po to, by tropił ślady, obserwował i uczył się. Tym razem pozwolono mu spróbować swych sił w prawdziwym polowaniu. Jeżeli mu się powiedzie, to będzie to jego pierwsza w życiu zdobycz, dzięki której mógłby się znaleźć w centrum zainteresowania. Nie wywierano jednak na niego specjalnego nacisku. Nie musiał jeszcze tym razem niczego upolować; będą inne okazje, by sprawdzić swoje umiejętności. Polowanie na tak zwinną zwierzynę w jej naturalnym środowisku, do którego była wyjątkowo przystosowana, było szczególnie trudną sztuką. Aby znaleźć się dostatecznie blisko, by próbować ataku, trzeba się było ostrożnie podkradać. Nikt nie nadążyłby za spłoszonymi kozicami skaczącymi ze skały na skałę i nad głębokimi



przepaściami.

Dolando ruszył w górę, obchodząc grupę skał o wyraźnym rysunku ukośnych warstw, biegnących w kamieniu. Miękkie warstwy osadowe wykruszyły się ze ścian pod wpływem działania warunków atmosferycznych, pozostawiając po sobie wygodne stopnie. Aby zejść od tyłu stado kozic musieli odbyć żmudną, ale nie niebezpieczną, wspinaczkę stromą ścianą. Polowanie nie wiązało się z koniecznością wspinania wysoko w góry.

Pozostali członkowie grupy łowieckiej ruszyli w ślad za przywódcą. Jondalar czekał, aby pójść na końcu. Prawie wszyscy zdążyli już rozpocząć wspinaczkę po schodkowej skale, gdy dobiegło go wołanie Serenio. Odwrócił się zaskoczony. Serenio nie należała do kobiet interesujących się polowaniem i rzadko kiedy oddalała się poza najbliższe sąsiedztwo szałasów. Zachodził w głowę, co mogło ją aż tu sprowadzać. Dogoniła go, a widok wyrazu jej twarzy, przyprawił go o zimny dreszcz. Kobieta z trudem łapała oddech po szybkim pościgu.

– Cieszę się... cię dogoniłam. Potrzebuję Thonolana... Jetamio... poród... – udało jej się po chwili wykrztusić.

Jondalar zwinął dłonie wokół ust i zawołał:

– Thonolan! Thonolan!

Jedna z postaci idących na czele grupy odwróciła się i Jondalar dał jej znak, aby zawróciła.

Zapadło niewygodne milczenie. Chciał zapytać, czy z Jetamio było wszystko w porządku, ale coś go od tego powstrzymywało.

– Kiedy się zaczął poród? – zapytał w końcu.

– Zeszłej nocy miała już bóle w krzyżu, ale nic nie powiedziała Thonolanowi. On z taką niecierpliwością wyglądał polowania na kozice. Jetamio się obawiała, że gdy mu o tym powie, to nie

będzie chciał iść. Powiedziała, że nie była pewna, czy to już poród, ale ja myślę, że chciała mu zrobić dzieckiem niespodziankę – powiedziała Serenio. – Nie chciała, aby się niepokoił czy nerwowo wyczekiwał, aż urodzi.

To do Jetamio podobne, pomyślał. Chciała go oszczędzić. Nagle ogarnęło Jondalara złowrogie przeczucie. Skoro Jetamio pragnęła Thonolana zaskoczyć, to dlaczego Serenia pognęła w góry, aby go sprowadzić z powrotem?

– Coś nie jest w porządku, prawda?

Serenio utkwiała wzrok w ziemi, zamknęła oczy i nim odpowiedziała, wzięła głęboki oddech.

– Dziecko jest ułożone pośladkowo; ona jest zbyt wąska w biodrach i nie da rady. Shamud sądzi, że to wina paraliżu, który miała, i kazał mi sprowadzić Thonolana... I ciebie też... przez wzgląd na niego.

– Och, nie! Dobra Doni, och, nie!

– Nie! Nie! Nie! Tylko nie ona! Dlaczego? Dlaczego Matka pobłogosławiła ją dzieckiem, a potem oboje zabrała?

Thonolan chodził ze wściekłością po pomieszczeniu, które dzielił z Jetamio, bijąc pięścią w dłoń. Jondalar stał bezradny, nie mogąc ofiarować mu nic więcej oprócz swojej obecności. Większość nie potrafiła się zdobyć nawet na tyle. Oszalały ze smutku Thonolan odpędzał wszystkich od siebie z wrzaskiem.

– Jondalar, dlaczego właśnie ona? Dlaczego Matka chciała ją zabrać? Miała tak mało i tyle się wycierpiała. Czy prosiła o zbyt wiele? O dziecko? O kogoś z jej krwi i kości?

– Nie wiem, Thonolanie. Nawet zelandoni nie potrafilyby ci na to odpowiedzieć.

– Dlaczego w ten sposób? W takich bólach? – Thonolan zatrzymał się przed bratem, odwołując się do niego. – Ledwie

mnie poznała, gdy przyszedłem. Jondalarze, ona cierpiała. Widziałem to w jej oczach. Dlaczego musiała umrzeć?

– Nikt nie wie, dlaczego Matka ofiarowuje życie, a potem je odbiera.

– Matka! Matka! Jej to nic nie obchodzi. Jetamio ją czciła, ja ją czciłem. I co to dało? Zabrała Jetamio. Nienawidzę Matki! Zaczął znowu nerwowo chodzić.

– Jondalar... – zawołała od wejścia Roshario, bojąc się wejść do środka.

Jondalar wyszedł przed szalas.

– O co chodzi?

– Shamud dokonał cięcia, aby wyjąć dziecko, po tym jak ona...

– Roshario przełknęła łzy. – Myślał, że może uda mu się uratować dziecko – czasami to się udawało. Było za późno, ale to był chłopiec. Nie wiem, czy będziesz chciał mu o tym powiedzieć.

– Dziękuję, Roshario.

Widział, jak bardzo była zasmucona. Jetamio była jej córką. Roshario wychowała ją, opiekowała się w czasie paraliżu i długiego powrotu do zdrowia, i była przy niej od początku do śmiertelnego końca jej nieprawidłowego porodu. Nagle Thonolan przepchnął się pomiędzy nimi, ledwie mieszcząc się ze swymi starymi nosidłami, i ruszył w kierunku ścieżki biegnącej wokół ściany.

– Chyba teraz nie jest na to odpowiedni czas. Potem mu powiem – powiedział Jondalar, biegnąc za swym bratem.

– Dokąd idziesz? – zapytał, gdy go dogonił.

– Odchodzę. Nie powinienem był się zatrzymywać. Nie dotarłem jeszcze do końca mojej podróży.

– Nie możesz teraz odejść – powiedział Jondalar, kładąc mu dłoń na ramieniu. Thonolan strząsnął ją gwałtownym ruchem.

– Dlaczego nie? Co mnie tu zatrzymuje? – szlochał Thonolan.

Jondalar ponownie go zatrzymał, odwrócił i z trudem poznał wykrzywioną bólem twarz. Jego boleść była tak głęboka, że i jemu rozdzierała duszę. Był czas, że zazdrościł Thonolanowi jego szczęśliwej miłości do Jetamio, zastanawiając się nad ułomnością własnego charakteru, która nie pozwalała zakosztować mu takiej miłości. Czy to było tego warte? Czy miłość warta była takiej udręki? Tego gorzkiego, nieutulonego żalu?

– Czy pozwoliłbyś, aby bez ciebie pogrzebano Jetamio i jej syna?

– Jej syna? Skąd wiesz, że to był syn?

– Shamud go wyjął. Myślał, że uda się uratować chociaż dziecko. Było za późno.

– Nie chcę oglądać syna, który ją zabił.

– Thonolan. Thonolan. Ona prosiła o to. Chciała zajść w ciążę i była z tego powodu szczęśliwa. Czy chciałbyś pozbawić jej tego szczęścia? Czy wolałbyś raczej, aby żyła długo i pełna smutku? Bezdzienna, bez nadziei, że kiedykolwiek będzie miała dziecko? Była kochana i szczęśliwa, najpierw łącząc się z tobą w związku, a potem będąc błogosławioną przez Matkę. Krótco to trwało, ale powiedziała mi, że była szczęśliwsza niż to sobie mogła wyobrazić. Powiedziała, że nic nie mogło jej bardziej uszczęśliwić od świadomości, że nosi twoje dziecko. ‘Twoje dziecko, tak powiedziała, Thonolanie. Dziecko twego ducha. Może Matka, wiedząc jak różnie mogą potoczyć się losy, zdecydowała dać jej szczęście.

– Jondalar, ona mnie nawet nie poznała... – głos Thonolana się załamał.

– Shamud dał jej coś pod koniec, Thonolanie. Nie było nadziei, że urodzi, ale nie cierpiała bardzo. Wiedziała, że tam byłeś.

– Matka odebrała mi wszystko, zabierając Jetamio. Byłem tak pełny miłości, a teraz jestem pusty. Nic mi nie pozostało. Jak ona mogła odejść? – Thonolan się zachwiał. Jondalar złapał go i przytrzymał, wziął w ramiona i pozwolił, aby wypłakał swą rozpacz.

– Dlaczego nie z powrotem do domu, Thonolanie? Gdybyśmy teraz wyruszyli to dotarlibyśmy do lodowca przed zimą, a do domu następnej wiosny. Dlaczego chcesz iść na wschód? – w głosie Jondalara pobrzmiwała tęsknota.

– Ty wracaj do domu. Powinieneś wrócić dawno temu. Zawsze ci powtarzałem, że ty jesteś Zelandonii i zawsze nim pozostaniesz. Ja idę na wschód.

– Mówiłeś, że chcesz odbyć podróż do końca Wielkiej Matki Rzeki. Co zrobisz po dotarciu do Morza Berana?

– Któż to wie? Może pójdę dookoła morza. Może pójdę na północ i zapoluję na mamuty z ludźmi Tholie. Mamutoi mówią, że daleko na wschodzie jest inne pasmo gór. Dom dla mnie nic nie znaczy. Raczej poszukam czegoś nowego. Nadszedł czas, aby nasze drogi się rozeszły, Bracie, ty idź na zachód, ja pójdę na wschód.

– Skoro nie chcesz wracać, to dlaczego nie zostaniesz tutaj?

– Tak, dlaczego byś nie miał tu zostać? – powiedział Dolando, przyłączając się do nich. – I ty także, Jondalarze. Nieważne, czy u Shamudoi, czy Ramudoi. Wy należycie do tego miejsca. Macie tu rodzinę i przyjaciół. Będzie nam przykro, gdy którykolwiek z was odejdzie.

– Dolando, wiesz przecież, że byłem gotów spędzić tu resztę mojego życia. Ale teraz nie mogę. Tu wszystko zbyt mi ją przypomina. Będę ciągle się łudził, że ją zaraz zobaczę. Każdy spędzony tu dzień będzie mi na nowo przypominał o tym, że

nigdy już jej nie ujmę. Przykro mi. Będę tęsknił za wieloma ludźmi, ale muszę odejść.

Dolando skinął głową. Nie nakłaniał ich, aby pozostali, ale chciał, aby wiedzieli, że uważa się ich za członków rodziny.

– Kiedy zamierzacie odejść?

– Wkrótce. Najdalej za kilka dni – odparł Thonolan. Chciałbym jednak namówić cię na pewną wymianę, Dolando. Zostawię wszystko z wyjątkiem rzeczy niezbędnych w drodze i ubrania. Chciałbym jednak mieć małą łódź.

– Jestem pewny, że to da się załatwić. A zatem ruszacie w dół rzeki. Na wschód? Nie wracasz do Zelandonii?

– Ja wyruszam na wschód – powiedział Thonolan.

– A ty, Jondalarze?

– Nie wiem. Jest jeszcze Serenio i Davro...

Dolando skinął głową. Jondalar nie był, co prawda, związany ceremonialnym związkiem, ale wiedział, że przez to podjęcie decyzji wcale nie będzie łatwiejsze. Wysoki Zelandonii miał równie dobre powody do tego, aby wyruszyć na zachód, zostać lub ruszyć na wschód. Nikt się nie domyślał, co wybierze.

– Roshario cały dzień gotowała. Myślę, że celowo szukała sobie zajęcia, aby nie mieć czasu na rozmyślania – powiedział Dolando.

– Sprawilibyście jej przyjemność, spożywając z nami posiłek. Jondalarze, ona zaprasza również Serenio i Davro. A byłoby jej jeszcze milej, gdybyś i ty zjadł choć trochę, Thonolanie. Martwi się o ciebie.

Dolando również musi to bardzo przeżywać, uświadomił sobie Jondalar. Tak bardzo martwił się o Thonolana, że nie pomyślał nawet o smutku, jaki czuli wszyscy członkowie jaskini. To był przecież dom Jetamio. Dolando opiekował się nią równie troskliwie, jakby była dzieckiem jego własnego ogniska

domowego. Wielu osobom była bardzo bliska. Tholie i Markeno byli jej rodziną, Serenio też płakała, a Davro był tak zdenerwowany, że nie chciał z nim rozmawiać.

– Zapytam Serenio – powiedział Jondalar. – Jestem pewny, że Davro pójdzie z ochotą. Może dobrze by było, aby poszedł tylko on. Chciałbym porozmawiać z Serenio.

– Przyślij go – powiedział Dolando, przyrzekając sobie, że zatrzyma chłopaka na noc, aby dać jego matce i Jondalarowi trochę czasu na podjęcie decyzji.

Trzej mężczyźni wrócili razem pod występ z piaskowca, Zatrzymali się na kilka chwil w pobliżu centralnego paleniska. Niewiele mówili. Własne towarzystwo sprawiało im zaprawioną goryczą przyjemność. Wiedzieli, że z powodu zaistniałej sytuacji wkrótce nie będą już mogli tak stać obok siebie.

W cieniu rzuconym przez ściany skalnego tarasu panował już wieczorny chłód. Z krawędzi rozciągał się widok na zalany słońcem wąwóz rzeki. Stojąc tak razem przy ognisku, bliscy byli od poddania się wrażeniu, iż nic się nie zmieniło, gotowi niemal zapomnieć o niszczycielskiej tragedii. Zostali tam jeszcze długo po zapadnięciu zmroku, pragnąc zatrzymać tę chwilę, pogrążeni w swych własnych myślach, choć gdyby je porównać, to okazałyby się zdumiewająco podobne. Każdy z nich myślał o wydarzeniach, które sprowadziły tych dwóch ludzi Zelandonii do Jaskini Sharamudoi, i każdy się zastanawiał, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy dwóch pozostałych.

– Kiedy wreszcie przyjdziecie? – zapytała Roshario, nie mając już siły dłużej czekać. Wyczuwała ich potrzebę milczącej wspólnoty i nie chciała im wcześniej przeszkadzać. Potem z szalasu wyszli Shamud, Serenio i Darvo trzymający się z dala od grupy młodzieży. Inni ludzie również zaczęli się gromadzić przy

centralnym ognisku i nastrój chwili prysł bezpowrotnie. Roshario zapędziła wszystkich, włączając w to Jondalara i Serenio, do swego szałas. Ale tych dwoje szybko się oddaliło.

Poszli w milczeniu na skraj tarasu, a potem za występ skalny do leżącej tam kłody, z której można było wygodnie przypatrywać się zachodom słońca nad rzeką. Milczeli urzeczeni naturalnym pięknem zachodzącego słońca, panoramą metalicznych barw. Rozżarzona kula, znikając za horyzontem rozjaśniła ołowianoszare chmury srebrzystym blaskiem. Potem opromieniła je złocistą poświatą, która na powierzchni rzeki rozbijała się na tysiące migotliwych punkcików. W następnej chwili płomienna czerwień słońca nadała złocistym obłokom miedzianego blasku, który w gasnących promieniach brązował, słabł i ponownie przechodził w srebrzystą poświatę.

Obłoki ze srebrnych zrobiły się ołowianoszare, a potem zmatowiały, stając się jedynie ciemnymi cieniami na niebie. Jondalar w końcu podjął decyzję. Zwrócił twarz do Serenio. Z całą pewnością jest piękna, pomyślał. Pożycie z nią nie było trudne; czyniła jego życie wygodnym. Otworzył usta, by przemówić.

– Wracajmy – odezwała się pierwsza.

– Serenio... ja... żyliśmy... – zaczął, ale ona położyła mu palec na ustach.

– Nic teraz nie mów. Wracajmy.

Słyszał niecierpliwość czającą się w jej głosie i dostrzegł błyszczące w oczach pożądanie. Ujął jej rękę i uniósł palce do swych ust, a potem odwrócił dłoń, otworzył i ucałował. Odszukał gorącymi wargami nadgarstek, a potem powędrował wzdłuż ramienia do zgięcia w łokciu, odsuwając jej przy tym rękaw.

Serenio westchnęła, przymknęła oczy i w zapraszającym



geście odchyliła głowę do tyłu. Jondalar podtrzymał dłonią głowę i pocałował pulsującą tętnicę na szyi, odszukał ustami ucho i zagłębił w nim język. Kobieta czekała spragniona. Całował ją potem wolno, z czułością, penetrując delikatne zagłębienia pod językiem, dotykając wzniesień na podniebieniu i wciągając jej język do swych ust. Oderwali się w końcu od siebie. Serenio z trudem łapała oddech. Pod dotykiem jej palców poczuł pulsujące ciepło zalewające jego ciało.

– Wracajmy – powiedziała ponownie ochrypłym głosem.

– Po co wracać? Dlaczego nie tutaj?

– Jeżeli tu zostaniemy, to zbyt szybko będzie po wszystkim. Chcę to robić w ciepłe ognia i skór, tak byśmy nie musieli się spieszyć.

Ostatnimi czasy poczęli się kochać w trochę bardziej pospieszny, można rzec, rutynowy sposób. Wiedzieli dobrze, co sprawiało im największą przyjemność i zaczęli postępować w myśl pewnych schematów, z rzadka jedynie eksperymentując i poszukując innych rozwiązań. Ale tej nocy ona pragnęła czegoś więcej niż tylko rutyny, a on z wielką ochotą gotów był spełnić jej oczekiwania. Ujął jej twarz w obie dłonie, ucałował oczy, a potem koniuszek nosa, delikatny policzek, i skierował swój oddech do wnętrza jej ucha. Popieścił delikatnie zębami płatek ucha, a potem znowu przywarł wargami do jej szyi. Kolejny raz odszukał jej usta, przywarł do nich z ognistą namiętnością i przyciągnął ją do siebie.

– Chyba powinniśmy wracać – wyszeptał jej do ucha.

– Przecież to właśnie ci mówiłam.

Wracali przytuleni, on obejmował ją za ramię, a ona go w pasie. Tym razem nie został z tyłu, aby wejść pojedynczo na ścieżkę biegnącą skrajem tarasu. Zdawał się nawet nie zauważać,

iż stąpa brzegiem przepaści.

Na tarasie panowały głębokie ciemności. Wysokie ściany przesłaniały światło księżyca; ponad chmurami można było dostrzec jedynie kilka gwiazd. Pod skalny nawis dotarli później niż myśleli. Przy centralnym palenisku nie było już nikogo, ale po dogasających polanach nadal pełzały jeszcze płomyczki. Przechodząc obok wejścia do szałasu, dostrzegli w środku Roshario, Dolando i kilku innych oraz Davro i Thonolana, rzucających kawałkami rzeźbionych kości. Jondalar się uśmiechnął. To była gra, w którą często grywali z bratem podczas długich zimowych wieczorów. Do rozstrzygnięcia trzeba było czasami i pół nocy, ale świetnie przyciągała uwagę, pozwalając zapomnieć o wszystkich troskach.

We wnętrzu szałasu, który Jondalar dzielił z Serenio, było ciemno, toteż po wejściu ułożył na palenisku stos polan. Następnie wyszedł, by przynieść żagiew z głównego ogniska. W wejściu ustawił dwie skrzyżowane deski i zawiesił zasłonę ze skóry, odgradzając przytulne wnętrze od reszty świata.

Jondalar zrzucił wierzchnie odzienie, wyciągnął naczynie ze sfermentowanym sokiem z jagód i napełnił przyniesione przez Serenio miseczki. Jego zapach nieco już ostygł, a w czasie drogi powrotnej miał czas do namysłu. Ona jest najbardziej uroczą i namiętną ze wszystkich mi znanych kobiet, pomyślał, pociągając rozgrzewający napój. Już dawno powinienem nadać naszemu związkowi obowiązującą formę. Może zechciałaby wrócić ze mną i zabrać z sobą Davro. Ale bez względu na to, czy zostaniemy tu, czy wrócimy, to pragnę, aby została moją partnerką.

Po podjęciu decyzji poczuł ulgę. Będzie miał o jedną sprawę mniej do rozważania. Świadomość tego sprawiła mu

przyjemność. – Serenio, podjąłem decyzję. Nie wiem, czy mówiłem ci jak wiele dla mnie znaczysz...

– Nie teraz – powiedziała, odstawiając miseczkę. Objęła go za szyję, przysunęła swe usta do jego i przycisnęła mocno. Przeciągły, tęskny pocałunek szybko przypomniał mu o jego namiętności. Ma rację, pomyślał, możemy porozmawiać potem.

Jondalar znowu poczuł przyływ gorącej namiętności i położył Serenio na okrytym futrami posłaniu. Zapomniany żar ponownie palił mu trzewia, gdy na nowo odkrywał jej ciało. Serenio nigdy nie pozostawała niewrażliwa na jego pieśczoć, ale tym razem otworzyła się przed nim jak nigdy dotąd. A choć zadowalał ją raz za razem, wciąż jej nie było dosyć. Napełniały ich kolejne fale rozkoszy, a gdy już myślał, że osiągnął kres swych możliwości, ona sprawiała, że ponownie wierzył w swe siły. W ostatnim ekstatycznym wysiłku dobrnęli do rozkoszy spełnienia i legli obok siebie wyczerpani i w końcu nasyceni.

Zasnęli nadzy i nie przykryci na stercie futer. Ogień wygasł i przed świtem obudził ich chłód. Serenio podsyciła żar i rozpałała nowe ognisko. On tymczasem włożył bluzę i wysliznął się na dwór, by napełnić naczynie wodą. Zanurzył się szybko w zimnym stawie i z przyjemnością wrócił do ciepłego wnętrza szałas. Czuł się pełen nowych sił, odświeżony i tak całkowicie zaspokojony, że był gotowy na wszystko. Serenio włożyła kamienie, aby się nagrzały, i wymknęła się wypróżnić. Wróciła równie mokra, jak on.

– Masz dreszcze – powiedział Jondalar, otulając ją skórą. – Wydawałeś się tak zadowolony z kąpieli, że też postanowiłam spróbować. Ależ woda była zimna! – Serenio się roześmiała.

– Napój jest prawie gotowy. Przyniosę ci miseczkę. Usiądź – powiedział, prowadząc ją pospiesznie do posłania i otulając

kolejnymi skórami tak, że wkrótce było widać tylko jej twarz. Wcale nie będzie źle spędzić życie z kobietą taką, jak Serenio, pomyślał. – Ciekawy jestem, czy udałoby mi się nakłonić ją, aby wróciła ze mną do domu? – Wtem do jego świadomości przedarła się niepokojąca myśl. – Gdybym tylko mógł przekonać Thonolana, aby wrócił ze mną do domu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego chce iść na wschód. Przyniósł sobie i Serenio gorącego napoju z bukwicy i usiadł na skraju posłania.

– Serenio, czy kiedykolwiek myślałaś o wybraniu się w podróż?

– Masz na myśli podróż do miejsc, w których nigdy nie byłam, i spotkanie ludzi mówiących niezrozumiałym dla mnie językiem? Nie, Jondalarze, nigdy nie ciągnęło mnie w podróż.

– Ale rozumiesz język Zelandonii. Bardzo dobrze go rozumiesz. Byłem zaskoczony, jak szybko się uczyłaś nowego języka, gdy zdecydowaliśmy się z Tholie i innymi uczyć się nawzajem.

– Jondalarze, co próbujesz mi powiedzieć?

– Próbuję nakłonić cię, abyś wyruszyła ze mną z powrotem do domu, po tym, jak zwiążemy się oficjalnie – odparł z uśmiechem.

– Podoba ci się przecież język Zelandonii...

– Co rozumiesz przez to “po tym, jak zwiążemy się oficjalnie”? Co skłoniło cię do myślenia, że zostaniemy partnerami?

Jondalar się spieszył. Oczywiście, powinien był ją wpierw zapytać, a nie wyskakiwać z pytaniem o podróż. Kobiety lubią, aby je prosić, a nie uważać sprawę za załatwioną, gdy się już samemu zdecyduje. Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem.

– Uznałem, że już czas, abyśmy zawarli formalny związek. Powinienem był to zrobić już dawno temu. Jesteś piękną i oddaną kobietą. A Davro jest wspaniałym chłopakiem. Byłbym dumny, mogąc powiedzieć, że jest dzieckiem mego ogniska. Ale

miałem nadzieję, że może rozważysz propozycję powrotu ze mną do domu... z powrotem do Zelandonii. Oczywiście, jeżeli nie będziesz chciała...

– Jondalarze, nie możesz decydować o zawarciu formalnego związku. Ja nie zostanę twoją partnerką. Postanowiłam o tym już dawno temu.

Jondalar się zaczerwienił prawdziwie zakłopotany. Nie przyszło mu do głowy, że ona może nie chcieć zostać jego partnerką. Myślał jedynie o sobie, o tym, co sam czuł, i nie brał pod uwagę możliwości, iż ona uzna go za niewartego zawarcia związku.

– Prze... przepraszam, Serenio. Myślałem, że tobie również na mnie zależy. Nie przypuszczałem. Trzeba było powiedzieć, abym sobie poszedł... mógłbym sobie znaleźć inne miejsce. – Jondalar wstał i zaczął zbierać swe rzeczy.

– Co ty robisz?

– Zbieram rzeczy, abym się mógł wyprowadzić.

– A dlaczego się chcesz wyprowadzić?

– Ja wcale nie chcę, ale skoro mnie nie chcesz...

– Jak po dzisiejszej nocy możesz powiedzieć, że cię nie chcę? Co to ma wspólnego z zawarciem formalnego związku?

Jondalar wrócił, usiadł na skraju posłania i spojrzał w jej tajemnicze oczy.

– Dlaczego nie chcesz mnie za partnera? Czy jestem dla ciebie nie dość... męski?

– Nie dość męski... – głos uwiązł jej w gardle. Przymknęła oczy, zamrugowała kilka razy i wzięła głęboki oddech. – Na Matkę, Jondalarze! Nie dość męski! Jeżeli ty nie jesteś dość męski, to żaden mężczyzna na świecie nie jest dość męski. W tym cały problem. Jesteś zbyt męski, jesteś w ogóle wszystko zbyt. Nie

potrafię z tym żyć.

– Nie rozumiem. Chcę, abyś została moją partnerką, a ty mówisz, że jestem dla ciebie za dobry?

– Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Przecież ty dałeś mi więcej... więcej niż jakikolwiek mężczyzna. Gdybym została twoją partnerką, to miałabym więcej niż wszystkie znane mi kobiety. Byłyby zazdrosne. Chciałyby, aby ich partnerzy byli równie wielkoduszni, dbali i dobrzy jak ty. One już wiedzą, że wystarczy twe dotknięcie, aby kobiecie żywiej zabiło serce, żeby poczuła się bardziej... Jondalarze, ty jesteś obiektem pożądania wszystkich kobiet.

– Skoro jestem... tym wszystkim, co mówisz, to dlaczego nie chcesz zostać moją partnerką?

– Ponieważ mnie nie kochasz.

– Serenio... ja kocham...

– Tak, na swój sposób, kochasz mnie. Dbasz o mnie. Nie uczyniłbyś nigdy niczego, co sprawiłoby mi przykrość. I byłbyś taki cudowny, tak dla mnie dobry. Ale ja wiem, zawsze wiedziałam. Staralam się przekonać samą siebie, że jest inaczej, ale bez skutku. Zastanawiałam się, czego mi brakuje, co ze mną jest, że nie możesz mnie pokochać.

Jondalar spuścił wzrok.

– Serenio, ludzie zostają partnerami, nie darząc się nawet taką miłością. – Spojrzał na nią z powagą. – Jeżeli dwoje ludzi łączy wspólne sprawy, jeżeli zależy im na sobie, to mogą stanowić bardzo dobraną parę i żyć razem.

– Tak, niektórzy ludzie mogą. Być może, kiedyś zostanę ponownie czyjąś partnerką i jeżeli będą nas łączyć wspólne sprawy, to – być może – nie będziemy się musieli kochać. Ale to nie będziesz ty.

– Dlaczego nie ja? – zapytał z taką boleścią w oczach, że niemal skłonił ją do zmiany zdania.

– Ponieważ ja bym cię kochała. Nic na to nie poradzę. Kochałabym cię i umierała po trochu każdego dnia, wiedząc, że ty mnie nie kochasz w ten sam sposób. Tobie nie oparłaby się żadna kobieta. A ja pogrążałabym się coraz bardziej za każdym razem, gdy kochalibyśmy się tak, jak ostatniej nocy. Pragnąc cię tak bardzo, kochając cię tak bardzo i wiedząc, że choć byś nie wiem jak pragnął, to nie będziesz mi mógł odpłacić tym samym. Po pewnym czasie wypaliłabym się, zostałaby ze mnie jedynie pusta skorupa i zaczęłabym wynajdywać sposoby na to, aby uczynić twe życie równie nieszczęśliwym jak moje. Ty nadal byłbyś cudownym, dbającym i wielkodusznym partnerem, ponieważ wiedziałbyś, dlaczego taka się zrobiłam. Ale zacząłbyś siebie za to nienawidzić. I każdy by się zastanawiał, co trzyma cię przy takiej złośliwej, zgorzkniałej starej kobiecie. Ja chcę ci tego oszczędzić. I chcę oszczędzić tego sobie.

Jondalar wstał i poszedł do wyjścia, potem zawrócił.

– Serenio, dlaczego ja nie potrafię kochać? Inni mężczyźni zakochują się – co jest ze mną? – Spojrzał na nią z taką udręką, że cierpiała razem z nim, kochając go jeszcze bardziej i pragnąc, aby był jakiś sposób na to, by ją pokochał.

– Nie wiem. Może nie znalazłeś jeszcze odpowiedniej kobiety. Może Matka przeznaczyła ci kogoś szczególnego. Ona nie powołuje do życia wielu takich, jak ty. Ty niesiesz z sobą więcej niż jakakolwiek kobieta może przyjąć. Gdybyś całą swoją miłość skoncentrował tylko na jednej, to mógłbyś ją swą miłością całkowicie przytłoczyć, jeżeli nie będzie równie jak ty obdarowana przez Matkę. Nawet gdybyś mnie kochał, to nie wiem, czy mogłabym żyć z tą świadomością. Kobieta, którą

pokochołbyś równie mocno jak swego brata, powinna być bardzo silna.

– Nie potrafię się zakochać, ale gdybym potrafił, to żadna kobieta by tego nie zniosła – powiedział z pełnym ironii i goryczy śmiechem. – Wystrzegajcie się darów Matki. – Jego fiołkowe w czerwonym blasku ognia oczy napełniły się łękiem. – Co miałaś na myśli, mówiąc: „jeżeli kochałbym kobietę równie mocno jak swego brata”? Skoro żadna z kobiet nie jest dostatecznie silna, aby „znieść” moją miłość, to czy sądzisz, że potrzebuję... mężczyzny?

Serenio się uśmiechnęła i stłumiła głośny śmiech.

– Nie mówiłam, że kochasz swego brata tak, jak się kocha kobietę. Nie jesteś podobny do Shamuda, nie masz ciała jednej płci i skłonności drugiej. Powinieneś to już wiedzieć, poszukać swego powołania i jak Shamud odnaleźć tam swoją miłość. Nie – powiedziała i zaczerwieniła się na myśl o tym – ty zbyt lubisz kobiece ciało. Ale kochasz swego brata bardziej niż kochałeś którąkolwiek z kobiet. To dlatego tak bardzo pragnęłam cię tej nocy. Odejdziesz razem z nim i nigdy cię już nie zobaczę.

W momencie, gdy to mówiła wiedział, że Serenio ma rację. Nie miało znaczenia, co postanowił. Gdy nadejdzie czas, odejdzie razem z Thonolanem.

– Jak się tego domyśliłaś? Ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przyszedłem tu myśląc, że zostanę twoim partnerem, osiadę u Sharamudoj, jeżeli nie będę mógł zabrać cię z powrotem do siebie.

– Myślę, że każdy wie, iż pójdiesz za nim bez względu na to, dokąd on się uda. Shamud powiedział, że takie jest twoje przeznaczenie.

Jondalar nigdy nie zaspokoił w pełni swojej ciekawości co do



postaci Shamuda.

– Powiedz, czy Shamud jest kobietą czy mężczyzną? – zapytał pod wpływem nagłego impulsu.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Ale on już się opamiętał.

– Nie, nie przypuszczam, aby to miało jakieś znaczenie: Shamud nie chciał mi tego powiedzieć – może ta tajemnica jest ważna dla... Shamuda.

W ciszy, która potem zapadła, Jondalar wpatrywał się w Serenio, pragnąc zapamiętać ją taką, jaka wtedy była. Włosy nadal miała wilgotne, w nieładzie, ale już się ogrzała i zrzuciła z siebie większość skór.

– A co będzie z tobą? Co zamierzasz robić?

– Kocham cię, Jondalarze. – Oświadczyła wprost. – Nie będzie mi łatwo sobie z tym poradzić, ale coś mi zostawiłeś. Bałam się kochać. Straciłam tak wielu z tych, których kochałam, że wyrzuciłam z siebie wszelką miłość. Wiem, że cię stracę, ale kocham cię pomimo to. Teraz wiem, że znowu potrafię kochać. A utrata ukochanej osoby nie odbierze mi mojej miłości. To właśnie mi uświadomiłeś, tym mnie obdarowałeś. A być może, i czymś więcej. – Uśmiech obnażył jej tajemnicę. – Być może, wkrótce w moim życiu pojawi się ktoś, kogo będę mogła kochać. Jeszcze trochę za wcześnie, aby mówić z całkowitą pewnością, ale myślę, że Matka pobłogosławiła mnie. Po stracie ostatniego dziecka nie myślałam, aby to jeszcze było możliwe – wiele lat upłynęło mi bez jej błogosławieństwa. To może być dziecko twego ducha, upewnię się, jeżeli będzie miało twoje oczy.

Na jego czole pojawiły się znajome zmarszczki.

– Serenio, w takim razie muszę zostać. Przy twoim ognisku nie

ma mężczyzny, który zadbałby o ciebie i dziecko – powiedział.

– Nie musisz się martwić. Matka i dziecko nigdy nie były bez opieki. Mudo powiedziała, że każdy przez nią błogosławiony powinien być otoczony opieką. To po to stworzyła mężczyzn, aby przynosili matkom dary Wielkiej Matki Ziemi. Jaskinia zadba o to, aby nie zabrakło mi pożywienia, tak jak ona dba, aby nie zabrakło i go jej dzieciom. Musisz iść ku swemu przeznaczeniu, a ja podążę za swoim. Nie zapomnę cię, a jeżeli będę miała dziecko twego ducha, to będę myślała o tobie tak, jak pamiętam mężczyznę, którego kochałam, gdy urodził się Davro.

Serenio się zmieniła, ale nadal niczego od niego nie oczekiwała, nie obarczała go ciężarem zobowiązań. Jondalar objął ją. Spojrzała w jego zniewalająco błękitne oczy. Niczego nie mogła ukryć, ani miłości, którą do niego żywiła, ani smutku z powodu jego utraty, ani radości ze skarbu, który – jak miała nadzieję – nosiła. Przez szpary mogli już dostrzec słabe światło obwieszczające nadejście nowego dnia. Jondalar wstał.

– Co robisz?

– Wychodzę. Wypiłem za dużo napoju. – Uśmiechnął się. – Ale pilnuj, aby posłanie było ciepłe. Noc się jeszcze nie skończyła. – Pochylił się i pocałował ją. – Serenio – jego głos był pełen uczucia – znacysz dla mnie więcej niż wszystkie kobiety, które znałem.

Ale to nie wystarczało. Odejdzie, choć wiedziała, że jeżeli poprosi, to zostanie. Nie poprosiła, a on w zamian dał jej tyle, ile mógł. A to było więcej niż większość kobiet kiedykolwiek otrzymała.

## . 18 .



– Matka powiedziała, że chciałeś mnie widzieć.

Jondalar dostrzegł pełen napięcia układ ramion i ostrożne spojrzenie chłopca. Wiedział, że Davro unikał go i domyślał się, dlaczego to robi. Wysoki mężczyzna uśmiechnął się, starając się sprawiać wrażenie beztroskiego i odprężonego. Jednakże wyraźna niepewność w zwykle pełnym czułości i ciepła zachowaniu Jondalara zdenerwowała Davro jeszcze bardziej; nie pragnął potwierdzenia swych obaw. Jondalar też się nie palił, aby o tym z chłopcem rozmawiać. Wyciągnął z półki starannie złożone odzienie i rozwinął je.

– Myślę, że już prawie do tego dorosłeś. Chciałbym ci to dać.

Na widok bluzy Zelandonii ozdobionej egzotycznymi wzorami przez krótką chwilę oczy chłopca zapłonęły radością, ale zaraz do jego spojrzenia powróciła czujność.

– Odchodzisz, prawda? – powiedział z wyrzutem.

– Thonolan jest moim bratem, Davro...

– A ja jestem dla ciebie nikim.

– To nieprawda. Wiedz, że bardzo jesteś bliski memu sercu. Ale Thonolan jest tak przepełniony żalem, że zachowuje się zupełnie nierozważnie. Martwię się o niego. Nie mogę pozwolić, aby samotnie odszedł, a jeżeli ja się o niego nie zatroszczę, to kto

to uczyni? Proszę, postaraj się mnie zrozumieć. Ja wcale nie mam ochoty wędrować dalej na wschód.

– Wrócisz?

Jondalar milczał przez chwilę.

– Nie wiem. Nie mogę obiecać. Nie wiem, dokąd idziemy ani jak długo będziemy wędrowali. – Podał mu bluzę. – Dlatego chciałem ci ją dać, abys miał coś na pamiątkę po “człowieku Zelandonii”. Davro, wysłuchaj mnie. Zawsze będziesz dla mnie pierwszym synem mego ogniska.

Chłopiec spojrział na wyciągniętą w jego stronę bluzę; wtem z oczu popłynęły mu łzy zwiastujące całkowite załamanie:

– Nie jestem synem tego ogniska! – krzyknął, po czym odwrócił się i wybiegł z szałasem.

Jondalar chciał za nim biec, ale tylko położył bluzę na posłaniu Davro i powoli wyszedł na dwór.

Carlono zmarszczył brwi na widok nisko płynących chmur.

– Myślę, że pogoda się utrzyma – powiedział – ale jeżeli zacznie mocno dmuchać, to przybijajcie do brzegu, choć to nie zawsze będzie łatwe, zanim wypłyniecie poza bramę. Po drugiej stronie bramy rozciąga się równina, na której Matka dzieli się na szereg kanałów. Pamiętajcie, aby trzymać się lewego brzegu. Zanim dotrzecie do morza, rzeka zakręci na północ, a potem na wschód. Tuż za zakrętem łączy się z inną dużą rzeką wpadającą do niej z lewej strony. To jej ostatni duży dopływ. W niewielkiej odległości od tego miejsca zaczyna się delta – ujście do morza – ale nadal będzie was czekać daleka droga. Delta jest ogromna i niebezpieczna, pełna bagien, moczarów i ławic piasku. Matka znowu się rozdzieli, zwykle na cztery, ale czasami i na więcej głównych kanałów i wiele małych. Trzymajcie się lewego kanału, północnego. Na północnym brzegu, w pobliżu ujścia jest Obóz

Mamutoi.

Doświadczony człowiek rzeki już im o tym wszystkim mówił. Narysował im nawet na ziemi mapę, aby lepiej pokazać, jak dotrzeć do końca Wielkiej Matki Rzeki. Wierzył jednak, że powtórka pomoże im lepiej zapamiętać, szczególnie, że musieli szybko podejmować decyzję. Nie bardzo cieszył go pomysł, aby dwóch młodzieńców wyruszało w podróż po nie znanej rzece bez doświadczonego przewodnika, ale oni obstawali przy tym; a raczej Thonolan się przy tym upierał, a Jondalar nie puściłby go samego. Przynajmniej wysoki mężczyzna zdobył już pewną wprawę w obchodzeniu się z łodziami.

Stali na pomoście. Bagaż był załadowany na małą łódź, ale ich odjazdowi nie towarzyszyło charakterystyczne dla tego typu wypraw podniecenie. Thonolan odchodził jedynie dlatego, że wspomnienia nie pozwalały mu tu zostać, Jondalar zaś wolałby raczej wyruszyć w przeciwną stronę.

Thonolan stracił całą swoją radość życia. Miejsce poprzedniej otwartości i życzliwości zajęła teraz markotność. Jego posępny nastrój przeplatał się z wybuchami złego humoru – często prowadzącymi do większej lekkomyślności i beztroskiego lekceważenia. Pierwsza prawdziwa sprzeczka, do jakiej doszło pomiędzy braćmi, tylko dlatego nie skończyła się bójką, że Jondalar odmówił walki. Thonolan zarzucał bratu, że niańczy go niczym niemowlę. Domagał się prawa do własnego życia i żądał, aby przestał wszędzie za nim chodzić. Kiedy Thonolan się dowiedział, że prawdopodobnie Serenio jest w ciąży, to wpadł we wściekłość, że Jondalar chce opuścić kobietę, która – być może – nosi w sobie dziecko jego ducha, i podążyć za swym bratem ku jakiemuś nieznanemu celowi. Nalegał, aby Jondalar został i zatroszczył się o nią, tak jak uczyniłby każdy przyzwoity

człowiek.

Pomimo to, że Serenio odmówiła zostania jego partnerką, Jondalar nie mógł się pozbyć uczucia, że Thonolan ma rację. Od urodzenia wpajano mu, że obowiązkiem mężczyzny, jego wyłącznym celem, było zapewnienie opieki matce i dziecku, szczególnie gdy kobietę pobłogosławiono dzieckiem, które w jakiś tajemniczy sposób mogło mieć jego duszę. Ale Thonolan nie chciał zostać, a Jondalar obawiając się, że brat może postąpić w sposób nierozważny i narazić się na niebezpieczeństwo, obstawał przy dotrzymaniu mu towarzystwa. Panowała między nimi atmosfera ciągłego napięcia.

Jondalar nie wiedział, jak się pożegnać z Serenio; niemal bał się na nią spojrzeć. Ale ona z uśmiechem przyjęła jego pożegnalny pocałunek i nie dała po sobie poznać wzruszenia, choć jej oczy wydawały się trochę wilgotne i zaczerwienione. Jondalar rozejrzał się za Davro i z zawodem stwierdził, że chłopca nie było pośród zgromadzonych na pomoście ludzi. Byli tu prawie wszyscy. Thonolan siedział już w małej łodzi, Jondalar usadowił się na tylnym siedzeniu. Ujął wiosło i gdy Carlono odwiązywał linę, spojrzął ostatni raz na wysoki skalny taras. Chłopiec stał na jego krawędzi. Kilku lat będzie trzeba, nim dorośnie do bluzy, którą miał na sobie, ale jej krój był wyraźnie krojem Zelandonii. Jondalar uśmiechnął się, a potem zamachał wiosłem. Davro odmachął mu w chwili, gdy wysoki, jasnowłosy człowiek Zelandonii zanurzał wiosło w rzece.

Bracia odepchnęli się w kierunku głównego nurtu i obejrzeni się na pomost pełen ludzi – przyjaciół. Odpływając z prądem, Jondalar się zastanawiał, czy kiedykolwiek zobaczą jeszcze Sharamudoi lub kogokolwiek znajomego. Podróż, która z początku była wielką przygodą, przestała być podniecająca.

Teraz odciągała go niemal wbrew jego woli jeszcze dalej od domu. Co Thonolan miał nadzieję znaleźć na wschodzie? I cóż mogło być tam dla niego?

Wąwóz wielkiej rzeki majaczył groźnie pod szarym, pochmurnym niebem. Nagie skały wyrastały ponad wodę ze swych ukrytych głęboko korzeni i wznosiły się majestatycznymi ścianami po obu stronach rzeki. Na lewym brzegu rumowisko ostrych poszarpanych skał pięło się aż do odległych, pokrytych lodowcem szczytów; na prawym – łagodne wierzchołki zwietrzałych i popękanych gór stwarzały iluzję zwykłych wzgórz, ale z małej łodzi i one wydawały się zniechęcająco wysokie. Duże bloki skalne i ostre skały sterczały z powierzchni wody, dzieląc nurt na spienione strumienie.

Obaj bracia w swej małej łódeczce byli niesieni niczym drobinka, cząstka tego, co ich otaczało, razem z pływającymi po powierzchni śmieciami i mułem sunącym w milczących głębinach. Nie mieli kontroli nad prędkością ani kierunkiem, w którym płynęli; zmieniali jedynie kurs przy opływaniu przeszkód. Tam, gdzie rzeka się rozlewała na milę szeroko, a mała łódź wznosiła się i opuszczała na falach, rzeka bardziej przypominała morze. Kiedy brzegi się zbiegały, pędzące masy wody napotykały na większy opór; prąd stawał się silniejszy, ponieważ ta sama masa wody przeciskała się przez węższe gardło.

Przebyli już więcej niż jedną czwartą drogi, być może, ze dwadzieścia pięć mil, gdy spadł ulewny deszcz i rozszalała się nawałnica. Bali się, że ich małą drewnianą łódź zaleją wezbrane fale. Ale nie mieli gdzie wylądować, z obu stron wznosiły się jedynie strome, mokre skały.

– Mogę sterować, jeżeli ty wybieralbyś wodę – powiedział Jondalar. Nie rozmawiali wiele, ale napięcie pomiędzy nimi nieco

osłabło w trakcie zgodnego wiosłowania i walczenia z utrzymaniem łodzi na kursie.

Thonolan schował wiosło i drewnianym czerpakiem próbował opróżnić łódkę z wody.

– Napełnia się równie szybko, jak wybieram! – Zawołał przez ramię.

– Nie sądzę, aby ta ulewa długo trwała. Rób tak dalej, a poradzimy sobie – odparł Jondalar, zmagając się ze wzburzoną wodą. Pogoda się poprawiła i pomimo groźnych chmur udało im się przebyć cały wąwóz bez dalszych przygód.

Wezbrana rzeka po dotarciu na równinę, niczym po rozwiązaniu ciasnego paska, rozlała się szeroko. Opływała wysepki porośnięte wierzbami i trzcina – miejsca gniazdowania żurawi i czapli, przelotnych gęsi i kaczek oraz niezliczonego innego ptactwa.

Pierwszej nocy rozbili obóz na lewym brzegu, płaskim i porośniętym trawą. Podnóże szczytów górskich odsunęło się od brzegu rzeki, ale wierzchołki gór wznoszących się na prawym brzegu utrzymywały dalej Wielką Matkę Rzekę w kursie na wschód.

Jondalar i Thonolan tak szybko ponownie przywykli do życia w drodze, jakby w ogóle nie było tych lat, które spędzili u Sharamudoi. Ale teraz było inaczej. Zniknęło poczucie beztroskiej przygody, radości odkrywania tego co za następnym zakrętem. Thonolan parł do przodu, lecz w jego zdecydowaniu znać było desperację.

Jondalar próbował jeszcze raz przekonać brata do zawrócenia, ale doprowadził jedynie do ostrej kłótni. Nie podejmował zatem więcej tego tematu. Ich rozmowy ograniczały się głównie do wymiany niezbędnych informacji. Jondalar mógł mieć jedynie



nadzieję, że czas złagodzi ból Thonolana i pewnego dnia zdecyduje się na powrót do domu i do życia. Do tego czasu był zmuszony z nim pozostać.

Bracia podróżowali o wiele szybciej w małej dłubance niż wędrowaliby brzegiem rzeki. Z łatwością dawali się nieść z prądem. Zgodnie z objaśnieniem Carlono rzeka zakręcała na północ po dotarciu do bariery wiekowych szczytów, o wiele starszych od surowych gór, przez które rzeka płynęła. Pomimo swego sędziwego wieku, odgradzały one rzekę od wewnętrznego morza, do którego usiłowała dotrzeć.

Jednak nie zniechęcona znalazła sobie inną drogę i uparcie parła na północ, dopóki nie zakręciła ostatecznie na wschód. Wtedy spotkała jeszcze jedną wielką rzekę, która złożyła daninę z wody oraz mułu przeciążonej i tak Matce. Teraz już nic nie ograniczało jej koryta, nie mogła więc utrzymać ogromnych mas wody w jednym kanale. Pomimo że czekało ją jeszcze wiele mil do przebycia, podzieliła się ponownie na wiele kanałów, tworząc wachlarzowatą deltę.

Delta była grzęzawiskiem ruchomych piasków, słonych bagien i niepewnych, małych wysepek. Niektóre z mulistych wysepek utrzymywały się na miejscu przez kilka lat, wystarczająco długo, aby małe drzewka zapuściły cienkie korzenie. Potem zmywały je sezonowe powodzie lub niszczyły przesiąkające wody. Cztery główne kanały – w zależności od pór roku i przypadkowych wydarzeń – przedzierały się przez obszar delty do morza, ale ich łożyska zmieniały często swój bieg. Bez wyraźnego powodu woda potrafiła nagle porzucić stare koryto i popłynąć inną drogą, wyrrywając zarośla i pozostawiając po sobie zagłębienie z grząskim, wilgotnym piaskiem.

Wielka Matka Rzeka po przebyciu ośmiuset mil i dwóch

pokrytych lodowcem pasm górskich, dopłynęła niemal do celu swej wędrówki. Ale delta, na którą składały się setki mil kwadratowych błota, mułu, piasku i wody, była najniebezpieczniejszą częścią całej rzeki.

Podróżowanie po rzece nie nastroczało trudności, jeśli podążało się najgłębszym z lewych kanałów. Prąd porwał małą łódkę i poniósł na północ wraz z zakręcającymi masami wody, a ostatni z dużych dopływów pchnął ich jedynie na główny nurt. Bracia nie przypuszczali, że ogromna rzeka tak szybko rozpadnie się na kanały. Nim zdali sobie z tego sprawę, zniosło ich już do jednego z wewnętrznych kanałów.

Jondalar nabrał znacznej wprawy w kierowaniu małą łódką. Thonolan również nieźle sobie radził, ale obu im daleko jeszcze było do umiejętności doświadczonych ludzi ze szczepu Ramudoi. Próbowali zawrócić dłubankę, popłynąć pod prąd i odnaleźć właściwy kanał. Poszłoby im lepiej, gdyby po prostu zmienili zwrot wiosłowania – kształt dziobu nie różnił się wiele od kształtu rufy ale nie pomyśleli o tym.

Stali bokiem do prądu. Jondalar wykrzykiwał polecenia do Thonolana, usiłując obrócić łódź dziobem do tyłu. Młodszy z braci zaczynał się coraz bardziej niepokoić. Tymczasem woda niosła z prądem duży pień o rozłożystych korzeniach – ciężką, nasiąkniętą wodą i płynącą pod powierzchnią kłodę drewna, której sterczące korzenie zgarniały wszystko na swej drodze. Dwaj mężczyźni dostrzegli ją jednak zbyt późno.

Wystający koniec ogromnej kłody, kruchy i poczerniały w miejscu, gdzie kiedyś uderzył piorun, z trzaskiem walnął w cienką burtę dłubanki. Przez dziurę w burcie wdarła się woda i szybko wypełniła całą łódkę. Pniak napierał na nich coraz bardziej. Wtem jeden z długich korzeni, znajdujących się tuż pod

powierzchnią wody, dźgnął Jondalara w żebra, pozbawiając go tchu. Inny nieomal trafił Thonolana w oko, pozostawiając długą szramę na jego policzku.

Jondalar i Thonolan, zanurzeni nagle w zimnej wodzie, uczepili się pnia i przyglądali się z przerażeniem, jak ich mała łódka z umocowanym solidnie całym dobytkiem idzie na dno i jedynie kilka pęcherzy powietrza znaczyło miejsce jej zatonięcia.

Thonolan słyszał bolesne pojękiwania brata.

– Nic ci nie jest, Jondalarze?

– Korzeń dźgnął mnie w żebra. Trochę boli, ale chyba to nic poważnego.

Thonolan, a za nim Jondalar, próbowali przedostać się na drugą stronę kłody, ale prąd, który ich z sobą porwał, przyciskał ich razem z innymi zanieczyszczeniami z powrotem do pniaka. Nagle pniak zahaczył o mieliznę. Rzeka, przeciskając się przez sieć obnażonych korzeni, wypychała wszystko co poprzednio prąd utrzymywał pod spodem. Przed Jondalarem wypłynęło nagle napęczniałe ciało renifera. Mężczyzna usunął mu się z drogi, czując ból w boku.

Uwolnieni od kłody popłynęli do wąskiej wysepki na środku koryta. Znalazło na niej schronienie kilka młodych wierzb, ale nie był to stały grunt i pewnie wkrótce zostanie zmyty przez wodę. Drzewa rosnące w pobliżu brzegu były już częściowo zalane, zatopione, bez zielonych pączków wiosennych liści na gałązkach i z korzeniami tracącymi oparcie, niektóre z nich pochylały się w kierunku rwącego nurtu. Grunt był gąbczastym trzęsawiskiem.

– Myślę, że powinniśmy płynąć dalej i spróbować znaleźć suchsze miejsce – powiedział Jondalar.

– Jesteś bardzo obolały – nie próbuj temu zaprzeczać.

Jondalar przyznał się częściowo do swych dolegliwości.

– Ale nie możemy tu zostać – dodał.

Zsunęli się do zimnej wody po drugiej stronie wysepki. Prąd był bardziej bystry niż się spodziewali. Nim dotarli do stałego lądu, zniosło ich spory kawał w dół rzeki. Zmęczeni i zmarznięci z rozczarowaniem stwierdzili, że znajdują się na innej wąskiej wysepce. Ta była co prawda, szersza, dłuższa i trochę bardziej wyniesiona nad powierzchnię wody, ale była również podmokła i bez śladu suchego drewna.

– Nie możemy tu rozpalić ogniska – stwierdził Thonolan. – Musimy płynąć dalej. Gdzie ma być Obóz Mamutoi, o którym powiedział Carlono?

– Na północnym krańcu delty, w pobliżu morza – odparł Jondalar i spojrzał z tęsknotą w tamtym kierunku. Ból w boku wzrastał i Jondalar nie był pewny, czy da radę przepłynąć następny kanał. Przed sobą widział jedynie wzburzoną wodę, niesione prądem kłębowiska różnorodnych śmieci i kilka drzewek znaczących sporadyczne wysepki. – Nie mówił, jak to daleko.

Przebrnęli przez błoto do północnego krańca wąskiego paska lądu i zanurzyli się znowu w zimnej wodzie. Jondalar zauważył kępę drzew w dole nurtu i ruszył w jej kierunku. Resztką sił wydostali się na piaszczysty brzeg po drugiej stronie kanału. Z trudem łapali powietrze. Z ich długich włosów spływały strumyczki wody i wsiąkały w skórzane ubranie.

Było późne popołudnie. Przez szparę w zachmurzonym niebie przedarły się promienie słońca, obmywając wszystko złotym blaskiem, ale niosąc niewiele ciepła. Nagły podmuch północnego wiatru przyniósł chłód, który szybko przeniknął przez ich mokre odzienie. Dopóki się ruszali, było im ciepło, ale wysiłek pochłonął cały zapas ich energii. Przez chwilę stali na zimnym wietrze

wstrząsani dreszczami, po czym powlekli się ku skąpej osłonie rzadkiego skupiska olch.

– Rozbijmy tu obóz – powiedział Jondalar.

– Jeszcze jest jasno. Raczej wolałbym płynąć dalej.

– Zanim zrobimy szałas i spróbujemy rozpalić ogień, to się zrobi ciemno.

– Jeżeli ruszymy dalej, to być może przed zmrokiem odnajdziemy Obóz Mamutoi.

– Thonolanie, chyba nie dam rady.

– Jak to wygląda? – zapytał Thonolan. Jondalar podciągnął bluzę. Rozdarta rana na żebrach była odbarwiona, bez wątpienia krwawiła, ale się zasklepiała pod okładem z mokrego odzienia. Potem Thonolan zauważył otwór przebity w skórze, zastanawiając się czy żebro było złamane.

– A zatem odpocznijmy i rozpalmy ognisko.

Rozejrzeli się wokół siebie. Bezmiar wzburzonej, mętnej wody, ławice ruchomych piasków i mizerna, targana wiatrem roślinność. Pnie z płataniną gałęzi niesione z prądem w kierunku morza czepiały się wszystkiego, co dawało im jakieś oparcie. W oddali kilka kęp zielonych krzaków i drzew zakorzeniło się na jednej z bardziej stabilnych wysepek.

Trzciny i bagienne trawy wyrastały wszędzie tam, gdzie udawało im się zapuścić korzenie. Niedaleko rosła kępa turzycy, której źdźbła wyglądały na mocniejsze niż były w istocie, wielkością dorównywały im proste, mieczowate liście tataraku, wyrastającego z płataniny karłowatego, ledwie na cal wysokiego, trawiastego sitowia. W przybrzeżnych moczarach zarośla z wysokich na dziesięć stóp bazi i sitowia, które przerastały ludzi. Ponad wszystkim wznosiły się sztywne liście trzcin, a ich purpurowe wierzchołki pióropuszy sterczały na trzynaście i

więcej stóp w górę.

Ludziom pozostało jedynie ubranie na grzbiecie. Stracili wszystko wraz z zatonięciem łodzi, nawet nosidła, z którymi wędrowali od samego początku. Thonolan dopasował na siebie ubranie Shamudoj, a Jondalar miał na sobie rzeczy Ramudoj, ale od czasu przymusowej kąpieli w rzece, po której spotkał płaskogłowego, zawsze miał umocowany przy pasie woreczek ze swymi narzędziami. Bardzo się teraz cieszył ze swej przezorności.

– Pójdę sprawdzić, czy znajdę jakieś stare łodygi bazi, które byłyby wystarczająco suche, aby zrobić z nich świder ogniowy powiedział Jondalar, starając się zignorować ból w boku. – A ty rozejrzyj się za suchym drewnem.

Bazie dostarczyły nie tylko starych, zdrewniałych łodyg na świder ogniowy. Długie liście przeplecione przez ramę z olchy tworzyły przesłonę, która pozwalała zbierać ciepło płynące z ogniska. Zielone czubki i młode korzenie upieczone w żarze razem ze słodkimi kłęczami tataraku i podwodnymi częściami sitowia zapewniły im przekąskę. Długi kij, wycięty z młodej olchy, zastrzony i rzucony celnie ręką, przyniósł kilka kaczek, które upieczone na ogniu były dobrym posiłkiem. Z długich, miękkich łodyg sitowia zrobili giętkie maty, którymi przedłużyli przesłonę i owinęli się na czas schnięcia ich ubrań. Później na tych matach zasnęli.

Rano złowili w rzece rybę koszem uplecionym z wierzbowych witek, olchowych gałązek i pasm włóknistej kory. Zwinęli materiały do rozniecania ognia i giętkie kosze w maty do spania, obwiązali je pasmami kory i zarzucili sobie na plecy. Wzięli dzidy i ruszyli. Dzidy były jedynie zastrzonymi kijami, ale dzięki nim zdobywali pożywienie, a kosze do łowienia ryb zapewniały

jego urozmaicenie. Przetrawanie nie tyle zależało od ich wyposażenia, co wiedzy.

Bracia różnili się nieco w poglądach na to, w którą stronę wyruszyć. Thonolan uważał, że przebyli już deltę, i chciał kierować się na wschód, w stronę morza. Jondalar chciał iść na północ pewny, że muszą pokonać jeszcze kolejny kanał rzeki. Doszli w końcu do porozumienia i skierowali się na północny wschód. Okazało się, że to Jondalar miał słuszość, chociaż byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby się mylił. Około południa dotarli do najbardziej wysuniętego na północ kanału wielkiej rzeki.

– Znowu trzeba płynąć – powiedział Thonolan. – Dasz radę?

– A czy mam jakiś wybór?

Ruszyli w kierunku wody, gdy wtem Thonolan nagle przystanął.

– A może przywiązalibyśmy nasze ubrania do kłody, tak jak to zwykliśmy kiedyś robić. Nie musielibyśmy go wtedy suszyć.

– Czy ja wiem – powiedział Jondalar. Nawet mokre ubranie zawsze ich trochę grzało. Thonolan starał się zachowywać rozsądnie, choć w jego głosie znać było zawód i rozdrażnienie. – Ale jeżeli chcesz... – zgodził się Jondalar, wzruszając ramionami.

Zimno było tak. stać nago w chłodnym wilgotnym powietrzu. Jondalar miał ochotę przepasać gołe ciało rzemieniem z woreczkiem z narzędziami, ale Thonolan już zawinął go w bluzę i przywiązywał wszystko do znalezionej przez siebie kłody. W zetknięciu z gołą skórą, woda wydawała się jeszcze zimniejsza. Jondalar musiał zacisnąć zęby, aby nie krzyknąć, gdy się zanurzył i spróbował płynąć, ale woda nieco znieczuliła bolesność jego rany. Oszczędzał swój bok, zostając za bratem, choć Thonolan pchał kłodę.

W końcu wyczołgali się z wody i stanęli na ławicy piasku.

Pierwotny cel ich podróży – koniec Wielkiej Matki Rzeki – był w zasięgu ich wzroku. Mogli nawet dostrzec wody wewnętrznego morza. Chwila ta jednak nie wzbudziła w nich podniecenia. Podróż straciła swój cel. Koniec rzeki przestał być celem ich wędrówki. Nie byli jeszcze na stałym lądzie. Nie przebyli jeszcze całej delty. Ławica piasku, na której stali, kiedyś stanowiła dno kanału, ale rzeka zmieniła bieg. Musieli jeszcze przejść opuszczone łożysko.

Z drugiej strony starego łożyska wabił ich wysoki, zalesiony brzeg. W miejscach pociętych przez rwący nurt zwisały od spodu obnażone korzenie. Jeszcze niedawno musiała tu płynąć woda, która zresztą nadal stała na środku, a roślinność ledwie zapuściła korzenie. Jedynie owady zdążyły już się zadomowić w kałużach i wkrótce rój komarów odkrył dwóch mężczyzn.

Thonolan odwiązał rzeczy od kłody.

– Musimy się jeszcze przedostać przez te stawy, a i brzeg wygląda na dość grząski. Poczekajmy z nałożeniem ubrania, dopóki nie przejdziemy na drugą stronę.

Jondalar skinął głową, był zbyt obolały, aby dyskutować. W czasie pływania nadwerżył znaczenie swe siły i teraz miał trudności z utrzymaniem się na nogach.

Thonolan zabił klepnięciem komara i ruszył w dół łagodnej pochyłości, która kiedyś była zboczem wiodącym ku łożysku rzeki.

Tyle razy im to powtarzano. Nigdy nie odwracajcie się plecami do rzeki; nigdy nie lekceważcie Wielkiej Matki Rzeki, która nad tym łożyskiem, choć opuściła je na jakiś czas, nadal sprawowała pieczę i na nieostrożnych gości czekało tam kilka niespodzianek. Każdego roku były niesione do morza miliony ton szlamu, które osadzały się na przestrzeni tysięcy mil kwadratowych delty.



Opuszczone łożysko było rozmokłym, słonym bagniskiem o słabym drenażu. Nowa zielona trawka i trzcina zakorzeniły się w mokrym, gliniastym szlamie.

Obaj mężczyźni ślizgali się i zsuwali w dół zbocza po kleistym błocie, które wessało ich nagie stopy, gdy dotarli na dół. Thonolan rzucił się do przodu zapominając, że Jondalar nie idzie swym zwykłym zamaszystym krokiem. Mógł, co prawda iść, ale śliskie zbocze przyprawiało go przy każdym kroku o ból. Ostrożnie wybierał drogę, czując się trochę głupio, gdy wędrował nago po grzęzawisku i nęcił wygłodniałe owady swą miękką skórą.

Thonolan wysforował się tak daleko do przodu, że Jondalar miał właśnie zamiar za nim krzyknąć. Uniósł nawet w tym celu głowę, ale wówczas dobiegło go wołanie Thanolana, grzęznącego w błocie. Jondalar, zapominając o bólu, pobiegł w jego stronę. Opanował go strach, gdy zobaczył Thanolana pogrążającego się w ruchomych piaskach.

– Thonolan! Wielka Matko! – krzyknął Jondalar, rzucając się na pomoc bratu.

– Nie podchodź, bo też wpadniesz! – Thonolan, szarpiąc się w nadziei wydostania się z grzęzawiska, zapadał się coraz głębiej.

Jondalar rozglądał się z przerażeniem dookoła, próbując znaleźć coś, co mogłoby pomóc Thonolanowi. Bluza! Mogę rzucić mu koniec, pomyślał, a potem przypomniał sobie, że to niemożliwe. Węzełek z ubraniem przepadł. Pokręcił głową. Wtem dostrzegł uschnięty pniak starego drzewa, na wpół zagrzebanego w błocie, i pobiegł sprawdzić, czy nie uda mu się ułamać jednego z korzeni. Ale żaden z korzeni nie był wystarczająco długi, zostały obłamane w czasie szaleńczej podróży z biegiem rzeki.

– Thonolan, gdzie węzełek z rzeczami? Potrzebne mi coś do wyciągnięcia ciebie!

Rozpacz w głosie Jondalara wywołała nie chciany skutek. Przypomniała Thonolanowi o jego smutku chwilowo przytłumionym paniką. Poczuł, że ogarnia go spokój i chęć pogodzenia się z losem.

– Skoro Matka pragnie mnie zabrać, pozwól jej to uczynić.

– Nie! Thonolanie, nie! Nie możesz się tak poddawać. Nie możesz po prostu umrzeć. O Matko, Wielka Matko, nie pozwól mu tak umrzeć! – Jondalar opadł na kolana i wyciągnął rękę. Złap moją dłoń, proszę, złap moją dłoń – błagał.

Thanolana zaskoczył smutek i ból na twarzy brata i coś jeszcze, co poprzednio widywał jedynie w rzadkich przelotnych spojrzeniach. Zrozumienie przyszło natychmiast. Brat go kochał, kochał równie mocno, jak on kochał Jetamio. Nie było to oczywiście takie samo uczucie, ale było równie silne. Podświadomie to zrozumiał i sięgając po wyciągniętą do siebie rękę, wiedział, że nawet jeżeli nie uda mu się wydostać z tego grzęzawiska, to musi uchwycić dłoń brata.

Thonolan nie zdawał sobie z tego sprawy, ale począł wolniej się zapadać, gdy zaprzestał szamotania. Kiedy wyciągnął się, aby sięgnąć po dłoń brata, przyjął bardziej horyzontalną pozycję, rozkładając tym samym swój ciężar na większej powierzchni nasiąkniętego wodą, luźnego, mulistego piachu, prawie tak, jakby pływał w wodzie. Wyciągał dłoń, dopóki ich palce się nie spotkały. Jondalar posunął się jeszcze o kilka cali do przodu, aż schwycił pewnie dłoń brata.

– Tak właśnie trzeba! Trzymaj go! Już idziemy! – zawołał głos w języku Mamutoi.

Jondalar wypuścił z głośnym westchnieniem ulgi

wstrzymywany z napięcia oddech. Stwierdził, że drży, ale pewnie trzymał dłoń Thonolana. Po chwili podano Jondalarowi linę, aby obwiązał nią ręce brata.

– Możesz już odetchnąć – poinstruowano Thonolana. Wyciągnij się, jak przy pływaniu. Umiesz pływać?

– Tak.

– Dobrze! Dobrze! Ty się odpręż, my będziemy ciągnąć.

Czyjeś ręce odciągnęły Jondalara ze skraju ruchomych piasków. Wkrótce i Thonolan był wyciągnięty. Potem poszli za kobietą, która, aby uniknąć innych grzędawisk, sprawdzała grunt przed sobą długim kijem. Dopiero po dotarciu do twardego gruntu wszyscy spostrzegli, że obaj mężczyźni byli całkowicie nadzy.

Kobieta, która przewodziła akcją ratunkową, cofnęła się i obrzuciła ich badawczym spojrzeniem. Była dużą kobietą, nie tyle wysoką i grubą, co krzepką, a jej zachowanie zmuszało do szacunku.

– Dlaczego nic na sobie nie macie? – zapytała w końcu. Dlaczego dwóch mężczyzn podróżuje nago?

Jondalar i Thonolan popatrzeni na swoje gołe ubłocone ciała. – Dostaliśmy się do złego kanału; potem kłoda uderzyła w naszą łódź – zaczął Jondalar. Czuł się niezręcznie, nie mógł stać wyprostowany.

– Wsuszyliśmy rzeczy i pomyślałem, że możemy je zdjąć, aby przepłynąć kanał, i przejść przez błoto. Ja niosłem nasze ubranie, bo Jondalar był ranny i...

– Ranny? Jeden z was jest ranny? – zapytała kobieta.

– Mój brat – powiedział Thonolan. Na wspomnienie o tym Jondalar uprzytomnił sobie pulsujący ból w boku.

Kobieta zauważyła, że pobladł.

– Mamut musi go obejrzyć – powiedziała do pozostałych. Nie jesteście z ludu Mamutoi. Gdzie nauczyliście się naszej mowy?

– Od kobiety z ludu Mamutoi, która żyje wśród Sharamudoi, mojej krewnej – powiedział Thonolan.

– Tholie?

– Tak, znasz ją?

– Ona jest także moją krewną. Córką mojej kuzynki. Skoro jesteś jej krewnym, to jesteś i moim krewnym – powiedziała kobieta. – Jestem Brecie, z ludu Mamutoi, przywódca Wierzbowego Obozu. Jesteście obaj w nim mile widziani.

– Ja jestem Thonolan z ludu Sharamudoi. To jest mój brat, Jondalar, z ludu Zelandonii.

– Zel-an-don-ye? – Brecie powtórzyła nieznane słowo. Nie słyszałam o takim ludzie. Skoro jesteście braćmi, to dlaczego ty jesteś Sharamudoi, a on tym... Zelandonii? On nie wygląda za dobrze – powiedziała, odkładając dalszą rozmowę na bardziej odpowiedni czas. Potem zwróciła się do jednego z pozostałych ludzi. – Pomóż mu. Nie jestem pewna, czy potrafi iść o własnych siłach.

– Chyba będę mógł sam iść – powiedział Jondalar, czując nagły zawrót głowy z bólu – jeżeli to nie jest zbyt daleko.

Jondalar był jednak wdzięczny, gdy jeden z ludzi wziął go pod rękę. Thonolan podtrzymał go z drugiej strony.

– Jondalarze, dawno bym już odszedł, gdybyś nie zmusił mnie, abym przyrzekł, że poczekam aż wyzdrowiejesz na tyle, aby dalej wędrować. Odchodzę. Myślę, że powinieneś wracać do domu, ale nie będę się z tobą na ten temat sprzeczał.

– Dlaczego chcesz iść na wschód? Dotarłeś do końca Wielkiej Matki Rzeki. Morze Berana jest tuż tuż. Dlaczego nie chcesz wracać teraz do domu?

– Nie idę na wschód, idę mniej więcej na północ. Brecie mówiła, że wkrótce wszyscy wyruszą na północ polować na mamuty. Pójdę przodem, do następnego Obozu Mamutoi. Nie wracam do domu. Mam zamiar wędrować, dopóki Matka nie zabierze mnie do siebie.

– Nie mów takich rzeczy! Sprawiasz wrażenie, jakbyś chciał umrzeć! – krzyknął Jondalar, żałując tego zaraz z obawy, że już sama wzmianka sprawi, iż jego myśli się sprawdzą.

– A jeżeli tak jest? – odkrzyknął Thonolan. – Po co miałbym żyć... bez Jetamio. – Głos mu się załamał i jej imię wymówił z cichym szlochem.

– A po co żyłeś, nim ją poznałeś? Jesteś młody. Masz przed sobą długie życie. Nowe miejsca do odwiedzenia, nowe rzeczy do zobaczenia. Daj sobie szansę na spotkanie innej kobiety, podobnej do Jetamio – przekonywał go Jondalar.

– Ty nic nie rozumiesz. Nigdy nie byłeś zakochany. Nie ma drugiej kobiety takiej, jak Jetamio.

– Więc zamierzasz podążać za nią do świata duchów i mnie pociągnąć za sobą! – Nie chciał tego powiedzieć, ale skoro jedynym sposobem na utrzymanie brata przy życiu było wywołanie w nim poczucia winy, to musiał to uczynić.

– Nikt cię nie prosił, abyś za mną szedł! Dlaczego nie wracasz do domu i nie zostawisz mnie w spokoju?

– Thonolanie, wszyscy smucą się po stracie ukochanych osób, ale nie podążają za nimi w zaświaty.

– Pewnego dnia i ciebie to spotka. Pewnego dnia pokochasz kobietę tak bardzo, że raczej będziesz wolał pójść za nią do świata duchów niż żyć bez niej.

– A gdybym to ja był teraz na twoim miejscu, to pozwoliłbyś mi odejść samemu? Gdybym stracił kogoś, kogo kochałem tak

bardzo, że wolałbym umrzeć, niż żyć bez niej, to czy zostawiłbyś mnie? Powiedz, bracie, czy byś tak uczynił? Czy wróciłbyś do domu, gdybym zasmucał się na śmierć swą stratą.

Thonolan spuścił wzrok, potem spojrzał w zatroskane błękitne oczy swego brata.

– Nie, zdaje się, że nie zostawiłbym cię, gdybym wiedział, że zadręczasz się śmiertelnym smutkiem. Ale wiesz przecież, starszy bracie... – próbował się uśmiechnąć, ale na znękaną bólem twarzy wyglądało to na grymas – że jeżeli postanowię podróżować do końca życia, to nie musisz wiecznie za mną iść. Masz już serdecznie dość podróżowania. Kiedyś musisz wrócić do domu. A gdybym ja chciał wracać do domu a ty nie, to chciałbyś, abym wrócił, prawda?

– Tak, chciałbym, abys wrócił. Chciałbym, abys teraz wrócił do domu. Nie dlatego, że tego chcesz czy nawet nie dlatego, że ja tego chcę. Tobie potrzebni są teraz członkowie twojej własnej jaskini, potrzebujesz swojej rodziny, ludzi, których znałeś całe życie, którzy cię kochają.

– Nie rozumiesz. Pod tym względem się różnimy. Dziewiąta Jaskinia Zelandonii jest twoim domem i zawsze nim będzie. Mój dom jest tam, gdzie mam ochotę go założyć. Jestem w równym stopniu Sharamudoi jak byłem Zelandonii. Po prostu, opuściłem moją jaskinię i ludzi, których kochałem równie mocno jak moją rodzinę Zelandonii. To oczywiście nie oznacza, że nie zastanawiam się, czy Joharran ma już dzieci lub czy Folarą wyrosła już na tak piękną dziewczynę, na jaką się zapowiadała. Chciałbym opowiedzieć Willomarowi o naszej podróży i dowiedzieć się, dokąd on zamierza wyruszyć następnym razem. Nadal pamiętam, jak bardzo byłem podniecony jego powrotem z podróży. Słuchałem jego opowieści i marzyłem o podróżowaniu.

Pamiętasz, jak on zawsze przynosił coś dla każdego z każdej wyprawy? Dla mnie, dla Folar, a także dla ciebie. I zawsze coś pięknego dla Matki. Kiedy ty wrócisz, też przynieś jej coś pięknego.

Na dźwięk znajomych imion Jondalar poczuł przypływ wzruszających wspomnień.

– Dlaczego ty nie przyniesiesz jej czegoś pięknego, Thonolanie? Myślisz, że Matka nie chce cię ponownie zobaczyć?

– Matka wiedziała, że ja nie wrócę. Powiedziała nam na odchodnym: “Szczęśliwej podróży”, a nie: “Do szczęśliwego powrotu”. To ty ją wytrąciłeś z równowagi i to, być może, nawet bardziej niż Maronę.

– Dlaczego miałyby się bardziej martwić o mnie niż o ciebie?

– Ja jestem synem ogniska Willomara. Myślę, że ona wiedziała, iż będę podróżnikiem. Mogło jej się to nie podobać, ale rozumiała to. Rozumiała wszystkich swoich synów – to dlatego uczyniła po sobie przywódcą Joharrana. Ona wie, że Jondalar jest z ludu Zelandonii. Gdybyś wyruszył w podróż sam, to wiedziałyby, że wrócisz – ale ty odszedłeś ze mną, a ja nie miałem zamiaru wracać. Nie zdawałem sobie z tego sprawy w momencie odejścia, ale myślę, że ona wiedziała. Chciała, abyś wrócił; jesteś synem ogniska Dalanara.

– A co to za różnica? Zerwali więzy dawno temu. Podczas Letnich Spotkań odnoszą się do siebie tylko przyjaźnie.

– Może i są teraz tylko przyjaciółmi, ale ludzie nadal gadają o Marthonie i Dalanarze. Ich miłość musiała być czymś szczególnym, skoro tak długo się o niej pamięta. A ty jesteś po nim jedyną pamiątką, synem urodzonym przy jego ognisku. Masz także jego duszę. Wszyscy o tym wiedzą; bardzo go przypominasz z wyglądu. Musisz wracać. Tam jest twoje miejsce.

Ona to wie i ty to wiesz. Przymknij, że kiedyś wrócisz, bracie.

Jondalar nie bardzo był skory do składania takich przyrzeczeń. Bez względu na to, czy będzie kontynuował podróż z bratem, czy zdecyduje się na powrót do domu, to w każdym przypadku straci więcej niż chciał. Dopóki niczego nie przyrzekał, to miał złudną nadzieję, że nadal może mieć jedno i drugie. Obietnica powrotu będzie jednoznaczna z akceptacją tego, iż nie będzie z nim brata. – Obiecuj mi, Jondalarze.

Nie potrafił jednak znaleźć odpowiednich argumentów.

– Obiecuję – zgodził się. – Wrócę do domu – kiedyś.

– W końcu przecież, starszy bracie – powiedział Thonolan z uśmiechem – ktoś musi im powiedzieć o tym, że dotarliśmy do końca Wielkiej Matki Rzeki. Mnie tam nie będzie, więc ty musisz to uczynić.

– Dlaczego ciebie nie będzie? Możesz przecież pójść ze mną.

– Myślę, że Matka zabrałaby mnie już na rzece, gdybyś jej nie przebłagał. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, ale wiem, że ona wkrótce po mnie przyjdzie i ja z nią odejdę.

– Masz zamiar szukać śmierci? – Nie, starszy bracie. – Thonolan się uśmiechnął. – Nie muszę jej szukać. Ja po prostu wiem, że Matka po mnie przyjdzie. Pragnę, byś wiedział, że jestem gotowy.

Jondalar poczuł wewnętrzny skurcz. Od czasu wypadku na ruchomych piaskach, Thonolan miał fatalistyczną pewność, iż wkrótce umrze. Uśmiechał się, ale to nie był już ten jego stary uśmiech. Jondalara złościła jego spokojna akceptacja. Nie było w nim woli walki, woli życia.

– Nie sądzisz, że jesteśmy coś winni Brezie i Wierzbowemu Obozowi? Karmili nas, odziali, dali broń, wszystko. Masz zamiar przyjąć to wszystko, nie dając nic w zamian? – Jondalar chciał



rozzłościć brata, chciał wiedzieć, że pozostały w nim jeszcze jakieś uczucia. Czuł, że zmuszono go do złożenia przysięgi, która uwalniała brata od jego ostatecznych zobowiązań. – Jesteś pewny, że Matka przeznaczyła ci szczególny los, który pozwala ci myśleć jedynie o sobie? Jedynie Thonolan, tak? Nikt inny się nie liczy.

Thonolan się uśmiechnął. Rozumiał gniew Jondalara i nie czuł do niego żalu. Jakby się czuł, gdyby Jetamio wiedząc, że umrze, powiedziała mu o tym?

– Jondalar, chcę ci coś powiedzieć. Byliśmy sobie bliscy...

– A już nie jesteśmy?

– Oczywiście, ponieważ nie możesz się przy mnie odprężyć. Nie musisz cały czas być taki doskonały. Zawsze taki odpowiedzialny...

– Tak, jestem tak doskonały, że Serenio nie chciała nawet zostać moją partnerką – powiedział z gorzkim sarkazmem.

– Ona wiedziała, że odchodzimy, i nie chciała, aby było jej jeszcze bardziej przykro. Gdybyś poprosił ją o to wcześniej, to zostałyaby twoją partnerką. Zostałyby, gdybyś trochę bardziej nalegał, nawet wtedy, gdy ją już w końcu o to poprosiłeś – nawet wiedząc, że jej nie kochasz. To ty jej nie chciałeś, Jondalarze.

– Jak możesz więc mówić, że jestem doskonały. Na Wielką Doni, Thonolanie, chciałem ją pokochać.

– Wiem, że chciałeś. Dowiedziałem się czegoś od Jetamio i chciałbym, abyś o tym wiedział. Jeżeli chcesz się zakochać, to nie możesz wszystkiego trzymać w sobie. Musisz się otworzyć, podjąć ryzyko. Czasami to może być bolesne, ale jeżeli tego nie uczynisz, nigdy nie będziesz szczęśliwy. Ta, którą znajdziesz, wcale nie musi być tym typem kobiety, w której spodziewałeś się zakochać, ale to nie będzie miało znaczenia, pokochasz ją taką,

jaka będzie.

– Zastanawiałam się, gdzie jesteście – powiedziała Brezie, zbliżając się do braci. – Zaplanowałam dla ciebie małą uroczystość pożegnalną, skoro tak bardzo spieszno ci odejść.

– Czuję się zobowiązany, Brezie – powiedział Jondalar. Opiekowałaś się mną, dałaś nam wszystko. Uważam, że nie powinno się odchodzić, nie spłaciwszy swych długów.

– Twój brat ofiarował nam już więcej niż trzeba w zamian. Gdy ty wracałeś do zdrowia, on każdego dnia polował. Czasami zbyt ryzykował, ale szczęście mu w łowach sprzyjało. Odejdziecie bez dalszych zobowiązań.

Jondalar spojrział na brata, który uśmiechał się do niego.

## . 19 .



Wiosna w dolinie zawitała wraz z feerią kolorów, wśród których dominowała zieleń. Jednakże jej wcześniejsze nadejście wzbudziło w Ayli lęk i przytłumiło nieco jej entuzjazm, z jakim zwykle witała nową porę roku. Zima, po spóźnionym nadejściu, była ciężka i bardziej niż normalnie śnieżna. Wczesne wiosenne powodzie z szaloną gwałtownością zmywały topniejący śnieg.

Strumień, przeciskając się w górnym biegu przez wąskie gardło wąwozu, wzbierał na sile i uderzał z taką mocą w wystającą ścianę, że wstrząsało to nawet jaskinią. Poziom wody sięgnął prawie skalnego tarasu. Ayła była niespokojna o Whinney. Sama mogła w razie potrzeby wdrapać się na stopy, ale dla konia była to zbyt stroma droga, szczególnie dla ciężarnej klaczy. Kobieta spędziła kilka pełnych niepokoju dni na obserwacji wzburzonego strumienia pnącego się coraz wyżej po ścianie wąwozu. W dole jego biegu połowa doliny był zalana, a krzaki rosnące wzdłuż normalnych brzegów rzeczki, były całkowicie zatopione.

Pewnej nocy, w okresie najgwałtowniejszej powodzi, Ayła zerwała się na równe nogi, wyrwana ze snu przez stłumione, podobne grzmotowi dudnienie, które dobiegło z za jej pleców. Skamieniała ze strachu. Nie poznała jednak powodów tego

hałasu, dopóki powódź nie opadła. Wielki głaz zderzył się ze ścianą, powodując powstanie w skale fali uderzeniowej. Pod wpływem uderzenia oderwała się część skalnej przegrody i duży fragment ściany leżał w poprzek strumienia.

Strumień zmienił kierunek, gdyż woda była zmuszona inną drogą opłynąć przeszkodę. Wyłom w ścianie zapewniał wygodne przejście, ale zwęził plażę. Woda zmyła znaczną część nagromadzonych kości, wyrzuconego drewna i kamieni z plaży. Głaz, który wylądował niedaleko skały, wyglądał na zrobiony z tej samej skały, co wąwóz.

Pomimo tego całego zamieszania – przesuwania skał, wyrywania z korzeniami drzew i krzewów – jedynie najśłabsza roślinność uległa wiosennej powodzi. W każdym wolnym kąciku kiełkowały nowe roślinki. Roślinność szybko przesłoniła świeże blizny odsłoniętych skał i ziemi, tuszując zaszłe zmiany. Wkrótce cała okolica wyglądała tak, jakby nic się nie wydarzyło, a przecież ostatnio tak gwałtownie zmieniła swój wygląd.

Ayla przywykła do zmian w otoczeniu. Szybko znalazła zastępstwo dla każdego głazu czy pnia o specjalnym przeznaczeniu. Ale te wydarzenia w wyraźny sposób zaważyły na jej stosunku do tego miejsca. Jaskinia i dolina straciły swój bezpieczny charakter. Każdej wiosny przeżywała rozterki, ponieważ – jeżeli miała opuścić dolinę i podjąć poszukiwania Innych, powinna to uczynić właśnie wiosną. Musiała mieć wystarczająco dużo czasu na wędrówkę i poszukiwanie innego miejsca do spędzenia zimy, na wypadek, gdyby nikogo nie spotkała.

Tej wiosny podjęcie decyzji było trudniejsze niż kiedykolwiek. Po przebytej chorobie obawiała się zaziębienia późną jesienią lub wczesną zimą, ale jej jaskinia nie wydawała się już taka

bezpieczna, jak dawniej. Choroba z całą ostrością ukazała jej niebezpieczeństwa samotnego życia, uprzytomniła odczuwany brak ludzkiego towarzystwa. Nawet jej zwierzęcy przyjaciele po powrocie nie wypełnili tej pustki. Zwierzęta były miłe i czułe w stosunku do niej, ale mogła porozumiewać się z nimi jedynie w najprostszym tego słowa znaczeniu. Nie mogła dzielić się z nimi swymi pomysłami czy opowiadać o swych doświadczeniach; nie mogła im snuć opowieści lub zachwycać się wspólnie nowymi odkryciami czy dokonaniem. Nie miał kto rozpraszać jej lęków i pocieszać w strapieniu. Jednakże ile ze swojej niezależności i wolności gotowa była zamienić na bezpieczeństwo i towarzystwo?

Nie zdawała sobie w pełni sprawy z tego, w jakim żyła zniewoleniu, dopóki nie zakosztowała wolności. Lubiła sama podejmować decyzje. O ludziach, wśród których się urodziła, nie wiedziała nic. Nie wiedziała, czego będą wymagać od niej Inni; wiedziała jedynie, że są pewne sprawy, z których nie chciałyby zrezygnować. Whinney była jedną z nich. Nie zamierzała powtórnie zrezygnować z konia. Nie wiedziała, czy miałyby ochotę na rezygnację z polowania, ale co by było, gdyby zabronili jej się śmiać?

Istniał również o wiele większy problem. Choć starała się o nim nie myśleć, to jednakże wszystkie inne problemy traciły przy nim na ważności. Co będzie, jeżeli znajdzie Innych, a oni nie będą chcieli jej przyjąć? Klan Innych może nie mieć ochoty na przyjęcie kobiety, która obstaje przy towarzystwie konia, lub chce polować czy śmiać się, co jednakże będzie, jeżeli odmówią jej przyjęcia, nawet gdy zdecyduje się wszystko poświęcić? Dopóki ich nie znajdzie, to może mieć nadzieję. Co się jednak stanie, gdy będzie musiała samotnie spędzić całe życie?

Podobne myśli pojawiały się w jej głowie od czasu, gdy śnieg zaczął topnieć i była zadowolona z tego, że okoliczności sprzyjały opóźnieniu podjęcia decyzji. Nie zabierze Whinney z rodzinnej doliny, nim klacz nie wyda na świat źrebaka. Wiedziała, że klacze źrebią się zwykle na wiosnę. Z doświadczeń uzdrowicielki, która była obecna przy wielu ludzkich porodach, wiedziała, że może to nastąpić w każdej chwili, toteż bacznie obserwowała klacz. Nie wyprawiała się z nią na polowania, ale często jeździła na niej dla ćwiczeń.

– Zdaje się, że przegapiliśmy Obóz Mamutoi, Thonolanie. Chyba jesteśmy zbyt daleko na wschód – powiedział Jondalar. Szli tropem stada jeleni olbrzymich w nadziei uzupełnienia szybko znikających zapasów.

– Nie wiem... Patrz! – Nagle wyszli na samca o ogromnym płetwiastym porożu. Thonolan wskazał na płochliwe zwierzę. Jondalar się zastanawiał, czy samiec wyczuł niebezpieczeństwo, i spodziewał się usłyszeć głęboki, dźwięczny ryk na alarm, ale zanim byk zaryczał ostrzegawczo, ze stada wyrwała się łania i pognąła prosto na nich. Thonolan cisnął oszczepem o krzemienным ostrzu sposobem, którego nauczył się od Mamutoi, i dzięki któremu płaskie ostrze wbija się pomiędzy żebra. Rzut był celny; łania padła im niemal u stóp.

Nie zdążyli się jeszcze zająć swym łupem, gdy zobaczyli, dlaczego byk był taki nerwowy, a łania pognąła prosto na oszczep. W napięciu obserwowali biegnącą w ich stronę lwicę. Przez chwilę drapieżnik zdawał się dezorientowany padnięciem łani. Lwica nie była przyzwyczajona, by jej ofiara padała, nim ją zaatakuje. Nie wahała się jednak długo. Obwąchała łanię, aby się upewnić, że jest martwa, a następnie schwyciła ją mocno zębami za kark i zaczęła odciągać na bok.

Thonolan nie posiadał się z oburzenia.

– Lwica kradnie nasz łup!

– Ta lwica również podchodziła jelenia, a skoro uważa, że to jej zdobycz, to ja nie mam zamiaru się z nią o to kłócić.

– Ale ja mam.

– Nie bądź śmieszny – parsknął Jondalar. – Nie masz chyba zamiaru zabierać lwicy jelenia.

– Nie mam zamiaru się poddać.

– Zostaw ją. Możemy sobie znaleźć innego jelenia – powiedział Jondalar, idąc za bratem, który ruszył za lwicą.

– Chcę tylko zobaczyć, dokąd go zabierze. Nie sądzę, aby należała do stada – do tego czasu reszta siedziałaby już na tej zdobyczy. Myślę, że to samotna lwica i odciąga jelenia, aby go ukryć przed innymi lwami. Zobaczymy, dokąd go zabiera. Wcześniej czy później ona odejdzie, a wtedy moglibyśmy sobie wziąć trochę świeżego mięsa.

– Nie chcę świeżego mięsa ze zdobyczy lwa jaskiniowego.

– To nie jej zdobycz. Z boku łani nadal sterczy mój oszczep. Nie było sensu się sprzeczać. Poszli za lwicą do ślepego jaru, którego dno stanowiło skalne rumowisko powstałe po osunięciu się części ścian. Bracia obserwowali i czekali. Zgodnie z przewidywaniami Thonolana wkrótce potem lwica się oddaliła. Thonolan ruszył w dół jaru.

– Thonolanie, nie chodź tam! Nie wiesz przecież, kiedy lwica zechce wrócić.

– Chcę tylko odzyskać mój oszczep i wziąć kawałek mięsa. – Thonolan schodził w dół po rumowisku. Jondalar niechętnie podążył za nim.

Ayla poznała tak dobrze tereny położone na wschód od doliny, że znudziło jej się już po nich jeździć, szczególnie od czasu, gdy

przestała polować. Przez wiele dni było szaro i deszczowo. W końcu ciepłe słońce zmusiło do ucieczki poranne chmury i Ayla przygotowała się do wyruszenia na przejażdżkę. Nie mogła jednak znieść myśli, że będzie znowu przemierzać ten sam obszar.

Umocowała kosze i tyczki od noszy, a potem poprowadziła konia w dół stromą ścieżką i dookoła węższej teraz ściany. Zamiast wyjeżdżać na stepy, postanowiła ruszyć w głąb długiej doliny. Na jej końcu, tam, gdzie strumień zakręcał na południe, zauważyła zwirowate zbocze, na które się wspinała poprzednio, aby spojrzeć na zachód, ale uznała, że to wejście było zbyt niepewne dla konia. Pojechała dalej w nadziei, że znajdzie bardziej dostępne wejście na zachodnią stronę. Jadąc na południe rozglądała się dookoła z ciekawością. Była na nowym terenie i zastanawiała się, dlaczego poprzednio tędy nie jeździła. Wysoka ściana zaczęła przechodzić w łagodne zbocze. Ayla ujrzała płyciznę, zawróciła Whinney i nakłoniła ją, aby przeszła na drugą stronę.

Okolica przypominała tu wyglądem otwarte stepy. Oczywiście nieco się różniła, lecz to właśnie czyniło ją bardziej interesującą. Ayla pojechała przed siebie. Po pewnym czasie znalazła się w dzikiej krainie wysokiego, skalistego płaskowyżu o stromych stokach, poprzecinanych urwistymi jarami. Zapуściła się dalej niż planowała, i zbliżając się do kolejnego jaru myślała właśnie o tym, że powinna zawrócić. Wtem usłyszała coś, co zmroziło jej krew w żyłach i przyspieszyło bicie serca: grzmiący ryk lwa jaskiniowego – i ludzki krzyk.

Ayla się zatrzymała, słysząc, jak krew pulsuje jej w skroniach. Tak dawno nie słyszała ludzkiego głosu, ale wiedziała, że był to człowiek, a co więcej, że był to człowiek z jej rodzaju. Była tak



oszołomiona, że nie potrafiła myśleć. Wstrząsnął nią ten krzyk – to był krzyk o pomoc. Ale nie mogła przecież stawić czoła lwu jaskiniowemu, nie narażając przy tym Whinney na niebezpieczeństwo.

Koń wyczuł jej głęboką chęć niesienia pomocy i zawrócił w kierunku jaru, choć Ayla swym ciałem jedynie to zasygnalizowała. Powoli zbliżyły się do jaru, potem Ayla zsiadła z klaczy i zajrzała w głąb rumowiska. Jar był ślepy, zamykała go ściana skalnego gruzu. Usłyszała warczenie lwa jaskiniowego i dostrzegła rudawą grzywę. Wtem uprzytomniła sobie, że Whinney nie okazywała zdenerwowania i domyśliła się, co było tego powodem.

– To Maluszek! Whinney, to Maluszek!

Ayla pobiegła w głąb jaru, nie pamiętając o tym, że w pobliżu może być inny lew jaskiniowy, i nie biorąc nawet pod uwagę tego, że Maluszek nie był już jej młodym towarzyszem zabaw, ale dorosłym lwem. W tej chwili liczyło się tylko, że był Maluszkiem. Nie bała się go. Wspięła się w jego kierunku po skalnych występach. Lew odwrócił się i prychnął na nią.

– Przestań, Maluszkule! – poleciła gestem i głosem. Zawahał się jedynie chwilę, lecz ona już przy nim była i odpychała go, chcąc zobaczyć jego ofiarę. Kobieta była zbyt znajoma, a jej zachowanie zbyt stanowcze, aby się jej sprzeciwić. Lew odsunął się na bok tak, jak to zawsze czynił, gdy chciała zachować sobie skórę czy wziąć dla siebie kawałek mięsa. On zresztą nie był głodny. Najadł się jeleniem przyniesionym przez lwicę. Zaatakował jedynie w obronie własnego terytorium – a potem się zawahał. Ludzie nie byli jego zwierzyną łowną. Ich zapach był zbyt podobny do zapachu kobiety, która go wychowała, zapachu matki i jednocześnie towarzysza łowów.

Ayla spostrzegła, że było ich dwóch. Uklękła, aby ich obejrzeć. Powodował nią głównie instynkt uzdrowicielki, ale była również zdumiona i ciekawa. Wiedziała, że to mężczyźni, choć byli pierwszymi mężczyznami Innych, jakich widziała. Nie potrafiła sobie wyobrazić mężczyzny, ale w chwili, gdy ujrzała tych dwóch, zrozumiała, dlaczego Oda mówiła, że mężczyźni Innych wyglądają tak, jak ona.

Natychmiast stwierdziła, że dla tego o ciemnych włosach nie było nadziei. Leżał skręcony nienaturalnie z przetrąconym karkiem. Ślady zębów na gardle oznajmiały przyczynę jego śmierci. Choć nigdy go przedtem nie widziała, to jednak jego śmierć zdenerwowała ją. Do oczu cisnęły się łzy żalu. Nie kochała go przecież, ale gnębiło ją poczucie straty czegoś bezcennego, nim jeszcze miała szansę pojąć wartość tego, co znalazła. Była zdruzgotana tym, iż pierwszy człowiek z jej rodzaju, którego ujrzała, był martwy.

Pragnęła uznać jego człowieczeństwo, uczcić go pogrzebem, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się drugiemu z mężczyzn zdała sobie sprawę, że to będzie niemożliwe. Mężczyzna o jasnych włosach nadal oddychał, ale życie uchodziło z niego szybko przez ranę w nodze. Jediną nadzieją dla niego było jak najszybsze przetransportowanie go do jaskini, gdzie mogłaby się nim zająć. Nie było czasu na pogrzeb.

Maluszek obwąchiwał ciemnowłosego mężczyznę. W tym czasie Ayla starała się zatrzymać krwotok z nogi drugiego mężczyzny za pomocą przepaski z procy i gładkiego kamienia, który miał ucisnąć żyłę. Odsunęła lwa od ciała. – Wiem, że on jest martwy, Maluszkule, ale nie jest dla ciebie, pomyślała. – Lew zeskoczył z półki i poszedł się upewnić, czy jego jeleni leży nadal pomiędzy kamieniami, tam, gdzie go zostawił. Znajome

pomrukiwania powiedziały Ayli, że przygotowywał się do jedzenia.

Krwotok zmalął, krew jedynie sączyła się teraz z rany. Ayla zagwizdała na Whinney, a potem zeskoczyła na dół, aby przygotować nosze. Teraz Whinney była bardziej nerwowa i Ayla przypomniała sobie, że Maluszek miał partnerkę. Poklepała i pogłaskała uspokajająco konia. Sprawdziła solidność noszy – plecionej maty rozpiętej pomiędzy drągami, których końce ciągnęły się po ziemi za koniem, i uznała, że utrzymają jasnowłosego człowieka. Nadal jednak nie wiedziała, co uczynić z drugim mężczyzną. Nie chciała go zostawić na pastwę lwów.

Wspięła się z powrotem i zauważyła, że skalne rumowisko w głębi jaru nie sprawia wrażenia zbytnio stabilnego – większość skalnych odłamków powstrzymywał przed spadkiem duży głaz, który sam nie wyglądał zbyt stabilnie. Nagle Ayla przypomniała sobie pogrzeb Izy. Stara uzdrowicielka została ostrożnie ułożona w zagłębieniu dna jaskini, a potem przykryto ją stertą kamieni i głazów. To nasunęło kobiecie pewien pomysł. Zaciągnęła martwego człowieka w głąb ślepego jaru, w pobliżu rumowiska skalnego.

Maluszek, z pyskiem umazanym krwią jelenia, wrócił, żeby zobaczyć, co kobieta robi. Ayla ciągnęła nieprzytomnego mężczyznę na skraj skały. Lew szedł za nią, obwąchując go. Na dole czekała niespokojna klacz z noszami.

– Teraz się odsuń, Maluszkule!

Gdy układała mężczyznę na noszach, jego powieki uniosły się na chwilę, a on zajęczał boleśnie, po czym zamknął oczy ponownie. Cieszyło ją, że był nieprzytomny. Był ciężki i szarpanina przy przesuwaniu musiała być bardzo bolesna. W końcu udało jej się ułożyć go i przywiązać do noszy. Następnie

wzięła długą dzidę i poszła w głąb jaru. Spojrzała z góry na martwego mężczyznę i zrobiło jej się przykro z powodu jego śmierci. Oparła dzidę o skałę i niemym językiem formalnych gestów klanu zwróciła się do świata duchów.

Obserwowała Creba, starego Mog-ura, wyprawiającego ducha Izy na drugi świat płynnymi, pełnymi wymowy gestami. Powtórzyła te same gesty, gdy znalazła po trzęsieniu ziemi ciało Creba w jaskini, choć nigdy nie знаła pełnego znaczenia tych magicznych ruchów. To nie było ważne – znała ich intencję. W trakcie odprawiania tego pięknego, milczącego rytuału, odsyłającego nieznanego do świata duchów, odżyły w niej stare wspomnienia i do oczu napłynęły łzy.

Następnie, posługując się dzidą niczym lewarem – w znacznej mierze w ten sam sposób, w jaki posługiwała się kijem, aby przewrócić kłodę lub wydobyć korzeń – uwolniła duży kamień i uskoczyła na bok. Lawina kamieni przysypała ciało martwego mężczyzny.

Ayla wyprowadziła Whinney z jaru, zanim jeszcze opadł kurz. Dosiadła konia i ruszyła w długą powrotną drogę do jaskini. Kilka razy się zatrzymywała, doglądając mężczyznę, raz przystanęła, aby wykopać korzeń żywokostu. Z jednej strony spieszo jej było wrócić, a z drugiej nie chciała narażać Whinney na zbyt wysiłek. Odetchnęła z ulgą, gdy przepawiła się z rannym przez strumień, minęła zakręt i ujrzała w oddali sterczącą skałę. W końcu zatrzymała się przed wejściem na stromą ścieżkę, aby zmienić układ tyczek noszy. Dopiero wtedy uwierzyła, że udało jej się dotrzeć do jaskini z żyjącym nadal mężczyzną.

Wprowadziła Whinney do jaskini razem z noszami. Nim jednak odwiązała nieprzytomnego człowieka i zaciągnęła go na

swoje posłanie, rozpałała ogień, aby zagrzać wodę. Zdjęła z konia uprząż, przytuliła się do niego z wdzięcznością, a potem poszła się rozejrzeć w swych zapasach leczniczych ziół i wybrała te, które były jej potrzebne. Przed przystąpieniem do ich odpowiedniego przygotowania wzięła głęboki oddech i sięgnęła po swój amulet.

Nie potrafiła dostatecznie zebrać swoich myśli, aby zwrócić się do totemu ze sprecyzowaną prośbą – była zbyt przepełniona nieokreślonym lękiem i złudnymi nadziejami – ale potrzebowała pomocy. Pragnęła, aby siły potężnego totemu wspomogły jej wysiłki uleczenia tego człowieka. Musiała go uratować. Nie wiedziała dlaczego, ale to było najważniejsze, nigdy nie było niczego ważniejszego. Bez względu na to, co musiałaby uczynić, ten człowiek nie mógł umrzeć.

Dołożyła do ognia i sprawdziła temperaturę wody w skórzanym naczyniu wiszącym nad płomieniami. Gdy dostrzegła unoszącą się parę, wsypała do naczynia płatki z kwiatu nagietka. W końcu podeszła do nieprzytomnego człowieka. Z rozdarć skózanego odzienia wywnioskowała, że musi mieć więcej ran niż tylko tę na prawym udzie. Musiała zdjąć z niego odzienie, ale on nie miał na sobie okrycia przepasanego rzemieniem.

Przyjrzała się uważniej odzieniu, aby znaleźć sposób na jego zdjęcie, i zobaczyła, że skóra i futro były przycięte na kawałki o odpowiednim kształcie, które połączono razem ścięgnowymi, tak że okrywały ramiona, nogi i tułów. Dokładnie przyjrzała się miejscom złączenia. Przed przystąpieniem do opatrywania nogi musiała rozciąć mu spodnie. Była jeszcze bardziej zdumiona, gdy po rozcięciu wierzchniej odzieży, zobaczyła drugą, niepodobną do niczego, co poprzednio widziała. Były poprzyczepiane do niej w pewnym określonym porządku kawałki muszelek, kości,

zębów zwierząt i kolorowych ptasich piórek. – Czy to rodzaj amuletu? – zastanawiała się. Nie miała wielkiej ochoty tego ciąć, ale nie było innego sposobu, aby zdjąć z niego odzienie. Uczyniła to jednak bardzo ostrożnie, starając się możliwie jak najmniej uszkodzić wzór.

Pod ozdobnym ubiorem mężczyzna miał na sobie jeszcze jedno odzienie, tym razem okrywające dolne partie tułowia. Każda noga była w oddzielnej nogawce, które potem się schodziły. W pasie były zebrane razem i ściągnięte rzemieniem niczym woreczek zaopatrzony w klapkę z przodu. Te części odzienia również rozcięła i zdjęła, przy okazji stwierdzając z całą pewnością, iż ranny był mężczyzną. Zdjęła opaskę uciskową i ostrożnie próbowała odkleić sztywną, nasiąkniętą krwią skórę spodni z pokaleczonej nogi. W czasie podróży kilkakrotnie poluzniała opaskę, aby zapewnić dopływ krwi do nogi. Wiedziała, że w przeciwnym razie użycie opaski mogło spowodować utratę kończyny.

Ponownie się zatrzymała, gdy zamierzała zdjąć okrycia ze stóp, które także były zrobione ze szczepionych razem kawałków, dopasowanych do kształtu jego stopy. Rozcięła je wzdłuż szwów i ściągnęła. Z rany na nodze znowu sączyła się krew, ale nie był to gwałtowny krwotok. Zbadala go szybko, aby sprawdzić inne obrażenia. Pozostałe otarcia i zadrapania nie były zbyt głębokie, lecz mogły nieść z sobą niebezpieczeństwo zakażenia. Zadrapania po lwich pazurach miały paskudną skłonność do ropienia; nawet niewielkie zadrapania po Maluszkę trudno się goiły. Ale te zadrapania w przeciwieństwie do nogi nie budziły na razie jej niepokoju. Prawie przegapiła też inne miejsce: dużą opuchliznę z boku głowy, prawdopodobnie powstałą na skutek upadku po ataku lwa. Nie miała pewności, na ile to obrażenie

było poważne, lecz nie mogła marnować czasu na dokładniejsze badania. Z rany na nodze ponownie zaczęła płynąć krew.

Przemywała ranę miękką i dobrze wchłaniającą skórką z zająca, którą moczyła w wywarze z płatków nagietka, a jednocześnie uciskała pachwinę, aby powstrzymać krwotok. Płyn działał zarówno ściągająco, jak i odkażająco, i wykorzystwała go również przy opatrywaniu innych krwawiących ran. Dokładnie oczyściła ranę. Pod głębokim zewnętrznym rozdarciem było widać naruszoną część mięśnia udowego. Posypała obficie ranę proszkiem z korzenia bodziszka i zauważyła jego natychmiastowy wpływ na krzepnięcie krwi.

Uciskając jedną dłonią pachwinę, Ayla zanurzyła korzeń żywokostu w wodzie, aby go opłukać. Następnie przeżuła go na papkę i wypluła ją do gorącego wywaru z płatków nagietka. Użyła tego roztworu do wilgotnych okładów prosto na otwartą ranę. Przytrzymała rozdarcie i ułożyła we właściwy sposób wyrwany mięsień, ale gdy tylko odjęła dłoń, rana ponownie się otworzyła, a mięsień zmienił położenie.

Znowu zacisnęła ranę, ale wiedziała, że się rozstąpi, gdy tylko ją puści. Nie brała pod uwagę ciasnego obwinięcia. Nie chciała, aby rana źle się zagoiła i pozostawiła trwałą ślad w postaci kalectwa. – Gdybym mogła tak siedzieć tutaj i przytrzymywać ranę aż do wygojenia się, pomyślała, czując ogarniającą ją bezsilność i żałując, że nie ma przy niej Izy. Była pewna, że stara uzdrowicielka wiedziałaby, co zrobić, choć Ayla nie pamiętała, aby kiedykolwiek pouczała ją, jak należy postępować w podobnych sytuacjach.

Wtem przypomniała sobie coś innego, coś, co Iza powiedziała na jej temat, gdy zapytała ją, jakim sposobem może być uzdrowicielką z linii Izy.

– Nie jestem twoją prawdziwą córką – powiedziała. – Nie mam twych wspomnień. Tak naprawdę nie rozumiem, czym są twoje wspomnienia.

Iza wyjaśniła, że jej linia ma najwyższą rangę, ponieważ były najlepsze; każda matka przekazywała córce to, co wiedziała, i czego się nauczyła. Iza zaś wyuczyła Aylę. Przekazała jej ze swej wiedzy, jak mogła najwięcej, prawdopodobnie nie wszystko, co wiedziała, ale wystarczająco dużo, ponieważ Ayla miała jeszcze coś innego – dar, jak mówiła Iza.

– Nie masz pamięci, dziecko, ale potrafisz myśleć, potrafisz rozumować... i w jakiś sposób wiesz, jak pomagać.

Gdybym tylko mogła wymyślić teraz sposób, aby pomóc temu człowiekowi, pomyślała Ayla. Nagle zauważyła stertę ubrań zdjętych z mężczyzny i coś przyszło jej do głowy. Puściła jego nogę i podniosła odzienie, które okrywało dolne partie tułowia. Było skrojone z kawałków połączonych razem cienkim sznurkiem ze ścięgien. Zbadła sposób, w jaki kawałki były z sobą połączone, rozdzielając je. Sznurek był przeprowadzony przez otwór w jednym kawałku, a potem przez otwór w drugim kawałku, i ściągnięte razem.

Ayla robiła coś podobnego przy wykonywaniu naczynia z kory wierzby. Wywierciła w niej otwory i zawiązała końce na supeł. Czy nie mogłaby uczynić czegoś podobnego, aby zamknąć ranę na nodze? Aby zamknąć rozdarcie, dopóki się nie zarośnie?

Wstała szybko i przyniosła coś, co wyglądało jak brązowy patyk. Był to długi fragment jelenich ścięgien, wysuszony i twardy. Ayla uderzyła w nie okrągłym, gładkim kamieniem, rozbijając na długie pasma białych włókien. Rozdzieliła je, a potem wybrała cienkie pasemko włókien i zanurzyła je w wywarze z nagietka. Ściągnęła, podobnie jak nie wyprawiona



skóra, robią się elastyczne po namoczeniu i sztywnieją po wyschnięciu. Przygotowała sobie kilka kawałków ścięgien i rozejrzała się za nożami i wiertłami, próbując dociec, które narzędzie będzie najlepsze do zrobienia otworów w skórze mężczyzny. Wtem przypomniała sobie o wiązce drzazg, jakie zebrała z rozłupanego przez piorun drzewa. Iza używała podobnych drzazg do przekłuwania wrzodów, pęcherzy i opuchlizn, z których trzeba było spuścić ropę. Te drzazgi powinny być dobre i do tego celu.

Obmyła sączącą się krew, ale nie wiedziała, jak zacząć. Kiedy wbiła jedną z drzazg, robiąc otwór, mężczyzna poruszył się i zajęczał. Będzie musiała szybko się z tym uwinąć. Przepchnęła sztywniejące włókna ścięgna przez zrobiony drzazgą otwór, a potem przez otwór po drugiej stronie rany, ostrożnie ściągnęła oba końce razem i zawiązała na supeł.

Postanowiła nie robić zbyt dużo węzłów, ponieważ nie wiedziała jeszcze, jak je potem wyciągnie. Zawiązała cztery węzły wzdłuż rozdarcia i dodała jeszcze trzy przytrzymujące mięsień. Skończyła i spojrzała z uśmiechem na węzły ze ścięgien zbierające razem rozdarte mięso, metoda była skuteczna. Rozdarcie nie stało już otworem, a mięsień był na miejscu. Jeżeli rana się zagoi bez ropienia, to noga będzie mu jeszcze mogła dobrze służyć. A przynajmniej szanse na to były o wiele większe.

Zrobiła papkę z korzenia żywokostu, położyła na ranę i okręciła nogę miękką skórą. Potem ostrożnie przemyła pozostałe skaleczenia i zadrapania, którymi było poznaczone głównie jego prawe ramię i pierś. Niepokoił ją guz na głowie, ale skóra była nienaruszona, jedynie opuchnięta. W świeżej wodzie przygotowała napar z kwiatów arniki, a potem zrobiła z niego kompres na opuchliznę i obwiązała go paskiem miękkiej skóry.

Dopiero wtedy zdecydowała się na odpoczynek. Gdy chory odzyska przytomność, to będzie mogła mu podać lekarstwo, ale na razie zrobiła wszystko, co w jej mocy. Wygładziła zmarszczki na skórzanym opatrunku na jego nodze i po raz pierwszy przyjrzała mu się naprawdę dokładnie.

Nie był tak krzepki, jak mężczyźni klanu, ale był muskularny i miał niewiarygodnie długie nogi. Pierś miał porośniętą złotawymi kędziorkami, które na ramionach przechodziły w puszek. Skórę miał jasną. Owłosienie na ciele – delikatniejsze i jaśniejsze od wszystkich znanych jej mężczyzn; był wyższy i szczuplejszy, ale nie bardzo inny. Jego zwiotczała męskość spoczywała na miękkich złocistych loczkach. Wyciągnęła w jej kierunku dłoń, chcąc zbadać jej budowę, ale cofnęła się. Zauważyła bowiem świeżą bliznę i siniak na żebrach. Musiał dopiero co wyzdrowieć z poprzednich ran.

Kto się nim zajmował? I skąd przybył?

Pochyliła się, aby przyrzeć się jego twarzy. W porównaniu z twarzami ludzi klanu była płaska. Miał pełne usta, ale szczęki nie były tak wystające. Brodę miał mocno zarysowaną i naznaczoną dołeczkiem. Dotknęła swojej brody i przypomniała sobie, że jej syn również miał brodę w odróżnieniu od innych członków klanu. Kształt jego męskiego nosa niewiele się różnił od kształtu nosów mężczyzn klanu, również był wąski i garbaty, ale mniejszy. Zamknięte oczy były szeroko rozstawione i wydawały się wystawać z twarzy; nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie oceniają ich ciężkie łuki brwiowe. Jego czoło, poznaczone lekkimi poprzecznymi zmarszczkami, było proste i wysokie. Dla niej, przyzwyczajonej do oglądania jedynie ludzi klanu, jego czoło wydawało się sterczące. Położyła mu dłoń na czole, a potem dotknęła własnego. Były takie same. Jak dziwna musiała

się wydawać ludziom klanu.

Jego włosy były długie i proste – część z nich nadal była zebrana w węzle na karku, ale większość opadała swobodnie i była jasna. – Jak moje, pomyślała, ale jaśniejsze. Dziwnie znajome. – Wtem doznała niezwykłego olśnienia. Przypomniała sobie. Jej sen! Jej sen o mężczyźnie Innych. Nie mogła nigdy dostrzec jego twarzy, ale włosy miał jasne!

Przykryła mężczyznę i pospiesznie wyszła na skalny taras, zaskoczona, że nadal był dzień, wczesne popołudnie, wnioskując po słońcu. Tyle się wydarzyło, tyle kosztowało ją to psychicznego, fizycznego i uczuciowego wysiłku, że wydawało się, iż powinno być znacznie później. Spróbowała zebrać i uporządkować swoje myśli, ale jedynie spowodowała w nich jeszcze większe zamieszanie.

Dlaczego zdecydowała się tego dnia jechać na zachód? Dlaczego przejeżdżała tamtędy właśnie wtedy, gdy krzyczał? I jak do tego doszło, że ze wszystkich lwów zamieszkujących stepy ona w tym jarze znalazła właśnie Maluszka? To jej totem musiał ją tam zaprowadzić. A co z jej snem o mężczyźnie z jasnymi włosami? Czy to był ten mężczyzna? Co go tu sprowadziło? Nie była pewna, jaką rolę może odegrać w jej życiu, lecz jednego była pewna, nie będzie ono już takie, jak przedtem. Widziała twarze Innych.

Poczuła, że Whinney dotyka ją z tyłu pyskiem i odwróciła się. Koń położył pysk na ramieniu kobiety, a Ayla wyciągnęła ręce i objęła szyję Whinney, a potem oparła na niej głowę. Stała tak przytulona do zwierzęcia, uciepiona swego znanego, wygodnego sposobu życia i trochę obawiająca się przyszłości. Potem gładziła i poklepywała klacz, aż poczuła ruchy jej małego.

– To już będzie niedługo, Whinney. Cieszę się, że pomogłaś mi

przywieźć tu tego człowieka. Nie mogłabym sama go tu donieść. Lepiej wrócę i sprawdzę czy wszystko z nim w porządku, po myślała, denerwując się, że coś mogłoby mu się stać, jeżeli zostawi go choć na chwilę. Nie ruszał się, ale ona stała przy nim i patrzyła, jak oddychał, nie mogąc oderwać od niego oczu. Dopiero teraz spostrzegła pewną nieprawidłowość: on nie miał brody! Wszyscy mężczyźni klanu mieli brody, krzaczaste, ciemne brody. Czyżby mężczyźni Innych nie mieli bród?

Dotknęła jego szczęki i poczuła szorstkość nowego zarostu. Miał brodę, ale była bardzo krótka. Pokręciła w zakłopotaniu głową. Wyglądał tak młodo. Pomimo całego swego wzrostu i muskularności nagle wydał jej się bardziej chłopcem niż mężczyzną.

Mężczyzna odwrócił głowę, zajęczał i coś zamruczał. Pomimo to, że słowa były niezrozumiałe, ich brzmienie wywoływało w niej wrażenie, iż powinna je rozumieć. Położyła mu dłoń na czole, a potem na policzku, i poczuła rosnącą gorączkę. Spróbuję lepiej podać mu trochę naparu z kory wierzby, pomyślała, ponownie wstając.

Kiedy brała korę wierzby, spojrzała na swój zapas leczniczych ziół. Nieraz się zastanawiała, po co gromadziła kompletny zestaw leczniczych roślin, skoro oprócz siebie nie miała kogo leczyć. To było przyzwyczajenie. Teraz była z tego bardzo rada. Co prawda w dolinie i na stepach nie było wielu roślin występujących w pobliżu jaskini, ale te, które tu rosły, w zupełności jej wystarczały, tym bardziej że uzupełniła je jeszcze o nie znane dalej na południu rośliny. Iza powiedziała jej, jak sprawdzać nie znaną roślinę na samej sobie, badając jej przydatność do spożycia i do leczenia, ale nie była jeszcze całkowicie pewna nowych roślin i ich właściwości, a przynajmniej nie na tyle, aby

sprawdzać je na mężczyźnie.

Oprócz kory wierzby wzięła również roślinę, której zastosowanie dobrze знаła. Kosmata łodyga zamiast mieć przyczepione do siebie liście, wydawała się sama wyrastać spomiędzy rozdwojonych liści. W porze zbiorów były na niej kępki białych kwiatów, które teraz były zwiędnięte i zbrązowiały. Roślina ta tak bardzo była podobna do rzepiku, że myślała, iż to była jakaś odmiana tego zioła, ale jedna z uzdrowicielek na Zgromadzeniu Klanu nazwała ją nastawiaczem kości i używała jej w tym celu. Ayla wykorzystywała ją do zbiccia temperatury, ale trzeba było rozgotować ją na gęsty syrop, a to wymagało czasu. Jej zażycie wywoływało obfite poty, a działanie było silne, i nie chciała, dopóki to nie będzie konieczne, podawać jej osłabionemu krwotokiem mężczyźnie. Jednakże lepiej było być przygotowaną.

Przyszły jej na myśl listki lucerny. Świeże listki lucerny zamoczone w gorącej wodzie pomagały w krzepnięciu krwi. Widziała ich trochę na łące. I dobry wywar, aby dodać mu siły. Znowu myślała jak uzdrowicielka i odpędziła od siebie trapiące ją przedtem niespokojne myśli. Od początku wiedziała jedno i była tego coraz bardziej pewna: Ten człowiek musi żyć.

Udało jej się, trzymając jego głowę na swoich kolanach, sprawić, aby wypił trochę naparu z kory wierzby. Zamrugął powiekami i coś zamamrotał, ale pozostał nieprzytomny. Zadrapania i skaleczenia zrobiły się ciepłe i zaczerwienione, a noga wyraźnie zaczęła puchnąć. Zmieniła opatrunek i zrobiła mu nowy okład na stłuczoną głowę. Z nadejściem wieczoru jej niepokój wzrósł jeszcze bardziej. Żałowała, że nie ma z nią Creba, który mógłby wezwać do pomocy duchy, tak jak to czynił dla Izy.

Z zapadnięciem ciemności człowiek zaczął się rzucać i coś

wykrzykiwać. Jedno ze słów szczególnie często powtarzał w połączeniu z mieszaniną ostrzegawczych dźwięków. Pomyślała, że to mogło być imię, być może, tego drugiego mężczyzny. Około północy za pomocą żebra jelenia, na którego końcu zrobiła małe wgłębienie, nakarmiła go zagęszczonym wywarem z rzepiku. Wykrzywił się na gorzki smak i otworzył oczy, ale w ich ciemnej głębi nie było świadomości. Przynajmniej łatwiej było jej potem podać mu napój z bielunia – pił go tak, jakby chciał splukać z ust gorzki smak. Cieszyła się, że w pobliżu doliny znalazła bielun, który uśmierzał ból i działał usypiająco.

Czuwała całą noc, mając nadzieję, że gorączka zacznie spadać, ale był już prawie ranek, gdy dopiero osiągnęła swój szczyt. Ayla więc obmyła mu ciało z potu zimną wodą, zmieniła przykrycie posłania i wtedy mężczyzna zasnął spokojniej. Ona również zdrzemnęła się na skórze obok niego.

Nagle stwierdziła, że wpatruje się w jaskrawe promienie słońca wpadające przez wejście i zastanowiła się, co wyrwało ją ze snu. Obróciła się, spojrzała na mężczyznę i wydarzenia całego poprzedniego dnia stanęły jej jak żywe przed oczyma. Mężczyzna zdawał się spokojniejszy i spał normalnie. Leżała dalej, wsłuchując się w ciszę jaskini. I wtedy usłyszała ciężki oddech Whinney. Poderwała się i pobiegła na drugą stronę jaskini.

– Whinney – powiedziała z podnieceniem – czy to już czas? – Klacz nie musiała odpowiadać.

Ayla pomagała już poprzednio przy narodzinach, sama też raz rodziła, ale pomaganie klaczy było nowym doświadczeniem. Whinney wiedziała, co robić, ale zdawała się cieszyć obecnością Ayli. Dopiero pod koniec, gdy źrebak był już częściowo urodzony, pomogła wypchnąć go całego na świat. Uśmiechnęła się patrząc, jak Whinney zaczęła lizać brązową, kędzierzawą sierść nowo

narodzonego źrebaka.

– Pierwszy raz widzę, aby ktoś pomagał koniowi przy porodzie  
– powiedział Jondalar.

Ayla podskoczyła na dźwięk jego głosu. Spojrzała na mężczyznę, który jej się przyglądał, wsparty na jednym łokciu.

## . 20 .



Ayla wpatrywała się w mężczyznę. Nie mogła się od tego powstrzymać, choć wiedziała, że to niegrzeczne. Co prawda, przyglądała się mu, gdy spał, ale widzieć go całkowicie przytomnym, było czymś zupełnie innym. On miał błękitne oczy!

Wiedziała, że jej oczy były błękitne: to była jedna z różnic, o której często jej przypominano, widziała też odbicie swych oczu w stawie. Oczy ludzi klanu były brązowe. Nigdy nie widziała innej osoby, która miałaby błękitne oczy, do tego o tak silnym odcieniu, że wierzyć się nie chciało, aby były prawdziwe.

Te błękitne oczy paraliżowały ją; nie potrafiła się poruszyć, aż w końcu stwierdziła, że drży. Wtedy uprzytomniła sobie, że patrzy mężczyźnie prosto w twarz. Zaczerwieniła się i zmieszana odwróciła wzrok. Zachowała się bardzo niegrzecznie. Kobieta nigdy nie powinna patrzeć mężczyźnie prosto w twarz, szczególnie obcemu mężczyźnie.

Ayla wbiła wzrok w ziemię, starając się odzyskać opanowanie. – Cóż on sobie musiał o mnie pomyśleć! – Tak dawno już nie była w towarzystwie innych ludzi, a do tego po raz pierwszy widziała jednego z Innych. Chciała na niego patrzeć. Pragnęła nasycić nim swoje oczy, nasycić się widokiem innej istoty ludzkiej, i to tak niezwyklej. Zarazem jednak bardzo chciała zrobić na nim jak



najlepsze wrażenie. Nie miała zamiaru już od samego początku zrażać go do siebie niewłaściwym, powodowanym ciekawością, zachowaniem.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru wprowadzić cię w zakłopotanie – powiedział, zastanawiając się, czy ją uraził, czy była po prostu wstydliva. Nie odpowiedziała, wówczas uśmiechnął się z lekkim przymusem, zdając sobie sprawę, że przecież mówił w języku Zelandonii. Przeszedł więc na Mamutoi, a gdy i to nie poskutkowało, spróbował języka Sharamudoi.

Ayla rzucała mu ukradkowe spojrzenia, jak kobieta czekająca na znak mężczyzny, by podejść. On jednak nie wykonał żadnego gestu, w każdym razie zrozumiałego dla niej. Jedyne wypowiadał słowa. Ale żadne z jego słów nie było podobne do dźwięków wydawanych przez członków jej klanu. To nie były gardłowe sylaby; jego słowa zlewały się razem. Nie potrafiła nawet powiedzieć, gdzie jedno się kończyło, a drugie zaczynało. Jego głos miał przyjemne brzmienie, był głęboki i donośny, lecz budził w niej niepokój. Gdzieś w głębi duszy tkwiło w niej przeświadczenie, że powinna go rozumieć.

Czekała na znak od niego, dopóki czekanie nie stało się krępujące. Wtedy przypomniała sobie swe pierwsze dni spędzone z klanem, i to jak Creb musiał nauczyć ją poprawnej mowy. Mówił jej potem, że potrafiła jedynie wydawać dźwięki i zastanawiał się, czy Inni porozumiewają się w ten sposób. Czyżby ten mężczyzna nie znał żadnych gestów? Ostatecznie doszła do wniosku, że on nie zamierza porozumiewać się z nią za pomocą gestów. Wiedziała jednak, że musi znaleźć jakiś sposób porozumiewania się z nim, choćby jedynie po to, by upewnić się, czy wziął przygotowane przez nią lekarstwo.

Jondalar nie wiedział, co począć. Jego słowa nie wywoływały

w niej żadnej reakcji. Zastanawiał się nawet, czy nie była głucha, ale przypomniał sobie, jak szybko odwróciła się w jego stronę, gdy odezwał się po raz pierwszy. – Co za dziwna kobieta, pomyślał z zakłopotaniem. Ciekaw jestem, gdzie są pozostali ludzie. Rozejrzał się po małej jaskini i uderzył go widok bułanej klaczy i jej gniadego źrebaka. Co koń robi w jaskini? I dlaczego kobieta pomagała mu przy porodzie? Nigdy przedtem nie widział rodzącej klaczy, nawet na równinach. Czyżby ta kobieta miała jakieś specjalne moce?..~

Wszystko to zaczynało mu przypominać sen, choć nie sądził, aby spał. A może jest jeszcze gorzej. – Może ona jest doni, która po ciebie przyszła, Jondalarze, pomyślał, wzdrygając się z niepewnością, czy była życzliwym mu duchem... jeżeli była duchem. Z ulgą spostrzegł, że z pewnym wahaniem ruszyła w kierunku ognia.

Zachowywała się z nieśmiałością. Poruszała się tak, jakby nie chciała, aby ją widział; przypominała mu...coś. Odzienie też było raczej dziwne. Zdawało się jedynie kawałkiem skóry, którym owinęła ciało i przewiązała rzemieniem. Gdzie on widział coś podobnego? Nie mógł sobie przypomnieć.

Za to włosy miała ułożone w bardzo dziwny sposób. Były podzielone na pasma i zaplecione. Widywał już zaplecione włosy, jednakże nigdy w taki sposób. To nie było brzydkie, było jedynie niezwykle. Po przyjrzeniu się jej uznał, że jest raczej ładna. Wyglądała młodo – w jej oczach było coś niewinnego – choć z tego, co widział pod luźnym okryciem, miała ciało dojrzałej kobiety. Zdawała się unikać jego pytających spojrzeń. Dlaczego? – zastanawiał się. To go zaczynało intrygować – była dziwnie tajemniczą osobą.

Na widok tłustego wywaru z mięsa uświadomił sobie, że jest

głodny. Spróbował usiąść, ale poczuł ostry ból w prawej nodze, a i inne obrażenia dały o sobie znać. Cały był obolały. Wtedy po raz pierwszy zaczął się zastanawiać nad tym, gdzie jest, i jak się tu dostał. Nagle przypomniał sobie Thonolana idącego do jaru... ryk... i największego lwa jaskiniowego, jakiego kiedykolwiek widział.

– Thonolan! – krzyknął i rozejrzał się w panice po jaskini. – Gdzie jest Thonolan? – W jaskini nie było nikogo z wyjątkiem kobiety. Żołądek odmówił mu posłuszeństwa. Wiedział, ale nie chciał w to uwierzyć. Może Thonolan był w pobliżu, w jakiejś innej jaskini. Może ktoś inny się nim opiekuje. – Gdzie jest mój brat? Gdzie jest Thonolan?!

To słowo wydawało się Ayli znajome. Powtarzał je często, wołając z trwogą z głębin swych snów. Domyśliła się, że pytał o swego towarzysza i pochyliła głowę, aby okazać szacunek mężczyźnie, który był martwy.

– Gdzie jest mój brat, kobieto? – krzyknął Jondalar, łapiąc ją za ramiona i potrząsając nią. – Gdzie jest Thonolan?

Ayla była zaskoczona jego wybuchem. Donośność jego głosu, gniew, zawód, niekontrolowane emocje, które słyszała w jego głosie i widziała w jego zachowaniu, wszystko to wprawiało ją w zakłopotanie. Mężczyźni jej klanu nigdy nie okazywali tak otwarcie swych uczuć. Mogli przeżywać równie silnie, ale opanowanie było miarą męskości.

Z jego oczu bił smutek. Z napięcia pleców i zaciśniętych szczęk mogła wyczytać, iż walczy z prawdą, którą znał, lecz nie chciał zaakceptować. Ludzie, wśród których się wychowała, porozumiewali się z sobą nie tylko gestami rąk. Pozycja, postawa, wyraz twarzy – wszystko to wzbogacało ich słownictwo. Drgnienie mięśni potrafiło ujawnić niuanse. Ayla była

przyzwyczajona do odczytywania języka ciała, a rozpacz z powodu utraty ukochanej osoby we wszystkich językach wyrażała się podobnie.

W jej oczach również odbijały się jej uczucia, sympatia i smutek. Pokręciła głową i ponownie ją pochyliła. Jondalar nie mógł już dłużej odrzucać znanej sobie prawdy. Puścił Aylę i osunął się na posłanie.

– Thonolan... Thonolan... dlaczego musiałeś wciąż iść do przodu? O Doni, dlaczego? Dlaczego zabrałaś mego brata? – zawołał pełnym napięcia głosem. Próbował stawić czoło przygniatającej pustce, skupiając się na własnym bólu, ale nigdy nie doznał uczucia tak głębokiej rozpacz. – Dlaczego musiałaś go zabrać i zostawić mnie samego? Wiesz przecież, że był jedyną osobą, jaką kiedykolwiek... kochałem. Wielka Matko... Był moim bratem... Thonolan... Thonolan...

Ayla rozumiała smutek. Nie szczędzono go jej w przeszłości. Razem z nim bolała nad jego stratą i pragnęła go pocieszyć. Nie wiedziała, jakim sposobem znalazł się w jej ramionach. Tuliła go i kołysała, gdy tymczasem on powtarzał pełnym bólesci głosem imię brata. Nie znał tej kobiety, ale ona mu współczuła. Dostrzegała jego potrzebę i odpowiedziała na nią.

Przytulił się do niej. Z coraz większym trudem mógł się opanować, czuł rosnącą, nieodpartą potrzebę zrzucenia z siebie tego bolesnego ciężaru i podobnie jak moce uwięzione w wulkanie, których nie sposób powstrzymać, gdy je raz uwolnić, wybuchnął głośnym szlochem, który wstrząsnął całym jego ciałem. Zanosił się od płaczu, z trudem łapiąc oddech.

Nie pozwolił sobie na podobny wybuch od czasów dzieciństwa, Krępowało go i było obce jego naturze ujawnianie swych najgłębszych uczuć. Były zbyt przytłaczające, przeto

wcześnie nauczył się nad nimi panować – ale wybuch spowodowany śmiercią Thonolana odsłonił i inne ukryte głęboko bolesne wspomnienia.

Serenio miała rację, większość ludzi nie potrafiła znieść jego miłości. Podobnie było z jego gniewem, który raz uwolniony musiał się wypalić do końca. Pewnego razu, gdy był jeszcze młodym chłopakiem, w przystępie szalonego gniewu poważnie kogoś poranił. Wszystkie jego uczucia miały zbyt wielką moc. Nawet matka czuła potrzebę zachowania pomiędzy nimi dystansu. Z milczącym współczuciem obserwowała, jak przyjaciele odsuwali się od niego, ponieważ Ignął do nich zbyt zapamiętale, kochał za mocno i oczekiwał od nich zbyt wiele. Podobne cechy widziała u swego byłego partnera, przy którego ognisku Jondalar przyszedł na świat. Jedynie jego młodszy brat dobrze sobie radził z jego miłością. Przyjmował ją i śmiechem rozładowywał związane z nią napięcia.

W końcu jednak i matka nie mogła sobie dać z nim rady. W całej jaskini wrzało. Zdecydowała się więc odesłać go do Dalanara. I to było mądre posunięcie. Jondalar powrócił nie tylko wyuczony swego rzemiosła. Nauczył się również panować nad swymi emocjami. Wyrósł na wysokiego, muskularnego i zdumiewająco przystojnego mężczyznę o niespotykane błękitnych oczach i nieświadomej charyzmie, która była odbiciem jego skrywanych głęboko uczuć. Szczególnie kobiety wyczuwały, że drzemie w nim więcej uczucia niż chciał okazać. Nie mogły się mu oprzeć, ale żadna nie mogła go zdobyć. Nikt nie umiał się przebić aż do jego najgłębiej skrywanych uczuć; a on nadal potrafił im dać więcej, niż mogli od niego przyjąć. Szybko się nauczył, jak daleko wolno mu się posunąć, i w jakim stopniu może angażować własne uczucia, ale wszystkie te związki były

płytkie i nie zaspokajały jego uczuciowych potrzeb. Jedyna kobieta, która sprostałaby jego oczekiwaniom, poczuła powołanie do innego życia. W każdym razie i tak by do siebie nie pasowali.

Smutek odczuwał z równą intensywnością, jak inne uczucia, jednakże teraz tuliła go kobieta, która wiedziała, co to wielki smutek. Nieraz traciła wszystko; nieraz czuła zimne tchnienie śmierci, a mimo to wytrwała. Czuła, że jego emocjonalny wybuch był czymś więcej niż tylko zwykłą rozpaczą po śmierci bliskiej osoby. Ona to doskonale rozumiała i czerpiąc z własnych bolesnych doświadczeń, dawała mu ukojenie.

W końcu zmęczony szlochem uspokoił się nieco. Wówczas Ayla spostrzegła, że nuciła cicho, tuląc go do siebie. Kiedyś swym nuceniem usypiała Ubę, córkę Izy; przyglądała się, jak jej synek zamykał oczy na dźwięk tej melodii; tym samym monotonnym zawodzeniem koła własny smutek i samotność. Wyczerpany płaczem mężczyzna zwolnił swój uścisk. Położył się z głową na bok, wpatrując się w kamienne ściany jaskini. Odwróciła mu twarz, aby obmyć łzy zimną wodą, a on zamknął oczy. Nie chciał – a może nie mógł – na nią patrzeć. Wkrótce poczuła, jak napięcie jego mięśni słabnie i wiedziała, że usnął.

Ayla poszła zobaczyć, jak Whinney radzi sobie ze swym żrebakiem, a potem wyszła na dwór. Czuła się równie wyczerpana, jak mężczyzna, choć zarazem czuła ulgę. Z odległego krańca skalnego tarasu spoglądała na dolinę i wspominała pełną lęku i niepokoju jazdę z człowiekiem na noszach, swoje gorące pragnienie, aby nie umarł. Niepokoiła ją już sama myśl o tym; bardziej niż kiedykolwiek czuła, że mężczyzna musi żyć. Wróciła pospiesznie do jaskini i upewniła się, że człowiek nadal oddychał. Zabrała zimną zupę do ognia –

teraz jemu bardziej potrzebna była strawa innego rodzaju – aby była gotowa do podania, gdy chory się obudzi, i usiadła ostrożnie na skórze obok niego.

Nie mogła się na niego napatrzeć. Przyglądała się jego twarzy, jakby chciała sobie tym wynagrodzić wszystkie te lata tęsknoty za widokiem innego człowieka. Teraz, kiedy wrażenie obcości stopniowo się zacierało, zaczęła widzieć jego twarz bardziej jako całość, a nie zbiór poszczególnych cech. Chciała jej dotknąć, pociągnąć palcem po policzku i brodzie, poczuć pod palcami jego delikatne brwi. Nagle uprzytomniła sobie kolejne zdumiewające spostrzeżenie.

Jego oczy były mokre! Ocierała mu przecież twarz; nadal ma ramię wilgotne od jego łez. A więc to nie tylko ja, pomyślała. Creb nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego moje oczy robiły się mokre, gdy byłam smutna – nie zdarzało się to nikomu innemu. Uważał, że mam słabe oczy. Ale oczy tego pogrążonego w rozpacz mężczyzny też były mokre. Oczy wszystkich Innych muszą się robić mokre.

Po całonocnym czuwaniu i silnych przeżyciach w końcu dopadło Aylę zmęczenie. Zasnęła na skórze obok niego, choć było dopiero popołudnie. Jondalar obudził się o zmierzchu. Był spragniony i począł rozglądać się za czymś do picia, nie chcąc budzić kobiety. Słyszał klacz i jej nowo narodzonego źrebaka, ale mógł dostrzec jedynie bułaną sierść klaczy, która leżała w pobliżu ściany po drugiej stronie wejścia do jaskini.

Potem spojrział na kobietę. Leżała na plecach z twarzą zwróconą w drugą stronę. Widział jedynie zarys jej szyi, szczęki i kształt nosa. Przypomniawszy sobie swój wybuch rozpacz i poczuł się trochę zażenowany. Potem przypomniał sobie, co było powodem jego smutku. Ból wypełniał wszystkie zakamarki jego

duży nie pozostawiając miejsca na inne uczucia. Czuł, jak do oczu napływają mu łzy, i zacisnął powieki. Starał się nie myśleć o Thonolanie; starał się w ogóle o niczym nie myśleć. Wkrótce mu się to udało, powtórnie obudził się dopiero w środku nocy i wówczas jego jęki obudziły również Aylę.

Było ciemno; ogień wygasł. Ayla po omacku odnalazła drogę do paleniska, wzięła hubkę i drzazgi na podpałkę z miejsca, gdzie trzymała swoje zapasy, a potem krzesiwo.

Jondalarowi ponownie wzrosła gorączka, ale był przytomny, choć przypuszczał, że musiał się trochę zdrzemnąć. Nie mógł uwierzyć, aby kobieta potrafiła tak szybko rozniecić ogień. Po przebudzeniu nie widział przecież nawet żaru.

Ayla przyniosła zimnego wywaru z wierzbowej kory, który wcześniej przygotowała. Mężczyzna uniósł się na jednym łokciu, aby sięgnąć po miseczkę, i choć napój był gorzki, wypił, aby ugasić pragnienie. Rozpoznał smak – wszyscy zdają się znać zastosowanie wierzbowej kory – ale marzył o łyku czystej wody. Czuł również pilną potrzebę opróżnienia pęcherza, ale nie wiedział, jak jej o tym wszystkim powiedzieć. Podniósł miseczkę, w której podała mu napar z kory wierzby, odwrócił ją do góry dnem, by pokazać, że jest pusta, a potem uniósł ją do ust.

Kobieta zrozumiała natychmiast, przyniosła naczynie z wodą, napełniła jego miseczkę, a potem zostawiła naczynie obok niego. Woda, co prawda, zaspokoila jego pragnienie, ale drugą z potrzeb uczyniła jeszcze pilniejszą. Mężczyzna począł się wiercić niespokojnie. Jego zachowanie się uprzytomniło w końcu kobiecie jego potrzebę. Wyciągnęła więc z ogniska płonący kij i poszła z nim w głąb jaskini, tam, gdzie przechowywała wszystkie swoje rzeczy. Szukała pewnego rodzaju pojemnika, ale przy okazji znalazła i inne przydatne rzeczy.



Swego czasu zrobiła sobie kamienne lampki, żłobiąc płytkie wgłębienie w kamieniu i nalewając do niego stopionego tłuszczu, w którym umieściła knot z mchu. Nie używała jednak zbyt często tych kaganków. Ognisko dostarczało zwykle wystarczającą ilość światła. Podniosła lampkę, znalazła knoty z mchu, a potem rozejrzała się za pęcherzami z zakrzepłym tłuszczem. Zobaczyła leżący za nim pusty pęcherz i również go zabrała z sobą.

Pełny pęcherz położyła w pobliżu ognia, aby rozmiękł, a pusty zaniósła Jondalarowi – ale nie potrafiła mu wytłumaczyć, w jakim to czyni celu. Odśloniła wylot do nalewania i pokazała mu otwór. Jondalar patrzył z zakłopotaniem. Nie było innej rady. Ayla odsunęła przykrycie, ale gdy tylko wsunęła mu pomiędzy nogi otwarte naczynie, mężczyzna szybko zrozumiał, o co chodzi, i wziął od niej pęcherz.

Śmiesznie się czuł, leżąc na plecach, zamiast raczej stać i pozwolić swemu strumieniowi wartko popłynąć. Ayla spostrzegła jego zażenowanie i uśmiechając się do siebie, odeszła do ogniska napełnić lampę. – Nie był poprzednio ranny, pomyślała, a przynajmniej nie na tyle poważnie, by nie móc chodzić. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, odbierając od niego pełny worek, i wyszła na dwór opróżnić go. Potem oddała mu go z powrotem, aby mógł korzystać z niego w razie potrzeby, a następnie skończyła napełniać lampę tłuszczem i zapaliła knot. Podeszła z nią do posłania i odśloniła jego nogę.

Pomimo bólu Jondalar spróbował usiąść. Ayla podparła go. Zrozumiał, dlaczego bardziej bolała go prawa strona, gdy ujrzał pokaleczoną pierś i ramiona. Szczególnie jednak niepokoił go silny ból w nodze. Zastanawiał się, jak biegła w leczeniu była ta kobieta. Umiejętność sporządzania wywaru z kory wierzby nie czyniła jeszcze z człowieka uzdrowiciela.

Zaniepokoił się jeszcze bardziej, kiedy zdjęła okład z korzeni. Lampka nie zapewniała, co prawda, takiego oświetlenia, jakie dałoby słońce, ale i tak nie pozostawiała wątpliwości co do powagi zranienia. Noga była opuchnięta, posiniaczona i poobcierana. Przyjrzał się uważniej i dostrzegł szwy, zbierające razem jego ciało. Jondalar nie znał się dobrze na sztuce uzdrawiania. Jeszcze do niedawna nie interesował się tym więcej, niż każdy inny zdrowy młodzieniec. Ale czy kiedykolwiek któryś uzdrowiciel-Zelandonii związał kogoś do kupy?

Patrzył uważnie, jak Ayla przygotowywała nowy okład, tym razem z liści. Chciał ją zapytać, co to za liście, porozmawiać z nią, wy badać, jakie ma umiejętności. Ale ona nie znała żadnego ze znanych mu języków. Prawdę powiedziawszy, gdy się teraz nad tym zastanowił, to nie słyszał, aby w ogóle mówiła. Jak mogła być uzdrowicielką, skoro nie mówiła? Miał jednak wrażenie, że kobieta wie, co robi, a to coś, czym obłożyła jego nogę, łagodziło ból.

Odprężył się – a cóż innego mógł zrobić? – obserwował, jak obmywała mu pierś i ramiona. Nie zdawał sobie jednak sprawy z guza na głowie, dopóki nie odwinęła pasma miękkiej skóry, przytrzymującej okład. Nim Ayla nałożyła nowy kompres, Jondalar sięgnął dłonią i poczuł pod palcami opuchliznę i bolące miejsce.

Kobieta wróciła do paleniska, aby podgrzać zupę. Obserwował ją nadal, starając się dociec, kim była.

– Ładnie pachnie – powiedział, gdy doleciał do niego zapach mięsa.

Jego głos zdawał się nie pasować do tego miejsca. Nie był pewny dlaczego, ale nie było to spowodowane jedynie tym, iż wiedział, że nie jest rozumiany. Kiedy pierwszy raz spotkał się z

Sharamudoj, to nie znał ani słowa w ich języku, tak jak oni w jego, ale prowadzili rozmowy, usiłując wymieniać słowa i porozumieć się. Kobieta zaś nie czyniła żadnych starań w kierunku wymiany słów i na jego próby odpowiadała jedynie zakłopotanym spojrzeniem. Wydawało się, że nie tylko nie rozumiała żadnego z jego języków, ale w ogóle nie przejawiała skłonności ku takiemu sposobowi komunikowania się.

Nie, pomyślał. To nie było całkiem prawdą. Przecież się porozumiewali. Podała mu wodę, gdy tego chciał, i podała mu naczynie, aby mógł sobie ulżyć, choć nie był pewny, skąd wiedziała, że jest mu potrzebne. Nie miał pojęcia i nie myślał o tym, w jaki sposób się porozumieli, gdy dał upust swej rozpacz – ból był jeszcze zbyt świeży – ale pamiętał o tym, zastanawiając się nad jej osobą.

– Wiem, że mnie nie rozumiesz – zaczął tytułem próby. Nie wiedział, co jej powiedzieć, ale czuł potrzebę mówienia. Gdy już raz zaczął słowa popłynęły jednak łatwiej. – Kim jesteś? Gdzie są pozostali z twoich ludzi? – Co prawda, widział jedynie tyle, ile pozwalał krąg padającego od paleniska i lampki światła, ale nie zauważył innych ludzi ani żadnych śladów ich obecności. – Dlaczego nie chcesz mówić? – Ayla spojrzała na niego, ale się nie odezwała.

W jego głowie zaczęło się rodzić pewne przypuszczenie. Przypomniawszy sobie, jak siedział w pobliżu ogniska przed uzdrowicielem i słuchał, jak Shamud opowiadał mu o pewnych próbach, którym musieli się poddać Ci-Którzy Służyli Matce. Czyż nie wspominał on wtedy o okresach odosobnienia? Okresach milczenia, w czasie których nie wolno było im z nikim rozmawiać? Okresy wstrzemięźliwości i postu?

– Żyjesz tu sama, prawda?

Ayla ponownie na niego spojrzała i z zaskoczeniem spostrzegła na jego twarzy wyraz zdumienia, tak jakby zobaczył ją nagle po raz pierwszy. Z jakiegoś powodu uświadomiło to jej znowu niewłaściwość jej zachowania i szybko opuściła wzrok na zupę. Jednakże on zdawał się nie zważać na jej złe zachowanie. Rozglądał się po jaskini i wydawał ustami dźwięki. Ayla napełniła miseczkę, a potem usiadła przed nim i pochyliła głowę, dając mu tym samym okazję, aby klepnął ją po ramieniu i przyjął do wiadomości jej obecność. Nie poczuła jednak klepnięcia, a gdy spojrzała w górę, napotkała jego pytające spojrzenie i znów usłyszała, jak mówi swe słowa.

On nie wie! On nie wie, na co ja czekam. Zdaje się, że w ogóle nie zna żadnych gestów. W przebłysku intuicji zaświtała jej w głowie pewna myśl. Jak porozumiemy się z sobą, jeżeli on nie widzi moich gestów, a ja nie rozumiem jego słów?

Nagle przypomniała sobie, jak Creb próbował ją uczyć mówić, ale ona nie wiedziała, że on mówił za pomocą rąk. Nie wiedziała, że ludzie potrafią rozmawiać za pomocą rąk; ona mówiła jedynie za pomocą dźwięków! Od tak dawna mówiła jednak językiem klanu, że nie pamiętała już znaczenia słów.

Ale ja nie jestem już kobietą klanu. Jestem martwa. Zostałam przeklęta. Nigdy nie mogę wrócić. Teraz muszę żyć z Innymi i muszę mówić tak, jak oni. Muszę znowu nauczyć się rozumieć słowa i muszę nauczyć się je wymawiać, w przeciwnym razie nigdy mnie nie zrozumieją. Nawet gdybym znalazła klan Innych, nie będę mogła z nimi rozmawiać, a oni nie będą wiedzieli, co ja mówię. Czy dlatego mój totem kazał mi tu pozostać? Dopóki nie został sprowadzony tutaj ten mężczyzna, aby mógł nauczyć mnie ponownie mówić? – Przebiegł ją zimny dreszcz, choć nie było przeciągu.

Jondalar mówił dalej, zadając pytania, na które nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi, a jedynie po to, aby słyszeć własny głos. Kobieta nie reagowała i zdawało mu się, że znał przyczynę tego. Był pewny, że albo właśnie oddaje się jakimś ćwiczeniom lub też jest w Służbie Matce. To wyjaśniałoby wiele spraw: jej zdolności uzdrowicielskie, władzę nad koniem, dlaczego żyła samotnie, i nie chce z nim rozmawiać, a może nawet, jak go znalazła i sprowadziła do tej jaskini. Zastanawiał się, gdzie był, ale w tej chwili to i tak nie miało znaczenia. Miał szczęście, że żył. Niepokoiło go jednak to, co Shamud jeszcze powiedział.

Uświadomił sobie teraz, że gdyby uważniej słuchał starego, białowłosego uzdrowiciela, wiedziałby, że Thonolan umrze – ale czyż nie powiedział on również, że pójdzie on za swym bratem, ponieważ Thonolan zaprowadzi go tam, gdzie by w innym wypadku nie poszedł? Dlaczego został tu przywiedziony?

Ayla starała się wymyślić jakiś sposób na to, aby zacząć się uczyć jego słów. I przypomniała sobie, jak Creb zaczynał jej naukę od nazw rzeczy. Wyprostowała się, spojrzała mu prosto w oczy, i pukając się w pierś powiedziała – Ayla.

Jondalar otworzył szeroko oczy.

– A więc zdecydowałaś się w końcu mówić! Czy to było twoje imię? – Wskazał na nią. – Powtórz.

– Ayla.

Miała dziwny akcent. Przeciągała sylaby i wymawiała je w gardłowy sposób tak, jakby je połykała. Słyszał wiele języków, ale żaden nie przypominał brzmieniem dźwięków przez nią wydawanych. Nie potrafił ich nawet dobrze powtórzyć, ale postarał się to uczynić jak najlepiej.

– Aaa-lah.

Ayla z ledwością rozpoznała dźwięki, które wypowiedział jako

jej imię. Niektórzy członkowie klanu też mieli trudności z jego wypowiedzeniem, ale nikt nie wymawiał tego tak, jak on. Zbił razem dźwięki, zmienił wysokość tonu tak, że pierwsza sylaba była wymawiana głośniej, a druga ciszej. A choć nie pamiętała, aby kiedykolwiek tak wymawiano jej imię, to poczuła, że jest to właściwy sposób. Wskazała na niego i pochyliła się z szacunkiem.

– Jondalar – powiedział. – Nazywam się Jondalar z Zelandonii.

Było tego zbyt wiele i nie mogła wszystkiego spamiętać. Pokręciła głową i ponownie wskazała na niego. Jondalar zauważył, że była zakłopotana.

– Jondalar – powiedział, a potem dodał jeszcze wolniej Jondalar.

Ayla się wyteżyła, aby nadać ustom ten sam kształt, ale udało jej się jedynie powiedzieć: Duh-da.

Widział, że miała trudności z wydaniem prawidłowych dźwięków, ale starała się bardzo. Zastanawiał się, czy nie ma przypadkiem zdeformowanych ust, i dlatego powstrzymuje się od mówienia. Czy to z tego powodu nie mówiła? Ponieważ nie potrafiła? Powtórzył swoje imię jeszcze raz wolniej, wyraźnie wymawiając każdy dźwięk tak, jakby mówił do dziecka lub kogoś mniej rozgarniętego.

– Jon-da-lar... Jonnn-dah-laur.

– Don-da-lah – spróbowała ponownie.

– O wiele lepiej! – powiedział, kiwając z pochwałą głową i uśmiechając się. Naprawdę włożyła w to tym razem dużo wysiłku. Ale Jondalar zaczynał mieć wątpliwości, czy była kimś, kto oddawał się ćwiczeniom, aby Służyć Matce. Nie wydawała się wystarczająco inteligentna. Uśmiechał się dalej i nie przestawał kiwać głową.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia! Nikt w klanie,

z wyjątkiem Durca, nie uśmiechał się w ten sposób. Jej się wydawało to bardzo naturalne, a teraz i on to robi.

Zaskoczona mina młodej kobiety była tak zabawna, że Jondalar musiał stłumić śmiech, lecz w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. Uczucie to było zaraźliwe. Kąciki ust Ayli uniosły się do góry, a gdy on zachęcił ją szerokim uśmiechem, odpowiedziała pełnym, zachwycającym uśmiechem.

– Och, kobieto – powiedział Jondalar. – Może niewiele mówisz, ale jesteś taka urocza, gdy się uśmiechasz! – Zaczął spostrzegać w niej kobietę, i to bardzo pociągającą kobietę.

Coś było inaczej. Uśmiechał się nadal, ale jego oczy... Ayla zauważyła, że w blasku płomieni jego oczy przybierały fioletowy odcień i czaiło się w nich coś więcej niż tylko rozbawienie. Nie wiedziała, co to spojrzenie mogło oznaczać, ale jej ciało wiedziało. Rozpoznało zachętę i odpowiedziało tym samym uciskiem i mrowieniem głęboko w środku, jakie czuła, gdy obserwowała Whinney i jej gniadego ogiera. Jego wzrok był tak zniewalający, że z trudem się zmusiła, aby odwrócić głowę. Pokręciła się jeszcze, poprawiając jego okrycie, a potem wzięła miseczkę i wstała unikając jego spojrzenia.

– Zdaje się, że jesteś wstydliva – powiedział. Jondalar, łagodząc swoje spojrzenie. Przypominała mu dziewczynę przed Rytuałem Pierwszej Rozkoszy. Poczuł delikatnie rosnącą żądzę, jaką zawsze odczuwał wobec dziewcząt podczas tego obrzędu, i uczył mrowienie w łądźwiach. Wtedy dał o sobie znać ból w prawym udzie. – No cóż – powiedział z krzywym uśmiechem – i tak nie jestem w formie.

Położył się na posłaniu, odgarniając i wygładzając skóry, którymi go podparła. Czuł się wyczerpany. Ciało go bolało, a gdy przypominał sobie dlaczego, czuł jeszcze głębszy ból. Nie chciał

pamiętać ani o tym myśleć. Pragnął zamknąć oczy i zapomnieć, pograć się w zapomnieniu, które położy kres jego wszystkim bólom. Poczul dotyk na ramieniu, otworzył oczy i ujrzał Aylę trzymającą miseczkę z płynem. Wypił i wkrótce poczul, jak ból słabnie i opanowuje go senność. Wiedział, że to dzięki temu, co mu podała, i był jej za to wdzięczny, ale zastanawiał się, skąd wiedziała, że tego mu właśnie potrzeba, skoro nie zamienili nawet słowa.

Ayla widziała grymas bólu na jego twarzy i wiedziała, jak rozległe są jego obrażenia. Była doświadczoną uzdrowicielką. Przygotowała bieluń, nim jeszcze Jondalar się obudził. Patrzyła, jak wygładzają się zmarszczki na jego czole, a ciało się odpręża, potem odsunęła lampę i osłoniła ognisko. Przygotowała sobie skórę, na której spała obok mężczyzny.

W blasku przesłoniętego żaru poszła w kierunku wyjścia z jaskini, wtem usłyszała ciche rżenie Whinney i ruszyła w jej stronę. Z zadowoleniem zobaczyła, że klacz leży. Obcy zapach mężczyzny w jaskini denerwował ją, ale widać zaakceptowała jego obecność, skoro czuła się dostatecznie spokojna, aby leżeć. Ayla usiadła przed Whinney, żeby móc głaskać jej pysk i drapać ją wokół uszu. Zaciekawilo to źrebaka, który leżak w pobliżu wymienia. Wcisnął pysk pomiędzy klacz a kobietę. Ayla poklepała i podrapała również i jego, a potem wyciągnęła palce. Poczula, jak źrebię zaczęło ssać, ale zaraz przestało, gdy stwierdziło, że nic dla niego nie ma. Jego potrzebę ssania zaspokajała matka.

Cudowne z niego dziecko, Whinney, i wyrosnie na mocnego i zdrowego konia, tak jak ty. Masz teraz kogoś podobnego do siebie, tak jak i ja. Trudno w to uwierzyć. W końcu nie jestem sama. Niespodziewanie łzy napłynęły jej do oczu. Ile to już



księżyców minęło od czasu, gdy zostałam przeklęta i żyję samotnie? A teraz ktoś tu jest. Mężczyzna, Whinney. Mężczyzna Innych i myślę, że będzie żył. Otarła łzy wierzchem dłoni. – Jego oczy robiły się mokre, tak jak i moje, i uśmiechał się do mnie. A ja odwzajemniłam mu uśmiech.

Jestem jedną z Innych, tak jak powiedział Creb. Iza kazała mi znaleźć swój własny rodzaj, swego partnera. Whinney! Czy on jest moim partnerem? Czy został sprowadzony tu dla mnie? Czy uczynił to mój totem?

Maluszek! Maluszek mi go dał! Został wybrany, tak jak ja zostałam wybrana. Poddany próbie i naznaczony przez Maluszka, przez lwiątko, które ofiarował mi mój totem. Teraz i jego totemem jest Lew Jaskiniowy. To znaczy, że może być moim partnerem. A mężczyzna z totemem Lwa Jaskiniowego będzie wystarczająco silny dla kobiety z totemem Lwa Jaskiniowego. Mogę nawet mieć więcej dzieci.

Ayla zmarszczyła czoło. Ale dzieci nie są tak naprawdę dziełem totემów. Wiem, że to Broud począł Durca, gdy wsunął we mnie swój organ. To mężczyźni poczynają dzieci, nie totemy. Don-da-lah jest mężczyzną...

Nagle Ayla pomyślała o jego męskości, wyprężonej chęcią pozbycia się nadmiaru wody i przypomniała sobie jego zniewalająco błękitne oczy. Poczwała w środku dziwne, niepokojące pulsowanie. Dlaczego nachodziły ją te dziwne uczucia? Zaczęły się pojawiać od czasu, gdy obserwowała ciemnobrązowego konia...

Ciemnobrązowy koń! A teraz Whinney miała ciemnobrązowego żrebaka. To ten ogier począł w niej życie. Don-da-lah mógłby dać początek życiu we mnie. Może być moim partnerem...

A co będzie, jeżeli mnie nie zechce? Iza mówiła, że mężczyźni robią to z kobietami, które lubią. Większość mężczyzn. Broud mnie nie lubił. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby Don-dalah... Nagle się zaczerwieniła. – Jestem taka duża i brzydka! Dlaczego miałyby mieć ochotę robić to ze mną? Dlaczego miałyby mnie wziąć za partnerkę? On może już ma partnerkę. A co będzie, jeżeli zechce odejść?

Nie może odejść. Musi mnie nauczyć znowu mówić. Czy zechce zostać, jeżeli będę rozumieć jego słowa?

Nauczę się. Nauczę się wszystkich jego słów. Wtedy może zechce zostać pomimo to, że jestem taka duża i brzydka. Nie może teraz odejść. Zbyt długo byłam już sama.

Ayla zerwała się niemal w panice i wyszła z jaskini. Ciemności rzedły, przechodząc w aksamitny granat; noc miała się ku końcowi. Spoglądała na sylwetki drzew i znajome punkty, których położenie знаła na pamięć. Chciała wrócić i znowu na niego patrzeć, ale powstrzymała się od tego. Potem pomyślała, że dobrze byłoby zdobyć mu coś świeżego na śniadanie i ruszyła po swoją procę.

Może jemu nie spodoba się to, że ja poluję? Postanowiłam przecież, że nie pozwolę, aby ktokolwiek mnie od tego powstrzymał, przypomniała sobie, ale nie weszła do środka po procę. Zamiast tego zeszła na plażę, zdjęła okrycie i poszła jak co rano popływać. Woda miała na nią szczególnie dobroczynny wpływ, zdawała się zmywać z niej całe emocjonalne wzburzenie. Jej ulubione miejsce na łowienie ryb zniszczyła wiosenna powódź, ale znalazła inne miejsce, niedaleko w dole strumienia i skierowała się teraz w jego stronę.

Jondalar obudził się i poczuł zapach gotowanego pożywienia, co uprzytomniło mu, że był bardzo głodny. Skorzystał z naczynia,

aby opróżnić swój pęcherz, i spróbował się sam podeprzeć, aby móc rozejrzeć się dokoła. Kobiety nie było, nie było też konia i źrebaka, ale miejsce, które zajmowali, było jedynym miejscem w jaskini, które przypominało posłanie, i było tylko jedno palenisko. Kobieta żyła tu sama, nie licząc koni, a ich nie można uważać za ludzi.

Ale w takim razie gdzie byli jej ludzie? Czy w pobliżu są inne jaskinie? Czy są na jakiejś przedłużającej się wyprawie łowieckiej? W części składowej jaskini były sprzęty, skóry i futra, rośliny wisiały na stojakach, zapasy mięsa i jedzenia wystarczyłyby dla dużej jaskini. Czy to było tylko dla niej? Skoro żyje samotnie, to po co potrzebuje aż tak dużo? I kto go tu przyniósł? Być może, jej ludzie przynieśli go tutaj i zostawili z nią.

Tak musiało być! – Ona jest ich zelandoni i przynieśli mnie do niej, aby się mną zajęła. Jest, co prawda, jeszcze młoda a przynajmniej takie sprawia wrażenie – ale jest biegła w tym, co robi. Co do tego nie ma wątpliwości. Pewnie przybyła tu, aby poddać się jakiejś próbie, aby nabrać jakichś specjalnych umiejętności – może w obchodzeniu się ze zwierzętami – a jej ludzie znaleźli mnie i nie było nikogo innego, więc pozwoliła, aby zostawili mnie tutaj. Musi być zelandoni o wielkich mocach, aby mieć taką władzę nad zwierzętami.

Ayla weszła do jaskini, niosąc naczynie z oczyszczonej i wygładzonej kości miednicy, a na nim świeżo upieczonego pstrąga. Uśmiechnęła się do Jondalara zaskoczona tym, że już się obudził. Postawiła rybę, poprawiła futra i wypchane trawą worki, aby mógł wygodniej siedzieć. Podała mu najpierw wywar z wierzbowej kory, aby zapobiec wzrostowi temperatury i uśmierzyć ból. Potem postawiła mu naczynie z rybą na kolanach,

odeszła, a po chwili wróciła z miseczką pełną gotowanego ziarna, świeżo obranych i pokrojonych łądyg ostu i leśnej trybuli oraz pierwszych dzikich truskawek.

Jondalar był tak głodny, że zjadłby wszystko, ale po pierwszych kęsach zwolnił, aby lepiej ocenić smak. Ayla przejęła od Izy jej biegłość w posługiwaniu się ziołami nie tylko dla celów leczniczych, ale również wykorzystywała je jako przyprawy. Zarówno pstrąg, jak i ziarno były doprawione jej doświadczoną dłońią. Świeże łądygi były chrupkie i odpowiednio młode, a dzikie truskawki, choć było ich niewiele, wносиły swą zdobytą słońcem słodycz. Był pod wrażeniem. Jego matka była znana z dobrej kuchni, i choć smak potraw nie był taki sam, to on wyczuł subtelności dobrze przyrządzonego pożywienia.

Ayli sprawiło przyjemność, że powoli smakował jedzenie. Gdy skończył, przyniosła mu miseczkę miętowego napoju i przygotowała się do zmiany jego opatrunków. Kompresu na głowę już nie położyła. Opuchlizna zelżała i miejsce było jedynie trochę obolałe. Zadrapania na piersiach i ramionach goiły się. Mogą pozostać lekkie blizny, ale bez trwałych okaleczeń. To noga stanowiła problem. Czy wygoi się prawidłowo? Czy będzie całkowicie sprawna? Trochę sprawna? Czy też będzie kaleką?

Zdjęła okład i z ulgą zobaczyła, że – zgodnie z nadzieją liście dzikiej kapusty wyciągnęły z rany ropę. Była zdecydowana poprawa, choć nie można było jeszcze powiedzieć, jaką sprawność noga zachowa. Zaciśnięcie rany za pomocą ścięgien zdawało się działać skutecznie. Biorąc pod uwagę wielkość obrażenia, noga miała już kształt zbliżony do pierwotnego, choć będzie pewnie rozległa blizna, i być może, pewna deformacja. Była całkiem zadowolona z wyników leczenia.

Po raz pierwszy Jondalar przyjrzał się uważniej swojej nodze i

nie był zadowolony z tego, co zobaczył. Rana była o wiele poważniejsza, niż sobie wyobrażał. Pobladł na ten widok i z trudem przełknął ślinę. Wiedział, co próbowała osiągnąć za pomocą tych węzłów. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł chodzić.

Odezwał się do niej i zapytał, gdzie się nauczyła sztuki uzdrawiania, choć nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi. Kobieta rozpoznała swe imię, ale nic poza tym. Chciała poprosić go, aby nauczył ją znaczenia swoich słów, lecz nie wiedziała jak. Zakłopotana wyszła na dwór po drewno do paleniska. Pragnęła nauczyć się mówić, ale od czego mieli zacząć?

Jondalar myślał o spożytym właśnie posiłku. Ktoś musiał jej to wszystko dostarczać, była dobrze zaopatrzona, lecz rzucało się w oczy, że sama potrafiła o siebie zadbać. Truskawki, łądygi i pstrąg były świeże. Jednakże ziarno musiało być zebrane poprzedniej jesieni, a więc była to nadwyżka pozostała po zimie. To dobrze świadczyło o jej umiejętności planowania; nie groził jej głód ani w czasie długiej zimy, ani na wiosnę, zanim rośliny dojrzeją. Oznaczało to również, że ta okolica była dobrze jej znana, a zatem była zamieszkana już od jakiegoś czasu. Inne ślady również wskazywały na to, że jaskinia była już dłużej używana. Świadczyły o tym: czarna obwódka dookoła otworu na dym i dobrze udeptane klepisko.

Kobieta miała pod dostatkiem sprzętów i narzędzi, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdził, że były one raczej prymitywne i zupełnie pozbawione ozdób. Przyjrzał się drewnianej miseczce, z której pił napój. – Nie była jednak toporna, pomyślał. Prawdę powiedziawszy, była bardzo dobrze zrobiona. Sądząc po wzorze na drewnie, miseczka została wyrzeźbiona w miejscu sęka. Kiedy Jondalar dokładniej się

przyjrzał, wydawało mu się, że miseczka została uformowana tak, aby wykorzystać kształt układu słoii w drewnie. W węzłach i liniach nietrudno było się doszukać wyobrażenia mordki małego zwierzątka. Czy uczyniła to celowo? To był bardzo subtelny wzór. Podobał mu się bardziej od niektórych krzykliwych rzeźbień, jakie widywał.

Sama miseczka była głęboka, o rozszerzających się brzegach i bardzo gładkim wykończeniu. Nawet w środku nie było znać wyłobień. Kawałek sękatego drewna był trudny w obróbce; zrobienie tej miseczki musiało kosztować wiele dni pracy. Im dłużej się przyglądał, tym bardziej dochodził do przekonania, że miseczka, choć łudziła swą prostotą, była bez wątpienia bardzo fachowo wykonana. – Marthonie by się spodobała, pomyślał, wspominając, jak matka potrafiła nawet najzwyczajszym narzędziom czy pojemnikom do przechowywania produktów nadać miły dla oka kształt. Miała talent dostrzegania piękna prostych przedmiotów.

Spojrzał na Aylę wnoszącą drewno i pokręcił głową na widok jej prymitywnego okrycia ze skóry. Potem przyjrzał się swojemu posłaniu. Podobnie jak jej okrycie był to po prostu kawał nie przyciętej skóry, w którą było zawinięte świeże siano. Wszystko spoczywało na dnie płytkiego wgłębienia. Wyciągnął jeden z brzegów skóry, aby uważniej się przyjrzeć. Jej skraj był trochę sztywny i miał jeszcze nieco jeleniego włosia, ale reszta była bardzo dobrze wyprawiona i miękka. Zarówno wewnętrzna warstwa błonek i żyłek, jak i zewnętrzna warstwa sierści były dokładnie zdarte, dzięki czemu skóra nabierała miękkości. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiły na nim jej futra. Skórę pozbawioną zewnętrznych warstewek włosia i żylastych błonek naciągało się i miętosilo, aby nadać jej giętkość. Inaczej miała się

sprawa z futrami. O wiele trudniej było ją wyprawiać, gdy była usunięta jedynie wewnętrzna warstwa żyłastych błonek. Futra zwykle bywały sztywne, chociaż to, na którym leżał, było równie elastyczne, jak skóry.

Ich dotyk zdawał mu się znajomy, lecz nie potrafił powiedzieć dlaczego. – Sprzęty były pozbawione wszelkich ozdób, myślał, ale były wykonane po mistrzowsku. Skóry i futra były wyprawione z wielką wprawą, pomimo że jej ubranie nie było przycięte i dopasowane do kształtu ciała, zszyte lub zesnurowane razem i nie było zdobione paciorkami ani wyszywane czy farbowane, czy w ogóle ozdobione w inny sposób. Ale mimo to ona przecież złożyła i pozszywała jego nogę. W tym wszystkim była jakaś dziwna niekonsekwencja. Ta kobieta była tajemnicą.

Jondalar patrzył na przygotowania Ayli do rozpalenia ognia, ale naprawdę nie przyglądał się temu z uwagą. Wiele razy widział już rozpalanie ognia. Mimochodem zastanowiło go, dlaczego nie przyniosła żaru z ognia, przy którym przygotowała jego posiłek, ale potem uznał, że pewnie wygasł. Patrzył, nie dostrzegając naprawdę tego, co robiła. Ayła zebrała na kupę szybko zajmujące się włókienka, wzięła dwa kamienie, uderzyła nimi o siebie i dmuchnięciem ożywiła płomienie. Zrobiła to tak szybko, że ogień płonął na dobre, zanim do niego wreszcie dotarło to, co zrobiła.

– Wielka Matko! Jak udało ci tak szybko rozpalić ogień? Niejasno przypominał sobie, że równie szybko rozpałała ogień w środku nocy, ale nie zastanawiał się nad tym, uznając to za złudzenie.

Ayła się odwróciła i spojrzała na jego wybuch z lekką ironią. – Jak rozpałałaś ogień? – zapytał ponownie, pochylając się do przodu. – Och, Doni! Ona przecież nie rozumie ani słowa z tego,

co mówię. – Uniósł z rozdrażnieniem ręce. – Czy ty chociaż wiesz, co uczyniłaś? Podejź tu, Ayla – powiedział, kiwając na nią.

Kobieta natychmiast do niego podeszła; pierwszy raz widziała, aby poruszał rękoma w celowy sposób. Był bardzo czymś zaintrygowany i Ayla zmarszczyła czoło, koncentrując się na jego słowach i żałując, że ich nie rozumie.

– Jak rozпалиłaś ogień? – zapytał znowu, wymawiając słowa powoli i dokładnie, jakby spodziewał się, że to pozwoli jej zrozumieć je – i wyrzucił ręce w kierunku ognia.

– Ok...? – Z wysiłkiem próbowała powtórzyć jego ostatnie słowo. Chodziło mu o coś ważnego. Drżąc z koncentracji starała się go zrozumieć.

– Ogień! Ogień! Tak, ogień! – krzyknął, gestykułując w kierunku ognia. – Czy ty w ogóle masz pojęcie, co to znaczy: umieć tak szybko rozpalać ogień?

– Oki...?

– Tak, jak ten tam – powiedział, wyciągając palec w kierunku paleniska. – Jak to robisz?

Ayla wstała, podeszła do paleniska i wskazała na ogień.

– Oki?

Jondalar westchnął i opadł ponownie na futra, zdając sobie nagle sprawę, że próbował zmusić ją do rozumienia słów, których nie znała.

– Przepraszam, Ayla. To było głupie z mojej strony. Jak możesz powiedzieć mi, co zrobiłaś, skoro nie wiesz, o co pytałem?

Napięcie zniknęło. Jondalar zamknął oczy, czując się wyczerpany i zakłopotany, lecz Ayla była podniecona. Znała już słowo. Tylko jedno, ale to był dopiero początek. Jak jednak mogła sprawić, aby uczył ją dalej? Jak miała mu powiedzieć, żeby ją nauczył więcej słów, że ona musi się nauczyć więcej.



– Don-da-lah...? – Mężczyzna otworzył oczy. Ayla wskazała znowu na palenisko. – Oki?

– Ogień, to jest ogień – powiedział, kiwając potwierdzająco głową. Potem ponownie zamknął oczy, czując się zmęczonym i trochę głupio tym swoim nagłym podnieceniem. Czuł się również obolały, i to nie tylko w fizycznym tego słowa znaczeniu.

On nie był tym zainteresowany. Jak może dać mu do zrozumienia, czego oczekuje? Czuła się tak przybita swoim niepowodzeniem, tak zła, że nie potrafi wymyślić sposobu zakomunikowania mu o swych potrzebach. Spróbowała raz jeszcze.

– Don-da-lah. – Zaczekała, aż otworzył ponownie oczy. Oki...? – powiedziała z nadzieją i prośbą w oczach.

Czego ona chce? – pomyślał Jondalar z rosnącą ciekawością.

– O co ci chodzi z tym ogniem, Ayla?

Wyczuła, że pyta, po układzie jego ramion i wyrazie twarzy. Patrzył z uwagą. Ayla rozejrzała się, próbując wymyślić jakiś sposób, aby mu powiedzieć o tym, czego chce. Jej spojrzenie padło na drewno leżące obok paleniska. Podniosła kawałek, przyniosła i wyciągnęła je przed siebie z tym samym, pełnym nadziei spojrzeniem.

Jondalar zmarszczył w zakłopotaniu czoło, ale zaraz rozpogodził się myśląc, iż zaczyna rozumieć.

– Chcesz poznać słowo temu odpowiadające? – zapytał, zastanawiając się nad jej nagłym zainteresowaniem nauką jego języka, skoro poprzednio w ogóle zdawała się nie przejawiać zainteresowania mówieniem. Mówienie! Ona nie starała się nauczyć jego języka, ona próbowała nauczyć się mówić! Czy to dlatego była taka milcząca? Ponieważ nie wiedziała, jak mówić?

Jondalar dotknął kija w jej dłoni.

– Drewno – powiedział.

Ayla gwałtownie wypuściła powietrze, nie zdając sobie do tej pory sprawy z tego, że wstrzymywała oddech.

– No...? – spróbowała.

– Drewno – powiedział powoli, przesadnie otwierając usta, aby wymówić wyraźnie słowo.

– Www-no – powiedziała, próbując naśladować układ jego ust.

– To już lepiej – powiedział, kiwając głową.

Serce Ayli waliło jak młotem. – Czy zrozumiał, czego chcę? – W nagłym strachu rozejrzała się za czymś, co pozwoliłoby kontynuować naukę. Wpadła jej w oczy miseczka. Podniosła ją i wyciągnęła.

– Czyżbyś chciała, abym nauczył cię mówić?

Nie zrozumiała, pokręciła głową i ponownie wyciągnęła miseczkę.

– Kim ty jesteś, Ayla? Skąd przybyłaś? Jak możesz robić... to wszystko, co robisz, a nie potracisz mówić? Jesteś tajemnicza, ale jeżeli kiedykolwiek mam się dowiedzieć o tobie czegoś więcej, to muszę nauczyć cię mówić.

Ayla usiadła na swym futrze obok niego z pełnym lękiem oczekiwaniem, trzymając wyciągniętą miszkę.

– O co ci chodzi: “pić” czy “miska”? Zdaje się, że to nie ma znaczenia. – Dotknął trzymanego przez nią naczynia. – Misa – powiedział.

– Mysa – odpowiedziała z uśmiechem ulgi.

Jondalar poszedł dalej tym tropem. Sięgnął po naczynie z wodą, które mu zostawiła, i nalał trochę świeżej wody do miski.

– Woda – powiedział.

– Łouda.

– Spróbuj jeszcze raz “woda” – zachęcał ją.

– Ooo-u-da.

Jondalar skinął głową, a potem przyłożył miskę do ust i pociągnął łyk wody.

– Pić woda.

– Piić – powtórzyła całkiem wyraźnie, nie licząc przeciągniętego “i” oraz tego, że jakby połykała dźwięki. – Piić oouda.

## . 21 .



– Ayla, nie wytrzymam już dłużej w tej jaskini. Spójrz, jakie słońce! Jestem już na tyle zdrowy, aby się trochę poruszać, a przynajmniej wyjść przed jaskinię.

Ayla nie rozumiała wszystkiego, co Jondalar mówił, ale pojmowała jego narzekania.

– Węzły – powiedziała, dotykając jednego ze szwów. Przeciąć węzły. Rano zobaczyć noga.

Jondalar uśmiechnął się zwycięsko.

– Masz zamiar zdjąć szwy, a jutro rano będę mógł wyjść z jaskini.

Nie bacząc na trudności językowe Ayla nie miała ochoty zobowiązywać się do niczego ponad to, co zamierzała.

– Zobaczyć – odparła zdecydowanie. – Ayla spojrzeć... – Wyteżała się, aby wyrazić to, co chciała przy swoich ograniczonych możliwościach. – Noga nie... zdrowa, Don-da-lah nie wyjść.

Jondalar ponownie się uśmiechnął. Wiedział, że przekreślił trochę znaczenie tego, co powiedziała w nadziei, że ona na to przystanie, ale był raczej zadowolony, że nie dała się złapać w jego pułapkę i z uporem się stara, aby ją dobrze zrozumiał. Jej zachowanie przekonało go, że w końcu zaczęła się szybciej uczyć.

Nic nie szkodzi, że może jeszcze jutro nie wyjść z jaskini.

Uczenie ją mówienia stało się dla niego swoistym wyzwaniem, a jej postępy, choć nierównomierne, sprawiały mu przyjemność. Zdumiewająco poszerzyła już swoje słownictwo; wydawało się, że zapamiętuje słowa równie szybko, jak je mówił. Jednego popołudnia przez większość czasu podawał jej nazwy na wszystko, co przychodziło im na myśl, a potem ona powtarzała każde słowo, poprawnie je kojarząc. Wymowa sprawiała jej jednak kłopoty. Nie potrafiła poprawnie wymówić pewnych dźwięków bez względu na to, jak bardzo się starała, a starała się bardzo mocno.

Podobał mu się sposób, w jaki mówiła. Miała niski, miły dla ucha głos, a obcy akcent nadawał mu egzotyczne brzmienie. Postanowił nie zaprzętać jej na razie głowy poprawianiem sposobu, w jaki zbijała razem słowa. Na prawidłową wymowę przyjdzie czas później. To, jak rzeczywiście wiele wysiłku wkładała w naukę, okazało się, gdy przeszli do słownictwa nie związanego z konkretnymi rzeczami i czynnościami. Zrozumienie nawet najprostszej abstrakcyjnej myśli stawało się trudnością nie do przewyciężenia trudno jej było na przykład zrozumieć, że ciemna zieleń sosen i jasna zieleń wierzby były opisywane za pomocą tego samego słowa "zielone". Zrozumienie abstrakcyjnego pojęcia zdawało się pojawiać jak rodzaj olśnienia lub nagłego przebłysku pamięci dawno zapomnianych obrazów.

Zrobił raz nawet uwagę na temat jej niezwyklej pamięci, ale Ayla miała trudności ze zrozumieniem go – lub uwierzeniem mu.

– No, Don-da-lah. Ayla nie pamiętać. Ayla próbować, mała dziewczynka. Ayla chcieć dobra... pamięć. Nie dobra. Próbować, próbować, cały czas próbować.

Jondalar pokręcił głową, żałując, że jego pamięć nie jest

równie dobra, jak jej, a chęć uczenia się równie wielka i niezachwiana. Widział, jak z dnia na dzień robi większe postępy, ale ona ciągle była niezadowolona. Jednakże w miarę jak coraz łatwiej było im się porozumieć, gęstniała mgielka tajemniczości, którą była owiana. Im więcej o niej wiedział, tym więcej pojawiała się pytań, na które pragnął znać odpowiedź. W pewnych sprawach miała niewiarygodną biegłość i wiedzę, a w innych była kompletnie naiwna i nieświadoma – a on nigdy nie miał pewności, które są które. Pewne jej umiejętności – takie, jak rozniecanie ognia – wskazywały na większe od spotykanego zaawansowanie, a pod innymi znów względami była, wręcz nie do wiary, prymitywna.

Co do jednego nie miał jednak wątpliwości: bez względu na to, czy byli w pobliżu jacyś inni ludzie, ona potrafiła się sama o siebie zatroszczyć. – A także o mnie, pomyślał, gdy odsunęła okrycie, aby obejrzeć jego nogę.

Ayla miała przygotowany odkażający płyn, lecz przygotowując się do wyjęcia szwów zbierających jego ciało, była zdenerwowana. Nie obawiała się, że rana się rozejdzie – zdawała się goić dobrze – ale nie posługiwała się poprzednio tą techniką i nie miała pewności. Od kilku dni zastanawiała się nad wyjęciem szwów, ale dopiero narzekania Jondalara skłoniły ją do podjęcia decyzji.

Kobieta pochyliła się nad nogą i przyjrzała się uważniej węzłom. Ostrożnie pociągnęła za jeden z zawiązanych końców suchego ścięgna. Skóra do niego przyrosła i podnosiła się razem z nim. Zastanowiła się, czy powinna była tak długo czekać, ale teraz za późno już było, aby się tym martwić. Przytrzymała węzeł w palcach i najostrzejszym nożem, tym, którego nie używała, odcięła jeden koniec możliwie jak najbliżej miejsca związania.

Kilka próbnych pociągnięć przekonało ją, że wyciągnięcie szwów nie będzie łatwe. W końcu, wzięła węzeł w zęby i ostrym szarpnięciem wyciągnęła go.

Jondalar drgnął. Ayli było przykro, że naraziła go na ból, ale rana się nie otworzyła. W miejscu, gdzie skóra była lekko naderwana, pojawiła się kropelka krwi, lecz mięsień i ciało były zrosnięte. Chwilowy ból nie był wielką ceną, jaką za to musiał zapłacić. Wyciągnęła pozostałe szwy tak szybko, jak tylko mogła. Jondalar zacisnął zęby i pięści, aby nie podskakiwać za każdym razem, gdy wyciągała kolejny szew. Potem oboje się pochylili, aby obejrzeć skutek leczenia.

Ayla zdecydowała, że skoro nie było pogorszenia, to pozwoli mu stanąć na tej nodze i wyjść z jaskini. Zabrała nóż, miseczkę z płynem i zaczęła wstawiać. Jondalar powstrzymał ją.

– Pozwolisz mi obejrzeć nóż? – zapytał, wskazując na przedmiot w jej dłoni. Ayla podała mu nóż i patrzyła, jak mu się przyglądał.

– To jest zrobione z kamiennej łuski! To nawet nie ostrze. Obrobiono go z pewną wprawą, ale technika, jaką się posłużono, jest strasznie prymitywna. Nie ma nawet uchwytu – jedynie wygładzony koniec, aby się nie skaleczyć. Skąd to masz, Ayla? Kto to zrobił?

– Ayla zrobić.

Wiedziała, że ocenia jakość i wykonanie, i chciała mu wytłumaczyć, że nie jest tak biegła, jak Droog, ale że nauczyła się tego u najlepszego wyrabiacza narzędzi w klanie. Jondalar przyglądał się nożowi z wielką uwagą i zdawało się, że z pewnym zaskoczeniem. Chciała porozmawiać z nim o zaletach tego narzędzia, jakości krzemienia, ale nie potrafiła. Nie miała odpowiedniego zapasu słów z tego zakresu ani nie potrafiła

wyrazić swych myśli. To było bardzo denerwujące.

Garnęła się, by rozmawiać z nim o wszystkim. Tak długo nie miała żadnego człowieka obok siebie, ale nie wiedziała, jak bardzo jej tego brakowało, dopóki nie pojawił się Jondalar. Czuła się jakby zaproszono ją na ucztę, a ona wygłodniała chciała wszystko zjeść, choć mogła jedynie pokosztować smaku potraw.

Jondalar oddał jej nóż, kręcąc głową w zdumieniu. Nóż był ostry należycie, lecz to jedynie zwiększało jego ciekawość. Ayla była dobrze wyszkoloną zelandoni i posługiwała się zaawansowaną techniką -taką jak szwy - ale zrobiła tak prymitywny nóż. Gdyby mógł ją o to zapytać i wytłumaczyć jej to; gdyby ona mogła mu powiedzieć. A dlaczego nie potrafiła mówić? Teraz uczyła się bardzo szybko. Dlaczego się nie nauczyła przedtem? Nauczenie Ayli ludzkiej mowy stało się ich wspólną ambicją.

Jondalar obudził się wcześniej. W jaskini było jeszcze ciemno, lecz. w wejściu i w górnym otworze rysował się już granat przedświtu. Robiło się coraz jaśniej, a świt wydobywał z mroku każdy uskoki i zagłębienie w skalnych ścianach. Równie wyraźnie widział je z zamkniętymi oczyma; wryły się w jego mózg. Musi wyjść na zewnątrz i zobaczyć coś innego. Czuł ogarniające go podniecenie i pewność, że dziś będzie ten długo oczekiwany dzień. Nie mógł się już doczekać i chciał potrząsnąć śpiącą obok niego kobietą. Ale powstrzymał się, po czym zmienił zamiar.

Ayla spała na boku, skulona i otulona futrem. Wiedział, że zajmował miejsce, w którym zwykle spała. Jej futro leżało na rozłożonej obok niego macie, nie w płytkim zagłębieniu wymoszczonym sianem. Spała w swym okryciu, gotowa zerwać się na nogi w każdej chwili. Kobieta obróciła się na plecy. Jondalar przyglądał jej się uważnie, starając się doszukać w jej



rysach czegoś charakterystycznego, co dałoby mu jakieś pojęcie o jej pochodzeniu.

Jej budowa, kształt twarzy i układ kości policzkowych miały obcy wygląd w porównaniu z kobietami Zelandonii, ale nie było w niej nic nadzwyczajnego z wyjątkiem tego, że była nadzwyczajnie piękna. To coś więcej niż zwykła uroda, uznał teraz, gdy przyjrzał jej się dokładniej. Jej kształty pozwalałyby uznać ją za piękność pod każdym względem.

Sposób ułożenia włosów, zebranych w regularne warkocze, rozpuszczone po bokach i z tyłu, a zebrane z przodu, nie był mu znany, ale widywał już włosy ułożone w bardziej niezwykły sposób. Niektóre z długich kosmyków się wysunęły i zostały zagarnięte za uszy lub leżały w nieładzie. Jeden policzek miała umazany sadzą. Uświadomił sobie, że odkąd odzyskał świadomość, to nie opuszczała go dłużej niż na chwilę, a przedtem było prawdopodobnie tak samo. Nikt nie mógłby ganić jej za brak opieki...

Ayla otworzyła oczy, pisnęła zaskoczona i przerwała ciąg jego myśli.

Nie była przyzwyczajona, aby po otwarciu oczu ujrzeć czyjąś twarz, szczególnie o tak lśniących błękitnych oczach i zmierzwionej jasnej brodzie. Poderwała się tak szybko, że przez moment kręciło jej się w głowie, ale wkrótce doszła do siebie i ruszyła podsycić ogień. Wygasł; znowu zapomniała go osłonić. Zebrała materiały do rozniecenia nowego.

– Pokażesz mi, jak rozpalić ogień, Ayla? – zapytał Jondalar, gdy podniosła kamienie. Tym razem zrozumiała, o co mu chodziło. – Nietrudne – powiedziała i przyniosła kamienie do krzesania iskier oraz materiały na podpałkę bliżej jego posłania. Potem ułożyła na kupkę kosmate włókna kory wraz z puszką z

wierzbówki i podała mu krzemień oraz markazyt.

Jondalar natychmiast rozpoznał krzemień – i pomyślał, że widział już poprzednio kamienie takie, jak ten drugi, ale nigdy nie wpadłby na to, aby użyć ich razem w jakimkolwiek celu, a już w szczególności do rozpalenia ognia. Uderzył nimi o siebie w sposób podobny do jej sposobu. To było słabe uderzenie, ale zdawało mu się, że widział maleńką iskierkę. Uderzył ponownie, ciągle jeszcze nie do końca wierząc, że potrafi wydobyć ogień z kamieni, choć nieraz już oglądał, jak Ayla to robiła. Z zimnych kamieni wystrzelił duży błysk. Najpierw oszołomiło go to, a potem wprawilo w podniecenie. Po kilku dalszych próbach i niewielkiej pomocy Ayli, rozpałił mały ogień obok swego posłania. Ponownie spojrzął na kamienie.

– Kto nauczył cię rozpalać w ten sposób ogień?

Wiedziała, o co ją pytał, ale nie wiedziała, jak mu to powiedzieć.

– Ayla zrobić – powiedziała.

– Tak. Wiem, że to zrobiłaś, ale kto ci pokazał jak?

– Ayla... pokazać. – W jaki sposób miała powiedzieć mu o tym dniu, w którym zgasł ogień, rozpadła się jej siekiera i odkryła kamienie do krzesania ognia? Objęła na chwilę dłońmi głowę, próbując znaleźć sposób na wyjaśnienie tego, a potem spojrzała na niego i pokręciła głową. – Ayla nie mówić dobrze.

Jondalar widział jej zawód.

– Będiesz dobrze mówić, Ayla. Wtedy mi o tym powiesz. Już wkrótce. Jesteś zdumiewającą kobietą. – Uśmiechnął się. Dziś wyjdę na dwór, prawda?

– Ayla zobaczyć... – Odśloniła przykrycie i sprawdziła jego nogę. W miejscach po szwach były małe strupki, ale noga wyraźnie się goiła. Czas, aby stanął na tej nodze, i spróbował

ocenić jej stan. – Tak, Don-da-lah wyjść.

Jego twarz rozjaśnił największy uśmiech, jaki widziała. Czuł się jak mały chłopiec wybierający się na Letnie Spotkanie po długiej zimie.

– No to chodźmy, kobieto! – Odrzucił futra ożywiony pragnieniem wyjścia na dwór.

Jego chłopięcy entuzjazm był zaraźliwy. Ayla również się uśmiechnęła, lecz dodała powściągliwie.

– Don-da-lah jeść jedzenie.

Przygotowanie porannego posiłku, na który składało się pożywienie przygotowane poprzedniego wieczoru i zaparzony rano napój, nie zajęło wiele czasu. Potem Ayla przyniosła Whinney ziarno i spędziła kilka chwil na wyczesywaniu jej za pomocą szczeciny, którą podrapała również i źrebaka. Obserwował ją przy tych czynnościach już poprzednio, ale teraz po raz pierwszy zauważył, że kobieta wydaje dźwięki zdumiewająco podobne do końskiego rżenia oraz pewne niskie, gardłowe sylaby. Na jej ruchy rąk i gesty nie zwracał uwagi – nie zauważał ich, nie wiedział, że są integralną częścią języka, którym rozmawiała z koniem – ale w pewien instynktowny sposób wiedział, że rozmawiała z klaczą. Miał także równie silne wrażenie, że zwierzę ją rozumie.

Przyglądając się, jak kobieta pieści klaczkę i jej źrebaka, Jondalar zastanawiał się, jakiego rodzaju magii musiała użyć, aby zniewolić zwierzęta. On sam czuł się trochę zniewolony, ale był mile zaskoczony, gdy przyprowadziła do niego konia i źrebaka. Nigdy przedtem nie głaskał żywego konia ani nie był tak blisko źrebaka o puszystej sierści i czuł się nieco oszołomiony ich całkowitym brakiem lęku. Szczególnie źrebak zdawał się do niego ciągnąć, gdy Jondalar po pierwszych ostrożnych

poklepywaniach, skierował swe głaskanie i drapanie we właściwe miejsce.

Przypomniał sobie, że nie podawał jej nazw zwierząt, wskazał więc na klacz i rzekł: – Koń.

Ale Whinney miała imię, imię składające się z dźwięków, jakie obie wydawały. Ayla pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Whinney.

Dla niego wydane przez nią dźwięki nie były nazwą – były wspaniałą imitacją końskiego rżenia. Był zdziwiony. Ta kobieta nie potrafiła mówić językiem ludzi, ale potrafiła mówić językiem konia? Rozmawiać z koniem? Poczul nabożny lęk; to była potężna magia.

Ayla uznała, że jego oszołomienie wynika z braku zrozumienia. Spróbowała więc mu to wytłumaczyć. Dotknęła piersi i wymówiła swe imię. Potem wskazała na niego i powiedziała jego imię. Następnie wskazała na konia i znowu cicho zarżała.

– Czy to imię klaczy? Ayla, ja nie potrafię wydawać takich dźwięków. Nie wiem, jak rozmawiać z końmi.

Po drugiej, cierpliwszej próbie Jondalar spróbował, ale zabrzmiało to bardziej jak słowo, które przypominało brzmieniem rżenie. Ayla sprawiała wrażenie zadowolonej i odprowadziła oba konie na ich miejsce.

– On uczy mnie słów, Whinney. Mam zamiar nauczyć się wszystkich jego słów, ale musiałam powiedzieć mu, jak się nazywasz. Musimy pomyśleć o imieniu dla twego małego... a może on zechciałby nazwać twe dziecko?

Jondalar słyszał opowieści o pewnym zelandoni, który umiał zwabić zwierzęta do myśliwych. Niektórzy łowcy też potrafili całkiem niezłe naśladować głosy zwierząt, co pomagało im je

podejść. Ale nigdy nie słyszał, aby ktoś potrafił rozmawiać ze zwierzętami lub nakłonił jakieś zwierzę, aby z nim zamieszkało. Nagle uświadomił sobie, czego ta kobieta dokonała. Kim ona była? Jakiego rodzaju magią władała? A przecież kiedy szła w jego kierunku ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy, to sprawiała wrażenie zupełnie zwykłej kobiety. Zupełnie zwykłej kobiety, która potrafiła rozmawiać z końmi, ale nie potrafiła rozmawiać z ludźmi.

– Don-da-lah wyjść?

Jondalar prawie o tym zapomniał. Twarz ożywiła mu się i nim Ayla zdążyła wyciągnąć do niego ręce, sam spróbował wstać. Jego entuzjazm natychmiast wyparował. Był słaby, a każdy ruch powodował ból. Przez chwilę bał się zawrotów głowy i nudności, lecz to uczucie zaraz minęło. Ayla widziała, jak na jego twarzy radosne podniecenie ustąpiło miejsca grymasowi bólu, a potem nagłej bladości.

– Chyba będę potrzebował niewielkiej pomocy – powiedział, uśmiechając się z przymusem, choć szczerze.

– Ayla pomoc – rzekła, ofiarowując mu wsparcie na swoim ramieniu i pomocną dłoń. Z początku się wzbraniał, ale gdy zobaczył, w jaki sposób go podtrzymuje, jaka jest silna i wie, jak go dźwignąć do góry, to przyjął jej pomoc.

W końcu stanął na swej zdrowej nodze wsparty na stojaku do suszenia ziół. Ayla zadarła głowę, aby na niego spojrzeć. Z wrażenia otworzyła buzię i wytrzeszczyła oczy. Czubkiem głowy ledwie sięgała jego brody. Wiedziała, że miał ciało dłuższe od mężczyzn z klanu, lecz nie potrafiła przełożyć sobie w wyobraźni długości na wysokość. Nie potrafiła przewidzieć, jak będzie wyglądał, gdy się podniesie. Nigdy nie widziała nikogo tak wysokiego.

Od dzieciństwa nie pamiętała, aby musiała zadzierać głowę, patrząc na kogoś. Nawet przed osiągnięciem dojrzałości była wyższa od wszystkich członków klanu, włączając w to mężczyzn. Zawsze była duża i brzydka; zbyt wysoka, zbyt blada, o zbyt płaskiej twarzy. Żaden mężczyzna jej nie chciał, nawet wtedy, gdy jej silny totom uległ, i każdy z nich lubił myśleć, że to jego totom pokonał jej Lwa Jaskiniowego i uczynił ją ciężarną; nawet pomimo to, że wiedzieli, iż jeżeli wyda na świat swe dziecko, nie mając partnera, to będzie ono nieszczęśliwe. I Durc nie miał szczęścia. Nie chcieli się zgodzić, aby żył. Powiedzieli, że jest zdeformowany, ale Brun i tak go przyjął. Jej syn pokonał swój brak szczęścia. Pokona również nieszczęście związane z brakiem matki. I będzie wysoki – wiedziała o tym, nim odeszła – ale nie będzie tak wysoki, jak Jondalar.

Przy tym mężczyźnie czuła się niezaprzeczalnie niska. Najpierw miała wrażenie, że jest młody, a młody kojarzyło jej się z małym. Ale on pomimo swego wzrostu wyglądał młodo. Spojrzała na niego z nowej perspektywy i zauważyła, że broda mu urosła. Nie wiedziała, dlaczego nie miał brody, gdy go zobaczyła po raz pierwszy, ale widząc wyrastające na brodzie złociste kędziorki, zdała sobie sprawę, że nie był chłopcem. Był mężczyzną – wysokim, potężnym, w pełni dojrzałym mężczyzną.

Jej zdumione spojrzenie, choć nie znał przyczyny, przyprawiło go o uśmiech. Ona również była wyższa, niż się domyślał. Sposób, w jaki się poruszała i jej postawa, stwarzały wrażenie, iż ma się przed sobą kogoś znacznie niższego. Prawdę powiedziawszy, była całkiem wysoka, a jemu podobały się wysokie kobiety. To one właśnie przyciągały zawsze jego spojrzenie, ale ona ściągnęłaby na siebie spojrzenie każdego, pomyślał.

– Najgorsze mamy za sobą, chodźmy na dwór – powiedział.

Ayla uświadomiła sobie wtedy, że jego nagości nie skrywa żadne okrycie.

– Don-da-lah potrzebować... ubiór – powiedziała, używając jego określenia na okrycie, choć miała na myśli męskie odzienie.  
– Potrzebować okrycie... – Wskazała na jego przyrodzenie; nie знаła odpowiedniego słowa. Nagle, nie wiadomo dlaczego, zaczerwieniła się.

To nie była skromność. Widziała wielu nie odzianych mężczyzn, a także kobiet – nie to było powodem jej niepokoju. Pomyślała, że potrzebna mu ochrona, ale nie przed żywiołami tego świata, lecz przed złymi duchami. Co prawda kobiety nie były dopuszczane do męskich obrzędów, ale wiedziała, że mężczyźni klanu nie lubili wychodzić na dwór z nie zakrytym przyrodzeniem. Nie wiedziała, dlaczego na myśl o tym, czuła niepokój, ani dlaczego twarz ją paliła i pojawiało się w niej to uczucie pulsowania i mrowienia.

Jondalar spojrział na siebie. Jemu także nie były obce przesady związane z jego przyrodzeniem, ale nie myślał o zakrywaniu go w obronie przed złymi duchami. Jeżeli złośliwy wróg namówiłby zelandoni, aby sprowadził na niego nieszczęście albo jeżeli kobieta miałaby powód rzucić na niego klątwę, to potrzebowałyby ochrony o wiele solidniejszej niż kawałek ubrania.

W czasie wędrówki nauczył się jednak szanować uczucia i obyczaje napotkanych ludzi i starał się swym zachowaniem ich nie obrażać, choć obcym zwykle wiele wybaczano. Zauważył, na co wskazywała – i jej rumieniec. Wywnioskował z tego, iż według niej nie powinien wychodzić z obnażonym przyrodzeniem. W każdym razie i tak siedzenie nago na gołej skale nie należało do przyjemności, a on nie będzie mógł jeszcze dużo chodzić.

Potem pomyślał o sobie, o tym, jak stał na jednej nodze,

wspierając się na słupku, i o tym, że tak bardzo był owładnięty pragnieniem wyjścia, że nie zauważył, iż był całkowicie nagi. Uderzył go komizm tej sytuacji i wybuchnął serdecznym śmiechem.

Jondalar nie mógł wiedzieć, jakie wrażenie na Ayli wywoła jego śmiech. Dla niego był on czymś tak naturalnym, jak oddychanie. Ayla natomiast wyrosła wśród ludzi, którzy nie śmiali się i spoglądali na jej śmiech z taką podejrzliwością, że nauczyła się go skrywać, aby lepiej dopasować się do otoczenia. To była część ceny, jaką zapłaciła za przetrwanie. Dopiero po przyjściu na świat syna odkryła na nowo przyjemność śmiechu. To była część spuścizny, jaką otrzymał z połowy swego dziedzictwa. Wiedziała, że zachęcanie go do śmiechu spotkałoby się z niechęcią otoczenia, ale gdy byli sami, nie mogła powstrzymać się od łaskotania go, na co reagował rozkosznym chichotaniem.

Dla niej śmiech miał większe znaczenie; nie był tylko zwykłą spontaniczną reakcją. Stanowił więź łączącą ją z synem. Śmiech pozwalał jej dostrzec w synu cząstkę samej siebie i był wyrazem jej własnej tożsamości. Śmiech nabrał dla niej jeszcze większego znaczenia, odkąd rozśmieszało ją ukochane lwiątko. Nie miała zamiaru z tego zrezygnować. Oznaczałoby to nie tylko rezygnację ze wspomnień o synu, ale także – z rozwoju własnej osobowości.

Nie wzięła jednak pod uwagę tego, że ktoś inny również może się śmiać. Nie pamiętała, aby robił to ktoś inny, z wyjątkiem niej samej i Durca. Szczególny śmiech Jondalara, serdeczny, radosny i swobodny, skłaniał do odpowiedzi. Jego śmiech z samego siebie był pełen tak niewymuszonej radości, że od pierwszej chwili wzbudził w niej sympatię. Już samo brzmienie śmiechu Jondalara zawierało w sobie pochwałę tej czynności. Śmiech nie



tylko był czymś jak najbardziej właściwym, ale był nawet mile widziany. Trudno było się mu oprzeć.

I Ayla się nie opierała. Pierwsze zaskoczenie minęło, na jej twarzy pojawił się uśmiech, a potem i ona wybuchnęła śmiechem. Nie wiedziała, co ją rozbawiło; śmiała się, ponieważ Jondalar się śmiał.

– Don-da-lah – powiedziała Ayla, opanowując się na moment. – Jaki jest słowo... ha-ha-ha-ha?

– Śmiać się? Śmiech?

– Jaki jest... dobry słowo.

– Oba są dobre. Gdy to robimy, to mówi się “śmiać się”. Gdy o tym mówisz, to jest to “śmiech” – wyjaśnił.

Ayla zastanowiła się chwilę. W tym, co powiedział, kryło się coś więcej niż tylko to, jak używać tego słowa; mówienie było czymś więcej niż tylko słowami. Znała już wiele słów, ale doznawała zawodu za każdym razem, gdy próbowała wyrazić swoje myśli. W grę wchodził jeszcze sposób, w jaki były łączone, i znaczenie; którego nie mogła w pełni uchwycić. Chociaż w większości rozumiała, co Jondalar mówił, to same słowa były dla niej jedynie wskazówkami do zrozumienia tego, co mówił. Równie wiele potrafiła zrozumieć, odczytując nieświadomy język jego ciała. Czuła jednak, że ich rozmowom brak dokładności sformułowań i myślowej głębi. Jednakże jeszcze gorsze było uczucie, iż ona “wie”, ale nie może sobie przypomnieć, trudne do zniesienia napięcie, niczym mocny, bolesny węzeł, który próbuje pęknąć za każdym razem, gdy jest bliska przypomnienia sobie tego.

– Don-da-lah śmiać się?

– Tak, dobrze.

– Ayla śmiać się. Ayla lubić śmiać się.

– A teraz, Jondalar, “lubić wyjść” – odparł. – Gdzie są moje rzeczy?

Ayla przyniosła stertę ubrań, które z niego zdjęła. Były poszarpane lwimi pazurami i poznaczone brązowymi plamami. Paciorki i inne elementy wzoru podpadały z ozdobionej bluzy.

Widok rzeczy podziałał na Jondalara trzeźwiąco.

– Musiałem być bardzo poraniony – powiedział, podnosząc spodnie sztywne od jego własnej krwi. – Te nie nadają się już do użytku.

Ayla myślała tak samo. Poszła do oddzielnego miejsca w jaskini i przyniosła mu nie używaną skórę oraz długi rzemień i poczęła owijać ją Jondalarowi wokół pasa, tak jak to czynili mężczyźni klanu.

– Ja to zrobię, Ayla – powiedział, wkładając sobie miękką skórę pomiędzy nogi i podciągnął ją do góry z przodu i z tyłu, tworząc coś w rodzaju spodni. – Ale, być może, mogłabyś mi trochę pomóc – dodał, usiłując zawiązać w pasie rzemień.

Pomogła mu, a potem użyczając mu ramienia wskazała, aby oparł się na chorej nodze. Jondalar postawił pewnie nogę i pochylił się ostrożnie do przodu. Sprawilo mu to więcej bólu, niż się spodziewał, i zaczynał już wątpić, czy da radę. Ale zebrał się w sobie, oparł się z całych sił na Ayli i zrobił mały, pełen nadziei krok, a potem drugi. Doszli w końcu do wyjścia z jaskini. Jondalar uśmiechnął się promiennie do Ayli i spojrzął na skalną półkę i wysokie sosny rosnące w pobliżu przeciwległej ściany.

Ayla zostawiła go opartego o ścianę jaskini, a sama wróciła do środka po plecioną z trawy matę i futro. Rozłożyła je w pobliżu krańca tarasu, tam, skąd rozciągał się najlepszy widok na dolinę. Potem wróciła, aby pomóc mu tam przejść. Jondalar był zmęczony, obolały, lecz także zadowolony z siebie, gdy wreszcie

się usadowił na futrze i po raz pierwszy rozejrzał dookoła.

Whinney i jej żrebak byli na łące; opuścili jaskinię wkrótce potem, jak Ayla przyprowadziła je na spotkanie z Jondalarem. Sama dolina była pełnym bujnej zieloności rajem ukrytym pośród wypalonych stepów. Nie domyślał się, że mogą w ogóle istnieć takie miejsca. Odwrócił się w stronę wąskiego wąwozu i widocznej części kamienistej plaży. Ale jego spojrzenie powędrowało z powrotem w kierunku zielonej doliny, która ciągnęła się wzdłuż rzeki aż do odległego zakrętu.

Pierwszym wnioskiem, do jakiego doszedł, było to, że Ayla mieszka tu sama. Nie było śladu innej ludzkiej egzystencji. Ayla posiedziała z nim chwilę, a potem wróciła do jaskini i przyniosła garść ziarna. Ściągnęła usta, wydała melodyjny tryl i rozsypała ziarno na skalnej półce obok nich. Jondalar nie miał pojęcia, po co to robiła, dopóki nie zleciały się ptaki i nie zaczęły zbierać ziarna. Wkrótce spore stadko ptaków różnych rozmiarów i kolorów wirowało wokół nich z furkotem skrzydeł i szybko pochylając główki zdziobywało ziarno.

Ich śpiew – szczebioty, trele i skrzeki – wypełnił powietrze, gdy strosząc piórka kłóciły się o miejsce. Po uważnym wsłuchaniu się Jondalar odkrył, że spora część ptasiego śpiewu była dziełem kobiety! Potrafiła wydawać całą gamę dźwięków. Na jej głos podobnie śpiewający ptak wskakiwał na jej palce, a ona podnosiła go i śpiewali dalej w duecie. Kilka razy przysuwała dłoń na tyle blisko, aby Jondalar mógł dotknąć ptaszka, zanim ten odleciał.

Gdy całe ziarno zniknęło, większość ptaków odleciała, ale jeden z kosów pozostał, aby dalej śpiewać z Aylą. A ona doskonale naśladowała jego złożone trele.

Jondalar odetchnął, gdy ptak odleciał. Cały czas wstrzymywał

oddech, aby nie zakłócić tego ptasiego przedstawienia.

– Gdzie się tego nauczyłaś? To było takie podniecające, Ayla. Nigdy przedtem nie byłem tak blisko żywych ptaków.

Ona się uśmiechnęła, niezbyt dobrze rozumiejąc sens tego, co powiedział, ale czuła, że był pod wrażeniem tego, co zobaczył. Zagwizdała inną ptasią melodię w nadziei, że może poda jej imię tego ptaka, ale on tylko uśmiechnął się w uznaniu jej wprawy. Próbowала jeszcze kilka razy, nim się poddała. Jondalar nie rozumiał, o co jej chodziło, i zatroskała go kolejna myśl. Ona potrafiła lepiej naśladować ptaki, niż to robił Shamud na flecie! Czyżby porozumiewała się z duchami Matki, które przybrały postać ptaków? Ptak sfrunął i wylądował na jej nodze. Jondalar przypatrywał mu się czujnie.

Niepokój jednak szybko go opuścił i ogarnęła go radość z pobytu na świeżym powietrzu. Spoglądał na dolinę, sycąc się promieniami słońca i podmuchami lekkiego wiatru. Ayla była uszczęśliwiona jego towarzystwem. Tak trudno było jej uwierzyć w to, że siedział tu z nią na skalnej półce, że wprost bała się mrugnąć. Bała się, że gdy tylko zamknie oczy, to po ich otwarciu on zniknie. W końcu przekonana o jego faktycznej obecności zamknęła oczy dla samej przyjemności, jaką dało jej zobaczenie, że jest tu nadal, gdy je otworzyła. Jego dźwięczny, głęboki głos wprawiał ją w niespodziewany zachwyt, gdy zdarzyło mu się odezwać, kiedy miała zamknięte oczy.

Słońce wzniosło się wyżej i poczuli jego ciepłą obecność. Uwagę Ayli przyciągnął błyszczący w dole strumień. Zapomniała o swojej codziennej porcji pływania, lękając się zostawić Jondalara samego w obawie, że mógłby czegoś nagle potrzebować. Teraz jednak czuł się o wiele lepiej i mógł zawołać, gdyby jej potrzebował.

– Ayla iść woda – powiedziała, wykonując przy tym pływackie ruchy.

– Pływać – powiedział, robiąc podobne gesty. – Słowo brzmi “pływać” i szkoda, że nie mogę iść z tobą.

– Ppywać – powiedziała wolno.

– Pływać – poprawił.

– Py-ać – spróbowała ponownie, a gdy przytaknął, ruszyła w dół. – Upłynie trochę czasu, nim będzie mógł zejść tą ścieżką – przyniosę mu wody. – Noga dobrze się goi. Myślę, że będzie mógł jej używać. Może będzie lekko utykał, ale mam nadzieję, że nie na tyle, aby mu to przeszkadzało w bieganiu.

Zeszła na plażę, odwiązała rzemień przytrzymujący okrycie i postanowiła umyć również włosy. Poszła więc w dół strumienia po korzeń mydlnicy. Spojrzała w górę, dostrzegła Jondalara i zamachała do niego, a potem, ukryta przed jego wzrokiem, wróciła na plażę. Usiadła na ogromnym kawałku skały, który przed wiosenną powodzią był częścią ściany, i zaczęła rozplatać warkocze. Nowy staw, który powstał po zmianie linii brzegowej, był teraz jej ulubionym miejscem kąpieli. Był głębszy, a na pobliskim głazie było wgłębienie, w którym rozbijała na mydliny korzeń mydlnicy.

Jondalar ujrzał ją ponownie, gdy opłukała się i popłynęła w górę strumienia, i z podziwem patrzył na jej płynne, mocne ruchy rąk i nóg. Leniwie podpłynęła z powrotem do kamienia. Usiadła na nim i pozwoliła, aby słońce ją osuszyło, a ona w tym czasie patykami rozczesywała włosy, a potem wyszczotkowała je szczecina. Nim jej gęste włosy przeszły, poczuła się rozgrzana. Jondalar jej nie wołał, ale ona i tak zaczęła się o niego niepokoić. – Musi już być zmęczony, pomyślała. Spojrzała na swe okrycie i uznała, że potrzebne jej czyste. Podniosła je i ruszyła w górę

ścieżki.

Jondalar odczuł działanie słonecznych promieni bardziej niż Ayla. Warstewka słabej opalenizny, którą zdobył po opuszczeniu wiosną Obozu Mamutoi zdążyła zniknąć w ciągu pobytu w jaskini Ayli. Jego skóra ponownie przybrała zimową bladość, to znaczy była blada, dopóki nie wyszedł na słońce. Ayli już nie było, gdy po raz pierwszy poczuł niepokój z powodu gorących promieni słońca. Starał się nie zwracać na nie uwagi, nie chcąc przeszkadzać kobiecie, która cieszyła się kilkoma chwilami, jakie mogła poświęcić samej sobie po okresie troskliwej opieki nad nim. Zaczynał się zastanawiać, dlaczego tak długo nie wracała, pragnąc, aby się pospieszyła i spoglądając ku wylotowi ścieżki, a później na strugę, i myślał, że może postanowiła jeszcze popływać.

Kiedy Ayla pojawiła się na szczycie ściany, Jondalar patrzył akurat w drugą stronę. Na widok jego poczerwieniałych pleców Aylę ogarnęły wyrzuty sumienia. – Ależ się spiekł! Cóż ze mnie za uzdrowicielka, skoro zostawiłam go tu na tak długo? – wyrzucała sobie, szybko ruszając w jego stronę.

Jondalar usłyszał jej kroki i odwrócił się wdzięczny, że w końcu przyszła, i trochę zirytowany, że nie wróciła wcześniej. Ale na jej widok zapomniał o spieczonej skórze. Z otwartymi z podziwu ustami wpatrywał się w zbliżającą się do niego nagą postać, skąpaną w jasnych promieniach słońca.

Jej skóra, pokryta złocistą opalenizną, falowała pod wpływem pracy mocnych mięśni, wyrobionych ciężką pracą. Jej nogi były idealnie kształtne, jedynie lewe udo szpeciły cztery równoległe blizny. Ze swego miejsca widział jej krągłe, jędrne pośladki, a ponad złotawymi kędziorkami owłosienia łonowego krzywiznę brzucha naznaczoną delikatnymi rozstępami powstałymi w

czasie ciąży. Cięża? Piersi miała duże i dziewczęco kształtne, z ciemnoróżowymi sutkami i sterczącymi brodawkami. Długie ramiona poruszały się z pełną gracji swobodą.

Ayla wyrosła pośród ludzi – kobiet i mężczyzn – o wrodzonej sile. Aby podołać stawianym kobietom klanu zadaniom – dźwiganiu, noszeniu, wyprawianiu skór, rąbaniu drewna – jej ciało musiało nabrać muskularności. Polowanie nadało jej ruchom sprężystość, a samotne przetrwanie wymagało sporego nakładu sił.

To chyba najsilniejsza kobieta, jaką widziałem, pomyślał Jondalar; nic dziwnego, że mogła go dźwignąć i podtrzymać. Nie miał też wątpliwości, że nigdy nie widział kobiety o piękniej rzeźbionym ciele. Od początku uważał ją za raczej ładną, ale nigdy nie widział jej w pełnym blasku dnia.

Miała długą szyję z małą blizną na gardle, ujmujący owal twarzy, prosty, wąski nos, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe i szeroko rozstawione, szaroniebieskie oczy. Jej delikatne rysy cechowała harmonia, a długie rzęsy i wygięte w łuk brwi miały brązowy odcień, o jeden ton ciemniejszy od złocistych włosów, spływających połyskującymi w słońcu falami.

– Wielka Piękna Matko! – wyszeptał.

Usiłował znaleźć słowa, by ją opisać, był jednak zbyt oszołomiony. Była urocza, fantastyczna, wspaniała. Nie widział jeszcze tak dech zapierającej piękności. Dlaczego skrywała to wspaniałe ciało pod luźnym okryciem? Dlaczego zaplatała swoje przepiękne włosy? A on uważał ją tylko za ładną. Dlaczego nie dostrzegł jej urody wcześniej?

Jondalar patrzył, jak Ayla przecina skalny taras i podchodzi bliżej. Poczuł ogarniające go podniecenie, które nagle runęło na niego uporczywym, pulsującym domaganiem się spełnienia.

Pragnął jej z nie znaną dotąd gwałtownością. Dłonie paliły się, by pieścić jej doskonale ciało, by odkrywać jego tajemnice; pragnął wniknąć w nią, poznać jej smak, dać jej rozkosz. Ayla pochyliła się nad nim. Jondalar poczuł zapach jej ciepłej skóry i gotów był, gdyby tylko miał dość sił, posiąść ją, nawet nie pytając. Wyczuł jednak, że ona nie była kimś, kogo można było posiąść bez pytania.

– Don-da-lah! Plecy są... ogień... – powiedziała Ayla, szukając odpowiednich słów na określenie poparzonej słońcem skóry. Nagle się zawahała – powstrzymał ją zwierzęcy magnetyzm bijący z jego spojrzenia. Czuła, że tonie w błękicie jego oczu. Serce zaczęło jej bić jak młotem, kolana się ugięły, twarz poczęła palić. Jej ciało przebiegł dreszcz, a pomiędzy udami uczuła nagle wilgoć.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Odwróciła głowę i oderwała wzrok od jego oczu. Jej spojrzenie powędrowało ku jego prężącej się męskości, której zarys był doskonale widoczny pod przepaską, i poczuła przemożną chęć dotknięcia jej, sięgnięcia po nią ręką. Zamknęła oczy, ciężko oddychając i próbując opanować drżenie. W końcu uniosła powieki, ale unikała jego spojrzenia.

– Ayla pomóc Don-da-lah iść jaskinia – powiedziała.

Jondalara bolała poparzona skóra i czuł się zmęczony przebywaniem na dworze, ale gdy na czas krótkiej, lecz trudnej, wędrówki oparł się na Ayli, to jej nagie ciało znalazło się tak blisko, że rozpaliło jeszcze bardziej jego pożądanie. Kobieta posadziła go na posłaniu, pospiesznie przejrzała zapasy lekarstw, a potem nagle wybiegła z jaskini.

Zastanawiał się, dokąd poszła, i zrozumiał, gdy wróciła z naręczem dużych szarozielonych, pokrytych meszkiem liści łopianu. Oderwała twardą środkową żyłę, porwała liście na



strzępy i wrzuciła do miski. Następnie dołąła zimnej wody i za pomocą kamienia rozbiła na miazgę.

Spieczona słońcem skóra piekła go coraz bardziej, więc gdy poczuł na plecach łagodzące działanie zimnej papki, raz jeszcze był wdzięczny za to, iż była uzdrowicielką.

– Ahhh, teraz już o wiele lepiej – powiedział.

Ayla rozsmarowywała dłońmi papkę z zimnych liści. Jondalar uprzytomnił sobie, że nie traciła czasu na włożenie okrycia. Klęczała obok niego, a on czuł jej bliskość niemal namacalnie. Zapach ciepłej skóry i inne tajemnicze kobiece wonie zachęcały go do dotknięcia jej. Wyciągnął dłoń i powiodł nią od kolana wzdłuż uda aż do pośladków.

Ayla zamarła, w pełni uświadamiając sobie nagle pieśzchotliwy dotyk jego dłoni. Przestała go gładzić, stała sztywno niepewna tego, co on robi ani tego, jak sama powinna się zachować. Była jedynie pewna, że nie chce, aby przestał. Jednakże w momencie, gdy jego dłonie sięgnęły, by dotknąć koniuszków jej piersi, wstrzymała oddech i przebiegł po niej niespodziewany dreszcz.

Jondalar był zdziwiony jej zaskoczeniem. Czyż nie było całkowicie naturalne, że mężczyzna chciał dotknąć pięknej kobiety? Szczególnie jeżeli była tak blisko, że ich ciała i tak prawie się dotykały? Zabrał dłoń, nie wiedząc, co o tym myśleć. Zachowywała się tak, jakby nigdy przedtem nikt jej nie dotykał. Ale była przecież kobietą, a nie dziewczyną. A znaki na brzuchu świadczyły o tym, iż już rodziła, choć nie widział śladu dzieci. Nie byłaby pierwszą kobietą, która straciła dziecko, ale musiała przejść Rytuał Pierwszej Rozkoszy, aby być gotową do przyjęcia błogosławieństwa Matki.

Ayla czuła jeszcze mrowienie po jego dotyku. Nie wiedziała,

dlaczego przestał, i zmieszana wstała i odeszła.

– Może nie spodobałem się jej, pomyślał Jondalar. Ale w takim razie dlaczego podeszła tak blisko, skoro jej w tak oczywisty sposób pożądał? A cóż miała na to poradzić, przecież zajmowała się leczeniem jego spieczonej skóry. W jej zachowaniu nie było nic wyzywającego. Prawdę powiedziawszy, to zdawała się niepomna swego wpływu na niego. Czyżby była aż tak przyzwyczajona do podobnych reakcji na swą urodę? Nie zachowywała się z nieczułym lekceważeniem doświadczonej kobiety, ale jakże kobieta o jej wyglądzie mogła nie zdawać sobie sprawy ze swego wpływu na mężczyzn?

Jondalar zebrał papkę z wilgotnych liści, która spadła mu z pleców. Uzdrowiciel Sharamudoi także używał na oparzenia liści łopianu. Ona jest bardzo biegła. Oczywiście! – Jondalar, jak mogłeś być tak głupi, rzekł do siebie. Shamud mówił ci o próbach, jakim poddawani są Ci-Którzy Służą Matce. Ona musiała się wyrzec również rozkoszy. Bez wątpienia nosi to nieforemne okrycie, aby ukryć pod nim swą piękność. Nie podeszłaby do ciebie tak blisko, gdybyś nie był spieczony, a ty złapałeś ją niczym jakiś młodzik.

Czuł bolesne pulsowanie w nodze. Spieczona skóra również dawała o sobie znać pomimo łagodzącego działania okładów. Położył się, starając się leżeć na boku i zamknął oczy. Chciało mu się pić, ale nie miał ochoty obracać się po naczynie z wodą, skoro właśnie znalazł sobie znośną pozycję. Czuł się paskudnie, nie tylko z powodu pieczenia i bólu, ale i dlatego, iż uważał, że popełnił duży nietakt. Czuł się zażenowany.

Od bardzo dawna, od czasu dzieciństwa nie zdarzyło się mu, by został upokorzony z powodu niewłaściwego zachowania. Tak długo ćwiczył się w lepszym panowaniu nad sobą, aż w końcu

stało się to sztuką samą w sobie. A tu posunął się za daleko i został odrzucony. Tak piękna kobieta, kobieta, której pragnął bardziej niż jakiegokolwiek innej, odtrąciła go. Wiedział, co teraz nastąpi. Ona będzie się zachowywać, jakby nic się nie stało, ale będzie go w miarę możliwości unikać. Nawet gdy nie będzie się mogła trzymać z dala, to będzie zachowywać pomiędzy nimi dystans. Będzie chłodna, wyniosła. Jej usta mogą się uśmiechać, ale oczy zdradzą prawdę. Nie będzie w nich ciepła albo co gorsza, będzie litość.

Ayla nałożyła czyste okrycie i poczęła zaplatać włosy, czując do siebie żal o to, iż pozwoliła się Jondalarowi tak spiec. To była jej wina; on nie mógł sam zejść ze słońca. Ona przyjemnie spędzała czas, pływając i myjąc sobie włosy, podczas gdy powinna była zwrócić na niego baczniejszą uwagę. – I ja mam być uzdrowicielką, i to uzdrowicielką z linii Izy? To linia ciesząca się w klanie największym poważaniem – cóż Iza pomyślałaby sobie, widząc taką lekkomyślność, taki brak współczucia dla cierpiącego? – Ayla czuła się zawstydzona. On był tak poważnie zraniony, nadal odczuwał ból, a ona jeszcze jego cierpienia powiększyła.

Ale na jej zakłopotanie składało się coś jeszcze. On jej dotknął. Ciągle czuła ciepło jego dłoni na swoim udzie. Dokładnie wiedziała, w którym miejscu położył dłoń, i skąd ją zabrał, tak jakby jego delikatna pieszczota pozostawiła na jej ciele piekący ślad. Dlaczego dotknął jej piersi? Wciąż czuła mrowienie w tym miejscu. Jego męskość była wezbrana, a ona wiedziała, co to znaczy. Ileż to razy widziała mężczyzn dających sygnał kobiecie, gdy chcieli ulżyć swym potrzebom. Broud zrobił to z nią – wzdrygnęła się – od tamtego czasu nie mogła znieść widoku jego prężącej się męskości.

Teraz jednak nie czuła nic takiego. A nawet miałaby ochotę, aby Jondalar dał jej znak...

Nie bądź śmieszna. Nie mógłby przecież z tą nogą. Wygoiła się ledwie na tyle, aby się na niej oprzeć.

Ale gdy wracała z pływania jego męskość była nabrzmiała, a jego oczy... Na myśl o jego oczach przebiegł ją dreszcz. Były tak błękitne i tak pełne pożądania, i tak...

Nie potrafiła tego wyrazić, lecz przestała splatać włosy, przymknęła oczy i miała wrażenie, że czuje jego dotyk. Dotknął jej.

Potem jednak przestał. Wyprostowała się. Czy on dał jej znak? Czy dlatego przerwał, że ona nie uczyniła przyzwalającego gestu? Kobieta zawsze powinna być dostępna dla mężczyzny, który chce zaspokoić swe pragnienia. Każda kobieta klanu była tego uczona od momentu pierwszej walki jej ducha i pierwszego krwawienia. Tak, jak i ją uczono odczytywania subtelnego języka gestów i postawy, dzięki któremu mogłaby zachęcić mężczyznę do zaspokojenia z nią swych potrzeb. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego kobiety miałyby mieć ochotę ich używać. Teraz nagle zdała sobie sprawę, że rozumie.

Pragnęła, aby ten mężczyzna zaspokoił z nią swą potrzebę, lecz nie знаła jego znaku! Jeżeli nie znam jego znaku, to on również nie będzie znał mojego. A jeżeli, nie wiedząc o tym odmówiłam mu, to może więcej nie próbować. Ale czy on naprawdę mnie pragnął? Jestem taka duża i brzydka.

Ayla skończyła zaplatać ostatni warkocz i poszła podsycić ogień, aby przygotować dla Jondalara lek, uśmierzający ból. Jondalar leżał na boku i odpoczywał. Przyniosła mu środek na uśmierzenie bólu, aby mógł odpocząć, nie chciała mu jednak przeszkadzać, jeśli już sam ukoił swoje dolegliwości. Usiadła ze

skrzyżowanymi nogami obok posłania i czekała, aż otworzy oczy. Jondalar się nie ruszał, ale wiedziała, że nie śpi. Jego oddechowi brak było regularności, a czoło miał zmarszczone.

Jondalar słyszał, jak nadchodziła, i zacisnął powieki udając, że śpi. Czekał cały spięty, walcząc z ochotą do otworzenia oczu i sprawdzenia, czy tu jest. Dlaczego była tak cicho? Dlaczego nie odchodzi? Ręka, na której leżał, zaczęła mu drętwieć z braku krążenia. Jeżeli wkrótce się nie ruszy, to zesztywnieje. Noga pulsowała boleśnie. Chciał ją przesunąć, aby się pozbyć napięcia mięśni, utrzymujących ją w jednej pozycji. Twarz swędziała go pod nowym zarostem, plecy piekły. Może jej tu wcale nie ma. Może odeszła, a on po prostu nie słyszał tego. A może siedziała tu i gapiała się na niego?

Ayla przyglądała mu się z uwagą. Patrzyła w twarz temu mężczyźnie dłużej niż kiedykolwiek komu innemu. Nie było właściwe, aby kobieta klanu patrzyła na mężczyznę, ale wielu jej niewłaściwym zachowaniom pobbrażano. Czyż już zapomniała o wszystkich manierach, jakich nauczyła ją Iza, tak jak zapomniała o właściwej opiece nad chorym? Spojrzała na dłonie trzymające miseczkę z wywarem. To był właściwy sposób, w jaki kobieta powinna przystępować do mężczyzny, siedzieć na ziemi z pochyloną głową i czekać, aż przyjmie do wiadomości jej obecność klepieniem w ramię. – Być może, najwyższy czas przypomnieć sobie o dobrym wychowaniu, pomyślała.

Jondalar uchylił powieki, próbując dostrzec, czy jeszcze tu jest i nie dając zarazem po sobie poznać, że nie śpi. Dostrzegł jej stopę i szybko zamknął ponownie oczy. Była tam. Dlaczego tu siedzi? Na co może czekać? Dlaczego nie odejdzie i nie zostawi go samego z jego cierpieniem i upokorzeniem. Znowu spojrzał przez uchylone powieki. Jej stopa się nie poruszyła. Siedziała ze

skrzyżowanymi nogami. Trzymała miseczkę z płynem. Och, Doni! Jak mu się chciało pić! Czy to było dla niego? Czyżby ona czekała, aż się obudzi, aby podać mu lekarstwo? Mogła go przecież obudzić, nie musiała czekać.

Jondalar otworzył oczy. Ayla siedziała, spoglądając w dół z pochyloną głową. Była ubrana w jedno z tych luźnych okryć, a jej włosy były zaplecione w wiele warkoczyków. Wyglądała czysto i świeżo. Smuga z policzka zniknęła; okrycie było z czystej, nie znoszonej skóry. Siedziała przed rum ze spuszczoną głową. A w jej pozie nie było nic ze sztuczności czy udawania. Nie rzucała mu też ukradkowych spojrzeń.

Jej ciasno splecione warkoczyki, podobnie jak pełne fałd i wybrzuszeń okrycie, dobrze maskowały jej prawdziwą urodę. To był podstęp, celowe ukrycie jej dojrzałego kobiecego ciała i bujnych włosów. Nie mogła ukryć swej twarzy, ale zwyczaj spoglądania w dół lub na bok miał na celu odwrócenie od niej jego uwagi. Dlaczego tak się skrywała? Musi tu chodzić o próbę, której się poddawała. Większość ze znanych mu kobiet pyszniłaby się tak wspaniałym ciałem, obnosiłaby swe złociste wspaniałości tak, aby pokazać je jak najlepiej, nie kryjąc przy tym pięknej twarzy.

Obserwował ją, leżąc bez ruchu, zapomniawszy o niewygodzie. Dlaczego siedziała tak nieruchomo? – Może nie chce na mnie patrzeć, pomyślał, przypominając sobie o zakłopotaniu i bólu. Nie mógł już tego dłużej wytrzymać, musiał się ruszyć.

Ayla podniosła wzrok, gdy Jondalar przekręcił rękę. Nie mógł klepnąć jej po ramieniu, przyjmując do wiadomości jej obecność bez względu na to, jak poprawnie by się zachowywała. Nie znał tego gestu. Jondalar ze zdumieniem dostrzegł wyraz

zawstydzienia na jej twarzy i w szczerych otwartych oczach. Nie było w nich potępienia, odrzucenia ani litości. Zdawały się raczej zakłopotane. Czemuż ona miałyby się czuć zakłopotana?

Ayla podała mu miseczkę. Jondalar pociągnął łyk, skrzywił się na gorzki smak lekarstwa, a potem wypił do końca i sięgnął po naczynie z wodą, aby spłukać z ust przykry smak. Potem odłożył naczynie, ale nie pozbył się jeszcze tego niezbyt przyjemnego uczucia. Ayla dała mu znak, żeby usiadł, po czym poprawiła futra i skóry. Jondalar jednak nie położył się zaraz z powrotem.

– Ayla, wiem o tobie jeszcze tak mało, choć chciałbym wiedzieć więcej. Nie wiem, gdzie nauczyłaś się sztuki uzdrawiania – nie wiem nawet, jak tu się dostałem. Wiem tylko, że jestem ci wdzięczny. Uratowałaś mi życie, a co ważniejsze moją nogę. Nigdy nie mógłbym wrócić do domu bez nogi, nawet gdybym przeżył. Przykro mi, że się tak głupio zachowałem, ale ty jesteś tak piękna, Aylo. Nie wiedziałem – maskowałaś się tak dobrze. Nie wiem, dlaczego to chciałaś zrobić, ale musiałaś mieć ku temu powody. Szybko się uczysz. Może gdy nauczysz się mówić, powiesz mi o tym, jeśli będziesz miała ochotę. Jeśli nie – ja to uszanuję. Wiem, że nie rozumiesz wszystkiego, co mówię, ale chciałem to powiedzieć. Nie będę cię więcej niepokoił, Aylo. Obiecuję.

## . 22 .



- Powiedz mi dobrze... “Don-da-lah”.
- Całkiem dobrze wymawiasz moje imię.
- Nie. Ayla mówić źle. – Pokręciła gwałtownie głową. Powiedz mi dobrze.
- Jondalar. Jon-da-lar.
- Zzzon...
- Juh – poprawił ją, dokładnie wymawiając – Jondalar.
- Zh... dzh... – mocowała się z wydaniem nie znanego dźwięku.
- Dzhon-da-larrrr – wymówiła w końcu przeciągając r.
- Dobrze! Bardzo dobrze – powiedział.
- Ayla uśmiechnęła się zwycięsko; a potem jej uśmiech zmienił się w figlarny uśmieszek.
- Dzhon-da-larr s Zel-ann-do-nee. – On częściej wymawiał nazwę swego ludu niż swoje własne imię i ona ćwiczyła to na osobności.
- Dobrze! – Jondalar był prawdziwie zaskoczony. Nie powiedziała tego zupełnie poprawnie, ale jedynie Zelandonii zauważyliby różnicę. Jego pochwała była dla niej najlepszą nagrodą i Ayla uśmiechnęła się pięknie z zadowolenia.
- Co znaczy “Zelandonee”?
- To nazwa mego ludu. Dzieci Ziemi, które żyją na



południowym zachodzie. Doni oznacza Wielka Matka Ziemia. Dzieci Ziemi. Myślę, że tak to najprościej można wytłumaczyć. Ale wszyscy ludzie nazywają siebie Dziećmi Ziemi w swych własnych językach. To po prostu oznacza ludzi.

Stali twarzami do siebie wsparci o brzozy, których mocne pnie wyrastały z tego samego korzenia, tworząc małą kępkę. Jondalar się cieszył, że może stać na zielonej łące, choć musiał podpierać się na lasce i wyraźnie utykał. Po pierwszych niepewnych krokach każdego dnia zmuszał się do chodzenia. Pierwsze zejście stromą ścieżką było dla niego ciężką próbą – i triumfem. Powrotna wspinaczka okazała się łatwiejsza od zejścia.

Nadal nie wiedział, jak Ayła bez niczyjej pomocy wniosła go na górę do jaskini. A jeżeli miała pomocników, to gdzie teraz byli? Od dawna chciał ją o to zapytać, ale z początku by go nie zrozumiała, a potem uważał za niestosowne nagabywać ją jedynie po to, aby zaspokoić swoją ciekawość. Czekał na właściwy moment i zdawało się, że on właśnie nadszedł.

– A twój lud, Aylo, jak się nazywa? Gdzie są twoi ludzie? Z twarzy Ayli zniknął uśmiech; niemal żałował, że zapytał. Po dłuższej ciszy zaczął przypuszczać, że nie zrozumiała.

– Nie ludzie. Ayła z nie ludzie – odparła w końcu, odpychając się od pnia i wychodząc z cienia drzewa. Jondalar zacisnął dłoń na lasce i pokuśtykał za nią.

– Ale ty musisz należeć do jakiegoś ludu. Urodziła cię matka. Kto się tobą zajmował? Kto nauczył cię sztuki uzdrawiania? Gdzie jest teraz twój lud, Aylo? Dlaczego jesteś sama?

Ayła szła wolno przed siebie, wpatrując się pod nogi. Nie próbowała uchylić się od odpowiedzi – musiała mu odpowiedzieć. Żadna kobieta klanu nie odważyłaby się nie odpowiedzieć na pytanie zadane wprost przez mężczyznę.

Prawdę powiedziawszy, wszyscy członkowie klanu, mężczyźni i kobiety, odpowiadali na bezpośrednio zadane pytania. Po prostu kobiety nie zadawały mężczyznom pytań osobistej natury, a mężczyźni rzadko zadawali innym kłopotliwe pytania. Pytania Jondalara przywiodły wiele wspomnień, ale na niektóre z nich nie znała odpowiedzi, a na inne nie wiedziała, jak odpowiedzieć.

– Jeżeli nie chcesz mi powiedzieć...

– Nie. – Spojrzała na niego i potrząsnęła głową. – Ayla powiedzieć. – Spojrzała zakłopotana. – Nie znać słów.

Jondalar ponownie się zastanawiał, czy powinien poruszać ten temat, ale był ciekaw, a ona sprawiała wrażenie chętnej do udzielenia odpowiedzi. Znowu się zatrzymali przy dużym, wyszczerbionym głazie, który odkruszył część ściany, nim spoczął na łące. Jondalar usiadł na jego skraju, w miejscu, gdzie szczyrba w kamieniu tworzyła wygodne siedzenie z pochyłym oparciem.

– Jak twoi ludzie nazywali siebie samych? – zapytał. Ayla zastanawiała się chwilę.

– Ludzie. Mężczyzna... kobieta... dziecko. – Ponownie pokręciła głową, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. – Klan. – Powiedziała, wykonując jednocześnie odpowiadający nazwie gest.

– Jak rodzina? Rodzina to mężczyzna, kobieta i jej dzieci żyjący przy wspólnym ognisku... Zwykle.

Skinęła głową.

– Rodzina... więcej.

– Mała grupa? Kilka rodzin mieszkających razem to jaskinia – powiedział – nawet jeżeli nie mieszkają w niej.

– Tak – powiedziała – mały klan. I więcej. Klan oznacza wszystkich ludzi.

Jondalar nie dosłyszał, gdy pierwszy raz użyła tego określenia

i nie zrozumiał wykonanego przy tym gestu. Wymawiała je gardłowo i w sposób, który Jondalar mógł wytłumaczyć jedynie jako skłonność do połykania części słów. Nie przypuszczał, że to było całe słowo. Nie wymawiała innych słów niż te, których ją nauczył, i to wzbudziło jego zainteresowanie.

– Głan? – zapytał, próbując ją naśladować.

Nie było to dokładnie to samo, ale brzmiało podobnie.

– Ayla nie mówić Jondalar słów dobrze, Jondalar nie mówić Ayla słów dobrze. Jondalar powiedziec dobrze.

– Nie wiedziałem, że znasz jakieś słowa. Nigdy nie słyszałem, abyś mówiła w swoim języku.

– Nie znać wielu słów. Klan nie mówić słów. Jondalar nie rozumiał.

– A jak rozmawiają, jeżeli nie słowami?

– Mówią... ręce – powiedziała, choć wiedziała, że nie było to dokładnie zgodne z prawdą.

Zauważyła, że nieświadomie wykonywała gesty, aby pomóc wyrazić swoje myśli. Kiedy dostrzegła zakłopotane spojrzenie Jondalara, powtórzyła wszystko, wykonując odpowiednie gesty.

– Klan nie mówić wiele słów. Klan mówić... ręce.

W miarę jak zaczynał rozumieć, jego zakłopotane czoło poczęło się wygładzać.

– Chcesz powiedziec, że twoi ludzie mówią dłońmi?! Pokaż mi. Powiedz coś w twoim języku.

Ayla zastanowiła się chwilę, a potem zaczęła.

– Chciałabym ci tak wiele powiedziec, ale muszę nauczyć się mówić w twoim języku. Twój sposób porozumiewania się jest teraz jedynym, jaki mi pozostał. Jakże mogę ci powiedziec, kim są moi ludzie? Nie jestem już kobietą klanu. Jak mam ci wyjaśnić to, że jestem martwa? Nie mam ludzi. Dla członków klanu chodzę

już po innym świecie, tak jak człowiek, z którym wędrowałaś. Zdaje się, że twój brat. Aby ulżyć twojemu żalowi, chciałabym ci powiedzieć, że wykonałam nad jego grobem gesty, które pomogły mu znaleźć drogę. Chciałabym ci powiedzieć, że ja również czuję smutek z tego powodu, choć go nie znałam. Nie znam ludzi, wśród których przyszłam na świat. Musiałam mieć matkę i rodzinę, którzy wyglądali jak ja... i ty. Ale znam ich jedynie jako Innych. Iza jest jedyną matką, jaką pamiętam. Ona nauczyła mnie sztuki uzdrawiania i ona uczyniła ze mnie uzdrowicielkę, ale ona już nie żyje. Tak jak Creb. – Jondalarze, pragnę opowiedzieć ci o Izie, Crebie i Durcu... Musiała przerwać i odetchnąć. – Mój syn jest dla mnie stracony, ale żyje. Tyle mi pozostało. A teraz Lew Jaskiniowy sprowadził ciebie. Bałam się, że mężczyzna Innych będzie podobny do Brouda, ale ty bardziej przypominasz Creba, jesteś delikatny i cierpliwy. Chciałabym myśleć, że zostaniesz moim partnerem. Sądziłam, że właśnie dlatego zjawiliś się tutaj. Myślę, że chciałam w to wierzyć, ponieważ byłam taka bardzo spragniona towarzystwa. Jesteś pierwszym mężczyzną Innych, jakiego widziałam. Nie ma więc znaczenia, kim jesteś. I tak chciałabym cię za partnera jedynie po to, aby mieć partnera. Teraz to już nie to samo. Każdego dnia moje uczucia dla ciebie stają się coraz mocniejsze. Wiem, że Inni nie są zbyt daleko i jest gdzieś mężczyzna, który mógłby zostać moim partnerem. Ale ja nie chcę żadnego innego i obawiam się, że ty nie będziesz chciał tu zostać, gdy już wyzdrowiejesz. Boję się, że ciebie również stracę. Tak chciałabym ci powiedzieć, jak bardzo... bardzo... jestem wdzięczna za to, że tu jesteś. – Przerwała, nie mogąc ciągnąć dalej, ale czuła, że nie dokończyła.

Jej myśli nie były w pełni zrozumiałe dla patrzącego mężczyzny. Jej ruchy – nie tylko rąk, ale jej tułowia, oczu, całego

ciała były tak wyraziste, że czuł się do głębi poruszony. Przypominała mu milczącego tancerza, jeśli nie liczyć ochryplych dźwięków, które dziwnie współgrały z pełnymi gracji ruchami. Odbierał jedynie wrażenia i nie mógł do końca uwierzyć, że to, co odczuwał, było tym, co chciała mu przekazać – jednakże gdy skończyła, wiedział, że próbowała się z nim porozumieć. Wiedział również, że jej język ruchów i gestów nie był, jak przypuszczał, prostym przedłużeniem gestów, jakich czasami używała, aby podkreślić znaczenie słów. Wydawało się raczej, że dźwięki służyły podkreśleniu jej ruchów.

Ayla przerwała, stała jeszcze chwilę zamyślona, a potem wdzięcznym ruchem usiadła u jego stóp i pochyliła głowę. Jondalar czekał, a gdy się nie poruszyła, zaczął się czuć niezręcznie. Wydawała się czegoś od niego oczekiwać i miał wrażenie, że składa mu rodzaj hołdu. Taki szacunek okazywało się jedynie Wielkiej Matce Ziemi, a ona była znana ze swojej zazdrości i krzywo patrzyłaby na swe dziecko, które przyjmuje należne jej hołdy.

W końcu wyciągnął dłoń i dotknął jej ramienia. – Wstań, Ayla. Co ty wyprawiasz?

Dotknięcie ramienia nie miało dokładnie tego samego znaczenia, co klepięcie, ale był to ruch najbardziej zbliżony do gestu klanu zezwalającego jej na mówienie. Uniosła głowę i spojrzała na siedzącego mężczyznę.

– Kobieta klanu siedzieć, chcieć mówić. Ayla chcieć mówić Jondalar.

– Nie musisz siadać na ziemi, aby ze mną rozmawiać. – Wyciągnął rękę i próbował ją podnieść. – Jeżeli chcesz coś powiedzieć, to po prostu mów.

Ona jednak obstawała przy pozostaniu tam, gdzie była.

– To klan sposób. – Jej wzrok błagał o zrozumienie. – Ayla chce powiedzieć... – Z oczu popłynęły jej łzy zawodu. Zaczęła jeszcze raz. – Ayla nie mówić dobrze. Ayla chce powiedzieć, Jondalar dać Ayla “mówić”, chce powiedzieć...

– Próbujesz mi podziękować? – zapytał Jondalar i na chwilę przerwał. – Ty uratowałaś mi życie, wyleczyłaś z ran, karmiłaś mnie. Chciałbym ci za to podziękować. Chciałbym więcej niż podziękować.

Ayla zmarszczyła brwi.

– Nie to samo. Człowiek ranny, Ayla się opiekować. Ayla opiekować się wszystki człowiek. Jondalar dać Ayla mówić. To więcej. To więcej dziękuję. – Spojrzała na niego poważnie, pragnąc, aby zrozumiał.

– Być może, ty nie “mówić dobrze”, ale potrafisz się bardzo dobrze porozumieć. Wstań, Ayla, albo ja usiądę obok ciebie. Rozumiem, że jesteś uzdrowicielką i twym powołaniem jest niesienie pomocy każdemu, kto tego potrzebuje. Możesz uważać, że uratowanie mi życia nie jest niczym nadzwyczajnym, ale to nie sprawi, abym był ci mniej wdzięczny. Dla mnie to drobnostka nauczyć cię mojego języka, nauczyć cię mówić, ale zaczynam rozumieć, że dla ciebie to jest bardzo ważne i ty jesteś mi za to wdzięczna. Wyrażenie wdzięczności zawsze przychodzi z trudem, w każdym języku. Ja robię to, mówiąc: dziękuję. Myślę, że twój sposób jest o wiele piękniejszy. A teraz proszę, wstań już.

Ayla wyczuła, że Jondalar zrozumiał, o co jej chodziło. Jej uśmiech pełen był ogromnej wdzięczności. Dla niej pomysł porozumiewania się za pomocą słów był trudnym, ale ważnym przedsięwzięciem. Wstała radośnie podniecona, że to jej się udało. Pragnęła nadmiar podniecenia wyładować w akcji, więc gdy dostrzegła Whinney i jej źrebaka, zagwizdała głośno i

przenikliwie. Klacz zastrzygła uszami i przygalopowała do niej, a gdy się zbliżyła Ayla wskoczyła na nią w biegu i wylądowała lekko na jej grzbiecie. Zatoczyli razem po łące duże koło. Żrebak biegł za nimi. Ayla pozostawała ciągle w pobliżu Jondalara i odkąd go znalazła, nie jeździła wiele. Teraz jazda na końskim grzbiecie dawała jej radosne poczucie wolności. W końcu wróciła do skały, przy której czekał na nią Jondalar. Nie miał już ust rozdziawionych ze zdumienia na widok odjeżdżającej Ayli. W pierwszej chwili zimny dreszcz przebiegł mu po plecach i zastanawiał się, czy ta kobieta nie jest kimś nadnaturalnym, może nawet doni. Jak przez mgłę przypominał sobie ducha Matki, który przybrał postać młodej kobiety odganiającej na bok lwa.

Potem przypomniał sobie jej wszystkie jakże ludzkie trudności z porozumiewaniem się. Z całą pewnością duchowa postać Wielkiej Matki Ziemi nie miałaby takich problemów. Ale pozostawała jeszcze jej niespotykana umiejętność obchodzenia się ze zwierzętami. Ptaki przylatywały na jej wezwanie i jadły jej z dłoni. Karmiąca klacz przybiegała na jej gwizd i pozwalała jeździć na swym grzbiecie. A co z tymi ludźmi, którzy nie rozmawiają za pomocą słów, a jedynie gestów. – Tego dnia Ayla dała mi dużo do myślenia, dumał, drapiąc żrebaka. Im więcej o niej myślał, tym większą stanowiła dla niego tajemnicę.

Potrafił zrozumieć, dlaczego nie mówiła, skoro jej ludzie nie mówili. Ale kim oni są? Gdzie się znajdują teraz? Powiedziała, że nie ma współtowarzyszy, że żyje w dolinie sama. Ale kto w takim razie nauczył ją sztuki uzdrawiania i magicznego sposobu obchodzenia się ze zwierzętami? Gdzie zdobyła kamienie do krzesania ognia? Była zbyt młoda, aby być tak utalentowanym zelandoni. Zdobycie tego typu umiejętności trwa zwykle wiele lat

i często wymaga przebywania z dala od ludzi...

Czyżby tym właśnie był jej lud? Jondalar wiedział o szczególnych grupach Tych-Którzy Służą Matce, które się oddawały zdobyciu gruntownego wglądu w najgłębsze tajemnice. Takie grupy cieszyły się powszechnym szacunkiem; zelandoni spędził kilka lat w jednej z nich. Shamud mówił o próbach, którym się poddawali, aby osiąść tajemnice natury i umiejętności. A może Ayla żyła w takiej grupie, która nie mówiła posługując się jedynie gestami? A teraz żyła samotnie, aby doskonalić swoje umiejętności?

A ty, Jondalarze, myślałeś, o zażyciu z nią rozkoszy. Nic dziwnego, że zareagowała w taki sposób. Co za szkoda. Poświęcić rozkosze, będąc tak piękną jak ona. Bez względu na jej urodę z całą pewnością będziesz respektował jej wolę, Jondalarze.

Gniady źrebak ocierał się i trącał pyskiem mężczyznę, dopraszając się dalszych pieszczot od czułych dłoni, które zawsze potrafiły odszukać właściwe miejsca i drapaniem złagodzić swędzenie skóry podczas zrzucania dziecięcej, kudłatej sierści. Jondalar był uradowany, gdy źrebak go odszukał. Dotychczas konie były dla niego jedynie pożywieniem i nigdy nie pomyślałby, że mogą być tak wrażliwymi i miłymi zwierzętami, które z ochotą przyjmowały jego pieszczoty.

Ayla uśmiechnęła się zadowolona z więzi, jaka wytworzyła się pomiędzy mężczyzną a źrebakiem Whinney. Przypomniał jej się wcześniejszy pomysł i spontanicznie o nim wspomniała.

– Jondalar dać imię źrebak?

– Imię źrebaka? Chcesz, abym nadał imię źrebakowi? – Nie był pewny, ale zadowolony. – Nie wiem Ayla. Nigdy nie myślałem o nadawaniu komukolwiek imienia, a już szczególnie koniowi. Jak ty nadajesz imię koniowi?



Ayla rozumiała jego zakłopotanie. Ona też nie od razu zaakceptowała swój pomysł. Imiona tchnęły ważnością, nadawały tożsamość. Wyróżnienie Whinney spośród ogólnego pojęcia “koń” pociągało za sobą określone następstwa. Nie była już dłużej jednym ze zwierząt zamieszkujących stepy. Była związana z człowiekiem, który zapewniał jej bezpieczeństwo i wzbudzał zaufanie. Była jedyna w swoim rodzaju. Miała imię.

Ale to nakładało na kobietę pewne obowiązki. Wygoda i dobre samopoczucie zwierzęcia wymagało znacznego wysiłku i troski. Koń na stałe zadomowił się w jej myślach; zostali nierozzerwalnie z sobą złączeni.

Szczególnie po powrocie Whinney, Ayla uświadomiła sobie z całą mocą łączące ich więzi. A choć tego nie planowała ani nie robiła rozmyślnie, to jej pragnienie, aby Jondalar nadał imię źrebakowi, stanowiło również element tej więzi. Chciała, aby z nią pozostał. Gdyby Jondalar przywiązał się do źrebaka, to może pozostałby z nim – przynajmniej przez pewien czas – w dolinie z Whinney i nią.

Nie było jednak powodu, aby go ponaglać. Przez jakiś czas i tak nigdzie nie pójdzie. Wpierw musi mu się wygoić noga.

Ayla zerwała się nagle ze snu. W jaskini było ciemno. Leżała na boku, wpatrując się w gęste ciemności i próbując ponownie zasnąć. W końcu zsunęła się cicho ze swego posłania – wygrzebała sobie w ziemi płytkie zagłębienie obok posłania, na którym teraz spał Jondalar – i po omacku odszukała drogę do wyjścia. Po drodze usłyszała parsknięcie, którym Whinney oznajmiała jej swą obecność.

Znowu pozwoliłam, aby ogień zgasł, pomyślała idąc wzdłuż ściany na skraj tarasu. Jondalar nie zna jaskini tak dobrze jak ja. Musiałby mieć jaśniej, aby poruszać się po niej w środku nocy.

Chwilę powstała na zewnątrz. Nad krawędzią wznoszącej się powyżej tarasu ściany wisiał zachodzący księżyc. Wkrótce skryje się za skałą. Było już bliżej ranka niż środka nocy. Poniżej rozciągały się ciemności, nie licząc srebrnego lśnienia gwiazd odbitych w szumiącej wodzie.

Mimoходом zwróciła uwagę, jak czerń nocnego nieba przechodzi powoli w głęboki granat. Nie wiedząc dlaczego, Ayla postanowiła nie wracać na posłanie. Obserwowała, jak księżyc ciemniał, zanim nie zniknął za przeciwną ścianą. Na widok ostatnich nikłych blasków gasnącego światła poczuła trwożne drżenie.

Niebo stopniowo jaśniało, a jasny błękit zaczynał przyćmiewać gwiazdy. Horyzont na odległym krańcu doliny był purpurowy. Przyglądała się ostremu łukowi krwiście czerwonej słonecznej tarczy, wznoszącej się znad krawędzi ziemi i zalewającej dolinę niesamowitym światłem.

– Na wschodzie musi chyba płonąć step – powiedział Jondalar.

Ayla podskoczyła. Mężczyzna stał skąpany w jaskrawym blasku ognistej kuli, który nadawał jego oczom lawendowego odcienia, jakiego nigdy nie widziała w blasku ognia.

– Tak, duży ogień, wiele dym. Nie wiedzieć ty wstać.

– Nie śpię już od dłuższej chwili w nadziei, że wrócisz. Skoro tego nie uczyniłaś, to postanowiłem również wstać. Ogień wygasł.

– Wiem. Ja nie dbała. Nie zrobić dobre, by palić się na noc.

– Dołożyłaś, nie dołożyłaś, aby nie wygasło.

– Dołożyć – powtórzyła. – Pójdę rozpalić.

Jondalar wrócił za nią do jaskini, pochylając głowę w wejściu. Robił to bardziej z obawy niż prawdziwej potrzeby. Wejście do jaskini było trochę wyższe niż on. Ayla wyciągnęła markazyt i

krzemień oraz zebrała na kupkę podpałkę.

– Mówisz, że znalazłaś ten kamień do krzesania ognia na plaży? Czy jest ich tam więcej?

– Tak. Niedużo. Woda przyjsć, zabrać.

– Powódź? Strumień wylał i zmył część tych kamieni? Może powinniśmy nazbierać ich, ile się tylko da.

Ayla skinęła z roztargnieniem głową. Miała inne plany na ten dzień, ale chciała, aby Jondalar jej pomógł i nie wiedziała, jak to powiedzieć. Kończyły jej się już zapasy mięsa, a nie wiedziała, czy on miałby coś przeciwko temu, aby polowała. Wychodziła czasami z procą, a on nie pytał, skąd się brały duże skoczki, zajęce czy chomiki olbrzymie. Ale nawet mężczyźni klanu pozwalali jej polować z procy na małe zwierzęta. Teraz jednak musiała zapolować na większą zwierzynę, a to oznaczało wyprawę z Whinney i kopanie dołu-pułapki.

Nie cieszyła się zbyt na myśl o tym. Wolą polować z Maluszkiem, ale on odszedł. Nie to jednak martwiło ją najbardziej. Troskała się przede wszystkim o Jondalara. Wiedziała, że nawet gdyby protestował, to i tak nie mógł jej powstrzymać. Choć to była jej jaskinia, a on już w pełni wrócił do sił, to nie uważała się jednak za część jego klanu. Zdawało się, że podoba mu się w dolinie, polubił Whinney i żrebaka; wydawało się nawet, że ją lubi. Nie chciała, aby to uległo zmianie. Ze swego doświadczenia wiedziała, że mężczyźni nie lubią kobiet, które polują, ale nie miał wyboru.

I potrzebowała czegoś więcej niż tylko jego akceptacji – potrzebna jej była jego pomoc. Nie chciała zabierać żrebaka na polowanie. Bała się, że może wpaść w panikę i pokaleczyć się. Zostałby, gdyby Jondalar dotrzymał mu towarzystwa, była tego pewna. Nie odejdzie na długo. Może wytropić stado, wykopać dół

i wrócić, a polowanie urządzić następnego dnia. Tylko jak miała poprosić mężczyznę, aby został ze żrebakiem w czasie, gdy ona będzie polowała? Nawet w sytuacji, gdy on sam nie mógł jeszcze polować?

Podczas przygotowywania porannego wywaru dobrze przyjrzała się malejącym zapasom suszonego mięsa i utwierdziła się w przekonaniu, że wkrótce coś trzeba w tej sprawie zrobić. Zdecydowała, że na początek ujawni swe umiejętności łowieckie, demonstrując mu wprawę w posługiwaniu się swą ulubioną bronią. Z jego reakcji będzie mogła wywnioskować, czy warto w ogóle prosić go o pomoc.

Zwyczajem stały się już ich poranne spacerunki wzdłuż zarośli porastających brzeg strumienia. Dla niego to było dobre ćwiczenie, a i jej sprawiało przyjemność. Wychodząc tego ranka, Ayla przytroczyła sobie do pasa procę. Teraz potrzebowała jedynie współpracy jakiegoś małego stworzenia, które zechciałoby się pojawić w zasięgu jej broni.

Jej nadzieje spełniły się w nadmiarze. Kiedy wyszli na łąkę, zerwała się do lotu para cietrzewi. Ayla sięgnęła po procę i kamienie w chwili, gdy dostrzegła jednego z nich. Gdy strąciła na ziemię pierwszego, w powietrze wzbił się następny, ale szybko sprowadził go na ziemię jej drugi kamień. Zanim po nie poszła, spojrzała na Jondalara. Dostrzegła w jego oczach zdziwienie ale, co ważniejsze, Jondalar się uśmiechał.

– To zdumiewające, kobieto! Czy to w ten sposób upolowałaś te wszystkie zwierzęta? Myślałem, że zastawiałaś sidła. Co to za broń?

Ayla podała mu pasek rozszerzonej pośrodku skóry, po czym poszła po ptaki.

– Zdaje się, że coś takiego nazywa się procą – powiedział, gdy

wróciła. – Wilomar mówił mi o tego typu broni. Nie potrafiłem sobie dobrze wyobrazić tego, o czym mówił, ale to musi być właśnie to. Jesteś w tym dobra, Aylo. To musiało wymagać sporo ćwiczeń, nawet przy pewnych wrodzonych zdolnościach.

– Ty lubić ja polować?

– A kto by polował, jeżeli ty byś tego nie robiła?

– Mężczyzna klanu nie lubić kobieta polować.

Jondalar przyjrzał się jej z uwagą. Była pełna niepokoju i obaw. Być może, mężczyźni nie lubili kobiet, które polowały, ale to nie powstrzymało jej przed nauką tego. Dlaczego wybrała właśnie ten dzień, aby zademonstrować mu swe umiejętności? Dlaczego miał wrażenie, że oczekuje od niego aprobaty?

– Większość kobiet Zelandonii poluje, a przynajmniej czyni to w młodości. Moja matka była znana ze swoich umiejętności tropicielskich. Nie widzę żadnego powodu, dla którego kobiety nie miałyby polować, jeśli chcą. Ja lubię kobiety, które polują, Ayła.

Widział, jak znika jej napięcie; najwyraźniej powiedział to, co chciała usłyszeć, i było to prawdą. Zastanawiał się jednak, dlaczego było to dla niej takie ważne.

– Potrzebować iść polować – powiedziała. – Potrzebować pomoc.

– Chciałbym zapolować, ale chyba nie wyzdrowiałem jeszcze na tyle.

– Nie pomoc polować. Ja zabrać Whinney, ty zatrzymać żreback?

– A więc o to chodzi – powiedział. – Chcesz, abym się zajął żrebackiem, podczas gdy ty pójdziesz z kłaczą na polowanie? – Zachichotał. – A to ci odmiana. Zwykle kobieta po urodzeniu dzieci zostaje, aby się nimi zajmować. Do obowiązków

mężczyzny należy polować dla nich. Tak, zostanę ze żrebakiem. Ktoś musi polować, a nie chciałbym, aby temu maluchowi stała się jakaś krzywda.

Ayla uśmiechnęła się z ulgą. On nie przejmował się tym, on naprawdę zdawał się tym nie przejmować.

– Jednakże powinnaś zbadać, co z tym pożarem na wschodzie, zanim zaplanujesz swoje polowanie. Tak wielki pożar może zapolować za ciebie.

– Ogień polować?

– Całe stado potrafią wyginąć od samego dymu. Czasami można znaleźć od razu upieczone mięso! Kawalarze opowiadają zabawne historie o człowieku, który znalazł upieczone mięso po pożarze stepów, i o tym, jak się starał przekonać pozostałych członków swej jaskini, aby spróbowali mięsa, które niby sam upiekł. To stara historia.

Przez jej twarz przebiegł uśmiech zrozumienia. Szybko posuwający się ogień mógł zaskoczyć całe stado. Może nie będę wcale musiała kopać dołu.

Jondalar z zaintrygowaniem przyglądał się, jak potem Ayla wyciągnęła uprzęż z koszami i noszami. Nie potrafił zrozumieć przeznaczenia tak skomplikowanego wyposażenia.

– Whinney przynieść mięso do jaskini – wyjaśniła, pokazując mu, jak działają drągi i nosze w czasie wkładania upręży na klacz. – Whinney przynieść ciebie do jaskini – dodała.

– A więc tak się tu dostałem! Zastanawiałem się nad tym od dłuższego czasu. Nie przypuszczałem, abyś wniosła mnie tu sama. Myślałem, że, być może, jacyś inni ludzie mnie znaleźli, a potem zostawili tu z tobą.

– Nie... inni ludzie. Ja znaleźć...ty...inny mężczyzna.

Jondalarowi posmutniała twarz. Przypomniał sobie o

Thonolanie i ponownie poczuł ból z powodu straty brata.

– Czy zostawiłaś go tam? Nie mogłaś zabrać również i jego?

– Człowiek nie żyć, Jondalar. Ty ranny. Wiele ranny – powiedziała, czując rosnący w środku zawód. Chciałaby mu powiedzieć, że pochowała go, że czuła żal z powodu jego śmierci, ale nie potrafiła się należycie wysłowić. Potraciła jedynie wymieniać informacje, ale nie umiała przekazać wszystkich myśli. Chciała powiedzieć mu o swych odczuciach, których nie potrafiła wyrazić w słowach, ale czuła się skrępowana. Pierwszego dnia podzielił się z nią swoją rozpaczą, a ona teraz nawet nie potrafiła powiedzieć, że podziela jego smutek.

Tęskniła do chwili, gdy równie łatwo, jak on, będzie znajdowała słowa, tęskniła do jego umiejętności odruchowego układania ich w odpowiednim porządku, do jego swobody wyrażania uczuć. Ale była pewna nieokreślona bariera, której nie potrafiła pokonać, jakaś podświadoma wiedza, która umykała jej, skrywając się na krawędzi podświadomości. Intuicja mówiła jej, że powinna wiedzieć – gdyby tylko potrafiła znaleźć klucz do uwięzionej gdzieś wewnątrz siebie wiedzy.

– Przepraszam, Ayla. Nie powinienem na ciebie tak krzyczeć, ale Thonolan był moim bratem... – Ostatnie słowo zabrzmiało niemal jak płacz.

– Brat. Ty i drugi mężczyzna... mieć taka sama matka?

– Tak, mamy tą samą matkę.

Ayla skinęła głową i odwróciła się do konia z całego serca pragnąc powiedzieć mężczyźnie, że rozumie więź między rodzeństwem, a szczególnie tę, jaka potraci się wytworzyć pomiędzy mężczyznami zrodzonymi z tej samej matki. Creb i Brun byli braćmi.

Skończyła pakowanie koszy, potem podniosła dzidy, aby

wynieść je na zewnątrz, żeby zapakować, gdy wyjadą poza niskie wejście do jaskini. Przyglądając się jej końcowym przygotowaniom, Jondalar zaczynał rozumieć, że koń był dla kobiety kimś więcej niż tylko dziwnym towarzyszem. Koń zdecydowanie powiększał jej możliwości. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak koń potrafi być użyteczny. Ale zaskoczyła go również kolejna sprzeczność: Ayla korzystała z pomocy konia przy polowaniu i transportowaniu mięsa do jaskini – to był znaczący postęp, osiągnięcie, o którym nie słyszał do tej pory – a przy tym używała najprymitywniejszych dzid, jakie widział.

Polował już z wieloma ludami i każda grupa używała swojej własnej odmiany dzidy, ale żadna nie różniła się tak bardzo od innych, jak dzida Ayli. Jednakże wydawała mu się ona dziwnie znajoma. Jej koniec był ostry i utwardzony w ogniu, a drzewce było proste i gładkie, ale całość wyglądała tak topornie. Bez wątplenia nie były przeznaczone do rzucania; były większe niż te, których używał w polowaniu na nosorożce. Jak ona nią poluje? Jak może podejść na tyle blisko, aby ją wbić? Musi ją o to zapytać, gdy wróci. Teraz zajęłoby to zbyt wiele czasu. Uczyła się języka, ale mówienie nadal sprawiało jej trudności.

Przed odejściem Ayli i Whinney Jondalar zaprowadził żrebaka do jaskini. Drapał go, głaskał i mówił do niego tak długo, aż miał pewność, że Ayla i kłacz są już daleko. Dziwnie czuł się sam w jaskini, mając świadomość tego, że kobiety nie będzie przez większość dnia. Pomógł sobie wstać kijem, a potem, nie mogąc oprzeć się swej ciekawości odszukał lampkę i zapalił ją. Zostawił kij, którego nie potrzebował wewnątrz jaskini, wyciągnął przed siebie lampkę i opierając się jedną ręką o ścianę ruszył sprawdzić, jaka była duża i dokąd prowadziła. Jej wielkość nie zaskoczyła go – była tak duża, jak myślał i z wyjątkiem małej



wnęki nie było bocznych korytarzy. Ale nisza kryła niespodziankę: ślady po niedawnej obecności lwa jaskiniowego, włączając w to dużą kupę nawozu!

Po obejrzeniu reszty jaskini nabrał przekonania, że Ayla mieszkała tu od trzech lat. Musiał więc mylić się co do śladów po lwie, ale gdy wrócił i jeszcze dokładniej zbadał wnękę, to z całą pewnością mógł powiedzieć, że lew jaskiniowy spędził w tym kątzie jakiś czas w ubiegłym roku.

Następna tajemnica! Czy kiedykolwiek znajdzie odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania?

Podniósł jeden z koszy Ayli – o ile się orientował nie używany – i postanowił poszukać na plaży kamieni do krzesania ognia. On również chciał się na coś przydać. Żrebak pobiegł przodem. Jondalar schodził po stromej ścieżce, pomagając sobie kijem, który potem oparł o ścianę w pobliżu sterty kości. Byłby szczęśliwy, gdyby nie musiał go w ogóle używać.

Przystanął, aby podrapać i pogłaskać żrebaka, który wtykał mu pysk w rękę, a potem się roześmiał, gdy konik z lubością począł się tarzać w miejscu, które używali do tego celu razem z Whinney. Wiercił się w miękkiej ziemi z kopytami uniesionymi w powietrze i rżał z rozkoszy. Potem wstał, otrząsnął się rozrzucając ziemię na wszystkie strony, następnie odszukał ulubione miejsce w cieniu wierzby i usadowił się tam na odpoczynek.

Jondalar szedł wolno po kamienistej plaży, pochylając się nad każdym kamieniem.

– Znalazłem jeden! – krzyknął podniecony, czym wystraszył żrebaka. Poczul się odrobinę głupio. – A tu jest następny! zawołał znowu i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Ale gdy podnosił połyskujący metalicznie kamień, jego wzrok padł na inny, o

wiele większy kamień. – Na tej plaży jest krzemień!

Krzemień do robienia swych narzędzi miał pod ręką! – Jeżeli znajdziesz sobie bijak i zrobisz przebijak i... Możesz robić narzędzia, Jondalarze! – Dobre ostre ostrza i rylce... Wyprostował się i przyjrzał stercie kości i gruzu, który woda wyrzuciła pod ścianą. Wygląda na to, że odpowiednie kości i róg też tu są. – Możesz jej nawet zrobić porządną dzidę.

Ona może wcale nie chceć “porządnej dzidy”, Jondalarze. Może ma powody, aby używać takich dzid. Ale to nie znaczy, że nie możesz zrobić dla siebie dzidy. Będzie to lepsze zajęcie od beczynnego siedzenia cały dzień. Mógłbyś nawet trochę porzeźbić. Miałeś zawsze zdolności do rzeźbienia, zanim ich nie zaniedbałeś.

Pogrzebał w stercie kości i wyrzuconego przez wodę drewna, a potem obszedł ją naokoło i począł szukać w krzakach kości, czaszek i rogów. W czasie poszukiwania bijaka znalazł kilka garści kamieni do krzesania ognia. Uśmiechnął się, gdy rozbił kredową osłonę pierwszej krzemiennej buły. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo tęsknił już za swoim zajęciem.

Pomyślał o wszystkim, co mógłby zrobić teraz, gdy ma już trochę krzemienia. Chciałby mieć dobry nóż i toporek z rękojeścią. Chciał zrobić dzidy, a mając dobre szydło, będzie mógł naprawić swoje ubranie. I Ayli mogą spodobać się jego narzędzia; a przynajmniej będzie je mógł jej pokazać.

Dzień nie dłużył mu się tak, jak się tego obawiał, i zmierzchało już, gdy zaczął ostrożnie zbierać do pożyczonej od Ayli skóry swe narzędzia do obrabiania krzemienia i nowe narzędzia z krzemienia, które za ich pomocą zrobił. Kiedy wrócił do jaskini, żreback począł trącać go pyskiem, próbując zwrócić jego uwagę. Jondalar zaczął przypuszczać, że żreback jest głodny. Ayła

zostawiła trochę rozgotowanego na papkę ziarna – której zjedzenia żreback z początku odmówił, potem zjadł, a jeszcze potem zrobiło się południe. Gdzie ona się podziewa?

Na dobre zaczął się niepokoić, kiedy zrobiło się ciemno. Żreback potrzebuje Whinney i Ayla powinna już wrócić. Stał na skraju skalnego tarasu, wypatrując jej w ciemności, w końcu postanowił rozpalić ognisko na wypadek, gdyby się zgubiła. – Ona nie zgubiłaby drogi, uspokoił samego siebie, ale i tak rozpałił ognisko.

Było już późno, gdy w końcu wróciła. Jondalar usłyszał Whinney i ruszył ścieżką na spotkanie im, ale żreback go wyprzedził. Ayla zsiadła z konia na plaży, ściągnęła ubite zwierzę z noszy, poprawiła drągi, aby dostosować ich rozstaw do wąskiej ścieżki, i ruszyła z kłaczą do góry w chwili, gdy Jondalar dotarł na dół. Wróciła z zapalonym polanem. Jondalar wziął je od niej, a tymczasem Ayla załadowała drugie zwierzę na nosze. Pokuśtykał, aby jej pomóc, ale ona już skończyła. Obserwacja tego, jak radziła sobie z ciężarem martwego jelenia, dała mu wyobrażenie o jej sile i przeczucie, jak ją zdobyła. Nosze i kłacz były bardzo pomocne, być może, nawet niezastąpione, ale ona nadal była tylko jedna.

Żreback niecierpliwie szukał wymienia, lecz Ayla odganiała go, dopóki nie dotarli do jaskini.

– Ty racja, Jondalar – powiedziała, gdy dokuśtykał na taras. – Duży, duży ogień. Ja nie widzieć przedtem taki duży ogień. Daleko. Wiele, wiele zwierząt.

W jej głosie było coś takiego, że przyjrzał się jej uważniej. Była wyczerpana, a rzeź, którą widziała, odcisnęła na niej swe piętno, nadając jej oczom nienaturalnie pustego wyrazu. Ręce miała czarne, twarz i okrycie umazane sadzą i krwią. Zdjęła uprząż i

nosze, potem objęła Whinney i wyczerpana oparła czoło o klacz. Koń stał z opuszczonym łbem i rozstawionymi przednimi nogami, podczas gdy źrebak przynosił ulgę jej wezbranemu wymieniu.

– Ten pożar musiał być daleko stąd. Już późno. Jechałaś cały dzień? – zapytał Jondalar.

Oderwała czoło od konia i odwróciła się do Jondalara. Przez chwilę zapomniała o tym, że tu był.

– Tak, cały dzień – powiedziała, a potem westchnęła ciężko. Nie mogła się jednak poddać zmęczeniu, miała jeszcze zbyt wiele do zrobienia. – Wiele zwierząt umrzeć. Wiele przyszło wziąć mięso. Wilk. Hiena. Lew. Innych przedtem nie widziałam. Duże zęby. – Otworzyła usta i ułożyła dwa palce, wskazujące, jak zwisały w dół kły.

– Widziałaś tygrysa szablistozębego! Nie myślałem, że one naprawdę istnieją! Pewien starzec zwykł opowiadać młodemu podczas Letniego Spotkania, że w swej młodości widział jednego, ale nikt mu nigdy nie wierzył. Naprawdę go widziałaś? – Żałował, że nie mógł być razem z nią.

Ayla skinęła głową i zadrżała, przymykając oczy.

– Robić Whinney strach. Skradać. Proca zrobić odejść. Whinney ja biec.

Jondalar otworzył szeroko oczy, słysząc jej zdawkową relację z tego co się wydarzyło.

– Odpędziłaś szablistozębego tygrysa swoją procą? Dobra Matko, Ayla!

– Dużo mięsa. Tygrys... nie potrzebować Whinney. Proca zrobić odejść. – Chciała powiedzieć więcej, opisać całe zdarzenie, opowiedzieć o swym strachu, podzielić się z nim, ale nie знаła odpowiednich słów. Była zbyt zmęczona, aby wyobrazić sobie

gesty i spróbować przełożyć je na słowa.

Nie ma się co dziwić, że jest zmęczona, pomyślał Jondalar. Może nie powinienem sugerować jej, żeby sprawdziła ten pożar, ale zdobyła dwa jelenie. Musiało ją to jednak kosztować sporo nerwów, spotkanie z tygrysem szablastym. Ale z niej kobieta.

Ayla spojrzała na swoje dłonie, po czym zeszła z powrotem na płużę. Zabrała pochodnię zostawioną przez Jondalara wbitą w ziemi, zniosła ją nad wodę i podniosła, aby rozejrzeć się dookoła. Wyrwała lebiodeę, rozkruszyła jej liście i korzenie w dłoni, zmoczyła wodą i dodała odrobinę piasku. Potem wyszorowała dłonie, obmyła zabrudzoną twarz i poszła z powrotem.

Jondalar zaczął już grzać kamienie do gotowania i Ayla była mu za to wdzięczna. Miseczka gorącego napoju była właśnie tym, czego pragnęła. Odchodząc zostawiła mu jedzenie i miała nadzieję, iż nie oczekuje od niej, że będzie gotowała. Nie miała teraz czasu martwić się jedzeniem. Musiała zdjąć skórę z dwóch jeleni i pociąć mięso na pasma do suszenia.

Szukała nie nadpalonych zwierząt, ponieważ chciała mieć skóry. Ale kiedy zaczęła pracować, przypomniało się jej, że planowała zrobić kilka ostrych noży. Noże tępiły się w czasie używania z ostrza odrywały się małe kawałki. Zwykle prościej było zrobić nowy nóż, a stary przerobić na jakieś inne narzędzie, na przykład skrobak.

Tępy nóż dopełnił miary. Pochyliła się nad skórą, a łzy zmęczenia i zawodu wypełniły jej oczy i popłynęły po policzkach.

– Co się stało, Ayla? – zapytał Jondalar.

W odpowiedzi zaczęła jedynie jeszcze gwałtowniej ciąć jelenia.

Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Jondalar wyjął jej z dłoni tępy nóż i podniósł na nogi.

– Jesteś zmęczona. Może położyłabyś się i trochę odpoczęła?

Ayla pokręciła głową, choć rozpaczliwie pragnęła tak właśnie uczynić.

– Zdjąć skórę, suszyć mięso. Nie czekać, hiena przyjsć.

Nie zwracał jej głowy propozycją zabrania jeleni do środka; ona teraz nie była w stanie jasno myśleć.

– Ja ich przypilnuję – powiedział. – Tobie potrzebny wypoczynek. Idź i połóż się, Ayla.

Napełniła ją wdzięczność. On będzie pilnować! Nie pomyślała, aby go o to poprosić; nie przywykła mieć kogoś do pomocy. Poczłapała do jaskini, westchnęła z ulgą i opadła na swoje futra. Chciała powiedzieć Jondalarowi, jak bardzo jest mu wdzięczna i znowu poczuła napływające łzy, wiedząc, że jej starania nie byłyby skuteczne.

W ciągu nocy Jondalar kilkakrotnie wchodził i wychodził z jaskini. Od czasu do czasu stawał i przyglądał się śpiącej kobiecie o zmarszczonych troską brwiach. Spała niespokojnie, rzucając rękoma i mamrocząc coś niezrozumiałe przez sen.

Ayla szła we mgle, wołając o pomoc. Wysoka kobieta o niewyraźnej twarzy wyciągnęła ręce i krzyczała we mgle.

– Mówiłam, że będę uważać, Matko, ale dokąd poszłaś? mamrotała Ayla. – Dlaczego nie przyszałaś, gdy cię wołałam? Wołałam i wołałam, ale ty nigdy nie przyszałaś. Gdzie byłaś? Matko? Matko! Nie odchodź znowu! Zostań! Matko, zaczekaj na mnie! Nie zostawiaj mnie!

Wizja wysokiej kobiety rozmyła się i mgła ustąpiła. Na jej miejscu stała inna kobieta, krępa i niska. Jej silne, muskularne nogi były nieco pałakowate, ale ona sama chodziła wyprostowana. Miała duży orli nos z wyraźnym garbem, a jej wystające szczęki były pozbawione brody. Czoło miała niskie i

opadające do tyłu, lecz jej głowa była bardzo duża, a szyja krótka i gruba. Masywne łuki brwiowe osłaniały duże, brązowe, inteligentne oczy, pełne miłości i smutku. Kobieta pochyliła się.

– Iza! – krzyknęła do niej Ayla. – Iza, pomóż mi! Proszę pomóż mi! – Ale Iza jedynie dziwnie na nią spojrzała. – Iza, nie słyszysz mnie? Dlaczego mnie nie rozumiesz?

– Nikt cię nie zrozumie, jeżeli nie będziesz prawidłowo mówić – powiedział inny głos. Zobaczyła mężczyznę wspierającego się na lasce. Był stary i ułomny. Jedno ramię miał ucięte w łokciu. Lewa strona jego twarzy była pokryta straszliwymi bliznami i brakowało mu lewego oka, ale w jego prawym oku było znać siłę, mądrość i współczucie. – Musisz się nauczyć mówić, Ayla powiedział Creb gestem jednej dłoni, ale ona go słyszała. Mówił głosem Jondalara.

– Jak mogę mówić? Nie mogę sobie tego przypomnieć! Pomóż mi, Creb!

– Twoim totemem jest Lew Jaskiniowy, Aylo – powiedział stary Mog-ur.

Z brązowym błyskiem kot skoczył na tura i powalił na ziemię ogromną, brązową, dziką krowę. Ayla krzyknęła i tygrys szablasty prychnął na nią, a jego kły i pazury ociekały krwią. Przyszedł po nią, jego ostre kły wydłużyły się i zrobiły jeszcze ostrzejsze. Była w małej jaskini, usiłując wcisnąć się w skałę za plecami. Lew jaskiniowy zaryczał.

– Nie! Nie! – krzyknęła.

Ogromna łapa z wystawionymi pazurami sięgnęła i naznaczyła jej lewe udo czterema równoległymi rozdarciami.

– Nie! Nie! – krzyczała. – Nie mogę! Nie mogę! – Dookoła niej zawirowała mgła. – Nie mogę sobie przypomnieć! Wysoka kobieta wyciągnęła do niej rękę.

– Pomogę ci...

Na krótką chwilę mgła zrzęła i Ayla ujrzała niepodobną do swojej twarz. Wstrząsnęły ją bolesne nudności, a ze szpary w ziemi dobył się kwaśny odór stęchlizny i rozkładu.

– Matko! Matkooo!

– Ayla! Ayla! Co się stało? – Jondalar potrząsnął nią. Był na skalnym tarasie, kiedy usłyszał jej krzyk w nie znanym języku. Pokuśtykał z powrotem szybciej, niż się spodziewał.

– Wszystko dobrze, Ayla. Już wszystko dobrze.

– To było trzęsienie ziemi. Tak to się stało. Zginęła podczas trzęsienia ziemi.

– Kto zginął w czasie trzęsienia ziemi?

– Moja matka. A później również Creb. Och, Jondalar, ja nienawidzę trzęsień ziemi! – Drżała w jego ramionach.

Jondalar ujął ją za ramiona i odsunął, aby móc na nią patrzeć.

– Opowiedz mi o swoim śnie, Ayla – powiedział.

– Mam te sny, odkąd pamiętam – zawsze wracają. W jednym jestem w małej jaskini i do środka sięgają pazury. Myślę, że w ten właśnie sposób mój totem mnie zaznaczył. Drugiego nigdy nie mogę sobie przypomnieć, ale zawsze budzę się drżąca i z mdłościami. Ale tym razem było inaczej. Widziałam ją, Jondalarze. Widziałam moją matkę!

– Ayla, czy ty się słyszysz?

– Co masz na myśli?

– Ty mówisz. Ty mówisz!

Ayla kiedyś umiała mówić, a choć nie był to ten sam język, to jednak w zakamarkach jej pamięci kryła się znajomość poczucia rytmu, znaczenia i charakteru mówionego języka. Zapomniała, jak mówić za pomocą słów, ponieważ jej przeżycie zależało od innego systemu porozumiewania się i ponieważ chciała



zapomnieć o tragedii, w wyniku której została sama. Choć nie był to świadomy wysiłek, słyszała i zapamiętywała więcej niż słownictwo języka Jondalara. Składnia, gramatyka, akcent – to wszystko było częścią dźwięków, jakie wydawał przy mówieniu.

Jak dziecko uczące się mówić, miała wrodzone zdolności i chęci, i potrzebowała jedynie ciągłego kontaktu. Ale ona miała silniejszą motywację niż dziecko i jej pamięć była bardziej rozwinięta. Uczyla się szybciej. Choć nie potrafiła odtworzyć dokładnie niektórych brzmień i modulacji głosu, to zaczęła mówić jego językiem ojczystym.

– Mówię. Potrafię! Jondalar, potrafię myśleć słowami! Uprzytomnili sobie, że Jondalar ją obejmował i poczuli się tym zażenowani. Mężczyzna opuścił ręce.

– Czy już jest ranek? – zapytała Ayla, bo zauważyła wpadające przez wejście i otwór na dym światło. Odrzuciła okrycie Nie myślałam, że zasnę na tak długo. Wielka Matko! Muszę zacząć suszyć mięso. – Przejęła również jego zawołania. Jondalar się uśmiechnął. Jej nagła umiejętność mówienia budziła w nim pewnego rodzaju lęk, ale bardzo zabawnie było słyszeć płynące z ust zdania wymawiane z rzadkim akcentem.

Ayla pospieszyła do wyjścia, wyjrzała i zamarła. Przetarła oczy i spojrzała ponownie. Taras był zawieszony rzędami mięsa pociętego na małe, zgrabne pasemka. Pomiedzy nimi płonęło kilka małych ognisk. Czyżby dalej spała? Czyżby nagle wszystkie kobiety klanu przybyły jej z pomocą?

– Jeżeli jesteś głodna, to przy palenisku jest trochę pieczonego mięsa – powiedział Jondalar niby od niechcienia i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Ty? Ty to zrobiłeś?

– Tak. Ja to zrobiłem. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego

mała niespodzianka wywarła na niej wrażenie większe, niż się spodziewał. Może nie był jeszcze na tyle zdrowy, aby polować, ale przynajmniej mógł zdjąć skórę z przyniesionych przez nią zwierząt i zacząć suszyć mięso, tym bardziej że właśnie zrobił sobie nowe noże.

– Ale... ty jesteś mężczyzną! – powiedziała oszołomiona. Mała niespodzianka Jondalara była bardziej oszałamiająca, niż myślał. Członkowie klanu jedynie dzięki odwoływaniu się do swej pamięci zdobywali wiedzę i umiejętności niezbędne do przetrwania. Rozwinęli instynkt tak, że pamiętali umiejętności swych przodków i przekazywali je swym potomkom. Zajęcia, którymi zajmowali się mężczyźni i kobiety, w ciągu pokoleń różnicowały się coraz bardziej powodując, iż pamięć członków klanu też się zaczęła różnicować ze względu na płeć. Nie potrafili więc spełniać funkcji przypisanej drugiej płci; nie mieli do tego odpowiedniej pamięci.

Mężczyzna klanu mógł upolować czy znaleźć jelenia i przynieść go. Potrafił nawet zdjąć z niego skórę, choć nie tak sprawnie, jak kobieta. Gdyby go zmusić, to mógłby nawet upiec kawałek mięsa. Ale nigdy nie pomyślałby o pocięciu go i suszeniu, a nawet gdyby chciał to uczynić, to nie wiedziałby, od czego zacząć. Z całą pewnością nie potraciłby zrobić zgrabnych, odpowiednio pokrojonych kawałków, które wyschną równomiernie, tak jak te, które Ayla miała przed oczyma.

– Czy mężczyźni nie wolno kroić mięsa? – zapytał Jondalar. Wiedział, że u niektórych ludów panował zwyczaj podziału zajęć na kobiece i męskie, ale on tylko chciał jej pomóc. Nie pomyślał, że mogłaby się tym poczuć urażona.

– W klanie kobietom nie wolno polować, a mężczyzna nie może... robić jedzenia – próbowała wyjaśnić.

– Ale ty polowałaś.

Jego oświadczenie niespodzianie wstrząsnęło nią. Zapomniała, że dzieliły ich różnice obyczajów Klanu i Innych.

– Ja... ja nie jestem kobietą klanu – powiedziała zakłopotana. – Ja... – Nie wiedziała, jak to wytłumaczyć. – Ja jestem taka jak ty, Jondalarze. Ja jestem jedną z Innych.

## . 23 .



Ayla wstrzymała Whinney, zsunęła się z jej grzbietu i podała ociekające wodą naczynie Jondalarowi. Mężczyzna począł łapczywie pić. Byli w odległej części doliny, doszli już niemal na stepy i do strumienia był spory kawałek drogi. Wokół nich falowała na wietrze złocista trawa. Zbierali ziarno z prosa i dzikiego żyta, które rosło razem z niedojrzałym jęczmieniem i orkiszem. To było nużące zajęcie. Należało przejechać dłonią po każdym źdźble, aby zebrać małe, twarde ziarenka. Do jednej połowy podzielonego kosza, zawieszzonego na szyi, aby zapewnić rękom swobodę, wrzucali okrągłe nasiona prosa, które łatwo było zebrać z kłosów, i które potem wymagały dodatkowego przewiania. Natomiast zboże, które szło do drugiej części kosza, dawało się zbierać bez żadnych zanieczyszczeń.

Ayla zawiesiła kosz na szyi i zabrała się do pracy. Jondalar wkrótce się do niej przyłączył. Przez pewien czas zbierali ziarno ramie w ramie, w końcu Jondalar się odezwał.

– Jak to jest jeździć na koniu, Ayla? – zapytał.

– To trudno opowiedzieć – powiedziała, przerywając, aby się namyśleć. – Szybka jazda jest podniecająca. Ale wolna również. Jazda na Whinney sprawia mi przyjemność. – Wróciła do zbierania ziarna, po czym znowu przerwała. – Chciałbyś

spróbować?

– Co spróbować?

– Jeździć na Whinney.

Spojrzał na nią, próbując odgadnąć, jakie naprawdę ten pomysł budził w niej odczucia. Od pewnego czasu miał ochotę spróbować jazdy na koniu, ale Ayla zdawała się mieć tak osobisty stosunek do tego zwierzęcia, że nie wiedział, jak taktownie o to poprosić.

– Tak. Chciałbym. Ale czy Whinney mi pozwoli?

– Nie wiem. – Ayla spojrzała na słońce, aby się zorientować jak było późno, a potem przesunęła kosz na plecy. – Możemy sprawdzić.

– Teraz? – zapytał. Skinęła głową i ruszyła z powrotem. Sądziłem, że po to przyniosłaś wodę, abyśmy mogli nazbierać więcej ziarna.

– I tak też było. Zapomniałam jednak, że we dwoje zbieranie idzie szybciej. Patrzyłam jedynie w swój kosz – nie przywykłam jeszcze do pomocy.

Nadal zaskakiwał ją zakres umiejętności mężczyzny. On nie tylko chciał, ale był również zdolny do robienia tego wszystkiego, co ona, albo potrafił się tego nauczyć. Był ciekawy i wszystkim zainteresowany, w szczególności tym wszystkim, co było dla niego nowe. Dzięki niemu zrozumiała, jak niezwykła musiała się wydawać innym członkom klanu. A jednak przyjęli ją i próbowali przystosować do własnego sposobu życia.

Jondalar przesunął kosz na plecy i podszedł do niej.

– Mam już na dziś dosyć. I tak nazbierałaś już dużo ziarna, Aylo, a jęczmień i pszenica jeszcze nawet nie dojrzały. Nie rozumiem, po co więcej ziarna.

– To dla Whinney i jej dziecka. Będę potrzebować dla nich

również trawy. Whinney żywi się zimą sama, ale gdy śnieg jest zbyt głęboki, to wiele koni pada z głodu.

To wyjaśnienie wystarczyło, aby zapobiec jego dalszym sprzeciwom. Wracali przez wysoką trawę. Cieszyli się słońcem grzejącym im skórę, skoro nie musieli już pracować w jego palących promieniach. Jondalar miał na sobie jedynie przepaskę i był równie opalony, jak Ayla. Kobieta nosiła krótkie letnie okrycie, które osłaniało ją od pasa do ud, a co ważniejsze, zapewniało fałdy i kieszenie, w których mogła nosić narzędzia, procę i inne małe przedmioty. Poza tym miała na sobie jedynie skórzany woreczek zawieszony na szyi. Jondalar jeszcze bardziej niż przedtem zachwycał się jej jędrnym sprężystym ciałem, ale nie okazywał tego, a ona swoim zachowaniem się wcale go do tego nie zachęcała.

Z niecierpliwością oczekiwał jazdy na końskim grzbiecie, zastanawiając się, jak się Whinney zachowa. – W razie potrzeby mógłbym szybko zejść jej z drogi, pomyślał. Jego noga miała się już dobrze, jeżeli nie liczyć drobnego utykania, które – żywił nadzieję – również z czasem zniknie. Ayla dokonała cudu, lecząc jego ranę; tyle jej zawdzięczał. Zaczynał już powoli myśleć o odejściu – nie było powodu, aby zostawał tu dłużej – ale nie wyglądało na to, aby jej zależało na jego szybkim odejściu, więc starał się odsuwać od siebie tę myśl.

Ayla musiała się troszczyć również o konie. O tym nie pomyślał. – Chyba dużo pracy wymaga zgromadzenie zapasów pożywienia dla koni?

– Nie tak wiele – odparła.

– Mówiłaś, że potrzeba dla nich również trawy, pomyślałem więc sobie, czy nie mogłabyś obcinać całych kłosów i zabierać je do jaskini? Potem zamiast zbierać ziarno do tego – wskazał na

kosze – mogłabyś po prostu otrząsnąć je do kosza. A oprócz tego miałabyś jeszcze dla koni trawę.

Ayla przystanęła, zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad tym pomysłem.

– Być może... Gdyby kłosa wysuszyć po zerwaniu, to – być może – dałoby się wytrząsnąć z nich ziarno. Z jednych lepiej, z innych gorzej. Został jeszcze jęczmień i pszenica... warto spróbować. – Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Jondalar, myślę, że to może się powieść!

Jej nieskrywane podniecenie i jego skłoniło do uśmiechu. Podziw, jakim ją darzył, pociąg, który do niej czuł, i czysty zachwyty, wszystko to jak na dłoni było widać w jego cudownie zniewalających oczach. Ayla zareagowała szczerze i spontanicznie.

– Jondalar, tak bardzo lubię, gdy się uśmiechasz... do mnie swymi ustami i swymi oczyma.

Jondalar wybuchnął śmiechem – swym nagłym, swobodnym, niepohamowanym śmiechem. – Ona jest taka szczerza, pomyślał. Nie sądzę aby kiedykolwiek zachowała się nieszczerze. Jakaż z niej niezwykła kobieta.

Aylę zaskoczył jego nagły wybuch śmiechu. Zaraziła się jednak jego wesołością i z początku nieśmiało, a potem coraz głośniejsze zaczęła się śmiać z równie żywiołową radością.

Śmiali się aż do utraty tchu. W końcu udało im się opanować na tyle, by pośród powracających napadów odzyskać oddech i otrzeć oczy z łez. Żadne z nich nie potrafiło powiedzieć, co ich tak rozbawiło; nawzajem się rozśmieszali. Ich zachowanie wynikało zarówno z potrzeby rozładowania nagromadzonego napięcia, jak i zabawnej sytuacji.

Po chwili ruszyli dalej i Jondalar, w odruchu czułości, objął

Aylę w pasie. Natychmiast jednak poczuł, jak zeszywniała, i szybko cofnął swe ramię. Przecież obiecał sobie i jej, choć go jeszcze wtedy nie rozumiała, że nie będzie się jej narzucał. Jeżeli ona przyrzekła wystrzegać się rozkoszy, to nie miał zamiaru swym zachowaniem doprowadzić do sytuacji, w której będzie zmuszona go odtrącić. Musi się starać uszanować jej wolę.

Jednakże poczuł kobiecy zapach jej ciepłej skóry, pełne piersi u swego boku. Przypomniawszy sobie nagle, ile to już czasu upłynęło, odkąd ostatni raz leżał z kobietą. Skąpa przepaska nie bardzo mogła skryć efekt jego myśli. Odwrócił się, próbując ukryć swe pożądanie, i to było jedyne, co mógł zrobić, aby powstrzymać się przed zderzeniem z niej okrycia. Począł wydłużać krok, dopóki jej nie wyprzedził.

– Doni! Jakże ja pragnę tej kobiety! – mruknął do siebie.

Na widok pospiesznie oddalającego się Jondalara w kącikach oczu Ayli pojawiły się łzy. Co ja takiego zrobiłam? Dlaczego się odsunął ode mnie? Dlaczego nie dał mi swego znaku? Widziałam przecież, że był w potrzebie, dlaczego nie chciał jej zaspokoić ze mną? Czy jestem aż tak wstrętna? Na wspomnienie dotyku jego ramienia przeszedł ją dreszcz; jej nozdrza pełne były jego męskiego zapachu. Ayla zwolniła kroku, nie chcąc spojrzeć mu w oczy. Czowała się tak samo, jak wtedy, gdy jako mała dziewczynka zrobiła coś niewłaściwego – ale teraz nie wiedziała, w czym tkwił jej błąd.

Jondalar dotarł w chłodny cień drzew rosnących wzdłuż strumienia. Pożądał Ayli tak bardzo, że nie mógł się opanować. Zaledwie skrył się za gęstą zasłoną liści na ziemię trysnęły białe, lepkie krople, a on drżąc i nadal trzymając swą męskość oparł czoło o drzewo. Poczuł ulgę, nic więcej, ale przynajmniej teraz mógł stanąć przed kobietą, nie próbując jej powalić i zniewolić.



Znalazł kij i zagrzebał nasienie ziemią Matki. Zelandoni mówił mu, że jego rozlewanie było marnowaniem Darów Matki, ale jeżeli to już było konieczne, to powinno się oddać je z powrotem Matce, wylać na ziemię i zagrzebać. – Zelandoni miał rację, pomyślał. To było marnotrawstwo, w tym nie było rozkoszy.

Jondalar poszedł wzdłuż strumienia zbyt zażenowany, aby wyjść na łąkę. Ayla czekała przy dużym głazie, obejmując ramieniem żrebaka i przytulając czoło do karku Whinney. Wyglądała tak bezbrinnie, tuląc się do zwierzęcia i szukając u niego otuchy i pocieszenia. – Powinna u mnie szukać wsparcia, pomyślał, to ja powinienem ją pocieszać. – Był pewny, że to on był powodem jej zmartwienia i poczuł się zawstydzony, tak jakby dopuścił się zasługującego na potępienie czynu. Z wahaniem wyszedł spomiędzy drzew.

– Czasami mężczyźni trudno zapanować nad swym pecherzem -skłamał ze słabym uśmiechem.

Ayla była zaskoczona. Dlaczego mówił słowa, które nie były prawdą? Wiedziała, co zrobił. Zaspokoił się.

Mężczyzna klanu wolałby raczej poprosić o partnerkę przywódcy, niż miałyby się sam zaspokoić. Jeżeli nie mógłby opanować swych pragnień, a nie byłoby pod ręką innych kobiet, to nawet jej, przecież tak brzydkiej, dano by znak. Żaden z dorosłych mężczyzn nie zechciałby się sam zaspokoić. Jedynie młodzicy, którzy osiągnęli fizyczną dojrzałość, ale nie upolowali swej pierwszej zwierzyny, mogli się nad tym zastanawiać. A Jondalar wolał sam zająć się sobą, niż jej dać znak. Nie tylko sprawiło jej to ból; czuła się upokorzona.

Puściła jego słowa mimo uszu i starała się unikać jego wzroku. – Jeżeli chcesz spróbować jazdy na Whinney, to potrymam ją, a ty wejdź na ten głaz i wsiądź na nią. Powiem Whinney, że chcesz

pojeździć. Może ci na to pozwoli.

Przecież dlatego przestali zbierać ziarno, przypomniał sobie. Co się stało z jego poprzednim zapałem? Jakim cudem mogło się tak wiele zmienić w ciągu spaceru z jednego krańca łąki na drugi? Starając się sprawić wrażenie, że wszystko jest normalnie, wdrapał się na głąz, a tymczasem Ayla podprowadziła bliżej konia. Ona również unikała jego wzroku.

– Co robisz, aby jechała tam, dokąd chcesz? – zapytał. Ayla musiała zastanowić się nad tym pytaniem.

– Ja nie zmuszam jej do tego, ona chce jechać tam, gdzie i ja. – Ale skąd ona wie, dokąd chcesz jechać?

– Nie wiem... – Nie wiedziała; nie myślała o tym. Jondalar postanowił się tym nie martwić. Miał ochotę pojechać tam, dokąd zabierze go koń, jeżeli w ogóle będzie miał ochotę go gdzieś zabrać. Dla uspokojenia położył klaczy dłoń na kłębie, a potem ostrożnie jej dosiadł.

Whinney położyła po sobie uszy. Wiedziała, że to nie była Ayla, i ciężar był większy. Brakowało również owego natychmiastowego poczucia przewodnictwa, jakie dawało jej napięcie mięśni Ayli. Ale Ayla była blisko, trzymała jej łeb, a mężczyzna na grzbiecie też był znajomy. Klacz zatańczyła niezdecydowanie, ale po kilku chwilach się uspokoiła.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał Jondalar, siedząc na małym koniu ze zwieszonymi po bokach nogami i nie wiedząc, co ma począć z rękoma.

Ayla poklepała konia uspokajająco, a potem zwróciła się do niej w języku, który składał się po części z gestów, po części z gardłowych słów klanu i po części ze słów w języku Zelandonii.

– Jondalar chciałby, abyś go przewiozła, Whinney.

Jej głos miał nagłący do ruszenia ton, dłoń delikatnie

naciskała; to było wystarczającą wskazówką dla zwierzęcia. Whinney ruszyła do przodu.

– W razie potrzeby obejmij ją za szyję – poradziła Ayla. Whinney była przyzwyczajona do noszenia człowieka na swym grzbiecie. Nie skakała ani nie wierzgała, ale bez ludzkiego przewodnictwa poruszała się z pewnym wahaniem. Jondalar pochylił się do przodu, żeby poklepać ją po szyi, bardziej, aby uspokoić samego siebie niż konia, lecz jego ruch był podobny do tego, jakim Ayla sygnalizowała, by przyspieszyć. Niespodziewany skok do przodu spowodował, że mężczyzna poszedł za radą Ayli i objął klacz za szyję, pochylając się przy tym do przodu. Dla Whinney był to sygnał do dalszego przyspieszenia.

Koń przeszedł w galop i pognął przez łąkę z uczepionym swego karku Jondalarem, za którym powiewały jego długie włosy. Jondalar czuł pęd wiatru na swej twarzy, a gdy w końcu odważył się otworzyć oczy, zobaczył, że ziemia umyka mu w zatrważającym tempie. To było przerażające – i pasjonujące! Rozumiał teraz, dlaczego Ayla nie potrafiła opisać tego, co czuła. To było podobne do uczucia, jakie miał w czasie zjeżdżania zimą z oblodzonego stoku lub gdy jesiotr ciągnął go w górę rzeki, lecz bardziej podniecające. Nagle spostrzegł po lewej jakiś ruch, to gniady źrebak dopędził matkę, równając z nią krok.

Jondalar usłyszał odległy gwizd, ostry i świdrujący, i nagle konie zawróciły, zataczając ciasny łuk i pogalopowały z powrotem.

– Wyprostuj się! – zawołała Ayla do Jondalara, gdy podjechali bliżej. Konie zwolniły, zbliżając się do kobiety i Jondalar się wyprostował. Whinney pogalopowała do dużego głazu.

Mężczyzna nieco drżał, kiedy zsiadał z konia, ale jego oczy błyszczały podnieceniem. Ayla poklepała spocony bok klaczy, a

potem ruszyła wolno za kłusującą przodem w kierunku plaży Whinney.

– Czy wiesz, że źrebak cały czas dotrzymywał jej kroku? Ależ z niego zawodnik!

Ze sposobu, w jaki Jondalar to mówił, Ayla wywnioskowała, że to słowo musiało mieć jakieś głębsze znaczenie.

– Co to jest “zawodnik”? – zapytała.

– W czasie Letnich Spotkań są różne zawody, ale najbardziej podniecające są wyścigi, zawody w bieganiu – wyjaśnił. – Biegaczy nazywa się zawodnikami i to słowo oznacza każdego, kto usiłuje wygrać lub usiłuje osiągnąć jakiś cel. To słowo oznaczające pochwałę i zachętę – nagrodę.

– Źrebak jest zawodnikiem; on lubi biegać.

Dalej szli w milczeniu, które z każdym krokiem ciążyło im coraz bardziej.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, abym usiadł? – zapytał w końcu Jondalar, starając się wypełnić ciszę. – Zdawało mi się, że mówiłaś, iż nie wiesz, jak powiedzieć Whinney o tym, czego chcesz. Ona zwolniła, gdy usiadłem.

– Nigdy przedtem o tym nie myślałam, ale gdy zobaczyłam, jak wracasz, to nagle pomyślałam “usiąść”. Początkowo nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć, ale gdy musiałeś zwolnić, to słowo samo się pojawiło.

– A zatem jednak dajesz koniowi sygnały. Pewnego rodzaju sygnały. Ciekaw jestem, czy źrebak też by się ich nauczył.

Doszli właśnie do wysuniętej nad wodę skały. Obeszli ją i ich oczom ukazało się ciekawe widowisko. Whinney, dla ochłody, tarzała się w błocie na brzegu strumienia, parszając i prychnając przy tym z wyraźnym zadowoleniem. Obok niej źrebak też bił kopytami powietrze. Jondalar przystanął, przyglądając się z

uśmiechem zwierzętom. Ayla jednakże poszła dalej z opuszczoną głową. Dogonił ją, gdy zaczynała wchodzić na górę.

– Ayla... – Kobieta się odwróciła, lecz wtedy jemu zabrakło słów. – Ja... ja, eee, ja chciałbym ci podziękować.

Ayla nadal miała pewne problemy ze zrozumieniem tego słowa. W języku klanu nie było dla niego odpowiednika. Przetrawanie każdego z małych klanów zależało od każdego z członków, toteż wzajemna pomoc była wśród nich uważana za coś naturalnego, nierozdzielnie związanego z ich sposobem życia. Nie dziękowano sobie za to, podobnie jak dziecko nie dziękuje matce za opiekę, a ona nie oczekuje podziękowania od niego. Szczególne względy czy prezenty zobowiązywały do uprzejmego odwzajemnienia się i nie zawsze były przyjmowane z radością.

Najbliższym odpowiednikiem podziękowania w języku klanu była forma wdzięczności kogoś o niższej pozycji w stosunku do kogoś o wyższej pozycji w hierarchii klanu, zwykle kobiety wobec mężczyzny, za szczególne potraktowanie. Zdawało się jej, że Jondalar usiłował wyrazić swą wdzięczność za jazdę na Whinney.

– Jondalar, to Whinney pozwoliła ci usiąść na swoim grzbiecie. Dlaczego mnie dziękujesz?

– Ty pomogłaś mi na niej pojeździć. A poza tym jest tak wiele innych rzeczy, za które chciałbym ci podziękować. Zrobiłaś dla mnie tak wiele, opiekując się mną.

– Czy żrebał dziękowałby Whinney za opiekę nad sobą? Byłeś w potrzebie i zajęłam się tobą. Dlaczego... “dziękuję”?

– Ale ty uratowałaś mi życie.

– Jestem uzdrowicielką. – Próbowwała znaleźć sposób, aby wytłumaczyć mu, że jeżeli ktoś ratuje czyjeś życie, to ma prawo

do części duszy, a zatem uratowany zobowiązuje się do opieki nad sobą; wskutek tego obie osoby stawały się sobie bliższe niż rodzeństwo. Ale ona była uzdrowicielką i wraz z amuletem przekazano jej po kawałku duszy każdego z członków klanu. Tak więc nikt nie był zobowiązany do okazywania jej wdzięczności. – Dziękuję nie jest konieczne – powiedziała.

– Wiem, że nie jest konieczne. Wiem, że jesteś Kobitą-Która Uzdrowia, ale ja bardzo bym chciał, abyś wiedziała, co czuję, to dla mnie bardzo ważne. Ludzie dziękują sobie za pomoc. Tak nakazuje grzeczność, to zwyczaj.

Szli ścieżką pojedynczo. Nie odpowiedziała mu, lecz jego wyjaśnienie przypomniało jej Creba, usiłującego wytłumaczyć jej, że niegrzecznie było zaglądać za kamienie odgradzające ognisko innego mężczyzny. Więcej kłopotu sprawiało jej nauczenie się zwyczajów niż języka klanu. Jondalar mówił, że wśród jego ludu wyrażanie wdzięczności drugiemu człowiekowi było zwyczajem, grzecznością, ale to wprawiało ją w jeszcze większe zakłopotanie.

Dlaczego miałyby wyrażać jej swą wdzięczność, skoro dopiero co ją upokorzył? Gdyby mężczyzna klanu okazał jej taką pogardę, to przestałaby dla niego w ogóle istnieć. Zdała sobie sprawę, że równie trudno będzie jej się nauczyć jego obyczajów, ale czuła się mniej upokorzona.

Jondalar usiłował się przedrzeć przez barierę, która pomiędzy nimi wyrosła. Zatrzymał się przed wejściem do jaskini.

– Ayla, przepraszam, jeżeli cię w jakiś sposób uraziłem.

– Urazić? Nie rozumiem tego słowa.

– Zdaje się, że cię rozzłościłem, że jest ci z mojego powodu przykro.

– Nie jestem rozzłoszczona, ale tak jest mi z twojego powodu

przykro.

Jej szczere potwierdzenie zaskoczyło go.

– Przepraszam – powiedział.

– Przepraszam. To grzeczność, tak? Zwyczaj? Jondalar, po co są słowa jak “przepraszam”? One niczego nie zmieniają, nie sprawiają, aby było mi mniej przykro.

Przeciągnął dłonią po włosach. Miała rację. Wszystko jedno, co uczynił – a zdaje się, że wie, co to było – przepraszanie nie pomoże. Nie pomoże także i to, że uchylał się przed wyjaśnieniem całej sprawy, nie chcąc stawić temu czoło z obawy przed narażeniem się na dalsze zakłopotanie.

Ayla weszła do jaskini, zdjęła kosz, podsyciła ogień i zaczęła przygotowywać wieczorny posiłek. Jondalar wszedł za nią, postawił swój kosz obok jej i przyciągnął matę do ogniska, aby usiąść i przyglądać się pracującej kobiecie.

Ayla lubiła używać narzędzi, które jej dał po pocięciu jelenia, ale przy pewnych czynnościach wolała się posługiwać nożem, do którego była przyzwyczajona. Trzymała ten toporny nóż, sporządzony z kawałka krzemienia o wiele cięższego od jego ostrzy, z większą wprawą niż ktokolwiek radził sobie mniejszym, zgrabniejszym nożem z rękojeścią. W swoim umyśle obrabiacza krzemienia oceniał i porównywał zalety obu typów. – Rzecz nie polegała na tym, iż jeden był wygodniejszy w użyciu niż drugi, myślał. Każdy ostry nóż będzie kroił, ale o ile więcej surowego krzemienia trzeba było zużyć, aby wykonać takie narzędzia. Już samo transportowanie kamienia mogło stanowić kłopot.

Aylę denerwowało to, że siedział, i tak uważnie się jej przyglądał. W końcu wstała, aby przynieść trochę rumianku na napój w nadziei, że odwróci jego uwagę, a i sama się uspokoi. To jedynie uprzytomniło mu, że znowu unika stawienia czoła

problemowi. Zebrał się w sobie i postanowił porozmawiać o tym otwarciu.

– Masz rację, Aylo. Powiedzenie przepraszam niewiele znaczy, ale nie wiem, co innego powiedzieć. Nie wiem, czym cię uraziłem. Powiedz mi, czym ci wyrządziłem przykrość?

Znowu musi mówić nieprawdę, pomyślała. Jakże nie mógłby sobie z tego zdawać sprawy? Chociaż z drugiej strony wygląda na zmartwionego. Spuściła oczy, wiele by dała za to, aby o to nie zapytał. Wystarczająco źle się czuła, musząc znosić takie upokorzenie, by jeszcze o tym mówić. Ale on zapytał.

– Jest mi przykro ponieważ... ponieważ nie jestem mile widziana. – Powiedziała, nie podnosząc oczu znad trzymanej na kolanach miseczki napoju.

– Co rozumiesz przez to, że nie jesteś mile widziana? Nie rozumiem.

Dlaczego ją o to pytał? Czyżby chciał, aby poczuła się jeszcze gorzej? Ayła spojrzała na niego. Był pochylony do przodu, a w jego oczach i postawie wyczytała szczerą i niepokoju.

– Żaden z mężczyzn klanu nie zaspokoiłby sam swoich potrzeb, gdyby w pobliżu była mile widziana przez niego kobieta. – Zarumieniła się i ponownie spuściła oczy. – Ty pełen byłeś pragnień, ale uciekłeś ode mnie. Czyż nie powinno mi być przykro, skoro nie jestem przez ciebie mile widziana?

– Chcesz powiedzieć, że uraziłem cię, ponieważ nie... – Wyprostował się i podniósł oczy do góry. – Och, Doni! Jakże ty mogłeś być tak głupi, Jondalarze?

Ayła spojrzała na niego zaskoczona.

– Myślałem, że nie życzysz sobie, abym cię niepokoił. Starłem się uszanować twoje życzenia. Tak bardzo cię pragnąłem, że nie potrafiłem się powstrzymać, ale za każdym razem, gdy cię



dotykałem, ty sztywniałaś. Jakie mogłabyś myśleć, że byłabyś niemile widziana przez jakiegokolwiek mężczyznę?

Aylę zalała nagła fala zrozumienia, przynosząc ulgę jej ściśniętemu bólem sercu. On jej pragnął! Myślał, że to ona go nie chce! Znowu jeden z jego zwyczajów, innych zwyczajów.

– Jondalarze, trzeba było dać jedynie znak. Jakie znaczenie miało to, czego chciałam?

– Oczywiście, że ma znaczenie, czego pragniesz. Czy ty nie... Nagle się zaczerwienił. – Czy nie chcesz mnie? – W jego oczach znać było niepewność i strach przed odrzuceniem. Znała to uczucie. Zaskoczył ją jednak widok mężczyzny ogarniętego tego typu odczuciami. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wypływały one z...

– Pragnę cię, Jondalarze, pragnę cię od chwili, gdy ujrzałam cię po raz pierwszy. Byłeś tak poraniony, że nie byłam pewna, czy przeżyjesz. Spoglądałam na ciebie i czułam... Pojawiało się to uczucie. Ale ty nigdy nie dałeś mi sygnału... – Znowu opuściła oczy. Powiedziała więcej, niż zamierzała. Kobiety klanu z większą subtelnością zachęcały mężczyzn.

– A ja cały ten czas myślałem... O jakim sygnale mówisz?

– Kiedy mężczyzna klanu pragnie jakiejś kobiety, to daje jej znak.

– Pokaż mi jaki.

Uczyniła gest i zarumieniła się. Kobiety nie czyniły zwykle takich gestów.

– To wszystko? Wystarczy, abym to uczynił? A ty, co wtedy zrobisz? – Kiedy zobaczył, jak Ayla wstaje, klęka i opada na ręce poczuł się lekko oszołomiony.

– Mówisz, że mężczyzna robi gest, a kobieta przyjmuje taką pozycję, i to wszystko? Już są gotowi?

– Mężczyzna nie daje sygnału, jeżeli nie jest gotowy. Czyżbyś nie był dziś gotowy?

Tym razem on się zaczerwienił. Zapomniał już, jak bardzo był gotów, co uczynił, aby powstrzymać się od nagabywania jej. Dałby wszystko za to, aby znać ten gest.

– A jeżeli kobieta go nie chce? Albo nie jest gotowa?

– Jeżeli mężczyzna uczyni ten gest, kobieta musi przyjąć pozycję. – Przypomniał jej się Broud i twarz zachmurzyło wspomnienie bólu i poniżenia.

– Zawsze? – Widział ból na jej twarzy i zastanawiał się, co było jego powodem. – Nawet wtedy, gdy to był jej pierwszy raz?

– Ayla skinęła głową.

– Czy tak właśnie stało się z tobą? Jakiś mężczyzna dał ci po prostu znak? – Kobieta przymknęła oczy, przełknęła ślinę i ponownie skinęła głową.

Jondalara ogarnęło przerażenie pomieszane z oburzeniem.

– Chcesz powiedzieć, że nie było Rytuału Pierwszej Rozkoszy? Nikt nie patrzył, czy mężczyzna nie sprawi ci zbyt wielkiego bólu? Cóż to za ludzie? Czyżby nie dbali o to, jak wypadnie pierwszy raz dziewczyny? Pozostawiają to po prostu mężczyźnie, któremu przyjdzie na to właśnie ochota? Pozwalają niewolić ją bez względu na to, czy była gotowa, czy nie? Bez względu na to, czy sprawia jej to ból, czy nie? – Wstał i począł się nerwowo przechadzać. – To okrutne! To nieludzkie! Jak można na coś takiego pozwolić? Czy oni nie wiedzą, co to współczucie? Czy oni w ogóle się niczym nie przejmują?

Jego wybuch była tak nieoczekiwany, że Ayla siedziała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma i patrząc, jak się gorączkuje coraz bardziej. Ale jego słowa zaczęły być coraz bardziej obelżywe i zaczęła zaprzeczać im ruchem głowy.

– Nie! – powiedziała w końcu, dając wyraz różnicy ich poglądom. – To nieprawda. Oni przejmują się! Iza znalazła mnie – zaopiekowała się mną. Przygarnęli mnie, przyjęli do klanu choć urodziłam się wśród Innych.

Creb nie rozumiał tego, że Broud sprawia mi ból, on nigdy nie miał partnerki. Nie znał kobiet od tej strony, a Broud miał do mnie prawo. A kiedy zaszłam w ciążę, Iza zaopiekowała się mną. Rozchorowała się, zdobywając dla mnie lekarstwo, abym nie straciła swego dziecka. Bez jej pomocy umarłabym przy urodzeniu Durca. I Brun przyjął go, choć nie był silny i zdrowy... – Ayla przerwała, widząc zdumione spojrzenie Jondalara.

– Masz syna? Gdzie on jest?

Ayla nie mówiła o swym synu. Nawet po tak długim czasie mówienie o nim sprawiało jej ból. Wiedziała, że każda wzmianka o nim wywoła pytania, jednakże w końcu musiało to wyjść na jaw.

– Tak, mam syna. On nadal jest z klanem. Przekazałam go pod opiekę Ubie, gdy Broud zmusił mnie do odejścia.

– Zmusił cię do odejścia? – Jondalar usiadł. A więc ona ma syna. Nie mylił się przypuszczając, iż była w ciąży. – Dlaczego ktokolwiek miałby zmuszać matkę do opuszczenia swego dziecka? Kim jest ten... Broud?

Jak miała mu to wyjaśnić? Przymknęła na chwilę oczy.

– On jest przywódcą. Brun był przywódcą, gdy mnie znaleźli. Pozwolił Crebowi, aby włączył mnie do klanu, ale starzał się, więc uczynił przywódcą Brouda. Broud zawsze mnie nienawidził, nawet gdy byłam małą dziewczynką.

– Czy to on cię skrzywdził?

– Iza powiedziała mi o gestach, gdy zostałam kobietą, ale mówiła, że mężczyzna zaspokaja swe potrzeby z kobietą, którą

lubi. Broud czynił to dlatego, ponieważ przyjemność sprawiało mu, że może zmusić mnie do robienia tego, czego nie cierpiałam. Ale myślę, że mój totem pozwolił mu na to. Duch Lwa Jaskiniowego wiedział, jak bardzo pragnęłam dziecka.

– A co ten Broud ma wspólnego z twoim dzieckiem? Wielka Matka Ziemia zsyła swe błogosławieństwo, kiedy zechce. Czy twój syn był jego ducha?

– Creb mówił, że duchy poczynają dzieci. Mówił, że kobieta połyka ducha męskiego totemu. Jeżeli jest dostatecznie silny, to pokona jej totem, przejmie jego siły i pocznie w niej nowe życie.

– Dziwny sposób patrzenia na te sprawy. To Matka decyduje o połączeniu męskiego i żeńskiego ducha, gdy błogosławi kobiecie.

– Nie sądzę, aby to duchy poczynają dzieci. Ani duchy totemu, ani duchy mieszane przez twoją Wielką Matkę. Myślę, że życie poczynia się, gdy wezbrany męski organ wnika w kobietę. Myślę, że to dlatego mężczyzna odczuwa tak silną potrzebę, a kobieta tak bardzo go pragnie.

– Tak nie może być. Czy wiesz, ile razy mężczyzna może wnikać swym członkiem w kobietę? Kobieta nie mogłaby mieć tyle dzieci. Mężczyzna dzięki Darowi Sprawiania Rozkoszy czyni, że kobieta się otwiera, aby mogły w nią wnikać duchy. Ale największym Darem Życia Matka obdarza jedynie kobiety. To one wchłaniają ducha i zostają jak ona matkami. Jeżeli mężczyzna czci ją, szanuje jej dary i przyrzeknie opiekować się kobietą i jej dziećmi, to Doni może zdecydować, aby dzieci jego ogniska były jego ducha.

– A czym jest Dar Sprawiania Rozkoszy?

– No właśnie! Ty nigdy nie zaznałaś rozkoszy, prawda? powiedział i zdumiał się, gdy to sobie uświadomił. – Nic dziwnego, że nie rozumiałaś kiedy... Jesteś kobietą, która została

pobłogosławiona dzieckiem, nie przechodząc nigdy Rytułu Pierwszej Rozkoszy. Twój klan musi być bardzo niezwykły. Każdy, kogo spotkałem podczas mojej podróży, wiedział o Matce i jej darach. Dar Rozkoszy – to gdy kobieta i mężczyzna pragną się wzajemnie i oddają się sobie nawzajem.

– Wtedy, gdy mężczyzna czuje potrzebę, i musi zaspokoić ją z kobietą, tak? – zapytała Ayla. – Wtedy, gdy umieszcza swój organ tam, skąd wychodzą dzieci. To jest Dar Sprawiania Rozkoszy?

– Tak, ale to znacznie więcej niż tylko to.

– Być może, ale wszyscy mówili, że ja nigdy nie będę miała dziecka, ponieważ mój totem był zbyt silny. Zaskoczyło ich to. On nie był zdeformowany. Jedyne przypominał z wyglądu trochę mnie, a trochę ich. Ale w ciążę zaszłam dopiero wówczas, gdy Broud począł mi dawać znaki. Nikt inny mnie nie chciał – byłam za duża i zbyt brzydka. Nawet na Zgromadzeniu Klanu nie znalazł się mężczyzna, który by mnie chciał, choć miałam pozycję Izy i uznali mnie za jej córkę.

W jej opowieści coś zaczynało Jondalara niepokoić, dobijać się do jego świadomości i uciekać, gdy już, już miał tego dopaść.

– Powiedziałaś, że znalazła cię uzdrowicielka – jak ona się nazywała? Iza? Gdzie ona cię znalazła? Skąd ty przybyłaś?

– Nie wiem. Iza mówiła, że urodziłam się wśród Innych, ludzi podobnych do mnie. Takich jak ty. Nie pamiętam nic z tego, co było przedtem, nim zaczęłam żyć w klanie. Nie pamiętałam nawet twarzy mojej matki. Ty jesteś jedynym podobnym do mnie człowiekiem, jakiego znam.

Jondalar czuł rosnący w głębi niepokój.

– Słyszałam o mężczyźnie Innych od jednej z kobiet na Zgromadzeniu Klanu. A to, co usłyszałam, sprawiło, iż czułam przed nimi lęk, dopóki nie spotkałam ciebie. Ona ma dziecko,

dziewczynkę tak bardzo przypominającą Durca, że mogłaby być moją córką. Oda pragnęła, aby mój syn wziął za partnerkę jej córkę. Mówili, że jej dziecko jest też zdeformowane, ale ja myślę, że to mężczyzna Innych począł jej dziecko, niewoląc ją.

– Mężczyzna ją zniewolił?

– I zabił jej pierwszą córkę. Oda była wraz z dwiema kobietami, gdy nadeszli Inni, ale nie dali znaku. Gdy jeden z nich ją złapał, dziecko wypadło jej i uderzyło głową w kamień.

Nagle Jondalar przypomniał sobie kilku wyrostków z jaskini daleko na zachodzie. Próbował odrzucić nasuwające mu się rozwiązanie. Skoro kilku wyrostków to robiło, to dlaczego nie mieliby tego robić i inni?

– Ayla, powtarzasz wciąż, że nie jesteś podobna do członków twego klanu. Czym oni się różnią?

– Są niżsi – to dlatego byłam zaskoczona, gdy wstałeś. Ja zawsze byłam od wszystkich wyższa, włączając w to mężczyzn. Dlatego mnie nie chcieli, jestem za wysoka i zbyt brzydka.

– Co jeszcze? – Nie chciał pytać, ale nie mógł się od tego powstrzymać.

– Mają brązowe oczy. Iza myślała, że z moimi oczami stało się coś niedobrego, ponieważ były koloru nieba. Durc ma ich oczy, i... Nie wiem, jak to powiedzieć, duże brwi, ale czoło podobne do mojego. Ich głowy są bardziej płaskie...

– Płaskogłowi! – Wydął z odrazą usta. – Dobra Matko! Ty żyłaś z tymi zwierzętami! Pozwoliłaś jednemu z samców... Wzdrygnął się. – Urodziłaś... obrzydliwą mieszankę duchów, pół człowieka i pół zwierzę! – Jondalar się poderwał i cofnął, jakby dotknął czegoś plugawego. To była reakcja zrodzona z irracjonalnych uprzedzeń, z nienawiści, bezmyślnych przypuszczeń, których nikt nigdy nie podawał w wątpliwość.

Ayla z początku nie rozumiała i patrzyła na niego, marszcząc pytająco brwi. Ale jego twarz była równie pełna obrzydzenia, jak jej na widok hien. Wtem dotarło do niej znaczenie jego słów.

Zwierzęta! On nazywał ludzi, których kochała, zwierzętami! Śmierdzącymi hienami! Delikatnego, kochającego Creba, który był najbardziej szanowanym i najpotężniejszym, czcigodnym mężem klanu?! – Creb był zwierzęciem?! Iza, która wychowała ją i zastąpiła matkę, która przekazała jej swą wiedzę – Iza była śmierdzącą hieną?! I Durc! Jej syn!

– Co to znaczy: są zwierzętami? – krzyknęła Ayla, podrywając się na nogi i stając na wprost niego. Nigdy przedtem nie podnosiła w gniewie głosu i zaskoczyła go jej moc – i jadowitość tonu. – Creb i Iza mają być zwierzętami? Mój syn, półczłowiekiem? Ludzie klanu to nie jakieś tam wstrętne śmierdzące hieny. Czy zwierzęta podniosłyby małą poranioną dziewczynkę? Czy przyjęłyby ją do swego grona? Czy opiekowałyby się nią? Wychowały ją? Jak myślisz, gdzie nauczyłam się wyszukiwać pożywienie? Albo gotować? Jak sądzisz, gdzie się nauczyłam uzdrawiania? Gdyby nie te zwierzęta, to nie żyłabym dzisiaj i ty również, Jondalarze! Mówisz, że klan to zwierzęta, a Inni – to ludzie? W takim razie pamiętaj o jednym: Klan uratował dziecko Innych, a Inni zabili jedno z ich dzieci. Gdybym miała wybierać pomiędzy ludźmi a zwierzętami, to wolałabym śmierdzące hieny!

Wypadła z jaskini i pobiegła ścieżką w dół, a potem zagwizdała na Whinney.

## . 24 .



Jondalar oniemiał. Wyszedł za nią i przyglądał się jej ze skalnej półki. Ayla wprawdzie wskoczyła na konia i pogalopowała w głąb doliny. Zawsze dotąd była taka spokojna, nigdy nie okazywała swojego gniewu. Zdumiał go ten wybuch, tym bardziej, że tak silnie kontrastował z jej poprzednim zachowaniem.

Zawsze uważał, że do kwestii płaskogłowych podchodził bez uprzedzeń. Jego zdaniem, powinno się ich zostawić w spokoju, nie dokuczać im, nie zaczepiać. Sam nigdy z rozmysłem nie zabiłby żadnego z nich. Jednakże mierzła go myśl, że mężczyzna mógłby wykorzystywać samice płaskogłowych dla zażycia rozkoszy. A już do głębi poczuł się wstrząśnięty myślą, że jeden z ich samców mógł do tych samych celów wykorzystywać kobietę. Ta kobieta byłaby splugawiona.

A on miał na nią taką ochotę. Pomyślał o wulgarnych historiach opowiadanych przez chłopców i wyrostków. Poczuł przebiegający mu po łądźwiach dreszcz, tak jakby już się skalał, a jego członek miał zaraz uschnąć i odpaść. Dzięki łasce Wielkiej Matki Ziemi został od tego ustrzeżony.

Ale co gorsza, ona wydała na świat paskudztwo, zlepek złych duchów, o którym nawet nie można by wspomnieć w



towarzystwie. Gorąco zaprzeczano istnieniu takiego potomstwa, ale niektórzy nie przestawali o tym gadać.

Ayla z całą pewnością temu nie zaprzeczyła. Otwarcie się do tego przyznała, stała tu i broniła swego dziecka... równie gwałtownie, jak robiłaby to każda matka, gdyby obrażono jej dziecko. Była urażona i rozgniewana tym, że mówił o nich w tak obraźliwy sposób. Czy rzeczywiście wychowała ją grupka płaskogłowych?

W czasie swej podróży spotkał kilku płaskogłowych. Nawet zastanawiał się nad tym, czy istotnie są zwierzętami. Przypomniawszy sobie młodego samca i starszą samicę płaskogłowych. Czyż nie użył on do przepołowienia ryby noża zupełnie podobnego do tego, jakim posługiwała się Ayla? A ta samica była dokładnie tak samo okryta skórą, jak Ayla. Ayla nawet zachowywała się w ten sam sposób, szczególnie na początku; spuszczała wzrok i starała się nie zwracać na siebie uwagi. Futra na jej posłaniu były równie miękkie, jak skóra wilka, którą mu dali do okrycia. I jej dzida! Ta ciężka prymitywna dzida – czyż nie była podobna do tych, jakie nosili ci płaskogłowi, których spotkał z Thonolanem, schodząc z lodowca?

Wszystko to już wiedział, wystarczyło jedynie uważniej patrzeć. Co mu przyszło do głowy, aby przypuszczać, iż Ayla jest Jedną z Tych-Które Służą Matce, i przebywa w odosobnieniu, aby doskonalić swoje umiejętności? Była równie biegła, jak każdy uzdrowiciel, a może nawet jeszcze bardziej. Czy Ayla naprawdę nauczyła się tego wszystkiego od płaskogłowych?

Patrzył, jak jechała konno. Była wspaniała w swym niepohamowanym gniewie. Znał wiele kobiet, które przy byle okazji podnosiły głos. Marona potrafiła być wrzaskliwą, swarliwą złością, pomyślał o kobiecie, której dał słowo. Ale w

słusznym gniewie Ayli było tyle siły, że go wprost urzekła. Lubił silne kobiety. Stanowiły dla niego wyzwanie, umiały pozostać sobą i nie ulegały łatwo jego sporadycznym wybuchom różnych przejawów namiętności. Podejrzewał, że pomimo całego opanowania Ayla skrywała swe prawdziwe uczucia pod twardą niczym kamień skorupą. – Popatrz, jak trzyma się na tym koniu, pomyślał. To nadzwyczaj piękna kobieta.

Nagle uprzytomnił sobie, co uczynił, a świadomość tego podziałała na niego niczym naczynie zimnej wody. Krew odpłynęła mu z twarzy. Ona uratowała mu życie, a on odsunął się od niej jak od najgorszego plugastwa! Ona otaczała go troskliwą opieką, a on odpłacił jej za to nikczemną odrazą. Nazwał jej dziecko, dziecko, które oczywiście kochała, paskudztwem. Czuł się upokorzony własną nieczułością.

Wbiegł do jaskini i rzucił się na posłanie. Jej posłanie. Spał na posłaniu kobiety, od której odwrócił się ze wzgardą.

– Och, Doni! – zawołał. – Jak mogłaś pozwolić, abym tak się zachował? Dlaczego mi nie pomogłaś? Dlaczego mnie nie powstrzymałaś?

Ukrył twarz w futrach. Od czasów młodości nie czuł się tak podle. Myślał, że potrafi już nad sobą panować. A tymczasem dał się ponieść nerwom. Czyż nigdy się nie nauczy? Dlaczego nie zdobył się na odrobinę taktu? Przecież wkrótce odejdzie; noga mu już wyzdrowiała. Czyż nie mógł przez ten czas zapanować nad swymi odczuciami?

A właśnie – dlaczego ciągle jeszcze tu był? Dlaczego nie podziękował jej i nie odszedł? Nic go tu przecież nie trzymało. Dlaczego został i wypytywał ją o nie swoje sprawy? Mógł przecież zachować ją na zawsze w swej pamięci jako piękną, tajemniczą kobietę, która żyła samotnie w dolinie, potrafiła

rzucać czar na zwierzęta i uratowała mu życie.

Zostałeś, ponieważ nie mogłeś odejść od pięknej, tajemniczej kobiety, Jondalarze, i dobrze o tym wiesz!

Dlaczego to cię tak dręczy? Dlaczego miałoby mieć dla ciebie znaczenie to, czy... żyła poprzednio pośród płaskogłowych? Ponieważ jej pragnąłeś. A potem uznałeś, że nie była dla ciebie dostatecznie dobra, bo... pozwoliła...

Ty głupcze! Nie słuchałeś jej wcale. Ona mu wcale nie pozwoliła, on ją przymusił! Nie dopełniwszy Rytuału Pierwszej Rozkoszy. A ty ją obarczyłeś winą! Opowiedziała ci o wszystkim, otworzyła się przed tobą, podzieliła się swym bólem, a ty, co uczyniłeś?

Zachowałeś się gorzej niż on, Jondalarze. W końcu ona przynajmniej wiedziała, co tamten do niej czuł. Nienawidził jej, chciał jej dokuczyć. Ale żeby ty! Ufała ci. Powiedziała, co do ciebie czuje. Tak bardzo jej pragnąłeś i mogłeś ją mieć w każdej chwili. Ale bałeś się urazić własną dumę.

Gdybyś poświęcił jej więcej uwagi, zamiast tak bardzo zamartwiać się o siebie, to pewnie byś zauważył, że się nie zachowuje, jak doświadczona kobieta. Ona przecież zachowywała się jak wystraszona dziewczyna. Czyż byłbyś nie dość doświadczony, aby od razu spostrzec różnicę?

Ale ona wcale nie wyglądała na wystraszoną dziewczynę. To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Tak piękna, tak mądra, tak pewna siebie, że się jej lękałeś. Lękałeś się, że cię odtrąci. Ciebie, wielkiego Jondalara! Mężczyznę, którego pragnęły wszystkie kobiety. Możesz być pewny, że ona już cię więcej nie zechce!

Tobie się zdawało, że jest pewna siebie, a tymczasem ona nawet nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody. Uważała, że

jest duża i brzydka. Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że jest brzydka?

Pamiętaj, że ona wychowała się wśród płaskogłowych. Któż by pomyślał, że oni zauważają różnicę w wyglądzie? I któż by pomyślał, że wezmą do siebie obce dziecko? Czy my wzięlibyśmy do siebie jedno z ich dzieci? Ciekaw jestem, ile miała wtedy lat? Nie mogła być zbyt duża – te szramy po pazurach są stare. To musiało być przerażające przeżycie: zagubiona, samotna, naznaczona pazurami lwa jaskiniowego.

A płaskogłowi ją uleczyli! Skąd płaskogłowy może znać się na uzdrawianiu? Ona jednakże nauczyła się tego od nich i jest w tym dobra. Na tyle jest biegła w tej sztuce, że uznał ją za Jedną z Tych Którzy Służą Matce. Powinieneś porzucić obrabianie krzemienia i zostać gawędziarzem! Nie chciałeś poznać prawdy. A teraz, gdy już ją znasz, czy czyni to jakąś różnicę? Czy jesteś mniej żywy przez to, że ona wyuczyła się swych uzdrowicielskich umiejętności od płaskogłowych? Czy jest mniej piękna przez to, że... że urodziła paskudztwo? A dlaczego jej dziecko ma być paskudztwem?

Nadal jej pragniesz, Jondalarze.

Ale już za późno. Ona nigdy ci już nie zaufa, nigdy ci nie uwierzy. Poczuł nowy przypływ wstydu. Zacisnął pięści i uderzył w skóry. Ty durniu! Ty głupi, głupi, durniu! Sam wszystko popsułeś. Dlaczego nie odejdziesz?

Nie możesz. Musisz spojrzeć jej prosto w twarz. Nie masz ubrania, broni, jedzenia, a nie możesz bez tego wszystkiego wyruszyć na wędrowną.

Skąd chcesz wziąć zapasy na drogę? Skąd? To miejsce Ayli będziesz musiał je wziąć od niej. Będziesz musiał poprosić ją przynajmniej o trochę krzemienia. Mając narzędzia, będziesz

mógł zrobić sobie dzidę. Potem będziesz mógł zapolować i zdobyć mięso i skóry na odzienie, przykrycie i na nosidła. Te przygotowania zajmą trochę czasu, potem trzeba liczyć rok na powrotną podróż albo i więcej. Bez Thonolana będę się czuć bardzo samotnie.

Jondalar zagrzebał się głębiej w futra. Dlaczego Thonolan musiał umrzeć? Dlaczego ten lew nie zabił mnie zamiast niego? Z kącików oczu popłynęły mu łzy. Thonolan nie zachowałby się tak głupio. Chciałbym wiedzieć, gdzie jest ten, jar, młodszy bracie. Chciałbym, aby zelandoni mógł ci pomóc w odnalezieniu drogi na drugi świat. Dręczy mnie myśl, że twoje szczątki zostały rzucone padlinożercom na pożarcie.

Usłyszał stukot kopyt na skalnej ścieżce i pomyślał, że Ayla wraca. Ale to był tylko żrebak. Jondalar wstał, wyszedł na taras i spojrzał w dolinę. Ayli nigdzie nie było widać.

– O co chodzi, mały? Zostawili cię? To moja wina, ale one wrócą... chociażby do ciebie. A poza tym Ayla przecież tu mieszka... samotnie. Ciekaw jestem, jak długo tu już jest? Samotnie. Ciekawe, czy ja bym tak potrafił?

Płaczesz teraz nad swoją głupotą, a spójrz, przez co ona przeszła. I nie płacze nad sobą. Nadzwyczajna z niej kobieta. Piękna. Wspaniała. A ty to wszystko straciłeś, durniu! O Doni! Tak bardzo chciałbym to wszystko naprawić.

Jondalar się mylił: Ayla płakała, płakała tak, jak nigdy przedtem. I wcale nie było to objawem słabości. Płacz przynosił jej ulgę. Ponaglała Whinney do biegu, dopóki dolina nie pozostała daleko za nimi, potem się zatrzymała przy zakolu strumienia wpadającego do strugi przepływającej w pobliżu jej jaskini. Teren zakola często zalewały powodzie; panosząc muł, który zapewniał żyzne podłoże dla bujnej roślinności. To było

miejsce jej polowań na cietrzewie i pardwy oraz zwierzęta, które nie mogły się oprzeć pokusie, jaką stanowił ten obszar zieloności, począwszy od świstaka, a na jeleniu olbrzymim skończywszy.

Ayla przerzuciła nogę i ześliznęła się z grzbietu Whinney. Napiała się i obmyła pokrytą śladami łez twarz. Miała wrażenie, że to był koszmary sen. Cały dzień był zawrotną huśtawką uczuć, raz po raz wlatywała coraz wyżej, ale i coraz niżej spadała. Nie mogła tego dłużej znosić.

Ranek zaczął się dobrze. Jondalar się upierał, by pomagać jej w zbieraniu ziarna i zaskoczyło ją, jak szybko się tego nauczył. Była pewna, że nie zajmował się tym poprzednio, ale wystarczyło, aby mu pokazała, by zaczął sobie dobrze radzić. A dla niej oznaczało to coś więcej, niż tylko dodatkową parę rąk do pomocy. Miała towarzystwo. Dopiero jego obecność, bez względu na to, czy rozmawiali z sobą, czy nie, uświadomiła jej, jak bardzo tęskniła za ludzkim towarzystwem.

Potem było drobne nieporozumienie. Nic poważnego. Ona chciała dalej zbierać, a on wolał skończyć, gdy zabrakło im picia. Kiedy jednak po powrocie znad strumienia stwierdziła, że Jondalar ma ochotę pojeździć na koniu, to pomyślała, że to może być sposób, aby go przy sobie zatrzymać. Jondalar lubił żrebaka i jeżeli spodobałaby mu się konna jazda, to może zechciałby zostać, dopóki żreback nie dorośnie. Kiedy zaproponowała mu jazdę, ochoczo na to przystał.

To ich wprowadziło w taki dobry humor. Dlatego zaczęli się śmiać. Nie śmiała się tak od czasu, gdy Maluszek odszedł. Uwielbiała śmiech Jondalara – już od samego słuchania robiło się ciepło na sercu.

Potem mnie dotknął, pomyślała. Nikt z członków klanu tak nie dotykał, w każdym razie nie zachowywał się tak poza

granicznymi kamieniami. Kto wie, co mężczyzna i jego partnerka robili nocą pod skórą. Może dotykali się tak, jak on dotykał. Czy wszyscy Inni dotykają się tak poza obrębem własnego ogniska? Podobało mi się jego dotknięcie. Dlaczego uciekł?

Ayla miała ochotę spalić się ze wstydu, uważając się za najwstrętniejszą kobietę na ziemi, gdy Jondalar sam się zaspokoił. Potem, w jaskini, gdy powiedział, że jej pragnął, że myślał, iż ona go nie chce, omal nie popłakała się ze szczęścia. Jego spojrzenie sprawiało, że czuła rosnące uniesienie i pożądanie. Jego złość na wieść o Broudzie upewniła ją, iż ją lubi. Może następnym razem, gdy będzie gotów...

Ale ona nigdy nie zapomni tego, jak na nią patrzył, niczym na kawałek obrzydliwego, gnijącego mięsa. Nawet wzdrygnął się z obrzydzenia.

Iza i Cerb nie są zwierzętami! Są ludźmi. Ludźmi, którzy się mną zaopiekowali, i którzy mnie kochali. Dlaczego ich nienawidził? Oni pierwsi byli na tej ziemi. Jego rodzaj przyszedł później... mój rodzaj. Czy taki właśnie jest mój rodzaj?

Cieszę się, że zostawiłam Durca z klanem. Mogą myśleć, że jest zdeformowany, Broud może go nienawidzić, ale moje dziecko nie będzie przez nich traktowane jak zwierzę... jak jakieś paskudztwo. Tak właśnie powiedział. Nie musiał tego wyjaśniać.

Znowu popłynęły jej łzy. – Moje dziecko, mój syn... Nie jest zdeformowany – jest zdrowy i silny. Nie jest zwierzęciem, nie jest... paskudztwem.

Jak on mógł tak szybko się zmienić? Patrzył na mnie tymi swoimi błękitnymi oczyma, patrzył... Wtem odskoczył, jakbym go oparzyła albo jakbym była jakimś złym duchem, którego imię znają jedynie Mog-urowie. To było gorsze od klątwy śmierci. Oni jedynie się odwracali i nie zauważali mnie więcej. Po prostu,

byłam martwa i należałam do innego świata. Nie patrzyli na mnie jak na... paskudztwo.

Zachodzące słońce ustępowało miejsca wieczornemu chładowi. Nawet w czasie najbardziej gorącego lata nocą na stepach panował chłód. Ayla odziana jedynie w letnie okrycie poczęła drżeć z zimna. – Gdybym pomyślała o zabraniu namiotu i skóry... Nie, Whinney niepokoiłaby się o żrebaka, musi go nakarmić.

Ayla wstała z brzegu strumienia. Whinney uniosła łeb znad bujnej trawy i przykłusowała do niej, płosząc po drodze parę pardw. Ayla zareagowała na to niemal odruchowo. Wyciągnęła procę i jednocześnie się pochyliła, aby podnieść kamienie. Ptaki zaledwie zdążyły się oderwać od ziemi, gdy jeden po drugim spadły z powrotem. Podniosła je i zaczęła szukać gniazda, wtem się zatrzymała.

Po co szukam jaj? Mam zamiar przyrządzić Jondalarowi ulubioną potrawę Creba? Dlaczego miałabym mu cokolwiek gotować, a szczególnie ulubioną potrawę Creba? – Kiedy jednak wytropiła gniazdo – zagłębienie w twardym gruncie z kupką siedmiu jaj – wzruszyła ramionami i zebrała je ostrożnie.

Położyła jaja w pobliżu strumienia obok ptaków, a potem nazrywała długich trzcin rosnących na skraju wody. Wyplecenie luźnego koszyka zajęło jej tylko chwilę; wykorzystała go jedynie do przewiezienia jaj, a potem wyrzuciła. Następnie związała trzcina nogi pardw, które już zaczynały porastać gęstym zimowym upierzeniem.

Zima. Ayla się wzdrygnęła. Nie chciała myśleć o zimie, zimnej i smutnej. Ale ona nigdy nie opuszczała na dobre jej myśli. Lato było jedynie czasem przygotowania do zimy. Jondalar odejdzie! Wiedziała o tym. Głupotą było myśleć, że chciałby zostać z nią w



dolinie. Dlaczego miałby to uczynić? Czy ona zostałaby, gdyby miała do kogo wrócić? Po jego odejściu będzie jeszcze gorzej... pomimo to, że tak na nią patrzył. – Dlaczego on musiał tu przybyć?

Przestraszyła się swego głosu. Nie była przyzwyczajona, by głośno do siebie mówić.

– Ale potrafię mówić. Tyle Jondalar dokonał. Przynajmniej teraz, gdy spotkam ludzi, to będę mogła z nimi rozmawiać. Wiem, że ludzie mieszkają na zachód stąd. Iza miała rację, musi być wielu ludzi, wielu Innych.

Przewiesiła pardwy przez grzbiet klaczy, a kosz z jajami ustawiła pomiędzy nogami. – Urodziłam się wśród Innych... Znajdź sobie partnera, mówiła Iza. Myślałam, że Jondalara zesłał mi mój totem, ale czy ktoś przysłany przez totem patrzyłby tak na mnie?

– Jak on mógł tak na mnie patrzeć? – krzyknęła, zanosząc się szlochem. – O Lwie Jaskiniowy, ja nie chcę więcej być sama. – Ayla zgarbiła się i znowu załżała się łzami. Nie wskazała Whinney kierunku jazdy, ale to nie miało znaczenia. Klacz знаła drogę. Po dłuższej chwili Ayla się wyprostowała. Nikt mnie tu nie zatrzyma. Powinnam była już przedtem wyruszyć na poszukiwania. Potrafię teraz mówić...

– ... i będę mogła im wytłumaczyć, aby nie polowali na Whinney – ciągnęła dalej głośno, gdy się opanowała. – Przygotuję wszystko i następnej wiosny wyruszę. – Tym razem wiedziała, że nie odłoży tego ponownie.

Jondalar nie odejdzie tak zaraz. Będzie potrzebował ubrania i broni. Może mój Lew Jaskiniowy przysłał go tutaj, aby mnie nauczył mówić. W takim razie muszę się nauczyć, jak najwięcej, nim stąd odejdzie. Będę go obserwowała i zadawała pytania bez

względu na to, jak na mnie patrzy. Broud nienawidził mnie przez te wszystkie lata, które spędziłam razem z klanem. Potrafię to wytrzymać, jeżeli Jondalar... jeżeli on... mnie nienawidzi. Przymknęła oczy, aby powstrzymać łzy.

Sięgnęła po swój amulet, przypominając sobie, co powiedział jej dawno temu Creb: Gdy znajdziesz znak zostawiony ci przez twój totem, to schowaj go do amuletu. Przyniesie ci szczęście. Ayla wszystkie umieściła w swym amulecie. – Lwie Jaskiniowy, byłam już tak długo sama, spraw, aby mój amulet przyniósł mi szczęście.

Słońce się schowało już za ścianę wąwozu, gdy Ayla dojechała nad strugę. Ciemność zawsze szybko zapadała. Jondalar zobaczył, że wraca, i zbiegł na plażę. Ayla przynagliła Whinney do galopu i po wyjechaniu z za skalnego występu omal na niego nie wpadła. Koń się zatrzymał gwałtownie, prawie zrzucając ją z grzbietu. Jondalar wyciągnął pomocną dłoń, ale cofnął ją szybko, gdy dotknął nagiego ciała Ayli, w przekonaniu, że ona musi nim gardzić.

Nienawidzi mnie, pomyślała Ayla. Nie może znieść dotyku mego ciała! Przełknęła łzy i dała znak, aby Whinney jechała dalej. Koń przeciął kamienistą plażę i ruszył ze stukotem kopyt w górę z Aylą na swym grzbiecie. Zsiadła przed wejściem do jaskini i weszła do środka, żałując, że nie ma innego miejsca, w którym mogłaby się schronić. Chciała się ukryć. Postawiła kosz z jajkami przy ognisku, zebrała naręczce skór i zaniósła je tam, gdzie przechowywała swoje zapasy. Rzuciła je na ziemię za stojakiem do suszenia ziół, pomiędzy kosze, maty i misy, a potem sama na nie padła i zagrzebała się pod nimi.

Po chwili Ayla usłyszała kopyta Whinney i źrebaka. Drżała, próbując powstrzymać łzy. Wyraźnie słyszała każdy ruch

mężczyzny. Pragnęła, by sobie poszedł, aby przynajmniej mogła się wyplakać.

Nie słyszała jego bosych stóp, gdy podchodził, ale wiedziała, że tu był, i starała się powstrzymać łzy.

– Ayla? – powiedział. Nie odpowiedziała. – Ayla, przyniosłem ci trochę napoju. – Kobieta zeszywniała. – Ayla, nie musisz się tu chować. Ja się przeprowadzę. Pójdę na drugą stronę ogniska.

Nienawidzi mnie! Nie potrafi przebywać w pobliżu mnie, pomyślała, szlochając. Chciałabym, aby sobie poszedł, chciałabym, aby sobie zaraz poszedł.

– Wiem, że to niewiele pomoże, ale muszę to powiedzieć. Przykro mi, Ayla. Jest mi bardziej przykro, niż potrafię to wyrazić. Nie zasłużyłaś sobie na to, co uczyniłem. Nie musisz mi odpowiadać, ale ja muszę ci to powiedzieć. Zawsze byłaś wobec mnie szczerą – czas, abym teraz ja się przed tobą otworzył.

– Odkąd odeszłaś, myślałem o tym cały czas. Nie wiem, dlaczego uczyniłem to... co uczyniłem, ale chciałbym spróbować ci to wytłumaczyć. Po ataku lwa obudziłem się tutaj. Nie wiedziałem, gdzie jestem, i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać. Byłaś taka tajemnicza. Dlaczego żyłaś tu samotnie? Zacząłem sobie wyobrazać, że jesteś zelandoni, która poddaje się próbie, niezwykłą kobietą, Która Służy Matce. Kiedy nie odpowiedziałaś na moje zachęty dzielenia z tobą rozkoszy, pomyślałem sobie, że wystrzeganie się jej jest częścią próby, której się poddawałaś. Myślałem, że klan jest dziwną grupą zelandoni, z którą mieszkałaś.

Ayla przestała drzeć i zaczęła słuchać, ale się nie poruszyła.

– Myślałem jedynie o sobie. – Jondalar przykucnął. – Nie jestem pewny, czy w to uwierzysz, ale byłem, eee... byłem uważany za... pociągającego mężczyznę. Większość kobiet

pragnęła... zwrócić na siebie moją uwagę. Mogłem swobodnie wybierać. Pomyślałem, że mnie odtrąciłaś. Nie jestem do tego przyzwyczajony i uraziło to moją dumę, choć nie chciałem się do tego przyznać. Pewnie i dlatego wymyśliłem te wszystkie opowieści o tobie, aby znaleźć usprawiedliwienie, dla którego mnie nie chciałaś.

– Gdybym poświęcił ci więcej uwagi, to zauważyłbym, że nie jesteś doświadczoną kobietą, która mnie odtrąca. Zauważyłbym, że bardziej przypominasz dziewczynę przed Rytuałem Pierwszej Rozkosz – niepewną, trochę zalęknioną i pragnącą się podobać. Kto jak kto, ale ja powinienem był to zauważyć – miałem... nieważne. To bez znaczenia.

Ayla odsunęła okrycie i słuchała zachłannie, nie słysząc nawet i walenia własnego serca.

– Widziałem jedynie kobietę. A wierz mi, nie wyglądasz na dziewczynę. Myślałem, że mi dokuczasz mówiąc, że jesteś duża i brzydka. Ale tak nie było, prawda? Ty naprawdę tak o sobie myślałaś. Może dla płas... dla ludzi, którzy cię wychowali, byłaś duża i inna, ale musisz wiedzieć, Aylo, że nie jesteś ani duża, ani brzydka. Jesteś piękna. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Ayla obróciła się i usiadła.

– Piękna? Ja? – zapytała, po czym nie wierząc mu, z powrotem zakopała się w skóry, bojąc się, aby jej znowu nie zranił. Żartujesz sobie ze mnie.

Jondalar wyciągnął rękę, aby ją dotknąć, ale zawahał się i cofnął dłoń.

– Nie mogę cię winić za to, że mi nie wierzysz. Szczególnie po... dzisiejszym dniu. Może powinienem stawić temu czoło i spróbować ci wyjaśnić.

– Trudno sobie wyobrazić, przez co przeszłaś, osierocona i wychowana przez... tak odmiennych ludzi. Odebrano ci dziecko. Kazano ci opuścić jedyne rodzinne miejsce, jakie znałaś. Musiałaś stawić czoło nie znanemu światu i żyć tu w samotności. Takiej próbie nie muszą się poddawać nawet nietykalne kobiety. Niewielu przeżyłoby na twoim miejscu. Jesteś nie tylko piękna, jesteś również silna. Jesteś silna duchem. Być może jednak będziesz musiała być jeszcze silniejsza.

– Musisz wiedzieć, co ludzie czują wobec tych, których nazywasz klanem. Ja myślałem podobnie – ludzie uważają ich za zwierzęta...

– Oni nie są zwierzętami!

– Ale ja tego nie wiedziałem, Ayla. Niektórzy ludzie nienawidzą członków twego klanu. Nie wiem dlaczego. Przecież jeżeli się zastanowić, to zwierzęta – te prawdziwe, na które się poluje – nie wzbudzają w ludziach nienawiści. Może w głębi serc ludzie wiedzą, że płaskogłowi, jak ich nazywają, są również ludźmi. Ale oni tak bardzo się od nas różnią. To budzi lęk, a może poczucie zagrożenia. Niektórzy z mężczyzn również niewolili kobiety płaskogłowych nie mogąc powiedzieć, że dzielili się darem rozkoszy. To bardzo nieodpowiednie określenia. Może lepiej pasowałoby tu twoje “zadowolić swoje potrzeby”. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego to czynią, skoro mówią o nich jak o zwierzętach. Nie wiem, czy są zwierzętami, skoro duchy potrafią się mieszać i rodzą się dzieci...

– Jesteś pewny, że to duchy? – zapytała. Wydawał się taki o tym przekonany, że zaczęła się zastanawiać, czy nie miał racji. – Bez względu na to, jak jest naprawdę, to nie tobie jednej przytrafiło się mieć dziecko, które jest mieszańcem człowieka i płaskogłowego, choć ludzie o tym nie mówią...

– Oni są klanem i są ludźmi – przerwała mu.

– Ayla, często będziesz słyszała to określenie. Muszę ci to uczciwie powiedzieć. Musisz również wiedzieć, że zniewolenie kobiety klanu przez mężczyznę to jedna sprawa – nie pochwalana, ale wybaczana. Natomiast “dzielenie rozkoszy” z mężczyzną płaskogłowych jest... w oczach większości ludzi czynem niewybaczalnym.

– Paskudztwem?

Jondalar pobladł, ale zmusił się do odpowiedzi.

– Tak. Paskudztwem.

– Nie jestem paskudztwem! – wybuchnęła. – I Durc też nie jest paskudztwem! Nie podobało mi się to, co Broud ze mną robił, ale to nie było paskudztwo. Gdyby na jego miejscu znalazł się inny mężczyzna, który chciałby zaspokoić ze mną swoje potrzeby, a nie robiłby tego z nienawiści, to przyjęłabym go jak każda inna kobieta klanu. To nie wstyd być kobietą klanu. Zostałabym z nimi nawet jako druga kobieta Brouda, gdybym tylko mogła. Choćby po to, aby być bliżej mojego syna. I nie obchodzi mnie, ile ludzi by tego nie pochwalalo!

Podziwiał ją, ale to nie będzie dla niej łatwe.

– Ayla, nie powiedziałem, że powinnaś się wstydić. Ja ci tylko mówię, czego powinnaś się spodziewać. Być może, lepiej by było, abyś mówiła, że pochodzisz z jakiegoś innego ludu.

– Jondalar, dlaczego chcesz, abym mówiła słowa, które nie są prawdziwe? Ja nie potrafię tego robić. W klanie nikt nie mówił nieprawdy – wiadomo by o tym. Przecież to można zobaczyć. Nawet jeżeli ktoś uchylał się od wspomnienia o czymś, to wszyscy to wiedzieli. Czasami to jest dozwolone dla... grzeczności, ale wiadomo o tym. Ja widzę, kiedy mówisz słowa, które nie są prawdą. Twoja twarz mi o tym mówi, układ ramion i

rąk.

Jondalar się zaczerwienił. Czy jego kłamstwa rzeczywiście były takie widoczne? Cieszył się, że postanowił być z nią absolutnie szczery. Być może, mógłby się czegoś od niej nauczyć. Jej uczciwość i szczerowość były częścią jej wewnętrznej siły.

– Ayla, nie musisz się uczyć kłamstwa, ale pomyślałem sobie, że powinienem ci o tym wszystkim powiedzieć, nim odejdę. Ayla poczuła duszenie w gardle. On zamierza odejść.

– Sądziłam, że będziesz chciał odejść – powiedziała. Ale nie masz przecież potrzebnych do wędrówki rzeczy. Czego ci potrzeba?

– Jeżeli dałabyś mi trochę krzemienia, to mógłbym zrobić narzędzia i dzidy. A gdybyś powiedziała mi, gdzie jest moje ubranie, to bym je sobie naprawił. Torba powinna być w dobrym stanie, jeżeli zabrałaś ją z jaru.

– Co to jest torba?

– To coś podobnego do nosideł, ale nosi się ją na jednym ramieniu. W języku Zelandonii nie ma odpowiednika na jej określenie; to słowo z języka Mamutoi. Ubranie, które na sobie miałem, też pochodzi od Mamutoi...

Ayla pokręciła głową.

– Co znaczy “słowo z języka Mamutoi”?

– Mamutoi jest innym językiem.

– Innym językiem? A jakiego języka ty mnie nauczyłeś?

Jondalar poczuł, że robi mu się słabo.

– Nauczyłem cię mojego języka – języka ludu Zelandonii. Nie pomyślałem...

– Zelandonii – oni żyją na zachodzie? – Ayla czuła ogarniający ją niepokój.

– No tak, ale daleko na zachodzie. Mamutoi żyją w pobliżu. –

Nauczyłeś mnie języka, którym mówią ludzie żyjący daleko na zachodzie, a nie nauczyłeś mnie tego, jakim mówią ludzie mieszkający w pobliżu. Dlaczego?

– Ja... nie pomyślałem o tym. Po prostu nauczyłem cię swojego języka – powiedział i poczuł się nagle okropnie. Niczego nie robił dobrze.

– I ty jesteś jedyną osobą, która nim mówi?

Jondalar skinął głową. Ayla poczuła, jak wszystko jej się w żołądku przewraca. Ona myślała, że został zesłany po to, aby nauczyć ją mówić, ale ona może mówić jedynie do niego.

– Jondalar, dlaczego nie nauczyłeś mnie języka, który wszyscy znają?

– Nie ma języka, który znaliby wszyscy.

– Mam na myśli język, którego używasz, zwracając się do duchów lub do twojej Wielkiej Matki.

– Nie mamy specjalnego języka do porozumiewania się z nią.

– A jak rozmawiasz z ludźmi, którzy nie znają twojego języka?

– Uczymy się nawzajem swoich języków. Znam trzy języki i trochę słów z kilku innych.

Ayla znowu zaczęła drżeć. Myślała, że będzie mogła opuścić dolinę i rozmawiać ze wszystkimi napotkanymi ludźmi. Co teraz zrobi? Wstała, Jondalar również wstał.

– Chcę poznać wszystkie twoje słowa. Muszę umieć mówić. Musisz mnie nauczyć. Musisz.

– Ayla, nie mogę nauczyć cię teraz dwóch języków więcej. To zajęłoby sporo czasu. Ja sam ich nawet nie znam zbyt dobrze – język to nie tylko słowa...

– Możemy zacząć od słów. Będziemy musieli zacząć od początku. Jak brzmi słowo “ogień” w języku Mamutoi?

Jondalar powiedział jej i zaczął znowu protestować, ale ona



wyciągała z niego po kolei znaczenie wszystkich słów, których nauczyła się w języku Zelandonii. Kiedy przebrnęła już przez długą listę słów, Jondalar ponownie zaprotestował.

– Na co zda się wymawianie tak wielu słów. Nie możesz przecież ich tak po prostu zapamiętać.

– Wiem, że moja pamięć mogłaby być lepsza. Powiedz mi, co źle powtórzyłam.

Cofnęła się do słowa “ogień” i powtórzyła wszystkie słowa w obu językach. Jondalar patrzył na nią z trwożliwym podziwem. Przypomniawszy sobie, że w czasie nauki języka Zelandonii nie miała trudności ze słowami, kłopoty sprawiało jej układanie słów i ogólne zrozumienie tego, czym jest język jako narzędzie mowy.

– Jak ty to robisz?

– Czy coś pominęłam?

– Nie, ani jednego słowa!

Ayla uśmiechnęła się z ulgą.

– W dzieciństwie miałam o wiele gorszą pamięć. Musiałam wszystko powtarzać wiele razy. Nie wiem, skąd Iza i Creb mieli do mnie tyle cierpliwości. Niektórzy ludzie uważali, że nie byłam zbyt bystra. Teraz jest ze mną lepiej, ale to wymagało wielu ćwiczeń, a pomimo to i tak wszyscy w klanie pamiętają lepiej ode mnie.

– Każdy z członków klanu potrafi zapamiętać lepiej niż ty?

– Oni niczego nie zapominają, ale oni już się rodzą prawie z całą potrzebną im wiedzą, więc nie muszą się wiele uczyć. Muszą jedynie zapamiętywać. Oni mają... wspomnienia – nie wiem, jak inaczej można by to nazwać. Kiedy dziecko dorasta, trzeba mu jedynie przypomnieć – powiedzieć raz. Dorosłym nie trzeba więcej przypominać, oni wiedzą, jak zapamiętywać. Ja nie miałam wspomnień klanu. To dlatego Iza musiała mi wszystko

powtarzać, dopóki nie zapamiętałam tego bez pomyłki.

Jondalar był oszołomiony jej zdolnościami do zapamiętywania, ale miał trudności z uchwyceniem znaczenia, czym były wspomnienia klanu.

– Niektórzy uważali, że nie mogę być uzdrowicielką bez wspomnień Izy, ale ona powiedziała, że będę dobrą uzdrowicielką pomimo to, że nie mam najlepszej pamięci. Powiedziała, że mam inne dary, których ona nie potrafi do końca pojąć, a które pozwalają mi poznać przyczynę choroby i znaleźć najlepszy sposób na jej uleczenie. Nauczyła mnie, jak sprawdzać nowe lekarstwa, abym mogła ich używać, nie mając wspomnień o roślinach. Ludzie klanu posługują się również pewnym starodawnym językiem. Nie ma w nim żadnych dźwięków, jedynie gesty. Każdy zna stary język, używają go w czasie uroczystości i gdy zwracają się do duchów, a także wówczas, gdy nie rozumieją normalnego języka innej osoby. Ja również się go nauczyłam. Ponieważ musiałam się nauczyć wszystkiego. Nauczyłam się być uważna i skupiona tak, abym mogła zapamiętać wszystko już po jednym “przypomnieniu”, aby ludzie nie niecierpliwili się z mojego powodu.

– Czy ja cię dobrze zrozumiałem? Ci... ludzie klanu wszyscy znają swój język i pewien rodzaj starodawnego języka, który jest powszechnie rozumiany? Każdy może mówić... porozumiewać się z każdym?

– Na Zgromadzeniu Klanu każdy może mówić z każdym.

– Czy my mówimy o tych samych ludziach? Płaskogłowych?

– Jeżeli tak nazywasz klan. Mówiłam ci, jak wyglądają odparła Ayla i spuściła wzrok. – To wtedy powiedziałeś, że jestem paskudztwem.

Pamiętała lodowate iskierki, które zmroziły jego ciepłe

spojrzenie, to, jak się cofnął z pogardą. Wszystko stało się w momencie, gdy opowiadała mu o klanie, gdy myślała, że się już rozumieją. Zdawało się, że trudność sprawiało mu uznawanie tego, co mówiła. Nagle ogarnął ją niepokój; zbyt przyjemnie im się rozmawiało. Odeszła pospiesznie do ogniska. Zobaczyła pardwy, które Jondalar położył obok jajek, i aby się czymś zająć, zaczęła je oskubywać.

Jondalar zauważył, jak jej podejrzliwość rosła. Zranił ją tak bardzo, że nigdy już nie odzyska jej zaufania, choć przez chwilę miał taką nadzieję. Czuł pogardę jedynie do samego siebie. Podniósł jej futra i przeniósł z powrotem na jej posłanie, a potem zabrał te, na których sam spał, na drugą stronę ogniska.

Ayla odłożyła ptaki – nie miała ochoty na skubanie piór i rzuciła się na swoje posłanie. Nie chciała, by widział wodę, która napełniła jej oczy.

Jondalar usiłował ułożyć wygodniej skóry. Wspomnienia, powiedziała. Płaskogłowi mają jakiś szczególny rodzaj wspomnień. I język gestów, który wszyscy z nich znają? Czy to możliwe? Trudno było w to uwierzyć, z wyjątkiem jednego: Ayla nie mówiła nieprawdy.

Ayla w ciągu minionych lat przyzwyczała się do ciszy i samotności. Zwyczajna obecność drugiej osoby wymagała od niej pewnego dopasowania się i przyzwyczajenia, ale emocjonalne przeżycia dzisiejszego dnia wyczerpały ją zupełnie. Nie chciała ani czuć, ani myśleć, ani reagować na mężczyznę, z którym dzieliła jaskinię. Pragnęła jedynie odpocząć.

Jednakże sen nie przychodził. Dzięki umiejętnościom mówienia poczuła się już tak pewnie. Poświęciła się nauce bez reszty i teraz czuła się oszukana. Dlaczego nauczył ją języka, w którym się wychował? Przecież odchodził. Nigdy go już nie

zobaczy. Będzie musiała wiosną opuścić dolinę i znaleźć ludzi, którzy mieszkają bliżej i być może jakiegoś innego mężczyznę.

Ale ona nie chciała innego mężczyzny. Pragnęła Jondalara, pragnęła, aby na nią patrzył i ją dotykał. Pamięta, co czuła na początku. Był pierwszym mężczyzną z podobnych jej ludzi, jakiego zobaczyła, i w pewnym ogólnym sensie uosabiał ich wszystkich. Nie pamięta już, kiedy przestał być jednym z nich, a stał się Jondalarem, jedynym, niepowtarzalnym Jondalarem. Wiedziała jedynie, że brakuje jej jego oddechu i ciepła jego ciała leżącego obok niej. Pustka na miejscu, które zajmował, była równie bolesna, jak pustka, którą czuła w sercu.

Jondalarowi również nie było łatwo zasnąć. Nie mógł ułożyć się wygodnie. Czuł zimno w boku, którym zwykle z nią sąsiadował. Nie dawało mu też spokoju poczucie winy. Nie pamiętał już, kiedy miał gorszy dzień. Nie nauczył jej nawet dobrego języka. Czy w ogóle miałyby okazję kiedykolwiek posługiwać się językiem Zelandonii? Jego lud żył rok wędrówki od tej doliny, i to przy zaplanowaniu, że nie będzie się robiło po drodze żadnych postojów.

Pomyślał o podróży, którą odbył ze swoim bratem. To wszystko wydało mu się takie pozbawione sensu. Ile czasu upłynęło, odkąd wyruszyli? Trzy lata? Czyli do jego powrotu upłyną od tamtego czasu przynajmniej cztery lata. Cztery lata wyjęte z jego życia. Bez żadnej przyczyny. Brat nie żyje. Jetamio nie żyje i dziecko o duszy Thonolana. Co pozostało?

Jondalar od dzieciństwa starał się utrzymywać na wodzy swoje emocje, ale i on ścierał teraz wilgoć ze skór, na których leżał. Płakał nie tylko po bracie, płakał również nad samym sobą: z powodu straty i smutku i z powodu utraty tego, co mogłoby być cudowne.



## . 25 .



Jondalar otworzył oczy. Przyśnił mu się dom, a sen był tak wyrazisty, że widok surowych ścian jaskini zdał mu się obcy. Miał wrażenie, że to obrazy z jego snu były rzeczywistością, a jaskinia Ayli częścią jego sennego marzenia. Powoli opuszczały go resztki snu. Zdawało mu się, że ściany zostały przestawione. W końcu rozbudził się ostatecznie i stwierdził, że patrzył na jaskinię z innej perspektywy, z miejsca po przeciwnej stronie paleniska.

Ayli nie było. Obok ogniska leżały dwie oskubane pardwy i przykryty koszyk, w którym przechowywała wyrwane pióra; musiała obudzić się już jakiś czas temu. Miseczka, której zwykle używał, ta, na której słoje drewna układały się w obraz małego zwierzątka, stała przygotowana. Obok ciasno spleciony koszyk, w którym zaparzała poranny napój i świeżo odarta z kory brzozowa gałązka. Wiedziała, że lubił rano żuć jej koniec, aż tworzyła się włóknista miotelka, którą potem czyścił zęby z nagromadzonego przez noc nalotu. Przyzwyczaiała się, by przygotowywać mu ją każdego ranka.

Jondalar wstał i przeciągnął się. Wstał z twardego posłania cały zeszywniały. Zdarzało mu się poprzednio sypiać na ziemi, ale słomiana podściółka czyniła posłanie znacznie

wygodniejszym, a przy tym tak słodko pachniała czystością. Ayla regularnie zmieniała siano, aby nie gromadziły się w nim nieprzyjemne zapachy.

Napój w naczyniu był gorący – więc Ayla musiała odejść niezbyt dawno temu. Nalał sobie trochę i powąchał. Pachniał miętą. Każdego ranka zabawiał się odgadywaniem, z jakich ziół był zaparzony tego dnia napój. Mięta była jej ulubionym ziołem i zwykle stanowiła jeden ze składników. Pociągnął łyk i pomyślał, że rozpoznaje smak liści maliny i być może – lucerny.

Jondalar stał na skraju skalnego występu zwróconego w kierunku doliny. Żuł gałązkę i przyglądał się, jak jego mocz spływa łukiem na ścianę występu. Nadal nie otrząsnął się jeszcze zupełnie ze snu. Jego ruchami kierowało przyzwyczajenie. Kiedy skończył, wyszorował zżutym końcem patyka zęby a potem wypłukał usta napojem. Miał zwyczaj robić tak każdego ranka. Ta czynność zawsze go odświeżała i zwykle pozwalała mu pomyśleć o planach na dzień.

Wraz z ostatnim łykiem napoju poczuł się rześki, ale opuściło go uczucie zadowolenia z siebie. To nie był dzień, jak każdy inny. Sam się o to postarał swoim zachowaniem poprzedniego dnia. Miał właśnie wyrzucić gałązkę, gdy nagle jej widok uświadomił mu znaczenie obecności tego kawałka drewna w jego palcach.

Bardzo łatwo było przywyknąć do tego, że Ayla się nim opiekowała; robiła to z takim subtelnym wdziękiem. Nigdy nie musiał o nic prosić, ona odgadywała jego życzenia. Ta gałązka była tego dobrym przykładem. Ayla wstała przed nim, zeszła na dół po gałązkę, odarła ją z kory i położyła tu dla niego. Kiedy zaczęła to robić? Przypomniał sobie, jak pewnego ranka pierwszy raz o własnych siłach zszedł na dół i przyniósł sobie patyk. Następnego ranka, widząc podobny obok swojej miseczki,

poczuł ogromną wdzięczność do Ayli. Chodzenie po stromej ścieżce sprawiało mu wtedy jeszcze trudność.

I gorący napój. Bez względu na to, kiedy się obudził, czekał na niego gorący napój. Skąd ona wiedziała, kiedy zacząć go parzyć? Gdy pierwszy raz przyniosła mu rano miseczkę napoju szczerze jej podziękował. Kiedy ostatni raz dziękował jej za to? Zawsze zachowywała się wobec niego z troskliwą skromnością. Nigdy nie czekała na jego wdzięczność. Marthona jest podobna, pomyślał, spieszy z pomocą, nie szczędząc swych sił i czasu, i czyni to w tak dyskretny sposób, że nikt nie czuje się z tego powodu zobowiązany. Zawsze gdy ofiarował swą pomoc, Ayla zdawała się zaskoczona i była tak bardzo za nią wdzięczna – tak jakby rzeczywiście nie oczekiwała niczego w zamian za wszystko, co dla niego zrobiła.

– A ja odpłaciłem się jej gorzej niż niczym – powiedział głośno.  
– A nawet po wczorajszym dniu... – Wyciągnął gałązkę do góry, obrócił w palcach i wyrzucił.

Zauważył na łące Whinney i źrebaka. Konie w doskonałym nastroju galopowały po dużym okręgu i na ich widok Jondalar poczuł dreszcz podniecenia.

– Patrzcie tylko na niego! Ten źrebak naprawdę potrafi biegać! Myślę, że na krótkim dystansie mógłby prześcignąć swoją klacz! – Na krótkim dystansie młodym ogierom często to się udaje, ale nie w czasie długiego biegu – powiedziała Ayla, – pojawiając się u wylotu ścieżki. Jondalar odwrócił się gwałtownie. Oczy błyszczały mu i uśmiechał się, pełen był dumy ze źrebaka. Jego radosnemu podnieceniu trudno było się oprzeć; uśmiechnęła się więc pomimo swych obaw. Miała nadzieję, że mężczyzna polubi i przywiąże się do źrebaka – ale teraz nie miało to już znaczenia.

– Zastanawiałem się, gdzie jesteś – powiedział. Jej obecność



peszyła go i przestał się uśmiechać.

– Rozpaliłam wcześniej ogień w dole do pieczenia, chcę upiec pardwy. Byłam zobaczyć, czy już jest gotowy. – Nie wygląda na zbyt zadowolonego moim widokiem, pomyślała, odwracając się by wejść do jaskini. Z jej twarzy również zniknął uśmiech.

– Ayla – zawołał, spiesząc za nią, ale kiedy się odwróciła, nie wiedział, co powiedzieć. – Ja... mhhh... ja zastanawiałem się... uh... chciałbym zrobić sobie kilka narzędzi. To znaczy, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Nie chciałbym zużywać twego krzemienia.

– Nie mam nic przeciwko temu. Każdego roku powódź zabiera i przynosi nowe kamienie – powiedziała.

– Ten krzemień musi być wypłukiwany gdzieś w górze strumienia z pokładów kredy. Gdybym wiedział, że to niedaleko, to poszedłbym tam przynieść trochę krzemienia. Jest o wiele lepszy, gdy go samemu wydobyć. Dalanar wydobywa swój z pokładu w pobliżu jaskini i każdy zna doskonałą jakość krzemienia Lazadonii.

W jego oczach znowu pojawiło się podniecenie, jak zawsze, gdy mówił o swoim rzemiośle. Droog był podobny, pomyślała Ayla. Robienie narzędzi było jego ulubionym zajęciem, tak jak wszystko, co się z tym wiązało. Uśmiechnęła się na wspomnienie chwili, gdy Droog znalazł młodszego syna Agy, który urodził się po tym, kiedy zostali partnerami, uderzającego kamieniami o siebie. Droog był tak dumny, że nawet dał mu kamienny młotek. – Lubił uczyć swej sztuki; nawet mnie pokazał jak się to robi, choć byłam dziewczynką.

Jondalar zauważył jej zamyślenie i cień uśmiechu na twarzy.

– O czym myślisz? – zapytał.

– O Droogu. On robił narzędzia. Pozwalał mi patrzeć, jeżeli

zachowywałam się bardzo cicho, i nie rozpraszałam jego uwagi.

– Mnie też możesz się przyglądać, jeśli chcesz – powiedział Jondalar. – Prawdę powiedziawszy, miałem nadzieję, że pokażesz mi, jak ty robisz swoje narzędzia.

– Nie jestem w tym bardzo biegła. Potrafię zrobić potrzebne mi narzędzia, ale te zrobione przez Drooga były o wiele lepsze.

– Twoje narzędzia doskonale spełniają swoje zadanie. Chciałbym poznać sposób, w jaki je wykonałaś.

Ayla skinęła głową i weszła do jaskini. Jondalar czekał, a gdy od razu nie wyszła, zaczął się zastanawiać, czy miała na myśli teraz czy potem. Ruszył jej śladem dokładnie w chwili, gdy ona wychodziła. Odskoczył tak szybko, że niemal się potknął. Nie chciał jej urazić nieopatrznym dotknięciem.

Ayla wzięła głęboki oddech, wyprostowała plecy i uniosła brodę. Być może, nie mógł znieść jej bliskości, ale ona nie da po sobie poznać, jaki to jej sprawia ból. On i tak wkrótce odejdzie. Ruszyła w dół, niosąc obie pardwy, koszyk z jajkami i duże zawiniątko ze skóry obwiązane sznurkiem.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział, spiesząc za nią. Ayla zatrzymała się na moment, podając mu kosz jajek.

– Najpierw powinnam zająć się pardwami – powiedziała, kładąc zawiniątko na brzegu. Powiedziała to w formie oświadczenia, ale Jondalar miał wrażenie, że oczekuje od niego zgody, a przynajmniej potwierdzenia. Nie mylił się zbyt. Pomimo lat spędzonych w niezależności prawa klanu nadal rządziły w dużej mierze jej zachowaniem. Nie była przyzwyczajona zajmować się czymś innym, gdy mężczyzna polecił lub zażądał wykonanie czegoś innego.

– Oczywiście. Nim zacznę obrabiać krzemień, muszę przynieść swe narzędzia.

Ayla zniosła tłuste ptaki do dołu, który wcześniej wykopała, i obłożyła kamieniami. Ogień na dnie dołu już się wypalił, ale kamienie syczały, gdy pokropiła je wodą. Przeszukała całą dolinę, aby znaleźć odpowiednie przyprawy. Przyniosła podbiał o lekko słonawym smaku; pokrzywę, białą komosę i zajęczy szczawik na zieleninę; dziką cebulę, czosnek niedźwiedzi, bazylię i szalwię na przyprawę. Dym również będzie miał swój udział w nadaniu pieczonemu mięsu odpowiedniego smaku, podobnie jak i słonawy w smaku popiół drzewny.

Ayla nadziała jednego ptaka czterema, a drugiego trzema jajkami w owiniętymi zielonymi roślinami. Zwykle owijała jeszcze pardwy liśćmi z winogron, ale w dolinie nie rosły winogrona. Przypomniała sobie jednak, że czasami rybę gotowano owiniętą świeżym sianem, i uznała, że z ptakami też może tak postąpić. Kiedy ptaki spoczęły na dnie dołu, nałożyła na nie jeszcze więcej trawy, a potem przykryła kamieniami i przysypała wszystko ziemią.

Jondalar rozłożył przed sobą w rzędzie róg, kości i narzędzia do obrabiania krzemienia, z których pewne były Ayli znane. Inne jednak były jej całkowicie obce. Rozwinęła swój tobołek i rozłożyła narzędzia w zasięgu ręki, a potem usiadła i kolana przykryła skórzaną płachtą. Zapewniała jej dobrą osłonę; krzemień potrafił rozpadać się na bardzo ostre kawałki. Spojrzała na Jondalara. Mężczyzna z dużym zainteresowaniem przyglądał się wyciągniętym przez nią kawałkom kości i kamieniom.

Przysunął bliżej niej kilka krzemiennych buł. Ayla zwróciła uwagę na dwie, leżące w zasięgu ręki – i pomyślała o Droogu. Dobry wytwórca narzędzi zawsze rozpoczynał pracę od wybrania odpowiednich kamieni, przypomniała sobie. Jej

potrzebny był kamień o drobnoziarnistej strukturze. Obejrzała leżące kamienie i wybrała najmniejszy. Jondalar kiwnął głową z bezwiedną aprobatą.

Ayli przyszły na myśl małe dzieci, które przejawiały skłonności do wyrabiania narzędzi, zanim jeszcze nauczyły się dobrze chodzić. – Czy ty od początku wiedziałeś, że będziesz obrabiał kamień? – zapytała.

– Przez pewien czas myślałem, że zostanę rzeźbiarzem, a nawet zacznę służyć Matce lub będę pracował z Tymi, Którzy Jej Służą. – Przez twarz przebiegł mu wyraz bólu i tęsknoty. – Potem odesłano mnie do Dalanara, abym nauczył się obrabiania kamieni. To był dobry wybór – lubię to zajęcie i mam pewną wprawę. Nigdy nie byłby ze mnie wielki rzeźbiarz.

– Kto to jest “rzeźbiarz”?

– Otóż to! Tego właśnie brakuje! – Ayla podskoczyła zdziwiona jego nagłym wybuchem. – Nie ma rzeźbień, malunków, paciorków, w ogóle żadnych ozdób. Nawet kolorów.

– Nie rozumiem...

– Przepraszam. Skąd miałabyś wiedzieć, o czym mówię? Rzeźbiarz to ktoś, kto robi zwierzęta z kamienia.

Ayla zmarszczyła brwi.

– Jak ktoś może zrobić zwierzę z kamienia? Zwierzę to mięso i krew; żyje i oddycha.

– Nie mam na myśli prawdziwego zwierzęcia. Mówię o wyobrażeniu, wizerunku. Rzeźbiarz wykonuje podobiznę zwierzęcia z kamienia – sprawia, że kamień zaczyna wyglądać jak zwierzę. Niektórzy rzeźbiarze wykonują również wizerunki Wiekiej Matki Ziemi, jeżeli natchnie ich ona swoją wizją.

– Podobiznę? Z kamienia?

– A także z innych materiałów. Ciosów mamuta, kości, drewna

i rogu. Słyszałem, że niektórzy ludzie robią wizerunki z błota. Widziałem nawet całkiem dobre podobizny wykonane ze śniegu.

Ayla kręciła głową, starając się zrozumieć, o co mu chodzi, dopóki nie wspomniał o śniegu. Wtedy przypomniała sobie pewien zimowy dzień i stertę śniegu, którą ułożyła pod ścianą w pobliżu wejścia do jaskini. Czyż przez pewien czas nie wyobrażała sobie, że sterta śniegu jest podobna do Bruna?

– Podobizna ze śniegu? Tak – kiwnęła głową – chyba rozumiem.

Jondalar nie był pewny, czy rozumiała, ale nie potrafił wyjaśnić jej, w czym rzecz, nie mając żadnych rzeźb do pokazania. – Jakże szare musiało być życie, które spędziła wśród płaskogłowych, pomyślał. Nawet jej ubiór był jedynie użyteczny. Czy ich życie ograniczało się tylko do polowania, jedzenia i spania? Ci płaskogłowi nie pojmowali nawet, czym były dary Matki. Byli pozbawieni poczucia piękna, tajemniczości i wyobraźni. Zastanawiam się, czy ona potrafi zrozumieć, czego brakowało jej życiu.

Ayla podniosła małą bryłę krzemienia i obejrzała go uważnie, próbując zdecydować, z którego miejsca zacząć. Nie zrobi toporka – nawet dla Drooga było to raczej prymitywne, chociaż pożyteczne narzędzie. Przypuszczała, że Jondalarowi wcale nie chodziło o zobaczenie samego sposobu, w jaki obrabiała kamień. Sięgnęła po przedmiot, którego brakowało w zestawie mężczyzny: kość stopy mamuta – sprężystą kość, która służyła jej za kowadło. Obracała ją, dopóki nie ułożyła wygodnie między nogami.

Następnie podniosła tłuk. W zasadzie jej kamienny tłuk był taki sam, jak jego, ale mniejszy, aby lepiej pasował do dłoni. Jedną dłonią trzymała mocno bryłę na kowadle, a drugą

uderzyła silnie tłukiem. Po wpływie uderzenia odłupał się kawałek zewnętrznej okrywy, odsłaniając ciemnoszary kamień. Odłupany kawałek miał w miejscu uderzenia tłuka wyraźne wybrzuszenie, które się zwężało i na przeciwległym końcu dawało cieńszy przekrój. W tej formie można go było użyć jako narzędzia tnącego. Był podobny do pradawnych noży, które były po prostu spiczasto zakończonymi płatkami krzemienia, ale Ayla chciała wykonać narzędzie, które wymagało o wiele bardziej rozwiniętej techniki.

Ayla przyjrzała się głębokiej rysie zostawionej na rdzeniu kamienia, ślad po odłupanym skrawku. Kolor był właściwy, ziarno odpowiednio drobne, nie było żadnych wzrostków. Z tego kamienia można było zrobić dobre narzędzie. Odłupała następny kawałek kredowej okrywy.

Po usunięciu okrywy Ayla przystąpiła do nadawania kamieniowi odpowiedniego kształtu. W końcu krzemienisty rdzeń przybrał kształt nieco spłaszczonego jaja. Wówczas Ayla zastąpiła tłuk kawałkiem kości. Poczęła odłupywać płatki, ściosując je dokoła krawędzi ku środkowi. Bardziej miękki i elastyczny młotek kościany sprawiał, że odłupywane skrawki krzemienia były dłuższe i cieńsze o lekko wybrzuszonym końcu. Gdy skończyła, kamień w kształcie jaja miał płaski, owalny czubek.

Wtedy Ayla przerwała pracę i objęła dłońmi wiszący na szyi amulet. Zamknęła oczy i zwróciła się w myślach do ducha Lwa Jaskiniowego. Droog zawsze, nim przystąpił do następnej czynności, odwoływał się po pomoc do swojego totemu. Łut szczęścia w następnych fazach był równie ważny, jak umiejętności. Dodatkowo niepokoiła ją jeszcze obecność Jondalara śledzącego uważnie jej ruchy. Chciała dobrze się

spisać, przeczuwając, że sam sposób robienia narzędzi był ważniejszy od rezultatu jej pracy. Jeżeli zniszczy kamień, to tym samym podda w wątpliwość umiejętności Drooga i całego klanu i na nic by się wtedy zdały tłumaczenia małą wprawą.

Jondalar zauważył już poprzednio jej amulet, ale widząc, jak z przymkniętymi oczyma trzyma go w dłoniach, zaczął się zastanawiać, co też on może takiego szczególnego zawierać. Miał wrażenie, że kobieta obchodzi się z nim z wielkim szacunkiem, prawie z takim, z jakim on obchodził się z doni. Ale doni była starannie wyrzeźbioną figurką o obfitych kobiecych kształtach, symbolem Wielkiej Matki Ziemi i cudownej tajemnicy stworzenia. Z całą pewnością niezdarny, skórzany woreczek nie mógł mieć takiego samego znaczenia.

Ayla ponownie podniosła kościany młotek. Zamierzała zaciosać lico wzdłużne, czyli usunąć z jednego końca owalnego, płaskiego wierzchołka niewielki wiór o powierzchni prostopadłej do płaska, który chciała usunąć. Lico wzdłużne potrzebne było po to, by płatek był odłupany gładko i miał ostre krawędzie.

Kobieta uchwyciła pewną dłonią krzemień i dokładnie wymierzyła uderzenie. Musiała odpowiednio dobrać zarówno jego siłę, jak i kąt: zbyt słabe uderzenie sprawi, że wiór odłupie się pod złym kątem, zbyt silne zaś mogłoby rozbić starannie obrobiony brzeg. Nabrała powietrza i wstrzymała oddech, potem opuściła kościany młotek. Pierwsze uderzenie zawsze było najważniejsze. Udane było dobrą wróżbą. Kiedy już mały wiór odpadł, Ayla odetchnęła.

Następnie pochyliła nieco kamień, przytrzymała go mocno i uderzyła ponownie, ale już z większą siłą. Kościany młotek wylądował na rysie i od obrobionego wstępnie krzemienia odpadł doskonały płatek. Miał długi, owalny kształt. Od

wewnątrz miał gładką, poszerzoną powierzchnię, był nieco grubszy w miejscu, gdzie nastąpiło uderzenie, i zwężał się ku drugiemu końcowi.

Jondalar wziął go do ręki i przyjrzał się mu uważnie.

– To trudna technika. Potrzeba zarówno siły, jak i precyzji. Spójrz na ten brzeg! To nie jest niezdarne narzędzie.

Ayla westchnęła z głęboką ulgą. Poczowała radość z wypełnionego zadania, a także z tego, że obroniła dobre imię swego klanu. W istocie reprezentowała ich lepiej, ponieważ nie urodziła się wśród nich. Ten mężczyzna sam tak biegły w swej sztuce, gdyby się przyglądał pracy członka klanu, byłby zbyt pochłonięty samą jego obecnością, by pomimo starań obiektywnie ocenić jego poczynania.

Ayla przyglądała się, jak obracał w dłoni kamienny płatek, i doznała nagle osobliwego uczucia. Poczowała, że ogarnia ją niesamowity chłód, a następnej chwili miała wrażenie, że patrzy na siebie i Jondalara z pewnej odległości, zupełnie jakby nagle znalazła się poza własnym ciałem.

W pamięci odżyło wspomnienie podobnego doświadczenia, które przeżyła wcześniej. Podążała za światłem kamiennych lampek w głąb jaskini, i chwytając się dla równowagi wilgotnych kamieni, zmierzała ku małemu, jasnemu miejscu w sercu góry, osłoniętemu przez kolumny stalaktytów.

Dziesięciu Mog-urów siedziało kręgiem wokół ogniska. Wielki Mog-ur Creb, którego wrodzone umiejętności podsycił jeszcze napój – Iza nauczyła ją sporządzać go – odkrył jej obecność. Ona również wypięła ten silnie działający magiczny płyn i jej umysł wymykał się jej spod kontroli. To Mog-ur wyciągnął ją z bezdennej otchłani i zabrał w przerażającą i fascynującą podróż ku początkom istnienia.



Wielki Czarownik Klanu, którego umysł miał niezwykłą umiejętność, wyrzeźbił w jej mózgu niezniszczalne ścieżki. Jej umysł, choć podobny do jego, nie był taki sam. Mogła cofnąć się wraz z nim i jego wspomnieniami do początków istnienia i prześledzić każde stadium rozwoju, ale on nie mógł towarzyszyć jej w wędrówce w przyszłość.

Ayla nie rozumiała, czym tak bardzo uraziła Creba, ale wiedziała, że to doświadczenie zmieniło go i ich wzajemne stosunki. Nie rozumiała także zmian, jakie wprowadził w jej umyśle, ale przez moment miała niezbitą pewność, że jej obecność w tej dolinie wiązała się ściśle z tym wysokim, jasnowłosym mężczyzną.

Zobaczyła, jak ich postacie, siedzące na kamienistej plaży, spowija i łączy wirująca poświata rozpływająca się potem w nicość. Poczła swe nieuchwytnie przeznaczenie, którego mnogie nici łączyły przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Poczła przenikający ją do głębi chłód, zaparło jej dech w piersi, wzdrygnęła się i ujrzała przed sobą zatroskane oblicze o zmarszczonych brwiach. Wzdrygnęła się ponownie, aby się otrząsnąć z nierealnego uczucia.

– Dobrze się czujesz, Ayla?

– Tak. Tak, nic mi nie jest.

Jondalar poczuł, jak przeszywa go nagły chłód, który zjeżył mu włos na głowie i spowodował gęsią skórę. Poczł silną potrzebę obrony Ayli, ale nie wiedział, czego się obawiała: Wszystko to trwało zaledwie chwilę i starał się z tego otrząsnąć, ale niepokojące uczucie zostało.

– Zdaje się, że pogoda się zmieni – powiedział. – Czuję zimny powiew. –

Spojrzeli oboje na czyste niebo.

– To pora nagłych i gwałtownych burz.

Jondalar skinął głową, a potem skierował rozmowę ponownie na temat trudnej sztuki wyrabiania narzędzi.

– Jaki będzie twój następny krok, Aylo?

Kobieta pochyliła się ponownie nad swym zadaniem. Ze skupieniem odłupała jeszcze pięć owalnych płatków krzemienia. Następnie obejrzała dokładnie pozostały kamień i wyrzuciła go stwierdziwszy, że nie przyda się już na nic.

Teraz wróciła do sześciu płatków szarego krzemienia i wzięła do ręki najcieńszy z nich. Z pomocą małego, lekko spłaszczonego, okrągłego kamienia delikatnie usunęła ostrą krawędź z jednej strony, tak aby powstał czubek, a – co ważniejsze – żeby także stępić grzbiet, by trzymany w dłoni nóż nie ranił użytkownika; poprawki miały na celu nie zaostrenie i tak już ostrych krawędzi, ale stępienie grzbietu, żeby można go było bezpiecznie trzymać. Kiedy zadowolił ją w końcu kształt narzędzia, podała go Jondalarowi na wyciągniętej dłoni.

Ten wziął i dokładnie go obejrzał. Grzbiet miał raczej gruby, ale zwęził się, tworząc cienką, ostrą krawędź tnącą. Był dostatecznie szeroki, aby go trzymać wygodnie w dłoni, a stępiony grzbiet nie porani użytkownika. W pewnym sensie przypominał ostrza dzid Mamutoi, pomyślał, ale nigdy nie był robiony z zamiarem przymocowania do drzewca. To był nóż, a z tego, jak się posługiwała wcześniej podobnym, wiedział, że było to bardzo skuteczne narzędzie.

Jondalar odłożył go i ruchem głowy dał znak, by pracowała dalej. Ayła podniosła następny płatek i posługując się zwierzęcym trzonowcem obciosowała całą krawędź tnącą, wskutek czego powstała forma wypukła, narzędzie mocne, o nieco stępionej krawędzi, które łatwo nie pęknie pod wpływem

nacisku podczas skrobania skóry, a przy tym jej nie zniszczy. Odłożyła je i wzięła następny kawałek krzemienia.

Położyła na kowadle z mamuciej stopy duży, gładki kamień. Potem, przytrzymując płatek za pomocą małej kości, nacisnęła krawędź tnącą i wykonała na jego środku głęboką szczerbę w kształcie dwóch linii, które z jednej strony się ze sobą stykały, a z drugiej oddalały od siebie. Taka szczerba pozwalała formować czubki dzid. Z dłuższego, owalnego płotka, posługując się tą samą techniką, wykonała narzędzie, które mogło być używane do robienia dziur w skórze lub wiercenia otworów w drewnie, rogu czy kości.

Ayla nie wiedziała, jakie jeszcze narzędzia mogły się jej przydać, więc postanowiła zostawić dwa ostatnie kawałki krzemienia nie obrobione. Odsunęła kowadło, zebrała rogi skórzanej płachty i zaniósła ją pod ścianę, aby wytrzepać. Wióry krzemienne były bardzo ostre i potrafiły przeciąć nawet najtwardszą skórę bosej stopy. Jondalar nie powiedział nic na temat jej narzędzi, ale zauważyła, że obracał je w dłoni, tak jakby chciał je wypróbować.

– Chciałbym skorzystać z twojej płachty do osłonięcia kolan powiedział.

Ayla podała mu kawałek skóry, ciesząc się, że jej pokaz dobiegł końca, i teraz może przyglądać się jego pracy. Mężczyzna przykrył kolana płachtą, następnie zamknął oczy i pomyślał o kamieniu i o tym, co z niego chciał zrobić. Potem podniósł jedną z krzemowych grud i obejrzał ją uważnie.

Twardy krzemionkowy minerał został wyrwany ze swojego kredowego łóżyska. Nadal nosił na sobie ślady po pierwotnej kredowej okrywie, choć powódź porwała i poniosła go wąskim wąwozem i wyrzuciła na kamienistym brzegu. Krzemień był

najbardziej skutecznym materiałem do robienia narzędzi, jaki występował w stanie naturalnym. Był twardy, ale krystaliczna struktura pozwalała na jego obrabianie; nadawany mu kształt zależał jedynie od umiejętności tego, który go obrabiał.

Jondalar wyszukiwał najlepszy i najczystszy z kamieni. Odrzucał wszystkie z najmniejszymi rysami czy pęknięciami podobnie jak te, które uderzane innym kamieniem wydawały dźwięk świadczący o wzrostkach i skazach. W końcu wybrał jeden kamień.

Ujął go w lewą, wspartą na udzie, ręką i sięgnął po tłuk. Ważył go przez chwilę w dłoni, dobierając właściwy uchwyt. Był nowy, jeszcze go dobrze nie poznał i nie wyczuł. Schwycił mocno krzemień i uderzył. Odpadł duży fragment kredowej okrywy. Znajdujący się wewnątrz kamień był jaśniejszy i bardziej błyszczącał od tego, nad którym pracowała Ayla. Był drobnoziarnisty. Dobry kamień. Dobry znak.

Uderzał kamień raz za razem. Ayla na tyle dobrze była obznajomiona z procesem wyrobu narzędzi, by od razu rozpoznać jego wielką wprawę. O wiele bardziej przewyższała ją swymi umiejętnościami. Jedynym jej znanym człowiekiem, który z podobną pewnością obrabiał kamień, był Droog. Ale kształt, który Jondalar nadawał swemu kamieniowi, w niczym nie przypominał narzędzi, wyrabianych przez klan. Pochyliła się, aby przyjrzeć się temu dokładniej.

Ociosywany przez Jondalara rdzeń przybierał zamiast jajowatego raczej walcowaty kształt, choć o niedokładnie owalnej podstawie. Odłupując kolejne fragmenty z obu stron uformował na całej długości walca pofałdowany grzbiet. Następnie odłożył tłuk i wziął do ręki długi kawałek rogu, odcięty poniżej pierwszego rozwidlenia, aby pozbyć się wszystkich

rozgałęzień.

Rogowym młotkiem wygładził powierzchnię grzbietu. Pracował również nad rdzeniem, ale nie miał zamiaru oddzielać od niego grubych płatków – tego Ayla była pewna. Kiedy w końcu był zadowolony z kształtu grzbietu, podniósł kolejne narzędzie, którego przeznaczenia Ayla była bardzo ciekawa. Było również wykonane z fragmentu dużego poroża, ale tym razem nie była to część odcięta poniżej pierwszego rozwidlenia, wręcz przeciwnie – z centralnego pnia, którego spód był ostro zakończony, sterczały dwa rogi.

Jondalar wstał i przytrzymał krzemień nogą. Następnie umieścił rogowe ostrze tuż powyżej grzbietu. Tak ułożył górny róg, aby dolny był zwrócony ku frontowi i wystawał na zewnątrz. Potem ciężką długą kością uderzył w wystający ząb.

Odpadła cienka blaszka długości kamiennego walca. Uniósł ją pod światło i pokazał Ayli. Przeświecały przez nią promienie słońca. Przez środek zewnętrznej powierzchni przebiegał starannie obrobiony grzbiet, a obie krawędzie były bardzo ostre.

Dzięki temu, że zaostrzony czubek rogu spoczywał bezpośrednio na powierzchni krzemienia, mężczyzna nie musiał tak dokładnie ważyć siły uderzenia ani jego kąta. Cała siła uderzenia była skierowana prosto tam, gdzie tego chciał, a siła uderzenia rozkładała się na dwa elastyczne obiekty – kościany młotek i rogowy przebijak – powodując, że prawie nie zdarzały się chybione uderzenia. Ostrze było długie, wąskie i jednolicie cienkie. Ponadto, że nie musiał tak dokładnie ważyć swych uderzeń, miał o wiele większą kontrolę nad wynikiem swej pracy.

Technika obróbki kamienia, którą posługiwał się Jondalar, była daleko bardziej rozwinięta. Równie ważną rzeczą, jak

otrzymane ostrze, była rysa, jaką pozostawiło ono na rdzeniu. Wykonany przez niego grzbiet zniknął. W tym miejscu znajdował się długi rowek obwarowany z obu stron dwoma grzbietami. Właśnie po to były te staranne prace wstępne. Przesunął koniec przebijaka tak, aby znajdował się powyżej nowych grzbietów, i ponownie uderzył kościanym młotkiem. Odpadło następne cienkie ostrze, pozostawiając po sobie kolejne dwa grzbiety. Ponownie przesunął przebijak, powtórzył czynność, odłupując następne ostrze i tworząc więcej karbów.

Kiedy skończył, to zamiast sześciu, jak po pracy Ayli, leżało w rządku dwadzieścia pięć ostrzy – ponad cztery razy więcej tnących narzędzi z tej samej ilości kamienia. Długie i niezwykle cienkie ostrza można było wykorzystywać do cięcia, ale nie były one jeszcze końcowym produktem jego pracy. Później nada im kształty narzędzi o różnorodnym zastosowaniu. Bardziej zaawansowana technika pozwalała w zależności od kształtu i jakości krzemienia uzyskać z kamienia tej samej wielkości nie cztery razy, ale sześć lub siedem razy więcej użytecznych blaszek do wykonywania narzędzi. Nowa metoda nie tylko pozwalała pracującemu na większą kontrolę nad wynikiem swych działań, ale również dawała jego ludowi niewspółmierną przewagę.

Jondalar podniósł jedno z ostrzy i podał je Ayli. Sprawdziła ostrość krawędzi palcem, nacisnęła lekko, by sprawdzić jej wytrzymałość, i obróciła w dłoni. Było zakrzywione na końcach; to była cecha charakterystyczna materiału, ale jeszcze bardziej godna uwagi była wyjątkowa ostrość krawędzi. Kształt narzędzia nie ograniczał jego funkcji.

– Jondalar, to jest... nie znam słowa. To jest cudowne... ważne. Zrobiłeś tak dużo... Nie skończyłeś jeszcze, prawda?

Jondalar się uśmiechnął.

– Nie, nie skończyłem.

– One są takie cienkie i delikatne – są piękne. Co prawda, mogą się łatwiej łamać, ale myślę, że gdy poprawisz krawędzie, to będą z tego mocne skrobaki. – Jej zmysł praktyczny sprawił, że już sobie wyobrażała ostrza przerobione na narzędzia.

– Tak, twoje też mi się podobają, to dobre noże – chociaż ja wolałbym zakończyć je uchwytem.

– Nie wiem, co to “uchwyt”.

Jondalar podniósł jedno z ostrzy, aby jej to wyjaśnić

– Mogę stępić koniec, zaostrzyć i będzie z tego nóż. Jeżeli odłupię kilka płatków z wewnętrznej strony, to mógłbym nawet nieco wyprostować krzywiznę. Jeżeli teraz w połowie długości ostrza nacisnę mocno, to odłamię brzeg, i zostanie swojego rodzaju kolec, to jest właśnie uchwyt.

Podniósł mały kawałek rogu.

– Jeżeli ten kolec umieszczę w rogu, drewnie czy kości, to nóż będzie miał rękojeść. Z rękojeścią łatwiej go używać. Jeżeli pogotujesz trochę róg, to się zrobi miękki, i wtedy będziesz mogła wcisnąć w jego środek uchwyt. Potem róg wyschnie, skurczy się i zaciśnie na uchwycie. Potrafi trzymać się bez klejenia czy obwiązywania przez długi czas.

Ayla była podniecona nową metodą obróbki kamienia i chciała też jej spróbować, ale nie była pewna, czy nie naruszy tym jakichś obyczajów czy tradycji Jondalara. Im więcej dowiadywała się o sposobie życia jego ludu, tym mniej on wydawał się jej sensowny. Jondalarowi nie przeszkadzało to, że polowała, ale może nie chce, aby robiła narzędzia podobne do jego.

– Chciałabym spróbować... Czy są... czy masz coś przeciwko kobiecie robiącej narzędzia?

Jej pytanie sprawiło mu przyjemność. Wyrabianie narzędzi jej sposobem wymagało wprawy. Byłoby jednak dla niego całkowicie zrozumiałe, gdyby chciała bronić swej metody. Ona jednak chyba się poznała na jego technice – doceniła jej zaawansowanie i chciała spróbować. Zastanawiał się, jak sam by się zachował, gdyby ktoś pokazał mu zupełnie nowy sposób na usprawnienie jego metody pracy.

Chciałbym się go nauczyć, powiedział w duchu, uśmiechając się z wysiłkiem.

– Kobiety mogą być dobrymi obrabiaczami kamienia. Joplaya, a moja kuzynka, jest jednym z najlepszych. Nigdy nie pozwałała mi o tym zapomnieć. – Uśmiechnął się na wspomnienie tego.

– Kobietom klanu wolno wyrabiać narzędzia, ale nie wolno robić broni.

– Nasze kobiety robią broń. Po urodzeniu dzieci kobiety Zelandonii rzadko polują, ale jeżeli nauczyły się tego w młodości, to potrafią posługiwać się bronią. W czasie polowania ulega zniszczeniu wiele narzędzi i broni. Mężczyzna, którego partnerka umie zrobić nowe, zawsze ma w zapasie potrzebne mu rzeczy. Kobiety są bliżej Matki. Niektórzy mężczyźni uważają, że broń zrobiona przez kobietę przynosi im szczęście. Ale w razie niepowodzenia – lub braku wprawy – zawsze wini za to tego, kto sporządził narzędzie, szczególnie jeśli była nią kobieta.

– Czy mogę się nauczyć?

– Każdy, kto potrafi robić narzędzia twoim sposobem, z pewnością może się nauczyć wyrabiania ich moim.

Jego odpowiedź rozmijała się nieznacznie z sensem jej pytania. Wiedziała, że jest zdolna się tego nauczyć – chciała się jedynie upewnić, czy było jej wolno to uczynić. Ale jego odpowiedź



powstrzymała ją i dała do myślenia.

– Nie... nie sędzę.

– Oczywiście, że potrafisz się nauczyć.

– Wiem, że potrafię się nauczyć, ale nie każdy, kto robi narzędzia sposobem klanu, może się nauczyć wyrabiać je twoim sposobem. Niektórzy mogliby, myślę, że Droog by potrafił, ale dla nich każda nowość jest trudna do opanowania.

Z początku myślał, że Ayla żartuje, ale ona była poważna. Czy mogła mieć rację? Czyżby, mając sprzyjającą okazję... płas... klanowi wyrabiacze narzędzi nie umieli się nauczyć niczego nowego?

Potem przypomniał sobie jeszcze, że niedawno nie przypuszczał, aby w ogóle byli zdolni do robienia narzędzi. A tymczasem oni robią narzędzia, porozumiewają się i zaopiekowali się obcym, osieroconym dzieckiem. W ciągu ostatnich kilku dni nauczył się więcej o pałskogłowych, niż wiedzieli wszyscy inni z wyjątkiem Ayli. Być może, byłoby dobrze wiedzieć znacznie więcej na ich temat. Wyglądało jednak na to, że było tego bardzo dużo i nawet nie potrafiłby się wszystkiego domyślić.

Rozważania o płaskogłowych przywiodły mu wspomnienie wydarzeń z poprzedniego dnia i niespodziewanie się zaczerwienił z zakłopotania. Skupiwszy się na robieniu narzędzi, całkiem o tym zapomniał. Patrzył na kobietę, ale naprawdę nie widział jej złocistych warkoczy połyskujących w słońcu i miło kontrastujących z jej ciemną opalenizną, jej błękitnoszarych oczu, które kolorem przypominały kolor najlepszego krzemienia.

O Matko, jaka ona jest piękna! Nagle uzmysłowił sobie jej bliskość i poczuł podniecenie. Nawet gdyby chciał, to nie potrafiłby ukryć naglej zmiany swych zainteresowań. Ale on nie

próbował.

Ayla wyczuła jego zmianę nastroju; spłynął na nią i zaskoczył ją. Jak można mieć tak błękitne oczy? Nawet niebo czy niebieska goryczka rosnąca na górskich łąkach w pobliżu jaskini klanu nie wzruszały jej tak bardzo. Czuła jak... jak zaczynała czuć. Przez ciało przebiegł dreszcz pragnienia, aby je dotknął. Pochyliła się, przyciągana ku niemu nieznaną siłą i jedynie dzięki ogromnemu wysiłkowi woli udało jej się zamknąć oczy i odsunąć.

Dlaczego na mnie tak patrzył, skoro jestem... paskudztwem? Skoro nie może mnie dotknąć, by nie odskoczyć jak oparzony? Serce waliło jej jak młotem; dyszała jak podczas biegu i starała się uspokoić swój oddech.

Nim otworzyła oczy, usłyszała jak wstał. Odrzucił na bok skórzaną płachtę i rozsypał pracowicie wykonane ostrza. Patrzyła, jak odchodził przygarbiony, sztywno stawiając kroki, i wkrótce zniknął za skalnym załomem. Zdawał się nieszczęśliwy, równie nieszczęśliwy, jak ona.

Kiedy tylko Jondalar znalazł się za skalnym załomem, puścił się biegiem. Pognał łąką, dopóki nie rozboleła go ranna noga, a oddech nie zamienił się w gwałtowne spazmy; wówczas zwolnił i ciężko dysząc, jeszcze kawałek powoli pobiegł, nim w końcu się zatrzymał.

Ty głupcze, czego trzeba, aby cię przekonać? To, że jest na tyle dobrze wychowana, by pozwolić ci zabrać potrzebne rzeczy na drogę, wcale nie oznacza, że nie pragnie i części ciebie... szczególnie tej części! Wczoraj czuła się skrzywdzona i urażona, ponieważ nie... Ale to było, zanim wszystkiego nie popsujesz!

Nie chciał o tym myśleć. Wiedział, co wtedy czuł, i co ona musiała dostrzec, niesmak i wstręt. Jakie to ma teraz znaczenie? – Pamiętaj, że ona żyła wśród płaskogłowych. Przez całe lata.

Stała się jedną z nich. Jeden z ich samców...

Z rozmysłem zaczął przypominać sobie wszystkie obrzydliwości, plugastwa i sprośności, które się wiązały z jego sposobem życia. Ayla kryła się za każdym jego wspomnieniem! Kiedy był jeszcze chłopcem, chował się po krzakach ze starszymi od siebie chłopakami, aby przekazywać sobie najbrzydsze z poznanych słów, a wśród nich było słowo “samica płaskogłowych”. Kiedy był starszy – niewiele starszy, ale na tyle, by wiedzieć, co znaczy ” sprawiacz kobiet” – ci sami chłopcy zbierali się w ciemnym kącie jaskini, by szeptać o dziewczętach, i zmawiać się, chichocząc i parszcząc śmiechem, aby złapać samicę płaskogłowych, a także strasząc się nawzajem tym, co mogło z tego wyniknąć.

Nawet jednak wówczas nie do pomyslenia było, aby wyobrażali sobie samca płaskogłowych i kobietę. O czymś takim wspomniano jedynie, gdy był wyrostkiem, a i wtedy pilnowano się, aby nie usłyszał tego żaden ze starszych mężczyzn. Kiedy młodzieńców nachodziła ochota na chłopięce wygłupianie się i opowiadali sobie znowu najsprośniejsze i najplugawsze historie, o jakich mogli pomyśleć, były to opowieści o samcach płaskogłowych i kobietach oraz o tym, co się stanie potem z mężczyzną, który dzieliłby rozkosz, choćby nieświadomie z taką kobietą – szczególnie nieświadomie. Na tym polegał cały dowcip.

Ale nie żartowali sobie na temat paskudztw – czy kobiet, które je wydały na świat. Były plugawą mieszanką duchów, którą złe duchy wypuściły na świat, i które nawet w Matce, stworzycielce wszelkiego życia, budziły wstręt. A kobieta, która wydała coś takiego na świat, stawała się niedotykalna.

Czy możliwe, aby Ayla była jedną z nich? Czy możliwe, aby była splugawiona? Nieczysta? Wstrętna? Zła? Ta prostolinijna i

uczciwa Ayla? Ze swym darem uzdrawiania? Tak mądra, nieustraszona, delikatna i piękna. Czy ktoś tak piękny może być nieczysty?

Myślę, że ona nawet nie rozumie, co to znaczy! Ale czy nie pomyślałby tak ktoś, kto jej nie zna? Co się stanie, jeżeli napotkanym ludziom opowie o tym, kto ją wychował? Opowie o swym... dziecku? Co pomyślałby sobie zelandoni albo Marthona, gdyby i im o tym powiedziała? Opowiedziałyby o swym synu i broniłyby swych racji. Myślę, że Ayla potrafiłaby każdemu stawić czoło, nawet zelandoni. Ona sama ze swoimi uzdrowicielskimi umiejętnościami i sposobem obchodzenia się ze zwierzętami mogłaby być zelandoni.

Ale jeżeli Ayla nie jest złym duchem, to wszystko na temat płaskogłowych jest nieprawdą! Nikt nie da temu wiary.

Jondalar nie zwracał uwagi na to, dokąd szedł, i zaskoczyło go, gdy poczuł na dłoni dotknięcie miękkiego pyska. Nie zauważył koni. Przystanął, aby podrapać i pogłaskać źrebaka. Whinney powoli zmierzała w stronę jaskini, skubiąc po drodze trawę. Kiedy mężczyzna skończył go poklepywać, źrebak wybiegł naprzód, lecz Jondalarowi się nie spieszyło, by ponownie stanąć przed Aylą.

Ayla nie była jednak w jaskini. Poszła za nim i przyglądała się, jak biegł w głąb doliny. Ona również lubiła czasami pobiegać, ale zastanawiało ją, skąd u niego wzięła się nagle tak nieodparta chęć biegania. Czy to za jej sprawą? Sprawdziła dłonią nagrzaną ziemię okrywającą dół do pieczenia, a potem poszła do dużego głazu. Jondalar ponownie zatopiony we własnych myślach z zaskoczeniem spostrzegł nagle oba zwierzęta i ją pośród nich.

- Prze... przepraszam. Nie powinienem był tak odbiegać.
- Ja również mam czasami ochotę pobiegać. Wczoraj

pozwoliłam, by Whinney biegła za mnie. Ona potrafi biec dalej.

– Za to również przepraszam.

Ayla kiwnęła głową. Znowu ta grzeczność, pomyślała, taki zwyczaj. Jakie to naprawdę miało znaczenie? Milcząc oparła się o Whinney, a koń położył pysk na jej ramieniu. Jondalar widywał je już poprzednio w podobnej pozie, wtedy, gdy Ayla była czymś zdenerwowana. Zdawało się, że obie czerpią z siebie nawzajem otuchę. On sam znajdował zadowolenie w głaskaniu źrebaka.

Ale źrebak, choć bardzo lubił, gdy mu poświęcał uwagę, był zbyt niecierpliwy, by długo wytrzymać bez ruchu. Potrząsnął łbem, zadarł ogon i pobiegł naprzód. Potem podskoczył, zawrócił i przybiegł z powrotem, uderzając mężczyznę łbem, jakby zapraszając go do zabawy. Ayla i Jondalar wybuchnęli śmiechem, napięcie prysło.

– Nadasz mu imię – oświadczyła bez nutki rozkazu w głosie. Jeżeli on nie nada imienia źrebakowi, to pewnie sama to uczyni.

– Nie wiem, jak go nazwać. Nigdy nie wymyślałem jeszcze imienia.

– Ja również, dopóki nie nadałam imienia Whinney.

– A co z twoim... synem? To nie ty nadałaś mu imię?

– Creb nadał mu imię. Durc to imię młodzieńca z legendy. To była moja najbardziej ulubiona legenda ze wszystkich opowieści i Creb o tym wiedział. Myślę, że wybrał to imię, aby mi sprawić przyjemność.

– Nie wiedziałem, że twój klan miał swoje legendy. Jak opowiadaliście sobie historie nie mówiąc?

– Tak samo, jakbyś opowiedział ją słowami, ale pod pewnymi względami czasem jest łatwiej coś pokazać, niż powiedzieć.

– Zdaje się, że to prawda – odparł, zastanawiając się nad tym, jakie to historie mogli sobie opowiadać czy raczej pokazywać.

Przyglądali się oboje źrebakowi, który z zadartym ogonem i wyciągniętym łbem biegł z wyraźną przyjemnością. – Ależ z niego będzie ogier, pomyślał Jondalar. – Co za zawodnik.

– Zawodnik! – wykrzyknął. – Co powiesz na to, by go nazwać Zawodnik? – Tak często używał tego słowa w odniesieniu do źrebaka, że pasowało do niego.

– Podoba mi się. To dobre imię. Ale skoro ma być to jego imię, to trzeba mu je nadać we właściwy sposób.

– A jak nadać koniowi imię we właściwy sposób?

– Nie jestem pewna, czy to właściwy dla konia sposób, ale ja nadałam imię Whinney w ten sam sposób, w jaki nadaje się imiona dzieciom klanu. Pokażę ci.

Poprowadziła go do starego łożyska rzeki płynącej kiedyś przez stopy. Rzeka wyschła tak dawno, że jej koryto było już częściowo zasypane. Konie poszły za nimi. Jeden z brzegów z czasem zniszczyła erozja, ukazując poziome warstwy. Ku zdumieniu Jondalara Ayla wygrzebała kijem z jednej z warstw trochę czerwonej ochry i nabrała jej w obie dłonie. Potem wróciła nad strumień i zmieszała czerwoną ziemię z wodą, tworząc pastę.

– Creb mieszał czerwony kolor z niedźwiedzim sadłem, ale ja go nie mam, a poza tym myślę, że czysta ziemia jest dla konia lepsza. Wykruszy się po wyschnięciu. W końcu ważne jest samo nadanie imienia. Będziesz musiał potrzymać mu łeb.

Jondalar dał znak. Źrebak był usposobiony do zabawy, ale zrozumiał jego gest. Stał spokojnie, pozwalając się objąć mężczyźnie za kark i drapać. Ayla wykonała pewne ruchy w starym języku, prosząc duchy o uwagę. Nie chciała robić tego zbyt poważnie. Nie miała pewności, czy duchy nie poczują się obrażone tym, że nadaje imię koniowi, choć nadanie imienia

Whinney nie spowodowało żadnego nieszczęścia. Potem podniosła rękę z garścią czerwonego błota.

– Ten samiec konia nazywa się Zawodnik – powiedziała, wykonując przy tym odpowiedni gest. Potem naznaczyła mu pysk mokrą czerwoną ziemią, robiąc ślad biegnący od białej sierści na czole do czubka jego długiego nosa.

Zrobiła to szybko, nim koń zdążył wykręcić się z objęć Jondalara. Potem źrebak odbiegł, potrząsając łbem i próbując pozbyć się wilgotnego śladu z pyska. Następnie uderzył łbem w Jondalara, zostawiając na jego nagiej piersi czerwony ślad.

– Zdaje się, że właśnie nadał mi imię – powiedział z uśmiechem Jondalar. Potem zgodnie ze swym imieniem Zawodnik pognał przez łąkę. Jondalar wytarł czerwoną ziemię z piersi. – Dlaczego tego używasz? Tej czerwonej ziemi?

– Ona jest szczególna... bez grzechu... dla duchów – odparła.

– Czysta? My nazywamy ją czystą. Nazywamy krwią Matki.

– Krew, tak. Creb... Mog-ur naznaczył Izę mieszaniną czerwonej ziemi i niedźwiedziego sadła, gdy dusza opuściła jej ciało. Nazwał ją krwią narodzin, dzięki której Iza odrodzi się na drugim świecie. – To wspomnienie nadal było jeszcze dla niej zbyt bolesne.

Jondalar otworzył szeroko oczy.

– Płaskogłowi... to znaczy twój klan używał czystej ziemi, aby odesłać duszę na drugi świat? Jesteś tego pewna?

– Bez tego nikt nie byłby należycie pochowany.

– Ayla, my też używamy czerwonej ziemi. To krew Matki. Kładziemy ją na ciało i do grobu, aby zabrała duszę z powrotem na jej łono, by mogła się ponownie narodzić. – W jego oczach pojawił się ból. – Thonolan nie miał czerwonej ziemi.

– Nie miałam jej przy sobie i nie miałam czasu na jej zdobycie.

Musiałam cię tu szybko przewieźć albo musiałabym zrobić następny grób. Poprosiłam jednak swój totem i ducha Ursusa, Wielkiego Niedźwiedzia Jaskiniowego, aby pomogli mu znaleźć drogę.

– Pogrzebałaś go?! Nie zostawiłaś jego ciała zwierzętom na pożarcie?

– Położyłam jego ciało pod ścianą i obluzowałam rumowisko tak, że przykrył go żwir i kamienie. Ale nie miałam przy sobie czerwonej ziemi.

Jondalarowi z trudnością przychodziło zrozumienie tego, że płaskogłowi grzebali swych zmarłych. Zwierzęta nie grzebią swych zmarłych. Jedynie ludzie myślą o tym, skąd pochodzą, i dokąd odchodzą, gdy ich życie dobiegnie kresu. Czy duchy jej klanu mogły wskazać drogę Thonolanowi?

– To o wiele lepsze od tego, co spotkałoby mojego brata, gdyby cię tam nie było, Aylo. A ja zawdzięczam ci jeszcze więcej moje życie.





– Ayla, nie pamiętam już, kiedy jadłem coś równie dobrego. Gdzie nauczyłaś się tak gotować? – zapytał Jondalar, sięgając po następną porcję tłustej, delikatnie przyprawionej pardwy.

– Iza mnie nauczyła. Gdzie indziej mogłabym się tego nauczyć? To było ulubione danie Creba. – To pytanie nie wiadomo dlaczego trochę rozdrażniło Aylę. Dlaczego nie miałyby umieć gotować? – Uzdrowicielka zna się na ziołach zarówno tych, które leczą, jak i tych, które nadają smak potrawom.

Zauważył poirytowanie w jej głosie i ciekaw był, co było jego przyczyną. On chciał ją jedynie pochwalić. Jedzenie było dobre. Prawdę powiedziawszy, doskonałe. Kiedy się nad tym zastanowił, to uznał, że wszystko, co przygotowywała, było wyśmienite. Wiele potraw miało niepospolity smak, a choć ich nie znał, to ich jakość nie ulegała wątpliwości. W końcu to właśnie zdobywanie nowych doświadczeń pchało ludzi do wędrówki w nieznane.

A ona przygotowywała wszystko, co spożywali. Jakże łatwo przychodziło zapomnieć o wszystkim, co robiła, jak choćby o tym codziennym, porannym napoju. Ayla polowała, wyszukiwała pożywienie, przygotowywała posiłek. Dbała o wszystko. A ty, Jondalarze, jedynie jadłeś. Nie przysłużyłeś się do tego nawet w

najmniejszym stopniu. Brałeś to wszystko, nie dając nic w zamian... gorzej niż nic.

A teraz prawisz jej komplementy. Czyż można się dziwić, że ją to drażni? Ona pewnie z przyjemnością zobaczyłaby, jak odchodzisz, swoją obecnością przysparzasz jej jedynie więcej pracy.

Mógłbyś przecież trochę zapolować, zwrócić jej przynajmniej choć trochę zjedzonego przez siebie mięsa. To wydaje się tak mało w porównaniu z tym wszystkim, co dla ciebie zrobiła. Nie mógłbyś pomyśleć o czymś... bardziej trwałym? Ona poluje wystarczająco dobrze, jak na swoje potrzeby. Czy jedno polowanie może jej to wszystko wynagrodzić?

Jak ona sobie radzi z tą niezdarną dzidą? Ciekaw jestem... czy pomyśli, że obrażam jej klan jeżeli zaproponuję...

– Ayla... ja, mhh... chciałbym coś powiedzieć, ale nie chciałbym cię obrazić.

– Dlaczego nagle miałbyś się przejmować tym, czy mnie urazisz? Jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów. – W jej głosie nadal było jeszcze znać nutkę rozdrażnienia. Omal go to nie powstrzymało.

– Masz rację. Trochę już na to za późno. Ale, zastanawiałem się... mhhh... jak polujesz tą swoją dzidą?

Aylę zaskoczyło jego pytanie.

– Kopię dół i zaganiam, nie, płoszę stado w jego kierunku. Ale zeszłej zimy...

– Dół na pułapkę! Oczywiście, w ten sposób możesz podejść dostatecznie blisko, aby użyć dzidy. Ayla, tyle dla mnie zrobiłaś, chciałbym coś dla ciebie zrobić, nim odejdę, coś, co miałyby dla ciebie jakąś wartość. Ale nie chciałbym, abyś poczuła się urażona moją propozycją. Jeżeli ci się nie spodoba, to po prostu zapomnij,

że w ogóle coś powiedziałem, dobrze?

Ayla skinęła z lekkim wahaniem, ale i zaciekawieniem.

– Jesteś... jesteś dobrym łowcą, szczególnie jeżeli wziąć pod uwagę twą broń, ale myślę, że mógłbym ci pokazać łatwiejszy sposób, lepszą broń, jeżeli mi na to pozwolisz.

Jej obawy wyparowały.

– Chcesz pokazać mi lepszą broń do polowania?

– I łatwiejszy sposób na polowanie – jeżeli nie będziesz miała nic przeciwko temu. Będzie wymagało to pewnej wprawy...

Ayla pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Kobiety klanu nie polują i żaden z mężczyzn nie chciał, abym polowała – nawet z procą. Brun i Creb pozwolili mi na to jedynie, by uspokoić mój totem. Lew Jaskiniowy, to potężny męski totem i dał im do zrozumienia, że jego wolą jest, bym polowała. Nie śmieli mu się sprzeciwić. – Nagle przypomniała sobie pewną scenę. – Urządzili specjalną ceremonię. – Dotknęła małej blizny na szyi. – Creb utoczył mi krwi w ofierze dla przodków, abym mogła zostać Kobieta-Która Poluje.

– Kiedy przybyłam do tej doliny, moją jedyną bronią była proca. Ale proca nie jest wystarczająca, więc zrobiłam sobie dzidy takie, jak te, których używali mężczyźni, i najlepiej jak umiałam, nauczyłam się nimi polować. Nigdy nie przypuszczałam, że jakiś mężczyzna chciałby mi pokazać lepszy sposób. – Przerwała i z nagłym wzruszeniem opuściła wzrok. – Byłabym ci za to bardzo wdzięczna. Nie potrafię powiedzieć nawet jak bardzo.

Pomarszczone z napięcia czoło mężczyzny wygładziło się. Zdawało mu się, że widział łzę błyskającą w jej oku. Czyż mogło to dla niej aż tak wiele znaczyć? A on się bał, że ona mogłaby go źle zrozumieć. Czy on kiedykolwiek ją zrozumie? Im więcej o niej

wiedział, tym mniej zdawał się ją rozumieć. Sama się nauczyła?

– Będę musiał zrobić pewne specjalne narzędzia. Przydałyby mi się również kości, myślę że dobrze nadałyby się kości z nóg jelenia, ale musiałbym je najpierw wymoczyć. Czy masz jakiś pojemnik, w którym mógłbym namoczyć kości?

– Jaki duży ma być? Mam wiele pojemników – powiedziała, wstając.

– Ayla, to może poczekać, dopóki nie skończysz jeść.

Ale ona nie miała już ochoty na jedzenie, była zbyt podniecona. Jednakże on jeszcze nie skończył. Usiadła więc z powrotem i zaczęła grzebać w jedzeniu, dopóki Jondalar nie zauważył, że nie jadła.

– Chcesz teraz poszukać pojemnika? – zapytał.

Ayla się poderwała i ruszyła w głąb jaskini, tam, gdzie przechowywała wszystkie swoje zapasy. Zawróciła jednak po kamienną lampkę. W głębi jaskini było ciemno. Podała lampkę Jondalarowi, a sama poczęła odkrywać i wyciągać kosze, misy, pojemniki z brzozowej kory. Uniósł wysoko lampkę, aby oświetlić większy obszar i rozejrzał się. Było tu tego wszystkiego tak wiele, o wiele więcej, niż mogłaby sama wykorzystać.

– Czy to wszystko zrobiłaś sama?

– Tak – odparła, przekopując się przez sterty pojemników. – To musiało zająć ci wiele dni... miesięcy... pół roku. Ile czasu pochłonęło zrobienie tego wszystkiego?

Ayla usiłowała znaleźć sposób wytłumaczenia mu tego.

– Pory roku, wiele pół roku. Większość zrobiłam podczas chłodnych pół roku. Nie miałam nic innego do roboty. Czy któryś z nich ma odpowiednią wielkość?

Jondalar przejrzał pojemniki, które przed nim rozłożyła. Podnosił niektóre z nich, ale bardziej po to, aby się im dokładniej

przyjrzeć, niż aby jakiś z nich wybrać. Trudno było w to uwierzyć. Bez względu na to, jak wielką miała wprawę, i jak szybko pracowała, to zrobienie tak pięknie wyplecionych koszy i wypolerowanych gładko mis wymagało czasu. Jak długo ona już tu była? Sama.

– Ten będzie dobry – powiedział, wybierając dużą misę o wysokich brzegach. Ayla ułożyła porządnie wszystko z powrotem, a on przyświecał jej trzymaną w dłoni lampką. Nie mogła być wiele starsza od dziewczynki, kiedy tu przybyła, pomyślał. Nie jest przecież jeszcze zbyt stara – a może jest? Trudno to było ocenić. Jej wygląd zdawał się pozbawiony znamion wieku, cechowała ją pewna niewinność, która tak dziwnie nie przystawała do jej pełnych, kobiecych kształtów. Urodziła dziecko; była w każdym calu kobietą. Ciekaw jestem, ile mam lat?

Zeszli ścieżką. Jondalar napełnił misę wodą i przejrzał długie kości, które znalazł na śmietniku.

– Ta ma pęknięcie, którego przedtem nie zauważyłem – pokazał jej kość, nim ją wyrzucił. Pozostałe włożył do wody. Kiedy wracali do jaskini, spróbował oszacować wiek Ayli. Nie mogła być zbyt młoda – jest zbyt biegłą uzdrowicielką. Czy może być w moim wieku?

.– Ayla, jak długo już tu jesteś? – zapytał, gdy wchodzili do jaskini, nie mogąc dłużej opanować swej ciekawości.

Ayla się zatrzymała, nie wiedząc, jak na to odpowiedzieć ani czy potrafi mu to wytłumaczyć. Przyszły jej na myśl kije do liczenia ale choć Creb pokazał, jak ma robić na nich znaki, to w myśl zwyczajów klanu nie wolno jej było tego wiedzieć. Jondalar mógłby tego nie pochwalać. – Ale on przecież odchodzi, pomyślała.

Wyciągnęła wiązkę kijów, na których zaznaczała każdy dzień, rozwiązała je i rozłożyła.

– Co to jest?

– Chciałeś wiedzieć, jak długo tu już jestem. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale od chwili znalezienia tej doliny każdego wieczoru robiłam jeden znak na kiju. Jestem tu od tyłu nocy, ile znaków jest na moich kijach.

– Wiesz ile jest tych znaków?

Przypomniała sobie zakłopotanie, w jakie wprawiła ją próba zrozumienia znaczenia tych poznaczonych kijów.

– Tyle, ile ich tu jest – powiedziała.

Zaintrygowany Jondalar podniósł jeden z kijów. Nie znała słów na oznaczenie liczb, ale miała o nich pewne pojęcie. A nawet nie każdy z jego jaskini rozumiał ich sens. Potężna moc ich rozumienia nie każdemu była dana. Zelandoni trochę objaśnił mu znaczenie liczb. Nie znał całej magicznej wiedzy, która się z nimi wiązała, ale i tak wiedział więcej od większości tych, którzy nie należeli do kręgu wtajemniczonych. Gdzie Ayla nauczyła się znaczyć kije? Jak ktoś wychowany przez płaskogłowych mógł w ogóle mieć jakiegokolwiek pojęcie o liczeniu?

– Jak się tego nauczyłaś?

– Creb mi pokazał. Dawno temu. Kiedy byłam małą dziewczynką.

– Creb – człowiek, przy którego ognisku żyłaś? On wiedział, co znaczą te znaki? Nie robił ich tak sobie?

– Creb był... Mog-arem... wielkim czarodziejem. Klan oczekiwał, iż będzie wiedział, kiedy należy odprawiać pewne ceremonie, tyle jak na przykład dzień nadawania imion czy Zgromadzenie Klanu. Dzięki temu wiedział. Sądzę, że on nie wierzył, bym mogła to zrozumieć – to trudne nawet dla Mog-

urów. Pokazał mi, abym nie zamęczała go już więcej pytaniami. Potem powiedział, żebym więcej o tym nie wspominała. Przyłapał mnie raz, gdy byłam już starsza, na tym, jak zaznaczałam sobie dni cyklu księżycy, i bardzo się rozgniewał.

– Ten... Mog-ur. – Jondalar miał trudność z wymówieniem. – To był ktoś czysty, otoczony czcią jak zelandoni?

– Nie wiem. Mówisz zelandoni, gdy masz na myśli uzdrowiciela. Mog-ur nie był uzdrowicielem. Iza знаła się na roślinach i ziołach – ona była uzdrowicielką. Mog-ur znał się na duchach, pomagał jej, przemawiając do nich.

– Zelandoni może być uzdrowicielem lub mieć inne dary. Zelandoni to ktoś, kto poczuł powołanie, by służyć Matce. Niektórzy nie byli obdarzeni specjalnymi darami, a jedynie czuli potrzebę służenia. Potrafią rozmawiać z Matką.

– Creb miał inne dary. Był największy i najpotężniejszy. Potrafił... zrobił... Nie wiem, jak to wyjaśnić.

Jondalar skinął głową. Nie zawsze było łatwo wytłumaczyć dary, jakie mieli zelandoni, tym bardziej że często byli oni również w posiadaniu szczególnej wiedzy. Spojrzał znowu na kije.

– A co znaczy ten znak? – zapytał, wskazując na jedno dodatkowe nacięcie.

Ayla się zaczerwieniła.

– To jest... to jest mój... znak mojej kobiecości – odpowiedziała, szukając sposobu na wyjaśnienie.

Kobiety klanu powinny unikać mężczyzn podczas swego krwawienia, a mężczyźni w ogóle ich wtedy nie zauważali. Kobieta była w tym czasie skazana na częściowe wygnanie – kobiecą klątwę – ponieważ mężczyźni czuli lęk przed tajemniczymi siłami życia, które pozwalały kobiecie wydawać na

świat nowe życie. Dawały one jej totemowi nadzwyczajną siłę, która zwalczała zapładniającą moc duchów męskiego totemu. Kiedy kobieta krwawiła, to znaczyło, że jej totem wygrał i zranił duszę męskiego totemu – wypędził go. Żaden z mężczyzn nie chciał, aby duch jego totemu został wciągnięty do walki w taki czas.

Ayla stanęła przed tym problemem wkrótce po tym, jak przywiozła mężczyznę do jaskini. Nie mogła się trzymać w całkowitym odosobnieniu w czasie krwawienia. Przecież on ledwie trzymał się życia i wymagał ciągłej uwagi. Musiała zlekceważyć te zakazy. Później starała się w tym okresie ograniczyć wspólne przebywanie, ale nie mogła całkowicie go unikać, skoro tylko we dwoje dzielili jaskinię. Nie mogła również zająć się wykonywaniem jedynie kobiecych prac, tak jak to było praktykowane w klanie. Nie było innej kobiety, która mogłaby przejąć jej obowiązki. Musiała polować dla mężczyzny, gotować dla mężczyzny i on chciał, aby spożywała posiłki razem z nim.

Jedyne, co mogła zrobić, to unikać poruszania tego tematu i trzymać sam fakt w możliwie największej tajemnicy. Jak zatem miała odpowiedzieć na jego pytanie?

Ale on przyjął jej oświadczenie bez wyraźnego zażenowania czy obawy. Nie zauważyła u niego w ogóle najmniejszego śladu zaniepokojenia.

– Większość kobiet stara się sobie to w jakiś sposób zaznaczać. Czy to Iza lub Creb nauczyli cię tego?

Ayla pochyliła w zakłopotaniu głowę.

– Nie. Robiłam to, aby wiedzieć. Nie chciałam się znaleźć nie przygotowana z dala od jaskini.

Jego pełne zrozumienia kiwnięcie zaskoczyło ją.

– Kobiety opowiadają sobie historie o znaczących słowach



ciągnął. – Mówią, że księżyc, Lumi, jest kochankiem Wielkiej Matki Ziemi. W ciągu dni swego krwawienia Doni nie chce dzielić z nim rozkoszy. To go wprawia w gniew i rani jego dumę. Odwraca się więc do niej tyłem i skrywa swe światło. Ale nie potrafi wytrzymać zbyt długo z dala od niej. Zaczyna mu doskwierać samotność i ogarnia go tęsknota za ciepłem jej pełnego ciała i zaczyna na nią zerkać. Ale wtedy Doni jest już tak zdenerwowana jego zachowaniem, że nie chce na niego patrzeć. Jednakże, gdy księżyc się odwróci i zaświeci dla cnej Pełnią swych blasków, nie potrafi mu się oprzeć, i znowu są oboje szczęśliwi. To dlatego tak wiele uroczystości ku jej czci odbywa się w czasie pełni księżyca. Kobiety powiadają, że ich cykl odpowiada cyklowi Matki – nazywają czas swego krwawienia czasem księżyca i Potrafią powiedzieć, kiedy się go spodziewają, obserwując Lumi. Powiadają, że Doni ofiarowała im znaczące słowa, aby wiedziały to nawet wtedy, gdy księżyc jest ukryty za chmurami, ale wykorzystuje się je również do wielu innych ważnych celów.

Aylę zafascynowała ta opowieść, choć się czuła nieswojo, słuchając mężczyzny rozprawiającego tak swobodnie o utajonych sprawach kobiety.

– Czasami obserwuję księżyc – powiedziała – zaznaczam również kij. Co to są znaczące słowa?

– To są... imiona znaków na twoich kijach, jedno dla jednego, inne dla dwóch. Używa się ich, by podać liczbę... czegokolwiek. Mogą powiedzieć o tym, ile zwiadowca widział jeleni lub o ile dni drogi są oddalone. Jeżeli w grę wchodzi duże stado, takie jak żubrów jesienią, wtedy – by wytropić stado – wyrusza zelandoni, ten, który zna specjalny sposób posługiwania się znaczącymi słowami.

Poczuła radosny dreszcz; prawie rozumiała, o co mu chodziło. Miała wrażenie, że się znajduje o krok od pojęcia odpowiedzi na dręczące ją pytanie.

Mężczyzna nabrał pełne garście okrągłych kamieni do gotowania.

– Pozwól, że ci pokażę – powiedział. Ułożył je w rzędy, i wskazując na kolejne kamienie zaczął liczyć: Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Ayla przyglądała się z rosnącym podnieceniem.

Kiedy skończył, rozejrzał się za czymś innym do liczenia i podniósł kilka z kijów Ayli.

– Jeden – powiedział, odkładając pierwszy z nich na bok dwa – odkładając następny – trzy, cztery, pięć...

Ayla przypomniała sobie, jak Creb mówił jej – rok urodzenia, rok chodzenia, rok odstawienia... – wskazując na jej wysunięte palce. Wyciągnęła dłoń i spoglądając na Jondalara, wskazała po kolei na palce.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć – powiedziała.

– Tak jest! Wiedziałem, że byłaś bliska pojęcia tego, gdy zobaczyłem twoje kije.

Uśmiechnęła się ze zwycięską radością. Podniosła jeden z kijów i zaczęła liczyć nacięcia. Jondalar przejął dalsze liczenie, gdy jej zabrakło znanych słów, ale nawet on musiał skończyć liczenie kilku nacięć powyżej drugiego dodatkowego nacięcia. Zmarszczył w skupieniu brwi.

– Czy te nacięcia oznaczają, jak długo tu byłaś? – zapytał, wskazując na kilka wyciągniętych przez nią kijów.

– Nie – powiedziała i poszła po resztę. Rozwiązała wiązkę i rozsypała wszystkie kije.

Jondalar przyjrzał się im uważniej i pobladł. Ścisnęło go w

dołku. Lata! Te nacięcia odpowiadały latom! Rozłożył je, aby widzieć wszystkie nacięcia, i przez chwilę przyglądał im się z uwagą. Choć zelandoni wyjaśnił mu pewne sposoby na zliczenie większych liczb, to jednak musiał pomyśleć.

Wtem uśmiechnął się. Zamiast próbować liczyć dni, policzył dodatkowe nacięcia, które odpowiadały pełnym cyklom księżyca, a także początkowi jej księżycowego czasu. Wskazując każde z nacięć, robił znak na ziemi, tak jakby liczył głośno. Po trzynastej kresce zaczął nowy rząd, ale przeskoczył pierwszy, tak jak tłumaczył mu zelandoni, i postawił jedynie dwanaście kresek. Cykle księżyca nie odpowiadały dokładnie porom roku czy latom. Skończył liczyć nacięcia, ostatni znak postawił przy końcu trzeciego rzędu, a potem spojrzał na nią z pełnym podziwu szacunkiem.

– Trzy lata! Byłaś tu trzy lata! Tyle właśnie czasu byłem w podróży. Byłaś sama przez cały ten czas?

– Miałam Whinney, a potem...

– Ale nie widziałaś żadnych ludzi?

– Nie, nie widziałam od czasu opuszczenia klanu. Zastanowiła się nad latami w sposób, jaki je sobie dzieliła. Początek, kiedy opuściła klan, znalazła dolinę i przygarnęła małego źrebaczka, nazywała go rokiem Whinney. Następnej wiosny znalazła lwiątko, więc nazywała ten rok – rokiem Maluszka. Czas pomiędzy rokiem Whinney a rokiem Maluszka odpowiadał jednemu rokowi według obliczeń Jondalara. Następny był rokiem ogiera, drugi rok. I trzeci był rokiem Jondalara i źrebaka. W ten sposób łatwiej było jej zapamiętać minione lata, ale spodobały jej się liczące słowa. Jej nacięcia powiedziały mężczyźnie o tym, jak długo już była w tej dolinie, i chciała się tego nauczyć.

– Czy wiesz, ile masz lat, Aylo? Ile lat już żyjesz? – zapytał nagle Jondalar.

– Niech pomyślę – powiedziała. Wyciągnęła przed siebie dłoń z rozłożonymi palcami. – Creb mówił, że Iza sądziła, iż mam może tyle... pięć lat... gdy mnie znaleźli. – Jondalar zrobił na ziemi pięć kresek. – Durc urodził się wiosną roku, w którym udaliśmy się na Zgromadzenie Klanu. Zabrałam go z sobą. Creb mówił, że pomiędzy kolejnymi Zgromadzeniami Klanu jest tyle lat. – Wyciągnęła dodatkowe dwa palce drugiej ręki.

– To siedem – powiedział Jondalar.

– Poprzednie było latem przed moim znalezieniem.

– Jeden mniej – niech pomyślę – rzekł, robiąc kolejne kreski na ziemi. Potem pokręcił głową. – Jesteś pewna? To by oznaczało, że urodziłaś syna, mając jedenaście lat!

– Jestem pewna.

– Słyszałem o kobietach, które bardzo młodo rodziły dzieci. Zwykle jednak kobiety zostają matkami w wieku trzynastu, czternastu lat, a i tak niektórzy twierdzą, że to zbyt młodo. A ty byłaś prawie dzieckiem.

– Nie, nie byłam dzieckiem. Od kilku lat nie byłam już dzieckiem. Byłam zbyt duża, aby być dzieckiem, wyższa od wszystkich, nawet od mężczyzn. I miałam już więcej lat niż większość dziewczynek klanu w chwili, gdy zostają kobietami. – Uśmiechnęła się krzywo. – Nie sądzę, abym mogła dłużej z tym zwlekać. Niektórzy myśleli, że nigdy nie będę kobietą, ponieważ miałam bardzo silny męski totem. Było tak dopóki... – Zawahała się, a uśmiech znikł jej z twarzy. – To był rok Brouda. Następny był rokiem Durca.

– Rok przed urodzeniem syna – dziesięć! Miałaś dziesięć lat, gdy cię zniewolił? Jak on mógł zrobić coś takiego?

– Byłam kobietą, wyższą od innych. Wyższą nawet od niego. – Ale nie byłaś od niego większa! Widziałem kilku płaskogłowych! Może nie są wysocy, ale są bardzo silni. Nie chciałbym z takim walczyć wręcz.

– To ludzie – poprawiła łagodnie. – Nie są płaskogłowymi – to ludzie klanu.

Zatkało go. Pomimo łagodnego tonu miała uparty wyraz twarzy. – Nawet po tym, co się stało, nadal obstajesz, że to nie zwierzę? – Skoro mówisz, że Broud to zwierzę, ponieważ mnie niewolił, to jak nazwiesz mężczyznę, który zniewolił kobietę klanu?

Takie postawienie sprawy nie przyszło Jondalarowi do głowy. – Nie wszyscy mężczyźni byli tacy, jak Broud. Większość z nich nie była taka. Creb taki nie był – był łagodny i dobry, choć był potężnym Mog-urem. Brun taki nie był, choć był przywódcą. Był stanowczy, ale był przy tym sprawiedliwy. Przyjął mnie do klanu. Pewne rzeczy musiał zrobić – tego wymagały zwyczaje klanu – ale okazał mi swą wdzięczność. Mężczyźni klanu nie często na oczach wszystkich okazują wdzięczność kobiecie. Pozwolił mi polować; przyjął Durca. Kiedy odchodziłam obiecał, że będzie go chronił.

– Kiedy odeszłaś?

Zamilkła, aby pomyśleć. Rok urodzenia, rok chodzenia, rok odstawienia.

– Durc miał trzy lata, gdy odeszłam – powiedziała. Jondalar dorysował jeszcze trzy kreski. – Miałaś czternaście lat? Tylko czternaście lat? I od tamtego czasu żyłaś samotnie? Przez trzy lata? – Policzył kreski. Masz siedemnaście lat, Aylo. W ciągu swych siedemnastu lat przeżyłaś całe życie.

Ayla siedziała przez pewien czas w zamyśleniu.

– Durc ma teraz sześć lat. Mężczyźni zabierają go pewnie z sobą na ćwiczenia. Grod zrobi mu dzidę, odpowiednią do jego wzrostu, a Brun nauczy go posługiwania się nią. A stary Zoug, jeżeli jeszcze żyje, pokaże mu, jak się posługiwać procą. Durc będzie ćwiczył polowanie na małe zwierzęta ze swym przyjacielem, Grevem Durc jest młodszy, ale wyższy niż Grev. Zawsze był jak na swój wiek wysoki – ma to po mnie. Potrafi szybko biegać; nikt nie umie biegać szybciej od niego. I jest dobry w posługiwaniu się procą. I Uba go kocha. Kocha go tak bardzo, jak ja sama.

Ayla nie zauważała swych łez, dopóki jej oddech nie zmienił się w szloch. Sama nie wiedziała, jak się znalazła w objęciach Jondalara z głową na jego ramieniu.

– Dobrze, już dobrze – powiedział mężczyzna, poklepując ją delikatnie. Matka w wieku jedenastu lat, rozdzielona z synem, gdy miała czternaście. Nie widziała, jak dorastał, nawet nie ma pewności, czy jeszcze żyje. Jest pewna, że ktoś go kocha i opiekuje się nim i uczy go polować... jak każde inne dziecko.

W końcu Ayla wyczerpana szlochaniem, ale z wyraźną ulgą, tak jakby pozbyła się części przygniatającego ją smutku, uniosła głowę z ramienia mężczyzny. Pierwszy raz, odkąd opuściła klan, mogła się podzielić swym bólem z inną ludzką istotą. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Jondalar odpowiedział jej pełnym czułości i współczucia uśmiechem. A w głębi jego błękitnych oczu było znać coś jeszcze więcej, co nieświadomie wypływało z wnętrza jego duszy. Jego spojrzenie trąciło właściwą strunę w jej sercu. Przez długą chwilę trwali zatopieni w swych oczach, które milcząco wyrażały to, czego nie chcieli powiedzieć głośno.

Dla Ayli było to jednak zbyt duże napięcie; nadal nie czuła się

całkiem swobodnie, patrząc komuś prosto w oczy. Odwróciła wzrok i zaczęła zbierać swe kije. Jondalar też potrzebował dłuższej chwili, zanim się opanował i zaczął pomagać jej przy wiązaniu kijów. Pracując obok niej, bardziej zdawał sobie sprawę z jej pełnych ciepła krągłości i miłego kobiecego zapachu niż wtedy, gdy pocieszał ją w swoich ramionach. Ayla zaś czuła jeszcze dotyk jego rąk i słonawy smak jego skóry wilgotnej od jej łez.

Oboje uświadomili sobie, że dotykali się, i żadne z nich nie czuło się tym urażone, jednakże ostrożnie unikali wzajemnie swych spojrzeń i nie przysuwali się zbyt blisko siebie w obawie, że mogliby zakłócić ten nie planowany moment czułości.

Ayla podniosła wiązkę kijów, a potem odwróciła się do mężczyzny.

– A ile ty masz lat? – zapytała.

– Kiedy rozpoczynałem podróż, miałem osiemnaście lat. Thonolan miał piętnaście... a osiemnaście, gdy zginął. Taki młody. Na twarzy Jondalara pojawił się wyraz bólu; po chwili podjął dalej. – Teraz mam dwadzieścia jeden lat... i jeszcze nie mam partnerki. A w moim wieku powinienem ją już mieć. Większość mężczyzn znajduje sobie kobietę i zakłada ognisko w znacznie młodszym wieku. Nawet Thonolan. Miał szesnaście lat, gdy zawierał swój związek.

– Ja znalazłam tylko dwóch mężczyzn, gdzie jest jego partnerka?

– Umarła podczas porodu. Jej syn również umarł. – Współczucie napełniło Ayli oczy. – To dlatego ponownie wyruszyliśmy w podróż. On nie mógł tam zostać. Od początku to była bardziej jego podróż niż moja. To on zawsze był żądny przygód, zawsze lekkomyślny. Niczego się nie lękał i wszyscy byli

jego przyjaciółmi. Ja jedynie z nim wędrowałem. Thonolan był moim bratem i najlepszym przyjacielem, jakiego miałem. Po śmierci Jetamio próbowałem przekonać go, by wrócił wraz ze mną do domu, ale on nie chciał. Przepęłniał go tak wielki żal, że pragnął podążyć za nią na drugi świat.

Ayla przypomniała sobie rozpacz, jaka ogarnęła Jondalara, gdy uświadomił sobie, że jego brat nie żyje, i spostrzegła, że nadal z tego powodu cierpi.

– Skoro tego właśnie pragnął, to – być może – jest szczęśliwszy. Trudno jest dalej żyć, gdy się straciło kogoś bardzo kochanego – powiedziała łagodnie.

Jondalar myślał o niepocieszonym smutku brata i teraz umiał go lepiej zrozumieć. Może Ayla miała rację. Ona powinna to wiedzieć najlepiej; wycierpiała wystarczająco dużo, los nie szczędził jej przykrych przeżyć. Ale wybrała życie. Thonolan był odważny, zuchowaty i porywczy; Ayla miała odwagę przetrwać.

Ayla nie mogła spać, a słysząc, jak Jondalar po drugiej stronie paleniska przewraca się i wzdycha, zastanawiała, się czy i on nie śpi. Miała ochotę wstać i pójść do niego, ale czułość, z jaką się dzielili swymi smutkami, zdawała się tak krucha i ulotna, że bała się zniszczyć ją, pragnąc więcej, niż on chciał dać.

W przyćmionym, czerwonym blasku żarzącego się ogniska, mogła dostrzec zarys jego ciała spowitego w skóry, wyciągnięte opalone ramię i muskularną łydkę oraz leżącą na ziemi piętę. Widziała go wyraźniej, przymykając oczy. Długie, jasne włosy, związane z tyłu kawałkiem rzemyka, broda, kręcona i ciemniejsza; porażające oczy, które mówiły więcej niż jego słowa i duże, czułe dłonie o długich palcach – wszystko to zapadło jej głęboko w pamięć. Napełniało jej wyobraźnię. Zawsze wiedział, co począć ze swoimi dłońmi, czy to trzymając kawałek



krzemienia, czy też drapiąc żrebaka. Zawodnik. To dobre imię. Mężczyzna go nazwał.

Jak taki wysoki i silny mężczyzna może być tak delikatny? Czują przecież twardość jego mięśni, czują ich ruch, gdy ją pocieszał. Był... nie wstydził się okazać troskę i smutek. Mężczyźni klanu zachowywali się z większym dystansem, z większą rezerwą. Nawet Creb, pomimo całej miłości, jaką ją darzył, nie okazywał otwarcie swych uczuć, nawet w obrębie własnego ogniska.

Co zrobi, gdy Jondalar odejdzie? Nie chciała o tym myśleć. Ale musiała spojrzeć prawdzie w oczy – on zamierzał odejść. Powiedział, że chce podarować jej coś, nim odejdzie – powiedział, że odchodzi.

Ayla się kręciła, przewracała, patrząc w przelocie na jego nagi, opalony tułów, tył głowy i szerokie bary; raz dostrzegła jego prawe udo naznaczone szramą. Dlaczego został tu przysłany? Uczyla się nowych słów – czy po to, aby nauczyć ją mówić? Chciał jej pokazać nowy sposób polowania, lepszy sposób. Kto by pomyślał, że mężczyzna chce ją nauczyć nowych umiejętności łowieckich? Pod tym względem Jondalar także różnił się od mężczyzn klanu. Może mogłabym zrobić mu coś takiego, aby mnie pamiętał.

Ayla zdrzemnęła się, myśląc o tym, jak bardzo pragnęła, aby znowu ją objął, aby znowu mogła poczuć ciepło jego skóry na swojej. Obudziła się tuż przed świtem ze snu, w którym on przemierzał skuty zimą step i wiedziała już, co uczyni. Chciała zrobić coś, co zawsze będzie blisko jego ciała, coś, co będzie dawało mu ciepło.

Wstała po cichu i odszukała rzeczy, które zdjęła z niego pierwszej nocy, i przyniosła je bliżej do ogniska. Nadal były

sztynne od zaschniętej krwi, ale jeżeli je wypłucze, to będzie wiedziała, jak zostały zrobione. – Koszulę, z pięknym wzorem można ocalić, pomyślała, jeżeli się wymieni te kawałki na ręce. Spodnie trzeba zrobić na nowo, ale część kurtki można zachować. Okrycia na nogi nie były uszkodzone; potrzebowały jedynie nowych rzemyków.

Pochyliła się nad czerwonym żarem i przyglądała się miejscom spojenia. Wzdłuż brzegów skóry były porobione małe otworki, przez które przeciągnięto następnie ścięgna i cienkie pasma skóry. Przyglądała się im już poprzednio, tej nocy, gdy musiała rozciąć jego odzienie, aby je z niego zdjąć. Nie była pewna, czy potrafi zrobić coś takiego, ale mogła spróbować.

Jondalar się poruszył i Ayla wstrzymała oddech. Nie chciała, aby zobaczył ją ze swym ubraniem, nie chciała, aby o tym wiedział, dopóki nie będzie gotowe. Mężczyzna uspokoił się ponownie i począł głęboko oddychać, jak w czasie mocnego snu. Ayla zwinęła rzeczy i schowała je pod swoje skóry. Potem przejrzy stertę wyprawionych skór i futer i wybierze te, które jej się przydadzą.

Przez wejście do jaskini poczęło się sączyć słabe światło. Nieznaczne zmiany w ruchach i oddechu Jondalara były dla Ayli znakiem jego przebudzenia się. Dołożyła do ognia i włożyła do niego kamienie, aby się nagrzały. Potem wystawiła naczynie do zaparzania napoju. Worek na wodę był niemal pusty, a napój był lepszy, gdy się zaparzał ze świeżej wody. Ayla, kierując się do wyjścia przystanęła po drodze przy Whinney i jej żrebaku, gdy klacz cicho parsknęła.

– Mam cudowny pomysł – oznajmiła koniowi z uśmiechem w bezgłośnym języku gestów. – Mam zamiar zrobić Jondalarowi odzienie, jego rodzaj odzienia. Myślisz, że to mu się spodoba?

Wtem uśmiech zniknął z jej twarzy. Objęła kark Whinney, drugą ręką Zawodnika i oparła czoło o klacz. – Wówczas mnie opuści, pomyślała. Nie mogła zmusić go, aby pozostał. Mogła jedynie pomóc mu odejść.

Przy pierwszych blaskach poranka zeszła na dół, próbując zapomnieć o swojej niewesołej przyszłości bez Jondalara, i starając się znaleźć pewne pocieszenie w myśli, że ubranie, które mu robi, będzie zawsze blisko jego ciała. Zsunęła swe okrycie, by zażyć orzeźwiającej porannej kąpieli, potem znalazła odpowiedniej wielkości gałązkę i napełniła worek wodą.

Tego ranka spróbuję czegoś innego, pomyślała: zaparzę słodką trawę i rumianek. – Oczyszczyła korę z gałązki, położyła ją obok miseczki i zaczęła parzyć napój. Maliny były dojrzałe. – Chyba ich trochę nazbieram.

Przygotowała Jondalarowi gorący napój, wybrała odpowiedni kosz do zbierania malin i znowu wyszła z jaskini. Whinney i Zawodnik poszli za nią i zaczęli skubać trawę w pobliżu kępy malin. Ayla wykopała jeszcze małą, żółtawą, dziką marchewkę oraz białe, sycące orzeszki ziemne, które były dobre na surowo, choć ona wolała je pieczone.

Kiedy wróciła, Jondalar był już na zalanej słońcem półce skalnej przed jaskinią. Pomachała mu ręką, płuczac korzenie, a potem zaniósła je na górę i dodała do wywaru, który zaczęła przygotowywać z suszonego mięsa. Spróbowała, dosypała nieco suszonych ziół, a potem podzieliła na pół maliny i naląła sobie zimnego napoju.

– Rumianek – powiedział Jondalar – i nie wiem, co jeszcze.

– Nie wiem, jak to nazywasz, to coś w rodzaju słodkiej trawy. Pokażę ci kiedyś tę roślinę. – Zauważyła, że wyciągnął część ze swych narzędzi oraz kilka ze zrobionych wcześniej ostrzy.

– Pomyślałem sobie, że wcześniej zacznę – powiedział, widząc jej zainteresowane spojrzenie. – Muszę najpierw zrobić sobie pewne narzędzia.

– Czas iść na polowanie. Suszone mięso jest takie chude. O tej porze roku zwierzęta powinny już zgromadzić pod skórą trochę tłuszczu. Mam apetyt na ociekającą tłuszczem, świeżą pieczeń. Jondalar się uśmiechnął.

– Już na samą myśl cieknie mi ślinka z ochoty na te smakowitości. Znakomicie gotujesz, Aylo.

Ayla się zarumieniła i pochyliła głowę. Miło było wiedzieć, że tak uważa, ale dziwiło ją, że czuł potrzebę wspomnienia o czymś, co jej wydawało się naturalną powinnością.

– Nie chciałem cię wprowadzić w zakłopotanie.

– Iza zwykła mawiać, że pochwały powodują w duchach zazdrość. Wystarczającą pochwałą powinno być dobre wywiązywanie się ze swych zadań.

– Myślę, że Marthona polubiłaby twoją Izę. Ją również drażnią pochwały. Zwykła mawiać: “Najlepszą pochwałą jest dobrze wykonana praca”. Wszystkie matki muszą być takie same.

– Marthona jest twą matką?

– Tak, nie mówiłem ci?

– Przypuszczałam, że tak jest, ale nie byłam pewna. Masz rodzeństwo? Inne oprócz brata, którego straciłeś?

– Mam starszego brata, Joharrana. Jest teraz przywódcą Dziewiątej Jaskini. Urodził się przy ognisku Joconana. Po jego śmierci matka została partnerką Dalanara. Ja się urodziłem przy jego ognisku. Potem Marthona i Dalanar zerwali więzy i ona została partnerką Willomara. Thonolan się urodził przy jego ognisku, tak jak i moja młodsza siostra, Folar.

– Mieszkałeś z Dalanarem, prawda?

– Tak, przez trzy lata. Nauczył mnie swej sztuki – nauczyłem się od najlepszego. Miałem dwanaście lat, gdy się do niego przeprowadziłem, od roku byłem już mężczyzną. Moja męskość wcześniej dała o sobie znać i byłem duży jak na swój wiek. Przez moment jego twarz przybrała dziwny, nieodgadniony wyraz. – Lepiej się stało, że odszedłem.

Potem się uśmiechnął.

– To było wtedy, gdy poznałem swoją kuzynkę, Joplayę. Jest córką Jeriki, urodzoną przy ognisku Dalanara, po tym jak została jego partnerką. Jest młodsza ode mnie o dwa lata. Dalanar uczył nas równocześnie obróbki krzemienia. To była ciągła rywalizacja – to dlatego nigdy nie chciałem powiedzieć jej, jak jest dobra. Ale ona o tym i tak wiedziała. Miała doskonałe oko i pewną rękę – któregoś dnia dorówna Dalanarowi.

Ayla milczała przez chwilę.

– Nie rozumiem, Jondalarze. Folarą ma tą samą matkę co ty, więc jest twoją siostrą, prawda?

– Tak.

– Ty urodziłeś się przy ognisku Dalanara i Joplaya urodziła się przy ognisku Dalanara, i jest twoją kuzynką. Jaka jest różnica pomiędzy siostrą a kuzynką?

– Siostry i bracia pochodzą od tej samej matki. Kuzyni nie są z sobą aż tak blisko spokrewnieni. Urodziłem się przy ognisku Dalanara – prawdopodobnie jestem jego ducha. Ludzie mówią, że jesteśmy do siebie podobni. Myślę, że Joplaya również jest jego ducha. Jej matka była niska, ale ona sama jest wysoka jak Dalanar. Nie dorównuje mu zupełnie wzrostem, ale myślę, że jest trochę wyższa od ciebie. Nikt nie wie na pewno, czyjego ducha Wielka Matka wybierze, by zmieszać z duchem kobiety, więc Joplaya i ja możemy być ducha Dalanara, ale któż to wie? Dlatego

jesteśmy kuzynami.

Ayla skinęła głową.

– Być może, Uba jest kuzynką, ale dla mnie była siostrą.

– Siostrą?

– Nie byliśmy prawdziwym rodzeństwem. Uba była córką Izy, urodzoną po moim znalezieniu. Iza mówiła, że obie jesteśmy jej córkami. – Ayla się zatopiła we własnych myślach. – Uba miała partnera, ale nie tego mężczyznę, którego by sobie wybrała. Ale ten drugi mężczyzna mógł wziąć za partnerkę jedynie swą bliźniaczkę, w klanie nie można było brać bliźniąt za partnerów.

– My nie wchodzimy w związki z naszymi braćmi czy siostrami – powiedział Jondalar. – Również nie bierzemy zwykle za partnerów swych kuzynów, choć to nie jest całkowicie zabronione. Takie postępowanie nie cieszy się jednak powszechnym uznaniem. Pewni kuzyni są łatwiej przyjmowani w roli partnerów niż inni. – Jakiego to rodzaju kuzyni?

– Wielu rodzajów, niektórzy bliżsi inni dalsi. Dzieci siostry twojej matki są twoimi kuzynami; dzieci partnerki brata twojej matki; dzieci...

Ayla kręciła głową.

– To takie pogmatwane! Skąd wiesz, kto jest twoim kuzynem, a kto nie? Prawie wszyscy mogą być kuzynami... Kogo ze swej jaskini mógłbyś wziąć za partnerkę?

– Większość ludzi nie bierze partnerów spośród ludzi własnej jaskini. Zwykle jest to ktoś poznany na Letnim Spotkaniu. Myślę, że związanie się z kuzynką jest czasami dozwolone, ponieważ można nie wiedzieć, że osoba, z którą się chce związać, jest kuzynem, dopóki nie zostaną wymienione twoje więzy... twoje związki rodzinne. Jednakże ludzie zwykle znają swych najbliższych kuzynów, nawet jeżeli żyją oni w innej jaskini.

– Jak Joplaya?

Jondalar, mając usta pełne malin, kiwnął głową.

– Jondalarze, a jeżeli to nie duchy poczynają dzieci? A jeżeli to czyni mężczyzna? Czyż nie oznaczałoby wtedy, że dzieci są w równej mierze od matki, jak i od ojca?

– Dziecko rośnie we wnętrzu kobiety. Pochodzi od niej.

– To dlaczego kobiety i mężczyźni lubią się łączyć?

– A po co Matka ofiarowała nam dar rozkoszy? – Powinnaś o to zapytać zelandoni.

– Dlaczego zawsze mówisz “dar rozkoszy”? Wiele rzeczy czyni ludzi szczęśliwymi i sprawia im rozkosz. Czy mężczyźni sprawiają tak wielką rozkosz wkładanie swego organu w kobietę?

– Nie tylko mężczyźni, kobiecie... ale ty tego nie wiesz, prawda? Nie miałaś swego rytuału Pierwszej Rozkoszy. Mężczyzna cię otworzył, uczynił z ciebie kobietę, ale to nie to samo. To było haniebne! Jak ci ludzie mogli pozwolić na coś takiego?

– Oni tego nie rozumieją, widzieli jedynie, co zrobił. A to, co zrobił, nie było haniebne, haniebny był jedynie sposób, w jaki to uczynił. Nie zrobiono tego dla rozkoszy – Broud zrobił to z nienawiści. Czułam ból i gniew, ale nie wstyd. Nie sprawiało mi to również rozkoszy. Nie wiem, czy to Broud począł moje dziecko, czy też uczynił ze mnie kobietę, abym mogła je mieć, ale mój syn mnie uszczęśliwił. Durc był moją rozkoszą.

– Dar Życia Matki przynosi radość, ale połączeniu kobiety i mężczyzny również powinno towarzyszyć coś więcej. To także jest darem i powinno przynosić radość, aby należycie uszanować jej dar.

To może również nieść z sobą więcej, niż myślisz, szepnęła do siebie. – Choć z drugiej strony on wydaje się taki pewny tego, co

mówi. A może ma rację? – Ayla niezupełnie mu wierzyła, ale zastanowiło ją to.

Po posiłku Jondalar poszedł na szerokie, płaskie miejsce na półce skalnej, gdzie miał rozłożone swoje narzędzia. Ayla podążyła za nim i usadowiła się w pobliżu. Rozłożył zrobione przez siebie ostrza, aby móc je porównać. Drobne różnice czyniły je bardziej przydatnymi do wykonania określonych narzędzi. Jondalar podniósł jedno z ostrzy, wyciągnął je pod słońce, a potem pokazał kobiecie.

Ostrze było ponad cztery cale długie i mniej niż jeden cal szerokie. Wybrzuszenie biegnące przez środek zewnętrznej powierzchni było proste i spłaszczało się równomiernie ku brzegom. Ostrze wyginało się ku górze, w kierunku gładkiej wewnętrznej, wybrzuszonej powierzchni. Jedynie pod słońce było widać załamane promienie przeświecające przez bardzo płaskie wybrzuszenie powstałe po uderzeniu. Dwie krawędzie tnące były proste i ostre. Jondalar wyrwał włos z brody i sprawdził ostrość krawędzi. Przecięła włos bez trudności. Było to najdoskonalsze z ostrzy, jakie mógł zrobić.

– Zostawię je sobie do golenia – powiedział.

Ayla nie wiedziała, co znaczy to słowo, ale przy Droogu nauczyła się nie zadawać pytań, które mogłyby rozproszyć jego skupienie. Jondalar odłożył ostrze na bok i podniósł następne. Na tej płytce obie krawędzie tnące zbiegały się, zwężając na końcu. Sięgnął po gładki kamień, około dwa razy większy od jego pięści, i położył na nim wąski koniec ostrza. Potem stępionym końcem rogu nadał końcowi płytki kształt trójkąta. Przyciskając trójkątną krawędź do kamiennego kowadła oddzielił kawałeczek, dzięki czemu na ostrzu powstał ostry, wąski czubek.

Wyciągnął koniec swego skórzanego okrycia i zrobił w nim



małą dziurkę.

– To jest szydło – powiedział, pokazując je Ayli. – Robi się nim małe otworki do przewleczenia ścięgien zszywających ubranie. Widział, jak się przyglądałam jego odzieniu, pomyślała nagle Ayła. Musiał wiedzieć, co planowałam zrobić.

– Mam zamiar zrobić również świder. Jest podobny do tego, ale większy i solidniejszy, i służy do robienia otworów w drewnie, kości czy rogu.

Poczuła ulgę; on jedynie mówił o przeznaczeniu swych narzędzi. – Posługiwałam się... szydłem, aby zrobić otwory w woreczkach, ale nie były tak cienkie, jak to.

– Chciałabyś je? – zapytał z uśmiechem. – Mogę sobie zrobić drugie.

Ayła wzięła szydło i pochyliła głowę, starając się wyrazić mu swą wdzięczność sposobem klanu. Wtem przypomniała sobie.

– Dziękuję – rzekła.

Twarz Jondalara pojaśniała z zadowolenia. Potem podniósł inne ostrze, oparł je na kamieniu. Tępy młotkiem ociosał jego koniec, nadając mu lekko skośny kształt. Następnie, trzymając ociosany koniec prostopadle do uderzenia, uderzył mocno w jedną z krawędzi. Odpadł długi kawałek – w kształcie rylca – pozostawiając na ostrzu mocny, cienki jak dłuto koniec.

– Znasz takie narzędzie? – zapytał. Ayła się przyjrzała, a potem pokręciła głową i oddała je z powrotem.

– To rylec – powiedział. – Używają ich snycerze i rzeźbiarze, ale te do rzeźbienia są nieco inne. Mam zamiar użyć go do robienia broni, o której ci wspominałem.

– Rylec, rylec – powtarzała, ucząc się wymawiać kolejne słowo.

Po zrobieniu jeszcze kilku narzędzi podobnych do tego, jakie wykonał, Jondalar wytrzepał płachtę, którą okrywał kolana, nad

krawędzią tarasu i przysunął sobie bliżej misę z kośćmi. Wyciągnął długą kość, otarł ją, a potem począł obracać w dłoni decydując, skąd zacząć. Następnie usiadł, przycisnął ją nogą i posługując się rylcem, zrobił na całej jej długości rysę. Następnie wyrył drugą linię, która zbiegła się z pierwszą. Trzecia krótka rysa utworzyła podstawę wydłużonego trójkąta.

Ponownie przejechał po pierwszej linii i zmiotł długi, zakręcony kościany wiór, potem pracował dalej za pomocą dłuta, za każdym pociągnięciem pogłębiając bardziej rysy zrobione rylcem. Tak długo rył kość, dopóki nie przebił się do jej rdzenia, a później pociągnął dłutem po raz ostatni, upewniając się, że przeciął kość wzdłuż całego wyżłobienia. Następnie nacisnął na podstawę trójkąta. Długi wierzchołek trójkąta odskoczył i Jondalar wyciągnął trójkątny kawałek kości. Odłożył go na bok, znowu wziął kość i wyrył następną długą linię, która przecięła się z bokiem poprzedniego trójkąta.

Ayla przyglądała się uważnie, nie chcąc niczego przegapić. Ale teraz Jondalar powtarzał czynności i jej myśli powędrowały ku ich rozmowie podczas śniadania. Jondalar zmienił swój stosunek do mnie, uświadomiła sobie. Znać to było nie tyle z treści robionych przez niego uwag, ale ze zmiany tonu, w jakim je wypowiadał.

Przypomniała sobie, jak mówił: “Marthona polubiłaby twoją Izę”, coś o tym, że wszystkie matki są takie same. Jego matka polubiłaby płaskogłową? Są do siebie podobne? A potem, pomimo to, że był rozgniewany, mówił o Broudzie jak o mężczyźnie, mężczyźnie, który otworzył ją, by miała dziecko. I powiedział, że nie pojmuje, jak ci “ludzie”, mogli do tego dopuścić. Nie zauważył tego nawet i to sprawiło jej jeszcze większą przyjemność. Myślał o klanie jak o ludziach. Nie

zwierzętach, nie płaskogłowych, nie paskudztwach – ludziach!

Jej uwagę ponownie przyciągnęły ruchy mężczyzny, gdy ten zmienił zajęcie. Podniósł jeden z kościanych trójkątów oraz krzemienny skrobak o ostrych krawędziach i zaczął wygładzać ostre końce kości, strugając długie wióry. Nie za długo trzymał w dłoni zaokrąglony kawałek zwężającej się do ostrego końca kości.

– Jondalar, czy ty robisz... dzidę? Mężczyzna się uśmiechnął.

– Kość można zaostrzyć podobnie jak drewno, ale ono jest mocniejsze i nie rozszczenia się.

– Czy to bardzo krótka dzida? – zapytała.

Na to Jondalar wybuchnął głośnym, zdrowym śmiechem.

– Dobrze by było, gdyby to już było wszystko. Ja robię teraz jedynie ostrze. Niektórzy ludzie robią krzemienne ostrza. Mamutoi tak robią, szczególnie na polowania na mamuty. Krzemień jednak jest kruchy i pęka, ale ostre jak krzemienne ostrza dzidy potrafią łatwiej przebić grubą mamucią skórę. Jednakże do większości polowań lepiej nadają się kościane ostrza. Drzewca będą z drewna. – Jak je z sobą połączysz?

– Patrz – powiedział, odwracając ostrze, aby pokazać jego podstawę. Mogę rozszczyć ten koniec rylcem albo nożem, a potem ostrugać koniec drzewca, żeby pasował do tego rozcięcia.

– Pokazał jej to na palcach. – Później mogę dodać trochę kleju lub smoły i okręcić to ciasno wilgotnym ścięgnem lub rzemykiem. Kiedy wyschnie i skurczy się, to będzie trzymać razem te dwie części.

– Ten czubek jest zbyt mały. Drzewce musiałyby być gałązką!

– Będzie większe od gałązki, ale i nie tak ciężkie jak twoja dzida. Nie może zresztą być, skoro ma się tym rzucać.

– Rzucać! Rzucać dzidą?

– Przecież rzucasz kamienie swą procą, prawda? Możesz to

samo robić z dzidą. Nie będziesz musiała kopać dołów-pułapek i będziesz mogła polować nawet w biegu, gdy już nabierzesz wprawy. Patrząc jak sobie dobrze radzisz z procą myślę, że szybko się tego nauczysz.

– Jondalar! Czy ty wiesz, jak często pragnęłam móc zapolować na jelenia czy żubra z procy? Nigdy nie myślałam jednak o rzucaniu dzidy. – Zmarszczyła czoło. – Czy potrafisz rzucać tym z wystarczającą siłą? Ja potrafię rzucać dalej i z większą siłą procą niż ręką.

– Twój rzut nie będzie miał takiej siły, ale będziesz miała przewagę w postaci odległości. Masz jednak rację. Szkoda, że nie można rzucać dzidą, z procy, ale... – przerwał w pół zdania. Zastanawiam się... – Ściągnął brwi zaskoczony nagłą myślą. Nie, nie sądzę... Gdzie moglibyśmy znaleźć jakieś drzewca?

– Nad strugą. Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogłabym pomóc przy robieniu tych dzid? Nauczyłabym się szybciej, gdybyś był przy mnie i mówił, co źle robię.

– Tak, oczywiście – powiedział, ale zrobiło mu się smutno, gdy schodził ścieżką w dół. Zapomniał o swoim odejściu i było mu przykro, że mu o tym przypomniała.

## . 27 .



Ayla przykucnięta spoglądała przez zasłonę wysokiej, złocistej trawy, chylając się pod ciężarem dojrzałych kłosów, i koncentrowała uwagę na konturze zwierzęcia. W prawej dłoni trzymała jedną gotową do rzutu dzidę, w lewej zaś drugą. Długi kosmyk jasnych włosów wymknął się z ciasno splecionego warkocza i trzepotał jej po twarzy. Przesunęła nieco w dłoni długie drzewce, szukając punktu równowagi, a potem przymrużyła oczy, uchwyciła oszczep mocniej i wycelowała. Pochylając się do przodu wyrzuciła broń.

– Och, Jondalar! Nigdy nie będę celnie rzucała tym oszczepem!  
– powiedziała z rozdrażnieniem Ayla. Pomaszerowała w kierunku drzewa, do którego była przyczepiona skóra wypchana trawą, i wydobyła nadal jeszcze drżący oszczep z zarysu zadu żubra nakreślonego przez Jondalara kawałkiem zwęglonego drewna.

– Jesteś dla siebie zbyt sroga – powiedział Jondalar, promieniejąc dumą. – Jesteś o wiele lepsza, niż myślisz. Uczysz się bardzo szybko, a przy tym rzadko kiedy widywałem taką wytrwałość. Ćwiczysz w każdej wolnej chwili i zdaje się, że w tym właśnie tkwi twój błąd. Zbyt wiele ćwiczysz. Potrzeba ci trochę wytchnienia. – Dzięki ćwiczeniom nauczyłam się

posługiwać procą.

– Ale chyba nie nabrałaś w tym wprawy z dnia na dzień, co?

– Nie. Zajęło mi to kilka lat. Ale nie chcę czekać kilku lat, by polować oszczepem.

– Nie będziesz musiała. Mogłabyś polować już teraz i pewnie udałoby ci się coś powalić. Ale nie masz już takiego rzutu i szybkości, do jakich się przyzwyczaiłaś, i nigdy go mieć nie będziesz. Musisz poznać swoje nowe możliwości. Skoro chcesz nadal ćwiczyć, to może na jakiś czas przerzuciłabyś się na procę.

– Nie muszę już ćwiczyć z procą.

– Ale potrzebna ci chwila odprężenia, a to dobry sposób. Spróbuj.

Rzeczywiście poczuła, jak opuszcza ją napięcie, gdy ścisnęła w dłoni swojski skórzany pasek i wprawiła go w ruch w znany sposób. Czowała przyjemność z nabytej wprawy, choć nauka kosztowała ją wiele wysiłku. Potrafiła trafić wszystko, co wzięła na cel, w szczególności nieruchome cele. Wyraźny podziw męczyzny zachęcił ją do pokazania swych umiejętności.

Nazbierała na brzegu strumienia kilka garści kamieni i poszła na odległy kraniec łąki, chcąc mu przedstawić swój prawdziwy zasięg. Pokazała, na czym polega technika szybkiego strzału dwoma kamieniami, a potem jak szybko potrafi rzucić następnymi dwoma kamieniami.

Jondalar ustawiał jej cele dla sprawdzenia dokładności rzutu. Ułożył na szczycie sporego głazu cztery kamienie w jednym rzędzie; kobieta strąciła je czterema szybkimi uderzeniami. Potem wyrzucił w powietrze jeden za drugim dwa kamienie, a ona trafiła je w locie. Następnie uczynił coś, co ją zaskoczyło. Stał na środku łąki, położył sobie na ramionach dwa kamienie i spojrzał na nią z uśmiechem. Wiedział, że Ayla miota procą

kamienie z taką siłą, że gdyby przypadkiem trafiła w czułe miejsce, to mogłoby to skończyć się dla niego w najlepszym wypadku bolesnym uderzeniem. Ta próba pokazywała zaufanie, jakim ją darzył, a co więcej, jakim darzył jej umiejętności.

Usłyszał świst i głucho uderzenie kamienia o pierwszy kamień, a w następnej chwili i drugi kamień został strącony. Ale Jondalar nie wyszedł bez szwanku z tego niebezpiecznego pokazu jej umiejętności. Od jednego z kamieni oderwał się maleńki okruch i wbił mu się w szyję. Jondalar nie drgnął nawet, ale zdradziła go maleńka kropelka krwi, która się pojawiła, gdy wyciągnął kamienny okruch.

– Jondalar! Jesteś ranny! – krzyknęła Ayla.

– To drobnostka, tylko okruch. Ależ ty masz wprawę z tą procą, kobieto. Nigdy nie widziałem, aby ktoś tak posługiwał się bronią. Ayla nie widziała, aby ktoś patrzył na nią, tak jak on. Z jego oczu bił szacunek i zachwyt; głos pełen był gorącej pochwały. Zaczerwieniła się, ogarnięta nagłym przyływem uczuć, które nie mając innego ujścia napęłniły jej oczy łzami.

– Gdybyś mogła tak rzucać oszczepem... – Przerwał i przymknął oczy, starając się z całych sił ujrzeć oczyma swej wyobraźni to, co mu właśnie przyszło do głowy. – Ayla, czy mógłbym posłużyć się twoją procą?

– Chcesz się nauczyć nią rzucać? – zapytała, podając mu broń.

– Niezupełnie.

Podniósł jeden z leżących na ziemi oszczepów i spróbował umieścić grubszy koniec w kieszeni procy, wyrobionej od krągłych kamieni, które w niej zwykle spoczywały. Nie znał się jednak na technice posługiwania się procą i po kilku niezdarnych próbach, oddał ją z powrotem Ayli razem z oszczepem.

– Myślisz, że mogłabyś wyrzucić swą procą oszczep?

Ayla widziała jego usiłowania i znalazła pewne rozwiązanie otóż końcem dzidy naciągnęła procę, trzymając jednocześnie jej końce i drzewce dzidy. Nie potrafiła dobrze wyważyć jej w dłoni, więc długi pocisk opuścił jej rękę z mniejszą siłą, a ona w mniejszym stopniu miała kontrolę nad jego ruchem – ale udało się go wyrzucić.

– Proca musiałaby być dłuższa albo oszczep krótszy – powiedział, starając sobie wyobrazić coś, czego nigdy jeszcze nie widział. – I proca jest zbyt wiotka. Oszczep potrzebuje solidniejszego wsparcia. Czegoś, na czym mogłaby się oprzeć... być może kawałek drewna lub kości... z oparciem na koniec, aby się nie zsuwała. Ayla! Nie jestem pewny, ale myślę, że to może się udać. Myślę, że potrafię zrobić... miotacz oszczepów!

Ayla przyglądała się, jak Jondalar konstruował i eksperymentował w równym stopniu zafascynowany samą myślą, co i jej realizacją. Ludzie, wśród których się wychowała, nie mieli umiejętności wprowadzania podobnych innowacji i Ayla nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej wynalazki związane z nowymi sposobami polowania i konstrukcją noszy mają swoje źródło w twórczych umiejętnościach, podobnych do tych, jakie miał Jondalar.

Mężczyzna wykorzystał stosowne materiały i przystosował narzędzia do nowych wymogów. Prosił ją o radę, korzystając z jej lat doświadczeń z bronią do miotania, ale wkrótce stało się oczywiste, że przyrząd, który wykonywał, był całkowicie nowym urządzeniem, choć sam jego pomysł wywodził się od procy.

Kiedy już Jondalar opracował zasady jego działania, poświęcił się przerabianiu i dostosowywaniu szczepów do nowych potrzeb. Ayla miała równie małe doświadczenie w celnym rzucaniu oszczepem, co on w posługiwaniu się procą. Toteż z błyskiem



zadowolenia w oku Jondalar przestrzegł ją, że gdy będzie już miał dobrze działające pierwsze swoje nowe urządzenie, to oboje będą musieli ćwiczyć.

Ayla uznała, że pozostawi mu wykończenie dwóch pierwszych nowych przedmiotów tymi narzędziami, które on znał najlepiej. Sama chciała wypróbować inne jego narzędzia. Na razie nie posunęła się zbyt daleko w szyciu nowego ubrania. Spędzali razem tak wiele czasu, że jedynie wczesnym rankiem lub w środku nocy, kiedy spał, znajdowała czas do pracy.

Podczas gdy Jondalar kończył udoskonalanie nowej broni, Ayla wyniosła jego stare odzienie i nowe materiały na skalną półkę. W świetle dnia mogła dokładniej się przyjrzeć, jak były połączone z sobą kawałki skóry. Sposób ten na tyle ją zainteresował, a sama odzież tak jej się spodobała, że pomyślała, iż robi również podobną dla siebie. Nie miała na razie zamiaru naśladować starannych wyszywanek z paciorków na koszuli, ale przyjrzała się im z uwagą, myśląc, iż może to być dobre zajęcie na długą samotną zimę.

Ze swego miejsca mogła obserwować to, co Jondalar robi na plaży i łące, i odłożyć swą pracę przed jego powrotem do jaskini. Ale tego dnia, gdy wbiegł ścieżką, dumnie pokazując dwa wykończone miotacze oszczepów, Ayla ledwie zdążyła zgarnąć rzeczy na niepozornie wyglądającą kupkę skór. On był zbyt pochłonięty własnym osiągnięciem, aby cokolwiek zauważyć.

– Co o tym myślisz, Ayla! Będzie działać?

Ayla wzięła od niego jeden z miotaczy. Było to proste, choć pomysłowe urządzenie: płaska drewniana platforma o połowę dłuższa od oszczepu, z wąskim rowkiem po środku, w którym spoczywał oszczep i wspornikiem w kształcie haczyka. W pobliżu czubka miotacza były przyłączone dwa skórzane paski z

pętelkami na palce.

Miotacz trzymało się poziomo, dwa palce przełożone przez pętle przytrzymywały miotacz i oszczep, który spoczywał w długim rowku z końcem opartym na haczykowatym wsporniku. Podczas wyrzutu dzięki przytrzymywaniu przez człowieka rzemiennych pętelek – koniec podrywał się do góry, wskutek czego zwiększała się długość wyrzutu. Wspomagające działanie miotacza zwiększało prędkość i siłę, z jaką oszczep opuszczał dłoń.

– Zdaje się, Jondalarze, że już czas zacząć ćwiczyć.

Ćwiczenia nową bronią wypełniły im całe dni. Rozwieszona na drzewie skóra do ćwiczeń rozpadła się od ciągłego przeszywania oszczepami i jej miejsce zajęła nowa. Tym razem Jondalar narysował na niej zarys jelenia. W miarę nabierania wprawy doradzali sobie nawzajem, wprowadzając drobne udogodnienia. Każde z nich korzystało po części z techniki posługiwania się starą bronią. Jego silne rzuty znad głowy zaczęły wynosić oszczep wyżej; jej rzuty pod kątem miały bardziej prostą linię. Każde z nich poczyniło również drobne poprawki w samych miotaczach, dopasowując je bardziej do swojego własnego upodobania.

Pomiędzy nimi wywiązała się przyjazna rywalizacja. Ayla się stała, ale nie mogła dorównać zasięgiem silnym rzutom Jondalara; Jondalar zaś nie potrafił dorównać nadzwyczajnej celności rzutów Ayli. Oboje byli zdumieni ogromną przewagą, jaką dawała im nowa broń. Jondalar po nabyciu wprawy mógł za pomocą nowej broni wyrzucić oszczep dwa razy dalej, z większą siłą i doskonałą kontrolą. Jednakże wspólne ćwiczenia miały na Aylę większy wpływ, niż sama broń.

Ayla zawsze ćwiczyła i polowała sama. Z początku bawiła się

w tajemnicy z obawy, aby jej nie odkryto. Niechętnie pozwolono jej polować. Nikt nigdy z nią nie polował. Nikt nigdy nie pocieszał jej, gdy nie trafiła do celu ani nie cieszył się wraz z nią, gdy trafienie było celne. Nikt nie omawiał z nią najlepszego sposobu posługiwania się bronią, nie radził jej innego sposobu posługiwania się nią ani też nie wysłuchiwał z szacunkiem i zainteresowaniem jej rad. Nikt nigdy się nie przekomarzał, nie żartował ani nie śmiał się razem z nią. Ayla nigdy nie doświadczyła koleżeństwa, przyjaźni i przyjemności płynących z obecności towarzystwa.

Mimo że, napięcie między nimi trochę osłabło dzięki wspólnym ćwiczeniom – nadal panował pomiędzy nimi dystans, którego nie potrafili zmniejszyć. Rozmowy na tak bezpieczne tematy jak polowanie czy broń, bywały bardzo ożywione; ale każda wzmianka dotycząca bardziej osobistych spraw powodowała zapadanie kłopotliwego milczenia i zbywanie odpowiedzi wymijającymi grzecznościami. Przypadkowe dotknięcia były niczym nagle wstrząsy, po których odskakiwali od siebie, i zaczynali się zachowywać sztucznie i oficjalnie, co z kolei wiodło do spóźnionych refleksji.

– Jutro! – powiedział Jondalar, wyciągając drgający oszczep. Z powiększonej oszczepem dziury wyszło razem z nim trochę siana, którą była wypchana skóra.

– Co jutro? – zapytał Ayla.

– Jutro pójdziemy na polowanie. Dość już tej zabawy. Nie nauczymy się już niczego więcej, tępiąc ostrza na drzewie. Czas się zabrać do tego poważnie.

– Jutro – przystała Ayla.

Pozbierali oszczepy i ruszyli z powrotem.

– Ty znasz okolicę, Ayla. Dokąd powinniśmy się udać?

– Lepiej znam stopy rozciągające się na wschodzie, ale może powinnam najpierw pójść na zwiad. Mogę pojechać na Whinney.  
– Spojrzała w górę, by sprawdzić położenie słońca. – Jeszcze jest wcześnie.

– Dobry pomysł. Ty i ten koń jesteście lepsi niż cała grupa pieszych tropicieli.

– Zatrzymasz Zawodnika? Wolałabym, aby za nami nie szedł. – A co będzie jutro, gdy pójdziemy na polowanie?

– Będziemy musieli go zabrać ze sobą. Potrzebujemy Whinney, by przywiozła z powrotem mięso. Whinney zwykle trochę się niepokoi polowaniem, ale przyzwyczała się już. Zostanie tam, gdzie jej każę, lecz źrebak może się podniecić, biegać i wpaść w panikę... nie wiem sama.

– Nie martwmy się tym teraz. Postaram się coś wymyślić. Ostry gwizd Ayli sprowadził klacz i źrebaka. Jondalar objął Zawodnika za szyję, począł go drapać i zagadywać do niego. W tym czasie Ayła dosiadła Whinney i pogalopowała. Młodemu koniowi dobrze było z mężczyzną. Kiedy kobieta i klacz już się oddaliły, Jondalar pozbierał oszczepy i oba motacze.

– No to co, Zawodniku, pójdziemy zaczekać na nie w jaskini? Położył oszczepy przed wejściem w małej szczelinie w ścianie, a potem wszedł do środka. Był niespokojny i nie wiedział, co ma z sobą począć. Pogrzebał w ogniu, zgarnął na kupkę żar i dołożył kilka drew, a potem wyszedł na dwór na skalny taras i spojrzał na dolinę. Pysk źrebaka odszukał jego dłoń, a on odruchowo począł pieścić kudłatego konika. Przesuwając palcami po gęstniejącej sierści źrebaka zaczął myśleć o zimie.

Próbował jednak skupić myśli na czymś innym. Ciepłe letnie dni zdawały się trwać wiecznie, jeden tak bardzo podobny do drugiego, że czas trwał niby w zawieszeniu. Decyzje łatwo było

odsunąć na potem. Jutro będzie dostatecznie wcześnie, aby pomyśleć o nadchodzącym zimnie... pomyśleć o odejściu. Teraz dopiero zwrócił uwagę na swą przepaskę na biodrach.

– Mnie nie wyrasta tak jak tobie zimowa sierść, mały. Będę musiał sobie niedługo zrobić coś ciepłego. Oddałem tamto szydło Ayli, a nie zrobiłem sobie jeszcze nowego. Może tym właśnie powinienem się zająć – zrobić sobie więcej narzędzi. I muszę wymyślić sposób na to, aby w czasie polowania nie stała ci się krzywda.

Wrócił do jaskini, przeszedł przez swoje posłanie i spojrzał tęsknie na stronę paleniska Ayli. Zaczął grzebać na składowisku w poszukiwaniu rzemienia albo mocnego sznura, znalazł jakieś zwinięte skóry i wyciągnął je. Ta kobieta z całą pewnością wiedziała, jak wyprawiać skóry, pomyślał, czując ich przyjemną miękkość. Może pozwoliłaby mi użyć jednej z nich. Wolałbym jej jednak nie prosić.

Jeżeli te miotacze się sprawdzą, to powinienem zdobyć wystarczająco dużo skór, aby zrobić sobie jakieś ubranie. Może powinienem wyrzeźbić na nich przynoszące szczęście zaklęcie. Nie zaszkodzi. Tu jest zwój rzemieni. Może mógłbym zrobić z niego coś dla zawodnika. Z niego taki biegacz – poczekaj, aż zostanie ogierem. Czy ogier pozwoliłby komuś jeździć na swoim grzbiecie? Czy mógłbym sprawić, aby jechał tam, dokąd bym chciał?

Nigdy się tego nie dowiesz. Nie będzie cię tu, gdy wyrośnie na ogiera. Ty odchodzisz.

Jondalar podniósł zwinięty rzemień, wziął zawiniątko ze swymi narzędziami do łupania krzemienia i ruszył ścieżką w dół na plażę. Woda w strudze wyglądała zachęcająco, a on czuł się zgrzany i był spotniały. Zdjął więc przepaskę i wszedł do wody.

Najpierw trochę pobrodził, a potem począł płynąć pod prąd. Zwykle zawracał, gdy docierał do przewężenia wąwozu. Jednakże tym razem postanowił płynąć dalej. Minął pierwsze wodne wzniesienie, a potem ostatni zakręt i ujrzał huczącą ścianę spienionej wody. Wtedy zawrócił.

Pływanie orzeźwiło go, a uczucie, że dokonał odkrycia, zachęciło do zmian. Odrzucił do tyłu włosy, wycisnął z nich wodę, a potem wykręcił brodę. Nosileś ją przez całe lato, a ono już się niemal kończy, Jondalarze. Nie sądzisz, że już czas?

Najpierw się ogolę, potem zrobię coś, aby Zawodnik nie wchodził nam w drogę. Nie chciałbym po prostu obwiązać mu szyi sznurem. Potem zrobię szydło i rylec, abym mógł wyrzeźbić zakłęcie na miotaczach. I myślę, że ugotuję też dzisiejszego wieczora posiłek. Przy Ayli można zapomnieć, jak się to robi. Może i jej nie dorównam, ale myślę, że nadal jeszcze potrafię sporządzić posiłek. Wystarczająco często robiłem to w czasie podróży.

Co powinienem wyrzeźbić na miotaczach? Najwięcej szczęścia przyniosłaby doni, ale swoją oddałem Norii. Ciekaw jestem, czy miała dziecko o błękitnych oczach? Z pewnością to dziwny pomysł, aby mężczyzna poczynił dziecko. Komu przyszłoby do głowy, że tego właśnie mogła pragnąć ta stara Naduma. Rytuał Pierwszej Rozkoszy. Ayła nigdy nie przeszła Rytuału Pierwszej Rozkoszy. Tyle przeżyła i cudownie radzi sobie z tą procą. Z oszczepem też jej nieźle idzie. Myślę, że na jej miotaczu umieszczę zubra. Szkoda, że nie mam doni. Może powinienem sobie zrobić...

Jondalar zaczął wypatrywać Ayli ze skalnej półki, gdy wieczorne niebo pociemniało. Kiedy dolina się stała ciemnym, bezdennym dołem, rozpałił ognisko na tarasie, aby mogła

odnaleźć drogę i ciągle mu się zdawało, że słyszy jej kroki na ścieżce... W końcu zrobił sobie pochodnię i zszedł na dół. Poszedł wzdłuż brzegu strumienia aż za skalny występ i poszedłby jeszcze dalej, gdyby nie usłyszał zbliżającego się stukotu kopyt.

– Ayla! Gdzie byłaś tak długo? Zaskoczył ją jego stanowczy ton.

– Tropiłam stada. Przecież wiedziałeś.

– Ale już po zmroku!

– Wiem. Nim zawróciłam, było już prawie ciemno. Myślę, że znalazłam miejsce, stado żubrów na południowym wschodzie...

– Było prawie ciemno i ty dalej tropiłaś żubry! Nie mogłaś przecież wypatrywać żubrów w ciemności!

Ayla nie mogła pojąć, dlaczego się tak denerwował, i nie rozumiała jego natarczywych pytań.

– Nie wypatrywałam w ciemności żubrów, a dlaczego ty masz ochotę tu sterczeć i gadać?

W kręgu światła pochodni pojawił się z głośnym rzeniem żreback i pchnął klacz łbem. Whinney odpowiedziała i zanim Ayla zdążyła zsiąść, młody koń wsunął pysk pod tylne nogi klaczy. Jondalar uświadomił sobie, że zachowywał się tak, jakby miał prawo zadawać Ayli pytania, i odwrócił się od światła wdzięczny ciemnościom, które skryły jego czerwoną twarz. Poszedł za nią ścieżką zbyt zakłopotany, by zauważyć, jak ciężko stąpała ze zmęczenia.

Ayla zgarnęła swe futra do spania, otuliła się nimi i przykucnęła w pobliżu ognia.

– Zapomniałam, jak się zimno robi w nocy – powiedziała. – Powinnam była zabrać z sobą ciepłe okrycie, ale nie myślałam, że oddalam się na tak długo.

Jondalar spostrzegł jej drzenie i jeszcze bardziej zrobiło mu się przykro.

– Zmarzłaś. Pozwól, że przyniosę ci coś ciepłego do picia. Nalał do jej miski trochę gorącego wywaru z mięsa.

Ayla również nie zwracała na niego zbyt wielkiej uwagi – za bardzo spieszo jej było dostać się do ciepłego ogniska. Teraz jednak podniosła głowę, aby wziąć miseczkę, i omal nie upuściła jej z wrażenia.

– Co się stało z twoją twarzą? – zapytała w równym stopniu wstrząśnięta, co zainteresowana.

– Co masz na myśli? – zapytał zaniepokojony.

– Twoja broda... zniknęła!

Uśmiechnął się zaskoczony jej reakcją.

– Ogoliłem ją.

– Ogoliłeś?

– Obciąłem. Blisko skóry. Zwykle robię to latem. Swędzi, kiedy jestem zgrzany i spocony.

Ayla nie mogła się powstrzymać. Wyciągnęła dłoń do jego twarzy, by poczuć gładkość jego policzka, a potem pocierając dłonią pod włos, poczuła kielkującą ostrość; szorstkość niczym na języku lwa. Przypomniała sobie, że gdy go znalazła, to nie miał brody, ale gdy mu odrosła to zapomniała o tym. Wydawał się taki młody bez brody, po dziecinnemu sympatyczny, ale nie pociągający jak mężczyzna. Nie była przyzwyczajona do widoku dorosłego mężczyzny bez brody. Powiodła palcami po jego mocnej szczęce i lekkim zagięciu twardej brody.

Jej dotyk sparaliżował go. Nie mógł się cofnąć. Każdym nerwem czuł delikatne poruszenie jej palców. I choć nie kierowały nią żadne erotyczne myśli, lecz jedynie zwykła ciekawość, odezwały się w nim głęboko ukrywane uczucia. Zaskoczyło go, że tak szybko poczuł natarczywe, napięte pulsowanie w lędźwiach.



Sposób, w jaki na nią patrzył, sprawiał, iż pragnęła widzieć w nim mężczyznę pomimo jego zbyt młodego wyglądu. Jondalar wyciągnął rękę, aby dosięgnąć jej dłoni i przytrzymać przy swojej twarzy, ale ona z pewnym wysiłkiem cofnęła rękę i podniosła miseczkę, wypijając jej zawartość bez smakowania. To było coś więcej niż świadome dotknięcie go. Nagle przypomniała sobie, jak ostatni raz siedzieli twarzą w twarz przy ognisku, a w jego oczach pojawiło się to samo spojrzenie. Tym jednak razem go dotknęła. Bała się na niego spojrzeć, bała się, że zobaczy znowu to okropne, poniżające spojrzenie. Ale koniuszki jej palców nadal pamiętały gładkość jego twarzy i czuła w nich przyjemne mrowienie.

Jondalar poczuł się zakłopotany swą natychmiastową, gwałtowną reakcją na jej delikatny dotyk. Nie mógł oderwać od niej oczu, choć ona unikała jego spojrzenia. Kiedy siedziała ze spuszczonym wzrokiem, wydawała się tak nieśmiała, tak krucha, i to go dziwiło, bo znał siłę tkwiącą w głębi jej duszy. Pomyślał o niej, jak o pięknym ostrzu z krzemienia, doskonałym po odłupaniu z kamiennego rdzenia, o cienkich i delikatnych brzegach, lecz tak twardych i ostrych, że mogą przeciąć najgrubszą skórę jednym czystym cięciem.

O Matko, jaka ona jest piękna, pomyślał. O Doni, Wielka Matko Ziemi, pragnę tej kobiety, pragnę jej tak bardzo...

Nagle się poderwał. Nie potrafił wytrzymać samego patrzenia na nią. Potem przypomniał sobie nagle posiłek, który przygotował. – Ona tu jest zmarznięta i zmęczona, a ja sobie siedzę w najlepsze. – Poszedł po naczynie z kości biodrowej mamuta, którego używała.

Ayla usłyszała, jak wstał. Poderwał się tak gwałtownie, że była przekonana, iż ponownie napełniła go odraza do niej. Poczęła

drzeć i zacisnęła zęby, aby to powstrzymać. Nie mogła stawić temu znowu czoła. Chciała mu powiedzieć, aby odszedł, żeby nie musiała więcej na niego patrzeć, aby nie musiała więcej czytać w jego oczach, że jest... paskudztwem. Choć miała zamknięte oczy, wyczuła go, gdy stanął przed nią, i wstrzymała oddech.

– Ayla? – Widział, jak pomimo ognia i futrzanego okrycia drżała. – Pomyślałem sobie, że możesz późno wrócić, więc zrobiłem coś do jedzenia. Chciałabyś trochę? A może jesteś zbyt zmęczona?

Czy dobrze słyszała? Powoli otworzyła oczy. Jondalar trzymał talerz. Postawił go przed nią, a potem przysunął matę i usiadł obok. W naczyniu był zajac upieczony na szpikulcu, trochę korzeni gotowanych w wywarze z suszonego mięsa, który już jej podał, a nawet odrobina jagód.

– Ty... ugotowałeś to... dla mnie? – zapytała z niedowierzaniem Ayla.

– Wiem, że nie jest tak dobre, jak to, co ty przyrządzasz, ale mam nadzieję, że będzie ci smakowało. Bałem się, że użycie miotacza może przynieść nieszczęście, więc posłużyłem się samym oszczepem. Wymagało to innej techniki rzutu i nie byłem pewny, czy te ćwiczenia z miotaczem nie popsują mojej celności, ale chyba tego się nie zapomina. No dalej, jedz.

Mężczyźni klanu nie gotowali. Nie potrafili – nie mieli do tego wspomnień. Wiedziała, że Jondalar był bardziej wszechstronny w swych umiejętnościach, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, że mógłby gotować; a przynajmniej nie wtedy, gdy w pobliżu jest kobieta. Bardziej jednak niż to, że potrafił i ugotował, poruszył ją fakt, że w ogóle o tym pomyślał. W klanie, nawet wtedy, gdy pozwolono jej polować, nadal oczekiwano, że będzie spełniać swe zwykłe obowiązki. To było takie nieoczekiwane takie... ładne

z jego strony. Jej obawy były zupełnie bezpodstawne i nie wiedziała, co powiedzieć. Wzięła udko, które jej odkroił, i ugryzła.

– Dobrze? – zapytał z lekką obawą.

– Doskonale – odparła z pełnymi ustami.

Było dobre, ale nawet gdyby było zbyt spieczzone, nie miałoby to najmniejszego znaczenia – jej i tak by smakowało. Ze wzruszenia chciało jej się płakać. Jondalar nabrał pełny czerpak długich, cienkich korzonków. Wzięła jeden i ugryzła.

– To jest... korzonek koniczyny? Dobre.

– Tak – przyznał z zadowoleniem. – Lepsze są z odrobiną tłuszczu. To jeden z tych przysmaków, które kobiety przyrządzają zwykle mężczyznom na szczególne okazje. Wypatrzyłem koniczynę w górze strumienia i pomyślałem sobie, że może by ci to smakowało. – Przygotowanie posiłku było dobrym pomysłem, uznał, ciesząc się z niespodzianki, jaką jej sprawił.

– Ich wykopanie kosztuje wiele pracy. Są nieduże, ale nie wiedziałam, że takie dobre. Używałam ich jedynie jako lekarstwa, jako składnika wzmacniającego napoju na wiosnę.

– Myje zwykle wiosną jemy. To pierwsze świeże pożywienie. Usłyszeli stukot kopyt na skalnej półce i po chwili do jaskini weszła Whinney z Zawodnikiem. Wkrótce Ayla wstała, by się nimi zająć. To był codzienny wieczorny rytuał, na który składały się pieszczoty, świeże siano, ziarno, woda, a po długiej jeździe szczególnie troskliwe wycieranie miękką, wchłaniającą wilgoć skórą i czesanie szczeciną. Ayla spostrzegła, że już było przygotowane świeże siano, ziarno i woda.

– Pamiętałeś także o koniach – powiedziała, gdy w końcu usiadła, by skończyć jagody. Zjadłaby je nawet, gdyby nie była

głodna.

Jondalar się uśmiechnął.

– Nie miałem zbyt wiele do roboty. Och, muszę ci coś pokazać – oddalił się na moment i wrócił z dwoma miotaczami oszczepów.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, to na szczęście.

– Jondalar! – Ayla niemal bała się dotykać swego miotacza.

– Czy ty to zrobiłeś? – Jej głos był pełen tajemniczego lęku. Zaskoczyło ją, gdy narysował postać zwierzęcia jako cel, ale tu zrobił coś znacznie więcej. – To jest... tak jakbyś wziął totem, ducha żubra, i tu go umieścił.

Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech. Robienie niespodzianek Ayli – to czysta przyjemność. Jego miotacz miał wyryty wizerunek jelenia olbrzymiego z ogromnymi płetwiastymi rogami i również wzbudził jej podziw.

– To ma uchwycić ducha zwierzęcia, aby naprowadzić go na broń. Nie jestem zbyt dobrym rzeźbiarzem, musiałybyś zobaczyć pracę niektórych rzeźbiarzy, wykonane przez nich piękne wizerunki zwierząt, a także ozdoby w kamieniu i drewnie czy kości lub malowane przez innych ludzi sceny na ścianach.

– Jestem pewna, że użyłeś potężnych czarów. Nie widziałam jelenia, ale widziałam na południowym wschodzie stado żubrów. Zdaje się, że zaczynają się razem gromadzić. Czy broń z wyrytym jeleniem przyciągnie żubra? Mogę jutro wyruszyć i poszukać stada jeleni.

– To będzie działało także na żubry. Jednakże twój będzie miał więcej szczęścia. Cieszę się, że umieściłem na twoim żubra.

Ayla nie wiedziała, co powiedzieć. On był mężczyzną i obdarowywał ją większym szczęściem łowieckim niż samego siebie, i jeszcze był z tego zadowolony.

– Miałem zamiar także zrobić doni na szczęście, ale nie

miałem czasu jej wykończyć.

– Jondalar, jestem zakłopotana. Co to jest doni? Czy to twa Ziemia Matka?

– Wielka Matka Ziemia jest Doni, ale ona przyjmuje również inne formy, jest ich wiele, a jedna z nich – to doni. Doni jest zwykle jej duchową postacią, pod którą ona się unosi z wiatrem, lub gdy nawiedza sny – mężczyźni często śnią o niej jako o pięknej kobiecie. Doni jest także rzeźbioną figurką kobiety – zwykle pięknej kobiety – ponieważ kobiety są przez nią błogosławione. Ona uczyniła je na swoje podobieństwo, aby tak jak ona były źródłem życia. Najłatwiej znajduje schronienie w podobiznie matki. Doni jest zwykle zsyłana, aby wskazać mężczyźnie drogę do swojego duchowego świata – niektóre kobiety nie potrzebują przewodnictwa, same znajdują drogę. A pewne kobiety twierdzą, że potrafią się zmieniać w doni, gdy tego chcą – nie zawsze ku radości mężczyzn. Sharamudoi, którzy żyją na zachód stąd, mówią, że Matka potrafi przyjmować postać ptaka.

Ayla skinęła głową.

– W klanie jedynie najstarsi mają kobiecą duszę.

– A co z waszymi totemami? – zapytał.

– Wszystkie opiekuńcze duchy totemów, tak męskich, jak i żeńskich, są męskimi duchami, ale totemami kobiet są zwykle mniejsze zwierzęta. Ursus, wielki niedźwiedź jaskiniowy, jest wielkim opiekunem całego klanu – totemem każdego. Ursus był też osobistym totemem Creba. Został przez niego wybrany, tak jak ja zostałam wybrana przez Lwa Jaskiniowego. Widzisz, zaznaczył mnie. – Pokazała mu cztery równoległe linie, ślady po pazurach, które zostawił jej lew jaskiniowy, gdy miała pięć lat.

– Nie miałem pojęcia o tym, że pła... twój klan w ogóle ma

wyobrażenie, co to jest świat duchów. Nadal trudno mi w to uwierzyć – oczywiście wierzę ci – ale z trudnością dociera do mnie, że ludzie, o których opowiadasz, są tymi samymi, o których zawsze myślałem jak o płaskogłowych.

Ayla pochyliła głowę, a potem podniosła wzrok. W jej spojrzeniu znać było powagę i skupienie.

– Myślę, że Lew Jaskiniowy wybrał cię, Jondalarze. Myślę, że jest teraz twoim totemem. Creb mówił mi, że niełatwo jest żyć z potężnym totemem. On sam poddany przez niego próbie oddał swe oko, ale zdobył potężną moc. Po Ursusie najpotężniejszym totemem jest Lew Jaskiniowy i to nie ułatwia sprawy. Poddawał mnie trudnym próbom, ale gdy zrozumiałam jego powody, to nigdy nie żałowałam tego. Myślę, że powinieneś to wiedzieć na wypadek, gdyby on był teraz i twoim totemem. – Opuściła wzrok w obawie, że powiedziała za dużo.

– Oni wiele dla ciebie znaczą, ludzie z twojego klanu, prawda? – Chciałam być kobietą klanu, ale nie potrafiłam. Nie potrafiłam być taka, jak one. Nie jestem do nich podobna. Pochodzę z Innych. Creb o tym wiedział, a Iza powiedziała, żebym odeszła i poszukała swego własnego rodzaju ludzi. Nie chciałam odejść, ale musiałam i nigdy nie mogę wrócić. Zostałam obłożona klątwą śmierci. Jestem martwa.

Jondalar nie był pewny, co to oznacza, ale pod wpływem jej słów, zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Ayla wzięła głęboki oddech, nim zaczęła dalej mówić.

– Nie pamiętam kobiety, która mnie urodziła, ani tego, jak wyglądało moje życie, zanim przygarnął mnie klan. Próbowałam, lecz nie potrafiłam wyobrazić sobie mężczyzny Innych, mężczyzny podobnego do mnie. Teraz, gdy próbuję wyobrazić sobie innych ludzi, widzę jedynie ciebie. Jesteś pierwszym

człowiekiem z mojego rodzaju, jakiego widziałam. Bez względu na to, co się stanie, nigdy cię nie zapomnę. – Ayla przerwała, czując, że jednak powiedziała zbyt wiele. Wstała. – Jeżeli mamy rano wyruszyć na polowanie, to powinniśmy trochę się przespać.

Jondalar wiedział, że wychowali ją płaskogłowi, a po odejściu od nich żyła samotnie w tej dolinie, ale dopóki tego wyraźnie nie powiedziała, nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, iż był dla niej pierwszym człowiekiem. Niepokoila go myśl, że reprezentował wszystkich swoich ludzi, i nie był zbyt dumny z tego, jak to czynił. Jednakże przynajmniej wiedziała teraz, co wszyscy czują w stosunku do płaskogłowych. Czy dotarłoby to do niej w równym stopniu, gdyby jej po prostu o tym powiedział? Czy rzeczywiście wiedziałaby, czego się spodziewać?

Udał się na spoczynek pełen mieszanych uczuć. Położył się i począł rozmyślać, wpatrując się w ogień. Nagle doznał dziwnego uczucia, tak jakby wszystko zawirowało mu przed oczyma choć nie czuł zawrotu głowy. Postać kobiety zdawała mu się odbiciem w stawie, do którego wrzucono kamień; falujący obraz, od którego rozchodziły się coraz większe kręgi. Nie chciał, aby kobieta go zapomniała – ważne było, aby go pamiętała.

Czuł ogarniającą go rozterkę, tak jakby znalazł się na rozwidleniu dróg, i musiał dokonać wyboru, lecz nie miał nikogo, kto by mu poradził, w którą stronę pójść. Prąd ciepłego powietrza rozwał mu włosy na karku. Wiedział, że ona go opuszcza. Nigdy świadomie nie czuł jej obecności, ale teraz wiedział, że go opuszczała, pozostawiając po sobie bolesne uczucie pustki. To był początek końca: końca lodu, końca epoki, to był koniec czasu, w którym sama zapewniała im wyżywienie. Ziemia Matka opuszczała swe dzieci, by mogły znaleźć swą własną drogę, rzeźbić swe własne życia, ponosić konsekwencje

swych poczynań – by mogły dorosnąć. Nie stanie się to za jego życia, ani za życia wielu następnych pokoleń, ale pierwszy, nieubłagany krok w tym kierunku został zrobiony. Przekazała im swój pożegnalny dar, dar wiedzy.

Jondalar poczuł straszliwy, przeszywający ból i usłyszał jęk, i wiedział, że usłyszał płacz Matki.

Niczym naciągnięty i zwolniony rzemień – rzeczywistość ponownie wróciła na swoje miejsce. Ale naciągnięto ją zbyt mocno i nie mogła dopasować się do poprzednich wymiarów. Czuł, że coś nie jest na swoim miejscu. Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie ogniska Aylę i dostrzegł spływające po jej twarzy łzy.

– Co się stało, Ayla?

– Nie wiem.

– Jesteś pewna, że będzie chciała ponieść nas oboje?

– Nie, nie jestem pewna – powiedziała Ayla, prowadząc Whinney z przytroczonymi koszami. Zawodnik szedł za nią, prowadzony na linie przywiązanej do kilku pasków rzemieni związanych z sobą, nałożonych na jego łeb i szyję. Mógł swobodnie skubać trawę i ruszać łbem, nie zaciskając sobie przy tym pętli na szyi. Z początku ta uździenica niepokoiła żrebaka, ale powoli się do niej przyzwyczajał.

– Gdybyśmy oboje mogli jechać, to szybciej byśmy podróżowali. Jeżeli Whinney się to nie spodoba, da mi znak. Wówczas możemy jechać na zmianę albo oboje pójdziemy na piechotę.

Dotarli do dużego głazu na łące i Ayla dosiadła konia. Przesunęła się trochę do przodu i przytrzymała klacz na miejscu, gdy Jondalar na nią wsiadał. Whinney zastrzygła uszami. Poczowała dodatkowy ciężar, do którego nie była przyzwyczajona, ale była



krzepkim koniem i ruszyła na ponagląjący sygnał Ayli. Kobieta utrzymywała spokojne tempo jazdy i czujnie wypatrywała najmniejszych oznak zmiany jej kroku, sygnalizujących zmęczenie konia, by zrobić na czas odpoczynek.

Potem powtórnie dosiedli konia. Jondalar czuł się już pewniej na końskim grzbiecie i jechał bardziej odprężony, czego jednak wkrótce pożałował. Kiedy bowiem opuściło go napięcie związane z samą jazdą, w pełni zaczął sobie zdawać sprawę z obecności siedzącej przed nim kobiety. Czuł wspierające się na nim plecy, jej uda przywierały do jego ud, natomiast sama Ayla poczęła wyczuwać nie tylko nastroje konia. Za jej plecami bez woli Jondalara wyrosła mu gorąca twardość, i każdy ruch konia sprawiał, że trącali o siebie. Pragnęła, aby to minęło – choć wcale tego nie chciała.

Jondalar czuł ból, jakiego dotychczas jeszcze nie doświadczył. Nigdy nie był zmuszony powstrzymać się od zaspokojenia swych pragnień. Od pierwszego dnia dojrzałości zawsze nadarzały się okazje, by zaspokoić pojawiające się pragnienia, lecz tu nie było innej kobiety z wyjątkiem Ayli. Wzbraniał się jednak przed ponownym poddaniem się własnej słabości i usiłował to po prostu jakoś wytrzymać.

– Ayla – w jego głosie znać było napięcie – myślę... myślę, że czas na odpoczynek – wyrzucił w końcu z siebie.

Ayla nie rozpoczynała rozmowy, choć wiedziała, że nie dlatego idą piechotą. Szli równym krokiem oddzieleni od siebie koniem, najpierw w milczeniu, a później rozmawiali ponad jego grzbietem. Ale nawet wówczas Ayla ledwo mogła się skupić na pilnowaniu kierunku i wypatrywaniu punktów orientacyjnych w terenie. Jondalar zaś szedł z obolałymi lędźwiami, wdzięczny za osłonę, jaką zapewniał mu koń.

W końcu dostrzegli stado żubrów i bliskie polowanie za pomocą miotacza oszczepów ostudziło nieco ich wzajemne zapąły, choć nadal starali się nie stawać zbyt blisko siebie i woleli, aby rozdzielał ich jeden z koni.

Żubry kręciły się wokół małego strumienia. Stado powiększyło się od tego czasu, gdy Ayla widziała je po raz pierwszy. Przyłączyły się do niego jedna po drugiej małe grupki żubrów. Ostatecznie dziesiątki tysięcy tych krępych, brązowawo-czarnych, masywnych zwierząt będzie tłoczyło się na wzgórzach i w dolinie rzeki wyglądając niczym grzmiący, żywy dywan. W takiej ciżbie pojedyncze zwierzę odgrywało niewielką rolę; strategia przetrwania opierała się na ich liczbie.

Nawet najmniejsza grupka, ze zgromadzonych w pobliżu strumienia żubrów, podporządkowała swe własne zamiary stadnemu instynktowi. Później przetrwanie będzie wymagało, aby ponownie podzielili się na małe rodzinne stada, i rozproszyli się w poszukiwaniu pożywienia.

Ayla podprowadziła Whinney nad brzeg strumienia niedaleko sosny, powykrzywianej wiatrami i uczepionej ziemi. Językiem gestów klanu kazała klaczy pozostać w pobliżu, a widząc, jak pilnuje, aby żreback się nie oddalał, wiedziała, że nie musi się już o niego martwić. Whinney doskonale ustrzeże swoje dziecko od niebezpieczeństw. Jondalar zadał sobie jednak wiele trudu, by rozwiązać problem jego bezpieczeństwa, i Ayla była ciekawa, czy ten sposób zda egzamin.

Mężczyzna i kobieta wzięli miotacze oszczepów, torby z długimi oszczepami i ruszyli pieszo w kierunku stada. Mocne kopyta rozbiły stwardniałą powierzchnię stepów i wzbijały tumany kurzu, który osadzał się cienką warstwą na ciemnym, zmierzwionym futrze żubrów. Ruch stada znaczył dławiący pył,

tak jak kierunek przesuwania się pożaru stepu znaczy dym – a w obu wypadkach zniszczenie było podobne.

Jondalar i Ayla obeszli wolno poruszające się stado, aby zejść je pod wiatr. Starali się wypatrzyć pojedyncze zwierzę. Powietrze było ciężkie od zapachu żubrów, a powieki musieli mrużyć pod uderzeniami drobnego, niesionego wiatrem piasku. Ryczące cielaki szły samopas za krowami, podczas gdy bodące roczniaki sprawdzały cierpliwość garbatych byków.

Stary byk, tarzający się w tumanach kurzu, podźwignął się na nogi. Potężny łeb trzymał zwieszony nisko jakby ciążyły mu wielkie, czarne rogi. Jondalar ze swymi sześcioma stopami i sześcioma calami wzrostu przewyższał garbatego grzbiet żubra – ale niewiele. Przednia, mocna część ciała żubra, pokryta grubym futrem, przechodziła w opadający niżej, drobniejszy zad. Ogromna, stara bestia prawdopodobnie okres świetności miała już za sobą, a choć jej mięso było dla polujących zbyt twarde i żylaste, to obserwowali go bacznie, gdyż wiedzieli, że ten spoglądający na nich podejrzliwie byk nadal może być straszliwie groźny. Zaczekali więc, aż się oddali.

Podeszli bliżej. Teraz jednostajne dudnienie wydawane przez przemieszczające się stado przybrało na sile i dawało się w nim wyróżnić ryki o różnej wysokości i głośności. Jondalar wskazał młodą samicę. Jałówka była już prawie dorosła, gotowa do wydania na świat młodych i tłusta po letnim wypasie. Ayla skinęła głową. Nałożyli oszczepy na swe miotacze i Jondalar gestem dał jej znak, iż zamierza zejść młodą krowę z drugiej strony.

Wiedziona jakimś instynktem, a może dlatego, iż zauważyła poruszającego się człowieka, jałówka wyczuła, że wybrano ją na ofiarę, Nerwowo się zbliżyła do głównego stada. Kilka innych

zwierząt ruszyło w jej kierunku i odwróciło uwagę Jondalara. Ayla była pewna, że stracą tę krowę. Jondalar był zwrócony do niej plecami, nie miała więc możliwości z nim się porozumieć, a jałówka coraz bardziej się oddalała i wychodziła poza zasięg ich broni. Kobieta nie mogła krzyknąć, nawet gdyby ją usłyszał, to głos ostrzegłby również żubry.

Podjęła decyzję i wycelowała. Jondalar obejrzał się w momencie, gdy była gotowa do strzału, w lot pojął, co się dzieje i naładował swój miotacz. Biegnąca jałówka wprowadzała jeszcze większe zamieszanie wśród innych zwierząt. Mężczyzna i kobieta pomyśleli, że chmura pyłu wystarczająco ich osłoni, ale żubry były przyzwyczajone do kurzu. Młoda krowa prawie dotarła już wraz z innymi do zapewniającego jej bezpieczeństwo stada.

Jondalar się pochylił w jej kierunku, podniósł miotacz i umieścił swój oszczep w miękkim podbrzuszu żubra. W następnej chwili Ayla wycelowała i trafiła w kudłaty kark. Jałówka niesiona jeszcze pędem stada pobiegła dalej, ale wkrótce zwolniła kroku. Zachwiała się, zatoczyła i opadła na przednie nogi, a potem łamiąc oszczep Jondalara, przewróciła się na ziemię. Stado wyczuło krew. Kilka zwierząt obwąchało jałówkę, porykując niespokojnie. Inne podniosły żałobny ryk, przepychały się i kręciły w pełnej napięcia atmosferze.

Ayla i Jondalar pobiegli w kierunku swej zdobyczy. Nagle nadbiegający z przeciwka Jondalar począł krzyczeć i machać do Ayli rękoma. Ale ona pokręciła głową, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

Młody byczek, który zaczepiał starego samca, w końcu doczekał się z jego strony odpowiedzi i uskoczył w bok, wpadając na spłoszoną krowę. Młody samiec cofnął się niezdecydowany i

podniecony, ale stary byk przywiódł go do porządku. Młodziak nie wiedział, co dalej począć, w którą stronę się zwrócić, dopóki nie spostrzegł poruszającej się dwunożnej postaci. Pochylił łeb i pognął w jej kierunku.

– Ayla! Uważaj! – krzyknął Jondalar, biegnąc w jej kierunku. W dłoni trzymał oszczep i wskazywał nim byka.

Ayla się odwróciła i zobaczyła pędzącego prosto w jej kierunku młodego żubra. W pierwszym odruchu pomyślała o procy. Ta broń zawsze kojarzyła jej się z obroną. Ale szybko zarzuciła tę myśl i umieściła oszczep w miotaczu.

Jondalar wyrzucił ręką oszczep na chwilę przed nią, ale miotacz nadał jej broni większą prędkość. Oszczep Jondalara trafił w bok, co momentalnie spowodowało obrót żubra. Jednakże gdy się uważniej temu przyjrzał, dostrzegł tkwiący w oku zwierzęcia nadal drgający oszczep Ayli; zwierzę było martwe, nim je trafił.

Bieganie, krzyki i nowe źródło zapachu krwi sprawiły, że kręcące się bez celu zwierzęta ruszyły w określonym kierunku, oddalając się od niepokojących zdarzeń. Ostatnie żubry przebiegały obok swych padłych towarzyszy, by dołączyć do uciekającego w panicznym pędzie stada. Jeszcze długo po opadnięciu kurzu słychać było ich dudniący tętent.

Mężczyzna i kobieta stali chwilę oniemiały, patrząc na dwa powalone żubry spoczywające na pustej równinie.

– Po wszystkim – powiedziała oszołomiona Ayla. – Tak po prostu.

– Dlaczego nie biegłaś? – krzyknął Jondalar, dając nareszcie upust swemu zdenerwowaniu spowodowanemu lękiem o nią. Maszerował w jej kierunku. – Mogłaś zginąć!

– Nie mogłam odwrócić się plecami do szarżującego byka

odparowała Ayla. – Z całą pewnością nadziałby mnie na rogi. Ponownie spojrzała na żubra. – Nie, myślę, że zatrzymałby go twój oszczep... ale nie wiedziałam o tym. Nigdy przedtem z nikim nie polowałam. Zawsze sama musiałam się o siebie troszczyć. Nikt tego by za mnie nie zrobił.

Jej słowa były ostatnim brakującym ogniwem w jego wyobrażeniu o tym, jak musiało wyglądać jej dotychczasowe życie. Przed oczyma stanął mu przerażający obraz. Zobaczył ją nagle w innym świetle. Ta kobieta, pomyślał, ta delikatna, opiekuńcza, oddana kobieta przeżyła więcej, niż ktokolwiek by uwierzył. – Zawsze, gdy traciłeś nad sobą panowanie, ludzie ci ustępowali, Jondalarze. Ale ona stawiała czoło nawet twemu najgorszemu gniewowi.

– Ayla, ty piękna, dzika, cudowna kobieto, ależ z ciebie myśliwy! – Uśmiechnął się. – Patrz, czego dokonałaś! Powaliłaś oba. Jak my je zabierzemy z powrotem?

Kiedy w końcu do Ayli dotarło to, czego dokonali, uśmiechnęła się z zadowoleniem, triumfem i radością. To uprzytomniło Jondalarowi, że nie dość często widywał ten uśmiech. Była piękna, ale ten uśmiech sprawiał, że poczynała jaśnieć jakimś wewnętrznym ogniem. Jondalar wybuchnął niespodziewanym, niepohamowanym i zaraźliwym śmiechem. Ayla przyłączyła się; nie mogła się powstrzymać. To był ich okrzyk zwycięstwa i sukcesu.

– Ależ z ciebie myśliwy, Jondalarze – rzekła.

– To dzięki miotaczowi oszczepów – to one stanowią różnicę. Weszliśmy w stado i nim żubry się spostrzegły co się dzieje... dwa z nich! Pomyśl, co to znaczy!

Wiedziała, co to znaczyło dla niej. Dzięki tej nowej broni zawsze będzie mogła dla siebie polować. Latem. Zimą. Żadnych

dołów do kopania. Będzie mogła wędrować i polować. Miotacz oszczepów miał wszystkie zalety jej procy i wiele innych.

– Wiem, co to oznacza. Powiedziałaś, że pokażesz mi lepszy sposób polowania, łatwiejszy sposób. I uczyniłaś więcej, niż mogłam to sobie wyobrazić. Nie wiem, jak ci to powiedzieć... tak bardzo...

Był tylko jeden sposób, aby wyrazić mu swą wdzięczność, sposób, jakiego nauczono ją w klanie. Usiadła i pochyliła głowę. Być może nie klepnie jej we właściwy sposób po ramieniu, aby pozwolić jej mówić, ale musiała spróbować.

– Co ty robisz? – powiedział, wyciągając ręce, aby ją podnieść.  
– Nie siedź tak, Ayla.

– Jeżeli kobieta klanu ma do powiedzenia mężczyźnie coś ważnego, to w ten sposób prosi go o uwagę – powiedziała, spoglądając do góry. – Dla mnie jest ważne, aby ci powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy, jak bardzo ci jestem wdzięczna za tę broń. A także za nauczenie mnie twoich słów i za wszystko inne.

– Proszę, Aylo, wstań – powiedział, podnosząc ją. – Nie ofiarowałem tobie tej broni, to ty mi ją podarowałaś. Gdybym nie zobaczył twojej procy, nie wpadłbym na ten pomysł. To ja jestem ci wdzięczny i zawdzięczam ci o wiele więcej, niż tylko tę broń.

Trzymał ją w ramionach, czuł bliskość jej ciała. A ona patrzyła mu w oczy, nie mogąc i nie chcąc odwrócić wzroku. Jondalar pochylił się niżej i położył swe wargi na jej ustach.

Zdumiona Ayla otworzyła szeroko oczy. To było tak niespodziewane. Nie tylko to, co uczynił, ale i jej reakcja, dreszcz, który ją przeszył, gdy poczuła jego usta na swoich. Nie wiedziała, jak się zachować.

I w końcu zrozumiał. Nie posunie się dalej poza ten delikatny pocałunek – jeszcze nie teraz.

– Co to jest te usta na ustach?

– To pocałunek. To twój pierwszy pocałunek, prawda? Ciągle zapominam, ale tak trudno jest patrzeć na ciebie i... Ayla, czasami ze mnie wielki głupiec.

– Dlaczego tak mówisz? Nie jesteś głupi.

– Jestem głupi. Nie mogę wprost uwierzyć, jaki byłem głupi. – Puścił ją. – Ale myślę, że lepiej zastanówmy się nad tym, jak przenieść te żubry do jaskini, bo jeżeli ja zostanę tu i będę dalej stał obok ciebie, za nic nie potrafię później tego dobrze zrobić. Tak jak powinno się to było zrobić z tobą pierwszy raz.

– Sposób, w jaki co powinno się ze mną zrobić? – zapytała wcale nie chcąc, aby się oddalał.

– Rytuał Pierwszej Rozkoszy. Jeżeli mi zechcesz na to pozwolić...





– Nie przypuszczam, aby Whinney udało się oba zaciągnąć, jeśli nie zostawimy łbów – powiedziała Ayla. – To był dobry pomysł. – Oboje z Jondalarem ściągnęli ciało byka z noszy i wciągnęli na skalną półkę. – Tyle na nim mięsa! Wiele czasu zajmie jego pocięcie. Powinniśmy zaraz zacząć.

– To może poczekać, Ayla. – Jego uśmiech i spojrzenie napełniały ją ciepłem. – Myślę, że ważniejszy jest twój Rytuał Pierwszej Rozkoszy. Pomogę ci zdjąć uprząż z Whinney, a potem pójde popływać. Jestem spotniały i cały wysmarowany krwią.

– Jondalar... – Ayla się zawahała. Czowała się podniecona, ale i onieśmielona. – Czy to jakaś ceremonia, ten Rytuał Pierwszej Rozkoszy?

– Tak, to jest ceremonia.

– Iza nauczyła mnie, jak przygotowywać się do ceremonii. Czy do... tej ceremonii też trzeba się przygotować?

– Zwykle starsza kobieta pomaga młodszej w przygotowaniach. Nie wiem, o czym wtedy mówią ani co robią. Myślę, że powinnaś zrobić to, co uznasz za stosowne.

– W takim razie odszukam korzeń mydlicy i oczyszczę się tak, jak uczyła mnie Iza. Poczekać, aż ty skończysz pływać. Powinnam być w trakcie przygotowań. – Zarumieniła się i

spuściła wzrok.

Wydaje się taka młoda i nieśmiała, pomyślał. Zupełnie jak większość dziewcząt podczas Rytułu Pierwsze Rozkoszy. Poczł znajomy dreszcz czułości i podniecenia. Nawet jej przygotowania były odpowiednie. Uniósł jej brodę i ponownie pocałował, po czym cofnął się zdecydowanym ruchem.

– Mnie też się przyda trochę mydlicy.

Szedł z uśmiechem brzegiem strugi za Aylą, a gdy wykopała korzeń mydlicy i wróciła pod jaskinię, skoczył do wody, wzbijając ogromną fontannę. Czł się pierwszy raz od długiego czasu wspaniale. Rozbił korzeń na pianę, natarł nim ciało, a potem zdjął rzemyk zbierający włosy i w nie też wtarł pianę z mydlicy. Zwykle zadowalał się piaskiem, ale korzeń mydlicy był lepszy.

Popłynął w górę strumienia, prawie aż do wodospadu. Następnie wrócił na plażę, nałożył przepaskę i pospieszył do jaskini. Mięso się piekło, wydzielając smakowite zapachy. Czł się tak odprężony i szczęśliwy, że trudno było mu w to uwierzyć.

– Cieszę się, że wróciłaś. Moje oczyszczenie zajmie trochę czasu a wolałabym, aby nie zrobiło się zbyt późno. – Podniosła misę z parującym płynem do włosów, w którym pływały kawałki skrzypu, i zabrała również świeżo wyprawioną skórę na okrycie.

– Nie spiesz się, poświęć na to tyle czasu, ile ci będzie trzeba – powiedział, całując ją delikatnie.

Ayla ruszyła ścieżką w dół, ale zatrzymała się i odwróciła.

– Podoba mi się to usta na usta, Jondalarze: Ten pocałunek powiedziała.

– Mam nadzieję, że reszta też ci się spodoba – powiedział, gdy odeszła.

Obchodził jaskinię, spoglądając teraz na świat innymi oczyma.

Sprawdził piekący się udziec z żubra i obrócił szpikulec, na który był nadziany, zauważając przy tym, że Ayla zawięła w liście trochę korzonków i położyła je w pobliżu żaru. Potem znalazł gorący napój, który dla niego przygotowała. – Musiała nakopać korzeni, gdy pływałem, pomyślał.

Spojrzał na swe posłanie po drugiej stronie ogniska, zmarszczył brwi i z wielkim zadowoleniem przeniósł je z powrotem na puste miejsce obok posłania Ayli. Rozłożył równo skóry, a następnie wrócił po zawiniątko ze swoimi narzędziami i przypomniał sobie o doni, którą zaczął rzeźbić. Usiadł na macie, na której poprzednio leżały jego futra, i rozwinął zawiniątko z jeleniej skóry.

Obejrzał kawałek ciosu mamuta, któremu zaczął nadawać kształt kobiecej postaci, i postanowił ją skończyć. Może i nie był najlepszym rzeźbiarzem, ale uznał, że jedna z najważniejszych ceremonii poświęconych Matce, nie może odbyć się bez doni. Wziął kilka ryłców, kawałek ciosu mamuta i wyniósł wszystko na zewnątrz. Starał się, jak mógł, rył, kształtował, rzeźbił, ale uświadomił sobie wkrótce, że ten kawałek ciosu nie nabiera obfitych, matczyńskich kształtów. Zaczynał raczej przypominać postać młodej kobiety. Włosy, które w jego zamierzeniu miały przypominać włosy starej doni, którą po drodze oddał – ów rodzaj prążkowanej czapeczki przykrywającej zarówno tył głowy, jak i twarz – przywodziły raczej na myśl warkocze, ciasno splecione warkocze osłaniające całą głowę z wyjątkiem twarzy. Twarz była płaską powierzchnią bez rysów. Nigdy nie rzeźbiono twarzy doni, któż ośmieliłby się spojrzeć w twarz Matki? Któż wie, jak ona wygląda? Była jednocześnie wszystkimi kobietami i żadną z nich.

Przerwał rzeźbienie i spojrzał w górę, a potem w dół

strumienia w nadziei, że może ją zobaczy, choć się zastrzegła, że chce być sama. Czy potrafi dać jej rozkosz? – zastanawiał się. Nigdy nie wątpił w swe umiejętności, gdy wybierano go do Rytuału Pierwszej Rozkoszy podczas Letnich Spotkań, ale tamte dziewczyny rozumiały zwyczaje i wiedziały, czego oczekiwać. Miały starsze kobiety, które im wszystko wyjaśniały.

Czy powinienem jej to wyjaśnić? Nie, i tak nie wiedziałbyś, co powiedzieć, Jondalarze. Po prostu jej pokaż. Ona ci powie, jeżeli jej się coś nie spodoba. To, co najbardziej go w niej urzekało, to jej szczerość. Żadnego wstydliwego krygowania się. To takie odświeżające.

Jak to będzie pokazywał, czym jest Matki Dar Rozkoszy, komuś, kto nie udaje? Kto ani się nie tai, ani nie pozoruje przyjemności? A dlaczego ona miałaby się inaczej zachowywać niż każda inna kobieta podczas Rytuału Pierwszej Rozkoszy? Ponieważ ona nie jest każdą inną kobietą przechodzącą Rytuał Pierwszej Rozkoszy. Ona już została otworzona i to w wielkim bólu. A co będzie, jeżeli nie uda ci się zabić wspomnienia tego okropnego początku? Co będzie, jeżeli nie poczuje rozkoszy, a ty nie będziesz mógł jej w tym pomóc? Chciałbym sprawić, by mogła zapomnieć. Gdybym tylko mógł przyciągnąć ją do siebie, pokonać jej opór i posiąść jej duszę.

Posiąść jej duszę?

Spojrzał na trzymaną w dłoni figurkę i nagle jego myśli poczęły galopować. Dlaczego rzeźbili wyobrażenia zwierząt na broni lub na głównych ścianach? Aby zwrócić się do ich ducha, pokonać jego opór i zapanować nad nim.

Nie bądź śmieszny, Jondalarze. Nie możesz tym sposobem posiąść duszy Ayli. To nie byłoby uczciwe, nikt nie obdarza doni twarzą. Nigdy nie tworzą wyobrażeń ludzi – w podobiznie

można było uwięzić czyjąś duszę. Ale dla kogo zostałaby uwięziona dusza Ayli?

Nikt nie powinien niewolić duszy drugiej osoby. Oddaj jej doni. W ten sposób odzyskałaby swą duszę, prawda? A gdyby tak zatrzymać ją na trochę, a potem oddać... po wszystkim.

Czy jeżeli dasz figurce jej twarz, to zmieni to ją w doni? Przecież i tak uważałeś ją niemal za doni, patrząc na jej uzdrowicielskie moce i magiczny sposób obchodzenia się ze zwierzętami. A jeżeli ona jest doni, to może zechcieć posiąść twą duszę. Czy to byłoby aż takie okropne?

Chcesz zachować sobie kawałek jej duszy, Jondalarze. Tę część, która zawsze zostaje w rękach twórcy. Pragniesz tej jej części, prawda?

– O Wielka Matko, powiedz mi, czy to będzie aż taką straszną rzeczą? Obdarzyć doni twarzą?

Wpatrywał się w wyrzeźbioną przez siebie, małą kościaną figurkę. Raptem wziął rylec i zaczął rzeźbić rysy twarzy, znajomej twarzy.

Kiedy skończył, uniósł figurkę i powoli obrócił. Prawdziwy rzeźbiarz pewnie zrobiłby ją lepiej, ale nie była zła. Przypominała Aylę, ale bardziej z ogólnego wrażenia; była odbiciem jego uczuć. Wrócił do jaskini i począł rozglądać się za miejscem, w którym mógłby ją ukryć. Doni powinna być w pobliżu, ale nie chciał, aby ją widziała, jeszcze nie teraz. Zobaczył zawinięte skóry leżące pod ścianą za jej posłaniem i wsunął w nie figurkę.

Wyszedł znowu na dwór i wyjrzał z odległego krańca tarasu. Dlaczego jej tak długo nie ma? Spojrzał na leżące obok siebie żubry. Mogą poczekać. Oszczepy i miotacze stały oparte o ścianę w pobliżu wejścia. Zabrał je i wniósł do jaskini. Wtem usłyszał

stukot żwiru sypiącego się na skalną półkę. Odwrócił się.

Ayla dopasowała sobie nowe okrycie, nałożyła amulet i odgarnęła włosy z twarzy. Rozczesała je właśnie, ale jeszcze całkiem nie wyschły. Zabrała brudne okrycie i ruszyła do góry. Była zdenerwowana i podniecona.

Domyślała się, co Jondalar rozumiał pod słowami: Rytuał Pierwszej Rozkoszy, ale poruszyło ją to, że pragnął odprawić go dla niej i samemu w nim uczestniczyć. Nie obawiała się, aby ta ceremonia była zbyt przykra – nawet Broud nie sprawiał jej już bólu po pierwszych kilku razach. Skoro mężczyźni dają znak kobietom, które lubią, to czy to oznacza, że Jondalar przestał jej unikać?

Ayla dochodziła już do tarasu, gdy z zamyślenia wyrwał ją nagle brązowawy błysk.

– Cofnij się! – krzyknął Jondalar. – Cofnij się, Ayla! To lew jaskiniowy!

Jondalar stał w wejściu do jaskini z gotowym do rzutu oszczepem, wycelowanym w ogromnego kota kulącego się właśnie do skoku. – Nie, Jondalar! – wrzasnęła Ayla, rzucając się pomiędzy niech. – Nie!

– Ayla, nie rób tego! O Matko, powstrzymaj ją! – wołał mężczyzna, gdy skoczyła przed niego, zagrządzając drogę lwu. Kobieta wykonała ostry, rozkazujący ruch i w gardłowym języku klanu krzyknęła: Stop!

Ogromny, rudogrzywy lew jaskiniowy, wykonał gwałtowny skręt i wylądował u stóp kobiety. Potem zaczął się ocierać swym wielkim łbem o jej nogi. Jondalar stał niczym rażony gromem.

– Maluszek! Och, Maluszk, wróciłeś – powiedziała Ayla językiem gestów i bez wahania, bez najmniejszego lęku objęła potężny kark lwa.

Maluszek tak jak mógł najdelikatniej przewrócił ją i Jondalar z rozdziawionymi ustami patrzył, jak największy lew jaskiniowy, jakiego kiedykolwiek widział, położył na kobiecie przednie łapy w zbliżonym do uścisku geście. Kot zlizywał słonawe łyzy z kobiecej twarzy, drapiąc ją przy tym do żywego.

– Wystarczy, Maluszkule – powiedziała, siadając – w przeciwnym razie nic mi z twarzy nie zostanie.

Odszukała za uszami i w okolicach grzywy jego ulubione miejsca do drapania. Lew obrócił się na plecy i nadstawił jej do drapania szyję, popukując przy tym głęboko z zadowolenia.

– Nie myślałam, że jeszcze cię kiedyś zobaczę, Maluszkule – powiedziała, przestając drapać, a kot przewrócił się na łapy. Był większy, niż pamiętała, i choć trochę wychudzony, to wyglądał na zdrowego. Miał kilka blizn, których przedtem nie widziała, i pomyślała, że pewnie walczył o swe terytorium i zwyciężył. Ta myśl napełniła ją dumą. Naraz Maluszek ponownie zauważył Jondalara i prychnął na niego.

– Nie pryčaj na niego! To mężczyzna, którego mi sprowadziłeś. Ty masz partnerkę... myślę, że masz już wiele partnerek. Lew wstał, odwrócił się do mężczyzny tyłem i pomaszerował w kierunku żubrów.

– Czy możemy mu dać jednego? – zawołała do Jondalara Ayla.  
– Naprawdę to dla nas za dużo.

Jondalar nadal trzymał oszczep w dłoni. Stał oszołomiony w wejściu do jaskini. Próbował odpowiedzieć, ale z gardła wydobył mu się jedynie pisk. W końcu odzyskał głos.

– Czy możemy? Pytasz mnie, czy możemy? Oddaj mu oba. Daj mu wszystko, czego chce!

– Maluszkowi niepotrzebne oba. – Ayla wymawiała jego imię w języku, którego Jondalar nie znał, ale się domyślił, że to musi

być imię. – Nie, Maluszk! Nie zabieraj jałówki – powiedziała, używając słów i gestów, których mężczyzna nadal w pełni nie uznawał za język. Ale gdy zobaczył, jak Ayla odpędza lwa od jednego żubra i kieruje go do drugiego, z ust wyrwało mu się głośne westchnienie. Lew zacisnął ogromne szczęki na pozbawionym głowy karku młodego byka i odciągnął go ze skraju tarasu. Potem poprawił uścisk i ruszył w dół znajomą ścieżką.

– Zaraz wrócę, Jondalarze – powiedziała Ayla. – Whinney i Zawodnik mogą być na dole, a nie chciałabym aby Maluszek wystraszył żrebaka.

Jondalar patrzył na podążającą za lwem kobietę, dopóki nie zniknęli mu oboje z oczu. Potem zobaczył ją ponownie, gdy wyłoniła się zza ściany od strony doliny i szła niedbałym krokiem obok lwa, który ciągnął żubra pomiędzy łapami.

Kiedy dotarli do wielkiego głazu, Ayla się zatrzymała i znowu przytuliła do lwa. Maluszek wypuścił z pyska żubra i Jondalar z niedowierzaniem pokręcił głową, gdy zobaczył, jak kobieta wspina się na grzbiet dzikiego drapieźnika. Uniosła rękę i machnęła nią do przodu a potem schwyciła się rudawej grzywy, a ogromny lew skoczył do przodu. Pognał z wielkim pędem, unosząc przytuloną do swego grzbietu Aylę z rozwianym włosiem. Potem zwolnił i wrócił do głazu.

Ponownie schwycił młodego żubra i pociągnął go w głąb doliny. Ayla stała na wielkim kamieniu i patrzyła w ślad za nim. Lew, kiedy znalazł się już daleko w polu, upuścił byka raz jeszcze. Zaczął wydawać serię gardłowych dźwięków, porozumiewawczych pomruków, swych znanych “hnga hnga”, które przeszły w ryk tak donośny, że wstrząsnął Jondalarem aż do szpiku kości.



W końcu lew odszedł, a Jondalar odetchnął z głęboką ulgą, i oparł się o ścianę, czując, że robi mu się słabo. Kim jest ta kobieta? – pomyślał. Jakim rodzajem magii włada? Ptaki, zgoda. A nawet konie. Ale lew jaskiniowy? Największy lew jaskiniowy, jakiego widział?

Czy ona była... doni? Któż, jak nie Matka, potrafi nakłonić zwierzęta do posłuszeństwa? A do tego jeszcze jej uzdrowicielskie moce? Albo jej zdumiewająca zdolność szybkiego opanowania mowy? Ma, co prawda, trochę dziwny akcent, ale nauczyła się większości z jego zasobu słów Mamutoi i pewnych słów z języka Sharamudoi. Czy ona jest wcieleniem Matki?

Usłyszał, że nadchodzi, i poczuł dreszcz strachu. Niemal oczekiwał, iż oznajmi mu, że jest wcieleniem Wielkiej Matki Ziemi i on by jej uwierzył. Ujrzał kobietę z rozpuszczonymi włosami i spływającymi po policzkach łzami.

– Co się stało? – zapytał, a czułość wzięła górę nad jego wyimaginowanymi obawami.

– Dlaczego muszę tracić swoje dzieci? – szlochała. Jondalar pobladł. Jej dzieci? Ten lew był jej dzieckiem? Wstrząśnięty przypomniał sobie niedawne przeżycie, gdy mu się zdawało, iż słyszy płacz Matki, Matki wszystkiego.

– Twoje dzieci?

– Najpierw Durc, a potem Maluszek.

– To imię tego lwa?

– Maluszek? To znaczy malutki, dzieciątko – odparła, próbując to przetłumaczyć.

– Malutki! – parsknął Jondalar. – To największy lew jaskiniowy, jakiego widziałem!

– Wiem – odparła i roześmiała się przez łzy z matczyną dumą.

– Zawsze dbałam o to, aby miał pod dostatkiem jedzenia, nie tak jak lwiątko w stadzie. Ale gdy go znalazłam, był taki mały. Nazwałam go Maluszek i nigdy się nie zdobyłam na to, aby nadać mu inne imię.

– Znalazłaś go? – zapytał Jondalar, nadal pełen wątpliwości. – Porzuciono go, by zdechł. Myślę, że reny go stratowały. Zaganiałam je do dołu-pułapki. Brun pozwalała mi czasami przynosić do jaskini małe zwierzątka, jeżeli były ranne i potrzebowały pomocy, ale nigdy nie zezwalał na zabieranie drapieżników. Nie miałam zamiaru go zabierać, ale wtedy rzuciły się na niego hieny. Odpędziłam je moją procą i zabrałam lwiątko.

Spojrzenie Ayli przyjęło nieobecny wyraz, a usta wykrzywił uśmiech.

– Maluszek był taki zabawny, gdy był mały, zawsze mnie rozśmieszał. Ale przez długi czas musiałam dla niego polować, zanim podczas drugiej zimy nie nauczył się polować razem ze mną. Wszyscy polowaliśmy razem, Whinney też. Nie widziałam Maluszka od czasu... – nagle zdała sobie sprawę, kiedy to było.

– Och, Jondalar, tak mi przykro. Maluszek jest lwem, który zabił twego brata. Ale gdyby to był inny lew, to nie mogłabym cię mu zabrać.

– Ty jesteś doni! – krzyknął Jondalar. – Widziałem cię w moim marzeniu! Myślałem, że doni przyszła zabrać mnie na drugi świat, ale ona zamiast tego odpędziła lwa.

– Musiały się jeszcze w tobie tlić resztki przytomności. A kiedy cię odciągałam, pewnie z bólu straciłeś świadomość. Musiałam szybko cię stamtąd zabrać. Wiedziałam, że Maluszek mi nic nie zrobi, czasami jest trochę niedelikatny ale nie robi tego celowo. Nic na to nie może poradzić. Ale nie wiedziałam, kiedy wróci jego

lwica.

Mężczyzna kręcił z podziwu i niedowierzania głową. – Ty naprawdę polowałaś z tym lwem?

– To był jedyny sposób, abym go mogła wykarmić. Z początku, kiedy jeszcze nie umiał sam zabijać, powalał jedynie zwierzynę, a ja podjeżdżałam na Whinney i zabijałam ją dzidą. Wówczas jeszcze nie wiedziałam o rzucaniu oszczepem. Kiedy Maluszek wyrósł już na tyle, by samemu zabijać, to czasami zanim zabrał się do jedzenia, brałam sobie kawałek mięsa, a kiedy indziej, gdy chciałam sobie zachować skórę...

– Wtedy odpychałaś go na bok, tak jak od tego żubra? Nie wiesz, jak niebezpiecznie jest zabierać mięso lwu? Widziałem, jak jeden zabił za to własne lwiątko!

– Ja również. Ale Maluszek jest inny. Nie wychował się w stadzie. Wyrósł tutaj, z Whinney i ze mną. Razem polowaliśmy przyzwyczaił się dzielić ze mną. Cieszę się, że znalazł lwicę, że będzie mógł żyć jak lew. Whinney wróciła na pewien czas do stada, ale nie podobało jej się i wróciła... – Ayla pokręciła głową i spojrzała w ziemię. To nieprawda. Chciałam w to wierzyć. Myślę, że była szczęśliwa ze swoim stadem i ogierem. Ja nie byłam szczęśliwa bez niej. Cieszę się, że zechciała do mnie wrócić po śmierci ogiera.

Ayla podniosła swe brudne okrycie i ruszyła w kierunku jaskini. Jondalar spostrzegł, że nadal trzyma oszczep, więc odstawił go pod ścianę, i poszedł za nią. Ayla szła zamyślona. Powrót Maluszka obudził tak wiele wspomnień. Spojrzała na pieczeń z żubra, obróciła szpikulec i pogrzebała w żarze. Potem naląła wody z dużego żołądka dzikiego osła, służącego za pojemnik, do naczynia do gotowania i włożyła do niego gorące kamienie z paleniska.

Jondalar przyglądał się jej, nadal nie mogąc ochłonąć po wizycie lwa jaskiniowego. Już wystarczającym szokiem było ujrzeć, jak zeskoczył na skalną półkę, a co dopiero gdy Ayla rzuciła się pomiędzy nich i zatrzymała tego potężnego drapieżnika... nikt by w to nie uwierzył.

Przypatrywał się jej z uczuciem, że coś się w niej zmieniło. Wtem zauważył: miała rozpuszczone włosy. Przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył ją z rozpuszczonymi włosami, połyskującymi złościście w słońcu. Wracła z plaży i wtedy ją ujrzał, ujrzał ją całą, po raz pierwszy jej rozpuszczone włosy i wspaniałe ciało.

– ... dobrze było zobaczyć znowu Maluszka. Te żubry musiały być na jego terytorium. Pewnie wywęszył krew i poszedł naszym śladem. Twój widok go bardzo zaskoczył. Nie wiem, czy cię pamiętał. Jak daliście się złapać w tym ślepym jarze?

– Co...? Przepraszam, co powiedziałaś?

– Zastanawiałam się, jak ty i twój brat daliście się Maluszkowi zaskoczyć w tym jarze – powiedziała, podnosząc wzrok. Patrzyły na nią świetliste, fiołkowe oczy, których spojrzenie wywołało rumieniec na jej twarzy.

Z pewnym wysiłkiem skoncentrował swą uwagę na jej pytaniu.

– Tropiliśmy jelenia. Lwica też go sobie upatrzyła. Thonolan go zabił, a ona odciągnęła zdobycz. Thonolan poszedł za nią. Mówiłem, aby dał spokój, ale on nie chciał słuchać. Zobaczyliśmy, jak lwica wchodzi do jaru, a potem z niego wychodzi. Thonolan myślał, że będzie mógł przed jej powrotem odzyskać oszczep, i odkroić sobie trochę mięsa. Lew myślał inaczej.

Jondalar przymknął na chwilę oczy.

– Nie mogę go winić. Głupotą było iść za lwicą, ale nie mogłem go zatrzymać. Zawsze był lekkomyślny, lecz po śmierci Jetamio był więcej niż lekkomyślny. Chciał umrzeć. Zdaje się, że ja też nie powinienem był za nim iść.

Ayla wiedziała, że nadal czuł smutek z powodu śmierci swego brata i zmieniła temat.

– Nie widziałam Whinney na łące. Pewnie jest razem z Zawodnikiem na stepach. Ostatnio często się tam zapuszczają. Sposób, w jaki umocowałeś na łbie Zawodnika te paski, sprawdził się, ale nie wiem, czy trzeba było go przywiązywać do Whinney.

– Lina była za długa. Nie sądziłem, że może się zaczepić o krcaki. Ale konie powstrzymała. Warto o tym pamiętać na wypadek, gdybyś chciała, aby zostały w jakimś miejscu. Przynajmniej Zawodnik. Czy Whinney zawsze robiła to, co chciałaś?

– Chyba tak, choć zdaje się, że ona chce to robić. Ona wie, czego chce, i to robi. Maluszek jedynie niesie mnie tam, gdzie sam tego chce, ale biega tak szybko. – Jej oczy się zaiskrzyły na wspomnienie ostatniej jazdy. Jazda na lwie zawsze była porywająca.

Jondalar przypomniał sobie ją wczepioną w grzbiet lwa jaskiniowego, jej włosy fruujące na wietrze, bardziej złociste niż jego rudawa grzywa. Patrzenie na to napawało go lękiem wobec niej, ale to było takie podniecające – tak jak ona. Taka dzika, taka wolna, taka piękna...

– Jesteś podniecającą kobietą, Ayla – rzekł, a jego oczy mówiły to samo.

– Podniecająca? Podniecające jest... miotacz oszczepów albo szybka jazda na Whinney... czy na Maluszkę, tak? – Była

zakłopotana.

– Tak. I tak samo Ayla jest dla mnie podniecająca i... piękna. – Żartujesz sobie, Jondalarze. Kwiat jest piękny albo niebo, gdy słońce schowa się za horyzont. Ja nie jestem piękna.

– Czy kobieta nie może być piękna?

Odwróciła się, unikając jego natarczywego spojrzenia.

– Ja... ja nie wiem. Ale nie jestem piękna. Jestem... duża i brzydka.

Jondalar wstał i pociągnął ją, aby również stanęła na nogi.

– No i co, kto jest wyższy?

Przytłaczał ją, gdy stał tak blisko. Znowu ogolił twarz, zauważyła. Króciutki zarost można było wypatrzyć jedynie z bliska. Chciała dotknąć jego szorstko-gładkiej twarzy. Jego oczy zdawały się przenikać ją na wskroś.

– Ty jesteś – powiedziała miękko.

– W takim razie ty nie jesteś zbyt duża, prawda? I nie jesteś brzydka. – Uśmiechnął się, ale ona odczytała to jedynie z jego oczu. – To zabawne, aby najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem, myślała, że jest brzydka.

Słyszała, co mówił, ale zbyt była zniewolona jego spojrzeniem, zbyt poruszona reakcją swego ciała, aby dotarł do niej sens jego słów. Zobaczyła, jak się pochylił, a potem przywarł ustami do jej warg, objął ją i przyciągnął bliżej.

– Jondalar – wyszeptała. – Podoba mi się to... usta na ustach.

– Pocałunek – powiedział. Myślę, że już czas. – Wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku posłania.

– Czas?

– Na Rytuał Pierwszej Rozkoszy – powiedział. Usiedli na futrach.

– Co to jest za rodzaj ceremonii?

– To ceremonia, która czyni kobietę. Nie potrafię o tym opowiedzieć. Starsze kobiety mówią dziewczętom, czego się mają spodziewać, i że to może być bolesne, ale, że trzeba otworzyć przejście, aby mogły stać się kobietami. Wybierają do tego mężczyznę. Mężczyźni pragną być wybrani, ale niektórzy się boją.

– Czego się boją?

– Boją się, że sprawią kobiecie ból, boją się, że będą niezdarni, boją się, że nie potrafią, że ich sprawiacz kobiet nie wstanie.

– To oznacza męski organ? Ma wiele imion.

Przyszły mu na myśl wszystkie imiona, wiele wulgarnych lub zabawnych.

– Tak, ma wiele imion.

– A jak się naprawdę nazywa?

– Zdaje się, że męskość – powiedział po chwili zastanowienia – tak samo, jak na określenie mężczyzny, albo sprawiacz kobiet.

– A co się dzieje kiedy męskość nie chce wstać?

– Trzeba przywołać innego mężczyznę – to bywa powodem wielkiego zakłopotania. Ale większość mężczyzn pragnie być wybrana.

– Lubiłeś być wybierany?

– Tak.

– Często cię wybierano?

– Tak.

– Dlaczego?

Jondalar się uśmiechnął i zastanowił, czy jej wszystkie pytania były wynikiem ciekawości czy też zdenerwowania.

– Myślę, że dlatego, iż to lubię. Pierwszy raz dla kobiety ma dla mnie szczególne znaczenie.

– Jondalarze, jak możemy urządzić ceremonię Pierwszej

Rozkoszy? Ja mam już pierwszy raz za sobą. Już jestem otwarta.

– Wiem, ale Rytuał Pierwszej Rozkoszy to coś więcej niż tylko otwarcie.

– Nie rozumiem. Co tu więcej może być?

Jondalar znowu się uśmiechnął, a potem pochylił się i dotknął swymi ustami jej. Ona pochyliła się ku niemu, ale zaskoczyło ją, gdy otworzył usta i jego język spróbował sięgnąć w głąb jej ust. Cofnęła się.

– Co ty robisz? – zapytała.

– Nie podoba ci się? – Czoło zmarszczyło mu się z zakłopotania.

– Nie wiem.

– Chcesz, abym spróbował jeszcze raz? – Powoli, upominał samego siebie. Nie popędzaj. – A może tak położyłabyś się wygodnie?

Popchnął ją delikatnie, po czym sam wyciągnął się obok niej, wspierając się na łokciu. Spoglądał na nią z góry, a potem znowu przycisnął swe usta do jej. Począł, aż jej napięcie osłabnie, a potem delikatnie powiódł językiem po jej wargach. Uniósł się i ujrzał uśmiech na jej ustach i zamknięte oczy. Gdy je otworzyła, pochylił się, by ponownie ją pocałować. A ona z napięciem czekała na jego dotknięcie. Pocałował ją bardziej namiętnie, otwartymi ustami. A kiedy jego język szukał wejścia, Ayla rozchyliła wargi na jego przyjęcie.

– Tak – powiedziała. – Chyba mi się to podoba. Jondalar się uśmiechnął. Smakowała, sprawdzała, badała i on się cieszył, że nie uznała go za nachalnego.

– A co teraz? – zapytała.

– Może jeszcze trochę tego samego?

– Dobrze.

Pocałował ją znowu, delikatnie wnikając w jej usta i badając



jej podniebienie i zagłębienie pod językiem. Potem jego usta powędrowały po policzku i odszukały jej ucho. Chuchnął w nie ciepłym powietrzem, delikatnie pogryzł płatek, a potem całą szyję pokrył pocałunkami. Następnie znowu wrócił do jej ust.

– Dlaczego czuję się tak, jakbym miała gorączkę i dreszcze? – zapytała. – Ale nie takie jak w chorobie, miłe dreszcze.

– Przestań do tego podchodzić jak uzdrowicielka, to nie choroba – powiedział, a po chwili dodał – skoro jest ci ciepło, to dlaczego nie rozchyliš swego okrycia?

– Nie trzeba. Nie jest mi gorąco.

– A miałabyś coś przeciwko temu, żebym to ja rozchylił twoje okrycie?

– Po co?

– Ponieważ tego chcę. – Pocałował ją ponownie, próbując rozwiązać supeł na rzemieniu przytrzymującym okrycie. Nie udało mu się i spodziewał się dalszych uwag z jej strony.

– Ja to rozwiążę – szepnęła i rozsupłała węzeł, a potem uniosła biodra, aby odwiązać rzemień. Skórzane okrycie opadło i Jondalar wstrzymał oddech.

– Och, kobieto! – Miał zachrypnięty pożądaniem głos i napięte żądzą lędźwie. – Ayla. O Doni, cóż to za kobieta! – Począł całować namiętnie jej otwarte usta, a potem wtulił twarz w jej szyję i począł ssać. Cofnął się w końcu, ciężko dysząc, i dostrzegł czerwony ślad, który na niej zostawił. Odetchnął głęboko, starając się opanować.

– Czy coś się stało? – zapytała Ayla, marszcząc z zatroskania brwi.

– Jedynie to, że za bardzo cię pragnę. Chciałbym to zrobić dobrze, ale nie wiem, czy potrafię. Jesteś... taka piękna, tak bardzo kobieca. Twarz wypogodziła jej się w uśmiechu.

– Wszystko, co zrobisz, będzie dobrze, Jondalarze. Pocałował ją znowu, bardziej delikatnie, pragnąc bardziej niż kiedykolwiek dać jej rozkosz. Pieścił jej ciało, wyczuwając pod palcami jej pełne piersi, wcięcie w pasie, łagodną krzywiznę bioder, napięte mięśnie ud. Drżała pod jego dotykiem. Przeczesał palcami złociste loczki na jej wzgórku, powiódł dłonią po brzuchu ku wezbranym wzgórkom piersi i poczuł, jak twardnieje mu w dłoni jej sutek. Pocałował cieniutką bliznę na szyi; potem odszukał drugą pierś i possał.

– To inaczej się czuje, niż gdy dziecko ssie – powiedziała.

Nastrój chwili prysł. Jondalar wyprostował się ze śmiechem.

– Nie powinnaś tego analizować, Ayla.

– No cóż, ale nie czuje się tego tak samo, jak ssania dziecka, i nie wiem, dlaczego. Nie wiem, dlaczego w ogóle mężczyzna chce ssać jak dziecko – powiedziała z lekka obronnym tonem.

– Nie chcesz, aby to robił? Nie będę, jeżeli ci się to nie podoba.

– Nie powiedziałam, że mi się nie podoba. To miłe uczucie, gdy dziecko ssie. Nie czuję tego tak samo, gdy ty to robisz, ale to też miłe uczucie. Czuję to w całym ciele. A dziecko nie wywołuje takich uczuć.

– Dlatego właśnie mężczyzna to robi, aby wywołać w kobiecie takie uczucia i samemu tak się poczuć. Po to właśnie cię dotykam, aby dać rozkosz tobie i sobie samemu. To dar rozkoszy, który Matka ofiarowała swym dzieciom. Stworzyła nas do poznania rozkoszy, a my czcimy ją, przyjmując jej dar. Czy pozwolisz, bym ofiarował ci rozkosz, Aylo?

Patrzył na nią. Jej twarz okalały rozrzucone na futrze złociste włosy. W bezdennej otchłani jej łagodnych, szeroko otwartych oczu tlił się ukryty płomień. Jej oczy zdawały się być tak pełne, jakby miały się za chwilę rozlać. Wargi jej drżały, gdy otworzyła

usta, aby mu odpowiedzieć, więc skinęła jedynie głową.

Jondalar zamknął pocałunkiem najpierw jej jedno, potem drugie oko, i ujrzał łzę. Zebrał słoną kropelkę koniuszkiem języka. Ayla otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Pocałował czubek jej nosa, a potem każdej z piersi. Następnie wstał.

Ayla patrzyła, jak podszedł do ogniska i zabrał z ognia pieczeń, i odsunął od żaru zawinięte w liście korzonki. Czekwała, nie myślała o tym, co będzie, wyczekiwała jedynie, choć sama nie wiedziała – czego. On sprawił, iż jej ciało zaczęły ogarniać nieznane jej dotąd uczucia, obudził w niej jakąś niewypowiedzianą tęsknotę. Jondalar napełnił miseczkę wodą i zabrał ją z sobą.

– Nie chcę, aby cokolwiek nam przeszkadzało – powiedział – i pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę napić się wody. Ayla pokręciła głową. On upił łyk i odstawił miseczkę, a potem odwiązał swą przepaskę. Stał, spoglądając na nią, a jego ogromna męskość prężyła się dumnie. W jej oczach była jedynie ufność i pragnienie, żadnego lęku, który zwykle wywoływał swą wielkością w młodych i nie tylko młodych kobietach, spoglądających na niego po raz pierwszy.

Położył się obok niej, napawając oczy jej widokiem. Jej włosy, miękkie, gęste i bujne; jej oczy pełne wyczekiwania; jej wspaniałe ciało; cała ta piękna kobieta czekała, by ją dotknął, pragnęła, by obudził drzemiące w niej uczucia. A on pragnął przeciągnąć moment jej pierwszego przebudzenia. Nie czuł jeszcze nigdy tak wielkiego podniecenia podczas Rytuału Pierwszej Rozkoszy. Ayla nie wiedziała, czego się spodziewać; nikt nie opisał jej tego w barwnych i przesadzonych szczegółach. Ona była jedynie wykorzystywana.

O Doni, pomóż mi zrobić to dobrze, pomyślał, czując się przez moment tak, jakby raczej brał na siebie jakąś straszną

odpowiedzialność niż radosną rozkosz.

Ayla leżała bez ruchu, choć jeszcze dniała. Miała wrażenie, że czeka już całą wieczność na coś, czego nie potrafiła nazwać, ale co on mógł jej dać. Już same jego oczy wzruszały ją do głębi; nie potrafiła wyjaśnić obłądnego pulsowania i drżenia, w jakie wprawiały ją jego dłonie, usta i język, ale tęskniła za czymś jeszcze. Czuła, że to jeszcze nie wszystko, że czegoś brakuje... Dopóki nie dał poznać jej smalcu, nie wiedziała, co to głód, lecz raz rozbudzony musiał być zaspokojony.

Kiedy Jondalar nasycił już swoje oczy, zamknął je i pocałował ją raz jeszcze. Jej usta były uchylone, czekające. Wciągnęła jego język i poczęła dotykać własnym. Jondalar uniósł się i uśmiechnął zachęcająco. Po chwili wziął w usta pasmo jej bujnych włosów, a potem zanurzył twarz w grubej, puszystej poduszce jej złocistej korony. Całował jej czoło, oczy, policzki, pragnąc poznać ją całą.

Odnalazł jej ucho i jeszcze raz przeniknął ją rozkoszny dreszcz zesłany jego gorącym oddechem. Pieścił zębami płatki jej uszu. Odkrył wrażliwe miejsca na karku i szyi, których dotyk wzbudzały dreszcz podniecenia. Jego duże, czułe dłonie wędrowały po jej ciele, wyczuwając jedwabistość jej włosów. Ujmował w dłonie jej policzki i brodę, wiódł palcami po ramionach. Potem ujął jej dłoń i podniósł do swych ust, ucałował jej wnętrze, głaskał każdy palec a potem powędrował wzdłuż wewnętrznej krzywizny ramienia.

Ayla miała zamknięte oczy, poddając się doznaniom z rytmicznie napływającymi falami dreszczy. Jego gorące usta odszukały bliznę na szyi, a potem powędrowały w dół pomiędzy piersiami, i zakreśliły pod jedną z nich. Począł wodzić wokół niej językiem, dotarł do brodawki. Westchnęła, gdy wciągnął do ust

sutek, a Jondalar poczuł falę gorąca zalewającą mu lędźwie.

Dłonią powtarzał ruchy języka na drugiej piersi i jego palce odnalazły stwardniałą, sterczącą brodawkę. Ssał delikatnie, ale kiedy Ayla uniosła się mu na spotkanie, jego ruchy stały się bardziej namiętne. Ciężko oddychała i cicho pojękiwała. On oddychał w rytm jej rosnącego pożądania; nie był pewny, czy może czekać. Przerwał i ponownie na nią spojrział. Oczy miała przymknięte, a usta rozchylone.

Naraz zapragnął jej całej. Pocałował ją, wciągając jej język pomiędzy swe wargi. Nim sobie uświadomił, ona idąc za jego przykładem, czyniła to samo z jego ustami. Znowu odszukał jej szyję i począł zataczać wilgotne kręgi wokół drugiej z jej pełnych piersi, dopóki nie dotarł do sutka. Ayla przysunęła się pożądliwie bliżej i zadrżała, gdy wciągnął go głęboko w usta.

Jego dłoń pieściła brzuch, biodra, nogi, a potem powędrowała ku wewnętrznej stronie ud. Jej mocne mięśnie przeszły fala dreszczy, na moment je napięła, ale potem rozsunęła nogi. Jondalar zamknął w dłoni jej wzgórek ciemnozłocistych kędziorków i nagle poczuł gorącą wilgotność. Nagły skurcz w podbrzuszu zaskoczył go. Całą siłą woli starał się zapanować nad sobą, ale niemal zatracił się bez reszty, gdy poczuł w dłoni następną falę wilgoci.

Zostawił jej sutek i powędrował ustami do jej brzucha i pępka. Kiedy dotarł do wzgórnka, spojrział na nią. Oddychała ciężko, plecy wygięła w łuk i wyprężyła w oczekiwaniu. Była gotowa. Pocałował szczyt wzgórnka, wyczuł poskręcane włoski i sięgnął niżej. Ayla drżała, a gdy jego język odnalazł szczyt jej wąskiej szpary, szarpnęła się z krzykiem, po czym opadła, jęcząc.

Jego męskość przeżyła się niecierpliwie. Przesunął się pomiędzy jej nogi. Potem rozchylił ją i oddał się pełnemu miłosnego

pożądania kosztowaniu zakamarków jej ciała. Ayla nie słyszała samej siebie, zatraciła się w powodzi rozkosznych wrażeń, które zalewały ją, gdy on swym językiem badał każdą fałdkę, każdą bruzdkę.

Skupił się cały na niej, aby trzymać na wodzy własne pożądanie. Odszukał mały guzełek rozkoszy i poruszył nim szybkim i pewnym ruchem palca. Bał się, że nie będzie już mógł dłużej nad sobą panować, gdy Ayla szarpnęła się i zaszlochała w nie znanym dotychczas uniesieniu. Dwoma palcami zagłębił się w jej wilgotne wnętrze i począł naciskać również od środka.

Nagle Ayla wygięła się, krzyknęła i Jondalar poczuł nową falę wilgoci. Kobieta zaciskała i prostowała dłonie, unosząc się i opuszczając w takt spazmatycznych oddechów.

– ...potrzebuję cię... potrzebuję czegoś...

Jondalar klęczał, zaciskając zęby z wysiłku, by się pohamować i wejść w nią ostrożnie.

– Staram się... być łagodny – powiedział niemal z boleścią w głosie.

– To... nie będzie mnie bolało...

To była prawda! To nie był naprawdę jej pierwszy raz. Kiedy wygięła się, wychodząc mu na spotkanie, wszedł w nią. Nie było żadnej przeszkody. Nacisnął mocniej, spodziewając się trafić na jej koniec, ale poczuł, że wchodzi głębiej, że otwierają się przed nim jej wilgotne głębiny i wchłaniają go w siebie, dopóki nie zamknęły go całego w swym wnętrzu. Cofnął się i zagłębił się w niej ponownie. Objęła go nogami i przyciągnęła do siebie. Znowu cofnął, a gdy ponownie się w nią zanurzył, poczuł, jak jej cudowne, pulsujące wnętrze obejmuje go całego. To było więcej niż potrafił znieść. Wchodził w nią raz za razem z nie skrępowaną żywiołowością, całkowicie oddając się spełnieniu

swych własnych pragnień.

– Ayla!... Ayla!... Ayla! – krzyczał.

Napięcie sięgnęło szczytu. Czuł, jak wzbiera w jego lędźwiach. Cofnął się raz jeszcze. Ayla uniosła się ku niemu, napinając wszystkie nerwy i mięśnie. Zagłębił się w niej, upajając się czystą rozkoszą z całkowitego zanurzenia w jej spragnionym ciele swej wezbranej męskości. Oboje się wyprężyli, Ayla krzyknęła jego imię i Jondalar napełnił ją, oddając jej ostatnią cząstkę siebie.

Przez trwającą wieczność chwilę jego głęboki, gardłowy krzyk wtórował jego imieniu wyrzucanemu pośród zdyszanych szlochów, wstrząsnął nimi dreszcz niewypowiedzianej rozkoszy. Potem z ogromną ulgą opadł na nią.

Przez długą chwilę było słycać jedynie ich oddechy. Nie mogli się ruszyć. Oddali się sobie bez reszty, po ostatnie drgnienie mięśni. Nie mieli ochoty się ruszać, nie chcieli, aby to się skończyło, choć wiedzieli, że było już po wszystkim. To było przebudzenie Ayli; ona nigdy nie знаła rozkoszy, jaką mężczyzna może dać kobiecie. Jondalar wiedział, że rozkoszą dla niego będzie ją obudzić, ale ona zaskoczyła go, niespodziewanie bezgranicznie, powiększając jego podniecenie.

Jedynie kilka kobiet było na tyle przepastnych, aby przyjąć go w całości; nauczył się panować nad głębokością swojego wnikanja i robił to z wprawą i delikatnością. Nigdy nie było tak samo ale to niewiarygodne, aby można było jednocześnie rozkoszować się podnieceniem wywołanym Rytuałem Pierwszej Rozkoszy i rzadkim, cudownym wyzwoleniem pełnego wnikięcia.

Jondalar zawsze bardzo się podniecał podczas Rytuału Pierwszej Rozkoszy; w tej ceremonii było coś takiego, co pozwalało mu wyzwolić z siebie wszystko, co najlepsze. Jego

troska i starania były prawdziwe, jego wysiłki były skierowane na zadowolenie kobiety, a jego własna satysfakcja brała się w równej mierze z jej, jak i jego przyjemności. Ale Ayla zadowolila go, zaspokoila bardziej, niż mógł sobie wyobrazić w najdzikszych marzeniach. Nigdy nie miał uczucia tak całkowitego spełnienia. Przez chwilę, zdawało się, iż stali się jednością.

– Muszę ci chyba ciążyć – powiedział, podciągając się do góry i zmniejszając swój nacisk, wspierając na łokciu.

– Nie – powiedziała łagodnie. – Wcale nie jesteś ciężki. Chciałabym, abyś nigdy się nie podniósł.

Jondalar się pochylił, by trącić ustami jej ucho i pocałować szyję. – Ja również nie mam ochoty się podnieść, ale myślę, że powinienem. – Powoli się odsunął, a potem położył obok niej, obejmując ją tak, że jej głowa spoczęła w zagłębieniu poniżej jego ramienia.

Ayla była senna, całkowicie odprężona i w pełni świadoma Jondalara. Czuła obejmujące ją ramię, jego delikatnie pieszczące palce, mięśnie drgające pod jej policzkiem; słyszała bicie jego serca, a być może – swoje własne; czuła miły, męski zapach jego skóry i ich rozkoszy. Nigdy jeszcze nikt tak się o nią nie troszczył i nie pieścił jej w ten sposób.

– Jondalar – powiedziała po chwili – skąd wiedziałeś, co robić? Nie wiedziałam, że kryję w sobie takie uczucia. Skąd wiedziałeś?

– Ktoś mi pokazał, nauczył mnie, pomógł mi się dowiedzieć, czego kobiecie potrzeba.

– Kto?

Wyczuła napięcie w jego mięśniach i zmianę tonu w głosie. – Zwyczajem jest, aby starsza, bardziej doświadczona kobieta nauczyła młodego mężczyznę.

– Masz na myśli coś w rodzaju Rytuału Pierwszej Rozkoszy?



– Niezupełnie. To odbywa się bardziej nieformalnie. Kobiety zawsze odgadują, gdy mężczyznę zaczynają rozpalać namiętności. Zwykle znajduje się jedna lub więcej, rozumiejących przyczyny jego nerwowości i niepewności, i pomagają mu w przezwyciężeniu tych uczuć. Ale nie ma specjalnej ceremonii.

– W klanie, gdy chłopiec upoluje pierwszą zdobycz – na prawdziwym polowaniu, nie jakieś tam małe zwierzątko – to wtedy staje się mężczyzną i urządza się mu odpowiednią ceremonię. To, czy płoną w nim już namiętności, nie ma znaczenia. Tylko polowanie czyni z niego mężczyznę. Wtedy musi przyjąć na siebie obowiązki dorosłego mężczyzny.

– Polowanie jest ważną rzeczą, ale niektórzy nigdy nie polują. Mają inne umiejętności. Przypuszczam, że nie musiałbym polować, gdybym nie chciał. Mogę robić narzędzia i wymieniać je na mięso lub skóry czy inne potrzebne rzeczy. Większość mężczyzn jednakże poluje, a pierwsze udane łowy chłopca mają szczególne znaczenie. W głosie Jondalara pojawiły się ciepłe tony wspomnień.

– Nie odprawia się w zasadzie prawdziwej ceremonii, ale jego zdobycz jest dzielona pomiędzy wszystkich w jaskini – on nic z tego nie je. A potem wszyscy mówią, gdy przechodzi obok, tak by mógł usłyszeć, jaka to wspaniała zdobycz, jakie delikatne i smaczne mięso. Mężczyźni zapraszają go do wspólnych gier lub rozmów. Kobiety traktują go jak prawdziwego mężczyznę i przyjaźnie z nim żartują. Prawie żadna z kobiet nie odmówiłaby mu, jeżeli był wystarczająco dorosły i miałby akurat ochotę... Upolowanie pierwszej zwierzyny pozwala mu się czuć prawie mężczyzną.

– Ale nie urządza się specjalnej ceremonii potwierdzającej jego

męskość?

– Za każdym razem, gdy mężczyzna czyni z dziewczyny kobietę, gdy otwiera ją, pozwala, by wpłynęły w nią siły życia, to tym samym potwierdza swą męskość. To dlatego jego narzędzie, jego męskość zwie się sprawiaczem kobiet.

– On może więcej niż tylko uczynić kobietę. Może począć dziecko.

– Ayla, Wielka Matka Ziemia błogosławi kobietę, obdarzając ją dziećmi. To ona przynosi je na świat i do męskich serc. Doni stworzyła mężczyznę po to, by jej pomógł, aby dostarczał jej pożywienia, gdy chodzi brzemienna lub pielęgnuje niemowlę. I po to, aby uczynił z niej kobietę. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć. Może zelandoni uczyniłby to lepiej.

Może on ma rację, pomyślała Ayla, układając się wygodnie obok niego. – Ale jeżeli tak nie jest, to teraz może we mnie rosnąć dziecko. – Uśmiechnęła się. – Dziecko jak Durc, które mogłabym pieścić i karmić, którym mogłabym się opiekować, dziecko które byłoby częścią Jondalara.

Ale kto pomoże mi, gdy on odejdzie? – pomyślała, czując ukłucie bólu. Przypomniała sobie kłopoty z pierwszą ciążą, swą walkę ze śmiercią podczas porodu. Nie żyłabym, gdyby nie Iza. A gdyby mi się nawet udało samotnie urodzić dziecko, to jak mogłabym polować i opiekować się dzieckiem? Co by się stało, gdybym została ranna lub zginęła? Kto zająłby się wtedy moim dzieckiem? Umarłoby całkiem samo.

Nie mogę mieć teraz drugiego dziecka! Poderwała się. A co będzie, jeżeli już zostało poczęte? Co powinnam zrobić? Lekarstwo Izy! Wrotycz pospolity lub jemiola, lub... nie jemiola. Jest tu kilka roślin, które powinny działać – muszę o tym pomyśleć. To może być niebezpieczne, ale lepiej stracić dziecko

teraz, niż narazić je potem na pożarcie przez hieny.

– Czy coś się stało, Ayla? – zapytał, ujmując w dłoń jej pełną, jędrną pierś. Wiedział, że może to uczynić i dlatego chciał to uczynić.

Ayla pochyliła się ku jego dłoni, pamiętając jej dotyk.

– Nie, wszystko dobrze.

Jondalar się uśmiechnął, przypominając sobie swe głębokie zaspokojenie i czując ponowny dreszcz podniecenia. Myślę, że ona ma dotyk Hadumy!

Ayla dostrzegła ciepło i pożądanie w jego błękitnych oczach. Może on znowu chciałby zażyć ze mną rozkoszy, pomyślała odwzajemniając mu uśmiech. Wtem jej uśmiech przygasł. Jeżeli dziecko jeszcze się nie poczęło, a my znowu zażyjemy rozkoszy, to może się począć. Może powinnam przyjąć tajemny lek Izy, ten, o którym mówiła, aby nikomu nie wspominać.

Przypomniała sobie, że Iza mówiła jej, iż te rośliny – łodygi i korzenie antylopiej szałwi – mają tak potężną moc, że potrafią wesprzeć kobiecy totem w walce z zapładniającą mocą męskiego ducha i zapobiec poczęciu życia. Ayla dowiedziała się o tym, gdy już była w ciąży. Iza nie powiedziała jej przedtem o tym lekarstwie – nikt nie przypuszczał, że ona mogłaby mieć dziecko i nie wspominały o tym podczas jej nauki. Pomimo silnego totemu miałam dziecko i mogę mieć ponownie. Nie wiem, czy to duchy, czy mężczyzna, ale lekarstwo działało u Izy, więc myślę, że lepiej je zażyję, w przeciwnym razie będę musiała zażyć co innego, aby stracić dziecko.

Wolałabym nie być do tego zmuszona, chciałabym móc je zatrzymać. Chciałabym mieć dziecko Jondalara. Uśmiechała się tak czule i zapraszająco, że przyciągnął ją do siebie. Wiszący na jej szyi amulet uderzył go w nos.

– Och, Jondalar! Bolało?

– Co ty tam masz? To musi być pełne kamieni! – powiedział, siadając i rozcierając nos. – Co to jest?

– To jest... dla ducha mojego totemu, aby mógł mnie znaleźć. Zawiera część mojej duszy, którą on rozpoznaje. Przechowuję tu również otrzymane od niego znaki. Każdy w klanie ma taki. Creb mówił, że jeżeli go zgubię, to umrę.

– To zakęcie albo amulet – powiedział. – Twój klan rozumie także tajemnice świata duchów. Im więcej się o nich dowiaduję, tym bardziej przypominają mi ludzi, choć nie są podobni do żadnego ze znanych mi ludów. – Jego oczy napełniły się skrucą. – Ayla, to moja ciemnota popchnęła mnie do tego, bym tak się zachował, gdy po raz pierwszy zrozumiałem, kogo nazywasz klanem. To było niegodziwe, przepraszam.

– Tak, to było niegodziwe, ale ja już się nie gniewam ani nie czuję się urażona. Ty sprawiłeś, że poczułam... chciałabym także być uprzejma. Za dzisiejszy dzień, za Rytuał Pierwszej Rozkoszy chciałabym ci powiedzieć... dziękuję.

Jondalar uśmiechnął się szeroko.

– Zdaje się, że dotąd nikt mi jeszcze nie dziękował za to. Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale w oczach nadal się czaił śmiech. – Jeżeli ktoś powinien dziękować, to tylko ja. Dziękuję, Ayla. Nawet nie wiesz, czego dzięki tobie doświadczyłem. Nie czułem się tak zaspokojony od czasu... – przerwał i dostrzegła grymas bólu na jego twarzy -...od czasu Zoleny.

– Kim jest Zolena?

– Zoleny już nie ma. Była kobietą, którą znałem w młodości. – Położył się i utkwiał wzrok w sklepieniu jaskini, milcząc tak długo, że Ayla myślała, że już się nie odezwie. Potem, bardziej do siebie niż do niej, zaczął mówić.

– Była wtedy piękna. Wszyscy mężczyźni o niej mówili, a wszyscy chłopcy o niej myśleli, ale żaden tyle, co ja, nawet nim mnie jeszcze nawiedziła we śnie. Tej nocy, kiedy nawiedziła mnie doni, przyszła do mnie jako Zolem, a gdy się obudziłem, moje posłanie pełne było mego nasienia, a głowa pełna Zoleny.

– Pamiętam, jak chodziłem za nią lub znajdowałem miejsca, z których mogłem ją obserwować. Błagałem o nią Matkę. Ale gdy do mnie przyszła, nie mogłem w to uwierzyć. Równie dobrze mogła przyjść inna z kobiet, ale ja pragnąłem tylko Zoleny – och, jak ja jej pragnąłem – i to ona przyszła do mnie.

– Pierwszy raz po prostu zażyłem z nią rozkoszy. Już wówczas byłem duży jak na swój wiek – pod wieloma względami. Ona nauczyła mnie, jak nad sobą panować, jak się posługiwać moją męskością i nauczyła mnie, czego potrzebuje kobieta. Dowiedziałem się, że mogę zażyć rozkoszy z kobietą, nawet jeżeli nie była wystarczająco głęboka, jeżeli tylko będę się możliwie długo powstrzymywać i sprawię, by ona była gotowa. Wtedy zadowoli mnie jej głębokość, a ona będzie mogła przyjąć mnie więcej.

– Z Zoleną nie musiałem się tym martwić. Ona potrafiła uszczęśliwić i mniejszych mężczyzn – również umiała nad sobą panować. Nie było mężczyzny, który by jej nie pragnął – a ona wybrała mnie. Przez jakiś czas wybierała mnie za każdym razem, choć byłem ledwie chłopcem.

– Ale był mężczyzna, który za nią chodził, choć wiedział, że ona go nie chce. To mnie gniewało. Raz, gdy zobaczył nas razem, zaproponował, aby wzięła sobie dla odmiany mężczyznę. Nie był starszy od Zoleny, ale był starszy ode mnie. Ale ja byłem większy. Jondalar zamknął oczy, lecz ciągnął dalej.

– To było takie głupie! Nie powinienem był tego robić, to

jedynie zwróciło na nas uwagę, ale on nie pozwoliłby jej odejść. Rozwścieczył mnie. Pewnego dnia uderzyłem go, a potem począłem bić i nie mogłem przestać. Mówią, że nie jest dobrze, by młody mężczyzna przebywał zbyt długo z jedną kobietą. Kiedy ma do czynienia z większą liczbą kobiet, to jest mniejsza szansa na to, że się do którejś z nich przywiąże. Młodzi mężczyźni powinni brać za partnerki młode kobiety; starsze kobiety powinny jedynie ich uczyć. Zawsze się wini kobietę za to, że młody mężczyzna zaczął ją darzyć zbyt dużym uczuciem. Ja nie pragnąłem żadnej z tych starszych kobiet, pragnąłem jedynie Zoleny. Tamte kobiety wydawały mi się takie niezdarne, niewrażliwe, złośliwe. Cały czas podśmiewały się z mężczyzn, szczególnie, z tych młodych. Być może, ja również zachowywałem się niegrzecznie odpędzając je od siebie i obrzucając wyzwiskami. To one wybierają mężczyznę do Rytułu Pierwszej Rozkoszy. Każdy mężczyzna pragnie być wybrany zawsze o tym mówią. To zaszczytne i podniecające zadanie, ale mężczyźni lękają się, by nie być zbyt brutalnymi, zbyt popędliwymi albo jeszcze gorzej. Cóż wart jest mężczyzna, który nie potrafi otworzyć kobiety? Za każdym razem, gdy mijają grupkę kobiet, te stroją sobie z niego żarty.

Zmienił głos i robiąc miny, począł przedrzeźniać cienkim głosem. – Patrzcie, ale przystojniaczek. Nie chciałbyś się trochę poduczyć? – Albo mówiły: – Nie mogłam go niczego nauczyć, może któraś z was chciałaby spróbować?

Potem mówił już swym własnym głosem:

– Większość mężczyzn nauczyła się odpłacać złośliwościami za złośliwości i znajdowali w tym przyjemność równie wielką, jak kobiety, ale młodemu mężczyźnie przychodzi to z trudem. Każdy, który mijał grupkę śmiejących się kobiet, zastanawiał się, czy to

jego kosztem się bawią. Zolem taka nie była. Inne kobiety nie lubiły jej za bardzo, może dlatego, że mężczyźni ją tak lubili. Przy okazji każdej uroczystości Matki czy innej uroczystości ona zawsze była pierwsza... Mężczyzna, którego uderzyłem, stracił kilka zębów. To duży kłopot, gdy mężczyzna traci w młodości zęby. Nie może gryźć i kobiety go nie chcą. Było mi go żal. To było takie głupie! Moja matka wynagrodziła mu za doznaną krzywdę i przeprowadził się do innej jaskini. Ale zjawiał się na Letnich Spotkaniach i na jego widok zawsze odwracałem wzrok. Zolem mówiła o poświęceniu się służbie Matce. Ja miałem ochotę zostać rzeźbiarzem i w ten sposób jej służyć. Wówczas właśnie Marthona uznała, że, być może, mam zdolności do obróbki kamienia i wysłała mnie, abym pracował z Dalanarem. Krótco potem Zolem odeszła, aby poddać się specjalnym ćwiczeniom, a mnie Willomar zabrał, bym zamieszkał u Lanzadonii. Marthona miała rację. Byłem najlepszy. Kiedy po trzech latach wróciłem, Zoleny już nie było.

– Co się z nią stało? – zapytała Ayla prawie z lękiem.

– Ci, Którzy Służą Matce, rezygnują z własnej osobowości i przejmują osobowość ludzi, których stali się orędownikami. W zamian za to Matka daje im dary nie znane jej pozostałym dzieciom: dary magii, zręczności i wiedzy – i mocy. Wielu z tych, którzy poszli służyć, nigdy nie osiągnęło szczytów mocy. Wśród tych, których ona wezwała na swą służbę, jedynie kilku było prawdziwie zdolnych, ale pośród Tych-Którzy Służyli ich umiejętności ujawniały się bardzo szybko. Tuż przed moim odejściem Zolem została Najwyższą Osobą Zelandonii, Pierwszą pośród Tych-Którzy Służyli Matce.

Nagle Jondalar się poderwał i spostrzegł w wejściu do jaskini purpurowo złote niebo na zachodzie.

– Jeszcze jasno. Mam ochotę popływać – powiedział, wychodząc pośpiesznie z jaskini. Ayla podniosła swoje okrycie, długi rzemień i poszła za nim. Nim dotarła jednak do plaży, on był już w wodzie. Zdjęła swój amulet, weszła na kilka stóp do wody, a potem odbiła się od dna i popłynęła. Jondalar był daleko w górze rzeki. Spotkała go, gdy wracał.

– Jak daleko popłynąłeś? – zapytała.

– Do wodospadu – powiedział. – Ayla, nigdy tego nikomu przedtem nie mówiłem... O Zolenie.

– Czy kiedykolwiek widziałeś Zolenę? Jondalar wybuchnął gorzkim śmiechem.

– Nie Zolenę, zelandoni. Tak, widywałem ją. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nawet dzieliłem rozkosz z zelandoni – powiedział.

– Ale już nie wybierała tylko mnie. – Zaczął płynąć, w dół strumienia, mocno i szybko bijąc wodę.

Ayla zmarszczyła czoło i pokręciła głową, a potem popłynęła za nim na plażę. Zawiesiła na szyi amulet i obwiązała okrycie, idąc za nim ścieżką do góry. Jondalar stał przy palenisku wpatrzony w ledwie tłący się żar. Ayla poprawiła okrycie, wzięła trochę drewna i podsyciła ogień. Jondalar nadal był mokry i spostrzegła, że, drżał. Poszła więc po swe skóry do spania.

– Pora roku się zmienia – powiedziała. – Wieczory są zimne. Weź to, bo się zaziębisz.

Jondalar niezdarnie owinął się skórą. Futrzane okrycie do niego nie pasuje, pomyślała. A jeżeli ma zamiar odejść, to powinien wyruszyć przed zmianą pory roku. Poszła do swego posłania i podniosła zawiniątko, które leżało pod ścianą.

– Jondalar...?

Jondalar potrząsnął głową, aby ponownie wrócić do rzeczywistości i uśmiechnął się do niej, ale ten uśmiech nie



rozświetlił jego oczu.

Kiedy Ayla zaczęła rozwiązywać zawiniątko, coś z niego wypadło. Podniosła to.

– Co to jest? – zapytała z pełnym lęku podziwem. – Jak to się tu znalazło?

– To doni – powiedział Jondalar, gdy zobaczyła kawałek rzeźbionej kości.

– Doni?

– Zrobiłem ją dla ciebie, na twój Rytuał Pierwszej Rozkoszy. Doni zawsze powinna być obecna w trakcie Rytuału Pierwszej Rozkoszy.

Ayla pochyliła głowę, aby ukryć łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. – Nie wiem, co powiedzieć, nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Jest piękna. Wygląda jak prawdziwa. Prawie tak jak ja. Jondalar uniósł jej brodę.

– Chciałem, aby wyglądała jak ty. Prawdziwy rzeźbiarz zrobiłby to lepiej... nie. Prawdziwy rzeźbiarz nie zrobiłby takiej doni. Nie wiem, czy i ja powinienem był ją robić. Doni zwykle nie ma twarzy – twarz Matki jest nieznana. Nadanie tej doni twojej twarzy może uwięzić w niej twoją duszę. Dlatego jest twoja, w twoim posiadaniu, to mój dar dla ciebie.

– Ciekawa jestem, dlaczego tu właśnie włożyłeś swój prezent – powiedziała Ayla, gdy skończyła rozwijać pakunek. – Zrobiłam to dla ciebie.

Rozwinął skórę i na widok części ubrania pojaśniały mu oczy. – Ayla! Nie wiedziałem, że potrafisz szyć i naszywać paciorki – powiedział, przyglądając się uważnie ubraniu.

– To nie ja naszywałam paciorki. Ja tylko dorobiłam nowe części do twojej starej bluzy. Rozebrałam na części pozostałe ubranie, aby wiedzieć, jakiej wielkości i kształtu kawałki zrobić.

Przypatrzyłam się, w jaki sposób były razem połączone, aby wiedzieć, jak to zrobić. Użyłam tego szydła, które mi dałeś – nie wiem, czy dobrze się z nim obchodziłam, lecz spełniło swoje zadanie.

– To jest doskonale! – powiedział, trzymając przed sobą bluzę. Przymierzył spodnie, a potem bluzę. – Sam już myślałem o zrobieniu sobie odzienia, które byłoby odpowiednie do wędrówki. Przepaska jest dobra tutaj, ale...

Stało się. Zostało powiedziane głośno. Odejście Jondalara stało się faktem, tak jak złe duchy, które według Creba pojawiały się i nabierały mocy, gdy się wypowiedziało głośno ich imiona. To nie była już jedynie bliżej nieokreślona myśl – teraz nabrała cech rzeczywistości. A w miarę jak o tym myśleli, stawała się coraz bardziej przygniatająca, jej obecność w jaskini nabierała realnych kształtów i nie zamierzała ich opuścić.

Jondalar pospiesznie zdjął rzeczy i ułożył je na kupkę.

– Dziękuję, Ayla. Nie potrafię ci powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy. To będzie doskonale odzienie na czas chłodu, ale teraz jeszcze go nie potrzebuję – powiedział i nałożył ponownie przepaskę.

Ayla skinęła głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Czuła, jak łzy cisną jej się do oczu, a kościana figurka staje się jedynie rozmytą plamą. Przycisnęła ją do piersi; była jej bardzo bliska. Została zrobiona jego dłońmi. Nazwał siebie wyrabiaczem narzędzi, ale potrafił zrobić o wiele więcej. Jego ręce były wystarczająco sprawne, aby zrobić wizerunek, który wywoływał w niej uczucie podobnej czułości, jak wtedy, gdy pokazywał jej, co to znaczy być kobietą.

– Dziękuję – powiedziała, przypominając sobie o uprzejmości. Jondalar zmarszczył czoło.

– Nigdy jej nie zgub – powiedział. – Ona ma twoją twarz i może mieć twą duszę, nie byłoby więc bezpiecznie, gdyby ktoś inny ją znalazł.

– Mój amulet ma w sobie część mojej duszy i ducha mojego totemu. Ta doni ma w sobie część mojej duszy i twojej Matki Ziemi. Czy to czyni z niej także mój amulet?

Nie zastanawiał się nad tym. Czy była teraz częścią Matki? Jedną z Dzieci Ziemi? Może nie powinien igrać z siłami, których nie potrafił ogarnąć swym umysłem. A może właśnie działał pod ich wpływem? – Nie wiem – odparł. – Ale jej nie zgub.

– Jondalar, skoro uważałeś, że to może być niebezpieczne, to dlaczego dałeś tej doni moją twarz?

Jondalar ujął jej dłonie, w których trzymała figurkę.

– Ponieważ chciałem posiąść twą duszę, Ayla. Nie aby ją zatrzymać, chciałem ci ją zwrócić. Pragnąłem dać ci rozkosz i nie wiedziałem, czy potrafię. Nie wiedziałem, czy to zrozumiesz; nie zostałeś wychowana w jej czci. Pomyślałem sobie, że nadanie jej twojej twarzy przyciągnie cię do mnie.

– Nie musiałeś w tym celu dawać doni mojej twarzy. Jeszcze nim poznałam, czym jest rozkosz, przyjęłabym cię z radością, gdybyś tylko wówczas zechciał zaspokoić ze mną swoje pragnienia. Jondalar zamknął ją w swych ramionach razem z doni.

– Nie, Ayla. Mogłaś i być gotowa, ale musiałem zrozumieć, że to był twój pierwszy raz, inaczej nie byłoby tak, jak trzeba. Ayla znowu utonęła w jego oczach. Jego ramiona zacisnęły się mocniej, a ona przywarła do niego, oddając się mu-całkowicie, aż wszystko inne przestało istnieć i pozostały jedynie obejmujące ją ramiona, głodne usta, jego ciało przytulone do jej ciała i oszalamiające, dręczące pragnienie. Nie wiedziała, kiedy uniósł

ją i zabrał od ogniska.

Jej futrzane posłanie było blisko. Czowała, jak Jondalar się mocuje z rzemieniem, a potem daje za wygraną i po prostu zsuwa z niej okrycie. Otworzyła się na niego ochoczo, poczuła, jak jego sztywna męskość szuka, a potem znajduje...

Zdecydowanie, nieomal gwałtownie zanurzył głęboko swe drzewce, jakby chciał się ponownie upewnić, że była tu właśnie dla niego, że nie musi się powstrzymywać. Uniosła się mu na spotkanie, przyjmując go i pragnąc równie mocno, jak on.

Cofnął się i wniknął ponownie, czując wrażliwy wzgórek. Naglony podnieceniem jej całkowitego oddania i szaleńczej przyjemności zupełnego zapomnienia się w swej namiętności dał ponieść się fali dzikiej rozkoszy. Ona unosiła się mu na spotkanie w takt jego pchnięć, wyginając się, aby kierować jego ruchami.

To, co czuła, było czymś więcej niż tylko podnieceniem wywołanym jego ruchami. Za każdym razem, gdy w nią wnikał, czuła jego obecność całym swoim ciałem, każdym nerwem, mięśniem, ścięgnem. Jondalar poczuł narastające napięcie w lędźwiach, napływające falami, trudne do zniesienia pragnienie, które w końcu znalazło swe ujście w przyprawiającym o dreszcz wybuchu, gdy wniknął w nią po raz ostatni. Ayla uniosła się na spotkanie jego ostatecznego pchnięcia i jej ciało przeniknęła zmysłowa radość spełnienia.



Ayla przekręciła się, nie całkiem jeszcze obudzona, ale świadoma pewnej niewygody. Coś ją gniotło, nie mogła się tego pozbyć, w końcu obudziła się i sięgnęła po to. Podniosła do góry uwierającą ją rzecz i w przyćmionym świetle dogasającego ognia ujrzała zarys doni. W nagłym przebłysku świadomości cały wczorajszy dzień stanął jej przed oczyma i wiedziała, że ciepła postać leżąca obok niej na posłaniu to Jondalar.

Musieliśmy zasnąć po tym, jak zażyliśmy rozkoszy, pomyślała. Uszczęśliwiona przysunęła się bliżej niego i przymknęła oczy. Polowanie, powrót Maluszka i Rytuał Pierwszej Rozkoszy, a ponad wszystko Jondalar. To, co do niego czuła, nie dawało się wyrazić znanymi jej słowami, ale napełniało ją niewypowiedzianą radością. Myślała o nim, aż w końcu trudno było jej znieść własne myśli i jednoczesną świadomość jego obecności. Wówczas cicho zsunęła się z posłania, zabierając z sobą figurkę z kości mamuta.

Podeszła do wyjścia z jaskini i ujrzała Whinney i Zawodnika stojących blisko siebie. Klacz parsknęła cicho i kobieta zamachała do nich.

– A jak ty to czułaś, Whinney? – zapytała miękkim głosem. – Czy twój ogier też dawał ci rozkosz? Och, Whinney, nie

wiedziałam, że to może tak być. Jak to możliwe, aby z Broudem było tak okropnie, a z Jondalarem tak cudownie?

Żrebak trącił ją pyskiem, domagając się swej porcji pieszczot. Pogłaskała go i podrapała, a potem przytuliła się do niego.

– Bez względu na to, co Jondalar mówi, to ja myślę, że to ten ogier dał ci żrebaka. Ma nawet ten sam kolor, a nie ma przecież wielu brązowych koni. Może i mógł to być jego duch, ale ja tak nie sądzę.

– Chciałabym móc mieć dziecko, dziecko Jondalara. Nie mogę – co bym zrobiła po jego odejściu? – Pobladła pod wpływem strasznego uczucia. – Odejściu! Och, Whinney, Jondalar ma zamiar odejść!

Wybiegła z jaskini i pobiegła stromą ścieżką w dół, stawiając kroki bardziej na wyczucie niż kierując się wzrokiem. Oczy zaślepiły jej łzy. Rzuciła się przez kamienistą plażę aż zatrzymała ją skalny występ, wówczas skuliła się w jego pobliżu ze szlochem. Jondalar odchodzi. Co ja pocznę? Jak ja to zniosę? Co mogłabym uczynić, aby został? Nic!

Przycupnęła przy ziemi, tuląc się do kamiennej ściany, jakby próbując schronić się przed ciosem..Znowu będzie sama po jego odejściu. Gorzej niż sama: bez Jondalara. – Co ja tu bez niego pocznę? Może też powinnam odejść, odszukać Innych i zostać z nimi. Nie, nie mogę tego uczynić. Wypytywaliby mnie, skąd przybywam, a Inni nienawidzą klanu i byłabym dla nich paskudztwem, chyba że mówiłabym słowa, które nie byłyby prawdziwe.

Nie potrafię. Nie mogę przynieść wstydu Crebowi i Izie. Oni mnie kochali, opiekowali się mną. Uba jest moją siostrą i opiekuje się moim synem. Klan jest moją rodziną. Kiedy byłam sama, klan się mną zajął a teraz Inni nie zechcą mnie.

Jondalar odchodzi. Będę musiała żyć tu samotnie całe życie. Równie dobrze mogłabym być martwa. Broud przeklął mnie; w końcu zwyciężył. Jak mogłabym żyć bez Jondalara?

Ayla płakała, aż zbrakło jej łez i pozostała jedynie pustka. Otarła oczy wierzchem dłoni i spostrzegła, że nadal trzyma figurkę doni. Obróciła ją, podziwiając zarówno pomysł zrobienia z kawałka kości małej kobiety jak i samą figurkę. W świetle księżycy jeszcze bardziej była podobna do Ayli. Włosy rzeźbione w warkocze, oczy ocienione, nos i kształt brody przypominały jej własne odbicie w kałuży wody.

Dlaczego Jondalar dał jej twarz, myśląc o Ziemi Matce, którą Inni czczą? Czy jej dusza została uwięziona, połączona z tą, którą nazywa Doni? Creb mówił, że jej dusza jest połączona z duchem Lwa Jaskiniowego za sprawą jej amuletu, Ursusa, Wielkiego Niedźwiedzia Jaskiniowego i totemu klanu. Ofiarowano jej kawałek duszy każdego z członków klanu, gdy została uzdrowicielką, i nie odebrano ich, gdy została obłożona klątwą śmierci.

Klan i Inni, totemy i Matka, wszyscy mają jakieś prawo do tej jej niewidzialnej części zwanej duszą. Myślę, że mój duch musi być zakłopotany, pomyślała – bo ja jestem.

Zimny wiatr skłonił ją, aby wróciła do jaskini. Odsunęła zimną pieczeń i rozpałała mały ogień, starając się nie przeszkadzać Jondalarowi, i nastawiła wodę, żeby zaparzyć napój, który pomógłby się jej odprężyć. Nie mogła zasnąć. Wpatrywała się w płomień i myślała o tym, jak to wiele razy wpatrywała się w ogień, by zobaczyć namiastkę czegoś żywego. Gorące języki światła tańczyły na polanach, liżąc nowy kawałek, a potem cofając się i skacząc ponownie, aż w końcu obejmowały go w posiadanie i pożerały kolejne polano.

– Doni! To ty! To ty! – krzyczał Jondalar przez sen. Ayla poderwała się z miejsca i podeszła do niego. Rzucił się na posłaniu, najwyraźniej śniąc. Zastanawiała się, czy powinna go obudzić. Nagle otworzył oczy i spojrzał na nią zaskoczony.

– Dobrze się czujesz, Jondalarze? – zapytała.

– Ayla? Ayla! To ty?

– Tak, to ja.

Zamknął ponownie oczy i mamrotał coś nieskładnie. On się nie obudził, zdała sobie sprawę. To było częścią jego snu, ale się uspokoił. Przyglądała mu się, dopóki zupełnie się nie uspokoił, i wtedy wróciła do ogniska. Popijała napój, pozwalając płomieniom przygasnąć. W końcu poczuła senność, zdjęła okrycie i wczłgała się obok Jondalara, a potem naciągnęła na siebie futra. Ciepło bijące od śpiącego mężczyzny sprawiło, że znów zaczęła rozmyślać o tym, jak będzie po jego odejściu – i znowu popłynęły jej łzy. Płakała, aż do zaśnięcia.

Jondalar biegł, z trudem łapiąc oddech i usiłując dotrzeć do znajdującej się przed nim jaskini. Spojrzał w górę i dostrzegł lwa jaskiniowego. Nie, nie, Thonolan! Lew jaskiniowy gonił go, przyczał się, a potem skoczył. Nagle pojawiła się Matka i odpędziła lwa.

– Doni! To ty! To ty!

Matka odwróciła się i ujrzał jej twarz. Jej twarz była twarzą doni wyrzeźbionej na podobieństwo Ayli. Zawołał za nią.

– Ayla? Ayla? To ty?

Rzeźbiona twarz ożyła; jej włosy były niczym złocista aureola okolona czerwonym blaskiem.

– Tak, to ja.

Ayla-doni zaczęła rosnąć i zmieniać kształty, przybierając postać starej doni, którą oddał w prezencie, tej doni, która była w



jego rodzinie od pokoleń. Miała obfite, matczyne kształty i nadal się powiększała aż osiągnęła rozmiary góry. Wtedy poczęła rodzić. Z głębi jej przepastnej groty wraz z wodami płodowymi wypłynęły wszystkie stworzenia zamieszkujące morza, potem wyfrunęły chmarą wszystkie owady i ptaki. Następnie zwierzęta lądowe – zające, jelenie, żubry, mamuty, lwy jaskiniowe – a w oddali dostrzegł we mgle niewyraźne postacie ludzi.

Podeszli bliżej. Mgła się rozwiała i nagle mógł ich zobaczyć. To byli płaskogłowi! Zobaczyli go i uciekli. Zawołał za nimi i jedna z kobiet się odwróciła. Miała twarz Ayli. Pobiegnął w jej stronę, ale znowu otoczyła go mgła.

Szedł po omacku w czerwonej mgle i słyszał odległy ryk, jakby huk spadającego wodospadu. Robił się coraz głośniejszy, walił się na niego. Był przytłoczony potokiem ludzi wylewającym się z przepastnego łona Ziemi Matki, ogromnej, przypominającej górę Ziemi Matki o twarzy Ayli.

Torował sobie drogę wśród ludzi, usiłując dostać się do niej i w końcu dotarł do ogromnej groty, jej głębokiego wejścia. Wszedł w nią i jego męskość badała ciepłe załomki jej wnętrza, dopóki nie zamknęło go w swych dających zaspokojenie głębinach. Wznosił się i opadał z dziką pasją, z nie skrępowaną radością; wtem ujrzał jej twarz, mokrą od łez. Jej ciałem wstrząsał szloch. Chciał ją uspokoić, powiedzieć, aby nie płakała, ale nie mógł wydobyć głosu. Odepchnięto go.

Był pośród wielkiego tłumu wypływającego z jej łona, wszyscy byli ubrani w wyszywane paciorkami bluzy. Próbował przepchać się z powrotem, ale napierający tłum ludzi uniósł go niczym kłodę porwaną strumieniem płodowych wód; kłodę z uczepioną do niej zakrwawioną bluzą porwaną przez Wielką Matkę Rzekę.

Wyciągnął szyję, aby się obejrzeć, i dostrzegł Aylę stojącą w

wejściu do pieczary. Słyszał w swych uszach echo jej szlochu. Wtem, z przerażającym hukiem, pieczara się zawaliła, wyzwalając lawinę kamieni. A Jondalar stał samotnie, płacząc.

Jondalar otworzył w ciemności oczy. Mały ogień Ayli strawił już całe drewno. W całkowitej ciemności Jondalar nie był pewny, czy się naprawdę obudził. Ściany jaskini majaczyły niewyraźnie, nie było żadnego znajomego punktu, według którego mógłby określić swoje położenie. Jeżeli miałby polegać tylko na wzroku, to mógłby pomyśleć, że znajduje się w jakiejś bezdennej pustce. Jego sny zaczynały przybierać materialne kształty. Przez jego myśli przebiegały całe korowody wspomnień zasilane myślami z jego podświadomości.

Kiedy noc na tyle zbladła, by było widać zarys ścian i wejścia do jaskini, Jondalar począł stopniowo rozumieć sens swych sennych widziadeł. Nieczęsto mu się zdarzało pamiętać sny, ale ten był tak wyrazisty, tak rzeczywisty, że musiał być wiadomością od Matki. Co próbowała mu powiedzieć? Żałował, że nie ma tu zelandoni, który pomógłby mu wyjaśnić jego sen.

Do jaskini przeniknęło skąpe światło. Jondalar ujrzał burzę złocistych włosów okalających twarz śpiącej Ayli i poczuł ciepło bijące od jej ciała. Przyglądał się jej w milczeniu obserwując, jak cienie się rozpraszają. Miał przemożną chęć pocałowania jej, ale nie chciał jej budzić. Podniósł do swoich ust długie, złote pasmo włosów. Potem po cichu wstał. Znalazł letni napój, nalał sobie miseczkę i wyszedł na kamienną półkę przed jaskinią.

Było mu chłodno w samej przepasce, ale zlekceważył to, choć przebiegło mu przez myśl, by nałożyć ciepłe rzeczy, które zrobiła mu Ayła. Patrzył, jak niebo na wschodzie jaśnieje, a kształty w dolinie nabierają ostrości, i znowu powrócił do swego snu, próbując podążyć jego splątanymi ścieżkami, by rozwikłać

tkwiącą w nim tajemnicę.

Dlaczego Doni pokazała mu, że całe życie pochodzi od niej? 4 On przecież wiedział o tym; przyjmował to jak fakt swego istnienia.! Dlaczego się pojawiła we śnie, dając życie wszystkim rybom, ptakom, zwierzętom i...

Płaskogłowi! Oczywiście! Mówiła mu, że ludzie klanu też byli Jej dziećmi. Dlaczego nikt przedtem nie powiedział tego jasno? Nikt nigdy nie podawał w wątpliwość tego, że całe życie pochodzi od niej, dlaczego ci ludzie są tak oczerniani? Nazywa się ich zwierzętami, jakby zwierzęta były czymś złym. Co czyni płaskogłowych złymi?

Ponieważ oni nie są zwierzętami. Są ludźmi, innym rodzajem ludzi! To właśnie Ayla powtarzała cały czas. Czy dlatego jeden z nich miał twarz Ayli?

Mógł zrozumieć, dlaczego zrobiona przez niego doni miała jej twarz, tej, która powstrzymała lwa w jego śnie – nikt nie uwierzy w to, co Ayla naprawdę zrobiła; to było bardziej niewiarygodne niż sen. Ale dlaczego stara doni miała jej twarz? Dlaczego sama Wielka Matka Ziemia miałaby się upodobnić do Ayli?

Wiedział, że nigdy nie pojmie całego sensu swojego snu, ale czuł, że nadal jego uwagi uchodzi coś bardzo ważnego. Prześledził sen raz jeszcze i gdy przypomniał sobie Aylę stojącą w walącej się jaskini, to chciał niemal krzyczeć, by uciekała.

Wpatrywał się w horyzont, był zatopiony w myślach, czując tę samą pustkę i osamotnienie, jak we śnie, gdy stał samotnie, bez I niej. Twarz zrobiła mu się mokra od łez. Dlaczego czuje taką bezgraniczną rozpacz? Czego nie dostrzegł?

Przyszli mu na myśl ludzie w wyszywanych bluzach opuszczający jaskinię. Ayla naprawiła mu jego wyszywaną bluzę. Zrobiła mu odzienie, choć nigdy przedtem nie wiedziała, jak szyć.

Odzienie podróżne, które przywdzieje, gdy będzie odchodził.

Odejść? Zostawić Aylę? Znad krawędzi wzniosła się płomienna jasność. Przymknął oczy i ujrzał ciepłą, złocistą poświatę.

Wielka Matko! Ależ z ciebie skończony głupiec, Jondalarze. ” Zostawić Aylę? Jak mógłbyś ją zostawić? Ty ją kochasz! Dlaczego byłeś taki ślepy? Dlaczego trzeba było snu zesłanego przez Matkę, abyś zrozumiał coś tak oczywistego, że każde dziecko potrafiłoby to zrozumieć?

Poczuł, jak spada mu z pleców ogromny ciężar, i poczuł radosną wolność, doznał nagłego olśnienia. – Kocham ją! W końcu mi się to przytrafiło! Kocham ją! Nie sądziłem, aby to było możliwe, ale kocham Aylę!

Czuł się przepełniony tym uczuciem, gotów krzyczeć o tym na cały świat, gotów biec do niej, aby jej o tym powiedzieć. – Nigdy nie powiedziałem kobiecie, że ją kocham, pomyślał. Pospieszył do jaskini, ale Ayla nadal spała.

Wrócił na dwór i przyniósł trochę drewna. Posługując się krzesiwem – nadal go to zdumiewało – szybko rozpalił ogień. Przynajmniej raz udało mu się wstać przed nią i on dla odmiany chciał sprawić jej niespodziankę gorącym napojem. Odszukał liście mięty i wkrótce napój się zaparzył i był gotowy, lecz Ayla wciąż spała.

Patrzył, jak oddycha, przewraca się – lubił, gdy miała tak rozpuszczone włosy. Miał ochotę obudzić ją. Nie, musi być zmęczona. Już świta, a ona nie wstaje.

Zszedł na plażę, znalazł sobie gałązkę do czyszczenia zębów, potem zażył porannej kąpieli. To go odświeżyło, dodało energii i przypomniało o głodzie. Przez cały ten czas nie zabrali się przecież do jedzenia. Uśmiechnął się do siebie, przypominając sobie powód; na myśl o tym jego męskość znowu dała o sobie

znać.

Roześmiał się. – Męczyłeś go całe lato, Jondalarze. Nie możesz więc winić swego sprawiacza kobiet za to, że jest zbyt skory do działania, szczególnie teraz, gdy wie, co stracił. Ale powoli. Ona może potrzebować wypoczynku – nie jest do tego przyzwyczajona. Pobiegł ścieżką do góry i cicho wszedł do jaskini. Konie poszły się paść. – Musiały wyjść, gdy pływałem, a ona nadal śpi. Czy nic jej nie jest? Może powinienem ją obudzić. – Ayla się obróciła i odsłoniła piersi, rozpalając znowu jego myśli.

Opanował swój popęd i poszedł do paleniska nalać sobie więcej napoju i czekał. Zauważył różnicę w jej przypadkowych ruchach, a potem spostrzegł, że próbuje coś uchwycić.

– Jondalar! Jondalar! Gdzie jesteś? – krzyknęła, podrywając się.

– Tu jestem – powiedział, rzucając się do niej.

Ayla przywarła do niego.

– Och, Jondalarze. Myślałam, że odszedłeś.

– Jestem tu, Ayla. Jestem tu. – Tulił ją, dopóki się nie uspokoiła.

– Czy już wszystko dobrze? Pozwól, że przyniosę ci trochę napoju.

Nalał napoju z mięty i przyniósł jej miseczkę.

– Kto go zrobił? – zapytała.

– Ja. Chciałem ci zrobić niespodziankę gorącym napojem, ale zdążył już wystygnąć.

– Ty go zrobiłeś? Dla mnie?

– Tak, dla ciebie. Nigdy nie powiedziałem tego kobiecie. Kocham cię.

– Kochać? – zapytała. Chciała się upewnić, że ma na myśli to, na co ona ledwie się odważyła mieć nadzieję. – Co znaczy “kochać”?

– Co znaczy...! Jondalar! Ty nadęty głupku! – Wstał. Ty, wielki

Jondalar, ten, którego pragnie każda kobieta. Sam w to wierzyłeś. Taki byłeś ostrożny z wypowiedzeniem tego jedyne go słowa, które – myślałeś – wszystkie pragną od ciebie usłyszeć. taki dumny, że nigdy tego nie powiedziałeś. W końcu się zakochałeś – i nawet nie potrafiłeś się do tego przed sobą przyznać. Doni musiała ci o tym powiedzieć we śnie! Jondalar w końcu miał zamiar to powiedzieć, przyznać, że kocha kobietę. Spodziewałeś się pewnie, że zemdleje z zaskoczenia, a ona nawet nie wie, co znaczy to słowo!

Ayla przyglądała mu się z zakłopotaniem, chodził tam i z powrotem, mówiąc do siebie o miłości. Postanowiła się nauczyć tego słowa.

– Jondalar, co znaczy “miłość”? – zapytała z powagą i odrobiną zmartwienia w głosie.

Jondalar klęknął przed nią.

– To słowo, które dawno temu powinienem ci już wyjaśnić. Miłość to uczucie, jakim darzysz kogoś, o kogo się troszczysz. To uczucie, które matka czuje do swych dzieci lub mężczyzna do swego brata. Miłość pomiędzy kobietą a mężczyzną oznacza, że tak są sobie wzajemnie bliscy, iż chcą spędzić razem życie i nigdy się nie rozstawać.

Ayla przymknęła oczy i poczuła, jak drżą jej usta na dźwięk jego słów. Czy dobrze usłyszała? Czy naprawdę dobrze zrozumiała? – Jondalarze – rzekła – nie znałam tego słowa, ale znałam jego znaczenie. Znałam jego znaczenie, od kiedy się tu pojawiłeś, i im dłużej tu byłeś, tym bardziej zdawałam sobie sprawę z tego, co oznacza. Tak wiele razy pragnęłam znaleźć słowo dla określenia tego uczucia. – Przymknęła oczy, ale nie mogła powstrzymać łez ulgi i szczęścia. – Jondalar, ja też cię... Kocham.

Jondalar wstał, podnosząc ją razem z sobą i pocałował czule, trzymając w objęciach jak nowo odnaleziony skarb, którego nie chciał zniszczyć czy stracić. Ayla objęła go i przytuliła mocno niby sen, który może ulecieć, jeżeli go puści. Pocałował jej usta i słone od łez oczy, a gdy położyła mu głowę na piersi, zanurzył twarz w jej rozpuszczonych, złocistych włosach, by osuszyć własne oczy.

Nie mógł mówić. Mógł jedynie trzymać ją i dziwić się swojemu niewiarygodnemu szczęściu, które pozwoliło mu ją znaleźć. Musiał odbyć podróż do najdalszych krańców ziemi, by znaleźć kobietę, którą potracił pokochać, i nic już go nie skłoni do tego, by pozwolił jej teraz odejść.

– A dlaczego po prostu nie zostać tutaj? W tej dolinie jest tak wiele. We dwoje będzie nam o wiele łatwiej. Mamy miotacze oszczepów i Whinney do pomocy. Zawodnik też będzie pomagał – powiedziała Ayla.

Spacerowali łąką i rozmawiali. Zebrali już całe ziarno, które chciała zebrać; upolowali i wysuszyli dość mięsa na zimę; zebrali i zmagazynowali dojrzałe owoce, korzenie i inne rośliny na pożywienie i leki, nazbierali różnych materiałów do przetwarzania w czasie zimy. Ayla chciała spróbować ozdabiania odzieży, a Jondalar pomyślał, że wyrzeźbi kilka kostek do gry i nauczy Aylę grać. Ale prawdziwą radością Ayli było to, że Jondalar ją kochał – nie będzie już sama.

– To piękna dolina – powiedział Jondalar. Dlaczego by tu z nią nie zostać? Thonolan chciał zostać z Jetamio, pomyślał. Ale nie byli tylko we dwoje. Jak długo mógłby wytrzymać bez innych ludzi? Ayla żyła samotnie przez trzy lata. Nie muszą być sami. Przypomniał sobie Dalanara, który założył nową jaskinię, ale z początku miał tylko Jerikę i partnera jej matki, Hochamana.

Później przyłączyło się do nich więcej ludzi i urodziły się dzieci. Planują już założyć Drugą Jaskinię Lanzadonii. – Dlaczego ty nie miałbyś założyć nowej jaskini jak Dalanar? Może i mógłbyś, Jondalarze, ale nie zrobisz niczego bez Ayli. – Ciągnął dalej: Musisz poznać innych ludzi. Chciałbym cię zabrać ze sobą do domu. Wiem, że to będzie długa podróż, ale myślę, że możemy ją zrobić w ciągu roku. Spodoba ci się moja matka i wiem, że Marthona polubi cię. Tak jak i mój brat, Joharran, i moja siostra, Folarą – musi być już z niej duża dziewczyna. I Dalanar.

Ayla schyliła głowę, po czym ponownie spojrzała w górę.

– Polubią mnie, nawet jeżeli się dowiedzą, że moi ludzie to klan? Czy będę mile widziana, jeżeli się dowiedzą o moim synu, który się urodził, gdy mieszkałam wśród nich, który dla nich jest paskudztwem?

– Nie możesz kryć się przed ludźmi przez resztę życia. Czyż kobieta... Iza... nie powiedziała ci, byś znalazła swój własny rodzaj? Wiesz, że miała rację. Nie będzie łatwo – nie mogę przed tobą ukrywać prawdy. Większość ludzi nie wie, że członkowie klanu są ludźmi. Ale ty pozwoliłaś mi to zrozumieć, a i inni ludzie się nad tym zastanawiają. Większość ludzi jest porządna. Gdy już cię poznają, to cię polubią. I ja będę z tobą.

– Nie wiem. Czy możemy to przemyśleć?

– Oczywiście – powiedział. Nie możemy wyruszyć w długą podróż przed wiosną, myślał. Przed nastaniem zimy możemy dotrzeć nie dalej niż do Sharamudoj, ale równie dobrze możemy tu przezimować. To da jej trochę czasu na oswojenie się z tym pomysłem.

Ayla się uśmiechnęła z prawdziwą ulgą i przyspieszyła kroku. Do tej pory powłóczyła nogami, bo czuła się ciężko ze swoimi myślami. Wiedziała, że Jondalar tęskni za rodziną i swoimi



ludźmi i, że jeżeli zdecyduje się pójść, to ona pójdzie z nim bez względu na to, dokąd się uda. Miała jednak nadzieję, że po przezimowaniu może zechcieć zostać i uczynić dolinę własnym domem.

Byli daleko od strugi, prawie na szczycie zbocza wiodącego na step, gdy Ayla przystanąła, zauważając znajomy przedmiot.

– To mój róg tura! – powiedziała do Jondalara, ocierając go z kurzu i pokazując jego osmalony środek. – Używałam go do przenoszenia ognia. Znalazłam go po drodze, gdy opuściłam klan. – Wróciły wspomnienia. – I nosiłam w nim żar, by zapalić pochodnie, które miały mi pomóc zagnać konie do mojego pierwszego dołu-pułapki. Wpadła do niego klacz, która była matką Whinney, a gdy hieny rzuciły się na źrebaka, to odpędziłam je i zabrałam go do jaskini. Tyle wydarzyło się od tamtego czasu.

– Wiele ludzi przenosi z sobą ogień, ale my, mając krzesiwo nie musimy się o to martwić. – Nagle zmarszczył brwi i Ayla wiedziała, że myśli. – Jesteśmy zaopatrzeni, prawda? Nie zostało nam już nic więcej do zrobienia.

– Nie, niczego więcej nam nie trzeba.

– To dlaczego nie mielibyśmy wybrać się w podróż? Krótką podróż – dodał, gdy zobaczył jej niepokój. – Nie zbadałaś terenów leżących na zachodzie. Weźmy z sobą jedzenie, skóry do spania i rozejrzyjmy się, co? Nie musimy iść daleko.

– A co z Whinney i Zawodnikiem?

– Zabierzemy ich z nami. Może nawet Whinney poniosłaby nas jakiś czas, a także jedzenie i sprzęt. To będzie przyjemne, Ayla. Tylko my dwoje – powiedział.

Podróżowanie dla przyjemności było dla niej czymś nowym i trudnym do przyjęcia, ale nie potrafiła wymyślić żadnego

sprzeciwu.

– Chyba moglibyśmy – powiedziała. – Tylko my dwoje... dlaczego nie? – To może być zupełnie dobry pomysł, by zbadać tereny na zachodzie, pomyślała.

– Tu, z tyłu, ziemia nie jest zbyt głęboka – powiedziała Ayla – ale to najlepsze miejsce na schowek i możemy wykorzystać skalne odłamki.

Jondalar uniósł wyżej pochodnię i oświetlił jej migotliwym blaskiem większy obszar.

– Lepiej kilka małych schowków, czy nie sądzisz?

– Dzięki temu, jeśli jakieś zwierzę wdrze się do środka, nie dostanie wszystkiego.

Jondalar przesunął światło, aby zajrzeć do kilku szczelin w rumowisku skalnym, zajmującym róg w głębi jaskini.

– Zaglądałem tam raz. Zdawało mi się, że widziałem ślady lwa jaskiniowego.

– To było legowisko Maluszka. Widziałam tam ślady po lwie jaskiniowym, zanim się wprowadziłam. Bardzo stare. Pomyślałam sobie, że to znak dany mi przez mój totem, abym przestała wędrować i spędziła tu zimę. Nie myślałam, że zostanę tu tak długo. Teraz mi się wydaje, że miałam tu czekać na ciebie. Myślę, że to duch

Lwa Jaskiniowego cię tu przywiódł, a potem cię wybrał, aby twój totem był równie silny jak mój.

– Zawsze uważałem Doni za mego ducha przewodniego.

– Może ona cię prowadziła, ale myślę, że Lew Jaskiniowy cię wybrał.

– Może i masz rację. Duchy wszystkich stworzeń należą do Doni, lew jaskiniowy również. Tajemnicze są zamysły Matki.

– Lew jaskiniowy nie jest totemem, z którym się łatwo żyje,

Jondalarze. Wystawia człowieka na trudne próby – nie zawsze byłam pewna, czy przeżyję – ale jego dary są tego warte. Myślę, że jego największym darem dla mnie jesteś ty – skończyła cicho.

Jondalar wetknął pochodnię w szparę w ścianie, a potem objął ukochaną kobietę. Była taka otwarta, tak szczera, a gdy ją pocałował, ona odwzajemniła mu pocałunek tak chętnie, że prawie uległ swemu pożądaniu.

– Musimy przestać – powiedział, ujmując ją za ramiona i odsuwając – w przeciwnym razie nigdy nie skończymy przygotowań do wyruszenia. Zdaje się, że ty masz dotyk Hadumy.

– A co to jest dotyk Hadumy?

– Haduma była starą kobietą, którą spotkaliśmy po drodze, matką sześciu pokoleń, otoczoną wielkim szacunkiem swych potomków. Matka obdarzyła ją wieloma mocami. Mężczyźni wierzyli, że dotknięcie przez nią męskości pozwoli im zaspokoić kobietę, ile tylko razy będą chcieli. Większość mężczyzn o tym marzyła. Niektóre kobiety znają sposoby, by zachęcić mężczyzn. A tobie, Ayla, wystarczy jedynie się do mnie zbliżyć. Tego ranka, zeszłej nocy. Ile razy wczoraj? I przedwczoraj? Nigdy nie potrafiłem tak wiele i nigdy nie pragnąłem tak bardzo. Ale jeżeli teraz nie przestaniemy, to nie skończymy schowków tego ranka.

Oczyścili miejsce z kamieni, zostawiając na boku kilka większych głazów, i wyznaczyli miejsce na schowki. W miarę upływu dnia Jondalarowi zaczęło się wydawać, że Ayla staje się coraz cichsza i bardziej pogrążona we własnych myślach niż zwykle, i zaczął się zastanawiać, czy powodem tego mógł być jakiś jego uczynek czy słowo. Może nie powinien okazywać tego, że jest taki ochoczy. Aż nie do wiary, że za każdym razem, gdy tego pragnął, ona była zawsze chętna i gotowa.

Wiedział, że wiele kobiet się powstrzymuje i mężczyzna sam musi pracować na swoją rozkosz. On rzadko miewał podobne kłopoty, ale nauczył się, by nie wyglądać na zbyt rozpalonego; dla kobiety większe wyzwanie stanowił mężczyzna, który wydawał się trochę powściągliwy.

Kiedy zaczęli przenosić żywność do schowków, Ayla wydawała się jeszcze bardziej zamknięta w sobie, skłaniając głowę i przyklękając w milczeniu przed podniesieniem każdego z pakunków z suszonym mięsem, zawiniętym w nie garbowane skóry, lub koszy z korzeniami. Gdy zaś zaczęli mościć z plaży więcej kamieni, aby przykryć zimowe zapasy, Ayla stała się wyraźnie podenerwowana. Jondalar był pewien, że to z jego winy, ale nie wiedział, co takiego uczynił. Późnym popołudniem zobaczył, jak ze złością usiłowała podnieść o wiele za ciężki dla niej kamień.

– Niepotrzebny nam ten kamień. Chyba powinniśmy odpocząć. Jest ciepło, a pracowaliśmy cały dzień. Chodźmy popływać.

Ayla przestała szarpać się z kamieniem, odgarnęła włosy z oczu, rozwiązała ramię, a gdy jej okrycie opadało, zdjęła amulet. Jondalar poczuł znajome mrowienie w łądźwiach. Tak było zawsze, ilekroć patrzył na jej ciało. – Porusza się niczym lew, pomyślał, podziwiając gładkość jej ciała i sprężysty wdzięk, z jakim biegła do wody. Odwiązał swą przepaskę i pobiegł za nią.

Płynęła tak ostro pod prąd, że Jondalar postanowił poczekać, aż będzie wracała, wyładowawszy część swojego rozdrażnienia w wysiłku. Kiedy ją spotkał, unosiła się na wodzie z prądem i wydawała się w istocie odprężona. Kiedy się przewróciła, by płynąć, powiódł dłonią po wygiętej linii pleców od ramion, po wciętą głęboko talię i gładkie, krągłe pośladki.

Ayla wyprzedziła go i była już na brzegu ze swym amuletem

na szyi i sięgała po okrycie, gdy on wychodził z wody.

– Ayla, czy ja coś robię źle? – zapytał, stając przed nią ociekający wodą.

– To nie o ciebie chodzi. To ja źle robię. – Ależ ty nie robisz niczego złego.

– Właśnie, że robię źle. Cały dzień starałam się cię zachęcić, ale ty nie rozumiesz gestów klanu.

Kiedy Ayla została kobietą, Iza wyjaśniła jej nie tylko, jak troszczyć się o siebie w czasie krwawienia, ale także, jak oczyścić się po pobycie z mężczyzną oraz jakie gesty i postawy zachęcą mężczyznę, żeby dał jej znak, choć Iza wątpiła, aby były jej potrzebne te pouczenia. Mężczyznom klanu nie wydawała się pociągająca bez względu na wykonywane gesty.

– Wiem, że jeżeli dotkniesz mnie w pewien sposób lub dotkniesz ustami moich ust, to dajesz mi znak, ale nie znam sposobów, aby cię zachęcić – ciągnęła dalej.

– Ayla, dla mnie wystarczającą zachętą jest twoja obecność. – Nie to miałam na myśli – powiedziała. – Nie wiem, jak mam powiedzieć ci o tym, że mam ochotę zażyć z tobą rozkoszy. Nie znam sposobów... Powiedziałeś, że niektóre kobiety znają spot Boby, by zachęcić mężczyzn.

– Och, Ayla, czy to tym się trapiłaś? Chcesz się nauczyć, jak mnie zachęcać?

Ayla kiwnęła głową i pochyliła ją, czując przyływ zakłopotania. Kobiety klanu nie były tak bezpośrednie. Okazywały swe pożądanie przesadną skromnością, jakby z trudnością mogły znieść widok tak nieodparcie męskiego mężczyzny – rzucały ukradkowe spojrzenia i przyjmowały postawy, odpowiednie dla kobiety, która chciała dać znak, iż nie może się mu oprzeć.

– Patrz, jak mnie zachęciłaś, kobieto – powiedział, wiedząc, iż w trakcie rozmowy jego męskość wyprężyła się w gotowości. Nic na to nie mógł poradzić i nie mógł tego ukryć. Ten widok wywołał na jej twarzy uśmiech i ona również nic na to nie mogła poradzić. – Ayla – powiedział i uniósł ją w ramiona – nie wiesz, że zachęcasz mnie samym swoim istnieniem?

Z Aylą na rękach ruszył w kierunku ścieżki.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak zachęca mnie samo patrzenie na ciebie? Pragnę cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. – Szedł do góry ścieżką z bardzo zdumioną Aylą w ramionach. – Jesteś tak bardzo kobieca, że nie potrzeba ci sposobów na zachętę niczego nie musisz się uczyć. Wszystko, co robisz, sprawia, że pragnę cię jeszcze bardziej. – Dotarli do wejścia. – Jeżeli mnie pragniesz, to musisz jedynie powiedzieć, a jeszcze lepiej uczynić to. – Pocałował ją.

Wniósł ją do jaskini i położył na pościeli z futer. Potem znowu ją pocałował otwartymi ustami, delikatnie zagłębiając język. Poczula jego nabrzmiałą i gorącą męskość. Jondalar usiadł i uśmiechnął się z odrobiną przekory. – Mówiłaś, że próbowałaś cały dzień. Co skłoniło cię, by myśleć, że mnie nie zachęciłaś? – zapytał. Potem zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego: wykonał gest.

Ayla otworzyła szeroko ze zdumienia oczy.

– Jondalar! To... to jest znak!

– Skoro ty masz zamiar dawać mi znaki swego klanu, to chyba uczciwie będzie, jeżeli i ja się nimi posłużę.

– Ale... ja... – Zabrakło jej słów, a nawet odpowiednich gestów. Wstała, odwróciła się i opadła na kolana, rozsuwając szeroko nogi i wystawiając się.

Jondalar żartował, mówiąc o geście; nie spodziewał się, że tak

szybko zostanie pobudzony. Ale nie potrafił się oprzeć widokowi jej krągłych, jędrnych pośladków i odsłoniętego przyrodzenia, ciemnoróżowego i zapraszającego. Nim się zorientował, już klęczał za nią, wnikając w jej ciepłe, pulsujące wnętrze.

W chwili, gdy przyjęła pozycję, owładnęły ją wspomnienia Brouda. Po raz pierwszy miała ochotę odmówić Jondalarowi jeśli by potrafiła. Ale pomimo tak przykrych skojarzeń, wcześniejsze uwarunkowanie posłuszeństwa wobec sygnału było silniejsze.

Jondalar wszedł w nią. Ayla poczuła, jak wnika w nią, i krzyknęła z niespodziewanej rozkoszy. Ta pozycja spowodowała, że czuła ucisk w innych miejscach, a ocieranie w czasie wycofywania się Jondalara podniecało ją w nowy sposób. Uniosła się mu na spotkanie, gdy wniknął ponownie. Kiedy tak pochylał się nad nią, zagłębiając się w niej i prężąc, przypomniła się Ayli nagle Whinney i jej ogier. Na myśl o tym zrobiło jej się rozkosznie ciepło, i poczuła pulsujące mrowienie. Cofała się i unosiła w tak jego ruchów, jęcząc i popiskując.

Napięcie szybko rosło; jej zachowanie się i jego pożądanie przyspieszyły jego ruchy.

– Ayla! Och, kobieto – krzyknął i pchnął ponownie. – Ty piękna, dzika kobieto – wydyszał, pchając i pchając raz za razem. Uniósł jej biodra, przyciągnął ją do siebie, a gdy w nią wnikał, ona się poddawała i natarł na nią z dreszczem rozkoszy.

Trwali tak jeszcze przez chwilę, drżąc oboje; Ayla ze zwieszoną głową. Potem Jondalar, pociągając ją za sobą, przekręcił się na bok i leżeli bez ruchu. Wtuliła w niego plecy, a on nadal z męskością ukrytą w jej wnętrzu wyciągnął rękę i położył dłoń na jej piersi.

– Muszę przyznać – powiedział po chwili – że ten gest nie jest taki zły. – Przytulił twarz do jej karku, a potem odszukał jej ucho.

– Z początku nie byłam pewna, ale z tobą wszystko wychodzi dobrze. Wszystko jest rozkoszą – powiedziała, wtulając się w niego jeszcze bardziej.

– Jondalar, czego wypatrujesz? – zawołała Ayla z półki.

– Próbuję znaleźć więcej kamieni do krzesania ognia.

– Ledwie zarysowałam swój pierwszy kamień. On wystarczy na długo – nie trzeba nam więcej.

– Wiem, ale zobaczyłem jeden i chciałem zobaczyć, ile jeszcze uda mi się znaleźć. Czy jesteśmy gotowi?

– Mamy już chyba wszystko, czego możemy potrzebować, w każdym razie nic więcej nie przychodzi mi na myśl. Nie możemy i wypuszczać się na zbyt długo – pogoda o tej porze roku zmienia się bardzo szybko. Rankiem może być gorąco, a wieczorem śnieżna zadymka – powiedziała, schodząc w dół.

– Ayla! Co ty masz na sobie?

– Nie podoba ci się?

– Podoba mi się! Skąd to masz?

– Zrobiłam, gdy naprawiałam twoje. Uszyłam sobie na wzór twojego, ale zmniejszyłam, żeby na mnie pasowało, jedynie nie byłam pewna, czy powinnam je nosić. Myślałam, że to może być odzienie, które noszą tylko mężczyźni. I nie wiedziałam, jak wyszyć bluzę. Czy dobrze wyszło?

– Tak myślę. Nie przypominam sobie, aby kobiece odzienie wiele się różniło od męskiego. Bluza jest zwykle trochę dłuższa i, być może, inaczej zdobiona. To odzienie Mamutoi. Swoje zgubiłem, gdy dotarliśmy do końca Wielkiej Matki Rzeki. Wspaniale na tobie wygląda. I myślę, że spodoba ci się bardziej od starego okrycia. Kiedy nastanie zimno, zobaczysz, jakie jest ciepłe i wygodne.

– Cieszę się, że ci się podoba. Chciałam być ubrana... na twój



sposób. – Na mój sposób... zastanawiam się, czy mam jeszcze w ogóle jakiś swój sposób. Spójrz na nas! Mężczyzna i kobieta i dwa konie! Jeden z nich objuczony naszym namiotem, jedzeniem i zapasową odzieżą. To dziwne uczucie wyruszać w podróż bez obciążenia, niosąc jedynie oszczepy – i miotacze oszczepów! I mój woreczek pełen krzesiwa. Zdaje się, że nasz widok mógłby niejednego zaskoczyć. Ale ja najbardziej jestem zaskoczony samym sobą. Nie jestem już tym samym człowiekiem, którego znalazłaś. Zmieniłaś mnie, kobieto, i kocham cię za to.

– Ja również się zmieniłam, Jondalarze. Kocham cię.

– No dobrze, w którą stronę ruszamy?

Aylę ogarnęło niepokojące uczucie straty, gdy wędrowali wzdłuż doliny w ślad za kłaczą i źrebakiem. Kiedy dotarli do zakrętu na odległym krańcu doliny, Ayla się obejrzała.

– Jondalar! Patrz! Konie wróciły do doliny. Nie widziałam ich, od kiedy tu przybyłam. Odeszły, gdy upolowałam kłacz, która była matką Whinney. Cieszę się, że wróciły, zawsze uważałam, że to ich dolina.

– Czy to jest to samo stado?

– Nie wiem. Ogier był bułany, jak Whinney. Nie widzę ogiera, jedynie kłacz przewodniczkę. Tyle czasu minęło.

Whinney również dostrzegła konie i zarżała głośno. Konie odpowiedziały na pozdrowienie i Zawodnik zwrócił w ich kierunku uszy z zainteresowaniem. Potem kłacz poszła za kobietą, a źrebak pokłusował za nią.

Ayla kierowała się wzdłuż rzeki na południe i przeszła na drugą stronę, gdy ujrzała na przeciwnym brzegu zbrocze wiodące na stopy. Zatrzymała się na jego szczycie i oboje z Jondalarem dosiedli Whinney. Kobieta odszukała znajome znaki w terenie i skierowała się na południowy zachód. Teren robił się coraz

bardziej nierówny, pełen rozpadlin i wyniosłości, kamienistych jarów i stromych zboczy wiodących na płaskie wzniesienia. Kiedy się zbliżyli do rozstępu pomiędzy sterczącymi pionowo kamiennymi ścianami, Ayla zsiadła z konia i zbadła ziemię. Nie było świeżych śladów. Poprowadziła go do ślepego jaru, a potem wdrapała się na skałę, która się oderwała od ściany. Poszła do skalnego rumowiska w głębi jaru, a Jondalar podążył za nią.

– To właśnie to miejsce – powiedziała, wyciągając spod bluzy woreczek i podając mu go.

Znał to miejsce.

– Co to jest? – zapytał, podnosząc mały skórzany woreczek. – Czerwona ziemia. Na jego grób.

Jondalar skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Czuł, jak łzy cisną mu się do oczu, i nie starał się ich powstrzymać. Nasypał na dłoń czerwonej ochry i rozrzucił ją na skały i żwir, a potem rozsypał następną garść. Ayla czekała. Jondalar wpatrywał się w rumowisko wilgotnymi oczyma, a gdy się odwrócił, ona wykonała nad grobem Thonolana gest.

Jechali jakiś czas, nim Jondalar się odezwał.

– On był ulubieńcem Matki. Zapragnęła go z powrotem. Ujechali jeszcze kawałek i odezwał się znowu,

– Co znaczył ten gest, który zrobiłaś?

– Prosiłam, aby Wielki Niedźwiedź Jaskiniowy zaopiekował się nim w drodze i sprzyjał mu. To znaczy “iść z Ursusem”.

– Ayla, nie doceniałem tego, gdy mi o tym opowiadałaś. Teraz to w pełni doceniam. I jestem ci wdzięczny za pochowanie go i powierzenie go opiece totemów klanu. Myślę, że dzięki tobie on znajdzie drogę w świecie duchów:

– Mówiłeś, że był odważny. Nie myślę, aby odważny człowiek potrzebował pomocy w odnalezieniu swojej drogi. Dla tych,

którzy nie znają, co to strach, będzie to podniecająca przygoda.

– On był dzielny i uwielbiał przygody. Był tak pełen życia miałem wrażenie, że chce wszystko przeżyć w jeden chwili. Gdyby nie on, nie wybrałbym się w tą podróż. – Szli obok siebie objęci. Jondalar przytulił ją mocniej, przyciągając do siebie bliżej. – I nie znalazłbym ciebie, Ayla. To właśnie miał na myśli Shamud, mówiąc o moim przeznaczeniu! “Powiedzie cię tam, dokąd inaczej byś nie poszedł”, to były jego słowa. Thonolan przywiódł mnie do ciebie... potem podążył za swą miłością na drugi świat. Nie chciałem, aby odchodził, ale teraz potrafię go zrozumieć.

W miarę jak posuwali się dalej na zachód, poszarpany teren przechodził powoli ponownie w płaskie otwarte stepy, poprzecinane rzekami i strumieniami spływającymi z wielkiego lodowca na północy. Woda żłobiła sobie drogę przez głębokie jary i płynęła zakrętami po łagodnych zboczach dolin. Stepy zdobiły z rzadka drzewa skarłowaciałe od ciągłej walki o przetrwanie, nawet te rosnące wzdłuż brzegów wody, która zapewniała pożywienie korzeniom. Ich powykrzywiane kształty sprawiały takie wrażenie, jakby te drzewka zastygły przygięte gwałtownym podmuchem wiatru.

Starali się trzymać dolin, które zapewniały im osłonę od wiatru i drewno. Tylko tutaj rosło pod dostatkiem brzoź, wierzb, sosen i olch. Nie można jednak było powiedzieć – myśląc o dostatku – tego samego o zwierzętach. Stepki zamieszkiwały nieprzebrane liczby dzikich zwierząt. Dzięki swojej broni mężczyzna i kobieta polowali, gdy tylko mieli ochotę na świeże mięso, i często zostawiali resztki dla drapieżników i padlinożerców.

Podróżowali już od połowy miesięcznego cyklu, gdy nastał

szczególnie gorący i niezwykle bezwietrzny dzień. Wędrowali przez większą część ranka i dosiedli konia, gdy dostrzegli na widnokręgu ślad zieloności. Jondalar pobudzony ciepłem i bliskością Ayli wsunął jej dłoń pod bluzę, aby ją popieścić. Wjechali na szczyt wzgórza i spojrzeli na rozciągającą się u jego podnóża dolinę nawadnianą przez dużą rzekę. Dotarli nad jej brzeg, gdy słońce stało w zenicie.

– Powinniśmy pojechać na północ czy na południe, Jondalarze?

– Nigdzie nie jedźmy. Rozbijmy obóz – powiedział.

Zaczęła protestować, ale jedynie dlatego, że nie przywykła bez powodu zatrzymywać się tak wcześnie. Ale gdy Jondalar począł czule skubać zębami jej kark i delikatnie ścisnąć jej piersi, to uznała, że jechać dalej nie mają powodu, natomiast by zostać tu, mają ich aż zanadto.

– Dobrze, rozbijmy obóz – powiedziała i przerzuciła nogę, aby zsunąć się na ziemię. Jondalar zsiadł również i pomógł jej zdjąć kosze z Whinney, aby koń mógł odpocząć i popaść się do woli. Potem wziął ją w ramiona i pocałował, sięgając pod bluzę.

– A może pozwolilibyś mi ją zdjąć? – zapytała.

Patrzył z uśmiechem, jak ściągnęła przez głowę bluzę, odwiązała rzemień przytrzymujący dolną część odzienia i zsunęła je z siebie. On również zaczął ściągać przez głowę swą bluzę, gdy nagle usłyszał jej chichot. Kiedy spojrzął, ona już odeszła. Roześmiała się znowu, a potem skoczyła do rzeki.

– Postanowiłam popływać – powiedziała.

Jondalar się uśmiechnął, zdjął spodnie i wszedł za nią do wody. Rzeka była głęboka i zimna, a prąd wartki, ale Ayła płynęła tak ostro pod prąd, że miał trudności z dogonieniem jej. Schwycił ją – akurat w płytszym miejscu rzeki – i opierając się

nogami na dnie, pocałował ją. Ona wywinęła mu się z uścisku i pognęła na brzeg ze śmiechem.

Pobiegł za nią, ale nim dotarł do brzegu, ona już gnała w głąb doliny. Puścił się w pogoń za nią, a gdy już miał ją schwycić, ponownie mu umknęła. Pomknął za nią znowu, biegnąc co sił w nogach, i w końcu złapał ją, obejmując ramieniem w pasie.

– Tym razem już mi nie uciekniesz, kobieto – powiedział, przyciągając ją bliżej. – Chciałaś mnie zmęczyć gonitwą, abym nie mógł potem dać ci rozkoszy – powiedział, uradowany jej ochotą do zabawy.

– Nie chcę, abys dał mi rozkosz – powiedziała. Jondalarowi z wrażenia zrzędała mina i zachmurzyło się czoło.

– Nie chcesz mnie... – Puścił ją.

– To ja chcę ci dać rozkosz. Serce zaczęło mu znowu bić.

– Ty dajesz mi rozkosz – powiedział, biorąc ją ponownie w ramiona.

– Wiem, że tobie sprawia rozkosz dawanie mi rozkoszy, ale nie o to mi chodziło. – Patrzyła poważnie. – Chcę nauczyć się dawać tobie rozkosz, Jondalarze.

Nie potrafił się jej oprzeć. Jego męskość przeżyła się pomiędzy nimi, gdy przyciągnął ją bliżej i pocałował z zachłanną namiętnością. Ona, idąc za jego przykładem, odwzajemniła mu pieśczoć. Zatopili się w tym pocałunku, dotykając się, próbując i wnikając w siebie nawzajem.

– Pokażę ci, jak mnie zadowolić – rzekł i poprowadził ją za rękę na skrawek zielonej trawy w pobliżu wody. Kiedy usiedli, pocałował ją znowu, a potem powędrował do jej ucha i ucałował szyję, popychając na ziemię. Obejmował dłonią jej pierś i sięgał właśnie do niej językiem, gdy Ayla usiadła.

– Ja pragnę tobie dać rozkosz – rzekła.

– Ayla, mnie sprawia tak wielką rozkosz dawanie ci rozkoszy, że nie wiem, czy mogłabyś sprawić mi większą przyjemność, dając mi rozkosz.

– A czy sprawiłoby ci to mniejszą przyjemność? – zapytała.

Jondalar odrzucił do tyłu głowę ze śmiechem i objął ją. Ona również się roześmiała, ale nie bardzo wiedziała, co go tak rozbawiło.

– Ty nie mogłabyś mi sprawić mniejszej przyjemności. A potem, spoglądając na nią swoimi tryskającymi błękitem oczami powiedział: – Kocham cię, kobieto.

– Kocham cię, Jondalarze. Czuję twoją miłość, gdy tak się uśmiechasz, patrząc jak teraz, a najbardziej gdy się śmiejesz. W klanie nikt się nie śmiał i nie lubili, gdy ja to robiłam. Nigdy nie chciałabym żyć wśród ludzi, którzy nie pozwalaliby mi się uśmiechać czy śmiać.

– Powinnaś się śmiać i uśmiechać. Masz piękny uśmiech. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, słysząc te słowa. – Ayla, och, Ayla – powiedział, tuląc twarz do jej karku i pieszcząc ją.

– Jondalar, uwielbiam, kiedy mnie dotykasz i całujesz mój kark, ale chciałabym wiedzieć, co ty lubisz.

Jondalar uśmiechnął się trochę niepewnie.

– Nic na to nie mogę poradzić – “zachęciłaś” mnie za bardzo. Czego byś chciała? Zrób ze mną to, co ci się podoba.

– A czy tobie to się spodoba?

– Spróbuj.

Popchnęła go na ziemię, a potem pochyliła się nad nim i pocałowała go, otwierając usta i używając języka. Odpowiedział, ale starał się nad sobą panować. Potem ucałowała jego szyję, delikatnie muskając ją językiem. Poczuła, jak lekko drży, i spojrzała na niego, szukając potwierdzenia.

– Czy to ci sprawia przyjemność?

– Tak, sprawia mi przyjemność.

Było tak w istocie. Panowanie na sobą wobec jej czułego natarcia rozpałiło go bardziej, niż mógł sobie wymarzyć. Jej delikatne pocałunki przepalały go na wylot. Ayla była niepewna siebie, tak niedoświadczona jak dziewczyna, która osiągnęła dojrzałość, ale nie przeszła jeszcze Rytuału Pierwszej Rozkoszy – a nikt nie budził większego pożądania. Takie czułe pocałunki podniecały bardziej, niż najzarliwsze i zmysłowe pieszczoty bardziej doświadczonych kobiet, ponieważ były zabronione.

Większość kobiet zachowywała się dość przystępnie; dziewczyna przed swym Pierwszym Rytuałem była nietykalna. Młoda kobieta, która nie przeszła jeszcze swego Rytuału potrafiła doprowadzić mężczyznę do szaleństwa potajemnymi pieszczotami w ciemnym kącie jaskini. Najgorszym zmartwieniem matek było to, że ich córki osiągną kobiecą dojrzałość tuż po Letnim Spotkaniu, a do następnego będą musiały przeczekać długą zimę. Większość dziewcząt już przed Rytuałem miewała pewne doświadczenia z całowaniem i pieszczotami, i Jondalar wiedział, że dla niektórych z nich to nie był naprawdę pierwszy raz, choć nie zhańbiłby ich ujawnianiem tego.

Znał urok tych dziewcząt – to on przyczyniał się do jego rozkoszy w czasie Rytuału – i tym urokiem posługiwała się wobec niego Ayla. Pocałowała go w kark. Jondalar zadrżał, przymknął oczy i całkowicie poddał się jej pieszczotom.

Przesuwała się niżej, zakreślając wilgotne kręgi na jego ciele, czując, jak rośnie jej własne podniecenie. To było dla niego niemal jak tortura, po części łaskotki, po części pałaca podnieta. Kiedy dotarła do pępka, nie mógł się już powstrzymać. Ujął jej

głowę w dłonie i delikatnie popchnął niżej, aż poczuła na policzku jego gorące drzewce. Ayla oddychała ciężko, czując w głębi ciała pulsowanie i mrowienie. Muśnięcia jej języka – to było więcej, niż mógł znieść. Naprowadził jej głowę na swój wyprężony organ. Kobieta podniosła wzrok.

- Jondalar, czy chcesz, bym...
- Tylko jeżeli ty tego chcesz.
- Czy to sprawi ci przyjemność?
- To sprawi mi przyjemność.
- Chcę.

Poczuł wilgotne ciepło obejmujące koniuszek jego nabrzmiałej męskości, a potem przesuwanie się w dół. Jęknął. Jej język badał gładką krągłość główki, próbował wsunąć się w małą szparę, odkrywał budowę skórki. Ayla nabrała pewności w swych poczynaniach, gdy jej pierwsze działania wywołały u niego oznaki rozkoszy. To sprawiało jej przyjemność i czuła, jak rośnie jej własne podniecenie, przyprawiające ją o przyjemne dreszcze. Wodziła po nim językiem. Jondalar krzyknął jej imię, a ona zaczęła poruszać językiem coraz szybciej i poczuła wilgoć pomiędzy własnymi udami.

Poczuł ssanie i wilgotne ciepło przesuwanie się w górę i w dół. – O Doni! Och, kobieto! Ayla! Ayla! Jak ty się tego nauczyłaś! Ayla starała się sprawdzić, ile go może objąć, i opuszczała się ustami coraz niżej, aż niemal zaczęła się dławić. Jego krzyki i jęki zachęciły ją jednak i spróbowała jeszcze raz i jeszcze raz, aż począł unosić się jej na spotkanie. Wtedy, wyczuwając jego pragnienie wnikięcia w jej wnętrze – a także swe własne pożądanie – uniosła się, przełożyła nogę na drugą stronę i dosiadła go, nadziewając się na jego nabrzmiały, wzniesiony członek i wprowadzając go w głąb siebie. Wygięła w łuk plecy i



gdy wnikał w jej wnętrze, doznała swojej rozkoszy.

Jondalar spojrział na nią. Jej widok przyprawił go o zawrót głowy z zachwytu. Słońce przeświecające przez jej włosy zmieniło je w złocistą aureolę. Oczy miała zamknięte, usta rozchylone, a twarz zarumienioną z uniesienia. Odchyliła się do tyłu, wysuwając kształtne piersi ze sterczącymi, lekko ciemniejszymi sutkami. Jej wygięte ciało połyskiwało w słońcu; zamknięta w jej wnętrzu męskość była gotowa wybuchnąć z zachwytu.

Ayla się uniosła, przesuwając się wzdłuż jego drzewca, a potem się opuściła, gdy on pospieszył jej na spotkanie, i wstrzymał oddech. Czuł wzbierające podniecenie, którego nie potrafiłby w stanie opanować, nawet gdyby chciał. Krzyknął, gdy uniosła się znowu. Opadała ponownie i przycisnęła się do niego, czując tryskającą wilgoć, gdy wstrząsnął nim dreszcz wyzwolenia.

Jondalar przyciągnął ją do siebie, odszukując ustami jej piersi. Po chwili rozkosznego odrętwienia Ayla przekręciła się na bok. Jondalar się podniósł, pochylił nad nią i pocałował, a potem wtulił twarz między jej piersi. Possał jedną, potem drugą i znowu ją pocałował. Później wyciągnął się obok niej.

– Lubię ci sprawiać rozkosz.

– Nikt nie zadowolilił mnie nigdy lepiej, Aylo.

– Ale ty wolisz bardziej mnie dawać rozkosz.

– Niezupełnie tak, ale... skąd znasz mnie tak dobrze?

– Jest tak dlatego, ponieważ się tego wyuczyłeś. To twoje rzemiosło, jak wyrabianie narzędzi – uśmiechnęła się, a potem zachichotała. – Jondalar ma dwie umiejętności. Jest wyrabiaczem narzędzi i wyrabiaczem kobiet – powiedziała, spoglądając na niego zadowolona z siebie.

Jondalar się roześmiał.

– Właśnie zażartowałaś – powiedział, uśmiechając się nieco krzywo. Ten żart był trochę zbyt blisko prawdy i żartowano sobie już tak z niego poprzednio. – Ale masz rację. Uwielbiam sprawiać ci rozkosz, uwielbiam twe ciało, całą cię uwielbiam.

– Ja również lubię, gdy sprawiasz mi rozkosz. Wtedy napełnia mnie miłość. Możesz sprawiać mi rozkosz, jak często chcesz, ale czasami ja chciałabym sprawić rozkosz tobie.

Jondalar ponownie się roześmiał.

– Zgoda. A skoro tak bardzo chcesz się uczyć, mogę cię nauczyć więcej. Możemy nawzajem sprawiać sobie rozkosz. Chciałbym teraz ja z kolei “napełnić cię miłością”, ale obawiam się, że nie ożywi mnie nawet dotknięcie Hadumy.

Ayla milczała przez chwilę.

– To nie miałyby znaczenia.

– Co nie miałyby znaczenia?

– Nawet gdyby twoja męskość nigdy więcej się nie podniosła, to i tak napełniałbyś mnie miłością.

– Ani się waż tak mówić! – Uśmiechnął się, ale przebiegł go dreszcz.

– Twoja męskość znowu się podniesie – powiedziała ze szczerym przekonaniem, a potem zachichotała.

– Skąd w tobie tyle złośliwości, kobieto? Są pewne sprawy, z których nie powinnaś sobie stroić żartów – powiedział, broniąc się żartobliwie, po czym wybuchnął śmiechem. Był zaskoczony i uradowany jej skłonnością do żartów i nowym poczuciem humoru.

– Lubię przyprawiać cię o śmiech. Wspólny śmiech jest prawie tak przyjemny, jak kochanie się z tobą. Chciałabym, abyś zawsze się ze mną śmiała. Myślę, że wtedy nie przestałbyś mnie nigdy

kochać.

– Przestać cię kochać? – powiedział, unosząc się nieco i spoglądając na nią. – Ayla, szukałem cię przez całe życie i nie byłem tego świadomy. Jesteś tym wszystkim, czego zawsze pragnąłem, prześcignęłaś moje najśmielsze wyobrażenia o tym, jaka może być kobieta. Jesteś porywającą, nie zrozumiałą dla mnie zagadką. Jesteś całkowicie szczerą, otwartą; niczego nie ukrywasz, a pomimo to jesteś najbardziej tajemniczą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jesteś silna, niezależna, całkowicie zdolna zatroszczyć się o siebie samą i o mnie, a usiadłabyś u moich stóp – jeżeli bym ci na to pozwolił – bez wstydu, bez obrazy, z taką prostotą, z jaką ja oddawałbym cześć Doni. Jesteś nieustraszona, odważna; uratowałaś mi życie, przywróciłaś do zdrowia, polowałaś dla mnie i dbałaś o moje wygody. Nie potrzebujesz mnie, choć sprawiasz, że chciałbym cię bronić, czuwać nad tobą, by się upewnić, że nie spotka cię żadna krzywda. Mogę przeżyć z tobą całe życie i nigdy do końca cię nie poznać; wiele odmian życia trzeba, by zgłębić twoje wszystkie tajemnice. Jesteś mądra i wiekowa jak Matka, świeża i młoda jak kobieta podczas Rytuału Pierwszej Rozkoszy. I jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. Nie mogę wprost uwierzyć, że miałem szczęście tak wiele otrzymać. Nie sądziłem, że jestem zdolny kogokolwiek pokochać; teraz wiem, że jedynie czekałem na ciebie. Nie myślałem, że potrafię się zakochać i Kocham cię bardziej niż samego siebie.

Ayla miała w oczach łzy. Zamknął jej oczy pocałunkami i przyciągnął blisko siebie, jakby się obawiając, że może ją stracić.

Gdy się obudzili następnego ranka, na ziemi leżała cienka warstewka śniegu. Opuścili z powrotem połę namiotu i zagrzebali się w futrach, ale oboje poczuli się smutni.

– Czas wracać, Jondalar.

– Zdaje się, że masz rację – powiedział, przyglądając się obłoczkom pary wzbijanym ich oddechami. – Do zimy jeszcze daleko. Nie powinniśmy trafić na żadną burzę.

– Nigdy nie wiadomo; pogoda potrafi płątać figle.

W końcu wstali i poczęli zwijać obóz. Ayla upolowała procą skoczką olbrzymiego, który wyszedł ze swej norki, i szybko skakał na dwóch łapkach. Podniosła go za ogon, który był niemal dwa razy dłuższy od całego ciała, i zarzuciła zwierzątko na plecy. Na skraju obozowiska zdjęła z niego szybko skórę i nadziała go na szpikulec.

– Smutno mi wracać – powiedziała, gdy Jondalar rozpałał ognisko. – To było takie... przyjemne. Tak po prostu sobie wędrować, zatrzymywać się, gdzie przyszła nam ochota. Nie martwić się tym, by cokolwiek przynieść z powrotem. Rozbijać obóz w południe tylko dlatego, że chcieliśmy popływać czy zażyć rozkoszy. Cieszę się, że wpadłeś na taki pomysł.

– Mnie również jest smutno, że to już koniec. To była udana podróż.

Wstał, by przynieść więcej drewna znad rzeki. Ayla poszła mu pomóc. Obeszli zakole i znaleźli stertę butwiejących drzew. Nagle Ayla usłyszała jakiś dźwięk. Spojrzała w górę i schwyciła się Jondalara.

– Heyooo! – rozległo się wołanie.

Mała grupka ludzi szła w ich kierunku, wymachując rękoma. Ayla przytuliła się do Jondalara; on objął ją obronnym, uspokajającym gestem.

– Wszystko dobrze, Ayla. To Mamutoi. Wspominałem ci, że nazywają siebie Łowcami Mamutów? Myślą, że my też jesteśmy Mamutoi – powiedział Jondalar.

Gdy grupka ludzi się zbliżyła, Ayla spojrzała na Jondalara z zaskoczeniem i zdumieniem.

– Ci ludzie, Jondalarce, oni się uśmiechają – powiedziała. – Uśmiechają się do mnie.

**KONIEC tomu: 11**